

**Z DZIEJÓW SOLIDARNOŚCI WALCZĄCEJ
I KONSPIRACJI NIEPODLEGŁOŚCIOWEJ**

Artur Adamski

**Z DZIEJÓW SOLIDARNOŚCI
WALCZĄCEJ I KONSPIRACJI
NIEPODLEGŁOŚCIOWEJ**

Z DZIEJÓW SOLIDARNOŚCI WALCZĄCEJ I KONSPIRACJI NIEPODLEGŁOŚCIOWEJ

AUTOR

Artur Adamski

REDAKCJA

Grażyna Adamska

OKŁADKA

Jerzy Kanikuła

SKŁAD

Artur Waszkielewicz

WYDAWCA



Fundacja
Pomorska Inicjatywa Historyczna

ISBN 978-83-62631-22-3

Publikacja została wydana z okazji 40 rocznicy powstania Solidarności Walczącej organizowanej przy współpracy Stowarzyszenia Solidarność Walcząca, Fundacji Wizja Rozwoju Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych PRL, Urzędu ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych oraz dzięki dofinansowaniu obchodów 40 lecia SW przez Totalizator Sportowy oraz Instytut Dziedzictwa Myśli Narodowej im. Roman Dmowskiego i Ignacego Jana Paderewskiego – w ramach Funduszu Patriotycznego.



Gdynia – Wrocław – Warszawa 2022

Spis treści

WSTĘP	9
SOLIDARNOŚĆ NIEAGENTURALNA	13
DLACZEGO UDAŁ SIĘ SIERPIEŃ?	17
ANNA WALENTYNOWICZ	19
GARŚĆ REFLEKCI W KOLEJNĄ ROCZNICĘ SIERPNIA	23
PRÓBA BILANSU W ROCZNICĘ KONTRAKTOWYCH WYBORÓW	33
WSPOMNIENIE Z PRL-U	37
POLSKA TO COŚ ABSOLUTNIE NADZWYCZAJNEGO	41
REFLEKSJE W 33 ROCZNICĘ POWSTANIA SOLIDARNOŚCI WALCZĄCEJ	47
O PRAWDĘ O STANIE WOJENNYM W KOLEJNĄ ROCZNICĘ JEGO WPROWADZENIA	53
O STANIE WOJENNYM NAJKRÓCEJ	55
O WROCŁAWSKIEJ MŁODZIEŻOWEJ KONSPIRACJI LAT OSIEMDZIESIĄTYCH	59
ŁATWO BYŁO BYĆ BOHATEREM, JEŚLI SIĘ ZARAZEM BYŁO TAJNYM WSPÓŁPRACOWNIKIEM	63
KPN I SOLIDARNOŚĆ WALCZĄCA	67
KONSPIRACJA CZTERNASTOLATKÓW	73
PIERWSZE ULOTKI	81
WOLNOŚĆ – ISTOTA SUKCESU SOLIDARNOŚCI WALCZĄCEJ	85
„Z DNIA NA DZIEŃ”, CZYLI GRUDNIOWE ZWYCIĘSTWO WOLNEGO SŁOWA	89
JAK ZWALCZANO POPARCIE DLA SOLIDARNOŚCI NISZCZĄC WIZERUNEK POLSKI	93
O TRÓJMIEJSKIEJ SOLIDARNOŚCI WALCZĄCEJ TO, CO CHYBA NAJWAŻNIEJSZE	95
ODDZIAŁ ZDECYDOWANYCH NA WSZYSTKO	99
TRUDNE POCZĄTKI SOLIDARNOŚCI WALCZĄCEJ W TRÓJMIEŚCIE	105
GRECY W SOLIDARNOŚCI WALCZĄCEJ	113
JAN OLSZEWSKI – JEDEN Z OJCÓW NIEPODLEGŁOŚCI	117
KEDYW LAT OSIEMDZIESIĄTYCH?	123
JAN PIETRZAK	129
POSTAĆ GODNA POMNIKA	133
SOLIDARNOŚĆ WALCZĄCA A POMARAŃCZOWA ALTERNATYWA	137
SOLIDARNOŚCIOWCY Z NAJTRUDNIEJSZYCH ODCINKÓW	141
ODCIĘCIE WSPARCIA, KTÓRE SOLIDARNOŚCI WALCZĄCEJ WYSZŁO NA ZDROWIE	145
POCZTOWE ŁAMANIE GRANIC	149
PIERWSZE LATA „BIULETYNU DOLNOŚLĄSKIEGO” CZYLI WYŻSZA SZKOŁA KONSPIRACJI	153
KORNELA MORAWIECKIEGO	161
WIGILIA SOLIDARNOŚCI WALCZĄCEJ	161
NA OBRZEŻACH SOLIDARNOŚCI WALCZĄCEJ, CZYLI O MNIEJ ZNANYCH OGNIWACH	163
„STRUKTURY FRAKTALNEJ”	163
ROLAND ROCZNIK DWUDZIEŚTY	171
DODRUK, O KTÓRYM NIE WIEDZIAŁ MORAWIECKI	177
PRL – PAŃSTWO OBOZÓW KONCENTRACYJNYCH	181
URODZENI, BY KONSPIROWAĆ	187
W KRWIOBIEGU KONSPIRY	197
ADAM LAZAROWICZ 1902 – 1951	203
LAZAROWICZ – LITERATURA PRZESTROGI I NADZIEI	209
„LATAJĄCY UNIWERSYTET PODZIEMNEGO DRUKU”	211
Z BIBUŁĄ I SPRZĘTEM W TRASIE	213
STRAŻNIK BEZPIECZEŃSTWA LUDZI PODZIEMIA	219

SKĄD ONI SIĘ WZIĘLI?	225
DWIE LINIE ESBECCI	231
OSOLSKI AZYL U JĘDRKA STADNICKIEGO	237
KIM BYŁ, DO CZEGO DAŻYŁ, JAKIE PRZESŁANIE POZOSTAWIŁ?	241
PODZIEMNE, ALE NADAJĄCE NA ŻYWO	245
ZE WSPOMNIEŃ SŁUCHACZA RADIA SOLIDARNOŚĆ WALCZĄCA	249
RADIO Z FUNKCJĄ ANTYESBECKIEGO PODSŁUCHU	253
W OBRONIE DETEKTORYSTÓW	257
SOLIDARNOŚĆ WALCZĄCA W OBRONIE WARSZAWSKIEGO RADIA SOLIDARNOŚĆ	261
OKRUCHY WSPOMNIEŃ Z SIERPNIA 1982	263
„GŁOŚNY” WROCŁAWSKI 13 GRUDNIA 1983	277
LECH KACZYŃSKI – PRAWDZIWIE NIEPODLEGŁY PREZYDENT	281
AGENCJA FOTOGRAFICZNA SOLIDARNOŚCI WALCZĄCEJ	287
UCIECZKA FOTOGRAFA	289
KONSPIRATORZY I PRZYJACIELE	293
NAJBLIŻSI OFIAR UMIERAJĄ NIE DOCZEKUJĄC SPRAWIEDLIWOŚCI	299
ESBECKI ODWET NA RODZINIE KONSPIRATORA	303
SB TEŻ SIĘ BAŁA	309
KONSPIRACYJNE SPOTKANIE Z BISKUPEM	311
EUGENIUSZ SZUMIEJKO 1946 – 2020	315
PIERWSZE OSTRZEŻENIE OD SOLIDARNOŚCI WALCZĄCEJ	319
KONTRWYWIAD Z PERSPEKTYWY SZAREGO DZIAŁACZA	323
SOLIDARYZM – IDEA KORNELA MORAWIECKIEGO	333
ZABIJANIE PAMIĘCI O WYDARZENIACH STANU WOJENNEGO	337
W CIENIU FAŁSZYWYCH HEROSÓW	341
SPOTKANIE Z FRASYNIUKIEM 1986	343
„WYRÓŻNIENIE” OD LECHA WAŁĘSY	349
ŻYCIE NA PRZEKÓR KONIUNKTURALISTOM I SZPICŁOM	355
MŁODZIEŻOWA DEKLARACJA SOLIDARNOŚCI	359
TAJEMNICA „KOTWICY”	361
SOLIDARNOŚĆ WALCZĄCA Z PERSPEKTYWY CENTRUM ANALIZ DEPARTAMENTU STANU USA	365
WAŻNA PRAWDA O HISTORII NIEZALEŻNEGO ZRZESZENIA STUDENTÓW	369
NZS 40 LAT PÓŹNIEJ	371
NAMIASTKA TESTAMENTU KORNELA MORAWIECKIEGO	373
WROCŁAWSKI ŚLAD KORNELA MORAWIECKIEGO	377
NIEZAPOMNIANY KSIĄDZ ZBIGNIEW SZYMEROWSKI	381
ZAPOMNIANI, KTÓRZY ŻYCIEM ZAPŁACILI	385
NIEŚĆ POLSKĘ, CZYLI HISTORYCZNY KONTEKST DZIEDZICTWA KORNELA MORAWIECKIEGO	389
ANTYKOMUNIZM – ZADANIE WAŻNE I AKTUALNE	395



WOBEĆ
BOGA I OJCZYZNY
PRZYSIEGAM
WALCZYĆ O WOLNĄ
I NIEPODLEGŁĄ
RZECZPOSPOLITĄ
SOLIDARNĄ,
POŚWIĘCAĆ SWE SIŁY,
CZAS ...
DLA ZBUDOWANIA
TAKIEJ POLSKI.

KORNEL
MORAWIECKI



WSTĘP

W czasie jednej z dyskusji panelowych, mających miejsce podczas obchodów XXX rocznicy Solidarności Walczącej, Wojciech Myślecki powiedział m.in., że jako jeden z tych członków tej organizacji, którzy działali w samym jej centrum i wiedzieli o niej najwięcej, po latach często przychodzi mu się przekonywać o tym, że była ona jeszcze większa i realizowała jeszcze więcej form różnorodnej aktywności, niż miał tego świadomość w latach osiemdziesiątych. Podobnie na ten sam temat wypowiadali się też Kornel Morawiecki i inni z natury rzeczy o Solidarności Walczącej wiedzący tak wiele, jak nikt inny. Kto zna organizacyjną zasadę tej organizacji, oraz jakość obowiązujących w niej konspiracyjnych standardów, tego stwierdzenia te nie powinny dziwić. Nikt nigdy nie prowadził przecież żadnego rejestru członków, nie powstawały też spisy poszczególnych jednostek tej rozległej struktury, rozbudowującej się wszędzie, gdzie tylko pojawiali się ludzie zdolni ją współtworzyć. Zgodnie z ideą ich formowania oraz apelami, publikowanymi na łamach podziemnych wydawnictw, powstawały też czasem bardzo efektywne ogniwa nie powiązane z Solidarnością Walczącą, ale się z nią identyfikujące. Wiele namacalny kontakt z zasadniczą siecią organizacji nawiązywało dopiero po jakimś czasie. Były też takie, które realizowały cele formacji, z którą się utożsamiały, ale bezpośrednio z nią styczności nie miały do samego końca lat osiemdziesiątych. Całe też mnóstwo kręgów podziemia tworzyli ludzie związani z NSZZ Solidarność, Niezależnym Zrzeszeniem Studentów, Solidarnością Wiejską czy organizacjami młodzieżowymi a aktywność swą opierający np. na bazie poligraficznej Solidarności Walczącej. Tak było np. z bardzo wieloma Tajnymi Komitetami Zakładowymi NSZZ Solidarność, wydawanie swoich gazetek zawdzięczającymi często właśnie bliskiemu współdziałaniu z organizacją Kornela Morawieckiego. Wielu łączyło aktywność w Solidarności Walczącej z przynależnością do Konfederacji Polski Niepodległej czy Polskiej Partii Niepodległościowej. Bywało, że konspiratorzy z SW równocześnie działali w kręgach Liberalno-Demokratycznej Partii „Niepodległość” lub innych partii czy związków, stawiających sobie ten sam naczelny cel, którym była pełna wolność i podmiotowość naszej ojczyzny, co zarazem oznaczało konieczność przezwyciężenia opresji sowieckiej. Nad „rozgryzieniem” niesłychanie skomplikowanego systemu kontaktów długo i całkowicie bezskutecznie głowiło się Biuro Studiów Ministerstwa Spraw Wewnętrz-

nych. Wszystko wskazuje też na to, że i innym służbom komunistycznego reżimu nie udało się ustalić znacząco więcej. Od momentu, w którym Solidarność Walcząca była już organizacją działającą w wielu miejscach i na dużą skalę, stuprocentowej wiedzy na temat jej wielkości nie miały też same jej gremia przywódcze. W swojej działalności rzadko posługiwały się one bowiem kategoriami liczby członków, ale raczej zakresem możliwości, leżących w dyspozycji poszczególnych ogniw. To głównie z tej przyczyny do dzisiaj pojawiają się dość rozbieżne opinie na temat liczby osób, zaangażowanych w działalność Solidarności Walczącej.

Bardzo wysokie standardy konspiracji, duży stopień autonomii poszczególnych struktur, dynamiczny i zarazem nierównomierny ich rozwój – wszystko to sprawia, że przedstawienie Solidarności Walczącej za pomocą jakiegokolwiek schematu, wykresu czy mapy jest bardzo trudne, o ile całkowicie niemożliwe. Ta jakby amorficzność organizacyjnego ładu, tak utrudniająca dziś pracę badaczom historii, w latach osiemdziesiątych okazywała się być znaczącym atutem. Zwalczający tak skonstruowaną konspirację nie byli bowiem w stanie „po żadnym sznurku dojść do kłębka”. Zaskakiwani byli zdolnością Solidarności Walczącej do błyskawicznego odtwarzania swych zdolności nawet po operacjach represyjnych zakrojonych na największą skalę. Współpracujący z konspiracją kapitan Służby Bezpieczeństwa Marian Charukiewicz podkreśla, że zmagania z organizacją Kornela Morawieckiego przypominały walkę z odradzającymi się i pojawiającymi w niespodziewanych miejscach duchami. A o tym, jak bardzo tej właśnie podziemnej siły się obawiano świadczy i to, że Solidarność Walcząca była jedyną przez komunistyczny reżim zdefiniowaną jako konspiracja o charakterze ofensywnym. Trudno się więc dziwić, że do dziś wiąże się z nią wiele tajemnic. Wielu dotyczących jej historii nigdy bowiem nie opowiedziano, o jakiegokolwiek ich formie dokumentalnej nawet nie wspominając. Skutkiem tego, że do wszelkiego rodzaju badań czy spisywania relacji przystąpiono dość późno, wiele często znaczących faktów popadło w zapomnienie. Wielu też bardzo zasłużonych działaczy odeszło z tego świata, podzieliwszy się wcześniej jedynie werbalnie wyrażonymi, szczątkowymi i w żaden sposób nie utrwalonymi wspomnieniami. Siłą rzeczy nie mają więc one rangi historycznego dokumentu, choć dotyczą faktów, które rzeczywiście miały miejsce. Musiały więc być czyimś dziełem. Niniejsza książka zawiera garść tekstów, w części publikowanych już np. w „Gazecie Obywatelskiej”, pisanych czasem w zamiarze ocalenia pamięci o ludziach i wydarzeniach a czasem w celu postawie-

nia pytania odwołującego się do pamięci uczestników. W konspiracji bywało bowiem tak, że czasem komuś, o kim nie wiedziało się nic, przekazywało się np. jakieś materiały lub sprzęt, po czym kontakt z nim się urywał i cała historia, dotycząca poznanych za pomocą podanego przez kogoś hasła, pozostaje zagadką. A w jej rozwiązaniu nie chodzi przecież tylko o zaspokojenie ciekawości. Nie były to przecież znajomości o charakterze jedynie towarzyskim. Ci wszyscy epizodycznie poznani i nigdy więcej nie spotkani to cząstki historii walki o zrzućenie okowów niewoli. Współtworzyli ruch, dokonujący zmian o randze dziejowej. Po blisko już czterdziestu latach wielu z nich nie ma już wśród żywych. A o to, by o nich przypominano, wiele razy apelował sam Kornel Morawiecki. Podobne apele kierował do tych, których spotkać jeszcze można, ale którzy nigdy nie ujawnili się ze swoją prowadzoną niegdyś działalnością.

Większość zamieszczonych w tym tomie tekstów nie ma pretensji do naukowości. Niektóre powstały jedynie na podstawie wspomnień, w których czasem konieczne jest uciekanie się do trybu przypuszczającego. Mam jednak nadzieję, że choć niektóre z tych historii, czasem mających jedynie charakter przyczynkarski, będą jakimś tropem sprzyjającym pełnemu i precyzyjnemu zrekonstruowaniu różnych wydarzeń, będących częścią historii Solidarności Walczącej i innych zjawisk z zakresu niepodległościowej konspiracji.

Artur Adamski

W maju 2022



SOLIDARNOŚĆ NIEAGENTURALNA

Im większy dystans dzieli nas od przełomowych lat osiemdziesiątych – tym jaskrawiej rysuje się rzeczywisty bieg ówczesnych zdarzeń. Mimo, że reżim oddający władzę swym ugodowym sukcesorom, przy ich milczącej zgodzie puszczał z dymem świadectwa działalności szpiclowego mrowia, dużej części faktów nie dało się ukryć. Coraz więcej z nich wyjaśnia decyzję komunistów, którzy wbrew swym zasadom w sierpniu 1980 zawarli porozumienie ze społeczeństwem, zamiast zgodnie ze swą tradycją – wystać przeciw niemu czołgi.

Po latach Andrzej Gwiazda stwierdza, że gdyby zakładając Wolne Związki Zawodowe Wybrzeża wiedział o rozmiarach agentury tyle, ile wie dziś, zapewne swoją działalność uznałby wtedy za całkowicie beznadziejną. Na szczęście w swoich kalkulacjach mylili się też przeciwnicy. Wiedzieli, że na samych szczytach rodzącego się niezależnego ruchu zainstalowali się agenci SB i innych służb specjalnych PRL – u. Jako rzekoma przeciwwaga dla reżimu błyskawicznie zyskali ogromny społeczny aplauz. Plan komunistów zakładał jednak zapanowanie nad ruchem o znacznie mniejszym rozmiarze. Z punktu widzenia władz okres między sierpniem 1980 a 13 grudnia 1981 był zmaganiem, mającym na celu totalne zinfiltrowanie niezależnych organizacji i wmontowania ich w system. Mimo pospiesznej rozbudowy agentury zadanie to przerosło jednak możliwości służb specjalnych PRL. Wolnościowy ruch skupił miliony i wiele jego ogniw nie dało się opleść ani mackom SB ani też wykonujących tę samą robotę służb wojskowych. Konieczne okazało się użycie czołgów, wprowadzenie stanu wojennego, kolejne lata „pracy nad społeczeństwem”. Tym razem zasadniczych błędów nie popełniono, stare metody w udoskonalonej postaci okazały się skuteczne. Z jednej strony ginęły ofiary „nieznanych sprawców”, z drugiej wyselekcjonowaną elitę kuszą senatorскими fotelami, zawczasu nagłaśniając legendy o jej rzekomym nieprzejednaniu. Uwieńczeniem bezpieczniackiego trudu lat 1981 – 1988 było „porozumienie” przygotowane sto kroć lepiej od tego z roku 1980. Tym razem zawarto je z „niezależnymi” środowiskami, podporządkowanymi służbom już w takim stopniu, że o jakimkol-

wiek wymknęciu się spod ściśle opracowanego scenariusza nie mogło już być mowy. Wprawdzie szerokie kręgi rzeczywistej opozycji były przeciwne porozumieniu tworzącemu nową kastę – wywodzącą się z byłych właścicieli Polski Ludowej, uwłaszczoną na narodowym majątku i usytuowaną poza zasięgiem prawa. Ci, którym taki porządek się nie podobał, nie mieli jednak dostępu do radia, telewizji czy wysokonakładowej prasy. W III RP media te podzielił między siebie niemal bez reszty postkomuniści i ich nowi przyjaciele. Przeciw swym oponentom stworzyli katalog obelg w rodzaju *oszołomy, nienawistnicy* lub *ci, co się nie załapali*. Ostatnie z tych określeń jasno wskazuje, że w formowaniu III RP jej twórcom chodziło właśnie o *załapanie się*, co ma swój wyraz także w beztrójce, z jaką towarzystwo to potrafiło zawłaszczać państwo, zawierając niekorzystne dla niego umowy, dopuszczając się nadużyć i wyprzedawać za bezcen narodowy majątek.

W wywiadzie – rzece z małżeństwem Gwiazdów historia *transformacji ustrojowej* jest tylko jednym z wątków. Książka jest pasjonującą opowieścią, której akcja zaczyna się jeszcze przed wojną. Pierwszą lekcją solidarności dla późniejszego założyciela WZZ – ów było zesłanie na Syberię, dla której mieszkańców otwarte drzwi dla każdego stanowiły powszechny nakaz sumienia. Daleko od Polski rodziła się też świadomość, że jest ona dobrem, które nie jest dane, lecz o które trzeba nieustannie walczyć. Ta walka stała się treścią życia Joanny i Andrzeja Gwiazdów. Toczyli ją długo przed ożywieniem się jakichkolwiek środowisk opozycyjnych a polegała ona np. na przeciwdziałaniu sowieckim działaniom, mającym na celu hamowanie rozwoju naszej gospodarki. Książka opowiada m.in. o mało znanych osiągnięciach polskich konstruktorów i naukowców. Należały do nich jedne z najlepszych na świecie tranzystorów, rakiety osiągające pułap 160 km, nowatorskie komputery, śmigłowce, okręty, silniki odrzutowe... Dzieła te powstawały często w ubogich pracowniach, niejednokrotnie na marginesie całkowicie innych zadań. Ich wykorzystywanie w PRL-u torpedowano a w III RP okazywało się często, że dla inwencji takiej miejsca jest jeszcze mniej, gdyż wraz z licznymi przedsiębiorstwami a nawet całymi gałęziami przemysłu zlikwidowano także ich ośrodki technologiczne.

Ze wspomnień Gwiazdów wyłania się też obraz wydarzeń roku 1968 – diametralnie inny od uparcie lansowanego przez większość mediów a przecież porażający logiką. Z jaką bowiem opozycyjnością mamy do czynienia w przypadku marksizujących *komandosów*? Trójmiasto było najprężniejszym po sto-

licy ośrodkiem marcowych wystąpień, lecz jak twierdzi Gwiazda – o *komandosach* czy Kuroniu i Modzelewskim, cierpiących więzienie za upominanie się w PZPR o *odrodzenie ideologii Marksa*, w Gdańsku słyszeli tylko nieliczni. To, że *jedni czerwoni zamykali drugich* było pokrzepiające a ówczesnych lewicowych elit nie sposób nazwać opozycją. Ich członkowie byli co najwyżej dysydentami. *Spory ideologiczne marksistów traktowaliśmy jako niesnaski w obozie wroga* – stwierdza Andrzej Gwiazda.

Jeden z wątków *Gwiazdozbioru* być może rozwiązuje zagadkę z życia mieszkańców bloku, w którym mieszkałem w latach siedemdziesiątych. Często wtedy wyłączano prąd w całym osiedlu. Kiedy na całej ulicy zapadały ciemności jedynie nasz punktowiec cieszył się nieprzerwaną dostawą energii. Nikt nie domyślał się powodów tego uprzywilejowania a być może mechanizm ten wyjaśnia książka Gwiazdów. W wyniku ich opozycyjnego zaangażowania SB zainstalowała im bowiem podsłuch, zasilany sieciowym prądem. Wyłączenie prądu oznaczałoby równoczesne unieszkodliwienie podsłuchu. Stąd opozycjoniści i ich sąsiedzi mieli w gniazdkach energię także wtedy, kiedy odłączano ją w całej okolicy. W moim wrocławskim bloku mieszkał wówczas infiltrowany przez SB Wiesław Moszczak. Czyżbyśmy to właśnie jego działalności zawdzięczali luksus wieczorów ze światłem?

Największa część książki poświęcona jest jednak nie odległej przeszłości, lecz wydarzeniom ostatnich lat. Trudno nie zgodzić się z analizą, wykazującą de facto oligarchiczny ustrój współczesnej Polski. Wraz ze swymi rozmówcami Remigiusz Okraska prześledził przyczyny pogłębiania się podziału na równych i równiejszych oraz stopniowego zatracania podmiotowości naszego kraju, dokonującego się przy akompaniamencie radosnej propagandy euroentuzjastów.

Gwiazdozbiór podejmuje wielką ilość problemów trudnych, zawiera szereg informacji mało znanych. Liczy pół tysiąca stron, lecz nikogo nie zmęczy lektura tak wciągająca.

Opcja na Prawo, 2009



DLACZEGO UDAŁ SIĘ SIERPIEŃ?

Po długich latach nagłaśniania wersji historii opartej na niszczeniu, „prywatyzowaniu” lub „zabetonowywaniu” archiwów, na zamilczaniu działalności opozycyjnej środowisk nie wywodzących się z partii komunistycznej, na nagłaśnianiu rzekomych zasług dzieci funkcjonariuszy KPP, UB i PPR – coraz częściej przebijają się też świadectwa bohaterów rzeczywistych. Czyli tych, których w III RP skazano na zapomnienie. Należy do nich Andrzej Kołodziej, bez którego wielki narodowy zryw w Sierpniu 1980 zakończył się mógł całkowicie inaczej.

Nikt nie jest już w stanie zaprzeczyć, że Lech Wałęsa ogłosił zakończenie strajku po paru dniach protestu. I jeśli przeciw tej decyzji nie stanęłaby marginalizowana już wtedy grupa zmobilizowana przez Annę Walentynowicz – mowy by nie było o żadnych wolnych związkach zawodowych i jakimkolwiek historycznym przełomie. Bez ludzi takich, jak Anna Walentynowicz czy Andrzej Kołodziej Sierpień 1980 skończyłby się żałosną klęską. Przyniosłoby wyłącznie skonfliktowanie tych zakładów i środowisk, które odważyły się wówczas przystąpić do strajku. Jego przerwanie w Stoczni im. Lenina po zapewnieniu tylko dla tej jednej załogi podwyżek płac i gwarancji bezpieczeństwa oznaczało przecież porzucenie dziesiątek zakładów, które przyłączyły się do Stoczni w imię solidarności. Po decyzji Wałęsy one po prostu musiały poczuć się zdradzone. Zasadne jest tu postawienie pytania: o cóż innego chodzić wtedy mogło w ogłoszeniu tej właśnie decyzji, która w sposób oczywisty przynieść mogła tylko i wyłącznie tak fatalne skutki?

Niewiele więc brakowało, by Sierpień zakończył się podniesieniem zarobków dla jednych i represjami dla innych. Jak dramatyczne i głębokie byłyby wówczas podziały między Polakami? Jak długo trwałby po czymś takim wielki narodowy kac i o ile lat przedłużyłoby to komunistyczne rządy w Polsce?

Z bezcennego świadectwa, jakim są „Gdyńscy Komunardzi” Andrzeja Kołodzieja, dowiadujemy się też o faktycznej roli przybyłych z Warszawy doradców. Czy powstałby niezależny od komunistycznego reżimu związek za-

wodowy, gdyby tych nieszczęsnych, przystanych ze stolicy dziwnych przyby-
szy wtedy posłuchano? Czy Sierpień stałby się wielkim historycznym przełomem,
gdyby mniejsza była zdolność samodzielnego myślenia ludzi takich, jak
Andrzej Kołodziej czy Andrzej Gwiazda?

Dzięki wyjątkowej relacji człowieka, który pod tekstem Porozumień
Sierpniowych podpis swój składał między autografami Lecha Wałęsy i An-
drzeja Gwiazdy możemy sobie także uzmysłowić faktyczne intencje właścicie-
li Polski Ludowej. A przede wszystkim to, jakie one były na przełomie sierpnia
i września 1980. Coraz więcej wskazuje bowiem na to, że komuniści zdecydo-
wali się wtedy podpisać porozumienie w przekonaniu, że prężna agentura roz-
lokowana na szczytach rodzącego się niezależnego ruchu społecznego bę-
dzie w stanie nad nim całkowicie zapanować. Jak się jednak okazało – ruch ten
osiągnął zaskakujący komunistów rozmiar, był zbyt potężny i pomimo nasycy-
nia go agenturą nie dawał sobą sterować. Po kilkunastu miesiącach przygoto-
wań wysłano więc przeciw niemu czołgi. Do drugiego porozumienia, zawarte-
go po kilku latach przy okrągłym stole, reżim doprowadził dopiero wtedy, gdy
miał już całkowitą pewność, że absolutnie nic nie będzie w stanie wymknąć się
spod jego najściślej kontrolowanej ręki.

ANNA WALENTYNOWICZ

Co oznaczał rok 1989? Wg jednych – był to roku przełomu, wg np. prof. Andrzeja Nowaka – roku jedynie „korekty”. Dla bardzo wielu data 4 czerwca kojarzy się nie przede wszystkim z rokiem 1989, ale z 1992. Z tym 4 czerwca, w którym na pytanie odwoływanego po „nocnej zmianie” premiera Jana Olszewskiego brzmiące: „czyja będzie Polska?” – ówczesna sejmowa większość, swym głosowaniem, odpowiedziała de facto opowiedzeniem się za obecnością postkomunistycznych służb w ładzie politycznym, społecznym i gospodarczym Trzeciej Rzeczypospolitej.

Wspomnienie roku 1989 nie będzie więc wspomnieniem faktu, który Polaków mógłby łączyć. Upieranie się przy tej rzekomej, bardzo kontrowersyjnej i powiedzmy sobie wszyscy szczerze – wstydlivej cezurze historii, nie będzie mogło Polaków zbliżyć. Stąd propozycja, by za datę Polaków zbliżającą, wybrać z historii inny, dla wszystkich bez wątpienia doniosły moment. Nie powinien to jednak być żaden fakt późniejszy, gdyż taki nieuchronnie wpisywałby się w nieprawdziwą narrację, niestety wbrew faktom zaakceptowaną już w szerokim świecie. Chodzi o narrację, wg której wolność ludom środkowej i wschodniej Europy przyniósł bohaterski lud Berlina, w listopadzie 1989 roku obalający berliński mur.

Wspomnienie roku 1989 jest więc wspomnieniem doświadczenia, które Polaków dzieli. A pamiętajmy, że Polacy mają w swojej historii wydarzenie, które wszystkich Polaków nie dzieli, lecz łączy. Wydarzenie ważniejsze, ogromnie chwalebne – pamiętny miesiąc masowego współuczestnictwa milionów obywateli naszego kraju, czas wielkiego Sierpniowego, międzyludzkiego zbliżenia. Ten miesiąc to nie tylko niezapomniane przeżycie a dla wielu duchowe przeobrażenie, ale zarazem ogromny ogólnonarodowy, historyczny i niekwestionowany sukces. Chodzi oczywiście o Sierpień roku 1980 i utworzenie związku Solidarność. Świat obiegła wtedy znamienna ilustracja, obrazująca to, co się w Polsce wtedy działo. Ilustracja ta przedstawiała mapę krajów obozu socjalistycznego, na której Polska wrywa się do wolności, po krawę-

dzi jej granic biegną potężne, głębokie pęknięcia. I od tych pęknięć ciągną się mniejsze i większe rysy, kontynuowane przez linie graniczne wszystkich krajów zniewolonych przez komunizm. Ten prosty rysunkowy komunikat, głośny wówczas w szerokim świecie, najtrafniej oddawał prawdę o istocie ówczesnych wydarzeń: w Polsce roku 1980 zaczął się proces ostatecznego rozpadu totalitarnego, sowieckiego systemu. W całym tym procesie, zakończonym Jesienią Narodów roku 1989, najważniejszym akordem był polski Sierpień 1980. Musimy o tym pamiętać, musimy to przypominać i musimy pielęgnować ten fakt, jako wielką wartość. Wartość tym bardziej doniosłą i bezcenną, bo do dziś łączącą się ze wspomnieniami, które ludzi łączą a nie dzielą.

Jeśli mamy też z roku 1980 wybrać postać bez skazy, postać łączącą a nie dzielącą, postać o najdonioślejszym dla Sierpnia znaczeniu, to postacią tą jest przede wszystkim Anna Walentynowicz. Bez Anny Walentynowicz Sierpnia 1980 by nie było. To od Anny Walentynowicz Sierpień 1980 się zaczął, to od niej zaczęła się Solidarność. To od niej zaczął się więc proces zrzucania komunistycznych okowów z Polski i z przeciętej żelazną kurtyną Europy. To ona w sposób zarówno symboliczny, jak i rzeczywisty, zapoczątkowała dzieło kruszenia sowieckiego imperium, które zadziwiło cały świat. Zdumiało zarówno formą, jak i skalą. Nie dokonywało się to furią tłumów i przy kanonadzie wystrzałów, ale potęgą ducha, cywilną odwagą często prostych, ale wielkich ludzi. Najbardziej zmienną postacią tego, w dziejach świata bezprecedensowego ruchu, była Anna Walentynowicz – postać wówczas pokazywana w mediach wszystkich kontynentów: spokojna, milcząca robotnica, często trzymająca w rękach krzyż lub różaniec. Bo takie były polskie „klucze do wolności”.

O Annie Walentynowicz często i jakże trafnie mówi się: Matka Solidarności. Albo też – Anna Solidarność. W istocie – tak właśnie mogłoby brzmieć jej nazwisko. Walentynowicz – znaczyło dokładnie tyle, co Solidarność. Nigdy nie „pchała się na świecznik”. Nie aspirowała do roli przywódcy. Ona – duchowym i rzeczywistym przywódcą po prostu była. Chociaż przede wszystkim była człowiekiem dobra, człowiekiem serca, człowiekiem mrówczej pracy, poświęconej dobru każdego potrzebującego pomocy i zarazem – poświęconej Ojczyźnie. Była jedną z najważniejszych postaci Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża. Niezliczoną ilość razy represjonowana, więziona, szykanowana. W najtrudniejszych czasach, w miesiącach dna beznadziei, ona zawsze wszystkich podnosiła na duchu, nigdy nie traciła wiary. Strach pomyśleć, jak potoczyła się nasza historia, gdyby nie jej w niej rola. Była wielką inspiracją

dla wszystkich, którzy ją spotkali. Była źródłem siły, mimo że sama w ostatnich latach życia była osobą schorowaną i cierpiącą. Nic dla niej nie znaczył bezmiar miotanych w jej kierunku obelg i kłamstw, włącznie z daleko idącymi dążeniami do wykreślenia jej roli, wymazania historycznych zasług, zastąpienia jej jakąś inną, fałszywą legendą. Ona nawet nie reagowała na wszystkie te nikczemne kroki, mające na celu ograbienie jej z jej życiowego dorobku. Bo nie dla sławy, nie dla chwały, nie dla jakichkolwiek, najmniejszych nawet własnych korzyści narażała się na śmierć i o śmierć się ocierała.

Stanowczo zbyt mała jest w Polsce świadomość tego, że Anna Walentynowicz to nie tylko największa z bohaterek Sierpnia 1980. Anna Solidarność to także jedna z największych postaci Solidarności podziemnej. Stała się nią natychmiast, gdy w stanie wojennym dane jej było opuścić więzienie. Wtedy znów, jak w Sierpniu, nie była osobą pchającą się do roli powszechnie znanego przywódcy. Za to badacze historii, dążący do odtworzenia dziejów związkowych i niepodległościowych organizacji, walczących w Polsce lat osiemdziesiątych, co chwilę natykają się na ślady bezliku ówczesnych aktywności Anny Walentynowicz. To ona była inspiracją mnóstwa podziemnych inicjatyw. To ona doprowadziła do spotkania się tych ludzi, których połączone siły zwielokrotniały potem potencjał solidarnościowego podziemia. Zawsze myśląca o bezpieczeństwie i dobru wszystkich, oprócz siebie. Nigdy nie zważająca na pamięć o swojej roli. I zawsze całym życiem oddana Polsce i Polakom.

O Annie Walentynowicz bez cienia wątpliwości powiedzieć można, że to jedna z co najwyżej kilku najbardziej zasłużonych, najbardziej szlachetnych postaci historii Polski drugiej połowy XX wieku. Nie była politykiem. Nie była tytularnym działaczem. A jednak – odegrała rolę kolosalną i rolę wyłącznie jak najlepszą. Jej życie to dowód na to, że można być człowiekiem największego formatu i największych zasług, nie piastując żadnej zinstytucjonalizowanej, formalnej wysokiej funkcji. Byłoby grzechem niewybaczalnym – w sposób należyty nie kultywować pamięci o Annie Walentynowicz. Byłby to grzech nie tyle wobec samej Anny Walentynowicz. Byłby to grzech w stosunku do Polski i byłaby to krzywda, choć może dla wielu nieuświadomiona, ale zadana samym Polakom. Bo nie dość troskliwie pamiętając o tak wielkiej postaci naszej Ojczyzny, każdy Polak takim zaniedbaniem zubażałby sam siebie.



GARŚĆ REFLEKJI W KOLEJNĄ ROCZNICĘ SIERPNI

Solidarność była kolejnym wielkim faktem polskiej historii. Takim, jakiego nikt inny w swoim narodowym czy państwowym dorobku nie miał. Nie było to pierwsze polskie dokonanie wyjątkowe, bezprecedensowe. Naszym dziedzictwem jest przecież wielka tradycja demokratyczna, tradycja republikańska, tradycja nieznanego nigdzie indziej wolności i podmiotowości człowieka. Z kolei w latach II wojny światowej nikt inny nie miał czegoś takiego, jak państwo podziemne. I nikt inny nie stworzył tak wielkiego, nowatorskiego ruchu społecznego, jak Solidarność. Był on propozycją budowy społeczeństwa na zasadzie solidarnych relacji międzyludzkich. A zarazem był ruchem rozsadzającym narzucony połowie świata system totalitarny.

Sierpień 1980 mógł się zdarzyć tylko w Polsce, bo żaden z narodów zniewolonych przez komunizm nie miał takiej tradycji walki o wolność. Żaden też tyle razy nie stawał do otwartej konfrontacji z sowieckim reżimem. Powojenne Powstanie Antykomunistyczne zdławione zostało dopiero po paru latach. W 1956 mieliśmy Powstanie Poznańskie, dwanaście lat później młode pokolenie żądało wolności na ulicach dziesiątek miast. Wystąpienia robotników Wybrzeża w roku 1970 stłumione zostały za pomocą kilku dywizji czołgów. Do kolejnych doszło sześć lat później, kiedy też zaczął się rozwijać wielki niezależny ruch wydawniczy oraz demokratyczna i niepodległościowa opozycja. W końcu lato roku 1980 przyniosło protesty najbardziej masowe, które rozlały się od Bałtyku aż po Tatry. I to był prawdziwy początek końca nie tylko komunizmu w Polsce, ale końca całego sowieckiego imperium.

Każdy kolejny krok polskiej drogi do wolności czerpał doświadczenia z etapów wcześniejszych. Po spontanicznych wystąpieniach Poznania a potem kilku miast Wybrzeża, po protestach studentów czy robotników w końcu przyszedł czas na solidarne, wspólne dzieło wszystkich zakątków kraju, wszystkich środowisk. Jeśli nawet nie wszystkich Polaków – to wielu milionów Polaków.

Pierwszą przyczyną sierpniowego zrywu były powody ekonomiczne. Ale nie chodziło przecież po prostu o to, żeby władze dały podwyżki. Ludzie Sierpnia żądali prawa do rzeczywistych związków zawodowych, prawa do zrzeszania się, prawa do wolności słowa. Ludzie Sierpnia rozumieli, że materialny byt jest nierozzerwalnie związany z podmiotowością człowieka i społeczeństwa. Walczyli więc nie tylko o lepsze życie w wymiarze ekonomicznym, ale też o wolność Polaków i w konsekwencji – o niepodległość Polski.

PRL był krajem zamkniętym. Niewielu Polaków znało kraje Zachodu, stąd mieliśmy bardzo wyidealizowany obraz żyjących w nim społeczeństw. Dziś wiemy, że nigdy one nie miały i dzisiaj też nie mają zielonego pojęcia o tym, czym jest komunizm. Niedawne, zakrojone na wielką skalę i przeprowadzone w wielu krajach badania ankietowe udowodniły, że Europy zza jednej i drugiej strony niegdysiejszej „żelaznej kurtyny” nie łączy poczucie wspólnoty losu. Zachód kontynentu nigdy nie zaznał ani niemieckiego terroru, jaki nas tak potwornie wykrwawił i nigdy nie zrozumiał też, czym jest komunizm. Z tej przyczyny sowiecka agentura bez trudu manipulowała masami w Wielkiej Brytanii wszczynając długotrwałe strajki, we Francji, Niemczech czy Włoszech rozwijając lewackie bojówki, skutecznie upowszechniając modę na marksizm. I tam nadal mało kto rozumie, czym bolszewizm jest. Z tej przyczyny możliwe jest tam dziś stawianie pomników architektom i sprawcom ludobójstwa. To dlatego w Trewirze niedawno stanął gigantyczny pomnik Karola Marksa a w innych miejscach stawiane są pomniki Lenina. I to z tej przyczyny Parlament Europejski, wraz z innymi strukturami Unii Europejskiej, ciągle tętni skompromitowanymi, zbrodniczymi ideologiami.

W 1968 roku Polacy żądali wolności, za co płaćci wyrzuceniem z uczelni, karnym powołaniem do wojska, latami więzienia. W tym samym czasie lewackie rewolty na Zachodzie budowały ołtarze Mao Tse Tungowi czy Ho Chi Minowi, czyli tyranom przekształcającym swoje państwa w obozy koncentracyjne. Ogłupiała część Europy wielbi ludobójców. U nas przynajmniej średnie i starsze pokolenie wie, czym jest totalitaryzm. U nich nie wie tego prawie nikt.

Komunistyczne zniewolenie w dużej mierze polegało na werbowaniu, za pomocą wielkiego katalogu metod, ogromnych ilości tajnych popleczników reżimu. We wschodnich Niemczech co trzeci dorosły był agentem komunistycznej tajnej policji Stasi. W Polsce SB starała się zrobić agenta z każdego księdza, dążąc do tego już na etapie seminarium duchownego. A jednak uda-

to im się pozyskać jedynie 10%. I nawet w tej grupie rzadko była to współpraca gorliwa, często wynikała z tego, że ksiądz np. bardzo chciał zbudować nowy kościół czy choćby wyremontować istniejący. Czasem potrzeba taka była tak oczywista a kapłan tak bardzo wzniesienia tej świątyni pragnął, że w końcu godził się na tę czy inną formę współpracy. Najczęściej jednak się z niej nie wywiązywał. Nawet taki zwerbowany ksiądz najczęściej jako agent był nieprzydatny. Per saldo Kościół jest wielkim moralnym zwycięzcą. Nie podporządkował się obcej Polsce władzy. Przeciwnie – przez wszystkie strasznie trudne lata Polsce i Polakom oddał wprost nieocenione usługi. Bez Kościoła wolnej Polski by nie było. Bo bez Kościoła żadnej Polski by nie było.

Smutna prawda jest taka, że duża część przywódców Solidarności zawodła. Nie była przygotowana na atak ze strony komunistycznego reżimu, nie dała społeczeństwu sensownej oferty działania w warunkach konfrontacji i niestety – część wpisała się w scenariusze napisane przez komunistów.

Pieniądze dla zdelegalizowanej Solidarności płynęły przez jej zagraniczne biuro, działające w Brukseli. A jego dyrektorem był człowiek komunistycznych służb.

Solidarność była największym, w skali całego świata, ruchem społecznym niosącym wolność i budującym nowy ład stosunków społecznych. Jego skala była zbyt wielka, żeby mógł on ulec agenturze, jaką nasycali go komunistyczne służby. Nie dał nad sobą zapanować i dlatego prosowiecki reżim postanowił go pokonać za pomocą czołgów, wprowadzając stan wojenny.

Narody zniewolone przez komunizm Solidarność postrzegały jako fenomen, wielką nadzieję. Przyglądały mu się z niedowierzaniem, śledziły rozwój wypadków, ale były też bombardowane przez propagandę. Solidarność spowodowała jednak pozytywny ferment, którego owocem była Jesień Narodów roku 1989.

Dziś wiemy już na pewno, że Związek Sowiecki nie tylko wykluczał interwencję w Polsce, ale był gotów na pogodzenie się z dość daleko idącymi wolnościowymi przemianami w naszym kraju. O interesy sowieckie zadbał Jaruzelski i jego ludzie. Rodzącą się wolność zdławili, Polskę cofnęli w rozwoju, doprowadzili do jednej z największych fal wychodźstwa w całej historii naszego kraju. Wielkie polskie szanse zostały zniweczone a przynajmniej zatrzymane na bardzo wiele lat.

Komuniści skierowali do Solidarności bardzo liczną agenturę. Za jej pomocą zamierzali nad Solidarnością zapanować. Udało im się to w zbyt ma-

łym stopniu. Niewspółmiernie większe rezultaty przyniosło im kontynuowanie tego proceduru w warunkach stanu wojennego.

Jak się okazało – ta część działaczy Solidarności, która wywodziła się z PZPR-owskiej nomenklatury, szybko znalazła wspólny język ze swoimi niedawnymi towarzyszami. Czasem partia komunistyczna okazywała się dla niektórych bytem bliższym od antykomunistycznej, niepodległościowej opozycji czy związku Solidarność. Komuniści łatwo też przenikali do licznych środowisk opozycji działającej jawnie. Często wystarczyło być kilka razy zatrzymanym przez SB i zyskiwało się rangę powszechnie znanego bohatera. Solidarność Walcząca była całkiem czym innym. Tytaniczną pracę wykonywała działając w konspiracji. By stać się jej członkiem trzeba było być człowiekiem w najwyższym stopniu zaufanym. Z perspektywy komunistów organizacja, w której niemal nie było agentury, musiała być zniszczona, zmarginalizowana. I taki kurs przeciw SW obrali komuniści wraz z tymi, z którymi nawiązali współpracę.

Wiele wskazuje na to, że księdza Jerzego Popiełuszkę, który miał wyjechać do Rzymu gdzie zapewne znalazłby się w bliskim otoczeniu papieża, komuniści starali się zmusić do współpracy. Pomimo tortur na żadną współpracę się nie zgodził. I przede wszystkim dlatego został zamordowany.

Solidarność Walcząca była najbardziej profesjonalną, najpoważniejszą i dla komunistów najgroźniejszą częścią opozycji. To w niej było najwięcej ludzi trzeźwo oceniających sytuację, posiadających rzeczywisty program, dążących do prawdziwych a nie fikcyjnych przemian.

Solidarność Walcząca oddawała ogromne usługi np. Tajnym Komitetom Zakładowym NSZZ Solidarność. Drukowała gazetki setek tych TKZ-ów. Ci, którzy dążyli do ugody z komunistami, zaczęli ją jednak traktować tak samo, jak komuniści. Czyli – przystąpili do jej zwalczania.

Solidarność Walcząca nie otrzymywał żadnej pomocy, płynącej do podziemia kanałami NSZZ Solidarność. Miała własne zagraniczne przedstawicielstwa, na swą działalność wypracowywała też środki prowadząc aktywność np. kolportażowo-wydawniczą.

Solidarność Walcząca w czasach konspiracji była gigantem medialnym – wydawała ponad sto tytułów pracy a jej działalność radiowa była wielokrotnością wszystkich innych, ściganych przez reżim inicjatyw radiowych. Kiedy jednak frakcja okrągłostołowa dostała dostęp do telewizji, oficjalnej radiofonii a jej codzienną gazetę kupić można było w każdym kiosku – Solidarność Walcząca znalazła się w cieniu tak wielkiego aparatu mediów.

Porozumienie z komunistami zawierała tylko część Solidarności, ale ta część otrzymała od nich potężny oręż propagandowy, który wykorzystano do głoszenia, że reprezentuje całą Solidarność i wszystkie cele Solidarności zostały osiągnięte. Tym sposobem mogła skutecznie głosić, że ci, którzy się z tym nie zgadzają, są tylko marginesem. Mało kto wiedział wtedy, że Wałęsa był agentem SB i że wśród zawierających porozumienie z komunistami było wielu takich samych. Kogo agent komunistów tak naprawdę reprezentował zawierając „porozumienie” z komunistami?

Historia zna wiele takich sytuacji, w których pojawia się postać o cechach doskonale wstrzeliwujących się w zapotrzebowanie tłumów. Często postać taka jest zresztą tym tłumom podsuwana. Wspominając lata osiemdziesiąte Anna Walentynowicz zauważała, że Wałęsa miał właśnie te cechy, których miliony robotników wtedy oczekiwały. Bo wyglądał on na kwintesencję takiego „robociarskiego robotnika” po zawodówce, ojca wielodzietnej rodziny, chodzącego w garniturku, manifestującego swą religijność. W Wolnych Związkach Zawodowych Wybrzeża nie było nikogo, kto przez robotników mógłby tak bardzo być postrzegany jako „swój”. Dwudziestoletni Andrzej Kołodziej był za młody, historyk sztuki Zbigniew Borusewicz, który nigdy nigdzie jeszcze w swoim życiu nie pracował, nie nadawał się tym bardziej. Andrzej Gwiazda był inżynierem i do tego spoza stoczni. A Anna Walentynowicz była kobietą, w obronie której zaczęła się cała akcja strajkowa.

W takich pełnych emocji momentach historii rząd dusz przejmuje często ten, kto w odpowiedniej chwili wskoczy na odpowiednią beczkę i wygłaszając płomienną mowę pozyska serca słuchaczy. Wałęsie sprzyjało wszystko. Także to, że przez całe lata osiemdziesiąte prawie nie pokazywano go w telewizji. Dzięki temu mógł uchodzić za mędrca. Kim jest naprawdę przekonaliśmy się dopiero wtedy, kiedy jako prezydent w telewizji mówił dużo. I skutek był taki, że w wyborach z roku 2000 dostał jeden procent głosów.

Stan wojenny był komunistom potrzebny, bo nie zdołali zapanować nad Solidarnością. A 13 grudnia 1981 rozpoczęli proces selekcjonowania i pozyskiwania jej liderów. Niezłomnych eliminowali, pozyskanym budowali legendy. Skutkiem tego w 1989 roku mieli do swej dyspozycji tych rzekomych wykreowanych bohaterów, którym społeczeństwo ufało i którzy firmowali potwornie bolesną ustrojową transformację. Cenę zapłacił za to wielki mit Solidarności. Mit – w najpiękniejszym, najszlachetniejszym słowa tego znaczeniu. Mit naprawdę szlachetny, mit z tych mitów najprawdziwszych, mit zdolny budo-

wać rzeczy wielkie, prawe, godne czci, najlepiej służące najszerszym rzeszom ludzi. Przyjęty model ustrojowej transformacji, pełen nikczemności wołających o pomstę do nieba sprawił, że wielu poczuło się zawiedzionych a nawet oszukanych, nawet skrzywdzonych właśnie przez Solidarność. Komuniści więc upiekli dwie pieczenie na jednym ogniu – z części Solidarności zrobili sobie narzędzie do wykonania najgorszej roboty i to na tej części Solidarności skupili niechęć społeczeństwa. A jego większość dała się przekonać, że winna nie jest wyselekcjonowała przez komunistów część Solidarności, ale cała – wielka, niegdyś dziesięciomilionowa, z którą tak wielu wiązało tak wielkie nadzieje.

Stany Zjednoczone zainteresowane były przede wszystkim „bezpiecznym lądowaniem komunizmu”, zażegnaniem widma wojny atomowej. Obawiały się destabilizacji w Związku Sowieckim i jego otoczeniu. W ślad za „Gazetą Wyborczą”, histeryzującą na temat zagrożenia jakimś nacjonalizmem, które w Polsce niemal w ogóle się nie ujawniły, Amerykanie woleli postawić na Jaruzelskiego niż na prawdziwy wybór Polaków. Okrągłostołowa część Solidarności głośno już wtedy przecież mówiła, że Polacy to w dużej mierze groźny nacjonałiści, których wybór może być zły. Była to oczywiście wyszana z palca bzdura. Nie jedyna, która Polsce szkodziła i szkodzi nadal.

Wyselekcjonowana przez komunistów część Solidarności, skutecznie przedstawiona Polakom jako jej całość, posłużyła do przeforsowania przemian złych dla Polski i Polaków, ale bardzo korzystnych dla komunistów i dla obcego kapitału. Niegdyśiejsi właściciele Polski Ludowej mieli poparcie zagranicznego wielkiego biznesu, któremu tanio sprzedali dużą część majątku narodowego. Sami przeobrazili się w elitę finansową Polski a w następstwie społecznego rozczarowania Solidarnością w demokratycznych wyborach szybko powrócili do władzy. I władzę tę otrzymywali teraz nie z rąk sowieckiego imperium, ale z rąk wyborczej większości Polaków.

Pod koniec lat osiemdziesiątych komuniści wiedzieli, że gospodarka się wali. Czyli że kolejna fala społecznych wystąpień może mieć już rozmiar tak wielki, że władzę tę ostatecznie zmiecie z politycznej sceny. Zarazem w 1988 roku przetoczyły się przez Polskę dwie fale strajków, z którymi absolutnie nic wspólnego nie mieli ani Wałęsa ani też żaden Frasyniuk, Bujak, Kuroń czy Michnik. Do głosu dochodziło nowe pokolenie, wydarzenia zaczęły się toczyć bez starych liderów. Zarówno dla ludzi takich, jak Wałęsa czy Frasyniuk, jak i dla komunistów stawało się jasne, że powinni usiąść do rozmów i porozumieć się póki jeszcze ich głos w Polsce cokolwiek znaczy. Strajkujący w sierpniu

1988 nie chcieli już słuchać Wałęsy. Jego czas mijał, było to oczywiste i dla niego i dla komunistów a to ich wszystkich popychało do szybkich działań.

Żaden kraj nie udzielał narodowi żydowskiego tak wielkiego i długotrwałego wsparcie, jakie przez wieki dawała mu Polska. W średniowieczu była jedynym ich azylem, skutkiem czego przez długie stulecia większość Żydów mieszkała u nas, ciesząc się podmiotowością i przywilejami nie mniejszymi od szlacheckich, nietykalnością, możliwością rozwoju kulturalnego, ekonomicznego i każdego innego. W okresie międzywojennym Żydom dążącym do utworzenia własnego państwa też nikt nie udzielał pomocy tak dużej, jaką udzielała Polska. II Rzeczpospolita szkoliła, wyposażała, uzbrajała dziesiątki tysięcy żołnierzy przyszłej izraelskiej armii, narażając się przy tym na poważne konsekwencje polityczne. Działania te trzeba było ukrywać nie tylko przed Arabami, ale też przed Wielką Brytanią, kontrolującą Bliski Wschód i sprzeciwiającą się żydowskiemu osadnictwu. Operacja MOST może więc wyglądać na dalszy ciąg odwiecznego wspierania przez Polskę Żydów i Izraela, choć tym razem zorganizowana była przez służby postkomunistyczne, oznaczała dla Polski ogromne koszty i przyniosła jej wielkie szkody. Nikt też za nią nam nie podziękował, ale do permanentnej czarnej niewdzięczności Żydów i Izraela dawno powinniśmy się przyzwyczaić. I oczywiście wyciągać z tego wreszcie wnioski. Solidarność jest obowiązkiem, ale obowiązuje też porządek miłosierdzia, który też jest cnotą. I to – nie mniejszą.

W latach osiemdziesiątych wśród Polaków panowało skrajnie wyidealizowane, zupełnie nierealistyczne wyobrażenie Zachodu jako części świata rzekomo mającej kierować się wysokimi standardami przyzwoitości. A bankrutujący PRL-u, z maksymalną bezwzględnością, postanowił wykorzystać dla swoich interesów. I maksymalnie też wykorzystał polską naiwność – co tylko się dało kupował najtaniej, jak tylko się dało a wszystko, co mogło stanowić dla niego konkurencję starał się zlikwidować. Byliśmy postrzegani jako rynek zbytu, zaplecze surowcowe, rezerwar taniej siły roboczej. Polityce takiej bardzo sprzyjały takie nieszczęścia, jak Balcerowicz, który głosił wprost, że nie jest ważne, kto jest właścicielem, bo żyć trzeba z pracy. Owszem, pracować trzeba, ale takie postawienie sprawy nie jest niczym innym, jak sprowadzaniem Polaków do roli parobków. W bogatych krajach praca przecież nie jest jedynym źródłem ich dobrobytu. Zamożne społeczeństwa ogromne zyski czerpią z posiadanej własności, z kapitału. A tego od 1989 roku pozbywaliśmy się błyskawicznie i często za psie pieniądze.

Szukanie zagranicznych patronów, myślenie wg hasła „ulica i zagranica”, wiązanie nadziei z obcymi patronami, rozgrywanie wewnętrznych sporów za pomocą zewnętrznych protektorów – wszystkie te zjawiska mają niestety w Polsce długą tradycję. W XVIII w. doprowadziło to już do utraty niepodległości. W ostatnich stuleciach dużą część pokoleń nauczano, że niepodległe państwo nie jest wartością. Dziś też nierzadko słyszymy, że Polska to coś w rodzaju województwa w Unii Europejskiej. Równocześnie upowszechniane są „mądrości” w rodzaju „polskość to nienormalność” wraz z permanentną pedagogiką wstydu. Zupełnie tak, jak w czasach zaborów, kiedy obcy władcy na setki sposobów namawiali Polaków do wyzbycia się polskiej tożsamości. Ogromna część środowisk definiowanych jako elitarne, ma mentalność postkomunistyczną. Czyli podobną do niewolniczej. Wielka część działających w Polsce mediów należy do zagranicznych koncernów. I to z tej „zagranicy”, która przyjazna Polsce nie był a nigdy. Trzeba być dużo bardziej, niż naiwnym, żeby liczyć na to, że obce media służyć będą polskiemu interesowi narodowemu, polskiej polityce historycznej czy po prostu – polskiemu punktowi widzenia.

W 1989 roku w RFN bardzo często podkreślano, że „Mur Berliński został podkopany w Polsce”. Jednak Polska, która do kontraktowych wyborów z czerwca 1989 była niekwestionowanym liderem przemian, już w trakcie tych wyborów przesunęła się na koniec ogona wydarzeń oznaczających rozpad systemu sowieckiego. Przecież prawie równocześnie z wyborem na prezydenta Jaruzelskiego Czesi i Słowacy na swojego prezydenta wybrali sobie Václava Havla. Prawdziwie wolne wybory mieliśmy jako jedni z ostatnich. Byliśmy też jednym z ostatnich krajów Europy, w których działała cenzura i postkomunistyczne służby specjalne. Armia sowiecka też od nas wyjechała najpóźniej. Pozycję lidera przemian straciliśmy na życzenie tych, którzy w 1989 roku doszli do władzy. A potem nawet Niemcy potrafili nakręcić znany na całym świecie film „Życie na podsłuchu”. A żaden o walce solidarnościowego podziemia nie powstał do dzisiaj. O oporze stawianym komunizmowi kręcą filmy kinematografie narodów, które tego oporu nie stawiały. A nie powstają takie filmy w Polsce, ojczyźnie dziesięciomilionowej Solidarności. Nie powstają one w Polsce, w której sam tylko podziemny Wrocław drukował kilka razy więcej niezależnych wydawnictw, niż cały samizdat, działający poza polskimi granicami, od Kuby i Łaby po Sachalin i Wyspy Kurylskie.

Stanowczo zbyt słabo są w Polsce pielęgnowane polskie dokonania. Zwalczanie pamięci o polskim wkładzie w obalenie komunizmu przejawia się

nawet żądaniem zlikwidowania Instytutu Pamięci Narodowej. Powstały filmy o sympatycznych ubekach, w rodzaju „Psów” czy „Psów II”. A gdzie filmy o ludziach podziemia? W efekcie zasługi przypisują sobie inni. Dopiero od 2015 roku w Polsce coś w tym zakresie się zmienia. Są pierwsze owoce Funduszu Patriotycznego czy Instytutu Dziedzictwa Solidarności, powraca tematyka historyczna w kinematografii, otwierane są muzea takie, jak Muzeum II Wojny Światowej. Do nadrobienia jest jednak jeszcze ogromnie wiele. I te potworne zaległości nadrobić musimy koniecznie, bo jak słusznie mówił nasz wielki poeta „żaden kraj nie ma historii tak pięknej, jak nasz”. Nasze dziedzictwo to niewyczerpany skarbiec wspaniałych postaci i chwalebnych wydarzeń. Byłoby niewybaczalnym grzechem, gdybyśmy temu skarbowi nie poświęcili należytej troski.



PRÓBA BILANSU W ROCZNICĘ KONTRAKTOWYCH WYBORÓW

Uwieńczone upadkiem komunizmu i odzyskaniem niepodległości wydarzenia roku 1989 nie są oceniane jednoznacznie. Krytykujący ówczesne przemiany wskazują, że polegały one także na uprzywilejowaniu ludzi dawnego reżimu. Trudno też jednoznacznie wskazać moment, w którym historyczny przełom nastąpił. Mieliśmy bowiem do czynienia z procesem trwającym być może nawet dłużej, niż dekadę. 4 czerwca 1989 wymieniany bywa jako data symboliczna, gdyż to wtedy odbyły się pierwsze po II wojnie światowej „częściowo wolne” wybory do polskiego parlamentu. Ta „częściowa wolność” polegała na tym, że dwie trzecie miejsc w Sejmie, bez względu na wolę wyborców, okrągłostołowy kontrakt zarezerwował dla przedstawicieli partii komunistycznej i jej satelitów. Aktem głosowania zwolennicy Komitetu Obywatelskiego Solidarność zdobyli jednak dla swoich przedstawicieli co do jednego wszystkie niezarezerwowane miejsca w Sejmie. PZPR zachowałaby swą zagwarantowaną umowami okrągłego stołu przewagę, gdyby nie wolta jej partii sojusznicy. Dwa miesiące po wyborach Zjednoczone Stronnictwo Ludowe i Stronnictwo Demokratyczne zdecydowały się bowiem na śmiały krok – uniezależniły się od dominującej dotąd partii komunistycznej i razem z posłami Solidarności stworzyły parlamentarną większość. Dzięki temu mógł powstać pierwszy w naszej części Europy od dawna niekomunistyczny rząd.

Wydarzenia, symbolicznie kojarzone z 4 czerwca 1989, uruchomiły lawinę, jakiej nie spodziewali się najwięksi optymiści. Zwycięski pochód wolności w Polsce ośmielił Litwinów, Łotyszy i Estończyków. W sierpniu 1989 utworzyli oni ciągnący się przez całą szerokość ich krajów łańcuch ludzi trzymających się za ręce w geście solidarnego żądania niepodległości. Pod naporem wolnościowych dążeń proces gruntownych reform ruszył na Węgrzech. Demonstrantami wypełniły się miasta Czechosłowacji, której rząd zaczął tracić poparcie nawet własnej armii, w wyniku czego wolał podać się do dymisji. Najbardziej spektakularny przebieg miały wydarzenia w NRD, którego miasta załamywały nagle nieprzebrane tłumy. W efekcie runęła granica między częścią Berlina należącą do „obozu socjalistycznego” a tą przynależną do świata zachodniego. Największe niemieckie gazety głosiły wtedy jednoznacznie, że „Mur Berliński zaczął się walić w Polsce”. Dla wszystkich było bowiem jasne, kto dla wyzw-

lenia świata z komunizmu zrobił najwięcej i komu przede wszystkim zawdzięczać należy wolność.

Co z tego wszystkiego dziś mamy? Starsi niech sobie przypomną a młodzi niech sobie wyobrażą ustrój, w którym nie wolno założyć żadnego stowarzyszenia, partii politycznej, ani też prowadzić własnej działalności gospodarczej. Czytać, oglądać i słuchać wolno tylko to, na co pozwoli cenzura. O legalnym wydawaniu choćby najmniejszej własnej gazetki nie ma mowy. Za redagowanie, drukowanie czy kolportowanie nielegalnej – idzie się do więzienia. Większość ścieżek kariery – wyłącznie dla członków partii komunistycznej. Dzieci w szkołach – uczone zakłamej historii i wkuwające na pamięć wierszyki będące apoteozą największych zbrodniarzy w dziejach świata. Sklepy natomiast wypełnione są kilkoma szarymi produktami na krzyż oraz tłumem koczującym w kolejkach nawet całą noc, w nadziei, że „coś dowiozą”. Szansa na zobaczenie innego świata – znikoma. Paszporty dostają szczęśliwcy a jeśli nawet – na krótko i z prawem wjazdu tylko do niektórych krajów. Do tego to, co boli najbardziej – ojczyzna rządzona przez ludzi wyznaczonych w Moskwie, panoszenie się obcego wojska i ukrywanie przed dziećmi historii własnej rodziny. Jeśli bowiem dziadek zginął w Katyniu, albo walczył w oddziałach nie godzących się z narzuconym Polsce reżimem – to wiedza taka może dziecku bardzo zaszkodzić. Stąd w najlepszej wierze okłamuje się własnych bliskich a to tylko jeden z całej serii ciągłych wyborów między większym a mniejszym złem, brnięcie w kłamstwa, wikłanie się w dwuznaczne, moralne kompromisy...

Rok 1989 nie przyniósł nam manny z nieba. Dla wielu oznaczał popadnięcie w jeszcze większą biedę. Od tamtego czasu mamy jednak zakres wolności, o jakim co najwyżej pomarzyć mogły poprzedzające nas pokolenia. Często nie jesteśmy zadowoleni z naszych postów, rozczarowują nas kolejne rządy. Brakuje na scenie politycznej mężów stanu, kreślących dalekosiężną wizję naszej przyszłości, zamiast skupiać się na perspektywie najbliższych wyborów. Lecz przecież to są ci, których sami wybraliśmy a nie jak ci z lat PRL – u „przywiezieni w teczce”, spakowanej przez towarzysza Breżniewa. W minionym dwudziestolecu na pewno można było osiągnąć więcej. O perturbacjach naszej gospodarki można by tomy pisać. Jej przebudowie towarzyszyły liczne błędy i nadużycia. Byliśmy jednak pierwszymi, którzy ekonomię centralnie sterowaną przekształcili w wolnorynkową. To prawda, że nie jedną firmę zmarnowano w wyniku przestępstw lub nieudolności. Bez prywatyzacji, restrukturyzacji, często także kosztownego przebranżowienia – setki wiel-

kich przedsiębiorstw w ogóle przestałyby istnieć. W 1989 „właściciele Polski Ludowej” w miarę chętnie pozbywali się władzy przede wszystkim z jednego powodu. Rolnictwo, przemysł, handel osiągały stan ostatecznej klęski. Towarzysze z PZPR widzieli już na horyzoncie katastrofę, po której gniew zdesperowanego ludu zmiecie ich z powierzchni ziemi.

Większy zakres wolności zawsze oznacza też większy stopień odpowiedzialności za swój własny los. Ogromna część Polaków „egzamin z życia w wolnym kraju” zdała świetnie. W pierwszym roku reformy ustrojowej dwa miliony naszych rodaków zdecydowały się na ryzyko indywidualnej działalności gospodarczej. Najczęściej z bardzo skromnym kapitałem, ale z inwencją, wytrwałością, gotowością do ciężkiej pracy – od podstaw budowały firmy, które przeobraziły ekonomiczny krajobraz naszego kraju. Gospodarkę permanentnych niedoborów, w których sprzedawał się każdy bubel, zastąpiły realia ostrej konkurencji, wymuszającej obniżanie cen, ciągłe podnoszenie jakości i wzbogacanie oferty. Najskromniejszy z dzisiejszych sklepów dla mieszkańca Polski Ludowej były rogiem obfitości, w dużej części wypełnionym całkowicie nieznanymi w tamtej epoce dobrami. Złotówka stała się walutą wymienną. Nie jest dziś tak mocna, jak przed rokiem, lecz może warto pamiętać, że w 1989 w pierwszych kantorach za średnią miesięczną pensję mogliśmy otrzymać... 15 dolarów! Jeśli więc zestawimy nasze dzisiejsze położenie z tym sprzed dwudziestu lat – bez wątpienia docenimy wagę ówczesnego przełomu.

Portal Solidarności Walczącej, czerwiec 2009



WSPOMNIENIE Z PRL-U

Mieszkaliśmy sobie we czworo w trzydziestometrowym, klasycznym gomułkowskim „mieszkanku” z ślepą kuchnią. Wszystko jednak w nim było dowodem optymizmu. Rodzice byli tak pewni tego, że wkrótce dostaną przydział na większe mieszkanie, że całą naszą życiową przestrzeń wypełniali dywanami, meblami i innymi sprzętami, przeznaczonymi już dla tego, docelowego M-4, które każdej czteroosobowej rodzinie obywateli PRL-u się podobno należało. Czekali na nie 20 lat. Ja się nie doczekałem – wyprowadziłem się, zakładając własną rodzinę.

O tym, że cały PRL jest jednym wielkim placem budowy i że każdego dnia tysiące kolejnych rodzin dostają od władzy ludowej nowe, piękne mieszkania – codziennie informował niezawodny „Dziennik Telewizyjny”. Z niego dowiadywaliśmy się też bez końca, że PRL to dziesiąta potęga gospodarcza świata. I że wcale to nie jest jeszcze ostatnie słowo PRL-u, gdyż cały świat kapitalistyczny wisi już na ostatnich nitkach, skręca się w konwulsjach i że wkrótce na pewno runie, gdyż wszyscy świadomi obywatele Zachodu też przecież z całych serc pragną mieć u siebie taki PRL, jak nasz.

I rzeczywiście – PRL stale się rozwijał. Zaczął np. produkować pralki automatyczne. Rodzice koczowali pod sklepem bite siedem dni i nocy, by taką sobie kupić. Okazało się jednak, że zamiast pralek „rzucili” telewizory. Szkoda było tygodniowego koczowania, więc wzięli to, co „rzucili” – potwornie ciężki, sowiecki telewizor kolorowy. Ścisłej rzecz biorąc po jakimś czasie kolory się zredukowały do dwóch – zielonego i białego, ale to i tak był „dziki szpan”, gdyż niemal wszyscy wokół mieli tylko czarno – białe a u nas – jednak jakiś inny kolor! Wymarzoną pralkę rodzice kupili sobie dopiero w latach dziewięćdziesiątych. Wcześniej władze pralek im „nie rzucili”

Pojęcie „rzucania” było w PRL – u bardzo powszechne i zawsze elektryzujące. Nie mówiło się, że „można coś kupić”, lecz że „oni rzucili”. Np. – do pustych zwykle sklepów „oni rzucili” jakieś produkty. Lotem błyskawicy roznosiły się więc takie sensacje, że na Ruskiej „rzucili papier toaletowy” a do „Fenixsa” buty lub chińskie gumki. Kiedy do sklepu na Oławskiej „rzucili magnetofony” – tłumy ruszyły nawet z najodleglejszych dzielnic. Po „rzuceniu” soczków dla dzieci na Solnym – oblężenie sklepu trwało trzy dni. To znaczy – socz-

ki skończyły się po godzinie, ale ktoś miał „przecieki”, że „jutro też rzuca”, więc ludzie oblegali sklep dalej.

Wraz z rozwojem PRL-u rozwijały się różne „przejściowe trudności” Np. władza przestała „rzucać” do sklepów szampony do włosów. Obywatele PRL-u potrafili jednak sobie radzić. Np. mój tato był chemikiem, więc zaczął w wannie wyrabiać substytut tego produktu (na bazie mydlanych resztek i jakichś tajemnych wtedy dla mnie odczynników). Dziś ja i mój brat mamy na głowach lśniące łysiny. Czy zawdzięczamy to nadmiarowi testosteronu, czy tatowemu wynalazkowi – nie wiem.

Trudno się też było często połapać w PRL-owskiej edukacji. W szkole uczyli, że 17 września 1939 Związek Radziecki zajął swoje tereny, niesłusznie zajmowane wtedy przez Polskę. W książkach stało też, że żołnierze walczący z Hitlerem byli dobrzy. Ale kiedy brat mojego dziadka, który walczył nad Bzurą a potem pod Kockiem, po czym dostał się do radzieckiej niewoli, chciał się zapisać do Związku Bojowników o Wolność i Demokrację, to mu powiedzieli, że „takich tu nie chcą”. Bo skoro do radzieckiej niewoli się dostał to znaczyło, że był na wczasach a nie na żadnej wojnie, czy w niewoli. Dokładnie tak mu ci panowie ze ZBOWiD-u powiedzieli, co potem wujek często powtarzał. Tymczasem sąsiad wujka, który na żadnej wojnie nigdy nie był, tylko służył w milicji, nie tylko był jakimś prezesem w tym samym związku bojowników, ale też dostawał co roku nowy medal i miał prawo kupować sobie w sklepie tak dobrze zaopatrzonemu, że inni obywatele PRL-u nawet by nie uwierzyli, że tyle dóbr wszelakich w ich całej ojczyźnie wtedy się znajduje. No ale im nie wolno było nawet do takiego sklepu wejść. Sklep taki był we Wrocławiu np. przy ul. Kościuszki, koło gmachów milicji. Parę razy próbowałem do niego wejść. Nie, żeby coś kupić, bo i tak mi nie było wolno, ale tak z ciekawości. Za każdym razem umundurowany portier zagradzał mi drogę już w przedsionku. Z kolejnych prób zrezygnowałem po tym, jak zagroził, że następnym razem zostaną za to zamknięty w poprawczaku.

Tak...Mam dużo wspomnień z PRL-u. Takich, które chyba trochę wyjaśniają, z jakiej przyczyny część ludzi, którzy w nim żyli, postanowiła sypać piach w tryby jego odrażającej, totalitarnej maszyny. Dla tych, którzy go nie zaznali, może on się w swoim absurdzie wydawać nawet atrakcyjny. Ja jednak nawet najgorszemu wrogowi nie życzyłbym zaznania wegetacji w ówczesnym syfie. Takie mocne słowo musi tu niestety paść. Bo PRL – to był jeden, wielki, ekonomiczny, estetyczny i moralny – syf. Zdarzały się w nim sytuacje weso-

te, są i miłe wspomnienia. W końcu – to było nasze dzieciństwo. Ale niech ten obrzydliwy koszmar nie wraca nigdy więcej. Niech ta przekłeta epoka totalitarnego, zgnębiającego, wypełnionego beznadzieją PRL-owskiego syfu nie wraca nigdy więcej. Never more PRL!!!



POLSKA TO COŚ ABSOLUTNIE NADZWYCZAJNEGO

Wspomnienie o Krzysztofie Gulbinowiczu

Ponad 30 lat temu, przedstawiając mi Krzyśka, Kornel Morawiecki powiedział o nim „wielki erudyta i całkowity samouk!”

Krzysztof Gulbinowicz urodził się w 1956 roku we Wrocławiu. Dużą część dzieciństwa spędził mieszkając przy ul. Drukarskiej (przed wojną Gutenberga), co w jego przypadku okazało się swoistą przepowiednią.

WOLNOŚĆ DROŻSZA NIŻ ŻYCIE

Był skrajnym przypadkiem osoby chodzącej swoimi własnymi ścieżkami. Po ukończeniu podstawówki dostał się do najbardziej wówczas prestiżowego i obleganego, przez wielu wymarzonego technikum samochodowego. Odszedł z niego po kilku dniach. Jednym z bezwzględnych wymogów było w nim bowiem chodzenie w garniturach. Stanowiły wówczas obowiązkowy mundurak wielu szkół średnich a dla Krzyśka było to niemożliwe do zniesienia. Po jakimś czasie, dość przypadkowo, trafił do zawodowej szkoły drukarskiej, po ukończeniu której krótko pracował w zakładach poligraficznych. Celem uniknięcia służby wojskowej postanowił zostać strażakiem. Gaszeniem pożarów zajmował się do czerwca 1976. Wraz z wybuchem robotniczych protestów (we Wrocławiu strajkował m.in. Pilmet a w Wałbrzychu górniczy) pojawiły się informacje, wg których straż pożarna mogła być skierowana do walki z demonstrantami. Perspektywa stanięcia przeciw walczącym z komunizmem była dla Krzyśka tak odrażająca, że natychmiast porzucił służbę i postanowił zaszyć się w Bieszczadach. Od lat związany był z ruchem hipisowskim, bywał w lasach pod Tarnicą i Chryszczatą. Wśród ciągnących tam ludzi, preferujących życie z dala od cywilizacji, słynął jako zdolny budowniczy domków, w których możliwe było przetrwanie wielu miesięcy. Często jednak budowie te padały ofiarą milicji, nękającej bieszczadzkich hipisów prostą metodą: wyprowadzenie z leśnego domku, który następnie zostawał obłany butelką nafty i podpалony, po 48 godzinach nie było dokąd wracać. Krzysiek należał do tych, dzięki którym wracać było dokąd. Ciągłe budował nowe domki, często ukryte i zamaskowane. Środki dające szansę przeżycia zarabiał pracując przy wypalaniu węgla drzewnego, pomagając przy pracach rolnych i leśnych. Od najmłod-

szych lat uwielbiał książki, w Bieszczadach przeczytał wszystko, co dało się znaleźć w wiejskich bibliotekach.

DRUGI OBIEG – IMPULS NOWEGO ŻYCIA

Przełomem w życiu Krzyśka było pojawienie się niezależnych wydawnictw. W ich działalność zaangażował się jego brat i kilkoro przyjaciół. Wrócił więc do Wrocławia, gdzie jego drukarskie kwalifikacje okazały się bezcenne. Powielanie gazetek, ukazujących się poza zasięgiem cenzury, stało się jego pasją i powołaniem. Drukował dniami i nocami nie dbając o to, czy ma gdzie spać i co jeść. W najmniejszym stopniu nie zniechęcało go to, że czasem co kilka dni zatrzymuje go milicja albo SB. Natychmiast po wyjściu z aresztu znów brał się za odtwarzanie drukarskiego warsztatu i nowe gazetki powielał rękami jeszcze sinymi od milicyjnych pałek. W 1979 roku poznał się z Kornelem Morawieckim, który jasno stwierdził, że chce drukowania na wielką skalę, dobrze zorganizowanego i tym samym odpornego na działania Służby Bezpieczeństwa. Proponowane rygory były czymś Krzyśkowi organicznie obcym. Być może jednak po raz pierwszy w życiu doszedł wtedy do wniosku, że spotyka się z człowiekiem, któremu warto się podporządkować. Narzucone przez Morawieckiego reguły uznał bowiem za szansę budowy ruchu wydawniczego na skalę, o której sam marzył. Wraz z regularnym drukiem „Biuletynu Dolnośląskiego” porządek zagościł też w życiu Krzysztofa. Zarazem w Kornelu znalazł bliskiego sobie rozmówcę. Dyskutowali o filozofii, historii, literaturze, polityce. Któryś razem Morawiecki powiedział: „Napisz o tym”. Krótco później na łamach „Biuletynu Dolnośląskiego” zaczęły się pojawiać artykuły podpisywane pseudonimami „Pytia”, „Młody Robotnik”, „Józef Ziuk”. Wraz z powstaniem Solidarności Krzysztof zaangażował się w tworzenie związkowej poligrafii. Organizował szkolenia drukarskie dla struktur zakładowych, powielał gazetki Zarządu Regionu, pisał już nie tylko artykuły, ale i opowiadania.

„TANKI I BANKI”

Ojciec Krzysztofa pochodził z północno-wschodnich Kresów. Należał do tych, którzy cudem uszli machinie sowieckiego ludobójstwa. Część rodziny została wymordowana, jednym ze wspomnień była głodowa śmierć na Syberii wszystkich siostrzeńców i siostrzenic. W 1981 roku Krzysiek zapytał ojca, co myśli o zachodzących w Polsce wydarzeniach. Po chwili usłyszał odpowiedź: „Jeśli komuniści pozwalają na to, co się dzieje to znaczy, że mają pewność swego panowania nad tą sytuacją. Ale jeśli dojdą do wniosku, że przestają ją

kontrolować, po prostu będą zabijać. I nie zawahają się zabić każdego, kto się im nie podporządkuje”. Wprowadzenie stanu wojennego ani nie było więc dla Krzysztofa zaskoczeniem ani nie miał on wątpliwości, co ono oznacza. Wiedział, gdzie może się przydać najbardziej – na wiele miesięcy jedna z podziemnych drukarni stał się jego jedynym domem. Pisał artykuły dla „Z Dnia na Dzień”, „Solidarności Dolnośląskiej”, „Wiadomości Bieżących” i innych pism. Po utworzeniu Solidarności Walczącej natychmiast znalazł się w jej szeregach. Szukając nowych form działalności włączył się m.in. w tworzenie Agencji Fotograficznej SW. Należał do tych, którym z powodu zaangażowania w konspirację zalecano unikanie uczestnictwa w demonstracjach. Po roku tkwienia w głębokim podziemiu nie potrafił sobie jednak odmówić wykrzyczenia swych poglądów wprost na ulicy. Zachowywał się wtedy jednak inaczej, niż większość demonstrantów. W czasie ataku zmasowanych oddziałów ZOMO większość uciekała. Krzysiek natomiast uważał, że jest Polakiem żyjącym w swoim kraju i nie powinien umykać przed funkcjonariuszami okupanta. Bo to przecież on jest tu u siebie a oni – są obcy. Padał pod ciosami pałek i milicyjnych buciorów, ociekał krwią, gdy był wleczony do milicyjnej budy i trafił do aresztu. Po wyjściu na wolność – znów drukowanie, pisanie dla podziemnej prasy, demonstrowanie. W „Biuletynie Dolnośląskim” zamieszczał coraz więcej opowiadań. Zawsze były zapisem znamienych, historycznych wydarzeń. Pisarski styl Krzysztofa polegał na wielkiej oszczędności słowa. Podejmował temat komunistycznych zbrodni, zsyłek na Syberię, ale nie wyrażał emocji. Uważał, że powinny się pojawiać wyłącznie jako osobiste doświadczenie czytelnika. Jeden z jego poglądów na literaturę brzmiał: „w utworze nie powinno być ani jednego słowa za dużo”.

Przed drugą pielgrzymką ojca świętego Jana Pawła II do ojczyzny wyjaśniła się zbieżność nazwisk Krzyśka i kardynała Henryka Gulbinowicza. Spotkanie z metropolitą wrocławskim miało na celu przekazanie daru dla papieża od dolnośląskiej Solidarności. Darem tym była rzeźba w węglu, wykonana przez brata Krzysztofa. Arcybiskup zapytał wtedy o pochodzenie przodków po mieczu. Okazało się, że zarówno pradziadkowie konspiratorów, jak i duchownego pochodzą z tych samych okolic i zapewne mają wspólnych przodków.

W 1986 roku po raz nie wiadomo który został zatrzymany przez SB. Wydarzenie to miało jednak charakter na tyle odmienny od wcześniejszych, że utrwalił je w jednym ze swoich opowiadań. Został wtedy doprowadzony do gabinetu jednego z wyższych oficerów SB. Okazało się, że zamiast przesłuchiwać

to on chce, żeby Krzysztof go wysłuchał. Oficer wyraził przypuszczenie, że jakiś czas po wyjściu z aresztu Krzysiek spotka się z Kornelem Morawieckim. Zaproponował przekazanie przewodniczącemu Solidarności Walczącej poglądu, wg którego realia się zmieniają i niewykluczone, że już w najbliższych latach owocem porozumienia obecnych przeciwników będzie mogła być Polska z dużym zakresem praw obywatelskich, w tym nawet legalnym działaniem organizacji zdeklarowanych jako opozycyjne. Esbek wyrażał przekonanie, że na określonych warunkach większość przeciwników ustroju weźmie udział we wspólnym budowaniu tego nowego ładu. I od decyzji Solidarności Walczącej zależy, czy w tej przyszłej Polsce też będzie miała ona swoje miejsce. Krzysztof odpowiedział wtedy, że są wartości, których nie wolno poświęcić dla żadnego politycznego celu. Oficer odpowiedział na to uśmiechem i słowami, z których dwa najbardziej znamienne posłużyły potem Krzysztofowi jako tytuł jednego z jego najbardziej znanych opowiadań: „Na tym świecie o wszystkim decydują tanki i banki. O dniu dzisiejszym przesądziły tanki a o jutrze rozstrzygnąć mogą – banki”. Ku zdumieniu Krzysztofa, spodziewającego się śledztwa, miesięcy uwięzienia i stanięcia przed sądem – natychmiast po wysłuchaniu wypowiedzi esbeka został uwolniony. Zastanawiając się nad tak zaskakującym obrotem sprawy zaczął przypuszczać, że uwolnienie po niezwyklej opowieści oficera SB mogło być rodzajem politycznej propozycji, adresowanej do Solidarności Walczącej.

STRACONA SZANSA POLSKIEJ LITERATURY

Ostatnie lata życia Krzysztofa są jak dowód na to, że wszystko w ludzkiej egzystencji ma swoją cenę. Skrajnie niezdrowy tryb życia, permanentne zagrożenie aresztowaniem, kolejnym pobiciem, nadużywanie alkoholu doprowadziły jego zdrowie do ruiny. Równocześnie dzięki pomocy przyjaciół odzyskiwał podstawy stabilizacji. Każda rozmowa z nim ujawniała ogromne czytanie i wiedzę z przeróżnych dziedzin, np. gruntowną znajomość historii filozofii. Jego zasługi w walce o niepodległość docenił prezydent Lech Kaczyński, przyznając mu Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski. Krzysztof pisał coraz więcej a jego kolejne opowiadania okazywały się być utworami gatunkowo wyjątkowymi. Stanowiły nieznaną w naszej literaturze przykład prozy behawiorystycznej. Jej przykładem jest tom „Pamiętki z Workuty”, dla którego próżno szukać genologicznego odpowiednika. Przygotowywał kolejne tomy opowiadań, których problematyką miały być wspomnienia bieszczadzkie i Solidarność Walcząca. Były tematem naszej ostatniej rozmowy w listopa-

dzie 2009 roku. Od dawna czuł się kiepsko, ale opinia lekarza, do którego krótko wcześniej przywieźliśmy Krzyśka wraz ze Zbyszkim Jagiełłą, nie zapowiadała najgorszego. W czasie tej ostatniej rozmowy Krzysiek mówił, że już wie, co powinien napisać, wyśpi się i weźmie do roboty. Nigdy nie zapomnę zdań, które zakończyły naszą ostatnią rozmowę. Nagle odszedł wtedy od planów na najbliższe dni i powiedział: „Wiesz, Polska to jest coś niezwykłego. Polska jest czymś niesamowitym, absolutnie nadzwyczajnym”.

W kolejnych dniach Krzysztof nie odbierał moich telefonów. Parokrotnie bezskutecznie dobijałem się do jego drzwi. Początkowo nie byłem tym bardzo zaniepokojony, gdyż miesiąc wcześniej, nic o tym nie mówiąc, przepadł na dwa tygodnie. Okazało się wtedy, że był u przyjaciół w milickich lasach, poza zasięgiem sieci komórkowej. W końcu jednak odszukałem gospodarza domu, pełen najgorszych przeczuć zdecydowałem się wezwać policję, mieszkanie otwarliśmy dzięki drabinie straży pożarnej. Krzysiek nie żył od kilku dni.

Jak wielu ludzi podziemia odszedł nagle, mając za sobą życie stanowczo zbyt krótkie, pełne zmagania i napięcia. Znając skalę i niepowtarzalność jego talentu ledwie domyślać się możemy, jakimi skarbami by nas ubogacił, gdyby dane mu było żyć choć trochę dłużej.

„Obywatelska”, kwiecień 2019



REFLEKSJE W 33 ROCZNICĘ POWSTANIA SOLIDARNOŚCI WALCZĄCEJ

W czerwcu 1982 utworzona została organizacja, której osiągnięcia często budzą dziś wręcz niedowierzanie. Już od lat osiemdziesiątych część jej dorobku przypisują sobie ludzie i kręgi nie mogące poszczycić się porównywalnymi dokonaniami. Pomimo, że na wielu obszarach działalności opozycyjnej nie miała sobie równych – duża część publikacji poświęconych historii najnowszej nadal marginalizuje lub nawet całkowicie pomija działalność Solidarności Walczącej.

PORAŻKA STERNIKÓW ZWIĄZKU

Jesienią 1981 coraz większe wpływy we władzach NSZZ Solidarność zdobywali doradcy, wywodzący się z tzw. lewicy laickiej. O tym, jak niska była merytoryczna jakość środowiska do dziś okopanego na pozycji głównych mentorów kraju świadczy sam moment wprowadzenia stanu wojennego. Już 13 grudnia wszyscy oni znaleźli się w ośrodkach internowania, gdyż nikt z nich nie spodziewał się przykrości, jaką może ich zaskoczyć reżim Jaruzelskiego. A przecież Solidarność miała wtedy ludzi o większej zdolności przewidywania. Opozycjoniści związani z „Biuletynem Dolnośląskim” trwali w konspiracji i przygotowywali się do działania w warunkach wojennych. Dzięki informacjom zdobytym przez Marka Petruszewicza 80 milionów złotych, należące do dolnośląskich związkowców, zostało w porę wyłacone i uratowane. Inna rzecz, że najsilniejsze i najbardziej efektywne podziemne struktury zbudowali potem ci, którzy do owych 80 milionów w ogóle nie mieli dostępu.

MIESIĄCE BEZ KONCEPCJI

Większość liderów Solidarności, którym udało się uniknąć uwięzienia, okazała się całkowicie niezdolna do stworzenia jakiegokolwiek programu działania w nowych warunkach. To środowisko Kornela Morawieckiego uruchomiło pierwszą prężną podziemną strukturę, zdolną do prowadzenia działalności na dużą skalę. Nakazem chwili było sformowanie już w grudniu 1981 ogólnopolskiego ośrodka koordynującego walkę z komunistycznym reżimem. Zarówno jednak apele Morawieckiego, jak i Eugeniusza Szumiejki, pró-

bującego w tym czasie tworzyć Ogólnopolski Komitet Oporu, pozostali głosami wołających na puszczy. Jakże nikczemnie brzmią dziś głosy tych, którzy tak bardzo wtedy zawiedli, a wg których „OKO na kilometr śmierdziało esbecją”. Do tak bzdurnych potwarzy uciekają się dziś ci przywódcy Solidarności, którzy wówczas „nawalili na całej linii”. Niestety – ówczesna sytuacja przerosła wielu z nich. Kilka pierwszych miesięcy stanu wojennego upłynęło pod znakiem działań nieskoordynowanych i często szkodliwych. We Wrocławiu metodą walki miały być kilkunastominutowe strajki, skutkiem których było tylko dekonspirowanie i zwalnianie z pracy ludzi wykazujących się większą odwagą. Czworo ukrywających się regionalnych liderów związku do konieczności odtworzenia w podziemiu jakiejś centrali NSZZ Solidarność dojrzało dopiero 22 kwietnia 1982 roku, kiedy to wreszcie powstała Tymczasowa Komisja Koordynacyjna. Wszystkim już jednak było wtedy wiadomo, że żadna „wiosna nie będzie nasza” i że nawet wśród aktywniejszej części Polaków zwyciężają nastroje zniechęcenia i rozczarowania. W dużej mierze – wynikającego z braku i planu i ogólnopolskiego przywództwa.

PRZELANA CZARA GORYCZY

Już na przełomie 1981 i 1982 najsilniejszym ośrodkiem oporu okazał się Dolny Śląsk. Duża i świetnie zorganizowana siatka wydawnicza pozwoliła Kornelowi Morawieckiemu już 13 grudnia w wielkich nakładach drukować i kolportować we wszystkich większych miejscowościach „Z Dnia na Dzień” – pierwsze podziemne pismo stanu wojennego. To w ślad za pojawiającymi się co drugi dzień kolejnymi numerami tej gazetki we wszystkich większych zakładach regionu wyrastały konspiracyjne komórki związku. Często nawet daleko poza granicami Dolnego Śląska tworzyły się podziemne ogniwa związku. Budowały one nowe punkty niezależnej poligrafii, skupiały gotowych do dalszych działań. Co ważne – często złożone były z ludzi nie rozpracowanych przez komunistyczne służby. Był to potencjał imponujący jakością i rozmiarem. Wiadomo było jednak, że nie zachowa on swojej wielkości ograniczając się przez zbyt długi czas do działalności jedynie wydawniczo-kolportażowej. Tymczasem regionalne przywództwo związku zgotowało ludziom tym kolejne rozczarowanie. W pierwszych dniach maja 1982 w wielu miastach Polski miały miejsce wielotysięczne demonstracje. A Dolny Śląsk był jedynym regionem, w którym związkowe przywództwo sprzeciwiło się organizowaniu manifestacji. Tysiące Dolnoślązaków poczuło się jak dezercerzy. Tym bardziej, że siły milicyjne przeznaczone do pilnowania ulic Wrocławia, Legnicy czy Wałbrzycha, dzięki

decyzji Regionalnego Komitetu Strajkowego reżim komunistyczny mógł wystąpić do pałowania manifestantów z Nowej Huty, Szczecina lub Gdańska.

SOLIDARNOŚĆ, KTÓRA NIE BĘDZIE TYLKO ZWIĄZKIEM ZAWODOWYM

Decyzję Władysława Frasyniuka, by na Dolnym Śląsku nie organizować demonstracji, Kornel Morawiecki uznał za przejaw bierności i oddawania pola bez walki. Swoim współpracownikom zaproponował więc utworzenie nowej organizacji – w maksymalnym stopniu współdziałającej z NSZZ Solidarność, ale stawiającej sobie dalej idące cele i zastrzegającej prawo do własnej inicjatywy. W odpowiedzi na tę ofertę do tworzącej się dopiero organizacji, noszącej odtąd nazwę Solidarność Walcząca, wstąpiło kilkuset doświadczonych i wytrwałych konspiratorów. 1 czerwca 1982 ukazał się pierwszy numer pisma „Solidarność Walcząca”, zawierający m.in. wezwanie do oddania czci ofiarom stanu wojennego w dniu, w którym mijać będzie pół roku od jego wprowadzenia. Rozmiar reakcji wrocławian na tę inicjatywę przerósł najśmielsze oczekiwania. We Wrocławiu sformował się wielotysięczny pochód, po zaatakowaniu przez ZOMO przekształcony w bitwę toczoną na dziesiątkach ulic. Do późnych godzin nocnych Plac Pereca stanowił enklawę de facto wyzwoloną spod kontroli komunistycznych władz. Kolejne ataki milicji odbijały się od wzniesionych barykad, w związku z czym wyzwolona część miasta mogła być jedynie bombardowana wystrzeliwanymi z większej odległości gazowymi granatami. To stąd Plac Pereca zwany był odtąd przez wrocławian Gazplacem. Pośród huku wystrzałów i białych chmur gazu tysiące wrocławian cieszyły się jednak tego dnia wolnością i odzyskiwały wiarę w to, że wolność ta może w końcu rozlać się po terytorium całego kraju.

NIEPODLEGŁOŚĆ I WYZWOLENIE Z KOMUNIZMU

Za sprawą Solidarności Walczącej w czerwcu 1982 Wrocław stał się miejscem największych w Polsce demonstracji i prymat ten zachował do końca lat osiemdziesiątych. Oprócz działań polegających na twardej, codziennych zmaganiach z reżimem szybko powstał klarowny i dalekosiężny program, mający na celu wyzwolenie z komunizmu nie tylko Polski, ale i innych narodów. Utożsamiały się z nim liczne środowiska i struktury takie, jak Organizacja Narodowo – Wyzwoleńcza „Lechia” czy Młodzieżowy Ruch Oporu. Ich przyłączenie się do Solidarności Walczącej przypominało akcję scaleniową, w 1942 roku prowadzącą do sformowania Armii Krajowej. Oddziały SW zaczęły wyrastać

na Wybrzeżu, Górnym Śląsku, w Wielkopolsce, na Mazowszu i kolejnych regionach. Łącznie ukazywało się ponad sto pism SW a konspiracyjna radiofonia tej organizacji stanowiła wielokrotność wszystkich innych podziemnych radiofonii razem wziętych. SB i inne służby reżimu na utworzenie SW zareagowało furją i eskalacją ataków. W czasie największej fali aresztowań w rękach bezpieki znalazło się ponad sto osób, związanych z organizacją Kornela Morawieckiego. Okazało się jednak, że nawet operacje o tej skali nie zakłóciły wydawania podziemnych gazet czy emitowania audycji Radia SW. Sprawność i potencjał Solidarności Walczącej przekroczyły wyobrażenia sił reżimu. Po latach bezskutecznego zwalczania SW po raz pierwszy od lat stalinowskich rząd PRL – u wydał decyzję o „mobilizacji wszystkich sił i środków w celu rozbicia Solidarności Walczącej i schwywania jej ukrywającego się przewodniczącego”. Do podobnego kroku nie sięgnięto w przypadku żadnego innego ugrupowania opozycji.

PREKURSORZY

SW jako jedyna struktura opozycji dysponowała własnym kontrwywiadem. Jego działalność polegała m.in. na całodobowym i trwającym latami podsłuchu częstotliwości wykorzystywanych przez SB. Setki razy pozwalało to ostrzec przed inwigilacją lub aresztowaniem konspiratorów zarówno z SW, jak i innych środowisk. Działacze SW wyszkolili tysiące konspiracyjnych drukarzy i jako pierwsi zaczęli używać w podziemiu elektroniczne nośniki informacji. Dzięki swoim kadrom naukowo – technicznym jako jedyni w pracy opozycyjnej korzystali z łączności satelitarnej. Już w 1982, kilka lat przed powstaniem Solidarności Polsko – Czesko – Słowackiej, SW rozpoczęła wydawanie prasy w językach sąsiadów. Po czeskojęzycznych „Nazorach” drukowała pisma m.in. po rosyjsku, ukraińsku, białorusku, litewsku, aż w końcu Wydział Wschodni SW rozpoczął działalność w wielu republikach ZSRS (wśród ministrów późniejszych rządów np. niepodległej Litwy są tacy, którzy uważają się za działaczy SW). Sensacją komentowaną przez światowe media było w 1985 roku dotarcie rosyjskojęzycznych wydawnictw Solidarności Walczącej do tysięcy adresatów ze Związku Sowieckiego. Było to możliwe dzięki przechytrzeniu i polskiej i sowieckiej, oficjalnej sieci pocztowej.

CZAS KREOWANIA BOHATERÓW

W 1989 roku część doradców i przywódców Solidarności, która stanu wojennego nie przewidziała i najczęściej nie odegrała w nim znaczącej roli, została przez reżim uprzywilejowana dostępem do radia, telewizji oraz obda-

rowana prawem i technicznymi możliwościami wydawania wysokonakładowej gazety. Pojawienie się ludzi Solidarności w środkach masowego przekazu przez miliony Polaków zostało zrozumiane jako zwycięstwo nad komunizmem. Ci, którzy mówili teraz z ekranów telewizorów i z łam gazety dostępnej w każdym kiosku, postrzegani byli najczęściej jako najbardziej zasłużeni liderzy całego solidarnościowego ruchu. Oni sami nigdy zresztą nie przedstawiali się inaczej. W latach dziewięćdziesiątych zaczęły się ukazywać opasłe księgi, noszące np. tytuł „Solidarność podziemna”, w których pośród setek wymienianych nazwisk nie pojawiało się żadne związane z Solidarnością Walcząą. Tym sposobem, w imię osobistych korzyści, samozwańczy „ojcowie polskiej wolności” nadal umniejszają i skazują na zapomnienie oryginalny, często bezprecedensowy dorobek naszej ojczyzny.

„Słowo Polskie”, czerwiec 2015



O PRAWDĘ O STANIE WOJENNYM W KOLEJNĄ ROCZNICĘ JEGO WPROWADZENIA

Od lat media „głównego nurtu” robią wszystko, by stan wojenny przedstawić jako wydarzenie niespecjalnie groźne, raczej groteskowe „strachy na Lachy”. Służyło też temu to, że zanim powstały jakiegokolwiek filmy przedstawiające prawdę o tych upiornych latach zdążono nakręcić o nich parę komedii. Za tym, że po 13 grudnia 1981 wiele złego się nie stało przemawiać ma stosunkowo mała liczba ofiar śmiertelnych. Jeśli tak – to przebiegłość reżimu Jaruzelskiego nadal święci dziś triumfy. Wg ustaleń prof. Antoniego Dudka generał Wojciech Jaruzelski był pierwszym komunistycznym dyktatorem, stale posługującym się badaniami opinii publicznej. Stąd zapewne wiedział, że nic mu nie zaszkodzi w polityce wewnętrznej i w budowaniu własnej pozycji międzynarodowej bardziej od rosnącej liczby trupów. Dlatego rozkaz strzelania do tłumu wydany został tylko parę razy. Pierwszy otrzymali funkcjonariusze plutonu specjalnego ZOMO, wysłani do zabijania górników Kopalni Wujek i Manifest Lipcowy. Wiemy też dziś, że po dokonanej przez nich masakrze posługiwali się na swoich biesiadach terminologią myśliwską. Niczym „królowie polowania” niektórzy z nich szczylic się tym, że ich strzały trafiały „w komorę” (czyli w serce). A śmierć zadana tym sposobem w kręgach łowieckich jest bardziej prestiżowa od trafienia „w czerep” (w tym wypadku – w głowę górnika). Wiemy więc, że przynajmniej niektórzy ludzie Jaruzelskiego pałali najprawdziwszą żądzą mordu. I wiemy też, że jeszcze w latach osiemdziesiątych działały w Polsce najprawdziwsze komunistyczne szwadrony śmierci. A nie były intensywniej wykorzystywane nie z powodu przyzwoitości, lecz z politycznej kalkulacji. Reżim Jaruzelskiego ograniczał mordowanie nie dlatego, że był ludzki czy litościwy, lecz dlatego, że rozumiał, iż stosy trupów nie były w jego interesie. Katowanie, bicie do nieprzytomności, przetrącanie kręgosłupów – nie stanowiło takiego politycznego kłopotu, jak trupy. To informacje o ich liczbie zawsze najbardziej wstrząsają światową opinią publiczną. To liczby zabitych najbardziej utrudniają wszelkiego rodzaju międzynarodowe kontakty. Liczby uwięzionych czy pobitych tak, że do końca życia będą musieli poruszać się już tylko na inwalidzkich wózkach, takiego wrażenia już nie robią.

W dużej mierze wychowałem się na filmach o czasach wojny i okupacji. Za PRL – u pełne takich filmów były i kina i telewizory. W żadnym jednak nie spotkałem się z równie przerażającymi krzykami katowanych ludzi, jak te, które słyszałem w czasie tłumienia przez ZOMO demonstracji na ulicach Wrocławia. Stan wojenny to dla mnie drzwi wywalane siekierami, samochody pancerne na pełnej prędkości wpadające w tłum, ludzie tonący w rzece, do której woleli się rzucić, by nie wpaść w ręce milicji po mszy św. w katedrze. Stan wojenny to dla mnie zalana krwią brama mojego domu, oddział noworodków wrocławskiego szpitala wypełniony chmurami gazu łzawiącego, z którego kilkanaście całkowicie oślepionych i rozbijających sobie głowy w biegu pielęgniarek wynosi ledwie żywe niemowlęta. Bo w salach, do których wrzucono gazowe granaty, nie miały one szansy przeżyć! Po ostrzelaniu przez ZOMO Szpitala im. Bagińskiego równie przerażająca ewakuacja miała miejsce na Oddziale Intensywnej Opieki Medycznej. Ze stanu wojennego zostały mi takie właśnie obrazy, które w koszmarnych snach wracają jeszcze po blisko czterdziestu latach. A wszystko to mimo tego, że ani nie mam podstaw ani w żaden sposób nie próbuję się nawet zaliczać do ofiar stanu wojennego.

O STANIE WOJENNYM NAJKRÓCEJ

Kiedy w sierpniu 1980 Polska została ogarnięta największą w swej powojennej historii falą strajków, komunistyczne władze rozważyły sięgnięcie do tego rozwiązania, które w podobnych okolicznościach praktykowały zawsze. Czyli – wysłanie przeciw protestującym oddziałów milicji oraz dywizji pancernych. W ciągu kilku dni strajkujący zabarykadowali się jednak w tysiącach zakładów pracy. Wysłanie czołgów przeciw tak wielkiej liczbie ogniw buntu oznaczało operację o nieznaną dotąd skali, ryzykowną i krwawą. Zaskoczeni przywódcy PRL-u zdecydowali się więc na inny model rozwiązania największego z dotychczasowych konfliktów władzy ze społeczeństwem. Sposób ten podpowiadało już to, że na czele głównych ośrodków protestu znaleźli się także tajni współpracownicy komunistycznych służb specjalnych. Najwyższe pozycje w najważniejszych komitetach strajkowych obejmowali oni, realizując jedną z elementarnych zasad, jakimi jeszcze w XIX wieku kierowały się rosyjskie a następnie wszystkie prosowieckie tajne policje: „jeśli nie da się czegoś powstrzymać – trzeba stanąć na czele tego czegoś”. Władze przypuszczały, że posiadając swoich ludzi wśród liderów tworzącego się ruchu społecznego, zdołają nad nim zapanować.

Po zawarciu porozumień ze strajkującymi komunistyczny reżim zaskoczony został jednak ponownie. Pomimo wszystkich działań, stawiających temu tamę – do niezależnego od władz związku zawodowego, na utworzenie którego 31 sierpnia 1980 wyrażona została zgoda, błyskawicznie wstąpiło 10 milionów ludzi. Obok niego, równie szybko, wyrosło całe mnóstwo innych niezależnych inicjatyw. Komunistyczny aparat nadzoru nad społeczeństwem nie był w stanie polskiego dążenia do wolności powstrzymać ani zdominować penetracją agenturalną. Jesienią 1980 zarówno władze PRL, jak i ich sowieccy mocodawcy, zdali sobie sprawę z tego, że nawet najbardziej przemysłana i skoordynowana aktywność współpracowników Służby Bezpieczeństwa, usadowionych w NSZZ Solidarność i innych organizacjach, nie zmieni ich niezależnego i de facto niepodległościowego charakteru. Wzorowany na sowieckim ustrojowy ład PRL-u, którego istotą było kontrolowanie każdego fragmentu rzeczywistości, zaczął kruszeć. Ku zdumieniu całego świata – Polacy odzyskiwali prawa należne wolnym ludziom. Procesowi temu z przerażeniem przyglądały się też reżimy komunistyczne, panujące w innych krajach.

W tej sytuacji władze Związku Sowieckiego, w celu przywrócenia totalitarnego porządku, rozpoczęły przygotowania do zbrojnego najazdu na Polskę. Swoje panowanie w naszym kraju zamierzały zabezpieczyć metodami, praktykowanymi już na Węgrzech w roku 1956 i w Czechosłowacji w 1968. Inwazja na Polskę z kilku przyczyn była jednak zadaniem trudniejszym. Od kilkunastu miesięcy ZSRR ponosił wielkie militarne i polityczne koszty wojny, którą rozpoczął w Afganistanie. Polska – była krajem nie tylko większym od Węgier czy Czechosłowacji, ale w nie tak dawnej przeszłości dała się poznać jako ojczyzna ludzi nawet w sytuacji beznadziejnej potrafiących z nadludzką ofiarnością bronić swej wolności. Dodatkowo ze strony rządów Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii skierowane zostały do Moskwy ostrzeżenia tak stanowcze, z jakimi dotąd sowieckie władze się jeszcze nie spotkały. W grudniu 1980 ekipa Breżniewa podjęła więc decyzję, że Armia Radziecka bezpośrednio do tłumienia polskiej wolności nie przystąpi. Zadanie to powierzyła marionetkowym władzom, z sowieckiej nominacji rządzącym Polską od 1944 roku.

Trwającym wiele miesięcy potajemnym przygotowaniom do frontального ataku towarzyszyło mnóstwo działań, mających na celu zmęczenie społeczeństwa. Towary, zamiast kierować do sklepów, zatrzymywano w magazynach. Jako winnego ich braku wskazywano NSZZ Solidarność. Magazynowe zapasy na rynek trafić miały po wprowadzeniu stanu wojennego i stanowić dowód jego zbawiennego działania. Propagandowa furia niezależnym organizacjom przypisywała wszystko, co najgorsze, wieszczyla zbliżającą się katastrofę i sugerowała, że Polskę ocalić może wojsko. Pospiesznie rozbudowywano aparat represji, przygotowywano arsenały środków walki z ludnością cywilną, obwieszczenia o stanie wojennym drukowano w Związku Radzieckim i tam, potajemnie oczekiwały one na moment jego ogłoszenia.

W nocy z 12 na 13 grudnia 1981 wszystkie programy radiowe zastąpił jeden – nadający muzykę wojskową. Do mieszkań tysięcy działaczy, niejednokrotnie wyrąbując drzwi siekierami, wdzierali się uzbrojeni funkcjonariusze. Wprowadzone prawo wojenne zakazywało opuszczania miejscowości zamieszkania i wychodzenia z domu po godz. 22. Prasę i czasopisma zastąpiły regionalne, wojskowe okólniki. Obywatele zostali pozbawieni setek elementarnych praw a naruszanie ogłoszonych rozporządzeń miało być karane, jak na wojnie, włącznie z wydawanymi w trybie doraźnym wyrokami śmierci. Większe zakłady pracy zostały zmilitaryzowane, co oznaczało, że polecenie

przełożonego było równoznaczne z rozkazem, którego niewykonanie mogło skutkować tym samym, czym nieposłuszeństwo żołnierza na wojnie. Wprowadzono jawne cenzurowanie listów. Każdy funkcjonariusz reżimu bez jakiegokolwiek nakazu o każdej porze dnia i nocy miał prawo dokonać rewizji każdego mieszkania i bezterminowo uwięzić każdego obywatela. Wyłączono telefony, co nie tylko utrudniło międzyludzkie kontakty, ale spowodowało liczne tragedie, gdyż niemożliwe stało się też wzywanie karettek pogotowia.

Sukcesem władz było przerażenie społeczeństwa. Pogłębił je sposób rozprawiania się z tymi, którzy potrafili się zdobyć na protest. Fabryki, w których zorganizowano sprzeciw wobec stanu wojennego, były szturmowane przez czołgi. Strajkujących zwalniano z pracy a ich przywódców zamknięto w więzieniach. W czasie pacyfikacji katowickich kopalni z premedytacją zamordowano dziesięciu górników. Wszystko wskazywało na to, że mordem tym rządzący zamierzali uświadomić społeczeństwu, że są gotowi zabijać tych, którzy odważą się strajkować. W podobny sposób, strzelając do pokojowych manifestacji, zdławiono protesty na ulicach miast. Smak pobytu w więzieniach, aresztach i obozach internowania poznały dziesiątki tysięcy walczących o wolność. W sterroryzowanym kraju reżim Jaruzelskiego likwidował wszystkie niezależne organizacje i inicjatywy społeczne, powstałe po Sierpniu 1980. Z końcem roku 1982 stan wojenny został formalnie zawieszony a w lipcu 1983 zniesiony. Odwołanie stanu wojennego w dużej mierze było jednak fikcją, gdyż zasadnicze realia totalitarnego porządku, narzuconego 13 grudnia 1981, obowiązywały nadal. Od tego czasu społeczna rzeczywistość ciągle była też jakby rozbita na dwie części. Jedną, znaną z reżimowej propagandy i jego instytucji, kontrolowały komunistyczne władze. Druga rozwijała się w konspiracji, w której pomimo zagrożenia surowymi wyrokami, wydawano tysiące niezależnych gazetek i książek. Pragnący wolności znajdowali także oparcie w Kościele. Pomimo terroru dochodziło do demonstracji, w świątyniach i prywatnych mieszkaniach toczyło się, przerywane falami aresztowań, niezależne życie kulturalne i naukowe. Skala podziemnego oporu zaskoczyła władze i stanowiła dla nich nieustanny powód niepokoju. Drugim jego źródłem była stale pogarszająca się kondycja gospodarki. Pomimo gorączkowych zabiegów PRL pogrążał się w coraz głębszym ekonomicznym kryzysie. W drugiej połowie lat osiemdziesiątych kolejni liderzy komunistycznego reżimu zaczęli sobie zdawać sprawę z tego, że wkrótce nie będą w stanie zaspokoić już nie tylko najbardziej elementarnych po-

trzeb społeczeństwa, ale nawet utrzymać własnego aparatu represji. Kiedy więc w roku 1988 znów zaczęły w Polsce wybuchać strajki – rozpoczęli pertraktacje z częścią opozycji, dążącą do ugody z komunistycznym reżimem.

O WROCŁAWSKIEJ MŁODZIEŻOWEJ KONSPIRACJI LAT OSIEMDZIESIĄTYCH

W połowie lat siedemdziesiątych władze komunistyczne dążyły do zmian w Konstytucji PRL. Jeden z nowych paragrafów mówił o ścisłej współpracy ze Związkiem Sowieckim, co można było rozumieć jako formalizację zależności Polski od tego mocarstwa. Pomimo protestów 10 lutego 1976 sejm nowelizację tę wprowadził. Władcy Polski Ludowej zapewne nie zdawali sobie sprawy z tego, że krokiem tym dają impuls do odrodzenia działalności opozycyjnej. Wkrótce w wielu miastach kraju zaczęły się zawiązywać grupy, które dały początek „latającym uniwersytetom”, organizującym wykłady i dyskusje w prywatnych mieszkaniach. Obok opozycji „dorosłej”, tworzącej Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela, czy Komitety Oporu Społecznego, zaczęła organizować się opozycja młodzieżowa. To przede wszystkim jej dziełem były pojawiające się coraz częściej na murach napisy wzywające Armię Radziecką do opuszczenia Polski i protestujące przeciw panującemu systemowi monopartyjnemu. Milicja i Służba Bezpieczeństwa działania te zaczęła zwalczając organizując wzmożone patrole i obserwacje. Dało to efekt w postaci pierwszych zatrzymań. Jednym ze schwytanych był kilkunastoletni uczeń Marek Krukowski, któremu udowodniono wykonanie na murach Wrocławia szeregu haseł wymierzonych przeciw panującemu ustrojowi.

W końcu lat siedemdziesiątych zaczęło też działać środowisko młodzieży, uczęszczającej do starszych klas szkoły podstawowej na wrocławskim Sępolnie. Zwane było „Grupą Turystów”, gdyż składało się z członków Kółka Krajoznawczego, rozwiązanego przez dyrekcję za umieszczanie w gablotce Kółka tekstów uznanych za antysocjalistyczne. Przed szkolną uroczystością z okazji 1 maja 1979 członkowie zdelegalizowanego kółka domalowali koronę na głowie orła z godła państwowego w taki sposób, że nie dało się jej usunąć. Przed głosowaniem, zwanym przez komunistów „wyborami”, na początku roku 1980 „Turyści” rozkleili na mieście plakaty wzywające do bojkotu tej farsy wyborczej. Na Biskupinie i Bartoszycach wymalowali stosowne hasła i przeprowadzili kilka akcji ulotkowych.

Młodzież Wrocławia odegrała też istotną rolę w pamiętnych dniach Sierpnia 1980. Polegała ona na rozkolportowaniu tysięcy egzemplarzy specjal-

nego wydania „Biuletynu Dolnośląskiego”. Składało się ono z listy postulatów gdańskich oraz wezwania do poparcia strajkujących robotników Wybrzeża. Autor tej odezwy, Kornel Morawiecki, był wówczas poszukiwany przez Służbę Bezpieczeństwa. Do mieszkańców Wrocławia dotarła ona głównie dzięki licealistom, dostarczającym ulotki do fabryk, wykładającym je w tramwajach, autobusach, windach i klatkach schodowych.

W ciągu szesnastu miesięcy legalnego działania Solidarności nie udało się stworzyć dużej, niezależnej organizacji młodzieżowej. Na Dolnym Śląsku powstał jednak Uczniowski Komitet Odnowy Społecznej oraz Związek Młodzieży Demokratycznej, w którym działał m.in. Dariusz Kędra – jeden ze znaczących organizatorów późniejszego podziemia. Zawiązywało się też wolne od politycznych naleciałości harcerstwo – m.in. Cezary Szarugiewicz zaczął wydawać niezależne pismo harcerskie „Skaut”. Utworzył się też Związek Młodzieży Pracującej, wydający pismo „Młody Robotnik”. Poza zasięgiem cenzury zaczęto też drukować gazetki ministrantów i członków ruchu oazowego. Stan wojenny zakoczył jednak niezależne środowiska młodzieżowe w stadium ledwie częściowej organizacji. Narzucone rygory przerwały wydawanie wszystkich niezależnych pism młodzieżowych, włącznie z redagowanym przez UKOS biuletynem „Quo Vadis?” W grudniu 1981 aktywna część wrocławskiej młodzieży wzięła udział w licznych działaniach wspierających protesty. Licealiści kolportowali niemającą część pisma Regionalnego Komitetu Strajkowego „Z Dnia na Dzień”.

Wiosną 1982 zaczęły powstawać struktury, tworzące swoje programy i dążące np. do rozwoju własnej poligrafii. 3 maja 1982 powstała Polska Niezależna Organizacja Młodzieżowa. Początkowo składała się głównie ze wspomnianego wcześniej środowiska „Turystów”. Dzięki pomocy Solidarności Walczącej po kilku miesiącach PNOM zaczął wydawać własną gazetkę, zatytułowaną „Młodzież”. Z organizacją związany był m.in. Waldemar Kras, który w tym czasie prowadził już na dużą skalę druk pism Regionalnego Komitetu Strajkowego oraz wydawał własny biuletyn młodzieżowy pt. „Impuls”. W czerwcu ciosem dla PNOM było aresztowanie Marka Szwada, jednego z głównych organizatorów druku. Wydawanie „Młodzieży” zostało wznowione jesienią, jednak już w grudniu 1983 Służba Bezpieczeństwa aresztowała pięciu działaczy, w tym lidera związku – Roberta Chmielarczyka. Władze nagłośniły sprawę rozbicia PNOM – u emitując materiały filmowe w telewizji, o organizacji mówiono w „Dzienniku Telewizyjnym” i na łamach „Trybuny Ludu”. Tymczasem działaczom, którzy uniknęli zatrzymania, udało się wznowić druk „Młó-

dzieży”, by oddalić od aresztowanych zarzut jej wydawania. Organizacja przetrwała jeszcze rok. W grudniu 1984 SB weszła do mieszkań Radosława Hejnowicza i Roberta Puczki. Działalność PNOM dobiegała końca, lecz jej członkowie odnaleźli się w innych strukturach – głównie Niezależnego Zrzeszenia Studentów i Solidarności Walczącej.

W 1983 roku zaczęły się ukazywać młodzieżowe gazetki nie odnotowujące związku z podziemnymi organizacjami. Należał do nich „Wyrostek” (tak w latach osiemdziesiątych propaganda PRL nazywała młodych uczestników nielegalnych manifestacji) i „Co u nas?” Dziś już wiemy, że pierwsza z tych gazetek powstawała dzięki nauczycielom – członkom podziemnej „Solidarności” a główną w tym rolę odgrywał znany polonista dr Tadeusz Patrzałek. Natomiast drukiem „Wyrostka” zajmował się działacz Solidarności Walczącej Bohdan Błażewicz wraz z żoną i ich trojgiem dzieci.

W tym samym czasie zaczęła działać we Wrocławiu struktura o nazwie Młodzieżowe Jednostki Oporu. W przeciwieństwie do PNOM –u, którego rdzeń składał się z ludzi znających się niemal od przedszkola, członkowie MJO poznawali się przy okazji mszy św. za ojczyznę, odprawianych w katedrze i solidarnościowych demonstracji. Pomysł stworzenia organizacji powstał podobno w czasie, gdy grupa młodych ludzi ukryła się w tym samym mieszkaniu przed ścigającym ich patrolem ZOMO. Twórcami MJO byli Ewa Kapała, Piotr Buzar, Sławomir Niećko i Mariusz Kresa. Dwaj ostatni związani byli z kościołem św. Klemensa Dworzaka, w którym liczyć mogli na opiekę księdza Adama Wiktora. Działacze rozwinęli na dużą skalę druk plakatów i ulotek. W czasie ich rozklejania doszło do pierwszych zatrzymań. MJO kontynuowało jednak swoją pracę, m.in. zaczynając wydawanie biuletynu pt. „Zarysy” – imponującego rozmiarami i zawartością merytoryczną. SB przerwało działalność MJO aresztując pod koniec 1983 r. m.in. Sławomira Niećkę. Z kolejnego numeru „Zarysów” zdążył on wydrukować tylko pierwszą stronę.

Na początku 1985 roku SB aresztowała Waldemara Krasa, siedemnastoletniego ucznia, drukującego ogromne ilości prasy podziemnej. Skazany na wyrok bez zawieszenia – z więzienia wyszedł po kilku miesiącach, dzięki amnestii.

Organizacją, której udało się uniknąć rozbicia przez SB był Młodzieżowy Ruch Oporu Solidarność, stworzony głównie przez Zbigniewa Jagiełłę i Dariusza Kędrę. MROS zdołał wydać kilkadziesiąt numerów pisma „Wolna Polska”, zorganizował demonstrację w piętnastą rocznicę wydarzeń z marca 1968,

przeprowadził wiele dużych akcji ulotkowych. Członkowie MROS bywali zatrzymywani w czasie manifestacji, lecz nie zostali zdekonspirowani jako członkowie podziemnych struktur. W połowie lat osiemdziesiątych ich organizacja dołączyła do Solidarności Walczącej.

Młodzieżowa konspiracja lat osiemdziesiątych zwykle nie wiązała się z narażaniem się na represje porównywalne do terroru lat czterdziestych i pięćdziesiątych. Zatrzymani z ulotkami młodzi ludzie bywali jednak bici a nawet torturowani. Kilkunastoletni wrocławianin Dariusz Bogdan w czasie śledztwa doznał zagrażających życiu urazów głowy. Prawdopodobnie w odwecie za nagłośnienie swoich więziennych doświadczeń został on uprowadzony przez „nieznanych sprawców”, którzy w lesie kazali mu kopać grób. Młody drukarz Emil Barchański, uczeń pierwszej klasy warszawskiego liceum, który po wyjściu z aresztu skarżył się na bicie w czasie śledztwa, został kilka dni później wyłowiony z Wisły.

Młodzi ludzie podziemia odegrali rolę większą, niż to się zwykle pamięta. Kornel Morawiecki, wspominając trudne dla Solidarności Walczącej lata 1984 – 85 podkreślał, że organizację zasiliło wtedy grono dwudziestolatków, wnoszących ze sobą nie tylko energię, ale i własne doświadczenie w konspiracyjnym rzemiośle.

ŁATWO BYŁO BYĆ BOHATEREM, JEŚLI SIĘ ZARAZEM BYŁO TAJNYM WSPÓŁPRACOWNIKIEM

Działacz wrocławskiego Studenckiego Komitetu Solidarności Mirek Spychalski opowiedział mi kiedyś o pewnym zdarzeniu. Parę lat temu jechał taksówką, której kierowca nagle zapytał: „czy pan mnie poznaje?” A w związku z tym, że pasażer nie był pewien swojego skojarzenia, podpowiedział mu mówiąc: „Tak, to ja, jako funkcjonariusz SB, wielokrotnie przychodziłem przeszukiwać pana dom”. Po tym wyjaśnieniu, zanim taksówka dojechała na miejsce, obydwaj wymienili ze sobą jeszcze kilka zdań. Zapytałem Mirka: „Rozmawiałeś z esbekiem? I to tym, który osobiście prześladował ciebie i twoje środowisko?” Odpowiedział: „Tak, oni wyrządzali zło. Działali na szkodę Polski, służyli interesom obcego mocarstwa. Ale zwykle robili to „z podniesioną przyłbicą”. Byli groźnymi przeciwnikami, wręcz naszymi wrogami i nie ukrywali tego. I sam fakt tego ich „grania w otwarte karty” czynił ich moralnie lepszymi od tajnych współpracowników, od – TW SB. Czyli od tych, którzy udawali działających na rzecz wspólnej sprawy, udawali patriotów, udawali przyjaciół. Tych cynicznych, podstępnych szpicli z SB przez długie lata uważaliśmy za przyjaciół. Całe ich mnóstwo bardzo wielu uważało i nadal uważa za bohaterów. A oni tylko tych przyjaciół czy bohaterów udawali. Tak naprawdę, dużo skuteczniej od samych funkcjonariuszy SB, tajni współpracownicy SB niszczyli ludzi, często doprowadzali do strasznych ludzkich tragedii, niweczyli ofiarność całych rzesz ludzi poświęcających swe życie walce o wolność. Gdyby kierowcą tej taksówki był nie funkcjonariusz, ale tajny współpracownik SB to nie tylko bym się do niego nie odezwał, ale po prostu bym z niej wysiadł”.

CIĄGŁE ŻYJEMY W ŚWIECIE NARZUCONEJ NAM, DO CNA ZAKŁAMANEJ NARRACJI

Od pierwszych dni III RP każda próba sprawdzenia, czy ten lub inny minister, poseł czy senator nie był w przeszłości szpiclem prosowieckiego reżimu – spotykała się z huraganem ataków. Każdy wskazujący na społeczną i państwową potrzebę prawdy o osobach pełniących najważniejsze państwowe funkcje – miazdżony był furią kalumnii, nienawiści, pogardy. Główni beneficjenci przemian, „autorytety”, media „głównego nurtu” – wskazujących potrzebę lustracji oskarżali o psychozę, wariactwo, urządzenie „polowań na czarownice”,

sięganie dna nikczemności, niezdolność funkcjonowania w życiu publicznym, „zoologiczny antykomunizm” itd. itp. itd... Gazety roiły się od ironicznych tytułów w rodzaju „Wg lustratorów to agenci obalili komunizm” oraz nie zawierających grama prawdy stwierdzeń, że „ci, co walczyli i się narażali – są przeciw lustracji a ci, którzy za lustracją są – za komuny albo nie robili nic, albo wręcz tej komuny byli funkcjonariuszami”. Ulubionym tematem mediów, włącznie nawet z serialem „Klan” stały się „ofiary lustracji”. Czyli najszlachetniejsi, ofiarni, wrażliwi, wspaniali a przez najbardziej nikczemnych z nikczemnych – dzisiaj niszczeni, krzywdzeni. Z palców wyszano niezliczoną ilość opowieści o tragediach ludzi, podłym oskarżeniem „lustratorskich nienawistników” doprowadzonych niejednokrotnie wręcz do śmierci. Bajkom takim poświęcono filmy, słuchowiska, powieści. Niewiele zabrakło, by dla uczczenia „skrzywdzonych” nie stanęły pomniki. Choć wiemy też, że nie jednemu tajnemu współpracownikowi SB w III RP po śmierci postawiono już pomnik i nie jednemu obiektowi użyteczności publicznej nadano imię ubeckiego szpicla.

KTÓRYCH TW SB MOŻNA ZROZUMIEĆ?

O tajnych współpracowników SB pytałem byłego kapitana tych służb, współdziałającego z solidarnościowym podziemiem Mariana Charukiewicza. Wg jego informacji większość tajnych współpracowników SB nie oddawała się tej aktywności całkowicie. Ograniczała współpracę, nie przekazywała wszystkich posiadanych informacji, starała się z roli, w której się znalazła, wyplątać. Bywało, że TW do działania był zmuszany szantażem. Nie brakowało też jednak takich, jak znany pisarz Andrzej Szczypiorski, negocjujący wynagrodzenie, za które skłonny byłby donosić na własnego ojca. Jak Tomasz Sobolewski, biegający na spotkania z konspiratorami z Międzyszkolnego Komitetu Oporu tylko po to, by zdobyć nowe, obciążające ich a dobrze płatne materiały. Nie ma też wątpliwości co do tego, co napędzało Lesława Maleszkę (późniejszego lidera antylustracyjnej kampanii), który w służbie SB sam siebie zadaniował, by uważającym go za przyjaciela zadać jak najboleśniejsze ciosy. I wystarczy lektura donosów TW Bolka, by pozbyć się złudzeń, co do intencji, które człowiekiem tym kierowały.

Słabość, uleganie przemocy czy szantażowi można zrozumieć. Ale absolutnie nie do zaakceptowania są dwa przypadki. Pierwszy: współpraca aktywna, nieograniczona, pozbawiona konsekwentnych prób wyrwania się z niej. I przypadek drugi: pełnienie ważnych funkcji publicznych przez tajnego współpracownika SB. Jeśli ktoś kiedyś został esbeckim szpiclem (nawet w efekcie

szantażu czy innych form przymusu) to fakt ten osobę taką dyskwalifikuje jako godną znaczących stanowisk państwowych. Może ona uprawiać wiele z tysięcy pięknych zawodów, może społecznie działać w tysiącach stowarzyszeń. Ale nie może mieć prawa być posłem, senatorem, eurodeputowanym czy urzędnikiem wyższego szczebla. Każdy, kto został TW wykazał się bowiem zdolnością do służenia złu, do działania na szkodę swojej wspólnoty a zarazem skłonnością do ulegania naciskom. W każdym też przypadku TW współtworzył materiały służące także do nacisku na jego własną osobę. Nie miejmy złudzeń – jeśli TW jest na ważnym stanowisku to raczej prędkiej, niż później takie skłonności i takie materiały zostaną wykorzystane na szkodę państwa. Stąd każda droga państwowej kariery dla każdego TW musi być definitywnie zamknięta. Ktoś z TW chce służyć państwu? Otwarta droga! Ale już nie jako minister, dyrektor departamentu czy parlamentarzysta.

ODDZIELAJMY ZIARNA OD PLEW

Jak długo jeszcze możliwe będzie bajdurzenie o „tajnych współpracownikach, którzy jednak się zasłużyli”, albo – „bohaterach pomimo współpracy z SB”. Agenturę wpływu hodowano przecież właśnie poprzez jej legendowanie. O rzekomo cierpiącym uwięzieniu Maleszce jego przyjaciele, w dobrej wierze, pisali wiersze. Wolna Europa niemal każdego dnia opowiadała nam o siedzących w aresztach dysydentach, których wiwatujący tłum niósł potem na rękach, lecz nie zauważał, że zaraz potem bronili oni nie wiadomo jakim cudem napisane prace doktorskie czy publikowali nie wiadomo kiedy napisane książki. Bo jakimś „trafem” jednym „więźniom politycznym” udawało się w „celach” pisać naukowe elaboraty, podczas gdy innym do celi nie udawało się przemycić nawet rysika.

„Bohaterowie pomimo współpracy z SB”? Czy stanięcie na czele strajku wymaga odwagi, jeśli staje się na jego czele z rekomendacji SB? Czy wyjątkowo spektakularne a nawet heroiczne demonstrowanie na ulicy jest aktem odwagi, jeśli zostało ono zlecone przez oficera prowadzącego a milicjanci atakujący demonstrację mają zlecenie, by „tych wyposażonych w ten znak (w przypadku Wrocławia bywał to umieszczany w stałym miejscu malutki znaczek jednego z klubów sportowych) bić tylko na niby”? Czy trzeba być bardzo dzielnym, kiedy kolejna domowa rewizja jest tylko zaimprovizowaną „szopką”, rzekome przesłuchanie polega na omówienie szczegółów dalszej współpracy i przyjmowaniu premii a więzienie tak naprawdę nie jest żadnym więzieniem, lecz np. pobytem w rządowym, luksusowym ośrodku wypoczynkowym?

BOHATEROWIE POMIMO, ŻE SZPICLE?

Niech spod tysięcy ton kłamstwa, jakimi od 1989 roku zasypywana jest prawda o tajnych współpracownikach SB, przebiję się wreszcie najbardziej oczywista prawda. Taka, że pełnienie roli TW SB de facto oznaczało też glejł bezpieczeństwa ze strony aparatu represji. I jeśli nawet represje takie tajnym współpracownikom się zdarzały to miały one na celu ich uwiarygodnienie w oczach opozycji i społeczeństwa. Stąd represje te, o ile tak naprawdę w ogóle miały miejsce, miały charakter ograniczony lub pozorowany.

Czy można być bohaterem, będąc zarazem tajnym współpracownikiem SB? Odpowiedź na takie pytanie zawarta jest w wielkich księgach ludzkości, z Pismem Świętym na czele. Człowiek może upaść na samo dno nikczemności, lecz zawsze ma szansę się z niego podnieść. Biblijny Szaweł był prześladowcą chrześcijan a po nawróceniu stał się nie tylko wzorem cnót, ale i apostołem najbardziej zasłużonym dla upowszechnienia chrześcijaństwa. Można być kanalią, po czym bohaterstwem winy swe odkupić. Zdrajcą i bohaterem nie można być jednak równocześnie. Przebłycki przyzwoitości – to za mało. Zdarzały się one nawet oprawcom z Auschwitz, w okazjonalnych odruchach serca, „ułaskawiającym” swoje ofiary, ale kilka dni później wracający do swojego zasadniczego rzemiosła. Jak wszystko, co przyzwoite, zasługują one na uwagę, wdzięczność i można je nawet jakoś docenić. W każdym takim przypadku owo „docenienie” polegać może jednak tylko na przyznaniu, że ten CZŁOWIEK W SŁUŻBIE ZŁA tym razem zrobił coś dobrego. Póki jednak nie stanął on w prawdzie, póki w rzeczywisty sposób nie odciął się od pozostawania na służbie złu – tak długo będzie on CZŁOWIEKIEM SŁUŻĄCYM ZŁU. I nikim więcej. Nawet, jeśli okazjonalnie zdarza mu się robić coś innego.

„Obywatelska”, styczeń 2017

KPN I SOLIDARNOŚĆ WALCZĄCA

Konfederacja Polski Niepodległej miała na Dolnym Śląsku bardzo wyrazistych liderów, takich jak Antoni Lenkiewicz czy Tadeusz Jandziszak, stąd w latach 1979 – 1981 jej działalność była nie tylko widoczna, ale osiągała dość dużą skalę. Członkiem KPN – u zostawało się drogą pokonywania jakby trzech stopni (rodzaj „staży kandydackich”), przy czym wstępna forma przynależności otwarta była także dla osób niepełnoletnich. Dawało to możliwość przyłączania się wielu ludzi młodych, głównie uczniów szkół średnich, wśród których KPN cieszył się dość powszechną sympatią. W 1980 roku, po aresztowaniu przywódców tej partii oraz różnych społecznych akcji, domagających się ich uwolnienia, zainteresowanie działalnością partii jeszcze wzrosło. Stymulowały je także propagandowe materiały, emitowane w telewizji, które potępiając działalność Leszka Moczulskiego i jego współpracowników jedynie wzmacniały ich popularność. Sporym impulsem, działającym na rzecz KPN – u był też bardzo udany, wielotysięczny marsz w obronie więźniów politycznych, który ulicami Wrocławia przeszedł w kwietniu 1981 roku. Owocem tych wydarzeń było wstępowanie w szeregi Konfederacji dużej liczby ludzi młodych. Do 13 grudnia 1981 swój akces do KPN – u złożyło przynajmniej kilkuset wrocławskich licealistów.

Wprowadzenie stanu wojennego gwałtownie zahamowało rozwój Konfederacji. Większość jej dolnośląskich liderów znalazła się w więzieniach a pozostający na wolności nie zdołali, przynajmniej w znaczącym rozmiarze, kontynuować działalności KPN – u w warunkach konspiracji. Ciosem dodatkowym, wielkim, zaskakującym i brzemiennym w skutki była informacja o decyzji podjętej po wprowadzeniu stanu wojennego przez przywódcę KPN Leszka Moczulskiego. Przebywający od roku w areszcie śledczym jesienią 1981 otrzymał zgodę władz na opuszczenie więziennych murów, by w warunkach wolnościowych poddać się leczeniu niezbędnemu w związku z jego ówczesnym stanem zdrowia. I w związku z pomyślnym odbyciem terapii, która uzasadniała otrzymanie stosownej przepustki, kilka dni po wprowadzeniu stanu wojennego Leszek Moczulski dobrowolnie stawiał się w areszcie śledczym. Wiadomość o tym fakcie przez długi czas przyjmowana była jako całkowicie niewiarygodny i wręcz krańcowo w swym absurdzie bezczelny wymysł komunistycznej propagandy. Był to bowiem czas masowych aresztowań, których bardzo

liczni starali się uniknąć schodząc do podziemia i ukrywając się. Mnożyły się sytuacje w których ścigani przez milicję czy Służbę Bezpieczeństwa skutecznie uciekali, dokonując czynów brawurowych i ryzykując życiem. Z rąk funkcjonariuszy SB wyrwał się np. Bogdan Borusewicz, który nie dał się schwytać pomimo oddania w jego kierunku wielu strzałów z broni palnej. W podobnej sytuacji ciężko ranny został Jan Narożniak, do którego strzelał patrol ZOMO. Członek Komisji Krajowej NSZZ Solidarność wrocławianin Eugeniusz Szumiejko z obławy, w której udział brały liczne oddziały milicji i SB, umknął wychodząc przez okno mieszkania znajdującego się na dziesiątym piętrze bloku mieszkalnego, przy czym do niepostrzeżonego zsuwania się na dół służył mu jedynie zamontowany na ścianie przewód piorunochronu. W podobnych okolicznościach przed wdzierającymi się do mieszkania esbekami parokrotnie uciekał Jerzy Petryniak, któremu do tego celu służyła lina wspinaczkowa. Inni działacze opozycji, również w nieco późniejszym okresie związani z Solidarnością Walczącą, tacy jak Jerzy Bielawski czy Maciej Frankiewicz zastąpili udanymi ucieczkami z więzienia. Powszechny podziw i uznanie zyskiwali w tym czasie także ci, którzy zdołali się skutecznie ukryć przed tropiącym ich aparatem represji i rozwinęli bardzo aktywną działalność konspiracyjną o imponującej skali. Takim liderem podziemia w tempie najszybszym, a jak się później okazało również na czas zdecydowanie najdłuższy, stał się Kornel Morawiecki.

Grudniowa decyzja Leszka Moczulskiego skompromitowała go w oczach przede wszystkim szerokich rzesz sympatyzujących z nim ludzi młodych. W przypadku Wrocławia praktycznie wszyscy należący do KPN – u licealiści, którzy kontynuowali działalność niepodległościową w realiach stanu wojennego, związali się z innymi ośrodkami opozycji. Podobnie rzecz wyglądała w przypadku środowiska studenckiego, w którym grono członków KPN też było liczne, ale ich aktywność skupiła się głównie w Niezależnym Zrzeszeniu Studentów czy Akademickim Ruchu Oporu. Mające związek z Konfederacją takie inicjatywy wydawnicze, jak „Piłsudczyk Wielkopolski” (ukazujący się we Wrocławiu – fałszujący miejsce wydawania tytuł miał na celu wprowadzanie w błąd aparatu ścigania) funkcjonowały z udziałem działacza KPN Dariusza Wołowca – związanego z Wrocławiem, ale studiującego na poznańskiej Akademii Medycznej.

Przyszłość partii Leszka Moczulskiego dodatkowo skomplikowało to, że jej przywódca, po amnestii ogłoszonej przez reżim komunistyczny w czterdziestolecie Polski „ludowej” w sierpniu 1984 więzienie opuszczali podzieleni. Po-

legało to głównie na tym, że w wyniku konfliktu z Leszkiem Moczulskim Romuald Szeremietiew, Tadeusz Stański i inni dotychczasowi działacze KPN 22 stycznia 1985 utworzyli nową formację – Polską Partię Niepodległościową. Związało się z nią też wielu działaczy Solidarności Walczącej, m.in. Maciej Ruszczyński, co nie stanowiło naruszenia żadnej z zasad organizacji Kornela Morawieckiego. Uczestnictwo w różnych formacjach o zbieżnych celach nie było w Solidarności Walczącej zjawiskiem rzadkim (w późniejszym czasie pojawiło się sporo działaczy SW zaangażowanych w działalność Pomarańczowej Alternatywy, Ruchu Wolność i Pokój czy Liberalno-Demokratyczną Partię „Niepodległość”). Ważne było jedynie to, by uczestnictwo w różnych aktywnościach opozycji nie generowało ryzyka dla współpracowników, których działania wymagały praktykowania ścisłej konspiracji.

Generalnie na Dolnym Śląsku (dość podobnie, jak i w Wielkopolsce czy na Pomorzu) dynamiczny rozwój struktur organizacji Solidarność Walcząca niejako „zagospodarował” ten potencjał, który w przypadku silniejszej obecności KPN-u czy PPN-u prawdopodobnie zasiliłby te właśnie formacje. O tym, że w latach osiemdziesiątych mieliśmy do czynienia z tego rodzaju mechanizmem świadczy też strukturalny rozwój Konfederacji Polski Niepodległej w Krakowie. Tam mieliśmy do czynienia z procesem analogicznym a zarazem przeciwnym – ludzie, którzy prawdopodobnie zaangażowaliby się w działalność Solidarności Walczącej, trafiali do KPN-u, z którym w mieście tym skontaktować się było łatwiej, niż z SW. Z kolei na obszarze Górnego Śląska uczestnictwo w Solidarności Walczącej chyba najczęściej pokrywało się z przynależnością do KPN-u.

Stanowisko samego Kornela Morawieckiego w kwestii tej było podobne do samej konstrukcji organizacyjnej Solidarności Walczącej, której poszczególne jednostki miały dużą autonomię także pod względem ideowym czy w zakresie sympatyzowania z różnymi siłami politycznymi. Z tej właśnie przyczyny nie budziło żadnych kontrowersji udzielanie wsparcia Antoniemu Lenkiewiczowi i związanemu z nim środowisku, które zdecydowane było kontynuować działalność Konfederacji Polski Niepodległej na terenie Wrocławia i Dolnego Śląska. Po opuszczeniu obozu internowania (co nastąpiło dopiero 23 grudnia 1982) Lenkiewicz nawiązał bliską współpracę z Solidarnością Walczącą, w zasadzie stając się jej członkiem. Nadal jednak liczył na to, że będzie mógł realizować także program KPN-u. Jego aktywność w dużej mierze polegała jednak na jawnych wystąpieniach i wykładach, których miejscem były przede wszyst-

kim kościoły oraz budynki należące do klasztorów i parafii. W związku z tym był on wielokrotnie zatrzymywany a po wykładzie we wrocławskim kościele św. Karola Boromeusza, wygłoszonym 11 listopada 1985, został porwany przez funkcjonariuszy SB. W areszcie śledczym spędził wtedy dziewięć miesięcy, po czym sąd skazał go na rok więzienia w zawieszeniu.

Model działalności, prowadzony przez dolnośląskiego lidera KPN, nie był łatwy do pogodzenia z praktyką solidnej konspiracji, jaka charakteryzowała Solidarność Walczącą. Właściwy model współpracy – był jednak możliwy. W listopadzie 1987 Agencja Informacyjna Solidarności Walczącej zaczęła wydawać „Konfederację Dolnośląską. Pismo Obszaru 7 KPN”. Redaktorem i autorem największej liczby artykułów był Antoni Lenkiewicz. Zawierało ono przede wszystkim komentarze dotyczące bieżących wydarzeń, artykuły na temat celów stojących przed Polakami i strategii ich osiągnięcia oraz liczne teksty o historii najnowszej. Zwykle sześciostronicowe drukowane było techniką sitodrukową. Jego powielaniem zajmowali się także członkowie Grupy „Baszta” – niezależnej, ale funkcjonującej w bliskiej współpracy z organizacją Kornela Morawieckiego. Wydawnictwa Solidarności Walczącej publikowały też całe mnóstwo artykułów, których autorami byli działacze KPN. Najlichniesze – znów Antoniego Lenkiewicza. W dużym nakładzie SW wydała też jego książkę – biografię Marszałka Józefa Piłsudskiego.

W 1989 roku Konfederacja Polski Niepodległej zajęła inne stanowisko w stosunku do tzw. „wyborów kontraktowych”. Jako reprezentant KPN kandydował w nich m.in. Antoni Lenkiewicz. Solidarność Walcząca wybory te bojkotowała, ale niektóre jej pisma w swojej publicystyce wyrażały pogląd, który można sprowadzić do słów: „Jeśli już idziesz na te wybory to głosuj na Antoniego Lenkiewicza lub Jana Waszkiewicza” (założyciela „Biuletynu Dolnośląskiego” i współpracownika SW).

W rzeczywistości, jaka zapanowała po wyborach z czerwca 1989, stanowisko beneficjentów transformacji ustrojowej w stosunku do Solidarności Walczącej było całkowicie inne od tego, jakie przyjęli oni wobec KPN-u. SW stała się bytem całkowicie pomijanym, marginalizowanym, eliminowanym z wszelkiej debaty. Natomiast KPN został zaproszony do wielkiej telewizyjnej debaty, w której bardzo liczne grono jego członków w czasie trwającego blisko godzinę programu w porze największej oglądalności wygłaszało swoje poglądy i polemizowało z grupą członków partii komunistycznej. W ówczesnych realiach medialnych, w których istniały tylko dwa kanały telewizji, czte-

ry stacje radiowe a Internet nie śnił się jeszcze nikomu, debatę tę oglądała cała Polska. I to przede wszystkim jej KPN zawdzięczać może przebicie się do najbardziej masowej świadomości, czego owocem była następnie obecność jego członków w Sejmie. Zanim to nastąpiło w roku 1990, w związku z pozbawieniem Kornela Morawieckiego prawa startu w wyborach prezydenckich, członkowie i sympatycy Solidarności Walczącej czynnie i masowo poparli kandydaturę Leszka Moczulskiego. Sam Kornel Morawiecki często wówczas powtarzał, że „z KPN-em prawdopodobnie najbardziej nam jest po drodze”. Tak też uważała większość utworzonej w 1990 Partii Wolności – Solidarności Walczącej i jej sympatyków, która gremialnie popierała postów KPN-u w związku z nieobecnością w parlamencie własnych przedstawicieli. Radykalna zmiana nastąpiła tu w czerwcu 1992, kiedy posłowie KPN zagłosowali za odwołaniem rządu Jana Olszewskiego, co dla ludzi Solidarności Walczącej było ciężkim szokiem. Dodatkowo pogłębił go fakt umieszczenia nazwiska Leszka Moczulskiego na Liście Macierewicza oraz opublikowanie materiałów filmowych, dokumentujących uczestnictwo przewodniczącego KPN w naradzie Lecha Wałęsy z liderami ugrupowań dążących do zablokowania lustracji, obalenia rządu Jana Olszewskiego oraz powierzenia funkcji premiera Waldemarowi Pawlakowi. Skutki nie dały na siebie długo czekać – poparcie dla KPN – u szybko stopniało, wraz z czym skończyła się także obecność partii Leszka Moczulskiego w polskim parlamencie.

Solidarność Walcząca i Konfederacja Polski Niepodległej przez całe lata osiemdziesiąte stanowiły większość niepodległościowego nurtu polskiej opozycji. KPN szczylił się większą liczbą członków, SW dysponowała większą liczbą tytułów wydawanych pism, niewspółmiernie większą bazą poligraficzną a także radiofonią oraz strukturami, które SB definiowała jako „konspirację o charakterze ofensywnym”. Najbardziej w tej historii charakterystyczne jest jednak to, że ze wszystkich ugrupowań nurtu niepodległościowego w tworze szumnie zwanym Trzecią Rzeczpospolitą jedynie KPN-owi, i to na bardzo krótko, udało się zaistnieć w polskim parlamencie.



KONSPIRACJA CZTERNASTOLATKÓW

Wraz z ogłoszeniem w Polsce stanu wojennego spora część tych działaczy NSZZ Solidarność oraz różnych formacji opozycyjnych, którym udało się uniknąć uwięzienia, rozpoczęła aktywność konspiracyjną. W grudniu 1981 powstało też wiele organizacji, skupiających ludzi reżimowi komunistycznemu dotąd nieznanym ze swej czynnej postawy w stosunku do PRL-owskiej rzeczywistości.

Wśród podziemnych związków, dla których impulsem do ich powstania było wypowiedzenie przez juntę Jaruzelskiego otwartej wojny polskiemu narodowi, były i organizacje młodzieżowe. Działalność większości z nich nie trwała długo, ale były i takie, których skala aktywności była znacząca a jak się potem okazało – wywodzili się z nich działacze niepodległościowi największego kalibru. Warto więc choć krótko przypomnieć o dwóch takich organizacjach. Ich początki były może czasem nieporadne i, z dzisiejszej perspektywy, niektóre ich akcje mogą nawet budzić rozbawienie. Tym bardziej, że chodzi o walkę z reżimem, realizowaną przez osoby liczące czternaście i mniej lat.

Pierwszą z tych organizacji była kilkuosobowa formacja, złożona z uczniów wrocławskiej szkoły podstawowej przy ul. Łukasza Górnickiego. Jej liderem był uczeń siódmej klasy Dariusz Bogdan. Już 13 grudnia 1981 spotkał się on z kilkoma swoimi kolegami. Wszyscy oni uważali, że należy udzielić maksymalnego wsparcia zaatakowanemu związkowi zawodowemu Solidarność. Owocem zebrania było powołanie do życia konspiracyjnego związku, któremu nadali nazwę: Organizacja Patriotów Polskich. Jeszcze tego samego dnia chłopcy podjęli pierwsze działania. Były nimi hasła malowane na murach. Pamiętajmy, że ulice były wtedy pełne wojska i milicji. Obowiązywało prawo wojenne, przerażeni żołnierze służby zasadniczej w magazynkach swych kałasznikowów mieli ostrą amunicją, funkcjonariusze ZOMO szkoleni byli do działań z maksymalną agresją i brutalnością. Dowódcy informowali ich o gwarantowanej im absolutnej bezkarności w przypadku śmiertelnych ofiar ich działań. Nie są też żadnym mitem, lecz historyczną prawdą, przypadki podawania zomowcom przed akcjami pacyfikacyjnymi środków psychoaktywnych. Podejmowa-

nie więc działalności takiej, jak malowanie na murach, wiązało się z najpoważniejszym ryzykiem. Tym bardziej, że na akcje takie wychodzili chłopcy w nocy, czyli w czasie obowiązywania godziny milicyjnej.

Działalność Organizacji Patriotów Polskich trwała do wiosny 1982, kiedy to część jej członków zaczęła włączać się w aktywność większych, okrzepłych formacji podziemia, funkcjonujących w kontakcie z tzw. „dorosłym podziemiem”. Pojęcie „dorosłe podziemie” jest ważnym wyróżnikiem, przez całe lata osiemdziesiąte znanym i używanym słowem odnoszącym się do konspiracji ludzi dorosłych. Swych młodszych druhów traktowała ona zresztą bardzo serio. Solidarność czy Solidarność Walcząca w knujących (to też ważne słowo tego czasu) nastolatkach widziały nie tylko swych następców, ale też kadry służące jak najbardziej rzeczywistym wsparciem. Przykładem akcji Organizacji Patriotów Polskich, o której mówiono w całym Wrocławiu, była „podmianka” propagandowego banera, stojącego na Placu Grunwaldzkim.

Trudno dziś ustalić, kto wpadł na ten pomysł. W każdym razie chłopcy postanowili zmienić treść wielkiego komunistycznego banera propagandowego, stojącego na środku Placu Grunwaldzkiego. W miejscu, w którym dziś jest galeria Dominikańska, był wtedy wielki trawnik. Na jego środku stała typowa konstrukcja, znamienna dla tamtych czasów. Było to coś w rodzaju rusztowania, do którego przytwierdzone były wielkie tablice z napisem „SOCJALIZM WYTYCZA KIERUNEK ROZWOJU LUDZKOŚCI”. Organizacja Darka Bogdana postanowiła napis ten zastąpić innym. Uznali jednak, że trzeba to zrobić w taki sposób, żeby „podmianka” nie była zbyt szybko zauważona. W tym celu któregoś grudniowego dnia 1981 roku udali się na zasypany śniegiem trawnik. Udając, że znaleźli się tam w celu stoczenia walki na śnieżki, dość dokładnie zmierzili krokami długość białego komunistycznego banera. Jak się później okazało – trafnie też oszacowali jego wysokość. Następnie zgromadzili odpowiednią ilość płótna. W tym celu każdy (w większości wypadków zapewne bez wiedzy rodziców) przyniósł z domu przynajmniej dwa prześcieradła. Po ich zszyciu przystąpili do wykonywania „banera zastępczego”. W tym celu wysprzątały strych jednej z kamienic przy ul. Mikołaja Sępa – Sarzyńskiego. Tylko tam znaleźli bowiem miejsce z podłogą o powierzchni dostatecznie dużej, by na niej rozwinąć choć połowę „zastępczego płótna”. A wymalowali na nim hasło: „SOCJALIZM TO OSZUSTWO, JEDYNĄ NADZIEJĄ SOLIDARNOŚĆ”. Użyli przy tym barw i liternictwa dokładnie takich samych, w jakich wykonany był komunistyczny baner, stojący na Placu Grunwaldzkim. Całość płótna starannie zszyli,

tworząc z niego coś w rodzaju olbrzymiego pokrowca, który ściśle będzie mógł przylegać do tablic tegoż propagandowego hasła. Następnego dnia chłopcy, przebrani w robocze kombinezony, dzięki czemu mogli być postrzegani jako typowa ekipa fizycznych pracowników, jakie wówczas wykonywały na terenie miast różnorakie prace, udali się na Plac Grunwaldzki. Krótko przed godziną szczytu, w której przez ten wielki węzeł komunikacyjny przewalały się największe ilości tramwajów, autobusów i wszelkiego rodzaju innych pojazdów, rozpoczęli swoją akcję. Czworo „robotników” wspięło się na rusztowania, stanowiące wielkie „trzymadło” banera i zaczęło na niego nakładać jego płócienną nową treść. Ich stojący na ziemi koledzy naciągali płótno od dołu. Niespiesznie wykonywane czynności zajęły parę minut, po czym zwykłym „robociarskim” krokiem „robotnicy” oddalili się w kierunku najbliższej, przelotowej kamienicznej bramy. W niej błyskawicznie się przebrali i kilka minut później mogli oglądać swoje dzieło z okien tramwaju. Posterunki wojska i ZOMO stały w różnych punktach placu, będącego wtedy kilkudziesięciohektarową wielką przestrzenią. Wszystko wskazywało na to, że nikt z mundurowych nie zauważył zmiany, jaka właśnie zaszła. Jedynie kilkanaście metrów przed banerem stał kilkuosobowa grupka przecierająca oczy nie dowierając temu, co widzą. Obserwujący tę scenę chłopcy nagle usłyszeli krzyk jednego z pasażerów tramwaju: „Ludzie! Patrzcie, co tam jest napisane!” Po chwili tramwaj aż zakipiął od wybuchów entuzjazmu i głośnych oklasków. W tym samym momencie dało się zauważyć, że stojący na światłach autobus dosłownie podskakuje. W jego oknach widać było co najmniej sto twarzy w szerokich uśmiechach. Widać też było trzymającego się za głowę kierowcę, który patrząc w stronę banera zanosił się od śmiechu. Dopiero po paru kwadransach, kiedy przez Plac Grunwaldzki przetoczyły się dziesiątki tramwajów i autobusów do strażników komunistycznego porządku dotarło, że na terenie powierzonym ich nadzorowi coś się wydarzyło. W tym czasie opowieść o prosocjalistycznym banerze, który zamienił się w antysocjalistyczny, była podawana z ust do ust we wszystkich dzielnicach Wrocławia.

Liderem drugiej organizacji, która powstała w tym samym czasie, był rówieśnik i szkolny kolega Darka Bogdana – Waldemar Kras. On też w dniu ogłoszenia stanu wojennego zwołał zebranie podwórkowych i klasowych przyjaciół. Na zebraniu tym też stanęła kwestia nazwy organizacji, ale w związku z brakiem zgodności w tej kwestii chłopcy postanowili działać „a nazwę potem się ustalili”. Formy tej aktywności były podobne do Organizacji Patriotów Pol-

skich. W malowaniu napisów na murach Waldek Kras z kolegami zapuścili się jednak w odleglejsze od swych domów rejony miasta a malowali także w biały dzień. Najczęściej zaczynali rankiem, zaraz po końcu godziny milicyjnej. I tu już jednego z pierwszych dni Waldek z jednym ze współpracowników zmuszeni zostali do ucieczki ulicami miasta. Gonieni przez milicjantów wbiegli do wnętrza katedry św. Jana, po czym ukryli się w jednym z jej zakamarków. Wszystkie próby opuszczeni świątyni okazywały się być ryzykowne – jeszcze po kilku godzinach przed każdym wejściem stała milicja. Przedpołudniowe i popołudniowe msze święte zgromadziły zbyt małą liczbę wiernych, by można się było ukryć w grupie wychodzących z kościoła. Dopiero na wieczorną mszę przyszedł tłumy i po niej, kiedy na dworze panował już mrok, udało im się ukryć w rzęsy wychodzących. Milicja wypatrywała ich w tłumie, ale okazał się on zbyt liczny. Po kilkunastu godzinach, wygłodniali ale bezpieczni, zdołali dotrzeć do swoich domów.

Wszyscy członkowie organizacji Waldemara Krasa z wielkim szokiem przyjęli wiadomość o masakrze górników w Kopalni „Wujek”. W czasie burzliwego zebrania, zwołanego natychmiast po wiadomościach, które napłynęły z Katowic, chłopcy byli całkowicie zgodni co do tego, że „odwet musi być adekwatny i natychmiastowy” oraz że „ulotki czy hasła na murach absolutnie nie wystarczą – potrzebny jest atak o charakterze zbrojnym”. Młodzieńcy nie mieli broni ani materiałów wybuchowych, ale postanowili nie czekać aż uda się im je zdobyć. Postanowili jeszcze tego samego dnia zaatakować najbliższy komisariat Milicji Obywatelskiej. Znajdował się on przy ul. Grunwaldzkiej a orężem ataku miały być kamienie. W celu znalezienia odpowiednich kamieni ośmiu chłopców, z których najstarsi mieli po czternaście lat a paru było o parę lat młodszych, udali się w stronę Mostu Pokoju, obok którego trwały jakieś prace wykopowo – budowlane. W wyniku tego, co tam zobaczyli, postanowili skorygować plan swojej akcji a ściślej rzecz ujmując – wzbogacić swoje plany o jeszcze jeden element. Okazało się bowiem, że kilka metrów od Odry, przodem w kierunku rzeki, stał pojazd milicyjny marki nysa. Strome kamienne nabrzeże, przed którym stała nysa, w efekcie prac remontowych nie było zabezpieczone żadną barierką. Młodzi bojownicy ocenili, że jeśli ta milicyjna „suka” nie ma zaciągniętego hamulca, to napierając na nią od tyłu da się ją zepchnąć tak, by z kamiennej przepaści spadła wprost w lodowatą wodę rzeki. W samochodzie znajdowało się dwóch milicjantów w polowych mundurach i zimowych czapkach na głowach. Robili wrażenie drzemiących. W krótkiej naradzie

ustalono plan działania oraz miejsce, w którym wszyscy spotkają się po zakończeniu akcji. „Wczoraj wasi towarzysze z zimną krwią mordowali w Katowicach – odwet przyjdzie we Wrocławiu” pomysleli chłopcy i rzucili się do pchania nysy w stronę Odry. Ręczny hamulec nie był zaciągnięty, przy wyłączonym silniku prawdopodobnie wrzucony był jakiś niski był. Za sprawą pchania przez ośmiu chłopców nyska bowiem z trudem, ale zaczęła ruszać z miejsca, by po chwili nawet zacząć się rozpędzać w kierunku rzecznej przepaści. Do jej krawędzi było już mniej, niż dwa metry, kiedy z wnętrza dał się słyszeć przeraźliwy, nieartykułowany wrzask. Najwyraźniej milicjanci się przebudzili – ich ciemne sylwetki się zakotłowały, szeroko otworzyły się drzwi pasażera, jeden z milicjantów wytoczył się na zewnątrz i padając przybrał pozycję „na czworakach”. Drugi zapewne z całych sił naciskał wtedy na pedał hamulca. Chłopcy usłyszeli tylko przerażająco głośny krzyk wstającego z kolan: „Pozabijam was skurrwysyny!!” Nikt z młodych bojowników nie zamierzał sprawdzać, czy obietnica ta zostanie dotrzymana. W szalonym pędzie każdy z nich „gnał gdzie pieprz rośnie”.

Po dotarciu na miejsce zbiórki organizacja policzyła swoich członków i stwierdziła, że nie poniosła strat. Akcję z nysą szybko oceniono jako oczywiście nieudaną, ale jej podjęcie nadal wszyscy uważali za krok słuszny, „bo przynajmniej dwóch nastraszyliśmy”. Równocześnie postanowiono powrócić do pierwotnego planu na ten dzień, czyli ataku odwetowego na komisariat przy Grunwaldzkiej. Zaczynało się ściemniać, więc kamieni nie szukano długo. Chłopcy wzięli te, które znaleźli po drodze i po ustaleniu kolejnego miejsca zbiórki po akcji zbliżyli się do budynku komisariatu. Nie stał przed nim żaden milicjant, więc na komendę w stronę ściany komisariatu poleciało osiem kamieni a następnie – kolejnych osiem (każdy miał po jednym w każdej ręce). Po błyskawicznej ucieczce wszyscy znów spotkali się w ustalonym miejscu zbiórki. Analiza przebiegu akcji w ocenie jej uczestników prowadziła ich do wniosku, że osiągnięte cele nie były zadowalające. Tylko część kamieni trafiło w ścianę, żaden nie wybił nawet szyby. Wszyscy zgodnie uznali, że przyczyną było rzucanie ze zbyt dużego dystansu i za duża odległość źle wpływała na celność. Postanowiono więc akcję niezwłocznie powtórzyć i w czasie tej „powtórki” rzucać z odległości nie dalszej, niż oś jezdni ulicy Grunwaldzkiej, na krawędzi chodnika której, w zwartej zabudowie, stał budynek komisariatu. Chwilę później wszyscy chłopcy znów byli przed komisariatem. Znów w jego kierunku poleciały kamienie. Tym razem wszystkie osiągnęły cel, pozostawiając ślady na fasadzie a dwa rozbiły szyby w oknach. Tym razem też jednak za plecami chłopców na-

gle powyrastali funkcjonariusze milicji. Wzięli się jakby nie wiadomo skąd. Nie minęła minuta a wszyscy członkowie organizacji wewnątrz komisariatu po kolei byli poddawani szczegółowej rewizji osobistej i jeden po drugim – zamykani za kratami cel przejściowych.

Cała noc chłopcom upłynęła na przesłuchaniach, w czasie których ustalono, że dwóch ma lat zaledwie dwanaście. W czasie rozmów, a w zasadzie nie kończących się milicyjnych wrzasków i różnych (na szczęście niezbyt dotkliwych) form przemocy fizycznej, młodzi ludzie dowiadawali się m.in., że obowiązuje prawo wojenne i za jakikolwiek akt napaści na funkcjonariuszy wyroki śmierci mogą być wykonywane bez względu na wiek terrorystów natychmiast po trwającym kilka minut procesie. Podobnym groźbom nie było końca.

Przed komisariat ściągnięto samochody pancerne i rozstawiono posterunki. Uzbrojeni żołnierze i płonące nocami koksowniki stały się w tamtych tygodniach składnikiem pejzażu tego wrocławskiego zakątka. Komisariat pękał w szwach od aresztowanych, których najwięcej przybyło po stłumieniu próby strajku, do jakiej doszło w zakładach Polar. Przed ich bramami doszło do starć z siłami ZOMO i uspokoiły się one dopiero po wjechaniu na przyzakładowy plac kolumny czołgów T-55. Część zatrzymanych była zwożona właśnie do komisariatu na Grunwaldzkiej. Kolejnymi ich grupami upychano i tak już przepełnione cele. Z głośnych w całym budynku wrzasków a wcześniej brzęku tłuczonych szyb uwięzieni zorientowali się, że ich towarzyszami niedoli są jakieś odważne dzieciaki. Stąd wiele razy dało się słyszeć krzyki: „Dobrze zrobiliście! Trzymajcie się, zuchy!”

Do południa dnia następnego trwało ściągnięcie do komisariatu rodziców młodych aresztantów. Telefony od kilku dni były wyłączone, stanowiły zresztą w ówczesnej Polsce dobro rzadkie, więc milicja odwiedzała kolejne mieszkania osobiście. I tu wydarzyła się nagle rzecz, która była ogromnie zaskakująca zarówno dla funkcjonariuszy, jak i dla niemal wszystkich członków organizacji Waldemara Krasa. Okazało się bowiem, że ojcem jednego z młodych bojowników jest sekretarz Komitetu Zakładowego PZPR jednego z największych zakładów pracy Wrocławia. Towarzysz ojciec natychmiast przystąpił do negocjacji ze swoim dobrym znajomym z dowództwa wrocławskiej milicji. Obydwaj doszli do zgodnego wniosku, że karanie a tym samym nagłaśnianie incydentu z udziałem tak młodych przeciwników ustroju nie leży w interesie socjalizmu. Tym bardziej, że jednym z nich okazał się być pierworodny dwunastoletek jednego z głównych w mieście socjalizmu rzeczników. Owocem cichego po-

rozumienie były środki na remont fasady komisariatu oraz zwolnienie zatrzymanych nastolatków bez nadawania żadnego biegu zaistniałemu incydentowi.

Dalsze losy liderów dwóch organizacji, powstałych we Wrocławiu w grudniu 1981, zasługują nie tylko na oddzielne artykuły, ale całe książki. W tym miejscu ograniczmy się tylko do najbardziej znamienitych faktów. Dariusz Bogdan 1 maja 1983 został zatrzymany po nielegalnej demonstracji. Po dwóch dniach piekła, zgotowanego mu przez milicję, zdołał uniknąć poważniejszych konsekwencji. Niecały rok później został jednak aresztowany w czasie rozklejania antykomunistycznych plakatów. Po brutalnym śledztwie i czterech miesiącach spędzonych w areszcie został uwolniony w wyniku ogłoszenia amnestii. Stał się wtedy na czele młodzieżowej grupy, identyfikującej się z Solidarnością Walczącą, której celem było stawianie czynnego oporu tłumiącym demonstracje oddziałom ZOMO. Jesienią 1984 został w związku z tym aresztowany i po śledztwie, złożonym z tortur o charakterze gestapowsko-stalinowskim, w styczniu 1985 został skazany na rok i 10 miesięcy (krótco potem wyrok powiększono o jeszcze kilka miesięcy) więzienia. Do celi siedemnastolatek trafił z poważnym, trwałym uszczerbkiem zdrowia. Zdołał wysłać za mury gryps, który po opublikowaniu w prasie podziemnej i na antenie Radia Wolna Europa wywołał wielki wstrząs. Po przeniesieniu do więzienia przy ul. Kleczkowskiej lekarz, będący członkiem Solidarności Walczącej, stwierdził m.in. zagrażające życiu pęknięcia podstawy czaszki. Warunkowe zwolnienie miało umożliwić podjęcie leczenia. Zamiast tego Dariusz Bogdan został przez „nieznanych sprawców” porwany z ulicy i wywieziony do lasu, gdzie kazano mu kopać grób. Sprawcy odjechali nie zabijając swej ofiary, ale wykopana przez niego jama była już wtedy na tyle głęboka, że z trudem zdołał się z niej wydostać. obrażenia, jakie odniósł z rąk MO i SB, uczyniły go inwalidą, którym już będzie do końca życia.

Waldemar Kras w maju 1982 związał się z Polską Niezależną Organizacją Młodzieżową. Na przełomie 1982 i 1983 roku odbył kurs poligraficzny, prowadzony przez Solidarność Walczącą. Założył m.in. pismo „Impuls”. W grudniu 1984 Służba Bezpieczeństwa aresztowała go, rekwirując w jego mieszkaniu pięć przygotowanych do druku ramek sitodrukowych oraz dwa i pół tysiąca świeżo wydrukowanych gazetek „Z Dnia na Dzień”. Po paru miesiącach śledztwa siedemnastolatek trafił do celi z zasądzonym rokiem więzienia. Po warunkowym zwolnieniu był uczestnikiem wielu niepodległościowych aktywności. Jest dziś żonatym ojcem trojga córek i dziadkiem dwojga wnucząt.



PIERWSZE ULOTKI

Z akcją rozrzucania nielegalnych ulotek o treści politycznej po raz pierwszy spotkałem się w pierwszych dniach roku 1980. Jacyś ludzie rozrzucili je zarówno wewnątrz jak i na zewnątrz gmachu zwanego we Wrocławiu „Pedetem”. W owym czasie był to największy dom towarowy w Polsce a jego ówczesna konstrukcja (po niedawnej przebudowie wewnątrz to wygląda całkowicie inaczej) rzeczywiście sprzyjała takim przedsięwzięciom. W centrum tej wielkiej bryły znajdowała się bowiem pusta przestrzeń, otoczona galeriami czterech pięter. Jeśli więc zrzucić ulotki z kondygnacji najwyższej to lądowały one na niższych. A przede wszystkim na ulokowanym na parterze największym w mieście spożywczym sklepie samoobsługowym, w którym zawsze tłoczyła się masa ludzi. W całym „Pedecie” zawsze wtedy były ich tysiące. Gmach ten zawsze też otoczony był masą przechodniów. Dziś już nie bywa ich tam tak wielu – gros funkcji handlowych przejęły hipermarkety, które w latach PRL-u nikomu jeszcze się nawet nie śniły. Ulotki rzucone w styczniu 1980 nad ulicznymi tłumami w tym właśnie miejscu musiały wzbudzać sensację i oczywiście trafić do bardzo wielu ludzi.

Tysiące karteczek, które niespodziewanie pojawiły się wewnątrz i na zewnątrz „Pedetu” przedstawiały nakreślony czyjaś wprawna kreską rysunek baranów pędzonych w kierunku urny wyborczej. Akcja związana była bowiem z prowadzoną przez opozycję kampanią, mającą uświadamiać społeczeństwu, że to, co w PRL-u nazywane było „wyborami” to całkowita fikcja i że szanujący się obywatel w tego rodzaju komunistycznej farsie nie powinien uczestniczyć. Artykuły na ten temat publikowane były na łamach pism takich, jak „Biuletyn Dolnośląski” czy „Podaj Dalej”, ale ich zasięg był w tamtym czasie jeszcze dość ograniczony. Natomiast przeprowadzone w centrum miasta akcje ulotkowe wywołały poruszenie w całym Wrocławiu. Wielu, tak jak ja, spotkało się wtedy z czymś takim po raz pierwszy. Rzeczy takie kojarzyłem z wydarzeniami znanymi mi z książek i filmów o niemieckiej okupacji. Spotkałem jednak wtedy całe mnóstwo ludzi, którzy nagle zaczęli opowiadać o ulotkach rozrzucanych we Wrocławiu w roku 1968, 1969 a także w związku z tragedią Grudnia 1970 i w roku 1976. O tym, że pojawiły się w styczniu 1980, słyszało się wtedy w bardzo wielu miejscach. Czasem nawet w tramwaju mówił ktoś: „Wczoraj znowu rzucali” a odpowiedzią było pytanie: „Jakie?” Bo pojawiać się

zaczęły już nie tylko karteczki z satyrycznymi obrazkami, ale też zadrukowane tekstem.

Po wielu latach na temat ulotek, rozrzucanych w styczniu 1980, rozmawiałem między innymi z Krzyskiem Gulbinowiczem, Włodkiem Strzemińskim i Kornelem Morawieckim. Krzysiek opowiadał, że część tych ulotek drukował wraz ze swoim bratem. Włodek ich rozrzucanie kojarzył głównie z Jerzym Filakiem. Mówił: „Jurek to zawsze był fantastyczny gość. Wspaniały człowiek, na którego zawsze można było liczyć. Taka chodząca dobroć i zarazem człek nieustraszony. Stalowe nerwy i całkowity spokój – w najbardziej ryzykownych miejscach rzucał a potem oddalał się swobodnym krokiem, bez najmniejszych oznak niepokoju.” Kornel opowiadał mi też o innych ludziach, którzy rozrzucali wtedy te ulotki. Przede wszystkim o całej tej sprawie mówił mi mniej – więcej tak: „Wiesz, my wtedy pod koniec 1979 roku postanowiliśmy wezwać do bojkotu tych fikcyjnych, komunistycznych wyborów. W tym celu zawarte zostało takie szerokie porozumienie wszystkich chyba kręgów opozycji. We Wrocławiu działało już wtedy coś takiego, co nazywaliśmy Radą Jedności. To były takie spotkania ludzi w naszej części kraju związanych ze wszystkimi możliwymi opozycyjnymi środowiskami, które w różnych sprawach o to czy tamto się spierały. A w sprawie tego bojkotu tej farsy wyborczej, o ile mnie pamięć nie myli, to chyba nikt się nie sprzeciwiał. Oczywiście byli za tym bojkotem Antoni Lenkiewicz i Tadeusz Jandziszak z KPN-u, był Leszek Skonka, próbujący formować niezależne związki zawodowe, oczywiście Adaś Pleśnar i jego Ruch Wolnych Demokratów, jednoznacznie za bojkotem był Studencki Komitet Solidarności, podobnie wrocławianie związani z KOR-em i Ruchem Obrony Praw Człowieka i Obywatela a także różni inni – wydawcy bezdebitowych publikacji czy sygnatariusze co jakiś czas wysyłanych do władz petycji w różnych sprawach. To był w tamtym czasie chyba najbardziej zgodny krok całego tego opozycyjnego spectrum. I wszyscy propagowali tę ideę tymi środkami, jakie kto miał. Wezwanie do bojkotu przekazywane było też w Wolnej Europie i innych rozgłoszeniach. Oprócz druku w wydawnictwach drugiego obiegu i ulotek pojawiło się też trochę napisów na murach. Skala tego przedsięwzięcia była całkiem spora. Większa, niż się początkowo spodziewaliśmy. Nie chcieliśmy też oczywiście polegać na oficjalnych informacjach, więc postaraliśmy się o to, by mieć możliwie dużo prawdziwych wiadomości na temat rzeczywistej frekwencji. I wiesz co? Okazało się, że pomimo tak wielkiego naszego wysiłku, całej tej mobilizacji wszystkich chyba opozycyjnych kręgów skutki tej naszej kampanii okaza-

ty się być minimalne. O jakieś pojedyncze punkty procentowe ta frekwencja była mniejsza od tej z poprzednich głosowań. Bardzo liczyliśmy na dużo więcej. Spodziewaliśmy się, że czynnikiem, który da znać o sobie, będą te wielkie narodowe przeżycia, jakimi był niedawny wybór kardynała Wojtyły na papieża oraz jego czerwcowy pielgrzymka do ojczyzny. Lecz ku naszemu wielkiemu rozczarowaniu ten nasz ledwie bojkocik wyszedł bardzo słabiutko. Wielu z nas więc wtedy powtarzało, że jednak bardzo długo jeszcze w Polsce nic się nie zmieni. Bo zdecydowana większość Polaków w styczniu 1980 pokornie poszła na wybory. Tym bardziej niezwykłym wydarzeniem był dla nas Sierpień. To, że ten sam naród już kilka miesięcy później potrafił tak masowo i tak bardzo nadstawić karku. I doprowadzić do radykalnej, przełomowej wręcz zmiany sytuacji. Jeszcze pół roku wcześniej dochodziliśmy do wniosku, że to nasze walenie głową w mur nie przynosiło prawie żadnego efektu. A tu po tak krótkim czasie – wszystko było już inaczej. Dla mnie było to bardzo cenne i przydatne w następnych latach doświadczenie. Od tej pory wiedziałem, jak gwałtownie i nieoczekiwanie społeczeństwo może się przebudzić, nagle otrząsnąć się z najgłębszego nawet marazmu”.

Ja też przy okazji tej ulotkowej historii miałem okazję nieco zweryfikować pewne swoje wyobrażenia. Po akcjach we wrocławskim „Piedecie” z czerwca 1980 wielokrotnie bywałem w miejscu, z którego rzucano ulotki i za każdym razem dochodziłem do wniosku, że wręcz trudno sobie wyobrazić cokolwiek prostszego i że na pewno da się to zrobić bez niemal żadnego ryzyka. Jak bardzo się myliłem przyszło mi się przekonać w stanie wojennym, kiedy wraz z Grześkiem Osińskim postanowiliśmy rzucić ulotki z tego samego miejsca – z najwyższej kondygnacji w głąb tego wielkiego domu towarowego. Jakież było nasze zdziwienie (a raczej – przerażenie), gdy dosłownie w ciągu sekund usłyszeliśmy krzyki i zobaczyliśmy facetów biegnących z paru kierunków, roztrącających znajdujących się po drodze ludzi, przewracających ich. Mieliśmy dużo więcej szczęścia, niż rozumu. Tłumy na każdym piętrze „Piedetu” były ogromne. W sporej części złożone z ludzi podobnego do naszego wieku, więc bardzo się nie wyróżnialiśmy. Udało nam się podejść do seitek ludzi w różnych kolejkach kłębiących się tak gęsto, że trudno było rozpoznać, kto należy do której. Ja zatopiłem wzrok w otwartej książce, ale przeczytać z niej nie byłem w stanie niczego. Kątem oka ciągle śledziłem coraz liczniejszych facetów, którzy nie kryli się już z tym, że są tajniakami. W ciągu paru minut zaroilo się też od milicji. Jedni jawni i tajni bacznie przyglądali się przecho-

dzącym i stojącym w kolejkach, inni wybranym sprawdzali dokumenty. Z „Pedetu” wychodziłem dopiero po paru godzinach, wynosząc parę bochenków chleba (nie miałem kartek, by kupić cokolwiek więcej) a siatki mając wypchane zdjętym uprzednio swetrem, szalikiem i czapką, by udawać obciążonego wielkimi zakupami. Milicji przy wszystkich wejściach nadal było sporo. Kiedy spotkałem Grześka jedno spojrzenie w oczy wystarczyło by wiedzieć, że przeżył niemal to samo i doszedł do takich samych wniosków. Takie miejsca, jak „Pedet” były przerażająco solidnie pilnowane i rozrzucanie w nich ulotek to wcale nie była rzecz łatwa i bezpieczna.

WOLNOŚĆ – ISTOTA SUKCESU SOLIDARNOŚCI WALCZĄCEJ

Największa i najbardziej efektywna antykomunistyczna niepodległościowa organizacja lat osiemdziesiątych swój rozmiar, skuteczność i dynamikę zawdzięczała zasadzie wolnego wyboru formy działalności przez każdego z jej członków.

SW skupiała ludzi przeróżnych. W okresie jej powstawania dominowali w niej absolwenci studiów z dziedzin ścisłych i technicznych, umysły pragmatyczne i „matematyczne”. Dołączyli do nich humaniści – „romantycy” oraz młodzież paląca się do działań konkretnych, natychmiastowych, do czynnej walki. Różnie wyobrażano sobie ład przyszłej Polski, ale wszystkich łączył cel, którym było obalenie sowieckiego porządku. W przeciwieństwie do inicjatyw, których uczestnikami stawało się „wskakując na beczkę”, do Solidarności Walczącej nie trafiały osoby przypadkowe. Drzwi do struktury otwierał dający wiarygodność system poręczeń a zasada anonimowej pracy w długotrwałej, głębokiej konspiracji nie przyciągała osób poszukujących ścieżek kariery czy motywowanych potrzebami sławy, podziwu czy splendoru.

RÓB TO, W CZYM JESTEŚ NAJLEPSZY

Organizacja potrzebowała osób, uczestniczących w realizacji konkretnych zadań, związanych np. z kolportażem bezdebitowych wydawnictw. Formę własnej aktywności określał jednak indywidualnie każdy z członków organizacji. Esencją tej prawidłowości była odpowiedź Kornela Morawieckiego na pytanie jednego z działaczy o to, co w organizacji powinien robić. Brzmiała ona: „Rób to, od czego upadnie komunizm”. Każdy w Solidarności Walczącej wiedział, że taki jest cel i każdy zastanawiał się nad tym, jak go osiągnąć. Każdy też dysponował indywidualnym wachlarzem mentalnych i fizycznych predyspozycji. Każdy więc sam najlepiej potrafił wybrać preferowaną przez siebie formę działalności. Taką, w której mógłby być najbardziej twórczy i efektywny.

MINIMUM ZAKAZÓW I ROZKAZÓW

Do organizacji trafiali m.in. młodzi ludzie, pragnący podjęcia walki zbrojnej. W ich przypadku zasługą Solidarności Walczącej było powierzenie im zadań innych, ale odpowiadających młodzieży rwącej się do działań z bro-

nią w rękę. Poza sytuacjami tego rodzaju – wszelkie zakazy były w SW rzadkością. Żywiłowy rozwój organizacji, jej imponujące, zaskakujące formy aktywności były wynikiem tego, że nawet najbardziej oryginalne koncepcje nie były poskramiane. Przeciwnie, jeśli tylko była taka możliwość – organizacja udzielała im wsparcia. Im więcej pojawiało się w niej np. wysportowanych młodzieńców, lubiących sytuacje, skutkujące podnoszeniem poziomu adrenaliny, tym bardziej rosły szeregi Grup Wykonawczych. Zajmowały się one malowaniem haseł, rozwieszaniem transparentów czy akcjami ulotkowymi. Z kolei elektrycy czy radiotechnicy – konstruowali systemy łączności, aparaturę nadawczą czy podsłuchową. Pragnących redagować gazetki wspierano w tym zamiarze nawet wtedy, gdy wyrażane na ich łamach poglądy budziły kontrowersje. Publikowane teksty były przedmiotem czasem zażartych dyskusji. Nie znam natomiast przypadku, w którym by komuś zakazano wydawania pisma, sygnowanego przez Solidarność Walczącą.

WOLNOŚĆ, KTÓRA BUDOWAŁA POLSKĘ

Organizacja Kornela Morawieckiego funkcjonowała wg zasad, które przed wiekami zbudowały potęgę naszego kraju. To nasz rodak, żyjący na przełomie XII i XIII wieku biskup i kronikarz Wincenty Kadłubek, był pierwszym Europejczykiem od czasów antycznych, posługującym się pojęciami „obywatel” i państwo, rozumiane jako „res publica” czyli własność wszystkich jego mieszkańców. Już w średniowieczu Polska wyróżniała się niemal nieznanym w innych krajach odsetkiem populacji, cieszącej się podmiotowością i pełnią praw. Wolność religii i poglądów uczyniła z Polski najpierwszy cel ucieczki prześladowanych. W XV wieku szlachta wspólnie z mieszczaństwem państwa krzyżackiego zwróciła się do naszego króla Kazimierza Jagiellończyka o przyłączenie zamieszkiwanych przez nich terytoriów do państwa polskiego. Było dla nich jasne, że dokonując tego wyboru nic nie tracą a wiele praw zyskają. Dziś na wolności, praktykowane w I Rzeczypospolitej, patrzymy często przez pryzmat jej XVIII –wiecznego upadku, kiedy to nasza ojczyzna rozdarta została przez satrapie, w których wolności nie znano. W istocie jedną z przyczyn naszej klęski były wynaturzenia zasady obywatelskiej wolności. Wcześniej jednak pielęgnowanie tej zasady stanowiło czynnik przez całe stulecia budujący wielkość naszego państwa. To, że czynnik ten wyzwala inwencję i energię do działania, dowodzi też przykład Solidarności Walczącej. Czyli organizacji, w której odgórnymi decyzjami nie zamykano inicjatyw jej członków, np. wydawanych pod jej szyldem gazet. Zarówno metoda, która doprowadziła Polskę do swej

historycznej wielkości, jak i model organizacyjny, preferowany przez Kornela Morawieckiego i jego współpracowników dowodzą, że wolność praktykowana przez ludzi odpowiedzialnych to zasada pozwalająca najszerzej rozwinąć skrzydła i przynosić najlepsze owoce.

Solidaryzm, 2018



„Z DNIA NA DZIEŃ”, CZYLI GRUDNIOWE ZWYCIĘSTWO WOLNEGO SŁOWA

W dniu wprowadzenia stanu wojennego, pomimo zagrożenia najsurowszymi sankcjami, wielu działaczy Solidarności rozpoczęło druk niezależnych gazetek i ulotek. Nikomu z tych odważnych ludzi nie udało się wtedy jednak osiągnąć równie wiele, jak działającym we Wrocławiu wydawcom „Biuletynu Dolnośląskiego”.

Tym najważniejszym, ukazującym się poza zasięgiem cenzury, periodykiem Polski południowo-zachodniej od roku 1979 kierował nauczyciel akademicki z Politechniki Wrocławskiej – dr Kornel Morawiecki. W okresie szesnastu miesięcy legalnej działalności NSZZ Solidarność nie tylko nie ujawnił żadnej z kierowanych przez siebie konspiracyjnych drukarni, ale doprowadził do powstania wielu nowych. Jako członek, powołanej na I Krajowym Zjeździe Delegatów NSZZ Solidarność, komisji Związek Wobec Zagrożeń, apelował o przygotowanie się do działań w warunkach otwartej konfrontacji z reżimem komunistycznym. Jesienią 1981, kiedy dolnośląska Solidarność w darze od związkowców skandynawskich otrzymała nowoczesne maszyny poligraficzne, niepotrzebne już powielacze Morawiecki ukrywał w miejscach nieznanymi PRL-owskiemu służbom. Za najcenniejsze uważał jednak zasoby ludzkie, w postaci jak najliczniejszych drukarzy, potrafiących skutecznie i wytrwale konspirować, niezależną prasę powielając głównie na tzw. ramkach, czyli sprzęcie możliwym do samodzielnego wykonania w warunkach domowych. Przyjęcie takiego założenia umożliwiało kontynuowanie działalności także w sytuacji, w której wszystkie urządzenia poligraficzne zostałyby skonfiskowane.

W tygodniach poprzedzających wprowadzenie stanu wojennego drukarze Morawieckiego unikali nocowania w swych mieszkaniach, gromadzili zapasy papieru, farby i matryc. Do grona tego należeli m.in., mieszkające we Wrocławiu przy ul. Legnickiej, Joanna i Wiesław Moszczakowie. Drzwi ich mieszkania funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa zaczęli rozważać siekierami ok. godz. 2 w nocy z 12 na 13 grudnia 1981. W mieszkaniu zastali jednak jedynie dwuletniego synka, znajdującego się pod opieką babci. Wiesław Moszczak znajdował

się w tym czasie w piwnicy jednej z willi na wrocławskich Krzykach, w której przygotowywał do uruchomienia kilka elektrycznych powielaczy. Natomiast jego żona Joanna, na wieść o nagłych i bardzo licznych represjach, udała się do mieszkania w bloku przy ul. Kamiennej, przez które już przed świtem 13 grudnia 1981 przewijali się ludzie przygotowujący zorganizowaną odpowiedź na dokonywany przez komunistów zamach na polskie dążenia wolnościowe. Wczesnym rankiem było już wiadome, że Służba Bezpieczeństwa aresztowała setki działaczy Solidarności, w tym większość redaktorów niezależnych czasopism. Siedziba Zarządu Regionu NSZZ Solidarność była już wtedy okupowana przez uzbrojone siły ZOMO. W sytuacji tej Kornel Morawiecki za jedno z najpilniejszych zadań uznał powołanie nowej redakcji i niezwłoczne rozpoczęcie druku głównego pisma NSZZ Solidarność Dolny Śląsk, ukazującego się pod tytułem „Z Dnia na Dzień”. Na nowego redaktora naczelnego tej gazetki Morawiecki wyznaczył 28-letniego Romualda Lazarowicza. Pierwszy „wojenny” numer został zredagowany tego samego dnia. Artykuły składały się z informacji, dostarczanych od współpracowników, przybywających z różnych miast Dolnego Śląska. Matryce na maszynach do pisania przygotowały Joanna Moszczak i Helena Lazarowicz. W pogotowiu czekała też maszyna do pisania, wyposażona w czcionkę z literami alfabetu rosyjskiego. W przypadku nadejścia wiadomości o pojawieniu się na ulicach oddziałów Armii Radzieckiej miała ona posłużyć do przygotowania druków w języku rosyjskim.

Wieczorem 13 grudnia 1981 tajna drukarnia, kierowana przez Wiesława Moszczaka, rozpoczęła powielanie pisma „Z Dnia na Dzień”, sygnowanego przez Regionalny Komitet Strajkowy NSZZ Solidarność Dolny Śląsk. Kolportaż rozpoczął się około północy. Tysiące egzemplarzy trafiły do skrzynek na listy, na klatki schodowe bloków i kamienic, rozklejane były w bramach i zaułkach ulic. Rankiem 14 grudnia 1981 „Z Dnia na Dzień” było rozdawane przychodzącym na pierwszą zmianę pracownikom wszystkich większych zakładów Wrocławia i okolic. Pojawienie się solidarnościowej gazetki, stanowiącej niezależne źródło informacji i będącej kanałem komunikacyjnym, mogącym koordynować działania brutalnie zaatakowanego społeczeństwa, tysiącom Polaków dodawało otuchy i napawało wiarą w celowość stawiania oporu. Równocześnie kierowana przez Kornela Morawieckiego podziemna siatka drukarsko-kolportażowa bardzo szybko rosła w siłę. W poniedziałek 14 grudnia 1981 pełną parą ruszyła drukarnia w domu Tadeusza Świerczewskiego na wrocławskim Poświętnem. We wtorek działało już kilka kolejnych drukarni. W jednej

z nich pracowała córka Kornela Morawieckiego – Anna. Pojawianie się co raz to nowych punktów tajnej poligrafii oznaczało dynamiczny wzrost nakładu gazetki, ale też zmuszało do wdrażania rozwiązań, umożliwiających szybkie dostarczanie do różnych miejsc matryc, pozwalających na powielanie tych samych treści. W okolicach ul. Kochanowskiego pomocne okazało się skomunikowanie paru domów jednorodzinnych, wykorzystywanych jako miejsca druku, ukrytym w płotach kablem. Umożliwiał on połączenie się tajnych drukarni za pomocą polowych aparatów telefonicznych. Dzięki temu konspiratorzy mogli dyktować treść kolejnych numerów gazetki i niezbędne do drukowania matryce przygotowywać bez konieczności wychodzenia z domu.

Pod koniec grudnia 1981 „Z Dnia na Dzień” było drukowane w co najmniej kilku miejscowościach Dolnego Śląska, łączny nakład sięgał kilkudziesięciu tysięcy egzemplarzy. Pismo stawało się znane także na Śląsku Opolskim, Ziemi Lubuskiej i w Wielkopolsce. Do wiosny 1982, z regularnością szwajcarskiego zegarka, ukazywało się trzy razy w tygodniu. Nieustannie rozrastała się współpracująca z nim armia kolporterów, dostawców informacji oraz drukarzy.

W czerwcu 1982, w związku z utworzeniem przez środowisko Kornela Morawieckiego organizacji Solidarność Walcząca, prawo do tytułu pisma zostało przekazane liderom Regionalnego Komitetu Strajkowego NSZZ Solidarność Dolny Śląsk. W rzeczywistości nie oznaczało to jednak konfliktu ani rozłam między konspiratorami. Większość działaczy Solidarności Walczącej swoją podziemną aktywność łączyła z działalnością w tajnych strukturach NSZZ Solidarność. Członkowie organizacji Kornela Morawieckiego niejednokrotnie aż do końca lat osiemdziesiątych nadal drukowali i kolportowali także „Z Dnia na Dzień”. Pismo to przeszło do historii jako „podziemny rekordzista”. Żadne inne bowiem nie osiągnęło równie wysokiej numeracji a zapewne także równie wielkiego łącznego nakładu. Od 14 grudnia 1981 ukazały się 394 wydania tego pisma (wraz z wydaniem sprzed wprowadzenia stanu wojennego wszystkich numerów wydano 542).

Przez szereg lat trudnej walki o wolność powielaniem pisma zajmowały się setki działaczy. Służba Bezpieczeństwa wielokrotnie rozbijała podziemne drukarnie, konspiratorzy trafiali do aresztów, byli na różne sposoby represjonowani, skazywani przez sądy, wielu całe lata spędziło za murami więzień. Cykl wydawniczy „Z Dnia na Dzień” nigdy jednak nie został zakłócony. Upowszechniona przez Kornela Morawieckiego metoda konspiracyjnego dru-

karstwa, polegająca na tworzeniu bardzo licznych punktów tajnej poligrafii, swą działalność opierających na prostym sprzęcie ramkowym powodowała, że wydawania wolnego słowa nie były w stanie zakłócić nawet największe fale aresztowań. Stałe upowszechnianie umiejętności drukowania i tworzenia kolejnych ogniw konspiracji sprawiało, że w rozbijane ośrodki podziemnej wolności odradzały się „jak Feniks z popiołów”. Permanentne szkolenie nowych drukarzy, pojawianie się czasem nawet dwóch – trzech nowych punktów konspiracyjnej poligrafii w miejsce drukarni, którą Służba Bezpieczeństwa zdołała zlikwidować, owocowała zjawiskiem, które głównie we Wrocławiu zaczęto nazywać „drukarstwem niezniszczalnym”. Jego charakter i skala okazywały się bowiem niemożliwe do opanowania pomimo największych nawet usiłowań komunistycznego aparatu represji.

JAK ZWALCZANO POPARCIE DLA SOLIDARNOŚCI NISZCZĄC WIZERUNEK POLSKI

Po sterroryzowaniu naszego kraju stanem wojennym miliony Polaków ubiegały się o paszporty. Lewicowy reżim odmawiał ich niemal wszystkim, ale coraz powszechniej krążyły informacje, wg których prawo wyjazdu za granicę wielu jednak otrzymywało.

Jakiś czas później plotki o tym, że część Polaków paszporty dostaje, zaczęliśmy kojarzyć ze znikaniem najbardziej odrażających kryminalistów. Niebezpieczni psychopaci, znani wszystkim z nękania osiedli, nagle przestali być codziennością wielu ulic. Na ich powrót wielu oczekiwano z trwogą. Daty wyjścia z więzienia sadystów i innych zbrojców w miejscach ich zamieszkania były wszystkim znane. Często odliczano dni do ich wyjścia z więzień, co oznaczało konieczność przygotowania się na powrót horroru. A wielu z nich nie wracało. W końcu zagadka się rozwiązała – szatański plan komunistów polegał na uprzywilejowaniu prawem posiadania paszportu dużej grupy najbardziej zwyrodniałych kryminalistów. Skutkiem tego polskojęzyczni realizatorzy antypolskich interesów piekli trzy pieczenie na jednym ogniu. Pierwszą był propagandowy argument o spadku przestępczości, co przedstawiano jako jeden z pozytywnych owoców stanu wojennego. Drugą było upowszechnianie w krajach Zachodu obrzydzenia do Polski i Polaków, skutkujące spadkiem poparcia tamtejszych społeczeństw, mediów i sił politycznych dla naszych dążeń niepodległościowych. Każdy ze zwyrodniałych kryminalistów, podeśłanych Zachodowi przez lewicowy reżim, powszechnie utożsamiany był z Solidarnością. Zohydzeniu Polski sprzyjała obowiązująca w wielu krajach zasada (dziś np. w RFN jest ona żelazną normą prawną), wg której mieszkańcy socjalnych nie wolno koncentrować w jednym miejscu. Polega to na tym, że nawet w najbardziej ekskluzywnych, najdroższych osiedlach deweloperzy są zobowiązani część mieszkań przeznaczyć dla osób utrzymywanych z funduszy socjalnych. A są nimi głównie migranci oraz podający się za uchodźców. Mechanizm ten rządzącym Polską komunistom zagwarantował zgodną z ich oczekiwaniami dystrybucję wypychanych z naszego kraju zwyrodniałców. W krótkim czasie w wielu miejscach

Polska, a więc i ruch Solidarności, zaczęły być kojarzone z zagrażającymi otoczeniu psychopatami, złodziejami, zapijaczoną wandalską żulią wszczynającą awantury i wypróżniającą się w miejscach publicznych. Działające w Brukseli zagraniczne przedstawicielstwo NSZZ Solidarność w sprawie tej oczywiście się nie wypowiadało – było przecież kierowane przez agenta SB. Wypychanie bandziorów do krajów, z którymi trwał stan „zimnej wojny” nie było wówczas niczym nowym. Polityka lewicowego reżimu realizowała odwieczny cel sowieckiego imperializmu – sianie dywersji na terytorium przeciwnika. Po to przecież z PRL-u wysyłano kanale, które np. w ramach operacji „Żelazo” napadały na banki czy sklepy jubilerskie. W tym też celu prosowieckie reżimy (wyróżniał się tu bułgarski) zasilaty szeregi budzących na Zachodzie groźbę terrorystów.

Odrzany pomysł reżimu Jaruzelskiego podchwycił m.in. Fidel Castro, który całe więzienne oddziały, przeznaczone dla najmniejbezpiecznych przestępców, wsadzał na świetnie przygotowany sprzęt pływający. Były nim najczęściej nie budzące podejrzeń tratwy, ale wykonane solidnie, wyposażone w nawigację, kapoki, duże zapasy wody i jedzenia. Dzięki temu kolejne armady, wypełnione najpotworniejszymi degeneratami, bezpiecznie dopływały do wybrzeży Florydy, gdzie witano je jako flotyllę bohaterów. Kim byli naprawdę Stany Zjednoczone przekonywały się odnotowując gwałtowny wzrost morderstw, gwałtów, napadów i rozbojów.

Ubolewamy czasem nad pokutującą w tych czy innych zakątkach świata nie najlepszą opinią o naszym narodzie. W niewielkiej tylko części jest to wynikiem rzeczywistych złych doświadczeń z naszymi rodakami. Nasz wizerunek niszczonego w sposób konsekwentny i zaplanowany na ogromną skalę. Likwidatorzy naszego państwa zatrudniali do tego celu największe autorytety oświecenia a potem największe koncerty prasowe Europy i Ameryki. Proceder ten trwa do dzisiaj a reżim Jaruzelskiego w podłym tym dziele też bardzo się zażył.

O TRÓJMIEJSKIEJ SOLIDARNOŚCI WALCZĄCEJ TO, CO CHYBA NAJWAŻNIEJSZE

W latach osiemdziesiątych Gdańsk i Gdynia były miastami, przez miliony Polaków postrzeganymi jako odważne, wiodące centra walki o wolność. To przede wszystkim ich mieszkańcy, obok szczecinian, w roku 1970 zdecydowali się na śmiały protest, który po kilku dniach strajków i walk ulicznych krwawo stłumiły dywizje wojska i ściągane zewsząd oddziały milicji. To w Gdańsku i Gdyni zaczął się też narodo- wy zryw Sierpnia 1980, uwieńczony powstaniem NSZZ Soli- darność – dziesięciomilionowej organizacji, stanowiącej naj- większy wyłom w historii komunistycznego zniewolenia. 13 grudnia 1981 oczy Polaków zwróciły się więc na Trójmiasto. W sensie topograficznym – w nim postrzegano krajowego li- dera, zdolnego poprowadzić do kolejnego starcia z reżimem.

Parę dni po wprowadzeniu stanu wojennego Gdańsk ogarnęły wieloty- sięczne demonstracje. Po ich stłumieniu, podobnie jak w innych regionach Pol- ski, aktywność ludzi Solidarności skupiła się na budowie struktur podziemia. Konspiracyjna prasa publikowała analizy sytuacji, powstawały formacje opo- zycji, które wyciągając wnioski z wydarzeń wskazywały nowe kierunki i me- tody walki o wolność. W Trójmieście szalały represje, sądy wymierzały dra- końskie kary, jak np. 10 lat więzienia dla Ewy Kubasiewicz. Jednak pod wzglę- dem skali organizującej się konspiracji, jak i prezentowanej przez nią oferty programowej, miasta Wybrzeża nie były już ośrodkami najsilniejszymi. Kie- dy w roku 1983 Aleksander Hall, jeden z najbardziej znanych gdańskich opo- zycjonistów, zaczął wyrażać negatywne opinie o tkwieniu w podziemiu – Gdańsk zaczął być wręcz postrzegany jako ośrodek Solidarności, nastawiony raczej de- fensywnie. Gdynianin Roman Zwiercan przełom roku 1982 i 83 pamięta jako czas pogrążania się trójmiejskiej Solidarności w apatii i kapitulancie. Andrzej Kołodziej, który po pobycie w czechosłowackim więzieniu w 1983 roku wró- cił do Trójmiasta, swoje wrażenia wspomina jako zderzenie z realiami działań

minimalistycznych i pozornych. Szybko też przekonał się, że każda aktywność nie podporządkowana Lechowi Wałęsie i jego otoczeniu, spotyka się z ich nieprzyjazną reakcją.

ORGANIZACJA MORAWIECKIEGO – NADZIEJA ZDECYDOWANYCH

Już wiosną 1982 w Trójmieście pojawiali się ludzie z najbliższego kręgu Kornela Morawieckiego. Tadeusz Świczewski, Anna Birecka i kilkoro innych wrocławian spotykało się m. in. z Tadeuszem Ciszewskim i Ryszardem Andersem. Powstawały zręby współpracy konspiracji pomorskiej z dolnośląską. Jedną z jej form było pozyskiwanie od pracowników „Dalmoru” elektronicznych części, poszukiwanych przez wrocławskich konstruktorów sprzętu nadawczego i podsłuchowego. Kontakty z Dolnym Śląskiem zachwiały się jesienią 1982, w następstwie fali aresztowań.

Na początku 1984, dzięki relacjom z bywającym na Wybrzeżu przyjacielem Morawieckiego Andrzejem Zarachem, Andrzej Kołodziej został członkiem Solidarności Walczącej. Wśród pierwszych mieszkańców Trójmiasta, rozpoczynających działalność w tej organizacji, byli też Ewa Kubasiewicz, Wiesława Kwiatkowska, Mikołaj Kostecki, Roman Zwiercan. Kurierzy zapewnili stały kontakt z Wrocławiem, skąd na Wybrzeże docierały duże ilości podziemnej prasy. Szybko i na dużą skalę uruchomiona też została poligrafia Solidarności Walczącej w Trójmieście. Drukowała ona nie tylko bibułę SW, ale też gazetki zakładowych ogniw Solidarności oraz periodyk, redagowany przez Joannę i Andrzeja Gwiazdów. W kwietniu 1985 zaczęła się ukazywać „Solidarność Walcząca. Pismo Organizacji SW Oddział Trójmiasto”. Po nim zaczęto wydawać kilka innych a organizację ciągle zasilali kolejne osoby. Wśród nich tak kreatywne, jak Jan Białostocki – autor nowej formy działalności radiowej. W bagażniku samochodu umieszczał on nadajnik, emitujący nagraną na taśmę magnetofonową krótką, wielokrotnie się powtarzającą audycję radiową. Była ona słyszalna na falach zagłuszanej swym sygnałem najpopularniejszej wówczas stacji Polskiego Radia. Rolę anteny pełnił bagażnik dachowy. Nadawany program słyszalny był w promieniu paruset metrów, ale jego źródłem był pojazd, poruszający się ulicami miasta. Skutkiem tego odbiorcy słyszeli audycję przez co najwyżej parę minut, ale wraz z przemieszczaniem się samochodu z nadajnikiem słuchaczami stawali się co raz to nowi ludzie. Nadawanie mogło być długotrwałe, gdyż poruszanie się źródła sygnału utrudniało jego namierzenie. Oprócz tej metody trójmiejskie Radio Solidarność Walcząca nadawała audycje z dachów wieżowców, co zapewniało większy zasięg i pozwalało na wyemitowanie dłuższe-

go programu. Z sukcesem włączało się też w program telewizyjny, przykrywając własnym dźwiękiem fonie „Dziennika TVP” a nawet zakłócając obraz widokiem plansz z antykomunistycznymi hasłami.

W 1986 roku SW Trójmiasto uruchomiła działalność Wydawnictwa Petit. W dużych nakładach opublikowało ono 17 obszernych książek. Co może dziś zaskakiwać – wydrukowało też w języku rosyjskim „Koran”, którego egzemplarze działacze Solidarności Walczącej przemycali dla Tatarów krymskich. Wyrażone w programie organizacji dążenie do rozsadzenia Związku Sowieckiego i wspieranie wszystkich narodów, walczących o wolność – nie były czczymi słowami.

WARIANT ZBROJNY

Niepodległościowe podziemie rozwijało się, pomimo permanentnych represji. W latach osiemdziesiątych Roman Zwiercan spędził w więzieniach prawie 4 lata, Andrzej Kołodziej ponad dwa. Przez szereg lat ścigani też oni byli listami gończymi i musieli się ukrywać. Blisko półtora roku więziono Ewę Kubasiewicz, prawie rok Marka Czachora i kilka innych osób, należących do trójmiejskiej SW. Członków organizacji, stawiającej sobie za cel obalenie komunizmu, Służba Bezpieczeństwa zwykle traktowała brutalniej, niż działaczy nielegalnego związku zawodowego a sądy wymierzały im surowsze wyroki. Ludzie związani z konspiracją byli też celami ataków tzw. „nieznanych sprawców”. Bycie kojarzonym z Solidarnością Walcząca oznaczało narażenie się na ciężkie pobicia, aresztowania pod sfigowanymi zarzutami, operacje zastraszania członków rodzin.

Solidarność Walcząca nie wykluczała podjęcia walki zbrojnej a jej Oddział Trójmiasto przewodził w przygotowaniach na wypadek wydarzeń, które uzasadniałyby sięgnięcie do takich metod. Należący do organizacji technicy i ślusarze Stoczni Komuny Paryskiej wykonali zestaw części, które po złożeniu stanowiły pełnowartościowy pistolet maszynowy. Arsenалу tej broni nie rozbudowywano. Szybkie wyprodukowanie pierwszego jej egzemplarza oznaczało bowiem, że w razie potrzeby zacznie się on zapełniać dosłownie z dnia na dzień. Równie pomyślny był przebieg leśnych prób samodzielnie wytwarzanych materiałów wybuchowych. Po aresztowaniu Bogdana Borusewicz zespół, kierowany przez Romana Zwiercana, opracował plan odbicia uwięzionego lidera gdańskiej Solidarności. Z akcji tej zrezygnowano na żądanie strony związkowej. Do końca lat osiemdziesiątych Solidarność Walcząca tylko parę razy dokonała symbolicznych aktów o charakterze zbrojnym. W każdym wypadku były one

odpowiedzią na brutalność służb reżimu, miały być dla nich ostrzeżeniem i demonstracją zdolności odpowiedzenia przemocą na przemoc. 28 lutego 1987 bomba podłożona przez Romana Zwiercana zniszczyła część siedziby Komitetu Miejskiego PZPR w Gdyni. W jednoznacznej ocenie działaczy Solidarności Walczącej akcja ta przyniosła oczekiwany efekt. Podobnie, jak wcześniejszy zamach na domek letniskowy komendanta wrocławskiej Służby Bezpieczeństwa – zatrzymała ciąg fizycznych napaści na ludzi związanych z podziemiem.

ŚWIT TRANSFORMACJI, OGLĄDANY PRZEZ KRATY

Uruchamiające proces przemian wydarzenia roku 1988 poprzedzone zostały aresztowaniami liderów Solidarności Walczącej. W marcu 1987 SB uwięziła Romana Zwiercana. Po aresztowaniu w listopadzie 1987 Kornela Morawieckiego w styczniu 1988 w areszcie znalazł się także Andrzej Kołodziej. 30 kwietnia 1988 Morawieckiego i Kołodzieja podstępnie wydano z kraju i zatrzaśnięto przed nimi granice, uniemożliwiając powrót. Zwiercana więziono do jesieni 1988. Do metod spychania Solidarności Walczącej na margines należały też kampanie prasowe, z artykułami w rodzaju „Solidarność Walcząca z Solidarnością”, autorstwa wczorajszych druhów z antykomunistycznej opozycji. Nowy ład polityczny oznaczał ustalenie całkowicie nowych frontów: okrągłostołowi opozycjoniści coraz bardziej zbliżali się z nomenklaturą PRL-u. Razem wspólnego przeciwnika postrzegali oni w niepodległościowej opozycji, której siłą największą była Solidarność Walcząca.

ODDZIAŁ ZDECYDOWANYCH NA WSZYSTKO

Solidarność Walcząca była najprężniejszą konspiracją w Polsce mimo, że jej członkowie często sami wybierali formy swej aktywności a poszczególne ogniwa organizacji cieszyły się dużą autonomią. Znamienna była odpowiedź Kornela Morawieckiego na pytanie jednego z działaczy: „co mam robić?” Przewodniczący SW odpowiedział: „rób to, od czego upadnie komunizm”.

SIŁA W WOLNOŚCI

Solidarność Walcząca charakteryzowała się tym, że nie trzeba było w niej wydawać zbyt wielu rozkazów. Mimo tego – nie było w niej „martwych dusz”. Członkostwo oznaczało ryzyko spędzenia długich lat w więzieniu, więc nikt nie decydował się na nie bez konkretnego celu. Form działalności było mnóstwo, każdy wybierał je wg własnych predyspozycji i własnego zdania na to, jaka konspiracyjna robota jest najbardziej potrzebna. Podobnie rzecz się miała z regionalnymi oddziałami Solidarności Walczącej. Wielkopolski, słynący z wydawania obszernych periodyków, wypełnionych filozofią i literaturą, uchodził za ośrodek przede wszystkim intelektualny. Solidarność Walcząca Trójmiasto – słynęła jako bastion sformowany z ludzi uosabiających tradycję żuawów śmierci. Ich dewizą mogłyby być zasady tych właśnie, niezłomnych bohaterów Powstania Styczniowego: „Naszej walce gotowi jesteśmy poświęcić wszystko a nie poddamy się nigdy”.

OMNIA PER POLONIA, OMNIA CONTRA SOVIETIA

Życie głównych liderów trójmiejskiej Solidarności Walczącej to biografie ludzi, którzy walce z reżimem komunistycznym podporządkowali wszystko. W swej działalności dokonywali czynów brawurowych i bywało, że osiągnęli to, czego „na logikę” osiągnąć się nie dało. Byli najbardziej represjonowanymi Polakami lat osiemdziesiątych. Ocierali się o śmierć. A jednak, czy to w latach najgłębszej beznadziei czy siedząc w najpotworniejszych kazamatach tamtych czasów, nigdy nie zaznali pokusy, by zawrócić z raz obranej drogi. Wystarczy przypomnieć trzy życiorysy trójmiejskich działaczy Solidarności Walczącej.

EWA KUBASIEWICZ

Pochodzi z rodziny, w której dla Polski nikt nie wahał się życia ryzykować i w której za wolność ojczyzny nie jednemu przychodziło życie oddać. Ojciec walkę konspiracyjną z Niemcami prowadził na terenie najtrudniejszym, wykonując najbardziej niebezpieczne zadania. Po wojnie był więziony przez NKWD. Obydwaj bracia działali w podziemiu antykomunistycznym. Była członkiem Międzyzakładowej Komisji Założycielskiej i gdańskiego Zarządu Regionu NSZZ Solidarność, z którego w listopadzie 1981 odeszła w wyniku konfliktu z Lechem Wałęsą. Natychmiast po wprowadzeniu stanu wojennego przystąpiła do organizowania oporu społecznego – drukowała i kolportowała niezależne gazetki, wzięła udział w strajku, w związku z czym 20 grudnia 1981 została aresztowana. Proces sądowy, jaki wytoczono Ewie Kubasiewicz i jej współpracownikom, był istną kpiną ze sprawiedliwości. Sędziowie po zadaniu pytań nie słuchali odpowiedzi – opowiadali sobie kawały, co chwilę wybuchając śmiechem. Na milczenie podsądnej przewodniczący składu sędziowskiego powiedział: „Proszę mówić dalej, wysokiemu sądowi to nie przeszkadza”, po czym wrócił do wesołych rozmówek ze swoimi kolejami w sędziowskich togach. Wyrok brzmiał: 10 lat więzienia. Ewę Kubasiewicz osadzono w jednym z najcięższych zakładów karnych. Po zwolnieniu, na mocy amnestii latem 1983, włączyła się w działalność Solidarności Walczącej.

ANDRZEJ KOŁODZIEJ

Miał 18 lat, kiedy po ukończeniu szkoły zawodowej opuścił bieszczadzkie Zagórze i przyjechał do Gdańska. Był rok 1977 a miasto to kojarzyło mu się z walką, stoczoną w Grudniu 1970. Zatrudnił się w Stoczni im. Lenina, uczył się w wieczorowym technikum. I z pracy i ze szkoły został usunięty za działalność w Wolnych Związkach Zawodowych Wybrzeża. Wtedy już cały swój czas mógł poświęcić drukowaniu niezależnych wydawnictw. Tym samym Służba Bezpieczeństwa straciła go z oczu i przypuszczając, że represje odniosły oczekiwany skutek – zgodziła się na podjęcie przez Andrzeja Kołodzieja pracy w gdyńskiej Stoczni im. Komuny Paryskiej. Jej pierwszym dniem był 15 sierpnia 1980. Miał wtedy ukończone 20 lat i 6 miesięcy. W stoczni, zatrudniającej 11 tysięcy pracowników, nie znał nikogo. Poprzedniego dnia zaczął się strajk w Stoczni im. Lenina więc uważał, że musi nowych kolegów przekonać do poparcia tego protestu. Parę godzin później Stocznia stanęła. Był w niej jednym z najmłodszych ludzi, ale kiedy przyszło wybierać prze-

wodniczącego komitetu strajkowego tysiące nowych przyjaciół było tego samego zdania: „Ty nas poderwałeś – ty nami kieruj”. Te tysiące zaufały mu też parę dni później, gdy wszystkimi wstrząsnęła straszna wiadomość: „Lech Wałęsa w Stoczni im. Lenina ogłosił zakończenie strajku! Zostaliśmy sami!” Los sierpniowego zrywu zależał wtedy już tylko od Stoczni im. Komuny Paryskiej. Kierowany przez Kołodzieja protest nie tylko wytrwał, ale od pierwszego dnia służył też tym, czego Stocznia im. Lenina nie miała – pracującą 24 godziny na dobę drukarnią, każdego dnia powielającą setki tysięcy ulotek, przez stojący pod zakładem tłum zanoszonych do wszystkich, odjeżdżających z Gdyni pociągów, autobusów, samochodów. Wiadomość o wielkim polskim zrywie uruchomiła solidarną falę, ciągnącą się od Bałtyku po Tatry. 31 sierpnia 1981 Kołodziej składał swój podpis na porozumieniach, między autografami Lecha Wałęsy i Andrzeja Gwiazdy. Ze stanowiska wiceprzewodniczącego NSZZ Solidarność Andrzej Kołodziej zrezygnował po bezskutecznym, publicznym wezwaniu Wałęsy do przyznania się do podjętej w latach siedemdziesiątych współpracy z SB i tym samym – ostatecznego uwolnienia się od ryzyka uwikłań i szantażu. Skupił się na przenoszeniu prasy i idei Solidarności za południową granicę. W październiku 1981 w czeskiej Pradze został aresztowany i skazany. Blisko dwuletni wyrok odsiadywał głównie w podziemnych karcerach, w całkowitych ciemnościach, o chlebie i wodzie, w towarzystwie szczurów. Wśród dokumentów, otrzymanych z czeskiego IPN-u zachował się list Kiszczaka z wnioskiem, by w przypadku pojawienia się takiej prośby – odmówić Kołodziejowi odbywania wyroku w Polsce. Ratowanie wyniszczonego zdrowia, w rodzinnym domu, trwało kilka miesięcy. Pod koniec 1984 znów był w Gdyni, gdzie współtworzył Solidarność Walczącą i wkrótce musiał się ukrywać. SB aresztowała go w 1988 roku i po kilku miesiącach podstępnie wydalila z kraju. W paryskiej „Kulturze” opublikował wtedy artykuł, jak się okazało najtrafniej przewidujący bieg wydarzeń w Polsce przełomu lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych.

ROMAN ZWIERCAN

Dwukrotnie podejmował próby dotarcia do Afganistanu, by dołączyć do walczących przeciw sowieckiego imperium. Zapłacił za to latami więzienia. Po uwolnieniu – został jednym z najbardziej dynamicznych działaczy Solidarności Walczącej. W 1985 aktywność w czasie ogłoszonej przez podziemną Solidarność i odwołanej przez Lecha Wałęsę akcji strajkowej zakończyła się dla niego ciężkim pobiciem, po którym kilka miesięcy spędził w opatrunkach

gipsowych i którego ślady nosi w sobie do dziś. Czas unieruchomienia spędzał głównie nad drukarską ramką. Po zdjęciu gipsu stanął na czele konspiracyjnego zespołu, dla którego noc bez dziesiątek wielkich niepodległościowych hasel na murach – była nocą straconą. Skończyło się to aresztowaniami, listem gończym i koniecznością ukrywania się. Życie wypełniło mu wtedy drukowanie oraz, w związku z dokonanymi przez „nieznanych sprawców” mordami na działaczach podziemia, przygotowaniem do czynnej obrony. Siatka jego współpracowników wyprodukowała dobrej jakości pistolet maszynowy i była gotowa do wyposażenia w taką broń bojowników, gotowych zbrojnie stanąć przeciw siepaczom Kiszczaka i Jaruzelskiego. W lutym 1987 Roman Zwiercan przeprowadził mały, ostrzegawczy atak na gdyńską siedzibę partii komunistycznej. Zdetonowanie ładunku wybuchowego przeprowadził w sposób wykluczający ofiary wśród ludzi, ale mający stanowić demonstrację zdecydowania i zdolności do zadania dotkliwego odwetu. Krótco po akcji Zwiercan został aresztowany, na wolność wyszedł jesienią 1988. Łącznie w dekadzie lat osiemdziesiątych ponad cztery lata przesiedział w więzieniach, półtora roku był poszukiwany i zmuszony do ukrywania się pod zmienioną tożsamością. Jego zdrowie rujnowano bandyckimi pobiciami, brutalnymi przesłuchaniami, więziennymi karcerami. A pierwsze kroki po opuszczeniu więziennych murów zawsze kierował w stronę swoich podziemnych drukarni, w których wydał dziesiątki tytułów książek zakazanych komunistyczną cenzurą i niezliczone ilości niezależnych gazetek.

MAGNES DLA RADYKAŁÓW

Rozjeżdżanie strajków czołgami, strzelanie do demonstrantów, zabijanie działaczy podziemia – w wielu młodych ludziach wywoływało pragnienie podjęcia walki zbrojnej. W roku 1982, kiedy młodzieżowa grupa z Grodziska Mazowieckiego rozpoczęła akcje rozbrajania milicjantów, zakończyło się to tragicznie – zginął człowiek, nastolatków ukarano wyrokami do 25 lat więzienia, potem zamordowany został związany z tą grupą ksiądz Sylwester Zych. Bez wątplenia podobnych tragedii byłoby więcej, gdyby rwąca się do walki młodzież z Wrocławia, Górnego Śląska, Małopolski a przede wszystkim z Wybrzeża – nie podjęła współpracy z Solidarnością Walcząą. W Trójmieście dziesiątki młodych ludzi pod komendą Bolesława Siedleckiego ćwiczyły taktykę partyzancką i sztuki walki. Podporządkowywały się rozkazom, więc swoje działania ograniczały do szkoleń, drukarstwa, przeprowadzania akcji ulotkowych.

Zamiast rozlewać krew – konsekwentnie budowały potęgę niepodległościowego podziemia.

NOWATORSKIE FORMY KONSPIRACJI

Solidarność Walcząca Trójmiasto stworzyła własne komórki kontrwywiadu, wzorowane na działających we Wrocławiu. Zbudowała też radiofonię, włączając się nie tylko w audycje Polskiego Radia, ale także w fonię i obraz TVP. Oryginalnym trójmiejskim pomysłem było emitowanie sygnału radiowego za pomocą mobilnej stacji nadawczej. Jej przemieszczanie się utrudniało pelengację. Skonstruował ją Jan Białostocki, umieszczając silny nadajnik we wnętrzu swojego samochodu i jako antenę wykorzystując odpowiednio zbudowany bagażnik dachowy. Z powodu niskiego umieszczenia anteny zasięg emisji był niewielki, ale parominutowa audycja była słyszalna przez mieszkańców kolejnych ulic i osiedli. Solidarność Walcząca była też pierwszym środowiskiem opozycji, wykorzystującym w swej działalności elektroniczne nośniki informacji. Korespondencja, serwisy informacyjne, skład periodyków i książek – krążyły między oddziałami na dyskietkach. Technikami komputerowymi zastępowano też fotochemiczne metody sporządzania sitodrukowych diapozytywów.

RESPEKT REŻIMU

Skazanych działaczy władze często osadzały w odległych, prowincjonalnych zakładach karnych, co miało oddalić ich od silnych ośrodków podziemia, uczynić ich anonimowymi, izolować od środowiska. Informacje o ich sytuacji przenikały jednak przez mury, były publikowane w gazetkach, wysyłanych m.in. do sąsiadów komendantów zakładów karnych i więziennych strażników. Tym sposobem funkcjonariusze nawet z głębokiej prowincji tracili poczucie bezkarności. Podobnie jak milicjanci skorzy do używania przemocy obawiali się ulotek z nazwiskami sprawców, opisujących przypadki sadyzmu, tak i esbecy zaczęli się liczyć z możliwością dokonania na nich odwetu. Aresztowanemu w marcu 1987 Romanowi Zwiercanowi SB podrzuciła sto kilogramów dynamitu, by rozpocząć śledztwo i postawić zarzuty o prowadzenie działalności terrorystycznej na wielką skalę. Podobnie aresztowanemu w styczniu 1988 Andrzejowi Kołodziejowi zarzucano przejęcie, przemycanej ze Szwecji broni, m.in. snajperskiej. Wcześniej w takich przypadkach oskarżanym stawiano zarzuty, zagrożone wyrokami śmierci a śledztwa prowadzono wyjątkowo brutalnie, włącznie z uciekaniem się do tortur. Tymczasem Zwiercan i Koło-

dziej w czasie przesłuchań i pobytów w areszcie spotykali się z respektem oficerów SB, prokuratorów i strażników. Uwięzieni czasem nawet odczuwali lęk swoich prześladowców. Z twardym podziemiem trzeba się było liczyć. Ryzykownie było katować ludzi, za którymi stali inni, jeśli byłoby trzeba – zdecydowani na wszystko.

„W Sieci Historia” czerwiec 2018

TRUDNE POCZĄTKI SOLIDARNOŚCI WALCZĄCEJ W TRÓJMIEŚCIE

Gdańsk i Gdynia należały do miast, w których wprowadzenie stanu wojennego spotkało się ze społeczną reakcją o największej skali. Strajki w zakładach pracy tłumione były z użyciem czołgów a 16 i 17 grudnia 1981 to w Gdańsku doszło do największej ulicznej demonstracji pierwszych miesięcy stanu wojennego. Wg władz – w starciach z ZOMO wzięło wówczas udział 25 – 30 tysięcy ludzi.¹ To również w Trójmieście narodziła się pierwsza inicjatywa utworzenia centralnego ośrodka, koordynującego walkę Polaków z reżimem. Ogólnopolski Komitet Oporu², utworzony przez członka Komisji Krajowej NSZZ Solidarność Eugeniusza Szumiejkę³, zawiesił jednak swoją działalność w wyniku negatywnej dla tego organu oceny schodzących do podziemia liderów kilku regionów Solidarności, głównie Zbigniewa Bujaka i Władysława Frasyniuka⁴. Nieobecność centralnego ośrodka przywództwa Solidarności (Tymczasowa Komisja Koordynacyjna NSZZ Solidarność utworzona została dopiero 22 kwietnia 1982⁵) w okresie kluczowym dla społecznych nastrojów a tym samym brak jasnej koncepcji walki przyczyniły się do szybkiego przejścia inicjatywy przez stronę reżimową. W sytuacji szerzenia się odczuć zniechęcenia i rozczarowania kiełkować zaczęły inicjatywy tych opozycjonistów, którzy za cel stawiali sobie nie prawa związkowe czy kompromis z władzą, lecz pełną niepodległość Polski oraz obalenie porządku komunistycznego.

- 1 Pomorze Gdańskie i Kujawy [w:] Stan wojenny w Polsce 1981-83; pod red. A. Dudka, Warszawa 2003, s.477-566
- 2 Ogólnopolski Komitet Oporu [w:] 13grudnia1981.pl [on-line]. Instytut Pamięci Narodowej. [dostęp 2014-05-17]
- 3 Eugeniusz Szumiejko [w:] Encyklopedia Solidarności. [dostęp 2018-12-08]
- 4 A. Adamski Kornel Morawiecki. Autobiografia; Warszawa 2017, s.185
- 5 Tymczasowa Komisja Koordynacyjna [w:] 13grudnia1981.pl [on-line]. Instytut Pamięci Narodowej. [dostęp 2014-05-18]

PIERWSZE KONTAKTY NIEPODLEGŁOŚCIOWEJ KONSPIRACJI TRÓJMIASTA Z WROCŁAWSKIM KRĘGIEM KORNELA MORAWIECKIEGO¹

Na przełomie marca i kwietnia 1982 współpracujący we Wrocławiu z Kornelem Morawieckim Tadeusz Świerczewski² i Anna Birecka³ po raz pierwszy w sprawach konspiracyjnych odwiedzili Trójmiasto. Celem było spotkanie z podejmującymi działalność podziemną pracownikami firmy „Dalmor”, z którymi wiązano nadzieje na wykradanie z zakładu tranzystorów dużej mocy, mających posłużyć do budowy nadajników radiowych⁴. W maju 1982 Tadeusz Świerczewski ponownie odwiedził Trójmiasto, tym razem towarzyszyła mu Henryka Augustyn⁵. Jednym z celów tej wizyty było poinformowanie konspiratorów z Wybrzeża o mającym prawdopodobnie nastąpić w krótkim czasie utworzeniu nowej organizacji, która walczyć będzie nie tylko o prawa związkowe, ale o niepodległość i obalenie systemu komunistycznego. Krótko potem Roman Jankowski z gdyńskiej Stoczni Remontowej NAUTA nawiązał za pośrednictwem Tadeusza Świerczewskiego kontakt z Kornelem Morawieckim. Rozwój tej współpracy został powstrzymany w wyniku aresztowania Tadeusza Świerczewskiego we wrześniu 1982⁶ i Anny Bireckiej – w grudniu 1982.

Do osób, poznanych przez Świerczewskiego w czasie spotkań z konspiratorami gdańskimi, należeli także Tadeusz Cieszewski⁷ i Ryszard Anders. Obydwaj uważali, że należy być przygotowanym na ewentualność podjęcia walki zbrojnej a przynajmniej do czynnej samoobrony przed siłami reżimu. Obok druku i rozrzucania ulotek tworzyli więc wokół siebie krąg młodych ludzi, których uczyli nie tylko zasad konspiracji, ale także podstaw wojskowości. Grupę tę, której początki datują się na pierwsze miesiące roku 1982, cechowały liczne podobieństwa z późniejszymi Grupami Wykonawczymi Solidarności

1 Nota biograficzna w Encyklopedii Solidarności [dostęp 2015-10-04]

2 A. Adamski „Taki, jak jego poprzednicy”, *Gazeta Polska*, nr 27, 2.VII 2008, s.24

3 Nota biograficzna w Encyklopedii Solidarności [dostęp 2015-10-04]

4 Ostatecznie podzespoły do urządzeń radiowych Solidarność Walcząca Trójmiasto pozyskiwała jednak głównie z zakładów Radmor.

5 8 Henryka Augustyn należała do tej samej konspiracyjnej grupy „Eskulap”, do której należała w tym czasie także Anna Birecka. Głównym terenem ich działalności była wrocławska Akademia Medyczna. 9 Relacja Tadeusza Świerczewskiego

6 Aresztowanie Świerczewskiego było częścią szerokiej akcji represyjnej, będącej następstwem aresztowania Władysława Frasyniuka i jego współpracowników 5 września 1982. „Pierwsza wielka wyspa” wrocławskiego podziemia skutkowało też zniweczeniem wielu innych przedsięwzięć i planów solidarnościowej konspiracji Dolnego Śląska.

7 Tadeusz Cieszewski w czasie II wojny światowej był jednym z Cichociemnych, w latach 80-tych posługiwał się tym samym, okupacyjnym pseudonimem Borus.

Walczącej. Po aresztowaniach, które dotknęły konspirację wrocławską jesienią 1982 i wynikających z tego trudności z kontaktem, kontynuowała ona swoją działalność.

Ze wspomnień mieszkańców Gdańska, Sopotu i Gdyni, począwszy od roku 1984 zaangażowanych w działalność Solidarności Walczącej wynika, że z zainteresowaniem przyjmowały one informacje o rozwijającej się kolejnej formie aktywności organizacji Kornela Morawieckiego. Wiadomości te pochodziły z docierających na Wybrzeże Wydawnictw, od krewnych i znajomych, mieszkających na Dolnym Śląsku i będących pod wrażeniem dynamiki nowej, śmiałej podziemnej formacji a także z audycji zagranicznych rozgłośni radiowych. Wprawdzie Radio Wolna Europa faworyzowało inne nurty solidarnościowej opozycji, lecz skala nakładów podziemnej prasy Solidarności Walczącej sprawiała, że znaczną częścią konspiracyjnych pism, docierających do monarchijskiej rozgłośni były gazetki organizacji Morawieckiego. Stąd też były one wymieniane i cytowane w takich audycjach RWE, jak „Wiadomości i Teksty Zakazane” czy „Przegląd Prasy Podziemnej”. Być może tu właśnie należy poszukiwać źródeł inspiracji podziemnej inicjatywy wydawniczej, jaką było pismo pt. „Ziemia Gdańska”. Periodyk ten, którego podtytuł sugerował przynależność do Solidarności Walczącej, zaczął się ukazywać na początku roku 1984. Charakter jego związku z organizacją, jak i krąg jego twórców nadal nie są jednak precyzyjnie ustalone.¹

1983 – ROK WZBIERANIA POTENCJAŁU

W relacjach wielu trójmiejskich działaczy Solidarności Walczącej² przewija się wspomnienie podobnego rozgoryczenia miałkością podziemnego przywództwa NSZZ Solidarność, brakiem inicjatywy i koncepcji walki, kolejnymi sygnałami a nawet deklaracjami gotowości do daleko idącego kom-

1 Obszerniej o „Ziemie Gdańskiej” piszą Andrzej Kołodziej i Roman Zwiercan w książce „Solidarność Walcząca Oddział Trójmiasto 1982-1990” (Gdynia 2017, s. 16-17). Istotne wydaje się tu być wyjaśnienie, że pojawienie się pism a nawet całych konspiracyjnych struktur, używających szyldu Solidarności Walczącej a nie mających kontaktu z przywództwem tej organizacji, było akceptowane a nawet postulowane przez Kornela Morawieckiego i jego współpracowników. W swoich publikacjach programowych już w 1982 apelowali oni o tworzenie struktur SW zanim jeszcze nawiąże się kontakt z zasadniczą częścią organizacji (wydana w 1983 „Nasza Wizytówka” zawierała słowa: „Nie czekaj na kontakt, działaj już teraz, twórz ogniwa organizacji Solidarność Walcząca!”). Owoce tego apelu było pojawienie się działaczy, identyfikujących się z SW, w różnych częściach kraju, m.in. w Pomorzu Szczecińskim. Sytuację tę starała się też wykorzystać też Służba Bezpieczeństwa, powołując struktury fikcyjne lub stając na czele zespołów osób działających w dobrej wierze (najbardziej znany taki przypadek miał miejsce w Pile). Wszelkie tego rodzaju działania reżimowych służb specjalnych zostały jednak zniweczone w wyniku działań Kontrwywiadu Solidarności Walczącej, co potwierdzają wszystkie dostępne dzisiaj dokumenty, powstałe w ramach prac PRL-owskiego MSW.

2 Relacje Edwarda Frankiewicza, Bolesława Siedleckiego, Andrzeja Kołodzieja, Romana Zwiercana i innych

promisu. List gdańskiego opozycjonisty Aleksandra Halla¹, opublikowany po jego wyjściu z podziemia w roku 1983, w którym proponował „poszukiwanie innych form aktywności” przez część ludzi opozycji przyjęty został jako manifestacja kapitulancstwa i braku wiary w możliwość doprowadzenia do jakichkolwiek znaczących przemian. Podobnie, jak to miało miejsce we Wrocławiu przed powstaniem Porozumienia Solidarność Walcząca, tak też w innych miastach i regionach kraju, również i w metropolii trójmiejskiej część ludzi zaangażowanych w działalność opozycyjną, poszukiwała form aktywności, spełniającej ich oczekiwania i wyrażającej przyświecające im cele. Osoby te były zdecydowane iść pod prąd tendencjom, które zdawały się w Polsce zwyciężać a których znamieną ilustracją były coraz rzadsze i coraz mniej liczne demonstracje uliczne, ujawnianie się wielu działaczy Solidarności, ukrywających się od wprowadzenia stanu wojennego, wycofywanie się z różnych form niezależnej aktywności wielu osób, stanowiących wcześniej zaplecze opozycji. Nastrój „przegranej wojny” pogłębiały nagłaśniane przez reżimową propagandę fakty czasem dość spektakularnego przechodzenia na pozycje neutralne czy wręcz związane z obozem władzy postaci kojarzonych z polskimi dążeniami wolnościowymi.²

NOWI LIDERZY GDYŃSKIEGO PODZIEMIA

W lipcu 1983 z więzienia w Czechosłowacji uwolniony został Andrzej Kołodziej. Po paromiesięcznym pobycie w rodzinnym Zagórzcu, w dużej mierze przeleżanym w łóżku z powodu zapalenia płuc i wycieńczenia, Kołodziej przyjechał do Gdyni, w celu podjęcia działalności konspiracyjnej. Jak wspomina – jego spotkania z ludźmi Solidarności oraz wrażenia z praktykowanych form oporu społecznego doprowadziły go do wniosku, że idea walki o wolną Polskę znajdowała się wówczas na swoistej równi pochyłej. W jego ocenie przywódców związku cechował minimalizm, brak koncepcji walki i niezdolność do inicjatywy. Pierwszą osobą, podzielałą jego diagnozę sytuacji i podobnie oceniającą potrzebę nowej formy aktywności okazała się być Ewa Ku-

1 http://pl.wikipedia.org/wiki/Ruch_M%C5%82odz_Polski

2 Jednym z wydarzeń najbardziej znanych i komentowanych w owym czasie było wystąpienie ujawniającego się przewodniczącego Regionalnej Komisji Wykonawczej NSZZ Solidarność Małopolska Władysława Hardka, który odczytał swoje oświadczenie po głównym wydaniu Dziennika Telewizyjnego 22 sierpnia 1983. De facto Hardek trzy dni wcześniej został aresztowany a do wystąpienia w TV skłoniły go przesłuchania, prowadzone przez SB. W późniejszym czasie Władysław Hardek konsekwentnie odmawiał jednak legitymizowania swoją osobą PRL-owskiego reżimu i jego poczynañ. W 1986 odrzucił propozycję wejścia w skład Rady Konsultacyjnej przy Przewodniczącym Rady Państwa, rok później wybierając los emigranta, nie angażującego się w sprawy publiczne.

basiewicz. Na początku 1984 w gdyńskim mieszkaniu Zofii Kwiatkowskiej¹ spotkali się oni z wystannikiem Kornela Morawickiego – Januszem Paciorkowskim. W marcu 1984 doszło do kolejnego spotkania, w którym brał też udział Andrzej Zarach². Miesiąc później, we Wrocławiu, Andrzej Kołodziej spotkał się z Kornelem Morawieckim, złożył przysięgę organizacyjną Solidarności Walczącej i wszedł w skład Komitetu Wykonawczego tej formacji. Owocem tego spotkania była także decyzja utworzenia w Trójmieście Oddziału Solidarności Walczącej.

Początki działalności Oddziału polegały głównie na kolportażu prasy drukowanej we Wrocławiu a regularnie przywożonej na Wybrzeże przez Andrzeja Zaracha. Mając bliską rodzinę w Kościerzynie miał on dobry pretekst do uzasadnienia częstych wizyt. W budowaniu trójmiejskiej struktury Solidarności Walczącej znaczącą rolę zaczęły odgrywać także Jan Białostocki. We wrześniu 1984 do organizacji dołączył zwolniony dwa miesiące wcześniej z więzienia Roman Zwiercan, którego rola w rozwijającej się organizacji wkrótce miała się okazać olbrzymia.

Budowa własnego zaplecza poligraficznego Solidarności Walczącej Oddział Trójmiasto od początku natrafiało na poważne trudności, spowodowane aktywnością Służby Bezpieczeństwa. Późną jesienią dokonała ona rewizji w mieszkaniu przy ul. Sztormowej, w którym zarekwirowała m.in. zestaw czcionek drukarskich do druku typograficznego³. Osobą poszukiwaną przez SB stał się w tym momencie Andrzej Kołodziej, tym samym zmuszony do ukrywania się.

W marcu 1985 ruszyła, kierowana przez Romana Zwiercana, pierwsza stała drukarnia Solidarności Walczącej Oddział Trójmiasto. Pismami, powielanymi w niej od pierwszego miesiąca działalności, były przede wszystkim „Solidarność Walcząca” (w podtytule: „Wydaje Agencja Informacyjna SW Oddział Trójmiasto”), „Poza Układem”⁴ (periodyk redagowany przez Andrzeja Gwiaz-

1 Nota w Encyklopedii Solidarności [dostęp 31-10-2010]

2 Andrzej Zarach był w latach 1982-88 jednym z kilku najbliższych współpracowników Kornela Morawickiego

3 Druk za pomocą klasycznych metalowych czcionek był metodą unikatową w skali całego podziemia lat osiemdziesiątych. Konspiracyjną grupą, praktykującą tą techniką najdłużej była wrocławska struktura wydawnicza Feniks, ściśle współpracująca z Solidarnością Walcząca. Głównym pomysłodawcą i konstruktorem oryginalnej, czcionkowej maszyny drukarskiej Feniksabył Tadeusz Piątek.

4 Pismo Andrzeja Gwiazdy, o tytule demonstrującym dystans w stosunku do ugodowego nurtu Solidarności, nie mogło być drukowane w żadnej z drukarni związanych z NSZZ Solidarność. Solidarność Walcząca, powodowana sympatią do Andrzeja Gwiazdy i uznając prawo każdego do swobody wypowiedzi, drukowała „Poza Układem” jeszcze w roku 1990.

dę) oraz pismo dla młodzieży „Tarcza”. Redakcją techniczną pierwszego numeru głównej gazetki Oddziału zajmował się Mikołaj Kostecki. Krótco potem do redakcji dołączyli mieszkający na Żabiance przyjaciele Joanny Wojciechowicz Halina i Piotr¹, usługi fotograficzne świadczył Jacek Awakumski.

Niepisaną zasadą organizacji Solidarność Walcząca było założenie, że każdy oddział tej formacji powinien dysponować własnym tytułem prasowym. Przypadek oddziału trójmiejskiego potwierdza regułę, wg której pojawienie się regularnie wydawanej gazetki owocuje rozwojem struktur. Największą zasługę w tym zakresie przypisać należy Romanowi Zwiercanowi, któremu w pierwszej kolejności zawdzięczać należy zarówno cykliczność, jak też jakość i wzrastającą skalę nakładu publikacji, jak też pozyskiwanie sporej części kolejnych działaczy podziemia. W 1985 aktywność w strukturach Solidarności Walczącej rozpoczęli m.in. tak później dla nich zasłużeni konspiratorzy, jak Jerzy Kanikuła, Jacek Parzych, Edward Frankiewicz, Bogdan Gwóźdź, Elżbieta Nallengast, Alina Wiktorska, Bożena Witt czy Karol Krementowski. Bardzo cennym współpracownikiem okazał się być też Piotr Jagielski – elektronik i konstruktor z zakładów Radmor. Firma ta produkowała sprzęt radiowy na zlecenie Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Ministerstwa Obrony Narodowej. Posiadana przez Jagielskiego wiedza umożliwiała konstruowanie urządzeń nasłuchowych, umożliwiających stałe śledzenie komunikacji radiowej, prowadzonej przez funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa, milicji i służb wojskowych.

Niemal równocześnie wydarzenia, związane ze strajkiem, ogłoszonym przez TKK NSZZ Solidarność na dzień 28 lutego 1985², skomplikowały życie Romana Zwiercana. Zaplanowana akcja protestacyjna niemal w ostatnim momencie została odwołana. Wiadomość ta nie dotarła jednak do wszystkich, w związku z czym wydział Stoczni im. Komuny Paryskiej, w którym zatrudniony był Zwiercan, przerwał pracę. Skutkiem tego, jako jeden z prowadzących, wraz z kolegą³ z tego samego wydziału, został dyscyplinarnie zwolniony z pracy. Obydwaj odpowiedzieli protestem głodowym, podjętym w miejscu uniemożliwiającym użycie siły. Miejscem tym był szczyt najwyższego z kominów stoczni. Spektakularny protest został zawieszony po publicznym złożeniu przez dyrekcję deklaracji przywrócenia do pracy. Wbrew obietnicy tego

1 Skutkiem wysokich standardów konspiracji do dzisiaj trudno ustalić nazwiska niektórych działaczy Solidarności Walczącej, znanych ciągle jedynie z imion lub pseudonimów.

2 Strajk miał być protestem przeciw podwyżkom cen. Odwołany został w wyniku apelu Lecha Wałęsy.

3 Kolegą tym był Adam Borowski, wespół z którym prowadził następnie akcję protestacyjną na pomalowanym informacyjnym i hasłami i oflagowanym kominie stoczni.

samego dnia Zwiercan został zatrzymany przez SB a po 47 godzinach pobytu w areszcie przewieziony do szpitala psychiatrycznego. Sytuacja, w której zatrzymany zamiast w rękach SB znalazł się w szpitalu uspokoiła nastroje wśród pracowników Stoczni, których część skłaniała się do solidarnościowego protestu w obronie represjonowanego kolegi. W szpitalu Zwiercan odmówił podania się badaniom a żądanie uwolnienia, poparte protestem głodowym, doprowadziło do jego wypisania ze szpitala. W drodze do domu, niemal bezpośrednio przed komisariatem milicji w Gdyni – Obtużu, został nagle napadnięty przez kilku „nieznanych sprawców”. Po odzyskaniu przytomności poprosił o pomoc taksówkarza, który odwiózł go do szpitala, w którym stwierdzono m.in. złamanie kilku żeber, urazy głowy wraz z krwiakami oraz wybicie stawu kolanowego, co stało się przyczyną trwałego uszczerbku zdrowia. Leczenie polegało m.in. na unieruchomieniu nogi gipsem przez okres trzech miesięcy.

Stan zdrowia nie był dla Zwiercana powodem do zmniejszenia intensywności prowadzonych działań. Przeciwnie – mając nogę w gipsie rzadziej opuszczał mieszkanie, w którym zajmował się powielaniem. Ilość gazetek, ulotek i innych wydruków wzrosła wówczas skokowo. Wczesną jesienią 1985, niemal równocześnie z pozbyciem się utrudniającego poruszanie się, gipsowego opatrunku rozpoczął serię akcji, których plany zapewne dojrzewały w okresie ograniczonej mobilności. Wraz z Jerzym Kanikułą, Jackiem Parzychem, Krzysztofem Bednarkiem, Jackiem Kaczorowski i Krzysztofem Denisowiczem rozpoczął wówczas serię działań ulotkowych i malarskich. Liczne napisy powstały wzdłuż trasy trójmiejskiej linii kolejowej a także na wagonach pociągów Szybkiej Kolei Miejskiej. Największe wrażenie robiły jednak wielkie hasła, wymalowywane na szczytowych ścianach bloków kolejnych gdyńskich osiedli. W czasie jednej z takich akcji funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa zatrzymali Krzysztofa Bednarka i Krzysztofa Denisowicza. Niemal równocześnie doszło do szeregu zatrzymań i rewizji w mieszkaniach ludzi związanych z Solidarnością Walczącą. W związku z tym, że SB dążyła również do zatrzymania Romana Zwiercana, postanowił on przynajmniej przez jakiś czas pozostać w ukryciu. O tym, że ukrywanie się będzie faktem bezterminowym przesądziły listy gończe, wystawione także przeciw Jackowi Parzychowi w październiku 1985.

Rok 1985 dla Solidarności Walczącej Oddział Trójmiasto kończył się zejściem kluczowych działaczy do głębokiej konspiracji. Ukrywający się Roman Zwiercan rozpoczął wówczas bliską współpracę z Andrzejem Kołodziejem. Na-

tomiast wraz z Jackiem Parzychem nową drukarnię zorganizował w mieszkaniu Teresy i Bolesława Toczaków w Gdańsku – Olszynie. Dzięki gościnności gospodarzy przez szereg miesięcy ich dom stał się też azylem dla poszukiwanych przez SB. W kolejnych latach Solidarność Walcząca Oddział Trójmiasto często postrzegana będzie jako jeden z najbardziej radykalnych ośrodków polskiego podziemia. W zasadniczej mierze na opinię tę złożyły się bezkompromisowość, aktywność i determinacja pomorskich działaczy. Czynnikiem wzmacniającym te walory być może poszukiwać też trzeba w konieczności ukrywania się liderów trójmiejskiej Solidarności Walczącej. Dla osobowości takich, jak Roman Zwiercan czy Andrzej Kołodziej ukrywanie się oznaczać mogło wyłącznie maksymalne skupienie na prowadzeniu podziemnej walki z komunistycznym reżimem.

Bibliografia:

J. Pietraszko *Terrorysty i Oszolomy*, Wrocław 2007

A. Kołodziej, R. Zwiercan, *...o godność i wolność. Po prostu...*, Kościerzyna 2010

A. Kołodziej, R. Zwiercan, *Solidarność Walcząca Oddział Trójmiasto*, Gdynia 2017

GRECY W SOLIDARNOŚCI WALCZĄCEJ

Wraz z końcem II wojny światowej w Grecji wybuchła wojna domowa. W walkach i egzekucjach zginęło kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych kraj opuścili dziesiątki tysięcy Greków w czasie krwawego konfliktu związanych z (szeroko rozumianą) stroną komunistyczną. Celem tej emigracji były głównie europejskie państwa obozu socjalistycznego. Ponad 14 tysięcy Greków, w tym ponad 3100 małych i często osieroconych dzieci, trafiło do Polski.

Bliżej poznałem tylko kilkoro zamieszkujących u nas Greków. Jeśli jednak przyjąć zasadę, że każdy obcokrajowiec zawsze jest ambasadorem swojej ojczyzny to stwierdzić muszę, że każdy ze znanych mi Greków rolę tego reprezentanta spełniał w sposób wyśmienity.

Przede wszystkim powszechne było wrażenie bardzo głębokiego „wtopienia się Greków w Polskę”. Mieli oni świadomość swojego pochodzenia, pielęgowali swoją tożsamość, ale żyli między Polakami i jak Polacy. Wiele wskazywało na to, że myślą podobnie, jak my. Wiadomo było, że rodzinnie musieli być związani z tymi, którzy w Grecji próbowali zaprowadzić ustrój komunistyczny. Ze wszystkich kontaktów z nimi jednak wynikało, że po latach spędzonych w Polsce rządzonej przez prosowiecki reżim z niegdysiejszych probolszewickich sympatii w głowach nie pozostało im absolutnie nic. Dla wielu lata czterdzieste były zresztą jedynie wspomnieniem z dzieciństwa, wielu urodziło się już w Polsce.

Na naszym osiedlu mieszkało kilka greckich rodzin. Jedna z nich w moim bloku, liczącym ponad 120 mieszkań, więc większość kontaktów była dość przypadkowa. Od lat przedszkolnych widziałem jednak, że na bodaj czwartym piętrze mieszka parę osób wyglądających nieco egzotycznie. Czasem jadąc windą przyglądałem się kruczowłosej kobiecie miniaturowych rozmiarów, o ostrych rysach twarzy. Bywało, że miała pod ręką gazetę wypełnioną greckimi literami, co uruchamiało wyobraźnię: „O kurczę – Grecja! Akropol, Pitagoras, morze gorące jak herbata, ananasy...” Pani ta miała dwoje dzieci, ale aku-

rat nie z mojego przedziału wiekowego. Jej córeczka była młodsza ode mnie. Na naszym podwórku była liderką najbardziej ruchliwej ekipy dziewczynek nadzwyczaj skłonnych do różnych psikusów, rozstawiania indiańskich obozów na trawniku lub organizowania pełnego wrzasków dzikich tańców na dachu zapomnianego przez swych właścicieli starego autobusu. Ta kreatywność i odwaga wzbudzały na podwórku powszechny respekt. Jej brat był starszy ode mnie – kiedy kończyłem podstawówkę on zaczynał studia na politechnice. Kiedyś w windzie zauważył, że przyglądam się płytom, które trzymał pod pachą. Pokazał mi, że zawierają muzykę greckich zespołów. Powiedział: „Jak byś chciał takiej posłuchać to przyjdź w sobotę wieczorem do greckiego klubu na Placu Wolności”. Okazało się, że mają tam o tej porze miejsce dyskoteki. Nie wszyscy ich uczestnicy byli Grekami i przez pierwszą część wieczoru tańczono tam do rytmu wszystkim znanych anglosaskich szlagierów. W pewnym jednak momencie pojawiała się tradycyjna muzyka grecka. Zgromadzeni jakby poważnieli, splatając tworzyli zwartą całość i zaczęli wykonywać taneczne ruchy z precyzją profesjonalnego zespołu. Robiło to wielkie wrażenie. Widziało się ludzi urodzonych już w Polsce, nikt z nich nie był nigdy w ojczyźnie swoich ojców, wszyscy funkcjonowali w odległym od niej kraju a jednak z dużym przekonaniem kultywowali tradycję narodu, do którego przynależeli.

Mieszkająca w naszym bloku matka dwojga młodych Greków stała się sławna w 1982 roku. 31 sierpnia przez naszą dzielnicę przetoczyły się burzliwe rozruchy. Latały pociski, kamienie i gazowe granaty, padali ranni, płonęły samochody i bruk, na którym rozbijały się butelki z benzyną. Po unieruchomieniu wielkiego transportera opancerzonego dwóch zomowców nad głowami tłumy pruć z kałasznikowów. Zaraz potem obok naszego bloku stanęło kilkanaście milicyjnych ciężarówek, cała okolica zarojła się od ZOMO, ROMO i wojska. Oddziały zomowców wchodziły do kolejnych bloków. W naszym waliły do każdych drzwi i jeśli im ich nie otwierano – często były one wyłamywane. Jeśli w mieszkaniu znajdowano ukrytych demonstrantów – wywlekano ich razem z udzielającymi im schronienia. Kolejne piętra wypełniały straszne krzyki wleczonych po schodach, kopanych i okładanych pałkami. Zomowcy nie weszli do każdego z ponad stu dwudziestu mieszkań (po 11 na każdym, wzdłuż długich korytarzy). Chyba zniechęcało ich to, że po wyłamaniu drzwi do szeregu mieszkań okazywało się, że często nie było w nich nikogo. W paru mieszkaniach manifestantom udało się więc skutecznie schronić. Opowieść, która od tego dnia krążyła wśród mieszkańców, dotyczyła „tej małej Greczynki z czwartego pię-

tra”. Wynikało z niej, że jak tylko zorientowała się, co się dzieje, otworzyła drzwi swojego mieszkania i stojąc przy schodach wskazywała wszystkim drogę: „Tędy, tutaj, do środka!” W tych chwilach pełnych przerażenia, gdy z wszystkich stron dochodziły krzyki i rozkazy „Stój bo strzelam!” jej maluteńkie mieszkanko wypełniło się dziesiątkami ludzi. Sąsiedzi spierali się o ilość osób, które ukryła: „Trzydziestu? Tylu przecież nigdy nie wcisnęłoby się do tak malutkiego mieszkanka!” Inni dopowiadali: „Ale dwudziestu co najmniej. Wszyscy stali ściśnięci i wstrzymywali oddech, jak ZOMO waliło w drzwi. Nie wyłamali ich, bo w sąsiednich mieszkaniach jak drzwi powyważali to zobaczyli, że w środku nie ma nikogo. Pomyśleli więc chyba, że z tym mieszkaniem jest tak samo”.

Od wydarzeń z 31 sierpnia 1982 Greczynka z bloku przy ul. Legnickiej 28 otoczona była powszechnym podziwem. Jak po czymś takim nie myśleć: „Nasi Grecy”? A jej przypadek nie był przecież wyjątkiem. Sławnym działaczem Solidarności Walczącej był Chrystoforosz Tulasz. Działał głównie w Jeleniej Górze i realizując zasadę Kornela Morawieckiego „Rób to, co umiesz, co leży w twojej naturze, byle było to to, co będzie zabójcze dla komunizmu” Chrystoforosz oddawał się aktywnościom spektakularnym i żywiołowym. Noc bez namalowania hasel na murach i dzień bez akcji ulotkowych uznawał za czas stracony. Rozwieszał transparenty, drukował gazetki i robił wszystko, by permanentnie absorbować maksymalne ilości esbeków i zomowców. Był poszukiwany listami gończymi i niezliczoną ilość razy uciekał przed goniącymi go watahami funkcjonariuszy. Potrafił się wyrwać próbującym go zatrzymać a biegał lepiej od innych. Tom „Solidarność Walcząca w dokumentach SB” zawiera m.in. notatki służbowe, dotyczące pościgów za Chrystoforaszem. Lektura niektórych z nich może rozbawić do łez. Któryś razem zdarzyła się np. sytuacja, w której goniony przez ubeków Chrystoforasz wbiegł do dziesięciopiętrowego bloku. Esbecy myśleli, że już go mają. Okazało się jednak, że blok ten jest jednym z pierwszych, w którym zainstalowano domofony. Funkcjonariuszom nie udało się sforsować żelaznej bramy a dzwoniąc do wszystkich lokatorów nie natrafili na ani jednego, który by im drzwi otworzył. Kiedy już sprowadzili posiłki i znaleźli sposób wejścia do środka okazało się, że Chrystoforasz „jakoś się rozplynął”. Czmychnął zapewne przez któreś z okien w czasie, gdy ścigający go bezskutecznie próbowali wejść do środka. Oczywiście nie zawsze było tak wesoło. Chrystoforosz Tulasz wiele razy był aresztowany, w wyniku wyroków lata spędził w więzieniu. Wielokrotne ciężkie pobicia odebrały mu zdrowie i być może przyczyniły się do jego przedwczesnej śmierci.

O Andrzeju Bafalukoszu oraz jego bracie, również mających greckie pochodzenie a bardzo zaangażowanych w druk prasy podziemnej, opowiadała mi ś.p. Barbara Sarapuk. W swojej książce wspomina o nich także Krzysiek Biezuński. Ich podziemny dorobek to ogromne nakłady powielonych pism Solidarności Walczącej i nie tylko a także wkład merytoryczny do ich zawartości. Teksty Andrzeja Bafalukosza nadal czytać możemy w „Gazecie Obywatelskiej”.

Z Grecji pochodzi też żona Stanisława Srokowskiego poetka i tłumaczka Maria Ganaciu. To od niej dowiedziałem się sporo o straszliwych realiach wojny domowej z lat czterdziestych. Grecy emigranci trafili do Polski z obrazami mordów, dokonywanych w ramach próby zaprowadzenia marksistowskiego ładu. W czasie pochodów, organizowanych w wioskach i miasteczkach, pod nogi maszerujących rzucono głowy ścinane przeciwnikom komunizmu. Marksisci twierdzili, że „Tak trzeba, by jutro naszego narodu było szczęśliwe”. Po znalezieniu się w stalinowskiej Polsce greccy uchodźcy szybko przekonali się jednak, jaki „raj” drogą zbrodni zaprowadzany jest po tym, jak komunizm już zatriumfuje. Życie Polaków w powszechnej nędzy i w realiach totalitarnego terroru raz na zawsze uświadomiło, że poza skrajnym zniewoleniem, straszliwą biedą i beznadzieją – żaden komunizm nigdy nie będzie miał niczego do zaoferowania. W dniu wprowadzenia stanu wojennego Maria Ganaciu wraz z mężem zaczęła sporządzać protestacyjne plakaty, wspólnie rozklejane potem na ulicach, którymi przewalały się już kawalkady wojska. Małżeństwo to razem znosiło kolejne prześladowania, wspierało działalność Solidarności Walczącej.

Wielu polskich Greków bardzo się przysłużyło walce o naszą niepodległość, wielu przyczyniło się do skruszenia okowów komunizmu. Ich dobra robota w naszym kraju to od tamtych czasów jedno z moich głównych „greckich skojarzeń”.

JAN OLSZEWSKI – JEDEN Z OJCÓW NIEPODLEGŁOŚCI

Wyrywanie się Polski z sowieckiego zniewolenia napotykało na liczne rafy ponownej imperialnej zależności.

Solidarność przynosiła wolność wielu narodom Europy, ale zainstalowana w jej elitach agentura realizowała projekty, zmierzające do wtórnego podporządkowania naszej ojczyzny Moskwie. Nie przypadkiem to z Polski rosyjska armia wycofana została najpóźniej, jej miejsce wypełnić miały post-radzieckie „firmy” wiadomego „sektora” a z dążeń w kierunku integracji z Zachodem zawrócić nas miało tzw. „NATO-bis”. W latach prezydentury Wałęsy, uważany przez Amerykanów za wielkiego bohatera płk Ryszard Kukliński, przez ówczesną głowę polskiego państwa traktowany był jak zbrodniarz i zdrajca. W swojej ojczyźnie nadal nie mógł się pojawić – wyrok śmierci został mu jedynie zamieniony na 25 lat więzienia (uniewinniono go dopiero w 1997 roku). Równocześnie PRL-owski agent Marian Zacharski, za szpiegostwo w USA skazany na dożywocie, lecz w 1985 wymieniony na 25 uwięzionych szpiegów amerykańskich, cieszył się za prezydentury Wałęsy zaszczytami, stanowiskami, apanażami. W Waszyngtonie wywoływało to oczywiście wściekłość a przynajmniej nieufność i oddalało USA od relacji z Polską. Trudno oprzeć się wnioskowi, że taki też był cel demonstracyjnych działań w stosunku do Kuklińskiego i Zacharskiego oraz obsadzania najwyższych stanowisk w państwie przez ludzi świetnie Amerykanom znanych jako ich wrogowie. Na szefa Biura Bezpieczeństwa Narodowego a następnie ministra obrony narodowej ówczesny gospodarz Belwederu wyznaczył nadzwyczaj zasłużonego dla komunistycznych służb Jerzego Milewskiego. Wraz z ulokowaniem na szczytach władzy mnóstwa innych prosowieckich funkcjonariusz, czy generałami bez reszty lojalnymi w stosunku do swych moskiewskich protektorów, wręcz ostentacyjnie obwieszczą to, że Warszawa nadal ściśle związana jest z postsowiecką Rosją. Zbliżenie z Polską – oznaczałoby więc zarazem otwieranie się na ludzi zapewne ciągle pracujących na szkodę USA i całego wolnego świata.

W pierwszej połowie lat dziewięćdziesiątych Polska balansowała na krawędzi między szansą integracji z Zachodem a powrotem w objęcia moskiewskiego imperializmu. Umowy de facto oznaczające usianie Polski wielkim archipelagiem eksterytorialnych enklaw rosyjskiej agentury zostały przez polskiego

premiera zablokowane z wielkim trudem i w dosłownie ostatniej chwili. Premierem tym był Jan Olszewski.

WALKA O NIEPODLEGŁOŚĆ OD NAJMŁODSZYCH LAT

Premier pierwszego od lat trzydziestych rządu wyłonionego za sprawą wolnych wyborów pochodził z rodziny o tradycjach niepodległościowych. Bratem stryjecznym matki był zamordowany przez carskich oprawców bohater Organizacji Bojowej PPS Stefan Okrzeja. W czasie okupacji hitlerowskiej Jan Olszewski wstąpił do „Zawiszaków” – formacji najmłodszych harcerzy konspiracyjnego ZHP, następnie był członkiem „Szarych Szeregów”, w wieku 14 lat wziął udział w Powstaniu Warszawskim. Po wojnie działał w młodzieżówce Polskiego Stronnictwa Ludowego Stanisława Mikołajczyka, uczestniczył w kampanii wyborczej do Sejmu Ustawodawczego. W 1953 ukończył studia prawnicze a po trzy lata późniejszej „odwilży październikowej”, zaangażował się w inicjatywę, mającą na celu utrwalenie i poszerzenie pojawiającego się wtedy marginesu wolności. Działał w Klubie Krzywego Koła, publikował na łamach „Po Prostu”. Wraz z powrotem reżimu Gomułki na kurs totalitarny, za odważne artykuły, publikowane na łamach likwidowanej przez komunistów, częściowo niezależnej prasy, został objęty zakazem uprawiania dziennikarstwa. Z coraz większym powodzeniem uprawiał za to zawód adwokata. Słynął jako znakomity obrońca, który od ubogich, skrzywdzonych ludzi nie pobierał honorariów. W latach sześćdziesiątych stał się najbardziej znanym obrońcą osób oskarżanych w procesach politycznych, m.in. prześladowanych w czasie wystąpień z roku 1968.

PRZECIW SOWIETYZACJI OJCZYZNY

W 1970 był obrońcą w procesie organizacji „Ruch”. W dekadzie gierkowskiej kilkakrotnie organizował petycje i był sygnatariuszem listów otwartych, wyrażających sprzeciw wobec zmian w konstytucji, ograniczających prawa obywateli i formalizujących coraz głębsze uzależnienie Polski od Związku Sowieckiego. W 1976 był współtwórcą Polskiego Porozumienia Niepodległościowego. W ramach tej działalności opublikował poza zasięgiem cenzury ok. pięćdziesięciu prac programowych. Równocześnie współtworzył Komitet Obrony Robotników, do którego formalnie nie wstąpił, by prześladowanym opozycjonistom służyć jako adwokat. Był też najaktywniejszym obrońcą sądowym osób więzionych za udział w wydarzeniach Czerwca 1976. Natychmiast po Sierpniu 1980 włączył się w tworzenie niezależnych związków

zawodowych. Jako doradca NSZZ Solidarność zalecał przygotowywanie się do działania w warunkach otwartej konfrontacji z reżimem komunistycznym. Nie ustawał w walce o wolność więźniów politycznych – był współzałożycielem Komitetu Obrony Więzionych za Przekonania. Wprowadzenie stanu wojennego otworzyło w życiu Jana Olszewskiego okres najintensywniejszej pracy jako obrońca w sprawach politycznych. Jako oskarżyciel posiłkowy uczestniczył w procesie zabójców księdza Jerzego Popiełuszki a po aresztowaniu Kornela Morawieckiego przygotowywał linię obrony oskarżanego z najcięższych paragrafów przewodniczącego Solidarności Walczącej. W latach osiemdziesiątych sam też stawał się ofiarą prześladowań. Uwięzienie na 48 godzin nie stanowiło dla niego przeszkody w pełnieniu swojego posłannictwa – w czasie procesu Międzyzakładowego Robotniczego Komitetu „Solidarności” na salę sądową wszedł natychmiast po wyjściu z aresztu. Pomimo grób i różnych form nękania badał sprawy skrytobójczych morderstw, m.in. śmierci księży Stanisława Suchowolca, Stanisława Niedzielaka i Sylwestra Zycha.

RATOWANIE SZANSY NA NIEPODLEGŁOŚĆ

Wydarzenia końca lat osiemdziesiątych postrzegał jako historyczną szansę, której jednak towarzyszą poważne zagrożenia. Był ekspertem strony solidarnościowej, ustalającej przy „okrągłym stole” zasady reformy prawa i sądów. Jego zaangażowanie zostało zniweczone przez grupę sędziów z Adamem Strzemboszem, którzy po przyjęciu zasady, wg której „szeregi sędziów oczyszczą się same” doprowadziła do zakonserwowania w sądownictwie realiów PRL-u. W tym samym czasie zaangażował się w sprawę wyjaśniania i dokumentowania sowieckich zbrodni na Polakach – był współzałożycielem Polskiej Fundacji Katyńskiej i Niezależnego Komitetu Historycznego Badania Zbrodni Katyńskiej. Jesienią 1991 został posłem pierwszego od lat międzywojennych Sejmu wyłonionego w wolnych wyborach. W grudniu został premierem pierwszego, utworzonego po takich wyborach rządu. Już pierwsze jego decyzje stawały go w ostrej kontrze z postkomunistyczną nomenklaturą, ich służbami oraz zbratanymi z nimi gremiami postsolidarnościowych elit. Olszewski zatrzymał bowiem prowadzoną na kolosalną skalę grabież narodowego majątku. Powstrzymało to też eskalację bezrobocia. Równocześnie gospodarka odnotowała pierwsze od kilku lat tendencje wzrostowe. Wstrząsem były pierwsze kroki, mające na celu gruntowną reformę wojska. Jasno określony został cel – wstąpienie Polski do NATO. Tylko czujności Olszewskiego i jego współpracowników zawdzięczać należy to, że tereny po bazach, z których wycofywały się oddzia-

ty rosyjskiej armii, nie przekształciły się w wielkie i wyjęte spod polskiej jurysdykcji terytoria wypadowe wrogich Polsce służb obcego mocarstwa. Zablokowanie tego projektu doprowadziło jednak do historycznych reakcji prezydenta Wałęsy i zmobilizowało, jak się okazało – bardzo liczne, zastępy prosyjskiej agentury działającej także w parlamencie i na najwyższych szczeblach władzy. O odwołaniu rządu Jana Olszewskiego, po niewiele ponad pięciu miesiącach sprawowania urzędu, przesądziła próba przeprowadzenia lustracji wśród posłów, senatorów, ministrów i wojewodów. Już pierwsze ustalenia ujawniły bardzo liczną obecność w szeregach „okrągłostołowej” opozycji tajnych współpracowników SB. Głosowanie nad wotum nieufności w stosunku do rządu pokazało, że sejm w większości składa się z przeciwników ujawnienia agentury. Wstrząsające wydarzenia sejmowych obrad z 4 czerwca 1992 pokazały, że większość polityków, budujących Trzecią Rzeczpospolitą składa się ze zwolenników nietykalności siepaczy komunistycznego reżimu. Wielu Polakom uświadomiło to straszną prawdę, że decydującą rolę w Polsce nadal odgrywają służby PRL-owskiego reżimu i komunistyczna nomenklatura, do której dołączyły środowiska do niedawna uchodzące za część solidarnościowej opozycji. Od tych wydarzeń Trzecia Rzeczpospolita przez wielu nie była już nazywana inaczej, jak tylko – Ubekistanem.

CZYJA POLSKA?

Krótkie rządy Jana Olszewskiego, zakończone dramatycznym ich obaleniem, obnażyły sporą część przerażających i ohydnych realiów politycznych pookrągłostołowej Polski. Wielka część tzw. klasy politycznej, pomimo swego solidarnościowego rodowodu okazała się być poplecznikami PRL-owskiego reżimu. Zagłosowała za obaleniem rządu Jana Olszewskiego pomimo tego, że mogło to prowadzić do przejścia władzy przez obóz niedawnych właścicieli Polski Ludowej. Czyli ludzi przez 45 lat sprawujących swój mandat z nadania sowieckiego. W ocenie ówczesnej sejmowej większości ujawnianie ludzi prosowieckich służb stanowiło dla niej zagrożenie większe od powrotu do władzy marionetek ościennego mocarstwa.

Propagandowa furia, jaką rozpętał pookrągłostołowy medialny quasi-monopol, nie była w stanie obronić rzekomych „racji” przeciwników Olszewskiego. W społeczeństwie zaczęło dominować przekonanie, że obydwie strony sceny politycznej, postkomunistyczna i postsolidarnościowa, „są sobie warte”. Musiało to doprowadzić to odzyskania przez postkomunę pełni władzy i tak też się wkrótce stało.

Wydarzenia, związane z obaleniem pierwszego od półwiecza rządu, dążącego do pełnej podmiotowości polskiego państwa, przeorały jednak świadomość dużej części obywateli naszego państwa. Przemówienie Jana Olszewskiego, zadającego dramatyczne pytanie „Czyja będzie Polska?!” uzmysławiały, że zmagania o niepodległość naszej ojczyzny nadal trwają. Słowa obalanego pierwszego premiera, wyłonionego po wolnych wyborach, zaszczuwanego jażgotem propagandowych oszczerstw, dla wielu brzmiały jak polityczny testament. Przez wielu zostały przyjęte jako zobowiązanie do nieustawania w walce o wyrwanie Polski z dominacji kręgów, pomimo głoszonych przez nie pięknych haseł, działających na jej szkodę. Po latach wielu przyznaje, że niezapomniane przemówienia Jana Olszewskiego z czerwca 1992 roku zabrzmiały dla nich jak zadanie dążenia do pełnej niepodległości i pilnego stania na jej straży. Premier pierwszego we współczesnej nam Polsce rządu, wyłonionego po wolnych wyborach, dla sprawy tej uczynił nadzwyczaj wiele. Historycznym owocem jego decyzji było uratowanie szans naszego kraju na pełną suwerenność i podmiotowość. Stąd Jan Olszewski należy do wąskiego grona paru osób, którym w najwyższej mierze należne jest miano współczesnych Ojców Polskiej Niepodległości. I jest nim – obok Kornela Morawieckiego, Lecha Kaczyńskiego i Anny Walentynowicz.



KEDY W LAT OSIEMDZIESIĄTYCH?

Jerzy Zalewski pytając Kornela Morawieckiego, czy Solidarność Walcząca w stosunku do NSZZ Solidarność była czymś analogicznym do NSZ – u, czyli organizacji w latach czterdziestych bardziej radykalnej od AK usłyszał, że trafniejsze byłoby przypisanie SW roli podobnej do tej, jaką w Polskim Państwie Podziemnym pełniło Kierownictwo Dywersji. W istocie – wiele przemawia za opinią, że Solidarność Walcząca była rodzajem „kadrowej jednostki specjalnej” a jej członkowie „komandosami solidarnościowego podziemia”.

Środowisko, od czerwca 1982 tworzące SW, budowało się już od lat sześćdziesiątych. W Marcu 1968, w protestach przeciw agresji na Czechosłowację i zbrodni Grudnia 1970 razem z Morawieckim uczestniczyli późniejsi liderzy Solidarności Walczącej, m.in. Wojciech Myślecki, Jerzy Petryniak, Wojciech Winciorek. W 1979, obejmując pieczę nad „Biuletynem Dolnośląskim” późniejszy przewodniczący organizacji wprowadził żelazne zasady funkcjonowania konspiracyjnej poligrafii. W efekcie drukarze nie tylko zniknęli z oczu bezpieczeństwa, ale było ich coraz więcej. Drugi obieg wydawniczy w tym modelu zrywał z podziałem na ludzi piszących, drukujących i kolportujących. Solidną znajomość poligrafii, wraz ze zdolnością samodzielnego stworzenia drukarskiego warsztatu na bazie powszechnie dostępnych materiałów, posiadać miał każdy. Cenne owoce zasada ta przyniosła w Sierpniu 1980, kiedy mimo uwięzienia wielu opozycjonistów, nie zabrakło ludzi do drukowania. Wydanie „Biuletynu Dolnośląskiego”, zawierające listę postulatów i wezwanie do strajku, dotarło do wielu miast regionu. W okresie legalnej działalności NSZZ Solidarność podziemna siatka drukarzy Morawieckiego nie tylko się nie ujawniła, ale znacząco rozrosła, wzbogaciła w sprzęt, bazę awaryjnych lokali, zapas papieru. 13 grudnia 1981 nie było w Polsce innego zespołu, w porównywalnym stopniu gotowego do działania w warunkach konfrontacji. Przed świtem drugiego dnia stanu wojennego gazетка NSZZ Solidarność Dolny Śląsk „Z Dnia na Dzień” dotarła do tysięcy mieszkańców Wrocławia i do wszystkich większych zakładów pracy. Pismo redagowane przez Romualda Lazarowicza ukazywało się co dwa

dni a kierowana przez Kornela Morawieckiego struktura wydawniczo-kolportażowa tętniła pracą coraz liczniejszych drukarni, gęsto rozsypanych po południowo-zachodniej Polsce. Pomimo realiów wojennych niezależny obieg informacyjny stał się wtedy faktem.

APELE O PRZYWÓDZTWO

Od pierwszych dni stanu wojennego Morawiecki wzywał ukrywających się liderów Solidarności do powołania przywódczego centrum, mogącego koordynować działania w skali całego kraju. Wskazywał, że jego przyczynkiem mógłby być Ogólnopolski Komitet Oporu, sformowany już przez członka Komisji Krajowej Eugeniusza Szumiejkę. Bezsukutecznie proponował też, by ukryte przed wprowadzeniem stanu wojennego pieniądze dolnośląskiej Solidarności (słynne 80 milionów) przeznaczyć na pomoc dla rodzin każdego z represjonowanych. Wychodził tu z założenia, że pewność materialnego bezpieczeństwa rodzin w przypadku utraty pracy czy uwięzienia, owocowałyby aktywnością i gotowością ponoszenia ryzyka. Kierowany przez Władysława Frasińskiego RKS NSZZ Solidarność za metodę prowadzenia walki przyjął jednak piętnastominutowe strajki. Krąg Morawieckiego tę formę protestu oceniał jako dla reżimu wymarzoną, bo ułatwiającą wyrzucanie z pracy osób aktywnych i ofiarnych.

Ogólnopolskie kierownictwo Solidarności, w postaci Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej, rozpoczęło działalność dopiero 22 kwietnia 1982, kiedy w kraju zwyciężyły już nastroje zniechęcenia. Do rozczarowania spóźnieniem tego kroku doszło poczucie zawodu programową ofertą TTK, w ocenie środowiska Morawieckiego nieadekwatną dla sytuacji i celów, które Polacy powinni sobie postawić. Latem 1982 szeroko kolportowana była odezwa, sygnowana przez Porozumienie Solidarność Walcząca. Informowała o powstaniu organizacji, wywodzącej się z NSZZ Solidarność i deklarującej czynne wspieranie dążeń związku, ale zastrzegającej sobie prawo do własnej inicjatywy. Za główny cel stawiającej pełną niepodległość, obalenie komunistycznego ustroju i rozbicie Związku Sowieckiego. Organizacja wskazywała swe zarówno prawicowe, jak też lewicowe i chrześcijańskie korzenie. Zobowiązywała się do niesienia każdej możliwej pomocy ofiarom represji i wszystkim zmagającym się z reżimem. Ostrzegała, że nie wyklucza sięgnięcia po broń w przypadku eskalacji terroru. Kolejna programowa publikacja SW w części składała się z pytań i odpowiedzi, m.in.: „Ilu nas jest? Dziś kilkuset. Jutro – i ty wśród nas”. W praktyce zostanie członkiem Solidarności Walczącej nie było jednak łatwe. Wyma-

gało poręczenia osób wprowadzających, zobowiązania do aktywności oraz złożenia przysięgi. Twardo egzekwowane zasady członkostwa okazały się barierą skutecznie zabezpieczającą przed przenikaniem agentury.

AUTONOMIA I JEDNOŚĆ W WIELOŚCI

Przewodniczącym został ukrywający się, ale występujący pod swoim imieniem i nazwiskiem Kornel Morawiecki. W 1984 w roli jego zastępcy występować zaczął Andrzej Kołodziej. Przywódcze gremia organizacji – Rada, Komitet Wykonawczy, liderzy struktur regionalnych, jak i liczni szeregowi członkowie, często różnili się wizją ładu przyszłej Polski. Obok Morawieckiego, orędownika solidaryzmu, liczni byli rzecznicy konserwatyizmu czy liberalizmu. Pod szyldem tej samej Solidarności Walczącej ukazywało się ponad sto tytułów prasy podziemnej, skupiających autorów o różnych poglądach. Obok periodyków, poświęconych interesom świata pracy, były i takie, jak „Replika”, szanse Polski upatrujące w jak najszybszej budowie kapitalizmu. Ten nurt prasy SW zachęcał do wykorzystywania luk w PRL-owskim prawie, umożliwiających rozwój przedsiębiorczości na miarę drugiego obiegu gospodarczego. Ideowym spoiwem Solidarności Walczącej była wola działania, dążącego do jednoznacznego pokonania komunizmu. Już w 1982 Solidarność Walcząca zaczęła wydawać „Nazory” – pierwszy ze swoich tytułów niepolskojęzycznych. Adresowane do czytelnika czeskiego za południową granicę trafiały głównie dzięki mieszkańcom pogranicza, zatrudnionym w fabrykach na terenie CSRS. Ci sami ludzie do Polski przemycali niezliczone ilości tkanin szyfonowych, niezbędnych w poligrafii sitodrukowej.

NOWE OBSZARY KONSPIRACJI

Wśród paruset osób, w czerwcu 1982 rozpoczynających budowę organizacji, największą część stanowili absolwenci i naukowcy Politechniki Wrocławskiej. Jednym z nich był Jan Pawłowski, twórca systemu urządzeń przez 24 godziny na dobę rejestrujących każdy komunikat radiowy funkcjonariuszy służb PRL-u, operujących na terenie aglomeracji wrocławskiej. Rozpoznanie ich działań umożliwiało ostrzeganie osób znajdujących się pod obserwacją. Informacje o operacjach SB trafiały do mini-biuletynu, kolportowanego wśród działaczy podziemia. Z jego lektury, po rysopisach i miejscach, mogli się oni dowiedzieć, czy są śledzeni. W 1983 wiedza o technikach operacyjnych SB pozwalała już na prowadzenie działań dezinformacyjnych. Polegały one m.in. na wykorzystaniu znalezienia się pod obserwacją do wprowadzania w błąd, np. po-

zorowania kontaktów z funkcjonariuszami SB. Skuteczność takich działań poznawano dzięki współpracownikom, zatrudnionym w MSW. Wg relacji współdziałającego z podziemiem kapitana SB Mariana Charukiewicza Solidarność Walcząca, jako jedyna w Polsce, zdefiniowana została jako „konspiracja o charakterze ofensywnym”.

Nieźrównane sukcesy Solidarność Walcząca odnosiła w działalności radiofonicznej. W szczytowym okresie zespół kierowany przez Jana Kruśńskiego dysponował kilkunastoma radiostacjami, w różnych konfiguracjach nadającymi równocześnie z wielu miejsc. Metoda ta nie tylko poszerzała zasięg, ale też uniemożliwiała namierzenie podziemnych radiowców, mimo instalowania przez SB sieci masztów pelengacyjnych. Radiowcy SW zaskakiwali swoją działalnością także mieszkańców małych miast a nawet obszarów wiejskich. W celu nadania kwadransa audycji, przykrywającej swym sygnałem program Polskiego Radia, wspinano się na Gubałówkę, Wieżycę, szczyty Pogórza Sudeckiego, strychy wysokich domów. Jan Białostocki silną radiostację zainstalował w samochodzie, w którym anteną był bagażnik dachowy. Zasięg emisji nie był duży a audycja, w odbiornikach nastawionych na program Polskiego Radia, słyszalna była zwykle tylko przez parę minut (dłużej, gdy radiowy pojazd zatrzymywał się na światłach). W słuchaczach pozostawało jednak wrażenie wdzierania się podziemia na obszar propagandy reżimu. W 1985 światowe media powiadomiły o otrzymaniu przez setki mieszkańców ZSRR przesyłek, zawierających antykomunistyczne publikacje. Wdzieranie się ze swym przekazem na teren państwa sowieckiego było owocem akcji, polegającej na wydrukowaniu tysięcy kopert, sugerujących jako ich nadawcę Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Radzieckiej. Po wypełnieniu ich rosyjskojęzycznymi broszurkami, z kilkudziesięciu miast Polski wysłano je do często przypadkowych osób, których adresy udało się ustalić. Medialny oddźwięk tej akcji Solidarności Walczącej stanowił dowód, że większość wysyłki trafiła do adresatów.

POMIMO BRAKU ŚRODKÓW

Do Solidarności Walczącej nie trafiły żadne kwoty z 80 milionów, wypłaconych przed wprowadzeniem stanu wojennego z konta dolnośląskiej Solidarności. Nie była beneficjentem dotacji Kongresu USA, pomocy kierowanej z brukselskiego biura NSZZ Solidarność czy podobnych źródeł. Szybko jednak działalność rozpoczęli przedstawiciele SW w Wielkiej Brytanii (Tadeusz Warszawa), RFN (Andrzej Wirga), Francji (Rafał Gan-Ganowicz), Kanadzie (Zbigniew Beź), Norwegii (Jerzy Jankowski), USA (Józef Świątek), Szwajcarii (Ewa Zajac),

Berlinie Zachodnim (Kazimierz Michalczyk). Działalność SW wspierał Jerzy Giedroyc z paryskiej „Kultury” i wiele ośrodków polskiego wychodźstwa. Organizujący przemysł Michał Gabryel sprowadzał do kraju urządzenia nasłuchowe jakości wyższej od znajdujących się w dyspozycji KGB oraz najnowocześniejsze podzespoły elektroniczne. Na terenie Austrii były one wlatowywane w aparaturę medyczną, przeznaczoną dla polskich szpitali. Odnaleźć je w czeluściach np. urządzeń RTG i wykorzystać do budowy systemów, służących konspiracji, potrafili tylko specjaliści najwyższej klasy. Tacy, jak Jacenty Lipiński, Zdzisław Ojrzyński i inni, którzy w 1982 uruchomili kanał łączności podziemia, wykorzystujący satelitę telekomunikacyjnego Oscar-7.

Solidarność Walcząca zwana bywała Solidarnością Drukującą, mimo że posiadała niewiele wysokonakładowych urządzeń. Postawiła na sitodruk, jako technikę poligraficzną, którą dobrze znać powinien każdy członek organizacji. Kursy mistrzowskiego druku przyniosły wysyp fachowców, za pomocą prostego sprzętu potrafiących powielać dziennie kilka tysięcy egzemplarzy gazetek w wysokiej technicznej jakości. Na szkolenia takie zapraszano działaczy także innych organizacji – konspiracji młodzieżowej czy Tajnych Komisji Zakładowych NSZZ Solidarność. Podziemnych kursantów wyposażano w zapas sztyftu, chemii do wyrobu światłoczułej emulsji i wyrażano nadzieję, że zdobyte umiejętności przekazywać będą dalej. Jednym z prostych wynalazków, przez Solidarność Walcząca produkowanych niemal seryjnie, była składana ramka sitodrukowa. W wersji rozłożonej można ją było przenieść w rękawie a wrzuconą do skrzynki z narzędziami nawet przetrząsającym mieszkani funkcjonariuszom SB długo nie kojarzyła się ze sprzętem, w rękach dobrego drukarza mogącym produkować kilkaset stron druku na godzinę.

SŁUŻBY PRZECIW SW

Członków organizacji deklarującej wolę obalenia ustroju służby i sądy PRL traktowały zwykle surowiej, niż działaczy zdelegalizowanych związków zawodowych. W odpowiedzi na ciężkie pobicia na łamach prasy SW opublikowany został list do SB: „Jeśli zdecydujecie się rozlewać naszą krew to liczcie się z tym, że popłynie także wasza”. Kiedy ostrzeżenie okazało się niewystarczające Solidarność Walcząca wykonała kolejny krok. Po wywiezieniu przez funkcjonariuszy SB do lasu i pozorowaniu egzekucji siedemnastoletniego Mateusza Morawieckiego – spłonął dom letniskowy komendanta wojewódzkiego SB. Notatka w „Solidarności Walczącej” dała mu też do zrozumienia, że organizacja zna szczegóły jego życia po pracy (komendant został poinformowany, że poszuki-

wanym przez niego źródłem smrodu w jego mieszkaniu jest dywan, zabrudzony poalkoholowymi wymiocinami przez koleżankę jego żony). W następstwie tego rodzaju „małej dywersji” a przede wszystkim braku efektów w zwalczaniu organizacji, nadwyrężone zostało zaufanie szefa MSW do wrocławskiej SB. Dziesiątki funkcjonariuszy, podejrzanych o współpracę z podziemiem, wydano ze służby. Ofiarą tych czystek nie padła jednak żadna z rzeczywistych „wtyczek Morawieckiego”. 30 stycznia 1986 gen. Czesław Kiszczak do wszystkich służb PRL-u skierował rozkaz, jakiego nie wydano przeciw żadnej innej strukturze opozycji. Zawierał on decyzję „użycia wszystkich sił i środków, w celu rozbięcia organizacji Solidarność Walcząca oraz zatrzymania jej przewodniczącego”. Krótco potem do Wrocławia skierowany został specjalny oddział MSW, mający operować bez kontaktowania się z miejscowym SB. Jego pojawienie się szybko zostało rozpoznane przez kontrwywiad Solidarności Walczącej, ale sam Kornel Morawiecki nie docenił rozmiaru działań, mających na celu jego zatrzymanie. Aresztowanie przewodniczącego 9 listopada 1987 było dla organizacji wstrząsem, który jednak nie zachwiał żadną z konspiracyjnych struktur ani nie osłabił którejkolwiek z form działania Solidarności Walczącej.

„Sieci Historii”, wrzesień 2018

W roku 2006 IPN opublikował, pochodzący z maja 1990, raport z zakończenia prowadzonej przez SB Sprawy Operacyjnego Rozpracowania „Ośmiornica”, wymierzonej przeciw Solidarności Walczącej. Dokumenty te zawierają bezmiar ustaleń całkowicie błędnych. Dowodzą, że komunistyczne służby nigdy nie rozpoznały nawet składu przywódczych gremiów organizacji. Natomiast inwigilacja jej członków kontynuowana była jeszcze w kwietniu roku 1990.

Artur Adamski

JAN PIETRZAK

Jan Pietrzak urodził się w roku 1937 w Warszawie, w rodzinie komunistycznych robotników. Jego ojciec zmarł jednak w czasie uwięzienia na Pawiaku wtedy, gdy Janek miał pięć lat. Matka była łączniczką Batalionów Chłopskich, wraz z nią przeżył w stolicy Powstanie Warszawskie. W młodości przeszedł drogę podobną do tej, jaka była udziałem dużej części jego pokolenia. Był członkiem ZMP, został oficerem Ludowego Wojska Polskiego i nawet ukończył partyjną uczelnię. Pytany o to po wielu latach odpowiedział, że „powoli z tej rzeczywistości – wyrastał”. To „wyrastanie” polegało na podnoszeniu się z psychicznego „zmiażdżenia wojną”, którego istotą było dzieciństwo pełne obrazów śmierci, bycia świadkiem zagłady rodzinnego miasta a zarazem stolicy Polski i w wieku kilku lat znalezieniu się w warunkach ustrojowych, które zastąpiły jedyne, które znał wcześniej. A te poprzednie warunki oznaczały przynależność do polskiego narodu, przez niemieckich okupantów skazanego na zagładę.

Radykalna i ostateczna cezura w biografii Jana Pietrzaka miała miejsce w trzydziestym roku jego życia. Wtedy, w roku 1967, utworzony przez niego i działający od siedmiu lat kabaret „Hybrydy” został decyzją władz rozwiązany. Przyczyną był nadmiar aluzji do realiów ustrojowych Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Kabaret ten był częścią studenckiego teatru pod tą samą nazwą, kierowanego właśnie przez Jana Pietrzaka od roku 1960 i oprócz sceny kabaretowej prowadzącego także scenę dramatyczną i pantomimiczną. W dużej mierze właśnie dzięki Pietrzakowi zaistniały w nim tak ważne dla polskiej kultury postacie, jak Jonasz Kofta, Adam Kreczmar czy jeden z największych bardów Solidarności Maciej Pietrzyk a także wielu innych znanych aktorów, pieśniarzy czy satyryków.

Po odejściu z „Hybryd” Jan Pietrzak założył Kabaret Pod Egidą, dla którego szansą okazało się poluzowanie cenzury, jakie nastąpiło po dojściu w roku

1970 do władzy ekipy Edwarda Gierka. Do roku 1980 Pietrzak w swej artystycznej działalności „balansował na krawędzi”. Krótko udawało mu się działać w Telewizji Polskiej, z której wyrzucony został w roku 1973. Z roku na rok był coraz bardziej inwigilowany przez Służbę Bezpieczeństwa, z którą nigdy nie poszedł na najmniejszy kompromis. Swoje politycznie aluzyjne teksty udawało mu się publikować na łamach „Szpilek” a także odnosić sukcesy na festiwalu w Opolu. Od połowy lat siedemdziesiątych działalność Jana Pietrzaka angażowała wyjątkowo liczne zastępy cenzorów, w zmaganiach z którymi nieco przydatne okazało się przyjęcie od władz, w roku 1979, Złotego Krzyża Zasługi. Dekadę lat siedemdziesiątych Jan Pietrzak kończył jako być może największy z mistrzów ówczesnego „pisania między wierszami”.

Największym akordem jego drogi twórczej były lata 1980 – 81, w których bez reszty opowiedział się po stronie rodzącego się wówczas ruchu Solidarności. Na Festiwalu Piosenki Prawdziwej wykonywał utrzymany w konwencji aluzji utwór pt. „Niedźwiedź”, w sposób metaforyczny podejmujący aktualny wówczas temat polskiego dążenia do niepodległości oraz odwiecznego zagrożenia ze strony carskiego a następnie sowieckiego imperializmu. Z kolei na Festiwalu w Opolu triumfował swoją pieśnią „Żeby Polska była Polską”. Utwór ten stał się jednym z nieoficjalnych hymnów Solidarności i opozycji niepodległościowej. Oprócz Pietrzaka miał całe mnóstwo innych wykonawców, włącznie z Zespołem Pieśni i Tańca „Mazowsze”. Po wprowadzeniu stanu wojennego jego melodia stała się sygnałem wywoławczym Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa. De facto, obok „Murów” Jacka Kaczmarskiego stała się najważniejszym i najbardziej znanym hymnem wielkiego ruchu Solidarności. W przeciwieństwie do „Murów”, będących w warstwie muzycznej kopią a tekstowej swobodnym tłumaczeniem dzieła katalońskiego pieśniarza Lluisa Llach’a – „Żeby Polska była Polską” to jednak dzieło nie posiadające żadnych obcych pierwowzorów. W warstwie słownej jest bowiem oryginalnym utworem Jana Pietrzaka a muzycznej – Włodzimierza Korcza. Opowiadający o trwającej od niezliczonych pokoleń walce o polską podmiotowość w kanonie polskich pieśni patriotycznych zajmuje pozycję porównywalną z „Warszawianką” Kazimierza Delavigne, powstałą w okresie Powstania Listopadowego czy „Hej chłopcy, bagnet na broń!” Krystyny Kraheleskiej z lat niemieckiej okupacji.

Od 1982 do 1988 roku Jan Pietrzak występował głównie w miejscach, których nie sięgała komunistyczna cenzura a na scenach oficjalnych, narażając się na represje, przekraczał wyznaczone przez nią granice. Upowszechn-

nił też w tym czasie mnóstwo utworów o polskich dążeniach do wolności. Do pieśni z tamtego okresu należy poświęcony zamordowanym w Kopalni Wujek utwór pt. „Górnicy”. Jednym z kolejnych nieomal hymnów polskiego patriotyzmu stała się też wtedy pieśń jego autorstwa pt. „Jest taki kraj”. A w czasach, w których najgłębiej upadała w Polakach wiara w jakąkolwiek lepszą przyszłość, jedna z najczęstszych słowno-muzycznych wypowiedzi Jana Pietrzaka brzmiała: „Nie opuszczaj nas – nadziejo! Matką głupich cię nazwali – ludzie podli, ludzie mali. A ty nas nie opuszczaj – nadziejo!”

Od samego początku transformacji ustrojowej Jan Pietrzak występuje w obronie polskiego interesu narodowego. Został członkiem Rady Fundacji Reduta Dobrego Imienia – Polskiej Ligi Przecie Zniesławieniom. Swą aktywnością dołączył do najaktywniejszych obrońców prawdy o polskiej historii, nieustannie i czynnie dementujących kłamstwa nagłaśniane przez wrogie Polsce media i ośrodki polityczne. Od samego początku tzw. III RP był rzecznikiem dekomunizacji, lustracji, usunięcia ze stanowisk publicznych komunistycznych zbrodniarzy oraz funkcjonariuszy i agentów służb powołanych do zwalczania polskich dążeń niepodległościowych. Wydarzeniom związanym z Tragedią Smoleńską poświęcił m.in. pieśń pt. „Nielegalne kwiaty, zakazany krzyż”.

Wśród odznaczeń, którymi został wyróżniony w ostatnich kilkunastu latach znajduje się m.in. Złoty Medal Zasłużony Kulturze „Gloria Artis” oraz Krzyż Wielki Orderu Odrodzenia Polski.

Jan Pietrzak nie był działaczem Solidarności Walczącej i nie był też z organizacją tą związany w żaden bliższy sposób. Jego działalność artystyczna w ciągu ostatnich ponad czterdziestu lat miała jednak dla Polski znaczenie ogromne. Służyła polskim dążeniom do obalenia komunizmu, odzyskania niepodległości i zbudowania Polski wolnej, sprawiedliwej i solidarnej. Co najważniejsze – twórczość Jana Pietrzaka była wyrazem tych samych celów i wartości, które stanowią duchowy i ideowy fundament Solidarności Walczącej.



POSTAĆ GODNA POMNIKA

Najbardziej nagłośnionym ze sloganów, mających definiować tożsamość Wrocławia, jest jego wielokulturowość. Można by się spodziewać, że cecha ta odnosić się powinna do dziedzictwa kilku państw, do których w swojej historii stolica Dolnego Śląska należała oraz do tradycji wszystkich narodów, jakie wniosły swój wkład w ciągle trwające dzieło budowy nadodrzańskiej metropolii. W praktyce od ponad trzydziestu lat tzw. wrocławska wielokulturowość polega jednak na podkreślanu związków miasta przede wszystkim z dziejami jednego państwa i jednego narodu. Z bezliku przejawów tej tendencji wymienić można pomniki Josepha von Eichendorffa, który w ciągu swego trwającego siedemdziesiąt lat życia we Wrocławiu spędził zaledwie trzy, nie mającego żadnych związków z naszym miastem Fryderyka Schillera czy nadanie jednemu ze wzgórz imienia Georga Bendersa, w ostatnich dekadach swojego życia związanego z Wrocławiem i zasłużonego dlań jako jego nadburmistrz, ale też oddanego zacieklemu zwalczaniu polskość w latach naszej narodowej niewoli. W mieście deklarującym otwartość i zrozumienie dla różnych racji akcenty takie nie byłyby niczym dziwnym, gdyby nie stanowczy sprzeciw, podnoszony przy próbach nadania miejscom nazw czy wzniesieniu najskromniejszych nawet monumentów odnoszących się do wątków historii polskiej. Idea ustawienia na jednym z peryferyjnych placów popiersia Bolesława Krzywoustego spotkała się z furią szyderstw a upamiętnienie postaci Witolda Pileckiego po długotrwałej medialnej hysterii okazało się możliwe jedynie w postaci krańcowo abstrakcyjnej. W przypadku wrocławskiego pomnika bohaterskiego rotmistrza sztuka stanowi zaprzeczenie swego fundamentalnego celu, jakim jest komunikacja z jej odbiorcą. Trudno oprzeć się wrażeniu, że o to właśnie tutaj chodziło.

Jeśli przyrzec się temu, co stanowi polski wkład w liczące ponad tysiąc lat wielkie zjawisko o imieniu Wrocław to dostrzeżemy, że komponent ten zawiera przynajmniej jeden walor absolutnie bezprecedensowy. Jest nim wielkie dzieło walki o uwolnienie z okowów bolszewickiej satrapii tej części ludzkości, która się w nich znalazła. To we Wrocławiu powstała organizacja, która za swój cel postawiła nie tylko niepodległość Polski, ale likwidację sowieckiego imperium – największego więzienia narodów w dziejach ludzkości. Jej inicjatorem i przywódcą był jeden z najwybitniejszych wrocławian w całej histo-

rii naszego miasta – Kornela Morawiecki. Jako pierwszy etap wielkiego marszu ku wolności wskazał on złamanie komunistycznego monopolu informacji. W końcu lat siedemdziesiątych rozpoczął upowszechnianie metod konspiracyjnego druku, które inicjatywom wydawniczym drugiego obiegu pozwoliły osiągnąć skalę niemożliwą do zdławienia największym nawet wysiłkiem służb totalitarnego państwa. Możliwy do samodzielnego wykonania sprzęt, zastosowanie powszechnie dostępnych środków do wytwarzania materiałów poligraficznych i szkolenia drukarskie dla wszystkich, którzy chcieli w nich uczestniczyć zaowocowały nie kończącą się erupcją niezależnych publikacji. Pół tysiąca tytułów ukazującej się we Wrocławiu podziemnej prasy to wielokrotność wszystkich podobnych aktywności, jakie poza granicami Polski w latach osiemdziesiątych miały miejsce w całym sowieckim imperium od Łaby po Kamczatkę. W 1981 roku Kornel Morawiecki został aresztowany i stanął przed sądem za publikowanie rosyjskojęzycznych wydawnictw, adresowanych do obywateli Związku Sowieckiego. Rok później, pomimo realiów stanu wojennego, utworzona przez Morawieckiego Solidarność Walcząca swoje czeskojęzyczne wydawnictwa przemycała do kraju naszych południowych sąsiadów. Z czasem w szeregach organizacji znaleźli się obywatele kilku krajów tzw. obozu socjalistycznego a na Litwę czy do Gruzji docierały nie tylko wydawnictwa Solidarności Walczącej, ale też jej instruktorzy druku wraz z darami, w postaci sprzętu poligraficznego. Spośród bezliku wolnościowych dokonań organizacji Kornela Morawieckiego wymieńmy też choćby radiofonię, której skala stanowiła wielokrotność razem wziętych wszystkich innych niezależnych inicjatyw radiowych.

Żadna inna postać w porównywalnym stopniu nie symbolizuje unikatowego polskiego wkładu w wielowątkową historię Wrocławia. Wkład ten stanowi urzeczywistnienie niezbywalnej zasady wolności i podmiotowości ludzi i narodów. Jest on wielkim posiewem, owocującym zbliżeniem i pojednaniem, dokonującym się na przekór wszelkim historycznym zaszłościom, państwowym granicom i tożsamościowym odmiernościom. Brak adekwatnego upamiętnienia w przestrzeni miasta, w którym dokonywał swojego wielkiego dzieła, byłby niepojętym aktem odwracania się Wrocławia od najszlachetniejszych osiągnięć w swojej historii. Pomnik ten umacniać musi pamięć nie tylko o wielkim obywatelu Wrocławia, ale też o roli, jaką w dużej mierze za jego sprawą, miasto to odegrało w wyzwoleniu Europy z komunizmu. Monument ten powinien znajdować się w miejscu licznie uczęszczanym, mieć wysoką klasę ar-

tystyczną a zarazem formę zrozumiałą dla przeciętnego przechodnia czy turysty. Dla wszystkich powinien on stanowić krótką lekcję historii o doniosłej roli Polski w najnowszej historii Europy a zarazem tym niepowtarzalnym składniku dziejów Wrocławia, którego nikt nie uosabia w sposób równie wyrazisty, jak postać Kornela Morawieckiego.



SOLIDARNOŚĆ WALCZĄCA A POMARAŃCZOWA ALTERNATYWA

Waldemar Fydrych kojarzony jest przede wszystkim jako niedysyjszy hipisujący wieczny student, szalony artysta i oczywiście twórca ruchu o nazwie Pomarańczowa Alternatywa. Jednak każdy, kto w latach osiemdziesiątych znał go bliżej wie, że zawsze był to człowiek o bardzo logicznych, sprecyzowanych poglądach, które w dużej mierze zakwalifikować można jako konserwatywne. Zawsze wyglądał malowniczo, lubił się ubierać nieco fantazyjnie i przez lata w jakimś stopniu był abnegatem. Zarazem jednak konsekwentnie realizował swój uporządkowany system wartości, wśród których Polska, jej tradycja, sprawa niepodległości – zajmowały bardzo ważne, o ile nie naczelne miejsce. Od 1982 roku aż po lata dziewięćdziesiąte siłą polityczną, z którą sympatyzował, była Solidarność Walcząca.

Z Kornelem Morawieckim Waldemar Fydrych zetknął się już w latach siedemdziesiątych. Był wtedy związany ze Studenckim Komitetem Solidarności i sam drukował publikacje, rozprawdane poza zasięgiem cenzury a Kornel intensywnie rozbudowywał lokalową, sprzętową a przede wszystkim osobową bazę swojej siatki konspiracyjnej poligrafii. Artykuły swojego autorstwa, pod pseudonimem, jeszcze przed Sierpniem 1980 Waldemar Fydrych publikował m.in. na łamach wydawanego przez Morawieckiego „Biuletynu Dolnośląskiego”.

Po wprowadzeniu stanu wojennego Kornel Morawiecki stanął na czele najpoważniejszej w tym czasie, w skali całego kraju, struktury solidarnościowego podziemia. Major w pierwszym odruchu na groźbę prawa wojennego i czołgów na ulicach już w grudniu 1981 roku zaczął przeprowadzać swoje skromne, jednoosobowe akcje happeningowe. Ubierał płaszcz w kroju militarnym (sporo takich płaszczy zostało rozdanych w Polsce w ramach akcji pomocowych, organizowanych przez Kościół – płaszcz Majora pochodził z tego właśnie źródła). Na głowę wkładał archaiczną pilotkę (kojarzyła się z sowiecki-

mi lotnikami z filmów często emitowanych przez TVP), na nos czarne okulary (oczywista aluzja do Jaruzelskiego), na nogi buty typu wojskowego. Na ulicę wychodził w prawej ręce trzymając zwiniętą gazetę, która z daleka wyglądała jak milicyjna pałka. W lewej natomiast trzymał smycz z miniaturowym pieskiem – ratlerkiem. Ten czworonóg wypożyczony od sąsiadów miał wyjątkowo małe rozmiary, ale wyróżniał się agresją – szczyrzył kły, warczał i obszczekując rzucał się na przechodniów. Tak wyposażony Major codziennie przemierzał ulice Wrocławia, krążąc głównie wokół tłumnych wtedy okolic dworca głównego. Szyderstwo z uzbrojonych po zęby patroli wojska i milicji było bardzo czytelne, ale autora publicznej kpiny z władz nie zatrzymywano.

W 1984 i 1985 roku Major wraz z przyjaciółmi podejmował próby ulicznych happeningów na nieco większą skalę. Miały one miejsce w dniach tradycyjnych studenckich wygłupów, czyli pierwszego dnia wiosny, w prima aprilis czy Światowy Dzień Studentów. Miejscem akcji był Plac Uniwersytecki i jego okolice, na których Major urządzał np. małe pochody ludzi z miskami i garnkami na głowach, którymi dzwoniło uderzając w nie sztuczkami. Sens tych happeningów był odczytywany jako aluzja do pustych sklepowych półek, nędznych przydziałów kartkowego wyżywienia i ciągłych podwyżek cen. Akcje te były obserwowane przez SB, ale miały małą skalę i być może z tej przyczyny nie interweniowano.

W kwietniu 1986 miała miejsce we Wrocławiu duża akcja happenin-gowa, która zaskoczyła komunistyczne służby. Na ulice miasta wyjechał autobus wycieczkowy bez dachu, popularny „Fredrus”, którym podróżowało 55 studentów, często przebranych w stroje wypożyczone z teatru. Autobus obwieszony był transparentami o aluzyjnych treściach w rodzaju „Niech żyje Solidność” lub „Solidna nauka i praca”. Powtarzające się słowo „Solidność” wypisane było w sposób właściwy dla loga zakazanego wówczas związku zawodowego „Solidarność”. Sam trzymałem jeden z takich transparentów a kiedy „Fredrus” stawał na światłach brałem udział w rozdawaniu kartek propagandowych książek, w rodzaju „Rok w trumnie” Romana Bratnego. Przechodniom mówiliśmy, że to nasza akcja „Książka dla każdego” a wyglądało to jak kolportaż ulotek. Dopiero po blisko dwóch godzinach jeżdżenia po mieście zostaliśmy zatrzymani przez milicję, która następnie, w kawalkadzie samochodów i motocykli MO i SB odeskortowała nas do siedziby Służby Bezpieczeństwa. W czasie uwięzienia, które zakończyło się przed upływem 48 godzin, wszystkich nas przesłuchiowano i zastraszano. Jak się jednak okazało – wobec niko-

go nie wyciągnięto poważniejszych konsekwencji (oprócz kierowcy – emeryta, któremu zakazano dalszego wożenia wycieczek). Być może tak, jak w przypadku wcześniejszych akcji happeningowych Majora, organy komunistycznego reżimu wolały powstrzymać się od represji obawiając się śmieszności.

Doświadczenia te doprowadziły Waldemara Fydrycha do wniosku, że warto przeprowadzać tego rodzaju działania na skalę jak najbardziej masową. Z propozycją współdziałania zwrócił się do najprężniejszej struktury opozycyjnej południowo – zachodniej Polski, czyli Solidarności Walczącej. Kornel Morawiecki się wówczas ukrywał a Major często znajdował się pod większą lub mniejszą obserwacją SB. Z jego planem do Morawieckiego dotarł więc ich wspólny przyjaciel Wiesław Cupała – genialny matematyk (wyróżniający się doktorat i habilitacja w szybkim tempie i młodym wieku) a zarazem muzyk, poeta, drukarz i publicysta jeszcze przedsierpniowej opozycji. Od 1982 roku Wiesław Cupała bardzo intensywnie współpracował ze strukturami kierowanymi przez Kornela Morawieckiego. Rozmowa z przewodniczącym Solidarności Walczącej zaowocowała wnioskiem, że radykalna antykomunistyczna organizacja nie powinna otwarcie patronować takim wydarzeniom choćby z takiego powodu, że skala represjonowania uch uczestników byłaby wtedy maksymalna. Solidarność Walcząca zadeklarowała natomiast udzielanie każdego możliwego wsparcia. O powodzeniu happeningów Pomarańczowej Alternatywy przesądzić mogła przede wszystkim skala informowania o tym, gdzie i kiedy będą miały miejsce. Nikt w podziemiu nie posiadał podobnej ilości prasy nie kontrolowanej przez cenzurę. Do dyspozycji było też Radio Solidarność Walcząca.

Jak się okazało – uliczne happenings były wielkim sukcesem. W samym Wrocławiu odbyło się ich kilkadziesiąt. Brali w nich udział także liczni działacze Solidarności Walczącej. Niejednokrotnie kończyły się one demonstracjami o wymowie stricte politycznej. Odegrały istotną rolę sięjąc dezorientację w szeregach aparatu represji oraz przełamując barierę strachu, wytworzoną w społeczeństwie masową brutalnością, codziennie przez SB czy ZOMO praktykowaną w pierwszej połowie lat osiemdziesiątych.



SOLIDARNOŚCIOWCY Z NAJTRUDNIEJSZYCH ODCINKÓW

Główni beneficjenci Okrągłego Stołu zrobili bardzo dużo, żeby chwala walki o wolną Polskę przypadła tylko im. Po przejęciu lukratywnych stanowisk i zdominowaniu mediów ścigali się w wygłaszaniu peanów głównie na cześć własnych zasług. Najbardziej trywialną mantrę bez końca powtarzał Wałęsa, z przekonaniem głoszący, że „sam obalił komunizm”. Strategia władców prasowego quasi-monopolu była bardziej przebiegła. Nikt nie miał takich, jak oni, możliwości kreowania własnej narracji, stąd przez długie lata pompowali Polaków legendami o bezprzykładnym bohaterstwie ich własnego środowiska. Rzetelny obraz historii oznaczać musiałby przecież oddanie sprawiedliwości także innym działaczom. A zmonopolizowany przekaz uzasadniał uprzywilejowanie w III RP tych rzekomo najważniejszych, niemal jedy-nych, bezprzykładnie zasłużonych.

POLITYKA SKAZYWANIA NA ZAPOMNIENIE

W 1989 roku obóz lewicy laickiej przeforsował w Sejmie stanowisko, zgodnie z którym często bardzo skrzywdzeni działacze podziemnej Solidarności nie mieli otrzymać jakiegokolwiek zadośćuczynienia. Kto słuchał tamtych debat ten na pewno pamięta, że z pomocy dla ofiar reżimu, w ich imieniu, zrezygnowali ci „ludzie Solidarności”, którzy po kontraktowych wyborach rozsiadli się w fotelach na Wiejskiej. Przysłuchujących się tej debacie początkowo wstrząsnął wniosek, że z premedytacją z narodowej pamięci wyklucza się działacze mniej znanych a przede wszystkim – nie należących do nowego obozu władzy. Kolejne wydarzenia prowadziły do innego wniosku. Takiego, że po-okrągłostołowe elity naprawdę uwierzyły już w to, iż o ustrojowe przemiany walczyły tylko one i że wszystkie koszty, cierpienia i ofiary poniesione zostały tylko przez ich własne środowiska. Tak to egotyzm tak skrajny, że ograniczający pole widzenia do swojego własnego towarzyskiego kręgu, legł u podstaw skazania na zapomnienie dzieł i poświęceń wszystkich, którzy do kręgu tego

nie należeli. Sam Ryszard Bugaj przyznawał potem: „skorzystali z szansy wdrapania się do nieba i wciągnęli za sobą drabinę”. Podczas, gdy obwieszani kolejnymi medalami we wszelkiego rodzaju mass mediach opowiadali o swoim bohaterstwie – ludzie często znacznie większych zasług odchodzili w zapomnieniu, wegetowali w niedostatku, doznawali dalszych szykan i upokorzeń. A jeśli ktokolwiek z elit III RP ich los zauważał to głównie po to, by rzucić obelgi o „sierotach po socjalizmie”, „oszołomach” czy „niedojrzałych do demokracji”.

REPRESJE REPRESJOM NIERÓWNE

Z kolejnych, publikowanych przez IPN zbiorów dokumentów bezpieki wyłania się coraz bardziej jaskrawy obraz zróżnicowania represji, praktykowanych przez SB. Wynika z nich, że mimo iż także w Warszawie zdarzały się ofiary śmiertelne, to jednak w ostatniej dekadzie PRL-u stosunkowo największym bezpieczeństwem cieszyć się mogli (oczywiście nie „in block” ale „statystycznie”) opozycjoniści działające właśnie w stolicy. Zawdzięczali to zapewne obecności zagranicznych dziennikarzy czy ambasad krajów, z opiniami którymi reżim musiał się liczyć. Na tle realiów stolicy np. Górny Śląsk już wówczas zwany był „Katangą”, w której z byle powodów aparat represji sięgać potrafił do metod rodem z czasów stalinowskich. I im „głębsza” prowincja – tym katalog esbeckich metod okazywał się bardziej okrutny. W Wałbrzychu posuwano się nawet do rażenia przestłuchiwanym prądem.

Coraz bardziej jednoznaczny jest też obraz „środowiskowej dywersyfikacji represji”. Z przemocą rzadziej spotykali się tzw. inteligenci. Być może wynikało to z obawy, że osoby, które ukończyły studia, mogą mieć kontakty, umożliwiające dochodzenie swoich praw. Większość ciężko pobitych przez funkcjonariuszy – to robotnicy lub młodzież. Większość przypadków praktykowania prawdziwych tortur dotyczyła właśnie ludzi młodych. A niepokornym rolnikom z dalekich wiosek reżim potrafił nawet konfiskować ich ojcowiznę.

Powyższe prawidłowości nie są ustaleniem, opartym na badaniach statystycznych, ale taki właśnie obraz wręcz uderza z relacji i dokumentów, dotyczących lat osiemdziesiątych. Na pytanie, gdzie prowadzić działalność konspiracyjną było najtrudniej i gdzie wiązało się to z największym ryzykiem – odpowiedź można dość jednoznacznie: im dalej od Warszawy i innych wielkich miast – tym było gorzej i niebezpieczniej. Podejmowani działalności w miejscowości dalekiej, małej a do tego w sytuacji, gdy nie ma się w rodzinie żadnego funkcjonariusza, dygnitarza czy prawnika – mogło oznaczać prawdziwe igranie ze śmiercią.

WOŁÓW

Trudno sobie wyobrazić miejsce dla konspiracji trudniejsze. Dziesięcioletnie miasteczko, w którym nie dość, że trudno o anonimowość, to jeszcze oddalone od większych ośrodków. A do tego jednym z głównych pracodawców jest w nim więzienie, skutkiem czego ludzi związanych z aparatem represji wyjątkowo w nim dużo. Nawet topografia miejscowości wydaje się stworzona na przekór tym, którzy chcieliby tu rozpocząć jakąś nielegalną działalność. Prowadzi z niej bowiem tylko parę dróg, które bardzo łatwo obstawić, by mieć „wszystkich jak w worku”. A jednak w Wołowie znaleźli się tacy, którzy postanowili walczyć. Natychmiast po wprowadzeniu stanu wojennego powstały podziemne drukarnie. Do mieszkańców docierały konspiracyjne wydawnictwa. Na ulicach i w kościele pojawiały się plakaty i ulotki. Co jakiś czas nad miastem powiewały transparenty lub flagi Solidarności. W ogólnopolskim Dniu Narodowego Protestu wokół Wołowa unieruchomiony został transport kołowy. Podejmowano udane próby zorganizowania demonstracji i praktykowano pomysłowe, spektakularne a zarazem skuteczne formy protestu. Niczego nie osiągnęto jednak za darmo. Zatrzymania, rewizje, wypełnione zastraszaniem i szantażem przesłuchania – były na porządku dziennym. Zwolnienie z pracy – w małym mieście z niewielką ilością miejsc zatrudnienia – było dotkliwie stokroć bardziej, niż w mieście dużym, w którym zawsze możliwości jest więcej. W wyniku sankcji prokuratorskich i wyroków kolejni wołowianie trafiali do więzienia. Na szczęście znajdowali oni oparcie i ze strony przyjaciół i nieocenionego Kościoła, którego kapłani i wierni zachowali się „tak, jak trzeba” i także w Wołowie swą odwagą i ofiarą wypisali piękną kartę historii.

Bezcenne świadectwa przeszłości w „Wołowskich obrazkach z wojny polsko – jaruzelskiej” utrwalił m.in. Stanisław Reczek i Andrzej Manasterski. Autorzy przyznają, że nie każdą tajemnicę potrafili wyjaśnić. W III RP długo żaden państwowy organ nie pochylił się np. nad sprawą jednej z tajemniczych śmierci działacza wołowskiego podziemia. Po dziesięcioleciach wyjaśnienie tej, jak i innych tragedii, będzie już o wiele trudniejsze.

Znamienne jest zakończenie tej książki. Nie ulega wątpliwości, że autorzy tej opowieści bardzo się starali nie pominąć nikogo. Przyznają jednak, że nie wiedzą o wszystkim, co w podziemnym Wołowie się działo. Prawdziwa konspiracja oznaczała przecież radykalne ograniczanie informacji o współpracownikach. Stąd ostatnim akordem tego wzruszającego tomu jest prośba autorów o wybaczenie nieuniknionych luk w tej opowieści oraz o ich uzupeł-

nienie własnymi wspomnieniami. Warto zadedykować ten fragment „okrągłostołowym herosom”, przekonanym o swoich wyjątkowych zasługach a nawet o własnym „samodzielnym obaleniu komunizmu”. Czy w głowie kogośkolwiek z nich mogłaby zaświtać podobna potrzeba pamięci o walczących niegdyś o tę samą sprawę a zepchniętych na margines? Czy ktokolwiek z tych samozwańczych bohaterów w podobny sposób pomyślałby o całkowicie zapomnianych, anonimowych towarzyszach wspólnej walki o wolną Polskę?

„Obywatelska”, listopad 2018

ODCIĘCIE WSPARCIA, KTÓRE SOLIDARNOŚCI WALCZĄCEJ WYSZŁO NA ZDROWIE

Solidarność Walcząca nie korzystała z płynącej z zagranicy pomocy, przeznaczonej dla NSZZ Solidarność. Nie otrzymywała więc także sprzętu poligraficznego, kupowanego i przemycanego do Polski przez związkowców z państw Europy Zachodniej czy Ameryki. W zdecydowanej większości te powielacze czy offsety trafiały do naszego kraju za pośrednictwem brukselskiego przedstawicielstwa związku, z którego Solidarność Walcząca nie otrzymywała nic. A działa się tak tym bardziej, że w opozycyjnych kręgach nie brakowało i takich, którzy troszczyli się i o to, by do Solidarności Walczącej zagraniczna pomoc nie docierała. O żaden kosztowny, wysokonakładowy sprzęt Solidarność Walcząca zresztą się nie ubiegała, gdyż tak, jak uważał Kornel Morawiecki „maszyny trudno pozyskać a łatwo stracić”. Poza tym, jak zauważało wielu działaczy SW, wysokonakładowe urządzenia poligraficzne nie rozwijały struktur. Natomiast skutecznie budowali je „ludzie – drukarnie”, czyli świetni drukarze, potrafiący doskonale powielać sprzętem prostym, choć wymagającym umiejętności dużo większych od potrzebnych do obsługi powielacza. Solidarność Walcząca drukowała więc głównie na sitodrukowych ramkach a to, że jej wydawnictw było aż tak dużo, zawdzięczać należy ofiarności i fachowości jej działaczy.

W historii Solidarności Walczącej użyte powyżej pojęcie „rozwijania struktur” jest jednym z kluczowych. Cechą tej organizacji było bowiem dążenie nie tylko do tego, by jej ogniwa pojawiały się wszędzie, gdzie się tylko da. Chodziło także o to, by te ogniwa były w maksymalnym stopniu samodzielne i samowystarczalne. Czyli – zdolne do działania także w sytuacji, w której inne ogniwa nagle przestałyby istnieć np. w wyniku aresztowań. Dlatego w Solidarności Walczącej dążono do tego, by każdy członek tej organizacji nie tylko umiał drukować, ale by potrafił szybko i samodzielnie stworzyć własny sprawnie działający warsztat drukarski. Chodziło o to, by nikt nie czekał aż mu zostaną dostarczone wydawnictwa wydrukowane np. na offsecie. Każdy działacz miał mieć zdolność aktywności samodzielnej, więc także drukowania w pojedynkę. Trochę podobnie do tego, co w „Raporcie z oblężonego miasta” pisał Zbigniew Herbert: „kiedy nawet Miasto padnie a jeden ocaleje – on będzie Miasto”. Temu służyło założenie, że druku nie będzie się opierać na wysoko-

nakładowych maszynach, lecz na powszechnej umiejętności posługiwania się sitodrukiem. Skutkiem tego największe nawet fale represji nie były w stanie zdławić podziemnego drukarstwa. Uwięzieni działacze mogli więc mieć pewność, że jeśli by nawet wyaresztowano ich bardzo wielu a na wolności pozostali bardzo nieliczni to i tak „robota idzie pełną parą”. I jak wielu wspomina – pewność ta była oczywista a zarazem bardzo pokrzepiająca.

Nie znaczyło to jednak, że Solidarność Walcząca całkowicie rezygnowała ze sprzętu takiego, jak powielacze czy offsety. Jeśli już znalazły się one w jej posiadaniu (w większości był to sprzęt ukryty jeszcze przed wprowadzeniem stanu wojennego) to oczywiście był używany lub udostępniany innym strukturom. Solidarność Walcząca kolportowała też ogromne ilości książek drugiego obiegu, wydawanych przez wiele niezależnych oficyn. Najwięcej działało ich w Warszawie, co w dużej mierze było wynikiem tego, że to do stolicy trafiała największa część przemycanych z Zachodu urządzeń poligraficznych.

Dość szybko zaczęło się rzucać w oczy to, że świetnie wyposażone podziemne drukarnie czy to wydawnictw drugiego obiegu czy różnych struktur NSZZ Solidarność dość często „wpadają”. Ich szybkie likwidowanie przez SB początkowo przypisywane było słabej jakości konspiracji, praktykowanej przez niektórych dość beztroskich opozycjonistów. Wkrótce dało o sobie znać jednak jeszcze jedno zjawisko, którego trudno było nie zauważyć współpracując z wieloma warszawskimi wydawnictwami drugiego obiegu. Kolporterzy, którzy przyjeżdżali do Warszawy po książki wydawane poza zasięgiem cenzury, często wracali ciągnąc za sobą esbeckie „ogony”. Najzwyczajniej w świecie tymi samymi pociągami często jechali śledzący kolporterów esbecy. O fakcie tym alarmował Kontrywywiad Solidarności Walczącej, prowadzący permanentny nasłuch częstotliwości radiowych wykorzystywanych przez komunistyczne służby. W komunikatach przekazywanych przez zespół Jana Pawłowskiego wyjątkowo często pojawiały się informacje o śledzeniu ludzi z plecakami, którzy wysiadali z pociągu na dworcu głównym we Wrocławiu. Najczęściej chodziło właśnie o tych, którzy ze stolicy przywozili książki drugiego obiegu. Ustalenia Kontrywywiadu SW prowadziły do wniosku, że wielu ludzi związanych z warszawskimi wydawnictwami znajdowało się pod ścisłą obserwacją SB. A bezpieka nie likwidowała ich dlatego, że wybrała wariant śledzenia i rozpracowywania wszystkich, którzy z namierzonymi oficynami wydawniczymi się kontaktowali. O podejrzaniach tych Solidarność Walcząca informowała ludzi z tych konspiracyjnych struktur. Niestety, nie wszystkie te ostrzeżenia zo-

stały potraktowane poważnie. A ustalenia Kontrwywiadu SW prędzej czy później doczekały się smutnego potwierdzenia. Trudno było ustalić przyczynę, ale wiadomo było, że z dobrze wyposażonymi podziemnymi wydawnictwami „coś jest nie tak”. Stąd ludzie Solidarności Walczącej byli w tych kontaktach coraz ostrożniejsi. Organizacja Kornela Morawieckiego postanowiła nawet bardzo jej ograniczyć a książki na coraz większą skalę drukować we własnym zakresie. Mistrzowie podziemnego druku potrafili na „sitach” osiągać jakość nie gorszą, niż uzyskiwana na offsetach.

Na początku lat dziewięćdziesiątych oficyna BGW wydała książkę pt. „Generał Kiszczak mówi prawie wszystko”. Oczywiście – Kiszczak mógł łągać tak, jak łągał przez całe swoje życie. Z całkowicie pewnych źródeł docierały jednak informacje, że wielu oficerów byłego MSW z najprawdziwszą wściekłością przyjęło to, że Kiszczak w książce tej ujawnił jednak coś istotnego i prawdziwego. Okazało się, że główny ubek PRL-u chwalił się w niej, że ludzie podległych mu służb na dużą skalę działali w brukselskim biurze Solidarności. A właśnie do tego zagranicznego przedstawicielstwa związku napływał z całego wolnego świata sprzęt poligraficzny, który potem przemywany był do Polski i trafiał do podziemia. Kiszczak w swojej książce stwierdził, że jego agenci w każdym kierowanym z Brukseli do Polski sprzęcie montowali mikronadajnik – niemożliwy do wykrycia przez konspiratorów a emitujący impulsy radiowe, umożliwiające precyzyjne zlokalizowanie, w którym miejscu tak „zainfekowany” sprzęt się znajdował. Wg Kiszczaka wszyscy dysponujący urządzeniami poligraficznymi dostarczonymi za pośrednictwem brukselskiego biura Solidarności byli więc dla SB widoczni „jak na patelni”. Jeśli więc tak było w rzeczywistości to nieposiadający tak „zainfekowanych” urządzeń nie byli przez Służbę Bezpieczeństwa „namierzani” przynajmniej tym jednym, ale nadzwyczaj skutecznym sposobem.

Oczywiście niewielu ludzi jest tak mało wiarygodnych, jak Kiszczak, więc jego opowieściom często nie warto dawać wiary. Ta jego relacja, która na początku lat dziewięćdziesiątych wzbudziła tak wielką wściekłość licznych byłych wysokich oficerów MSW, znalazła jednak potwierdzenie kilka lat po wydaniu książki Kiszczaka. Potwierdzeniem tym są dokumenty, które ocalały z działalności SB i które trafiły do archiwów Instytutu Pamięci Narodowej. Okazało się, że Kiszczak nie tylko w tym przypadku nie kłamał, ale przyznawał się tylko do części swojego sukcesu. Z dokumentów zachowanych po Służbie Bezpieczeństwa bowiem wynika, że Tajnym Współpracownikiem o kryptonimie

„Franciszek” był sam dyrektor brukselskiego biura Solidarności. A to nie tylko czyni wiarygodnymi słowa Czesława Kiszczaka, ale może też wyjaśniać przyczyny skutecznego rozpracowywania użytkowników sprzętu przemycanego z Brukseli.

A jak się potoczyły losy szefa brukselskiego biura Solidarności po „przełomowym” roku 1989? W kancelarii prezydenta Lecha Wałęsy a potem Aleksandra Kwaśniewskiego pełnił on funkcję szefa... Biura Bezpieczeństwa Narodowego. Działo się to pomimo ostrzeżeń Ireny Lasoty i wielu innych zasłużonych działaczy emigracyjnych, którzy działalność Milewskiego przejrzeliby już w latach osiemdziesiątych i już wtedy, bezskutecznie, przed nim ostrzegali. Lecz nawet po tym, kiedy w kraju znalazły się dokumenty poświadczające, że Milewski to Tajny Współpracownik SB, działający dla niej pod pseudonimem „Franciszek”, nie przeszkadzało to w powierzaniu mu najwyższych funkcji w Biurze Bezpieczeństwa Narodowego. Naprawdę bardzo prezydent RP Lech Wałęsa i Aleksander Kwaśniewski troszczyli się o bezpieczeństwo polskiego państwa i narodu powierzając komuś takiemu kierowanie – Biurem Bezpieczeństwa Narodowego.

POCZTOWE ŁAMANIE GRANIC

Z poubeckich materiałów, zachowanych w archiwach Instytutu Pamięci Narodowej wynika, że w latach sześćdziesiątych Służba Bezpieczeństwa przeprowadzała kontrolę co najmniej połowy krajowych listów, wysyłanych do i ze stolicy Polski.

Wiele świadczy o tym, że przynajmniej w niektórych okresach SB czytała wszystkie listy, jakie przechodziły przez warszawskie urzędy pocztowe. Trudno ocenić, jaką skalę kontrola korespondencji (będąca złamaniem paragrafów nawet obowiązującej wówczas „konstytucji”) miała w powojennym czterdziestolecioleciu w innych miastach i regionach Polski. W okresie stanu wojennego – jawnie cenzurowane były wszystkie listy (koperty były otwierane, listy czytane, przybijano pieczęć „Ocenzurowano”). Jedną z nich wiadomo na ile wiarygodnych opowieści z tamtego czasu dotyczyła cenzorskiej ingerencji w treść listu. Jego autorka pisała o rozwoju ruchowym swego kilkunastoletniego dziecka: „Jasio już siedzi”. Esbecki cenzor, sądząc, że „siedzenie” dotyczy osoby przynajmniej kilkunastoletniej i oznacza formę częstej wówczas represji, słowo „siedzi” miał skreślić, zastępując je słowami: „jest internowany”.

Na pewno od 1944 do 1989 roku wyspecjalizowani funkcjonariusze bezpieki kontrolowali korespondencję dużej części obywateli – część wg listy, część w drodze kontroli wyrwykowej, obejmującej nie mniej, niż 20% przesyłek. Kontrola stuprocentowa pojawiała się w okresach i miejscach kryzysowych, np. na Wybrzeżu po Grudniu 1970. Przez cały okres PRL – u niemal całkowitą kontrolą obejmowano korespondencję zagraniczną. W szczególności listy do i z krajów zachodnich. W celu umożliwienia czytania listów przez SB stworzona została specjalna kategoria tajnych współpracowników. W dokumentach występują oni jako OZ – osoby zaufane lub osoby zabezpieczenia. Współpracownicy ci często nie byli zobowiązani do standardowej aktywności donosielskiej, ale mieli obowiązek umożliwiania działalności funkcjonariuszy tajnych organów. Czyli np. właśnie – ułatwiać funkcjonariuszom czytanie cudzych listów czy prowadzić „wyławianie” każdej poczty wysyłanej czy odbieranej przez osoby znajdujące się w zainteresowaniu komunistycznych służb.

Pomimo wszystkich tych utrudnień Solidarność Walcząca już w 1983 roku rozpoczęła akcję prenumeracyjną swoich gazetek. Pisma So-

lidarności Walczącej można było zaprenumerować, oczywiście nie w urzędzie pocztowym, ale niemal tak samo, jak się prenumeruje oficjalnie wydawane czasopisma. Do adresata przychodziły one zwykłą pocztą, w kopertach, a w przypadku reklamacji (że jakiś numer nie dotarł) wysyłka była powtarzana. Tym sposobem prasa Solidarności Walczącej trafiała w latach osiemdziesiątych do tysięcy jej stałych czytelników.

Gazetki Solidarności Walczącej często zawierały apel: „Przeczytałeś? Wyślij na wieś!” Chodziło o to, by niezależna prasa docierała tam, gdzie rzadziej bywa ona kolportowana. Solidarność Walcząca aż do 1990 roku prowadziła akcję wysyłania tysięcy przesyłek z podziemną prasą na tysiące wiejskich adresów. Najczęściej były to pozyskiwane z książek telefonicznych adresy wiejskich remiz strażackich, sołtysów, kół gospodyń wiejskich, szkół itp. Czasem otrzymanie koperty pełnej różnych gazetek było sensacją. Czasem przerażeni odbiorcy odruchowo biegli z nimi na milicję. Najczęściej otrzymane gazetki były czytane po kolei przez wszystkich mieszkańców wioski a nawet krążyły po całej gminie.

W 1983 roku Solidarność Walcząca podjęła próbę „pocztowego przedarcia się na teren Związku Sowieckiego”. W tym celu wyprodukowane zostały tysiące kopert, opatrzonych nadrukiem Towarzystwa Przyjaźni Polsko – Radzieckiej. Koperty te zostały wypełnione rosyjskojęzycznymi gazetkami, ulotkami, znaczkami, mini – plakatami. Żeby nie wzbudzać podejrzeń – wysłano je z kilkudziesięciu różnych miast Polski. Adresy pozyskane zostały sposobem podobnym do „wiejskiej wysyłki krajowej”. Tajemnicą pozostawało, jak duża część tej wysyłki zdoła się „przedrzeć” przez wschodnią granicę i dotrzeć do adresatów. Czyli – na ile esbecy kontrolerzy poczty dadzą się nabrać na koperty z nadrukowanym logiem TPPR – u z Leninem oraz sierpem i młotem.

Po kilku dniach głośno zabrzmiały informacje o efektach wysyłki. Pierwszy donosił o tym serwis światowy BBC. Brytyjcy korespondenci w swych komunikatach informowali o co najmniej dziesiątkach przesyłek, które dotarły. Dziennikarze powoływali się na własne informacje, stąd przypuszczać można, że odbiorcami listów były także osoby, z którymi mieszkający w Związku Sowieckim Brytyjczycy mieli bezpośredni kontakt. Radiowe serwisy sekcji polskiej BBC o wydarzeniu tym mówiły w tonie sensacyjnym. O zagranium na nosie sowieckiej KGB przez polską Fighting Solidarity z rozbawieniem i entuzjazmem informowała zachodnia prasa. Wymowa tych informacji była taka, że „pomi-

mo stłumienia Solidarności czołgami Jaruzelskiego działalność polskiego podziemia wdziera się na teren Związku Sowieckiego”.

Trudno oszacować, jak duża część wysyłki dotarła do miejsc przeznaczenia. Rozsiane one były po całym terytorium państwa sowieckiego – od Wilna, Grodna i Lwowa po Sachalin i Kamczatkę. Z wiadomości, które w ślad za BBC uzupełniali korespondenci innych zachodnich mediów, mających korespondentów w ZSRS wynikało, że do wskazanych adresów dotarła wielka część, prawdopodobnie znacząca większość wysyłek. Nie wiadomo, jaka ich część od razu została zaniesiona na milicję lub KGB. Nie ulega natomiast wątpliwości, że po tej akcji kontrola listów, wysyłanych z Polski do ZSRS, została bardzo zaostrzona. Ten pocztowy „mecz SW kontra KGB” zakończył się jednak niekwestionowanym rezultatem 1:0 dla Solidarności Walczącej.



PIERWSZE LATA „BIULETYNU DOLNOŚLĄSKIEGO” CZYLI WYŻSZA SZKOŁA KONSPIRACJI KORNELA MORAWIECKIEGO

Zasady, wprowadzone w roku 1979 przez Kornela Morawieckiego w organizację druku „Biuletynu Dolnośląskiego”, zaowocowały przerwaniem permanentnych represji i konfiskat świeżo powielonych nakładów. Coraz lepsze zakonspirowanie drukarzy drugiego obiegu nie tylko doprowadziło do tego, że w dużej mierze „zniknęli oni z oczu bezpieki”, ale też ich grono zaczęło się rozrastać. Po wprowadzeniu stanu wojennego stanowiło ono strukturę opozycji najlepiej przygotowaną do działania w warunkach konfrontacji z reżimem. Ona też w czerwcu 1982 dała początek Solidarności Walczącej.

OWOCE WCZESNYCH LEKCJI ZASAD KONSPIRACJI

Kornel Morawiecki wychował się w rodzinie żołnierzy Armii Krajowej. Weteranem AK był nie tylko jego ojciec, ale też liczni wujkowie, kuzyni i przyjaciele rodziców, często odwiedzający mieszkanie Jadwigi i Michała Morawieckich przy ul. Mińskiej w Warszawie. Przez szereg powojennych lat kilkuletni a następnie nastoletni Kornel wysłuchiwał wspomnień często ponad dwudziestu ludzi, spotykających się i nocujących w jednopokojowym locum kamienicy na praskim Kamionku, którą szczęśliwie ominęły wojenne zniszczenia. Od najmłodszych lat dowiadywał się o zasadach konspiracji i tragicznych skutkach ich łamania. Dowiadywał się też o metodach działania gestapo i innych służb. Nie inaczej było w czasie wakacji, które spędzał na Ziemi Świętokrzyskiej, gdzie w domach bliższych i dalszych krewnych słuchał opowieści całego mnóstwa uczestników walki podziemnej. Z kolei gdy w wieku 17 lat zaczął studia na Uniwersytecie Wrocławskim częścią jego środowiska stała się rodzina Winciorków, do której należał np. jego wuj Roland, w czasie okupacji zajmujący się m.in. przrzutem broni na teren getta warszawskiego a po wojnie działający w organizacji Wolność i Niezawistość¹.

1 A. Adamski Kornel Morawiecki. Autobiografia, Warszawa 2017, s. 25-54

Kiedy w 1968 roku Kornel Morawiecki rozpoczął rzeczywistą¹ działalność opozycyjną, nie znał jeszcze tajników druku. Wykonywanie przez niego ulotek polegało na sporządzaniu makiety z tekstem, która po sfotografowaniu była kopiowana w ciemni typową techniką fotochemiczną. Metody poligraficzne zaczął stosować w styczniu 1969, w związku z drukiem żałobnych klepsydr, poświęconych Janowi Palachowi oraz w grudniu 1970, sporządzając pisma ulotne, protestujące przeciw strzelaniu do robotników Wybrzeża². Pełne umiejętności z zakresu technik drukarskich, przydatnych w warunkach drugiego obiegu wydawniczego, zdobył Morawiecki pod koniec lat siedemdziesiątych. Szybko też wtedy doszedł do wniosku, że najważniejsze nie jest posiadanie maszyn drukarskich. Poza jedną, wprawdzie istotną zaletą, polegającą na możliwości szybkiego uzyskiwania dużych nakładów, Morawiecki uważał szereg minusów sprzętu takiego, jak elektryczne powielacze a tym bardziej offsety. Urządzenia te były kosztowne, kłopotliwe w transporcie, ich praca wiązała się z charakterystycznym (czyli zdradliwym) hałasem. Posiadanie wysokonakładowego urządzenia powielającego często określało sposób działania wyposażonych w nie ludzi. Póki znajdowali się w jego posiadaniu – byli w stanie wydawać nawet wiele tytułów. Jego utrata, z czym w realiach PRL-u zawsze należało się liczyć, oznaczała przerwanie bytu nawet całego szeregu inicjatyw wydawniczych³. Morawiecki nie zalecał rezygnacji ze sprzętu, który w rękach drugiego obiegu już się znajdował. Preferował jednak upowszechnianie umiejętności druku technikami, umożliwiającymi samodzielne stworzenie warsztatu drukarskiego przez każdego, nawet pojedynczego konspiratora. Taki model umożliwiał szybką odbudowę niezależnego drukarstwa nawet po najbardziej masowych represjach i konfiskatach. Zarazem stale się powiększająca liczba osób, potrafiących samodzielnie stworzyć tajny punkt małej poligrafii i drukować własne wydawnictwa, prowadziła do sytuacji, w której rodzenie się kolejnych ośrodków wolnego słowa stawało się stanem permanentnym i trudnym do opanowania przez służby totalitarnego państwa. Za nie

1 Zgodnie z definicją, zaproponowaną przez prof. Janusza Kurtykę rzeczywista działalność opozycyjna to aktywność polegająca na prowadzeniu wymiernych działań, mających na celu doprowadzenie do przemian demokratycznych i niepodległości Polski, w warunkach narażających na poważne represje przez okres nie krótszy, niż jeden rok.

2 Tamże, s. 79-84

3 Jak się później okazało rezygnacja z kosztownych urządzeń miała jeszcze jeden zbawienny walor. Powielacze i offsety, trafiające do Polski za pośrednictwem brukselskiego biura Solidarności, były przez działającego w nim agenta SB zaopatrywane w mikronadajnik radiowy, umożliwiający służbom PRL-u zlokalizowanie tajnej drukarni. Do Solidarności Walczącej nie trafiały urządzenia wysyłane przez biuro brukselskie, dzięki czemu SB było pozbawione możliwości dekonspirowania tą metodą poligrafii organizacji Kornela Morawieckiego.

mniej ważny fundament niezależnego ruchu wydawniczego uważał Morawiecki codzienne zasady konspiracji, które już w swoim dzieciństwie poznawał z rodzinnych opowieści. Podstawowy pakiet tych zasad nie stanowił wielkiej uciążliwości. Wielka część sukcesu konspirowania polegała po prostu na unikaniu wszelkiego rodzaju podejrzeń ze strony sąsiadów, przechodniów czy kolegów z pracy, na ograniczaniu kręgu znających adres drukarni czy magazynów do niezbędnego minimum czy zwykłej „zasady trzymania języka za zębami”¹. Te, zdawałoby się oczywiste reguły, w rodzącym się drugim obiegu wydawniczym wcale nie były normą. Ich poważne, codzienne praktykowanie stanowiło pierwszą przyczynę sukcesu zarówno drukarzy „Biuletynu Dolnośląskiego, jak i późniejszej Solidarności Walczącej.

STANDARZY POLSKIEGO PAŃSTWA PODZIEMNEGO W ŚRODOWISKU ARTYSTÓW I HIPISÓW

„Biuletyn Dolnośląski” został założony 3 maja 1979, równocześnie z utworzonym we Wrocławiu (w mieszkaniu prof. Mirosławy Chamcówny) Klubem Samoobrony Społecznej Ziemi Dolnośląskiej. Pierwszym redaktorem naczelnym został Jan Waszkiewicz, za najbliższych współpracowników mający przede wszystkim Piotra Starzyńskiego, Janusza Łojka i Henryka Lisa. Pierwszy numer ukazał się 2 czerwca 1979, czyli pierwszego dnia Pierwszej Pielgrzymki Ojca Świętego Jana Pawła II do Ojczyzny². Pismo zostało wydrukowane z matryc białkowych w nakładzie 500 egzemplarzy. Składało się z 10 stron formatu A4, zawierało deklarację programową KSS i kilka artykułów publicystycznych. Drugi numer wydany został na początku lipca, miał 19 zadrukowanych stron a jego głównym tematem była niedawno zakończona wizyta papieża. Dokonane przez SB zatrzymania kolporterów doprowadziły do skonfiskowania pewnej części nakładu. Z datą 1 sierpnia 1979 wydrukowany został wakacyjny, podwójny nr 3-4 „Biuletynu Dolnośląskiego”, którego nakład niemal w całości został jednak skonfiskowany przez Służbę Bezpieczeństwa. Pod koniec miesiąca wydawcy „Biuletynu” zdołali jednak powtórnie wydrukować numer swojego pisma o tej samej zawartości, opatrzonej w stopce informacją: „Wydanie Drugie”. W związku z przypadaniem w tym czasie czterdziestej rocznicy tego wydarzenia – jednym z tematów był Pakt Ribentrop – Mołotow. 12 października 1979 ukazał się pierwszy ze specjalnych numerów „Biuletynu Dolnośląskiego” – czterostronicowy, poświęcony głównie wrocławskie-

1 Tamże, s. 224 – 234

2 G. Waligóra Opozycja polityczna na Dolnym Śląsku 1975 – 80, Wrocław 2016, s. 37

mu Tygodniowi Kultury Chrześcijańskiej. Numery specjalne, o mniejszej objętości ale wielokrotnie większym nakładzie, były wydawane także w następnych latach, w związku z wydarzeniami, na które redakcja starała się zwrócić specjalną uwagę. Niezależnie od nich swoim comiesięcznym rytmem ukazywały się „zasadnicze” numery pisma. I tak z datą 1 listopada 1979 sygnowany był kolejny numer, składający się z 38 stron¹.

Wspomnieć w tym miejscu trzeba o ważnej postaci wrocławskiej przedsierpniowej opozycji, od pierwszego numeru wnoszącej ogromny wkład w redagowanie, druk i kolportaż „Biuletynu Dolnośląskiego”. Chodzi o zmagającego się ze śmiertelną chorobą Janusza Łojka, który zmarł 5 listopada 1979. Tuż przed drukiem listopadowego numeru, który zaczęto nazajutrz po odejściu tego ważnego członka zespołu, redaktorzy zdołali do treści „Biuletynu” dodać poświęcony zmarłemu nekrolog. Wg wspomnień jego przyjaciół i wydawców Janusz Łojek miał pełną świadomość nieuchronności swojego losu. Sens ostatnich miesięcy swojego życia widział w jak największym przyczynieniu się do rozwoju niezależnego od władz obiegu myśli i informacji².

W listopadzie 1979 Jan Waszkiewicz zwrócił się do Kornela Morawieckiego o pomoc w redagowaniu i wydawaniu „Biuletynu”. W praktyce okazało się, że ta pomoc niemal od razu oznaczała będzie kierowanie zarówno redakcją, jak i drukiem. Prowadzona przez SB permanentna obserwacja zarówno Waszkiewiczowi, jak i jego najbliższym współpracownikom uniemożliwiała im bowiem jakąkolwiek większą działalność. Ryzyko konfiskaty sprzętu, kolejnych nakładów i dekonspiracji nieznanymi jeszcze SB drukarzom – było już w tym okresie krytyczne. Morawiecki szybko zapoznał się z sytuacją i doszedł do wniosku, że potrzebne są nowe, bezpieczne miejsca druku oraz wprowadzenie żelaznych zasad konspiracji. Nade wszystko jednak stwierdził, że do dalszego wydawania bezdebitowych pism niezbędni są nowi ludzie. Nie zamierzał rezygnować z nikogo, już doświadczonego w tajnym drukarstwie. Większość z nich znana była jednak Służbie Bezpieczeństwa. Jej operowaniu sprzyjało to, że inwigilowane grono drukarzy ograniczało się do kilkunastu osób. Taką liczbę można było objąć permanentną, szczelną a zarazem dyskretną obserwacją i kontrolować każdy krok każdego z rozpracowywanych ludzi. Morawiecki uznał, że potrzebni są nowi drukarze – kompetentni i odpowiedzialni, ale zarazem jak najliczniejsi. Jako docelowy standard uznał funkcjonowanie kilku niezależ-

1 S. Rudka Poza cenzurą. Wrocławska prasa bezdebitowa 1973 – 1990, Wrocław 1992, s. 40

2 S. Rudka, tamże s. 42

nych zespołów i to najlepiej – wywodzących się z różnych środowisk, co utrudniałoby działania operacyjne SB, działającej często „segmentowo”, tj. – odrębnie rozpracowujących w ramach swych działań kręgi naukowców, sportowców czy taterników. Zgodnie z założeniem Morawieckiego przypadku uwięzienia czy rozpracowania jednego zespołu drukarskiego – praca byłaby kontynuowana przez kolejny. Pierwszymi „zwerbowanymi” przez Kornela Morawieckiego byli pracownicy naukowcy Politechniki Wrocławskiej. W przyszłości to oni staną się głównym filarem Solidarności Walczącej. Kolejnymi byli studenci, których wykładowca matematyki dobrze znał i którzy bywali na spotkaniach przy ognisku, organizowanych w podwrocławskim Pęgowie¹. Właściwych ludzi, intensywnie ale dyskretnie, szukał Morawiecki też w innych środowiskach. Z rozmów z Antonim Roszakiem, niegdysiejszym „hipisem bieszczadzkiem” i jednym z pierwszych drukarzy Niezależnej Oficyny Wydawniczej Morawiecki dowiedział się, że wrocławskie środowisko „dzieci – kwiatów” już w roku 1973 wydało własne, oczywiście niecenzurowane, pismo. W dużej mierze ci sami ludzie od roku 1977 uczestniczyli w wydawaniu gazetek wrocławskiego Studenckiego Komitetu Solidarności. Morawiecki zaczął odwiedzać osoby, o których opowiadał mu Roszak. Jak wspominał po latach – był to jego pierwszy bliższy kontakt z ludźmi hipisowskiej subkultury. W jednym z mieszkań wstrząsnęło go np. to, że pewne młode kobiety zażywały środki psychoaktywne, samodzielnie wytwarzane domowymi metodami. Pierwszy raz spotkał się wówczas ze zjawiskiem narkomanii – przybierającym na sile a przez władze PRL całkowicie wówczas zamilczanym. Narkotykowe skłonności niektórych członków tego środowiska uznał za czynnik ryzyka, ale generalnie pozytywnie ocenił przydatność ludzi z tego rodzaju kręgów. Zorientował się np., że większość z nich wielokrotnie zaznała represji ze strony milicji. Ludzie ci byli w przeszłości zatrzymywani np. za nielegalne biwakowanie, kończące się czasem przestępczymi w komisariatach i nocami spędzonymi w aresztach. Niejednokrotnie sam ich wygląd był dla funkcjonariuszy pretekstem do legitymowania, szarpania za włosy i bicia. Pomimo tych szykan nie zmieniali oni jednak sposobu swojego funkcjonowania. Byli przeciwnikami panującego ustroju, żyli w konflikcie z aparatem represji, ale nie byli identyfikowani z działalnością opozycyjną. Wielu z nich utrzymywało się z prac dorywczych, co ułatwiało ich angażowanie w pracę drukarską, mającą trwać czasem szereg dni. Drukarskie umie-

1 Pod lasem w Pęgowie Kornel Morawiecki dzierżawił około hektara ziemi. Za sprawą spotkań dyskusyjnych miejsce to w latach siedemdziesiątych stało się czymś w rodzaju „inkubatora opozycjonistów”. Ulica, biegnąca dziś wzdłuż tej działki, należącej do rodziny Morawieckich, nosi dziś imię: Kornelówka.

jętności większości z nich były niestety ograniczone, lub żadne. Do środowiska tego należał jednak także Krzysztof Gulbinowicz, który kilka lat wcześniej ukończył Zasadniczą Szkołę Zawodową Przemysłu Poligraficznego. Morawiecki odwiedził Gulbinowicza w hotelu robotniczym przy ul. Mieleckiej, gdzie zamieszkiwał wraz z bratem. Późniejszy przewodniczący Solidarności Walczącej spotkanie to wspominał jako wydarzenie zdumiewające. Spodziewał się spotkania z osobami charakterystycznymi dla klasy robotniczej. Tymczasem w pokoiku wypełnionym książkami i płótnami niezłej klasy awangardowego malarstwa zastał dwóch zarośniętych dwudziestokilkulatków, oddanych niebanalnej lekturze przy dźwiękach płynącej z magnetofonu psychodelicznej muzyki. Jak się wkrótce okazało – jeden z nich pisywał oszczędne w słowa, behawiorystyczne opowiadania a drugi rzeźbił w węglu na tyle sprawnie, że w czerwcu 1983 to jego dzieło zostało ofiarowane papieżowi jako dar od dolnośląskiej Solidarności¹. W styczniu 1980 Krzysztof Gulbinowicz zajął się drukiem kolejnego numeru „Biuletynu Dolnośląskiego”. Praca ta była wykonywana w mieszkaniu rodziny Lazarowiczów przy ul. Pasteura i stanowiła równocześnie lekcję druku dla kilku adeptów konspiracyjnej poligrafii. Rolą Gulbinowicza było odtąd nie tylko powielenie i kształcenie nowych drukarzy, ale też pisanie dla „Biuletynu Dolnośląskiego”, do którego wносił od tego czasu bardzo wartościowy wkład. Znaczący był też odtąd udział rodziny Lazarowiczów, w szczególności Romualda, który od grudnia 1979, wraz z Michałem Wodzińskim, redagował satyryczną część miesięcznika a w stanie wojennym przejął nadzór nad całością tego periodyku.

PERMANENTNA ROZBUDOWA STRUKTUR WYDAWNICZYCH

Kornel Morawiecki wprowadził zasadę, wg której każdy kolejny numer „Biuletynu” drukowany powinien być w innym miejscu. Podnosiło to poziom bezpieczeństwa pracy. Jeśli bowiem zapachy, hałasy czy pojawianie się w kamienicy czy bloku nieznanych tam ludzi wzbudziłyby zainteresowanie sąsiadów – to byłby to jedynie pojedynczy epizod, który powinien być przez wszystkich szybko zapomniany. Zarazem konieczność poszukiwania nowych współpracowników i nowych lokalizacji skutkowało włączaniem do działalności nowych ludzi. Zarówno baza osobowa, jak i lokalowa – z miesiąca na miesiąc musiała się więc powiększać.

1 Dar od ukrywającego się wówczas Regionalnego Komitetu Strajkowego NSZZ Solidarność Dolny Śląsk musiał być najpierw skonsultowany i niejako „zatwierdzony” w kurii arcybiskupiej. Przy tej okazji okazało się, że bracia Gulbinowicze są dalekimi krewnymi arcybiskupa Henryka Gulbinowicza (od 1985 – kardynała).

Miejscami druku stały się dom rodziny Winciorków w Wilczynie Leśnym, letni dom Morawieckich „Kornelówka” w Pęgowie, mieszkania udostępniane przez przyjaciół, wyjeżdżające na wczasy lub delegacje naukowe. Wśród zaangażowanych w druk znaleźli się Wiesław Moszczak¹, siostry Bujwid, Piotr Starzyński, Zbigniew Duszak, dwudziestoletnia córka Kornela Morawieckiego Anna i dwunastoletni syn Mateusz, swój drukarski staż zaczynający od suszenia i składania kartek zadrukowywanych przez starszych kolegów². Do zasad, wprowadzonych przez redaktora naczelnego i zarazem szefa druku należało ukrycie się wszystkich uczestników wydruku w mieszkaniu, z którego nikt nie wychodził aż do zakończenia pracy. Po to, by nikt nie miał powodu do wyjścia na najkrótszą nawet chwilę, Morawiecki zaopatrywał konspiracyjny lokal w dostatek żywności, papierosów, napoi czy słodczy. Obiady na wszystkie dni przewidywanej pracy przygotowywała żona Morawieckiego Jadwiga, w wydawanie pisma zaangażowana także jako pierwsza recenzentka nadchodzących do redakcji materiałów i konsultantka redaktora naczelnego. Szef „Biuletynu” wprowadził też zwyczaj, wg którego zakończenie każdego wydruku wieńczone było małą uroczystością z ciastem i butelką wina. Koncept ten skutkował także tym, że opuszczający czyjeś mieszkanie drukarze byli przez sąsiadów postrzegani jako uczestnicy towarzyskiego spotkania.

W następstwie zasad, wprowadzonych przez Kornela Morawieckiego, przerwane zostały zatrzymania drukarzy „Biuletynu Dolnośląskiego” i skończyły się konfiskaty sprzętu oraz nakładów świeżo powielonych broszur. Stale powiększała się liczba osób potrafiących drukować i samodzielnie tworzyć warsztat drukarski. Ludzie drugiego obiegu przestali być wąskim gronem, które łatwo poddać inwigilacji i izolować. Wdrożone zasady konspiracji podniosły poziom bezpieczeństwa prowadzonej działalności (wśród drukarzy byli i tacy, których SB nie wytropiła aż do 1990 roku). Powiększała się też objętość „Biuletynu”, który w 1980 roku osiągnął 40 stron oraz nakład, z końcem tego samego roku wynoszący 5500 egz. Rozbudowana sieć ludzi, miejsc druku, skrzynek kontaktowych i magazynów sprawiła, że do roku 1990 miesięcznik

1 Wiesław Moszczak w największym stopniu zasługuje na miano „pierwszego drukarza stanu wojennego”. Wprawdzie 13.XII 1981 drukowało w Polsce bardzo wielu, ale W. Moszczak pierwszym dnia stanu wojennego rozpoczął druk pierwszego pisma, którego pierwszy numer został rozkolportowany w nocy z 13 na 14 XII 1981, po czym do roku 1990 ukazało się 394 razy, będąc pod każdym względem (ilości wydanych numerów, łącznego nakładu itd.) największym pismem podziemnym lat osiemdziesiątych. Przygotowaniem matryc do pierwszych wydań „Z dnia na dzień” też zajmowały się osoby z „Biuletynu Dolnośląskiego”: Helena Lazarowicz i Joanna Moszczak

2 O zaangażowaniu Mateusza Morawieckiego pisze m.in. Igor Janke w książce „Solidarność Walcząca. Podziemna armia”, Warszawa 2014

ukazywał się bez żadnych zakłóceń. Co jeszcze ważniejsze – zarówno redakcja, jak i struktura drukarska „Biuletynu Dolnośląskiego” okazały się być matczynikiem co najmniej kilkudziesięciu kolejnych niezależnych inicjatyw wydawniczych.

Bibliografia:

Adamski Kornel Morawiecki. Autobiografia, Warszawa 2017

K. Grzelczyk Solidarność drukująca. Wrocławscy drukarze podziemni, Wrocław 2013

G. Waligóra Opozycja polityczna na Dolnym Śląsku 1975 – 1980, Wrocław 2016

S. Pietraszko Terrorysty i oszołomy, Wrocław 2007

S. Rudka Poza cenzurą. Wrocławska prasa bezdebitowa 1973 – 1990, Wrocław 2001

Przedruk za: „Biuletyn IPN”

WIGILIA SOLIDARNOŚCI WALCZĄCEJ

W przedświąteczny piątkowy wieczór wrocławskie Centrum Historii „Zajezdnia” było miejscem wigilijnego spotkania działaczy i przyjaciół Solidarności Walczącej.

Najbezwzględniej ścigana organizacja niepodległościowa lat osiemdziesiątych i jedyna, przeciw której Czesław Kiszcak wydał rozkaz „użycia wszystkich sił i środków”, w okresie transformacji ustrojowej została skazana na marginalizację i zapomnienie. Jej dorobek w walce o wolną Polskę do dziś często jest umniejszany i przywłaszczany. Proceder ten od roku 2007 utrudniany jest dzięki działalności Instytutu Pamięci Narodowej, odkrywającego ogromną skalę aktywności organizacji, do której zasług należy np. wieloletnie funkcjonowanie tajnych struktur NSZZ Solidarność w dziesiątkach zakładów pracy czy rozwój opozycji w kilku republikach ówczesnego ZSRS.

Wigilia Solidarności Walczącej zgromadziła ponad sto osób, związanych z tą organizacją. Obecni byli liczni więźniowie polityczni z lat PRL-u, w tym tacy, jak Zygmunt Miernik i Adam Słomka, którzy za protesty przeciw uniewinnianiu najbardziej ewidentnych zbrodniarzy komunistycznych byli skazywani i trafiali za kraty także w III RP. Spotkanie zaczęło modlitwą, prowadzoną przez ks. Czesława Pawlaczyka oraz oddaniem czci coraz liczniejszym zmarłym członkom Solidarności Walczącej. W krótkim wystąpieniu Kornel Morawiecki przypomniał ciągle jeszcze nie w pełni zrealizowane cele organizacji, do których należy solidarny ład społeczny.

Życzenia dzielących się opłatkiem nie ograniczały się do spraw osobistych. Z wielką mocą życzone sobie, by w nadchodzącym roku Polska nie zdryfowała z drogi ku coraz większej wolności, sprawiedliwości, podmiotowości. Do uczestników spotkania dołączył też, przybyły z Warszawy, premier Mateusz Morawiecki. Owacyjnie powitany pozdrowienia i wyrazy wdzięczności skierował pod adresem działaczy Solidarności Walczącej, w latach osiemdziesiątych wyróżniających się aktywnością nadzwyczaj skuteczną, kreatywną i ofiarną a których w następnych dekadach zamiast szacunku i podzięką najczęściej spotykało szyderstwo i zapomnienie. Trzydziestu działaczom SW premier wręczył Medale Stulecia Odzyskania Niepodległości. W każdym przypadku trafiły one w ręce ludzi zasług wielkich a ze strony władz państwowych bardzo dłu-

go niedocenianych. W największym skrócie warto przypomnieć historię choć niektórych. Lecha Stefana – od lat siedemdziesiątych organizującego wykłady o polskich sprawach w salkach parafii św. Michała a w stanie wojennym organizującego miejsca schronienia najbardziej poszukiwanych działaczy podziemia. Jerzego Pietraszki – już w 1982 roku przenoszącego przez zieloną granicę nakłady podziemnej czeskojęzycznej prasy. Teresy Krusińskiej, współtworzącej Radio Solidarność Walcząca, ścigane z zaangażowaniem ogromnego arsenału działań aparatu represji. Alberta Łyjaka – drukarza i redaktora, którego konspiracyjnej działalności nie odczyły internowanie, osadzenie w karnej jednostce wojskowej, więzienie i inne represje. Michała Gabryela, w ponurych czasach przemycającego z Zachodu podzespoły elektroniki, służącej następnie do budowy aparatury nadawczej oraz podsłuchującej służby reżimu. Jadwigi Kondratowicz, pomimo zatrzymań i rewizji nie ustającej jako ogniwo sieci kolportażu. Wojciecha Myśleckiego – jednego z liderów wrocławskiego Marca 1968 i tytanicznego organizatora struktur SW. Zbigniewa Bieńka – działającego już w Narodowej Organizacji Wyzwoleńczej „Lechia”, wraz z którą wszedł w skład SW, gdzie przez siedem lat działał jako drukarz i kolporter. Romualda Lazarowicza – od 13.XII 1981 redaktora podziemnego, ukazującego się wówczas co dwa dni, pisma Regionalnego Komitetu Strajkowego „Z Dnia na Dzień”. Mariusza Mieszkalskiego, niezmordowanego drukarza i organizatora wciąż nowych drukarni, dziś nadzwyczaj spokojnego ojca rodziny, o którym kiedyś ubecy pisali: „niebezpieczny człowiek, zupełnie nie znający strachu”. Tadeusza Piątka – twórcę jedynej w drugim obiegu wydawniczym maszyny drukującej techniką tradycyjnych czcionek. Edwarda Wóltańskiego, który tracił zdrowie w rękach oprawców z SB, po czym w wymyślnej kryjówce stworzył wielką drukarnię, jak się okazało – dla bezpieczeństwa nie do wytropienia. Ten telegraficzny skrót jest tylko namiastką niepodległościowego dorobku i wymienionych i wielu innych ludzi Solidarności Walczącej, zasługujących na gesty uznania ze strony władz Rzeczypospolitej.

Dobrze, że Wrocław ma ośrodek taki, jak CH „Zajezdnia”, pełniący rolę nie tylko placówki muzealnej, ale i miejsca spotkań. Faktem na miarę symbolu jest to, że dziś w dużej mierze są to spotkania ludzi, dla których w roku 1980 ówczesna Zajezdnia MPK nr 7 stanowiła dolnośląskie centrum narodzin ruchu, prowadzącego Europę do zrzucenia kajdan pojałtańskiej niewoli.

Gazeta Polska Codziennie, grudzień 2018

NA OBRZEŻACH SOLIDARNOŚCI WALCZĄCEJ, CZYLI O MNIEJ ZNANYCH OGNIWACH „STRUKTURY FRAKTALNEJ”

W dyskusji panelowej, zorganizowanej w Gdyni z okazji trzydziestej rocznicy powstania Solidarności Walczącej¹, dr Wojciech Myślecki² stwierdził: „Od 1982 roku należałem do grona osób budujących tę organizację i kierujących nią. W związku z bardzo ścisłą konspiracją nie mieliśmy wtedy pełnej orientacji co do jej rozmiarów i zasięgu działania. Z perspektywy późniejszych lat okazało się, że i skala i zakres oddziaływania organizacji były większe, niż to wynikało z naszych najbardziej optymistycznych przypuszczeń”. Do szacunków dr. Myśleckiego należałoby dodać także to, że wiele struktur Solidarności Walczącej blisko współpracowało z autonomicznymi ogniwami podziemia, znacząco powiększającymi potencjał Solidarności Walczącej a de facto stanowiącymi wraz z nią jeden konspiracyjny organizm.

STRUKTURA FRAKTALNA

Kiedy powstawała Solidarność Walcząca jej twórcy rozważali różne modele organizacyjne. Zwyciężyła koncepcja zwana potem przez biologa prof. Andrzeja Myca „strukturą glonu” a przez matematyka prof. Andrzeja Kisielewicza³ – „strukturą fraktalu⁴”. Obydwa przypadki de facto mówią o zjawisku analogicznym – pączkowaniu struktury, która kolokwialnie rzecz wyrażając – „rośnie gdzie się da”⁵. Językiem współczesnej terminologii z zakresu zarządza-

- 1 Uroczystości i konferencje naukowe, o których mowa, miały miejsce w Gdyni na przełomie sierpnia i września 2012. Głównymi ich organizatorami były Pomorska Inicjatywa Historyczna oraz Stowarzyszenie Solidarność Walcząca.
- 2 Dr Wojciech Myślecki był m.in. członkiem Komitetu Wykonawczego oraz od 1988 jednym z jawnych przedstawicieli Solidarności Walczącej. Wojciech Myślecki, encyklopedia-solidarnosci.pl [dostęp 2015-10-04]
- 3 Andrzej Kisielewicz, encyklopedia-solidarnosci.pl [dostęp 2015-10-04]
- 4 Andrzej Myc, encyklopedia-solidarnosci.pl [dostęp 2015-10-04]
- 5 Łukasz Medeksza, Pączkowanie fraktala, Pamięć i przyszłość, Wrocław 2008, nr 2, s. 21-37

nia sytuację tę można zdefiniować jako urzeczywistnianie modelu organizacyjnego o zarządzaniu zdywersyfikowanym lub rozproszonym. Doświadczenia Solidarności Walczącej wykazały dużą efektywność takiego systemu oraz jego odporność na działania wrogich mu służb. W przypadku zarządzania strukturą o kształcie tak nieregularnym, że wręcz amorficznym, zachodzić mogła obawa, że organy przywódcze Solidarności Walczącej mogą mieć zbyt ograniczoną wiedzę na temat wielkości zasobów, jakimi dysponują. W praktyce jednak nie polegały one na danych w postaci liczby członków organizacji czy ilości komórek organizacyjnych. W zarządzaniu (i niezbędnym dla niego „pomiarze” własnych sił) Rada i Komitet Wykonawczy Solidarności Walczącej posługiwały się kategoriami potencjałów organizacyjnych. Z dość prostej przyczyny okazywało się to miernikiem bardziej miarodajnym od polegania np. na danych mówiących o liczbie działaczy. Nie tylko w przypadku Solidarności Walczącej częste były przecież sytuacje, w których sprawny kilkusobowy zespół ludzi aktywnych i dysponujących wolnym czasem posiadał większe możliwości działania od jednostek liczniejszych, ale złożonych z ludzi obciążonych dużymi obowiązkami zawodowymi i rodzinnymi¹.

ANALOGIE PIERWSZEJ I TRZECIEJ KONSPIRACJI

Z zachowaniem wszystkich oczywistych proporcji – historia pierwszych lat podziemia solidarnościowego wykazuje pewne zasadnicze podobieństwa z dziejami konspiracji, formującej się w Polsce po klęsce wrześniowej roku 1939. Pierwsza analogia to różnorodność i rozproszenie ogniw ruchu oporu a następnie stopniowa ich konsolidacja oraz towarzyszące jej krystalizowanie się programów i metod działania. Drugie podobieństwo dostrzec można porównując okresy ożywionych dyskusji, jakie na łamach bezdebitowej prasy towarzyszyły pierwszym kilku miesiącom po jednej i drugiej narodowej porażce. W pierwszym okresie okupacji niemiecko – sowieckiej przedmiotem analizy były przyczyny klęski II Rzeczypospolitej. Z kolei na łamach dużej części pism podziemnych z roku 1982 podejmowany był temat przyczyn zaskoczenia Solidarności wprowadzeniem stanu wojennego oraz szybkiego złamania pierwszej fali społecznego oporu. Efektem krytycznej oceny rządów przedwrześniowych było odepchnięcie przedwrześniowej elity politycznej przez rząd gen. Władysława Sikorskiego oraz budowa Polskiego Państwa Podziemnego z wiodącą rolą osób bliżej niezwiązanych z obozem sanacji. Wiosną 1982 roku część

1 Relacja dr. Wojciecha Myśleckiego

podziemia (w przypadku regionów takich, jak Dolny Śląsk, była to część jeśli nie najliczniejsza to na pewno najbardziej dynamiczna) równie krytycznie oceniała jakość przywództwa NSZZ Solidarność. Brak przygotowania związku do konfrontacji z reżimem komunistycznym, wezwania do nieprzemyślanych form protestu, utworzenie ogólnopolskiego centrum kierowania społecznym oporem parę miesięcy po tym, gdy zaczął on wygasać – zbudowało dość powszechne oczekiwanie na ofertę spójnych celów i metod dalszej walki.¹ Stąd utworzona w czerwcu 1982 roku organizacja Solidarność Walcząca stanowiła propozycję, na którą żywo zareagowały dziesiątki mniejszych i większych ogniw solidarnościowej konspiracji.

AKCJA SCALENIOWA 1982

Obok różnych konspiracyjnych komórek NSZZ Solidarność latem 1982 roku działały we Wrocławiu dziesiątki mniejszych i większych grup, stawiających sobie za cel konspiracyjną walkę z reżimem komunistycznym. Część z nich była związana ze strukturami zepchniętego do podziemia NSZZ Solidarność, ale ich członkowie czuli się zawiedzeni indolencją przywódców związku. Działalność niektórych z tych ogniw oporu ograniczała się do kolportażu docierającej do nich prasy podziemnej, prób odbudowy związkowych kontaktów i np. malowania hasel na murach. Inne stanowiły już podziemne organizacje, wydające swoje pisma podziemne i tworzące własny program polityczny. Do takich należała np. Narodowo – Wyzwoleńcza Organizacja „Lechia”², utworzona we Wrocławiu już w grudniu 1981 roku przez Antoniego Ferenca, Krzysztofa Błachuta, Andrzeja Pawlaka, Marka Szatkowskiego, Janusza Szewczyka i Piotra Winiarskiego. Wkrótce dołączyli do nich Maciej Dziubański i Krzysztof Zwierz. Bliskimi współpracownikami „Lechii” była m.in. późniejsza współtwórczyni paru podziemnych wydawnictw Mirosława Łątkowska. W kwietniu 1982 organizacja ta zaczęła wydawać pismo „Goniec Polski”³. Do października tego samego roku, w nakładzie od 500 do 2 tys. egz. ukazało się 15 numerów tej gazetki, liczącej od 2 do 6 stron. Jesienią 1982 wszyscy działacze „Lechii” stali się członkami Solidarności Walczącej. Podobnie potoczyły się losy wielu nie-

1 Fenomen szybkiego stworzenia organizacji tak silnej, jak Solidarność Walcząca, bardzo wielu jej członków interpretuje w niemal identyczny sposób. Inicjatywa Kornela Morawieckiego miała doskonale trafić do jednostek i środowisk gotowych do poniesienia ofiar – niejako „zagospodarowywała” istniejący potencjał aktywności. Mówią o tym m.in. bohaterowie książki Igora Janke „Twierdza. Solidarność Walcząca – podziemna armia” (Warszawa 2012).

2 Narodowo – Wyzwoleńcza Organizacja „Lechia”, encyklopedia-solidarnosci.pl [dostęp 2015-10-04]

3 S. Rudka, Poza cenzurą. Wrocławskie wydawnictwa bezdebitowe 1973-1990, Wrocław 1997, s. 233

zależnych inicjatyw wydawniczych. Ich przykładem może być jedno z ciekawszych pism drugiego obiegu – „Wiadomości Bieżące”. Pierwszy jego numer, głównie za sprawą Andrzeja Oryńskiego i Barbary Sarapuk, ukazał się już 17 grudnia 1981¹. Latem 1982 liczna już struktura wydawnicza – kolportażowa tego wydawnictwa weszła w skład Solidarności Walczącej. W organizacji tej ludzie ci odegrali znaczącą rolę, kontynuując też wydawanie „Wiadomości Bieżących” (do 1989 roku wydano aż 242 numery). Blisko z Solidarnością Walcząca współpracowały organizacje młodzieżowe, już od 1982 roku korzystające np. z konspiracyjnych kursów druku, prowadzonych m.in. przez działacza SW Bohdana Błażewicza. Mimo, że np. wydająca pismo „Młodzież” Polska Niezależna Organizacja Młodzieżowa² nie może być traktowana jako część Solidarności Walczącej, to jednak uczestniczyła w działaniach inicjowanych przez organizację Kornela Morawieckiego. Z kolei po rozbiciu PNOM-u aresztowaniami jej członków w roku 1983 i 1984 część działaczy tej formacji kontynuowała swą aktywność już bezpośrednio w strukturach Solidarności Walczącej. Jedną natomiast z młodzieżowych organizacji, które w całości przyłączyły się do SW był kierowany głównie przez Zbigniewa Jagiełłę i Dariusza Kędrę Młodzieżowy Ruch Oporu Solidarność. Posiadając znaczący dorobek (dziesiątki numerów wydanych własnych pism: „Wolna Polska” i „Solidarność Młodzieży”) na przełomie 1985 i 1986 w całości weszła w skład Solidarności Walczącej³.

„FRAKTALE AUTONOMICZNE”

Jedną z autonomicznych struktur podziemia, które nie weszły w skład Solidarności Walczącej, ale blisko z nią współpracowały, była Grupa „Baszta”. Jej trzon stanowili Cezary Szarugiewicz, Tomasz Majewicz, Jacek Król, Tomasz Białaszczyk, Andrzej Gawlik i Tomasz Tatomir⁴. Część członków „Baszty” swoją dawną organizację nazywa dziś „podziemną firmą usługową”. Rzeczywiście – drukowała ona prasę podziemną na zlecenie NSZZ Solidarność, Niezależnego Zrzeszenia Studentów czy Ruchu Wolność i Pokój. Nie można jednak jej zakwalifikować jako przedsięwzięcia komercyjnego. Przez cały okres swojego istnienia drukarze „Baszty” prowadzili kursy poligrafii dla organizacji młodzieżowych i tajnych komitetów zakładowych NSZZ Solidarność. „Baszta” wiele razy powielala podziemną prasę różnych struktur nie tylko nieodpłatnie, ale po-

1 Wiadomości Bieżące, encyklopedia-solidarnosci.pl [dostęp 04-10-2015]

2 A. Adamski, Nie tylko Wrocław, w: red. B. Noszczak, Życie na przekór, Warszawa 2015

3 A. Adamski, Młodzi Podziemni, Gazeta Polska, Warszawa 2008, nr 34 (20.VIII), s. 22

4 Baszta, encyklopedia-solidarnosci.pl [dostęp 04-10-2015]

święcąc na wydruk własny papier, farbę i matryce. Dla Solidarności Walczącej drukowała m.in. niektóre wydania „Biuletynu Dolnośląskiego”. Powierzenie wydruku niektórych numerów własnych pism podmiotowi zewnętrznemu dobrze służyło wysokim standardom konspiracji oraz wypracowywało metody współdziałania, które mogłyby się okazać przydatne np. w warunkach kolejnej fali represji¹.

Jednostką podobną w formach działania do „Baszty” była utworzona w 1986 roku głównie przez Cezarego Szrugiewicza i Artura Adamskiego Niezależna Oficyna Studencka NOS². Bazowała ona na sprzęcie dostarczonym przez działaczy Solidarności Walczącej – Dariusza Olszewskiego oraz Krzysztofa Zwierza. W związku z upowszechnianiem w swoich wydawnictwach techniki sitodrukowej Solidarność Walcząca przekazała studentom – konspiratorom m.in. jeden ze swoich powielaczy o dużej wydajności. Służył on m.in. do druku miesięcznika „Baza”, pism Ruchu Wolność i Pokój i Solidarności Polsko – Czesko – Słowackiej. Jedną z inicjatyw wydawnictwa NOS była próba tworzenia wspólnej struktury Niezależnego Zrzeszenia Studentów Uniwersytetu i Politechniki Wrocławskiej. Jej owocem było pismo studenckie „Goniec”³. NOS zawiesił działalność latem 1988, w związku z podejrzeniem dekonspiracji głównej drukarni, zlokalizowanej w Obornikach Śląskich. W tym samym czasie cele podobne, lecz na większą skalę, realizowała już utworzona w październiku 1987 Akcja Studencka Solidarności Walczącej. W 1988 rozpoczęła wydawanie jednego z bardziej interesujących studenckich periodyków pt. „Kontra”⁴.

„FRAKTALE BEZKONTAKTOWE”

Znanych jest wiele przypadków tworzenia ogniw podziemia, utożsamiających się z Solidarnością Walcząca, pomimo braku rzeczywistego kontaktu z tą organizacją. Jedną z nich w 1984 roku utworzył w Szczecinie Stanisław Bucholc. Impulsem do podjęcia takiego działania były docierające do niego sporadycznie pisma Solidarności Walczącej. Część z nich zawierała instrukcje, dotyczące walki konspiracyjnej i uruchamiania druku na bazie powszechnie dostępnych materiałów. Organizacja apelowała o budowanie podziemia bez czekania na kontakt z tymi, którzy już je stanowią. Bucholc zastosował się do tej rady. W oparciu o instrukcje, drukowane na łamach prasy Solidarności

1 Relacja Cezarego Szrugiewicza

2 Niezależna Oficyna Studencka, encyklopedia-solidarnosci.pl [dostęp 2014-10-10]

3 S. Rudka, Poza cenzurą, s. 288

4 Kontra, encyklopedia-solidarnosci.pl [dostęp 2013-06-01]

Walczącej, uruchomił małą poligrafię. Metodą tą zaczął powielać materiały, zamieszczone na łamach docierających do niego pism organizacji Kornela Morawieckiego. Kiedy został aresztowany przez SB nie kłamał więc mówiąc, że z nikim z Solidarności Walczącej nigdy nie miał kontaktu. Sam natomiast Kornel Morawiecki po zapoznaniu się z historią Stanisława Bucholca stwierdził, że jego działalność w pełni uzasadnia uznawanie go za członka Solidarności Walczącej¹.

Przypadków analogicznych do „bezkontaktowego ogniwa organizacyjnego” Stanisława Bucholca było znacznie więcej i prawdopodobnie tylko część kiedykolwiek skontaktowała się z przywódcami organizacji. Jedną ze struktur identyfikujących się z Solidarnością Walczącą, które organizacji tej stały się znane bliżej dopiero po ich rozbięciu przez aparat represji, była grupa kierowana we Wrocławiu przez Dariusza Bogdana. W wieku zaledwie czternastu lat stanął on na czele kilkusobowego zespołu rówieśników, zajmującego się malowaniem napisów na murach, powielaniem oraz kolportowaniem ulotek i plakatów oraz stawianiem czynnego oporu siłom porządkowym w czasie ulicznych demonstracji. W związku z prowadzoną działalnością Dariusz Bogdan był zatrzymywany przez ZOMO w maju 1983 oraz przez MO w styczniu 1984. Zarówno za pierwszym, jak i za drugim razem był więziony i wielokrotnie ciężko pobity². Pierwsze zatrzymanie zakończyło się uwolnieniem po paru dniach i oddaleniem oskarżeń, drugie – ponad półrocznym aresztem i śledztwem umorzonym dopiero w wyniku amnestii z 22 lipca 1984. Dariusz Bogdan nadal nie był członkiem Solidarności Walczącej, gdy w wieku siedemnastu lat, w sierpniu 1984 rozpoczął organizowanie ulicznych demonstracji na ulicach Wrocławia. Ich celem było odciąganie sił ZOMO w każdy czwartek koncentrujących się wokół kościoła św. Wawrzyńca przy ul. Bujwida, w czasie odprawianych w nim mszy świętych w intencji ojczyzny. Kierowana przez niego kilkudziesięcioosobowa grupa rówieśnicza doprowadzała do starć z oddziałami ZOMO w rejonie ulic Sienkiewicza i Wieczorka. Młodzież ta ten „swój” teren wcześniej przygotowywała dla potrzeb starć z siłami porządkowymi (gotowe elementy barykad, sztaby pozwalające skutecznie zamknąć bramy i zatrzymać pościg itp.)³. Działalność tę SB przerwała 2 listopada 1984, kiedy to po

1 Kornel. Z przewodniczącym Solidarności Walczącej rozmawia Artur Adamski, Wrocław 2007, s. 240

2 A. Adamski, Kazali mu kopać grób, Gazeta Polska, Warszawa 2009, nr 14 (8.iv), s. 22

3 Do demonstracji i starć w rejonach ulic Sienkiewicza, Wieczorka (obecnie Stefana kard. Wyszyńskiego), Górnickiego, Ukrytej, Sępa – Szarzyńskiego doszło kilkakrotnie. Inicjowała je czasem jedynie ok. trzydziestoosobowa grupa młodzieży, przygotowanej jednak do czynnej obrony. Efektem bywały

jednej z takich demonstracji Dariusz Bogdan został aresztowany i po wypełnionym torturami śledztwie 15 stycznia 1985 przez Sąd Rejonowy Wrocław – Śródmieście skazany na 1 rok i 10 miesięcy więzienia. Mimo, że formalnie Dariusz Bogdan nigdy nie przystąpił do tej organizacji – w roku 2010 został przez Kornela Morawieckiego odznaczony Krzyżem Solidarności Walczącej a w roku 2012, na wniosek Stowarzyszenia Solidarność Walcząca, Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski¹.

„PODWÓJNA PRZYNALEŻNOŚĆ”

Bardzo wielu działaczy Solidarności Walczącej związki z tą organizacją łączyło z aktywnością w innych strukturach – najczęściej z przynależnością do Federacji Młodzieży Walczącej i Niezależnego Zrzeszenia Studentów. Najliczniejsze przypadki takiej „podwójności organizacyjnej” miały natomiast miejsce prawdopodobnie wśród działaczy tajnych komisji zakładowych NSZZ Solidarność. Członkowie wielu z nich aktywność związkową łączyli z działalnością w Solidarności Walczącej. Sytuacjom takim sprzyjała duża autonomia poszczególnych ogniw organizacji Morawieckiego oraz zasada, w myśl której działacze sami się „zadaniowali”, koncentrując się na tych obszarach, do których czuli się predysponowani. Np. należąca do SW Mirosława Łątkowska² skupiła się na najbardziej jej odpowiadającej formie aktywności, czego owocem było wydawanie książek, sformalizowane później Wydawnictwami Wers i Volumen³. Dość podobnie było w przypadku Wydawnictwa Feniks⁴ i wielu innych inicjatyw w dużym stopniu autonomicznych, ale zarazem nie tylko z Solidarnością Walcząca blisko związanych, lecz często silnie się z nią utożsamiających.

SILA KONSPIRACJI W ROZPROSZENIU

Struktura, która nie była do końca czytelna dla samych liderów organizacji, była wprost niemożliwa do rozpoznania przez aparat represji, włącz-

parogodzinne starcia uliczne z udziałem setek osób, angażujące te siły ZOMO, które w każdy czwartek o tej porze otaczały kościół św. Wawrzyńca, często potem atakując wiernych wychodzących z tej świątyni.

- 1 Dariusz Bogdan, encyklopedia-solidarnosci.pl [dostęp 2014-10-10]
- 2 Mirosława Łątkowska, encyklopedia-solidarnosci.pl [dostęp 2015-10-04]
- 3 Wydawnictwo Wers, encyklopedia-solidarnosci.pl [dostęp 2012-05-10]
- 4 Wydawnictwo Feniks było prawdopodobnie jedyną w Polsce lat osiemdziesiątych podziemną inicjatywą wydawniczą, drukująca książki techniką tradycyjnych czcionek. Trzon tej grupy stanowili: Jerzy Adamczyk, Marian Cieślowski, Antoni Cydzik, Zbigniew Dudek, Wiesław Leśniański, Stanisław Łuszcz, Mieczysław Perlak, Tadeusz Piątek (główny twórca maszyny drukarskiej, zbudowanej wg własnego pomysłu), Stanisław Ryczek. Z wydawnictwem Feniks blisko współpracował m.in. znany aktor i poeta Bogusław Kierc. Wydawnictwo Feniks, encyklopedia-solidarnosci [dostęp: 2014-10-10] T. Piątek, Wspomnienie o Feniksie, www.sw.org.pl/feniks.html [dostęp 2010-10-01]

nie z elitarnym Biurem Studiów Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Rzeczywistą skalę Solidarności Walczącej trudno oszacować, gdyż jakakolwiek forma ewidencji członków czy jednostek organizacyjnych nigdy nie była prowadzona. Pełnej odpowiedzi nie da się też uzyskać na podstawie zachowanych materiałów Służby Bezpieczeństwa, gdyż duża część działaczy SW, pomimo wieloletniej aktywnej działalności, nigdy nie została zdekonspirowana. Nigdy też nie doszło do wydarzeń skutkujących pełną mobilizacją Solidarności Walczącej i tym samym mogących ujawnić jej cały potencjał organizacyjny. Z kolei pierwsze prace, mające na celu ocenę dorobku SW, nie licząc faktów epizodycznych, podjęte zostały dopiero kilkanaście lat po zaprzestaniu przez tę organizację działalności. Jednak wszystko, co po latach udaje się ustalić, przemawia za tezą postawioną przez dr. Wojciecha Myśleckiego: skala organizacji Solidarność Walcząca była większa, niż to wynikało ze wszystkich znanych nam ocen. Włącznie z ocenami samych przywódców tej organizacji.

ROLAND ROCZNIK DWUDZIESTY

Wspomnienie o Edwardzie Winciorku

Kiedy przychodził na świat jego ojciec walczył w szeregach żołnierzy zmagających się z bolszewicką nawałą. Niezwykłym wspomnieniem z pierwszych lat życia były częste wizyty w domu Władysława Reymonta. Do śmierci autora „Chłopów” jego gospodynią była właśnie matka Romualda.

Wiele razy opowiadał mi o wiejskiej szkole, do której uczęszczał a w szczególności – o lekcjach historii. Nie miał dziesięciu lat, gdy pierwszy raz usłyszał opowieść nauczyciela o antycznych Grekach, pomimo druzgocącej przewagi wrogów mężnie stojących w obronie swojej ojczyzny. Jego wspomnienia tych lekcji sprzed kilkadziesiątu lat uświadomiły mi, jak potężną rolę odegrać może szkoła, w której dobrzy nauczyciele rzetelnie realizują mądry, służący państwu program. Całe późniejsze życie Romualda było bowiem dowodem na to, że już w dzieciństwie uformowany został na kogoś takiego, jak żołnierz Leonidasa.

W OBRONIE NIEPODLEGŁOŚCI

We wrześniu 1939 jego rocznik nie został powołany do wojska. Jednak jako aktywny od wielu miesięcy członek drużyny obrony przeciwlotniczej walczył z najeźdźcami od pierwszego dnia. Kiedy front zbliżył się do rodzinnego, skierniewickiego powiatu przyłączył się do oddziału Wojska Polskiego. Jego dowódca, młody porucznik, znał go już jako młodzieńca odważnego, wytrwałego i dobrze potrafiącego się posługiwać bronią. W bitnym oddziale piechoty Romuald był pełnoprawnym żołnierzem. Przewaga Niemców była kolosalna. Dowódca za cel postawił sobie stawianie oporu i zadawanie strat nieprzyjacielowi zawsze, kiedy było to możliwe. Za równie ważne uważał uniknięcie niewoli. Oddział stoczył więc dziesiątki potyczek i niezliczoną ilość razy uniknął okrążenia. W trzecim tygodniu wojny znalazł się na terenach zajmowanych przez Armię Czerwoną. Tam przyszło ścierać się także z sowietami. Na przełomie września i października sytuacja była już beznadziejna i za swój cel dowódca postawił sobie doprowadzenie swych żołnierzy do rejonu, w którym swój udział w wojennej kampanii zaczęli. Stamtąd bowiem wszyscy blisko już mieli do swoich domów. Roztropny marsz przez Polskę rozdartą niemiecką i sowiecką okupacją trwał parę tygodni. Przekraczając ustaloną na Bugu nową

„granicę przyjaźni” zabić musieli nie chcącego ich przepuścić strażnika, którym był uzbrojony w karabin Żyd w tradycyjnej chałatce z czerwoną opaską na ramieniu.

W OKUPACYJNEJ KONSPIRACJI

Po dotarciu do domu starszy brat wprowadził Romualda do organizującego się zbrojnego podziemia. Prawdopodobnie wtedy zaczął się posługiwać pseudonimem Roland, pod którym przyjaciołom znany był do końca życia. W 1940 został żołnierzem Związku Walki Zbrojnej, następnie jednego z oddziałów dyspozycyjnych Armii Krajowej obwodu skierniewickiego. W roku 1942 i 1943 wielokrotnie przedostawał się na teren warszawskiego getta, wykonując rozkazy związane ze współpracą Armii Krajowej z Żydowskim Związkiem Wojskowym. Do zamkniętej żydowskiej dzielnicy najczęściej docierał wraz z bratem tramwajem, którego trasa biegła przez getto. Nie byłoby to możliwe, gdyby motorniczym tego pojazdu z zamalowanymi szybami nie był współpracownik podziemia. Podobnie było też z częścią pasażerów oraz patrolem żydowskiej policji, w pobliżu którego tramwaj przystawał, umożliwiając jego opuszczenie. W pamięć Romualda najbardziej wryć się musiała jego ostatnia wizyta w getcie. Z wieloma drobnymi szczegółami opowiadała mi o niej wiele razy. Ciężki bagaż, który wtedy przewoził wraz z bratem, zawierał ręczny karabin maszynowy i duży zapas amunicji. Jeśli wierzyć relacji Marka Edelmana, spisanej przez Hannę Krall i wydanej pod tytułem „Zdażyć przed panem Bogiem”, powstańcy z warszawskiego getta mieli tylko jeden ręczny karabin maszynowy. Musiał więc to być ten dostarczony przez braci Winciorków. Jednak to nie ta wysłana przez Armię Krajową broń była wówczas najmocniejszym przeżyciem Romualda. W mieszkaniu, w którym przekazywali erkaem, bracia poznali dwie żydowskie dziewczyny. Natychmiast wtedy stwierdzili, że ich twarze tak dalece nie przypominają żydowskich, że obydwie te osoby bez trudu da się ukryć po tzw. aryjskiej stronie muru. Oświadczyli więc od razu, że w drogę powrotną wezmą je ze sobą, ukryją u przyjaciół, szybko załatwią im fałszywe dokumenty a po nauczeniu pacierzy będą one mogły skutecznie podawać się za Polki i mieć szansę przeżycia okupacji. Na propozycję tę uzyskali odpowiedź, że wyprowadzenie z getta wymaga zgody jakiegoś żydowskiego organu. Czekając na tę decyzję Winciorkowie znaleźli się w dużym kłopotcie. Minęła bowiem godzina, o której wsiąść mieli do tramwaju, mającego ich wywieźć z getta. Zbliżała się też pora, o której, w przypadku gdyby nie wrócili do umówionego miejsca, przełożeni z AK uznaliby, że ich misja zakończyć się musia-

ła wpadnięciem w ręce Niemców. Po długim czasie ich rozmówca wreszcie powrócił i zakomunikował, że rada żydowska postanowiła, iż wyprowadzić z getta mogą, ale nie te, lecz dwie inne dziewczyny. Na ich widok obydwaj Winciorkowie złapali się za głowy. Przeprowadzone osoby swym wyglądem do złudzenia przypominały Żydówki z niemieckich plakatów propagandowych. „Tych nie damy rady wyprowadzić! Pierwszy napotkany Niemiec nawet z odległości kilometra rozpozna, kim są! Nie mamy żadnych szans ich bezpiecznego przeprowadzenia przez Warszawę!” – wykrzyknął brat Romualda. „Te albo żadne” – odpowiedział ich rozmówca. Winciorkowie teren getta opuszczali sami, postępując się przepustkami, podrobionymi na taką okoliczność. Kilka tygodni później w getcie wybuchło powstanie. A jeszcze ponad półwieku później Romuald powtarzał wiele razy: „Dlaczego oni nie pozwolili nam ich wyprowadzić i ukryć? One mogły przeżyć”.

W PODZIEMIU ANTYKOMUNISTYCZNYM

Po rozwiązaniu Armii Krajowej Romuald został członkiem organizacji Wolność i Niezawisłość. Założył rodzinę i osiedlił się w położonym na północ od Wrocławia Wilczynie Leśnym. Współpracował z Polskim Urzędem Repatriacyjnym, opanowanym przez działaczy WiN. Przez jego dom przewijali się ścigani przez UB żołnierze AK i powojennego antysowieckiego podziemia. Przyjaciele pracujący w PUR-ze umożliwiali im ukrycie się na Ziemiach Odzyskanych. Wielu udawało się zmienić tożsamość, osiedlić pod zmienionym nazwiskiem i dotrzeć do bezpieczniejszych czasów. Jedną z ofiar UB stał się wówczas także starszy brat Romualda, towarzyszący mu przez wszystkie lata wojennej konspiracji. Romuald znał tożsamość morderców, w latach dziewięćdziesiątych bezskutecznie oprawców tych próbował postawić przed sądem. Jak inni bandyci z UB w dostatku i spokoju dożyli oni jednak późnych lat.

Od 1958 roku częstym gościem Winciorków był Kornel Morawiecki, przyjaciel rodziny przyjeżdżający potem wraz ze swoją żoną, dziećmi, przyjaciółmi. Spotkania często miały charakter debat o sprawach narodowych i politycznych. W czasie rozmów, wykładów i wspomnień kiełkowały późniejsze opozycyjne inicjatywy.

W roku 1968 ktoś ze znajomych poprosił Romualda o przyjęcie pod swój dach żydowskiej rodziny, nękaną przez komunistyczne władze. O ludziach, z którymi mieszkał potem przez ponad rok, nie wiedział zupełnie nic a to, co sami opowiadali, było mało spójne i nie brzmiało zbyt wiarygodnie. Opuścić wilczyński azyl zdecydowali się po otrzymaniu listu, z którego wynika-

to, że każdy z marcowych emigrantów zapewnioną ma ogromną pomoc i doskonały start w nowym życiu. Dopiero po wyjeździe nieznanymi Romuald dowiedział się, że na utrzymaniu miał rodzinę bardzo zamożną, ściśle związaną z aparatem władzy, do momentu porażki w wewnętrzzpartyjnych porachunkach cieszącą się wielkimi przywilejami.

W tym samym 1968 roku w domu Romualda powielane były ulotki a jego syn Wojciech wraz z Kornelem Morawieckim wyruszał z Wilczyna na wielkie akcje malowania haseł wzdłuż ruchliwej linii kolejowej, łączącej Wrocław z Poznaniem. Działalność na dużo większą skalę ruszyła w drugiej połowie lat siedemdziesiątych, kiedy duża część stojącego na uboczu, wiejskiego domu stała się wielką drukarnią. W roku 1980 Romuald włączył się w organizowanie niezależnego ruchu ludowego. Po wprowadzeniu stanu wojennego, pomimo nękania przez SB, Romuald wielkie usługi oddawał solidarnościowej konspiracji. Wspomagał działalność zarówno NSZZ Solidarność, jak Solidarności Wiejskiej i Solidarności Walczącej, w której po uszy zanurzony był jego syn. Uczestniczył m.in. w nadawaniu szeregu audycji Radia Solidarność Walcząca, niespodziewanie włączającej się w fonię Programu Trzeciego Polskiego Radia. Romuald wskazywał radiowcom najlepsze do emisji miejsca, zlokalizowane na szczytach Wzgórz Trzebnickich. Któryś razem był świadkiem zabawnej sytuacji. Kilometr od domu Romualda znajdowała się wojskowa stacja radiolokacyjna. Odpoczywający przy pięknej pogodzie żołnierze słuchali „Powtórki z rozrywki”, gdy nagle przemieniła się ona w audycję Radia SW. Żołnierze najpierw ostupieli, potem wsłuchiwać się zaczęli w nabożnym wręcz skupieniu a gdy audycja dobiegła końca zaczęli spontaniczny taniec radości. Świadkiem tej sceny stali się oficerowie, na złamanie karku pędzący terenowym samochodem przez leśne bezdroża. Od pojazdów innych służb zaroilo się w całej okolicy a kilku esbeków przewracało już do góry nogami dom Romualda. Spodziewając się takich wydarzeń przygotował on jednak całe swoje gospodarstwo na takie ryzyko. W efekcie ani SB niczego nie znalazła ani nie schwytała radiowców, którzy po emisji programu ewakuowali się dobrze przemyślaną drogą ucieczki.

W OKRĄGŁOSTOŁOWEJ RZECZYWISTOŚCI

Od 1990 roku w charakterze instruktora d.s. filmu pracowałem na pół etatu w niedalekim od Wilczyna Obornickim Ośrodku Kultury. Wraz z Romualdem od razu doszliśmy do wniosku, że okoliczność tę, oznaczającą możliwość bezpłatnego korzystania z sali klubowej, można wykorzystać dla spotkań dyskusyjnych. Ich stałym gościem był Kornel Morawiecki, prelegentami bywali też

m.in. Antoni Lenkiewicz, Wojciech Ziemiński, Stanisław Srokowski, Edward Wiczkowski, Jacek Podlejski. Z satyrycznym programem o aktualnych sprawach wystąpił kabaret Jana Fornala, uruchomiliśmy też działalność Klubu Filmu Historycznego. W realiach jednolitego przekazu lat dziewięćdziesiątych nasza działalność była prawdziwą oazą wolnej myśli. Najcenniejsze było jednak to, że młodzież mogła się tam spotkać i rozmawiać z tak niezwykłym uczestnikiem historycznych wydarzeń, jakim był Romuald Winciorek.

Każde spotkanie z nim wiązało się z rozmową o Polsce. Mówił nie tylko o tym, co działo się w niej złego, ale też nieustannie szukał wyjścia z patologii i pułapek, w które nasza ojczyzna zabrnęła. Odszedł przekroczywszy wiek ponad osiemdziesięciu lat, pochowany został na cmentarzu w Obornikach Śląskich. A historia jego życia zasługuje na spisanie w formie tysiącokrotnie obszerniejszej od niniejszego wspomnienia.

„Obywatelska”



DODRUK, O KTÓRYM NIE WIEDZIAŁ MORAWIECKI

Na początku lat osiemdziesiątych roku pobierałem nauki we wrocławskim Zespole Szkół Mechaniczno-Elektrycznych przy ul. Młodych Techników. Byłem tam członkiem Kółka Fotograficznego, którego chyba głównym uczniowskim filarem zostałem jeszcze przed wprowadzeniem stanu wojennego. Instruktorem był młody człowiek, który zresztą właśnie wrócił z Francji. Przywiózł z niej m.in. aparat Olympus – sprzęt w PRL-u klasy wręcz oszołamiającej.

W gmachu A wielkiego Zespołu Szkół Mechaniczno-Elektrycznych (często wtedy podkreślano, że ten kombinat edukacyjny to drugi największy zespół szkół w Polsce) część drugiego piętra wypełniało miejsce oddzielone kratami i solidnymi metalowymi drzwiami, opatrzone napisem: „Centrum Przygotowania Środków Dydaktycznych”. Co się w środku mieściło chyba nikt z uczniów nie wiedział. Jakoś na początku czerwca 1982 mój instruktor z Kółka Fotograficznego odnalazł mnie na szkolnym korytarzu i powiedział: „Mam do ciebie prośbę. Mam nawet roboty, zwolnię cię z lekcji”. Okazało się, że zasadniczym miejscem pracy tego mojego instruktora było właśnie owe tajemnicze „Centrum Przygotowania Środków Dydaktycznych”. Nigdy nie zapomnę pierwszych chwil w tym miejscu. Po przejściu przez kraty i drzwi, co robiło wrażenie wejścia do jakiejś twierdzy lub skarbcza, oczom moim ukazały się dwa wielkie pomieszczenia. W tym z lewej strony pracowały jakieś wyglądające nieco archaicznie urządzenia z reflektorami. Za nimi ktoś pochylał się nad stołami z klasycznymi zestawami do reprografii. Z prawej strony stały urządzenia, które skojarzyły mi się z czymś przeniesionym ze świata przyszłości. Wokół piętrzyły się sterty ryz papieru. Z trudem ukrywałem emocje, gdyż olśniło mnie: „Więc to jest drukarnia!” Okazało się, że mój instruktor potrzebował pomocy w kserowaniu jakichś druków. Pierwszy raz w życiu widziałem tak nowoczesny kserograf. Jak się zresztą właśnie dowiadywałem od instruktora, był to absolutnie najnowszy krzyk japońskiej techniki, rzecz podobno wówczas w Polsce rzadka. Odbываяc krótkie szkolenie z jego obsługi nie mogłem oderwać wzroku od wysypujących się, jedna za drugą, identycznie zadrukowa-

nych kartek papieru. Od kilku miesięcy, z mizernymi rezultatami, podejmowałem próby uruchomienia własnego druku. Wdrażałem różne sposoby powielania, m.in. w oparciu o artykuły ze starych wydań „Horyzontów Techniki”. Zmagania te kosztowały mnie sporo trudu a ich efekty były słabe. A teraz miałem przed sobą urządzenie, na którym wystarczyło położyć kartkę z tekstem i ono tę kartkę pomnażało w dziesiątkach egzemplarzy na minutę! Miałem przy sobie jeden z pierwszych numerów „Solidarności Walczącej” i cały czas myślałem o tym, bo go skserować. Ocenilem, że ryzyko nie jest wielkie. Kiedy więc miałem zmienić strony powielanej broszurki, zanim przystąpiłem do kserowania następnej, odbiłem z jednej a następnie drugiej strony dziesięć egzemplarzy świeżej bibuły.

Okazało się też, że Centrum Przygotowania Środków Dydaktycznych Zespołu Szkół Mechaniczno-Elektrycznych powieliło oznaczone jako „poufne” materiały dla Komitetu Wojewódzkiego PZPR. Członkiem tego KW był zresztą dyrektor szkoły Alfred Kostrzewa. Oczywiście zainteresowało mnie, co w tych broszurkach jest takiego „poufnego”, więc wszystkie takie publikacje, przynajmniej w paru egzemplarzach, z owego Centrum wynosiłem. Już w domu, nad ich lekturą, wpadłem niemal w euforię. Materiały te dotyczyły bowiem sytuacji w kraju, zawierały bardzo szczegółowe analizy na temat np. młodzieży. I wszystko było w nich odwrotnie, niż w ówczesnej propagandzie. Autorzy utyskiwali na powszechny antykomunizm młodego pokolenia, na jego skupienie w Kościele i totalną niechęć do wszelkiego rodzaju organizacji w rodzaju ZSMP. Wnioskowali, że partia długo nie będzie w stanie pozyskać większych kręgów młodych ludzi dla żadnych związków socjalistycznych i że wobec tego należy przyciągać młodych ludzi ofertą pozornie politycznie neutralną. Miałyby ona polegać na wykreowaniu medialnych osobowości, które dla młodych mogłyby stanowić autorytet, na budowaniu ruchu np. antynarkotykowego lub ekologicznego. Wskazywano, że kluczem mogłyby być rozgłośnie radiowe emitujące muzykę rockową, co dawałoby sposobność wylansowania postaci popularnych wśród młodzieży. Nie mogliby to być żadni działacze socjalistycznych organizacji, ale ci nowi „mieszkańcy masowej wyobraźni” mieliby mieć zdolność odciągania młodego pokolenia od tego, co dla PZPR najgroźniejsze. Czyli od antykomunistycznego podziemia i od Kościoła katolickiego. Zdumiało mnie to, że jako jednego z najpierwszych wrogów autorzy wymieniali Oazy czyli Ruch Światło – Życie. Czytając to zapalałem do tych Oaz taką miłością, że następnego

dnia pogałem do kościoła, by dołączyć do spotkań parafialnego ogniwa tegoż ruchu. Poufne broszurki powielane dla KW PZPR uznałem za napawające tak wielkim optymizmem, że przy najbliższej okazji wyniosłem większą ich ilość. Przekazałem je przede wszystkim kolegom, o których przypuszczałem, że ich rodzice mogą mieć kontakt z podziemiem. Jeden z nich regularnie dostarczał mi gazetki konspiracyjnej Solidarności. Przekazałem mu więc te materiały z sugestią, by postarał się o ich dotarcie np. do redakcji niezależnych pism (z kolegą tym nie zamierzałem jednak konspirować uznając, że on się do tego nie nadaje).

Proceder wykonywania własnych dodruków prasy podziemnej kontynuowałem przy kolejnych moich „roboczych wizytach w Centrum”. Mimo, że czasem za moimi plecami ktoś się pojawiał, działalność tę uważałem za w miarę bezpieczną. By się zorientować, co akurat było przeze mnie kserowane, trzeba by się tuż obok zatrzymać i przyjrzeć. Z odległości paru metrów i bez skupienia uwagi na wypadających z urzędzenia kartkach – wszystkie druki wyglądały podobnie. Zdziwiłem się, że jedną z osób pojawiających się w Centrum najczęściej był nauczyciel – jeden ze zdecydowanie najbardziej niesympatycznych w całej szkole. Pojęcia wtedy nie miałem, że pełnił on w niej także rolę odległą od szerzenia oświaty.

Przy okazji kolejnej prośby mojego instruktora o pomoc przy obsłudze kserografu zaproponowałem, by dołączył do mnie kolega z klasy. Mój mistrz od fotografii zgodził się i tym sposobem w Centrum zjawił się Grzesiek Osiński – mój pierwszy współpracownik w najwcześniejszym okresie mojego konspirowania. Wrażenie, jakie na Grzešku zrobił kserograf, było jeszcze większe od tego, które zrobił on na mnie. Grzegorz dostał na punkcie tego urzędzenia totalnego fioła i bez przerwy przekonywał mnie, że powinniśmy je ukraść. Dzień w dzień wymyślał nowe koncepcje tej operacji. Bacznie przyglądał się oknom, drzwiom, kratom, wyszukiwał wzrokiem systemów alarmowych, odnalazł instrukcję obsługi tego kserografu i uzyskując wiedzę o jego ciężarze kombinował, w jaki sposób można by go spuścić przez okno na linach. Grzesiek wraz z ojcem byli utytułowanymi żeglarzami jachtowymi, triumfatorami wielu różnych regat i mistrzostw wodniackich. W związku z tym Grzegorz dysponował nie tylko samochodem marki syrena, ale też przyczepą, na której wożone były kadłuby jachtów. Zdaniem Grzegorza kserograf dałoby się spuścić przez okno na linach wprost na przyczepkę. „I już mielibyśmy to чудо...” – marzył Grzesiek.

Przekonywał mnie: „Jest stan wojenny, komuniści wypowiedzieli nam wojnę. Chłopcy z Szarych Szeregów na naszym miejscu już dawno by to komunistom ukradli. Dupy będziemy, jeśli tego nie zrobimy”. Ja jednak uważałem, że pomysł był mało realny i piekielnie niebezpieczny. Poprzestawaliśmy więc na dodrukowywaniu przy każdej sposobności przynajmniej parudziesięciu egzemplarzy najświeższych numerów „Solidarności Walczącej”. Jako makiety wykorzystywaliśmy egzemplarze otrzymywane od jednego z kolegów.

W swym zapale do wykradzenia kserografu Grzegorz wyhamował się wiosną 1983 roku, kiedy wziął udział w szkoleniu drukarskim, dla podziemnych struktur młodzieżowych prowadzonym przez Solidarność Walcząca. Od tego czasu zajmował się sitodrukiem. Mniej więcej wtedy ktoś uświadomił nas też, że często pojawiający się w Centrum nauczyciel był etatowym oficerem Służby Bezpieczeństwa. Dowiedzieliśmy się rzeczy de facto oczywistej. Czyli tego, że w komunistycznej Polsce każda tego rodzaju placówka nawet najmniejszej poligrafii znajdować się musiała pod nadzorem SB. Z naszym kserograficznym dodrukowywaniem gazetek „Solidarności Walczącej” mieliśmy więc dużo więcej szczęścia, niż rozumu.

PRL – PAŃSTWO OBOZÓW KONCENTRACYJNYCH

Aparat propagandy oraz zadekretowane programy nauczania pookrągłostołowego Ubekistanu zakłamały obraz tzw. ludowej Polski, zatajając m.in. historię obozów koncentracyjnych, zakładanych i prowadzonych przez „polskich” komunistów.

NIE TYLKO JAWORZNO

NKWD obozy dla żołnierzy Armii Krajowej zakładało już w roku 1944, zwykle wykorzystując baraki i infrastrukturę niemieckich obozów koncentracyjnych, np. lubelskiego Majdanka. 6 kwietnia 1945 Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego wydało okólnik o utworzeniu tzw. Centralnych Obozów Pracy. Najbardziej znanym z nich był utworzony na terenie jednej z filii niemieckiego obozu Auschwitz obóz w Jaworznie, który stał się główną katownią polskiej patriotycznej młodzieży. Już wiosną 1945 więźniami politycznymi wypełniono szereg innych, m.in. w Potulicach, Krzesimowie, Poniatowej.

ZABIJANIE KOŚCIOŁA

Utrwalenie oszczerczego przekazu na temat „państwa PRL” pozwala dziś dzieciom oprawców z UB twierdzić np., że Fundusz Kościelny to rzekomo wyraz dobrodziejstwa, szlachetnie ofiarowanego katolikom przez stalinowski reżim. W rzeczywistości Kościół przez komunistów zwalczany był zawsze a w apogeum prześladowań represje polegały nie tylko na masowym konfiskowaniu budynków z całym ich wyposażeniem, gruntów miejskich i rolnych. Oznaczał także obozową gehennę tysięcy zakonnic. Pozbawianie wolności dokonywało się brutalnymi metodami i w zamiarze oprawców miało być bezterminowe. Podstawą nie był wyrok sądu, ale postanowienie ministra, zatwierdzone przez premiera Cyrankiewicza. Antykościelna ofensywa wzmogła się w roku 1953, w którym komuniści w całej Polsce dokonali zmasowanych konfiskat i aresztowań a także zlikwidowali wszystkie niższe seminaria duchowne. Na początku lipca 1954 skonfiskowali budynki licznych męskich klasztorów, m.in. w Białymstoku, Warszawie, Łomży, Wrocławiu, Poznaniu, Krakowie. Największą akcją unicestwiania zgromadzeń zakonnych rozpoczęli miesiąc później – 3 sierpnia oddziały UB, milicji i wojska wtargnęły do 324 żeńskich domów zakonnych. Skoordynowany atak przeprowadzony został o godz. czwar-

tej nad ranem. Siostronom dawano tylko tyle czasu, by mogły się ubrać. Zabrać ze sobą pozwalano wyłącznie odzież i najpotrzebniejsze przedmioty. W większości wypadków po paru kwadransach w przejmowanym budynku klasztornym znajdowali się już wyłącznie płądrujący wewnątrz funkcjonariusze UB. Przejawem ubeckiego poczucia humoru było wywożenie części zakonnice autobusami z tabliczkami: „Pielgrzymka”. Żadna z nich nie wiedziała, dokąd jest wywożona. Transportowanym ciężarówkami udało się wyrzucić po drodze listy z informacjami o tym, że są wywożone w nieznanym kierunku, być może na Syberię. W rzeczywistości siostry były transportowane do sieci obozów, rozsianych głównie po powiatach Wielkopolski. Czasem zlokalizowane były we wcześniej zlikwidowanych klasztorach, np. w Gostyniu czy Kobylinie. Większość trafiła jednak do baraków, otoczonych płotami z drutem kolczastym. Tak było m.in. w Otorowie, Dębowej Łące czy Stadnikach. Najcięższe warunki panowały w obozie w Pępowie, gdzie kilkaset siostr stłoczono w barakach bez okien. Do końca istnienia obozu nie było w nim prądu, gazu, bieżącej wody ani kanalizacji. Uwięzione zakonnice były wykorzystywane jako siła robocza w Państwowych Gospodarstwach Rolnych oraz szwalniach, zaimprovizowanych w postawianych na terenie obozów prymitywnych szopach. Praca wykonywana była często w półmroku, za oświetlenie służyły świece lub lampy naftowe.

Pamiętać trzeba, że jeszcze w 1949 r. siostry zakonne prowadziły w Polsce 87 szkół i internatów, 950 burs, 260 domów dziecka, 680 przedszkoli, setki żłobków i świetlic. Wraz z likwidacją klasztorów przestawały istnieć dziesiątki prowadzonych przez zakonnice sierocińców, szpitali, ośrodków opieki dla starców, nieuleczalnie chorych, dzieci upośledzonych umysłowo czy płacówek Caritasu. W wielu przypadkach dom zakonny był jedynym w okolicy miejscem, w którym mieszkańcy pobliskich wiosek mogli uzyskać pomoc lekarza czy pielęgniarki. Mimo przeprowadzania akcji w nocy, z użyciem dużych sił i w błyskawicznym tempie wiele razy doszło do starć z udziałem podopiecznych klasztorów oraz zaalarmowanych hałasami wiernych. Np. benedyktyнки ze Staniątek nie otwały bram swego klasztoru. Wyłamywanie żelaznych drzwi obudziło mieszkańców miejscowości, którzy stanęli w obronie siostr. W starciach z UB jeden z nich doznał zawału serca. Ubecy wielokrotnie sięgali po broń, dokonywali aresztowań i katowali stawiających opór. W czasie jednej z pacyfikacji dowódca szturmów telegrafował, że „kilka zakonnice klasztoru w Stalinogrodzie zdołało zbiec i prawdopodobnie są to kurierki, wysłane przez przeorysę – konieczne jest ściślejsze obstawianie terenów operacji”.

KPINY DYGNITARZY TOTALITARYZMU

W czasie likwidacji 324 domów zakonnych prymas Polski był już uwięziony i odcięty od jakichkolwiek wiadomości. Część przedstawicieli Kościoła stanowczo protestowała. Wśród argumentów były informacje o tym, że wiele klasztorów spacyfikowano nie tylko nie pokazując jakiegokolwiek dokumentu, ale nie udzielając najbardziej oczywistych wyjaśnień. Siostrze przełożonej klasztoru w Otorowie wręczono pismo, w którym UB powoływało się na paragrafy prawa o stowarzyszeniach, co nie miało żadnego związku z Kościołem. W klasztorach oddalonych 200 km od granicy państwa pokazywano decyzję, opartą na prawie, dotyczącym stref nadgranicznych. Włamujący się do klasztoru w Różanymstoku siostrze przełożonej, protestującej przeciw łamaniu klauzury, podano decyzję władz w postaci zeszytowej kartki z napisanymi ołówkiem dwoma zdaniem ledwie przypominającymi polszczyznę. Komuniści ani słowem nie odnosili się do informacji o bezczeszczeniu kaplic i przedmiotów kultu czy do zasady, wg której przenoszenie nowicjatów dokonywać się może tylko za zgodą stolicy apostolskiej. Na wszystkie protesty odpowiadało tą samą formułką: „Od decyzji nie przysługuje odwołanie”. Wojewódzka Rada Narodowa we Wrocławiu, do której też wpłynął wniosek o interwencję, do formułki tej dodała zdanie: „Władza ludowa jest dość silna, by zmusić każdego do wykonania jej zarządzeń”.

Uwięzionym młodszym siostronom funkcjonariusze UB mówili, że zgodnie z prawem kanonicznym każde opuszczenie nowicjatu jest równoznaczne z rezygnacją ze wstąpienia do klasztoru. Wskazywano, że w zaistniałej sytuacji oznacza to dla nich szansę wyjścia z obozu. Jak wspominała siostra Miriam Zajac: „Z czterystu elżbietanek, uwięzionych wraz ze mną w tym samym obozie, namowom ubeków nie uległa ani jedna. I to pomimo rujnujących zdrowie warunków uwięzienia. Zimą w pomieszczeniach, w których spałyśmy, zamarzała woda. 15 naszych sióstr gehenny tej nie przeżyło”.

LIKwidacja OBOZÓW I FUNDUSZ KOŚCIELNY

Po wstrząsie Poznańskiego Czerwca i krótkim, postalinowskim kryzysie sowieckiego imperium w październiku 1956 reżim komunistyczny zaczęła łagodzić represje. W Polsce wstrzymano kolektywizację rolnictwa, poluzowano cenzurę, uwalniano więzionych bez wyroku sądu. Często okazywało się jednak, że siostry nie miały dokąd wracać, gdyż budynkom klasztorным, z których je wyrzucono, całkowicie zmieniono przeznaczenie. Skutkiem tego niektóre obozy zdołano zlikwidować dopiero wiosną 1957 a część sióstr w obo-

zie w Gostyniu przebywała jeszcze w roku 1959. Przez parę lat trwały rozmowy strony kościelnej z rządową na temat zagrabionych nieruchomości. W przypadku np. sióstr elżbietanek z 85 zabranych im budynków do dziś oddano jedynie 55. Przedstawicielom Kościoła trudno też było żądać zwrotu tych klasztorów, w murach których urządzono np. szkoły. Taki moralny szantaż był wówczas regułą. Po wygnaniu sióstr liczne klasztory komuniści zamieniali na urzędy lub wprost – rezydencje dla ubeków. Kiedy jednak pojawiała się perspektywa konieczności zwrotu tych nieruchomości – zrabowane budynki pospiesznie zamieniano np. w szpitale, przychodnie zdrowia czy domy studenckie. W efekcie po zwrotach, dokonanych w latach 1956 – 1958, ok. 44% z wszystkich znajdujących się w Polsce nieruchomości, będących własnością Kościoła katolickiego, pozostała w rękach państwa. Namiastką rekompensaty za zrabowane mienie tak ogromnych rozmiarów stały się świadczenia tzw. Funduszu Kościelnego dla księży, zakonników i zakonnice. Zasadnicza ich część polega na tym, że od końca lat pięćdziesiątych osoby duchowne objęte są standardowym ubezpieczeniem zdrowotnym. Dodać należy, że od roku 1989 Kościół przejął mniej, niż jeden procent tego mienia, którego nie zdołał odzyskać po roku 1956.

GRABIEŻ PAMIĄTEK KULTURY

Niemal całkowicie utracone zostało mienie ruchome, znajdujące się w konfiskowanych domach zakonnych. Praktycznie każdy klasztor miał w swoich wnętrzach zabytkowe obrazy, rzeźby, meble, księgozbiory. Niejednokrotnie były to bezcenne dzieła sztuki jeszcze średniowiecznej, rękopiśmienne księgi, inkunabuły, stoły i krzesła mistrzów snycerskich z dawnych wieków. Tylko odrobina z tysięcy takich przedmiotów trafiła do muzeów, jeszcze mniej wróciła do Kościoła. W skali masowej przywłaszczane były one przez funkcjonariuszy UB. Wiele wskazuje na to, że część została wywieziona z Polski przez dygnitarzy aparatu bezpieczeństwa, którzy emigrując w roku 1968 wyjeżdżali czasem wraz z całymi towarowymi wagonami wcześniej zagrabionego mienia. W 1984 roku sprawę tajemniczego znikania z Polski wielu tysięcy dzieł sztuki podjął redagowany przez Jerzego Putramenta (!) miesięcznik „Literatura”. Zagadkę tę rok później w swoich wspomnieniach wyjaśnił zbiegły do USA, w PRL skazany na śmierć dyplomata Romuald Spasowski. Wg jego wspomnień łupy takie, jak ukradzione przez ubeków w klasztorach, a także tysiące nieskatologowanych obiektów z magazynów państwowych muzeów, jeszcze w latach siedemdziesiątych wysocy funkcjonariusze PRL sprzedawali na rynkach zagranicznych. Obawiając się zwrócenia uwagi na fakt nagłe-

go pojawiania się na aukcjach np. tysiący zabytkowych mebli wybierali rynki najodleglejsze choć zarazem najtańsze. Skutkiem takiej kalkulacji okręty pełne zabytkowych dzieł sztuki płynęły do Ameryki Południowej. Tam też ostatecznie rozplynęła się niemała część zrabowanego przez komunistów polskiego dziedzictwa.

Praktykowane przez komunistów w Polsce metody terroru i rabunku powinny być powszechnie znane, gdyż ta elementarna wiedza pozwala na prawidłowe zdefiniowanie roli, jaką ci przedstawiciele narzuconej nam władzy odgrywali. Rola ta była znacznie bliższa funkcji okupantów, niż gospodarzy naszego kraju.

„Obywatelska”, czerwiec 2019



URODZENI, BY KONSPIROWAĆ

Stan wojenny wyrócił do góry nogami życie wielu ludzi. Po jego wprowadzeniu setki kobiet i mężczyzn zmuszone były nie tylko do zejścia do podziemia, ale ukrywania się, celem uchodzenia przed poszukującymi ich służbami komunistycznego reżimu. Do grona tego dołączyło też kilkoro takich, którzy uciekli z więzienia, m.in. Jan Narożniak czy działacze Solidarności Walczącej – Maciej Frankiewicz i Piotr Bielawski. Liczba ukrywających się systematycznie jednak spadała. W wyniku słabej jakości konspiracji i penetracji struktur przez agentów Służby Bezpieczeństwa już w 1982 w krótkich odcinkach czasu zatrzymywała ona kolejnych przewodniczących Regionalnego Komitetu Strajkowego NSZZ Solidarność Dolny Śląsk – Władysława Frasyniuka, Piotra Bednarza a następnie Józefa Piniora. Wielu ukrywających się działaczy ujawniło się, korzystając z okazji, jaką do tego dawało formalne zniesienie stanu wojennego w lipcu 1983 oraz dokładnie o rok późniejszej amnestii. Kilku działaczy Solidarności Walczącej ukrywało się jednak przez kilka kolejnych lat. Najbardziej niezwykle było ciągłe pozostawanie na wolności i nadzwyczaj aktywne działanie człowieka, w celu wytropienia którego zmobilizowano środki gigantyczne i bezprecedensowe. Człowiekiem tym był Kornel Morawiecki, który organizował druk i przeprowadzał akcje rozrzucania ulotek już w latach sześćdziesiątych. Podejmowane przez niego działania, polegające na malowaniu napisów na murach, już roku 1968 i kolejnych, nie były czynami pojedynczymi i spontanicznymi. Wybierano dla tego celu najbardziej spektakularne miejsca, rozpoznawano rytm milicyjnych patroli i w odpowiednim czasie wykonywano dziesiątki trudnych do usunięcia napisów. Skutkiem tego np. w grudniu 1970 pasażerowie pociągów przemierzających jedną z najbardziej uczęszczanych tras kolejowych w Polsce (Poznań – Wrocław) stawali się czytelnikami wypisanej na kolejnych murach całej narracji antykomunistycznego protestu.

Jednym z paru największych aktów sprzeciwu wobec władz PRL było utworzenie w roku 1977 Studenckiego Komitetu Solidarności. Najsilniejszym, po krakowskim, ośrodkiem działalności SKS stał się Wrocław. Jego działalność trafiła nad Odrę na podatny grunt, gdyż już w roku 1973 na Dolnym Śląsku były podejmowane coraz bardziej udane próby łamania komunistycznego monopolu informacji. W połowie lat siedemdziesiątych działało we Wro-

ławiu kilkanaście osób, z coraz lepszym skutkiem drukujących niezależne gazetki. Do grona tego należeli m.in. Antoni Roszak, Joanna i Wiesław Moszczakowie, Krzysztof i Marek Gulbinowicz, Wojciech Winciorek, Anna i Małgorzata Bujwid, Piotr Starzyński, Krzysztof Grzelczyk, Jan Łojek. Większość tego grona była związana z ruchem hipisowskim. Z tego powodu byli to ludzie często jakoś już uodpornieni na prześladowania ze strony MO i SB. Zараzem jednak ich działalność charakteryzowała się dużą spontanicznością i niefrasobliwością. Stąd też podejmowana przez nich aktywność drukarska co jakiś czas kończyła się rozbijaniem punktów poligraficznych przez SB. Kolejne osoby trafiały do aresztów, stawały przed sądami i kolegiami d.s. wykroczeń. Przełomem było włączenie się w tę działalność Kornela Morawieckiego, co nastąpiło w drugiej połowie lat siedemdziesiątych. Morawiecki zaczął od znalezienia miejsc nieznanych Służbie Bezpieczeństwa, w których w miarę bezpiecznie można było zainstalować drukarnie. Trafić do nich mogli tylko bezpośrednio zaangażowani w druk, po uprzednim upewnieniu się, że nie „ciągną za sobą ogonów”. Konspiracyjnym powielarniom towarzyszyła dobrze zorganizowana logistyka – drukarze na czas pracy nad kolejnym numerem „Biuletynu Dolnośląskiego”, czy inną obszerną publikacją, od pierwszej do ostatniej chwili nie mieli opuszczać konspiracyjnego lokalu. Wszystko, co było im w tym czasie potrzebne, dostarczały im osoby w najwyższym stopniu zaufane, nieznanne MO i SB i bardzo nieliczne. Dostarczały one drukarzom wszystko – od regularnych posiłków, farby i papieru po słodycze i papierosy. Zaowocowało to nową jakością w dolnośląskim drugim obiegu wydawniczym – drukarze przestali „wpadać” a wydajność ich pracy wzrosła kilkakrotnie. W dużej mierze właśnie dzięki temu dynamicznie rozwijały się pisma, wydawane przez wrocławski Studencki Komitet Solidarności. Kolejnym etapem były szkolenia drukarskie. W ich wyniku mnożyć się zaczęło grono wyszkolonych w druku konspiratorów całkowicie nieznanych Służbie Bezpieczeństwa. Każdy z nich realizował też zadanie znalezienia sobie różnych miejsc, w których mógłby się zacząć ukrywać. Drugim zadaniem było wyszukiwanie kolejnych lokali, w których można by drukować. System ten okazał się nieoceniony w sierpniu 1980, kiedy SB zatrzymywała setki osób, związanych z opozycją. Kornel Morawiecki, wraz ze swymi ludźmi, już wtedy był dla sił reżimu nieuchwytny. Jego drukarnie, powielające informacje o rozwoju fali strajkowej, pracowały pełną parą. W czasie szesnastu miesięcy tzw. „Karnawału Solidarności” nic z tej struktury nie zostało ujawnione. Przeciw-

nie – została ona powiększona o nowych drukarzy, nowy sprzęt i nowe konspiracyjne lokale.

W pierwszych tygodniach grudnia 1981 ludzie Morawieckiego nie nocowali w swoich mieszkaniach, dzięki czemu uniknęli internowania. SB w nie jednym domu wyrąbała drzwi siekierami. Zamiast zastać za nimi np. Joannę i Wiesława Moszczaków spotykali się co najwyżej z babcią, opiekującą się rocznym dzieckiem. W tym zaś czasie Joanna Moszczak przygotowywała matryce pierwszych gazetek stanu wojennego a Wiesław Moszczak uruchamiał powielacz. Także w nieznanym SB lokalu 13 grudnia 1981 Kornel Morawiecki spotykał się z dziesiątkami działaczy, redagował odezwy, podpisywane następnie przez przewodniczącą RKS NSZZ Solidarność. Pierwszą noc spędził w mieszkaniu państwa Maciejewskich przy ul. Kamiennej we Wrocławiu. Parę dni później przeniósł się do mieszkania przy ul. Gajowickiej. Już w grudniu 1981 zaczął działać cały system lokali, w których ukrywał się późniejszy twórca organizacji Solidarność Walcząca. Obowiązywało parę prostych zasad. Pierwszą było, że właścicielem mieszkania musi być osoba w najwyższym stopniu zaufana, ale nie zaangażowana w inną działalność konspiracyjną, całkowicie nieznaną służbom specjalnym PRL-u. Zawsze powinien to być lokal zamieszkały przez jakąś rodzinę. Morawiecki miał bardzo małe potrzeby – mógł spać na polowym łóżku, dostawionym w dziecięcym pokoju. Jak się okazało – SB przypuszczała, że tropiony przez nich lider podziemia ukrywa się w którejś z okazałych willi. Nie przychodziło im do głowy, że prawie zawsze korzysta z gościny w jednym z bardzo nawet przegęszczonych mieszkań w wielorodzinnym bloku któregoś z wrocławskich osiedli. Wiesława Kubiszewska, udostępniająca dla potrzeb ukrywania się Morawieckiego swoje mieszkanie przy ulicy Na Ostatnim Groszu kontakt z Solidarnością Walcząca miała tylko przez jedną osobę – Marię Koziębrodzką. Po tym, jak ukrywający się jej mieszkanie opuścił a Maria Koziębrodzka wyjechała na stypendium naukowe do USA – ani Kornela Morawieckiego ani nikogo z Solidarności Walczącej nie spotkała już aż do lat dziewięćdziesiątych. I o to chodziło – właściciele mieszkania mieli być „na sto procent pewni, ale w nic innego nie zaangażowani”. W mieszkaniu, w którym Morawiecki spał – z nikim się nie spotykał. Do tego celu służyło inne mieszkanie, najlepiej znajdujące się w tym samym bloku na innym piętrze, lub w sąsiedniej bramie. Dzięki temu zminimalizowane było ryzyko nocnego najścia SB na lokal, w którym mieszkał Morawiecki. Przewodniczący SW w minimalnym tylko stopniu przebywał na ulicach miasta, na których każdy patrol wyposażony

był w jego fotografie. Od 13 grudnia 1981 do 9 listopada 1987 Kornel Morawiecki korzystał z gościny u ponad siedemdziesięciu rodzin i tyle samo kolejnych mieszkań służyło mu za miejsce spotkań z działaczami konspiracji.

W ciągu sześciu lat ukrywania Kornel Morawiecki spotkał około 1500 ludzi. Droga na spotkanie odbywała się za każdym razem za pośrednictwem tzw. śluz. Osoba idąca na spotkanie wsiadała do samochodu, który woził ją po mieście. W tym czasie sprawdzano, czy nie jest ona śledzona. Kontrwywiad Solidarności Walczącej pilnie wtedy obserwował komunikaty wszystkich służb specjalnych PRL-u, kontrolując każdy z wykorzystywanych przez nie radiowych podzakresów. Dopiero po przejściu przez kolejne lokale i po zmienianiu samochodów – docierało się do mieszkania, w którym przebywał Kornel Morawiecki. Wielokrotnie bywało, że do spotkania takiego nie dochodziło, gdyż udająca się na nie osoba była pilnie obserwowana przez SB. Tak było np. w przypadku obcokrajowców – wysłanników rządów USA czy Wielkiej Brytanii. W 1986 Solidarności Walczącej udało się natomiast wyprowadzić w pole esbecką obstawę francuskiego ministra. Nasłuch radiowy Solidarności Walczącej uzyskał wtedy pewność, że służby podążyły za podstawionym sobowtórem Francuza. Prawdziwy – dotarł do Morawieckiego a o tym, że jest on już nie w wili, którą przez tydzień obserwowały dziesiątki funkcjonariuszy SB – dowiedziała się ona dopiero z zagranicznej telewizji informującej, że minister ten w najlepsze działa już w swoim kraju. W drugiej połowie lat osiemdziesiątych służby PRL – u wiedziały już jednak, że na terenie Wrocławia i okolic są permanentnie podsłuchiwane przez Solidarność Walcząca. Kiedy więc na spotkanie z Kornelem Morawieckim wysłano agenta bardzo dobrze uwiarygodnionego jako działacz podziemia z Rzeszowa, SB zrezygnowała z jakiegokolwiek łączności radiowej, wiążącej się z przeprowadzeniem tej akcji. Jej przebieg od strony SB dobrze znamy dzięki materiałom zachowanym w aktach SB i w 2007 roku opublikowanym w księdze pt. „Solidarność Walcząca w dokumentach Służby Bezpieczeństwa”. Agent – rzeczywiście spotkał się wtedy z Kornelem Morawieckim. W jego wielokrotnie potem sporządzanych i analizowanych relacjach nie potrafił on powiedzieć niemal nic o miejscu, w którym to spotkanie miało miejsce. Agent został odebrany na dworcu przez działacza SW, którego SB zidentyfikowała jako Dariusza Kędrę. Nie mając jednak kontaktu radiowego samochody SB już po dwóch kwadransach zgubiły samochód Kędry. Agent opowiadał potem, że dotarł do mieszkania, z którego zabrał go inny działacz i innym samochodem po półgodzinnym krążeniu po mieście dotarli na skraj nie-

znanego mu osiedla. Następnie agent i działacz SW odbyli kawałek drogi pieszo, by wsiąść do jeszcze jednego samochodu, prowadzonego przez kolejnego działacza Solidarności Walczącej. Dopiero z nim po godzinie jazdy przez miasto agent dotarł do następnego, nieznanego mu osiedla i prowadzony był przez podwórka, na których nie było żadnych tabliczek czy numerów bram, mogących zawierać nazwę ulicy. Tak trafił do mieszkania, do którego po godzinie przyszedł Morawiecki. Po spotkaniu agent bardzo się starał zorientować, gdzie jest. Zapamiętał, że droga samochodem z miejsca spotkania na dworzec trwała blisko godzinę. W rzeczywistości spotkanie agenta z Morawieckim miało miejsce w mieszkaniu Stefani Żabińskiej przy ulicy Komandorskiej – kilkaset metrów od wrocławskiego głównego dworca PKP. Informacje, zebrane przez agenta, w najmniejszym stopniu nie przydały się do ustalenia przez SB, gdzie przebywa Kornel Morawiecki.

Setki osób przesłuchiowano w celu uzyskania jednej wiadomości: gdzie ukrywa się Morawiecki? Jednych zastraszano, innych szantażowano, kolejnych starano się przekupić. Pod nieustanną obserwacją znajdowała się cała rodzina przewodniczącego SW. Kilkunastoletni syn Kornela Morawieckiego był nieustannie zatrzymywany i przesłuchiwany. Kilkakrotnie wymuszano na nim informacje biciem. Kilka razy wywożony był do lasu. Jak po latach wspomina – naprawdę bał się wtedy, kiedy banda ubeckich zbirów krzyczała: „Zobaczysz – zgwałcimy teraz twoją siostrę!” SB nie dowiedziała się jednak niczego. Wyciąganie Mateusza Morawieckiego ze szkoły mogło skończyć się też tym, że zamiast zdawać maturę – znów będzie siedział w areszcie, lub na przesłuchaniu. Egzamin dojrzałości zdawał więc po ówczesnym ukryciu się jako pacjent jednego z wrocławskich szpitali. SB była częstym, oczywiście nieproszonym gościem w domu Morawieckich. Dom przetrząsała także podczas nieobecności gospodarzy. W czasie jednej z takich wizyt zginęły wszystkie rodzinne albumy i fotografie. SB poszukiwała kontaktu z każdym, kto miał jakoś kontakt z Kornelem Morawieckim. Wszystkie te działania przez sześć lat pozostawały bezskuteczne.

Bywało, że przesłuchując współpracowników Morawieckiego „apelowano do rozsądku”. Krzysztof Gulbinowicz w 1986 roku od oficera SB usłyszał: „Proszę pana, niech pan powie Morawieckiemu, że ukrywając się traci wielką możliwość. W perspektywie paru lat nastąpią w Polsce ogromne zmiany. Ludzie dzisiejszej opozycji będą wydawać swoje gazety, zasiadać w sejmie, piastować państwowe urzędy. To są możliwości, z których Kornel Morawiecki

i jego organizacja nie będą mogli skorzystać, jeśli będą się przed nami ukrywać. Solidarność Walcząca może odgrywać dużą rolę w tej nowej Polsce, która już w najbliższych latach zacznie się tworzyć. A działacze Solidarności Walczącej, zamiast marnować życie w jakimś podziemiu – mogą robić kariery, mogą kształtować rzeczywistość. A warunki, jakie stawiamy, naprawdę nie są wygórowane. Owszem – jesteśmy pod wrażeniem skali działalności Solidarności Walczącej. Ale co w naszym świecie liczy się najbardziej? Tanki i banki – to tylko się liczy.” Informację o ofercie, składanej przez wysokiego oficera SB Gulbinowicz parę tygodni później przekazywał Kornelowi Morawieckiemu. Fakt ten Krzysztof Gulbinowicz opisał też w swoich wspomnieniach, które znalazły się m.in. w filmowej opowieści „Okrucy rozbitego dzbana” (reż. Jędrzej Lipski).

Poza Wrocław ukrywający się Kornel Morawiecki wyjeżdżał bardzo rzadko. Latem 1982 roku, wraz z paroma współpracownikami, pojechał jednak na krótki pobyt na Pojezierzu Wielkopolskim. Któregoś dnia siedział właśnie w leżaku z książką w rękach, kiedy nad jeziorem pojawił się liczny patrol milicji, wszystkim plażującym sprawdzający dokumenty. Kiedy podszedł do Morawieckiego ten podał milicjantom swój podrobiony dowód osobisty. W czerwcu 1982 lider formującej się dopiero organizacji Solidarność Walcząca w rejonach oddalonych od Dolnego Śląska nie był jeszcze funkcjonariuszem reżimu powszechnie znany – wystarczyły dobrze podrobione dokumenty i podstawowa charakterystyka. W 1983 roku jednym z miejsc spotkań działaczy Solidarności Walczącej z całego kraju stał się dom Andrzeja Stadnickiego, znajdujący się w leżącym 30 kilometrów na północ od Wrocławia Osolinie. Andrzej Stadnicki był byłym pracownikiem naukowym poznańskiej Akademii Medycznej. Z świetnie rozwijającej się kariery zrezygnował na początku lat siedemdziesiątych, kiedy władze PRL-u odmówiły mu wydania paszportu uzasadniając to tym, że jako specjalista najwyższej klasy zapewne natychmiast otrzyma ofertę pracy na Zachodzie i nie wróci do Polski. Andrzej Stadnicki na takie dictum odpowiedział, że skoro jest on w PRL – u niewolnikiem swoich kwalifikacji to z nich rezygnuje. Zwolnił się z pracy, przerwał karierę naukową i po wyjeździe w Bieszczady przez około dziesięć lat zajmował się wypalaniem węgla drzewnego. Krótko przed stanem wojennym odziedziczył jednak dom po zmarłym wuju. W efekcie zamieszkał w Osolinie. Miał nie tylko duży dom w pięknym miejscu, ale też stosunkowo „czystą kartę” na SB. Służby się nim nie interesowały, w związku z czym jego miejsce zamieszkania było względnie bezpieczne. W Osolinie bywał więc Kornel Morawiecki a także

inni działacze Solidarności Walczącej i współpracujących z nią innych struktur podziemia. Należeli do nich Wojciech Myślecki, Władysław Sidorowicz, Krzysztof Turkowski. W 1986 roku ukrywający się Kornel Morawiecki spędził też parę tygodni jako pacjent jednego z sanatoriów w Obornikach Śląskich. Oczywiście występował w nim pod zmienionym imieniem i nazwiskiem.

Zachował się tajny dokument pt. „Ocena sytuacji operacyjno – politycznej w województwie wrocławskim”, sporządzony w Wojewódzkim Urzędzie Spraw Wewnętrznych w 1986 roku. Zawiera on nie oszczędzającą najmocniejszych słów opinię gen. Czesława Kiszczaka. Minister Spraw Wewnętrznych (zwany pierwszym milicjantem PRL-u) wyrażał m.in. opinię, że „zdrada wdarła się w szeregi funkcjonariuszy”. W następstwie tego faktu kilkudziesięciu pracowników wrocławskiej SB została w roku 1986 zwolniona z pracy. Prawda była taka, że Solidarność Walcząca rzeczywiście miała w SB swoje „wtyczki”, w tym trzech oficerów, zatrudnionych we wrocławskim oddziale bezpieczeństwa (należeli oni do tzw. Grupy Charukiewicza – ludzie ci zostali w 2009 roku odznaczeni przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego Krzyżami Oficerskimi Orderu Odrodzenia Polski). Czystka przeprowadzona w 1986 nie dotknęła jednak nikogo ze współpracowników podziemia. Krótko mówiąc – Kiszczak wyrzucił ze służby kilkudziesięciu swoich wiernych i lojalnych funkcjonariuszy.

W połowie roku 1986 Kontrywywiad Solidarności Walczącej zauważył pojawienie się we Wrocławiu nowej, dużej grupy funkcjonariuszy służb specjalnych. Co najmniej kilkadziesiąt osób dopiero poznawało miasto. Setki nagrań z nasłuchu świadczyły o tym, że kilkanaście patroli samochodowych ćwiczy na terenie Wrocławia operacje obstawiania osób i obiektów oraz szybkie przemieszczanie się po mieście. Równocześnie z informacjami z nasłuchu nadeszły wiadomości od Grupy Charukiewicza, mówiące o przysłanym do Wrocławia przez gen. Czesława Kiszczaka co najmniej stuosobowym oddziale specjalnym. Wrocławska SB nie miała z nim żadnego kontaktu i każdy z członków oddziału specjalnego miał zakaz kontaktowania się z funkcjonariuszami wrocławskiego SB. Dla potrzeb tego zespołu została wynajęta spora część znajdującego się w sercu miasta Hotelu Wrocław. Wszystkie informacje wskazywały na to, że przysłany przez Kiszczaka z Warszawy oddział specjalny miał jedno zadanie: doprowadzić do aresztowania Kornela Morawieckiego.

Kornel Morawiecki był właścicielem własnoręcznie zbudowanego domku letniego, znajdującego się pod lasem w pobliżu wioski Pęgów, ok. 20 kilometrów na północ od Wrocławia. Od 13 grudnia 1981 oczywiście nie zbliżył się do

tego domu ani razu. Często przebywali w nim jednak bliżsi i dalsi znajomi rodziny Morawieckich, niejednokrotnie bardzo licznie. W lipcu 1986 znajomi rodziny (oraz znajomi znajomych) stali się świadkami dość zaskakującego wydarzenia. W gronie kilkunastu osób siedzieli sobie właśnie wokół ogniska, kiedy z głębi lasu, z rykiem silników wypadły trzy samochody terenowe. W ciągu paru sekund znalazły się przy ognisku i wypadło z nich kilku ludzi uzbrojonych w pistolety. Wrzeszcząc, by wszyscy padli na ziemię, rzucili się na jednego z uczestników spotkania, którego błyskawicznie wciągnęli do jednego z samochodów i natychmiast, znów z rykiem silników, odjechali. W tym samym czasie stacje nasłuchowe Kontrwywiadu Solidarności Walczącej odebrały radiowy komunikat: „Prawdopodobnie mamy Morawieckiego!” Pojawiły się też informacje o natychmiastowym wyjeździe z Wrocławia do Obornik Śląskich kolumny samochodów z uzbrojonymi po zęby komandosami. Porywacze schwytanego człowieka zawieźli bowiem na Komisariat Milicji Obywatelskiej w Obornikach Śląskich, pół godziny później obstawiony już dużą ilością ludzi uzbrojonych po zęby. Okazało się, że letni dom Kornela Morawieckiego (zwany „Kornelówką”) jest pod nieustającą obserwacją. A jeden z dość przypadkowo odwiedzających to miejsce był podobny do właściciela domu. Oddział obserwacyjny SB postanowił więc tego człowieka zatrzymać a w związku z przypuszczeniem, że Morawieckiemu towarzyszą zawsze uzbrojeni ochroniarze, akcja zatrzymania była przeprowadzona bardzo gwałtownie i dla jej potrzeb błyskawicznie ściągnięto posiłki. Przypadkowo zatrzymany „sobowtór” Morawieckiego był przesłuchiwany przez kilka dni. Ostateczna identyfikacja potwierdziła, że SB musi się pogodzić z tym, iż Morawieckiego – ciągle w swych rękach nie ma...

Późnym wieczorem 9 listopada 1987 roku Kornel Morawiecki podjechał samochodem na ul. Zielińskiego we Wrocławiu, by spotkać się z siostrami Zielińskimi (zbieżność nazwisk oczywiście przypadkowa). W niemal całkowitym mroku przemierzył nie więcej, niż 50 metrów z samochodu do jednego z wielkich, dziesięciopiętrowych bloków. Siostry Zielińskie od wielu lat zajmowały się drukiem książek a ich mieszkanie w roku 1983 odwiedziło SB. Morawiecki o tym wiedział, ale wiedział też, że Kontrwywiad Solidarności Walczącej od ponad czterech lat nie odebrał jakichkolwiek sygnałów, mogących wskazywać na obserwowanie tego miejsca. Po wejściu do mieszkania i przywitaniu się z jej lokatorkami jedna z nich postawiła czajnik, by zaparzyć herbatę. Herbaty tej jednak nikt nie zdążył już przygotować. Nagle z wielkim hukiem wypady drzwi a wraz z nimi futryna i kawałki muru. Przy akordzie eksplozji do ciasne-

go, wypełnionego chmurami pyłu mieszkania wpadło kilkunastu zamaskowanych komandosów. Wszyscy, którzy znajdowali się w tym miejscu, zostali rzućeni na ziemię. Lufy karabinów odstawiono od ich głów dopiero po skutciu zatrzymanych kajdankami. Oficer dokładnie przeszukujący kieszenie Morawieckiego wyrażał rozczarowanie: „Przywódca Solidarności Walczącej i nawet żadnego nagona przy sobie nie ma?” W odpowiedzi usłyszał: „Ja nie mam. Ale jak mnie zabijecie – to mój następca zawsze będzie miał przy sobie UZI”. Już po paru minutach Morawiecki znów był na podwórku między blokami, które jednak zmieniło się w tak krótkim czasie nie do poznania. Niebieskie „koguty” kilkunastu samochodów milicji robiły wrażenie rozgrywania niezwykłego spektaklu. Cały kwartał budynków był gęsto obstawiony pojazdami służb specjalnych. Na ulicy Zielińskiego stała kolumna, złożona m.in. z samochodów pancernych. Podróż w zamkniętej więźniarce trwała tylko kilka minut. W niedalekiej od Zielińskiego siedzibie SB przy ul. Łąkowej przewodniczący Solidarności Walczącej zaprowadzony został na najgłębszą kondygnację podziemnego aresztu. Nikt nie zamienił z nim nawet jednego słowa. Jeszcze przed świtem został wyprowadzony z celi. Nikt go jednak we Wrocławiu nie tylko nie zamierzał przesłuchiwać, znów – nikt nie odezwał się nawet słowem. Po wyprowadzeniu na zewnątrz budynku Morawiecki ponownie zobaczył kolumnę pojazdów, sięgającą od Podwala aż po Plac Muzealny. Przez tonące w mroku miasto pojazdy wraz z przewodniczącym Solidarności Walczącej ruszyły w stronę lotniska wojskowego Strachowice. Okazało się, że na jego płycie już grzej silniki helikopter. Przykuty do jego wnętrza Kornel Morawiecki półtora godziny później zobaczył dachy Warszawy. Najbliższe pół roku przebywał w Pałacu Mistrzowskich oraz w więzieniu na stołecznym Mokotowie.

Kornel Morawiecki wiedział, że jest poszukiwany z zaangażowaniem dużych sił i środków. Nie docenił jednak skali tych działań. Przysłany do Wrocławia oddział specjalny realizował swoje zadanie w sposób dość prosty – od ponad roku 24 godziny na dobę obserwował co najmniej kilkadziesiąt miejsc, w których teoretycznie mógł się znaleźć Morawiecki. Funkcjonariusze tego oddziału wiedzieli, że każda radiowa rozmowa jest podsłuchiwana przez ludzi Morawieckiego. Wiele więc działań podejmowano bez pojawiania się w eterze. Po kilkunastu miesiącach obserwatorzy jednego z „miejsc – pułapek” zobaczyli w noktowizorze dobrze osłoniętą, ale rozpoznawalną twarz Kornela Morawieckiego. Alarm został ogłoszony nie drogą radiową, lecz telefoniczną. A rozmów prowadzonych z budek telefonicznych Kontrwywiad So-

lidarności Walczącej podsłuchiwać nie był w stanie. Olbrzymie siły milicyjno-wojskowe na ulicy Zielińskiego pojawiły się w ciągu kilku minut i do akcji przystąpiły natychmiast. Wreszcie mieli w swych rękach najbardziej poszukiwanego człowieka w Polsce – przewodniczącego Solidarności Walczącej! Po kilku miesiącach władze zezwoliły na spotkanie Kornela Morawieckiego z córkami. Marta Morawiecka zobaczyła wtedy swojego ojca pierwszy raz od ponad sześciu lat. Powiedziała wtedy: „Kiedy poprzednim razem, przed wprowadzeniem stanu wojennego widziałam mojego tatę – jego włosy były czarne. Po tych latach spędzonych w ukryciu całkowicie zmieniły kolor. Teraz są białe...” Sam Kornel Morawiecki po latach stwierdza: „Wpadłem przez mój błąd. Nie doceniłem skali tej operacji, jaka jest prowadzona przeciw Solidarności Walczącej i przeciw mojej osobie. Tym bardziej godni najwyższego szacunku, uznania i podziwu są ludzie, z którymi w tym czasie współpracowałem. Przez sześć lat pozostawania w ukryciu spotkałem około półtora tysiąca osób. Niemal każde z tych spotkań było organizowane przez działających bardzo profesjonalnie działaczy SW. A jeśli nie liczyć agenta SB, wysłanego do mnie z Rzeszowa, w tym gronie liczącym ok. 1500 osób nie znalazł się nikt, kto by mnie wydał”.

W KRWIOBIEGU KONSPIRY

Ze wspomnień kuriera

Solidarność Walcząca była archipelagiem rozsypanych po Polsce mniejszych i większych struktur konspiracyjnych, działających w wielu regionach kraju.

Miały one dużą autonomię, ale wspólna aktywność wymagała stałego kontaktu. Tylko w części polegać można było na hasłach, wymienianych w rozmowach telefonicznych, czy nadawanych przez krótkofalowców. Każde ogniwo organizacji było zdolne do pracy samodzielnej. Jego członkowie sami zdobywali papier, wytwarzali niezbędne materiały poligraficzne a posiadając niezbędne umiejętności potrafili szybko odtwarzać skonfiskowany przez SB sprzęt sitodrukowy i kontynuować pracę aresztowanych kolegów. Inaczej rzecz się miała ze sprzętem elektronicznym, używanym do nasłuchu służb, tropiących konspirację czy nadawania audycji radiowych. Solidarność Walcząca była pierwszą formacją opozycji, używającą w swej działalności elektronicznych nośników informacji. Dyskietki, układy scalone aparatury radiowej a także kolejne wydania książek i periodyków drugiego obiegu – dostarczać musieli kursujący po Polsce kurierzy. Byłem jednym z nich. Wspominając lata, w których Trójmiasto odwiedziłem ponad sto razy, sam zdumiony jestem bezmiarem czasu, jaki musiała pochłaniać ta działalność.

SPACERKI KONSPIRATORA

Byłem wtedy studentem, mieszkałem w domku po dziadkach w Obornikach Śląskich (w którym miałem też duży powielacz, dostarczony na wózku, pchanym z Wrocławia pieszo, ale to oddzielna historia). Moim piątkowym obowiązkiem w Solidarności Walczącej było doręczenie kompletów diapozytywów kilku zespołom sitodrukowym. Ich dostarczenie umożliwiało powielenie tej samej gazetki w kilku podziemnych drukarniach. Jeśli zostałbym zatrzymany z taką zawartością torby SB od razu by stwierdziło, że mam kontakt z całą siatką tajnej poligrafii. Jeśli byłbym śledzony – sam mógłbym ją do niej doprowadzić. Koperty z „diapami” przekazywałem osobom, umówionym w różnych punktach miasta. Zawsze krążyłem po nim trasami, dającymi szansę zorientowania się, czy nie jestem przedmiotem obserwacji. Punktami przekazywania kopert bywał ośrodek zdrowia na Jantarowej, hala targowa, biblioteka uni-

wersytecka. Z ostatnią kopertą trafiałem do jednego z największych bloków na Popowicach, w których wejście do bramy nr 20 dawało możliwość przejścia do klatek schodowych bramy 38. Wraz z mieszkającym tam Andrzejem Szylerem przygotowaliśmy do pracy ramki sitodrukowe. Powielanie kończyliśmy nad ranem. Z plecakiem, wyładowanym paczkami z kolejnym wydaniem „Solidarności Walczącej” i gazetkami-odpadami jechałem do punktu kontaktowego, od używanego w nim hasła nazywanego przez nas „Ogórkem”. Hasło brzmiało: „Czy są ogórki?” Po usłyszeniu, że „Są, ale tylko kiszone” gospodarz domu prowadził do wielkiej piwnicy. Większość paczek z wydrukiem układałem w znajdującej się tam szafie. Na jej półkach oczekiwały też pakunki, przeznaczone do zabrania przeze mnie. Zgodnie z zaleceniami współpracowników z organizacji poruszanie się w okolicach skrzynki kontaktowej „Ogórek” musiało uwzględniać położone w jego sąsiedztwie lokale operacyjne SB. Naprzeciw nich mieszkały działaczki Solidarności Walczącej od czasu wielkiej wyspy z roku 1984 znajdujące się pod nieustanną obserwacją służb. Dla potrzeb tej obserwacji wycięto szeregi drzew, rosnące przy ul. Kamiennej i Drukarskiej. Kontrwywiad SW stale informował o kolejnych obszarach obserwacji permanentnej, w których lepiej było się nie pojawiać. Przed dworcem głównym, z którego odjeżdżałem do Obornik, omijałem jeszcze jeden. W obornickim domu miałem kafłowy piec, w którym mogłem spalić wszystkie odpady z drukowania, po czym odsypiałem nieprzespaną noc.

CYKOR NA DWORCU

Do pociągu relacji Wrocław – Gdynia wsiadałem tuż przed kończąca niedzielę północą. Ten pociąg był moim ulubionym – zawsze było miejsce w przedziale i można się było zdrzemnąć. Gorzej bywało, kiedy konieczny był wyjazd nagły. Któregoś razu, w środku ostrej zimy, wyruszyć miałem pociągiem, odjeżdżającym w środku dnia. Objuczony wyjątkowo wielkimi bagażami w hali dworcowej dowiedziałem się, że mój pociąg ma dwie godziny spóźnienia. Jedyne wolne miejsce do siedzenia pojawiło się tuż obok ludzi mówiących po rosyjsku. Pomyślałem, że fajnie się składa – może patrolujący dworzec milicjanci uznają mnie za jednego z Rosjan. Naprzeciw nas na plecaku siedział chłopak, brzdąkający na gitarze. Patrolowa dwójka milicjantów zatrzymała się między mną a chłopakiem z gitarą: „Co to za granie? Dokumenty! Idziesz z nami!” Jedna z kobiet, będących świadkiem tego zdarzenia, stanęła w obronie chłopaka: „Czego od niego chcecie? Przecież nic złego nie robi!” Po czym zwróciła się do mnie, gdyż byłem najbliżej zarówno tego chłopaka, jak i milicjantów: „No lu-

dzie, powiedzcie coś! Za co się oni niewinnego człowieka czepiają?” Pod nogami miałem plecak i dwie torby, wyładowane materiałami „wartymi” lat więzienia. Równocześnie z myślą „i co ja mam w tej sytuacji zrobić?” usłyszałem mentorską, gromką odpowiedź siedzącego obok mnie Rosjanina: „Milicjanier skazał! Nie nada igrat na вокзалie!” Kobieta zorientowała się, że mówi do Rosjan, być może zaliczając do nich także mnie. Spojrzenie, jakim obrzuciła mnie i mojego sąsiada lepiej niż słowa wyrażało: „Ech, wy żałosne tchórze!” Pogardliwie rzuciła: „Nie nada, nie nada” i podbiegając do milicjantów, prowadzących już chłopaka w stronę komisariatu, towarzyszyła im głośno powtarzając pytania: „Za co go zatrzymujecie? No za co?” Przypuszczam, że dworcowego gitarzystę poważne represje nie spotkały. Natomiast ja oczach broniącej go kobiety i innych świadków tej sytuacji bez wątpienia byłem zastrachanym, żałosnym tchórzem.

NADMORSZY RYDYKAŁOWIE

Z plecakiem, wypełnionym głównie bibułą, przyjeżdżałem do kilku kolejnych, trójmiejskich lokali konspiracyjnych. Jednym z nich było gdyńskie mieszkanie państwa Bibrów, w którym spotykałem się z Edkiem Frankiewiczem. Nie prowadziłem żadnych rozmów (pełniłem tylko rolę kogoś w rodzaju tragarza), ale oczywiście wymienialiśmy poglądy na bieg polskich spraw. W Gdyni pierwszy raz spotkałem się z przekonaniem: „Wałęsa nie jest po naszej stronie” a zdecydowane poglądy w rodzaju „nie wywalczymy niepodległości poświęcając trzy grosze i trzy krople krwi” do złudzenia przypominały analizy, formułowane przez Józefa Piłsudskiego na początku wieku. W tym czasie poznańska Solidarność Walcząca publikowała dużo dzieł literackich i obszernej publicystyki. „Szkoda energii na tak zachowawczą działalność” – oceniali to trójmiejscy działacze tej samej organizacji. Jednym z docelowych punktów moich kursów było mieszkanie dwojga polonistów w Gdańsku – Oliwie. Byli luźno związani z organizacją a spotykałem się u nich z Bolkiem Siedleckim, prowadzącym w lasach ćwiczenia młodzieżowych grup, sposobiących się do walki zbrojnej. Bolek był czytany w dziełach filozofów, skutkiem czego rozmowa z gospodarzami domu czasem przeobrażała się w erudycyjną dysputę. Kiedyś jednak rozwinął temat zbrojnej ewentualności rozstrzygnięcia sprawy polskiej. W momencie, w którym rozwijał najbardziej radykalne aspekty takiej wizji, nasza gospodyni właśnie przynosiła tacę, zastawioną filiżankami i dzbankiem z herbatą. Zbladła i zachwiała się słysząc Bolka, mówiącego o możliwościach seryjnej produkcji broni maszynowej i granatów.

POWIELACZE Z LEGNICKIEJ

Do Wrocławia wracałem z plecakiem, wypełnionym materiałami otrzymanymi w Trójmieście. Zwykle ostatnim tramwajem docierałem na Pl. Pereca, przy którym w jednopokojowe mieszkanie mieli Teresa i Krzysiek Zwierzowie. Widząc, że ślaniam się już na nogach stwierdzali: „Nocujesz u nas”. Byli młodym małżeństwem. Nie będę zdradzał szczegółów, ale w nocy czasem zapomniałem, że obok śpi z nimi ktoś jeszcze.

Co jakiś czas pojawiała się potrzeba przywiezienia z Trójmiasta czegoś większego. Jechać wtedy musiały dwie osoby. Stąd czasem towarzyszyła mi moja dziewczyna (a obecnie żona) Grażyna lub ktoś z przyjaciół z konspiracji: Grzesiek Osiński, Andrzej Tracz lub Piotrek Pawełczyk. Miejscem, w którym oczekiwał nas „cięższy ładunek” była willo-kamienica przy ul. Legnickiej, na szczycie jednego ze wzgórz Gdańska. Pełne obrazów mieszkanie na adoptowanym poddaszu należało do artystki, znajomej Janka Białostockiego, który „uszcześliwił” ją zmagazynowaniem u niej kilku sporej wielkości powielaczy. Nasze zadanie polegało na przetransportowaniu ich do Wrocławia. Pierwszy przewoziłem chyba z Grześkiem. Idealnie zmieścił się do pudła po telewizorze. We Wrocławiu umieściliśmy go w piwnicy Renaty Zimny. Następnego dnia do tego samego miejsca przyszedłem z człowiekiem, którego widziałem wtedy po raz pierwszy i ostatni. Wiedziałem tylko, że to jemu mam ten sprzęt przekazać. Przyszedł, mając w rękach siateczkę z niewielkim pakunkiem. Przeszkadzała mu ona w dźwiganiu naszego pudła, więc zaproponował, że włoży tę siatkę na chwilę do mojego plecaka. Nie pamiętam już, jak i gdzie się rozstaliśmy. W każdym razie z ulgą stwierdziłem, że kolejny transport mam już z głowy i wróciłem do Obornik. W domu uświadomiłem sobie, że cały dzień nic nie jadłem a nie mam niczego nawet kruszynki. Nie były to czasy, w których sklepy były otwarte po godz. 18. Nagle poczułem cudowny zapach pieczywa. „O mamy głodowe, czy cuda jakieś?” – myślałem szukając źródła rozkosznej woni. Nos doprowadził mnie do mojego plecaka. Okazało się, że była w nim siateczka nieznanego odbiorcy powielacza, o której obydwaj zapomnieliśmy. Zawierała bochenek chleba z prywatnej piekarni i zawiniętą w papier makrelę. „I tak nie wiem, gdzie cię szukać, przyjacielu” – stwierdziłem zasiadając do niespodziewanej kolacji.

POLIGRAFIA DLA GRUZINÓW

Jeden z kolejnych powielaczy odbierałem razem z Grażyną. Dał się zapakować do wielkiej torby na składany rower. Do dworca zamierzaliśmy pojechać

taksówką. Miejsce postojowe było przy którejś z bliskich ulic. Pogubiliśmy się jednak w nieznanej nam okolicy i znaleźliśmy się na krawędzi biegnącego w dół parku, zza którego widać już było gmach dworca. Uznaliśmy, że dotrzemy do niego szybciej i bezpieczniej, idąc przez ten park, niż szukając postoju taksówek. Chwilę później dowiedzieliśmy się, gdzie w Gdańsku swoje koszary ma... ZOMO. Z alei pełnej drzew wyszliśmy bowiem wprost na bramę ze strażnikiem, za którym stały rzędy pojazdów, służących do tłumienia demonstracji. „Pomyślą, że wlecemy w ich stronę wielki ładunek wybuchowy” – szepnęła Grażyna a nogi same nam skręciły w boczną uliczkę, którą szliśmy dalej. Powoli, bo ciężar dał się nam już we znaki. Wielkość naszego bagażu ocenilem jako prawdopodobnie uniemożliwiająca wciśnięcie go do wagonu pasażerskiego. Torba od wierzchu była przykryta grubym materiałem, przyszytym przez naszą gospodynię. Uznaliśmy, że skierujemy ją do wagonu bagażowego. Pierwszy raz nadawałem coś na bagaż, stąd zaskoczyło mnie pytanie: „Co zawiera torba?” „Inkubator” – natychmiast odpowiedziałem i do dziś nie wiem, skąd mi wtedy przyszło do głowy coś takiego. Pracownik kasy bagażowej przeszył mnie przenikliwym spojrzeniem i swą wielką łapę zanurzył nagle we wnętrzu torby, rozdzielając tkaniny zespojone nicią. „Pan uważa, tam są ostre krawędzie...” – powiedziałem do kasjera, który tymczasem odstąpił jedno z pokręteł powielacza. „Nie będziesz pan ze mnie durnia robił” – odpowiedział i odszedł do innych zajęć a ja do dziś nie wiem, co chciał tymi słowami wyrazić. Wolałem jednak nie kontynuować tej rozmowy. Po chwili byliśmy na peronie, którego część okupowała jakaś wycieczka, której bagaże i namioty ułożone były w sporych rozmiarów stertę. Naszą torbę postawiliśmy tuż obok niej. Milicjanci patrolujący dworce byli w tamtych czasach czymś oczywistym. Nie zrobili dla nas wyjątku, teraz też chodzili po naszym peronie. Nie ich bałem się jednak najbardziej. Modliłem się, by torba z powielaczem dała się wcisnąć w drzwi dalekobieżnego pociągu. Kiedy się zatrzymał milicjanci stali za naszymi plecami. Najpierw zdziwiłem się, że tak łatwo tę torbę udaje mi się unieść (strach czasem naprawdę czyni człowieka silniejszym) a sekundę później okazało się, że moje modlitwy zostały wysłuchane. Błogosławiąc producentów tego powielacza, że nie zrobili go o pół centymetra szerszym, przeciskałem wypełnioną nim torbę przez korytarz wagonu i łądując w przedziale. Udało się! Co jednak miała znaczyć ta sytuacja z nadawaniem na bagaż i czy w związku z tym jesteśmy bezpieczni? W drodze nic nie budziło naszego niepokoju. Na peronie we Wrocławiu czekał na nas Krzysiek Zwierz. Szybko uświadomiliśmy mu, że działo się coś być może podejrzanego. Zaczęła się więc wrocławska podróż sztafetą taksó-

wek. Ostatnia wiozła nas przez peryferia, na których doszliśmy do wniosku, że chyba jest względnie bezpiecznie. Powielacz trafił więc do miejsca przeznaczenia – domu na Stabłowicach. Kilka lat później we wrocławskim biurze, w którym ujawniająca się Solidarność Walcząca miała swoją pierwszą siedzibę, zauważyłem stojącą pod ścianą wielką torbę, przypominającą tamtą przygodę. Zajrzałem do środka – był w niej ten sam powielacz. „Tak, dosyć się już w Polsce nadrukował” – usłyszałem głos Wojtka Stando. „Jutro wiozę go do Tbilisi, tam się teraz przyda” – dodał przyjaciel, kursujący na zagranicznych trasach Solidarności Walczącej.

ADAM LAZAROWICZ 1902 – 1951

Rodzina Lazarowiczów związała się z Rzeczpospolitą w XVII w. Wtedy to ci prawnukowie¹ poległego na Kosowym Polu serbskiego króla Lazara², szukając wolności, przybyli nad Wisłę. Odnaleźli ją tutaj wraz z nową ojczyzną, która szybko doceniła ich wojenny kunszt i bohaterstwo, jakich dowiedli w walce z tureckimi najazdami. Wraz ze szlacheckim indygenatem, herbem „Kościeszka” otrzymali też nadania ziemskie w okolicach Dębicy. Dzięki temu udowodnić mogli też, że są dobrymi gospodarzami. A o umiłowaniu wolności oraz oddaniu Polsce też nie zapomnieli – Lazarowiczów odnajdujemy wśród bohaterów kolejnych narodowych powstań i konspiracji, żołnierzy Józefa Piłsudskiego, obrońców niepodległości w roku 1939, w szeregach Armii Krajowej, organizacji Wolność i Niezawistość czy Solidarności Walczącej³.

WALKA I SŁUŻBA – NA PRZEKÓR WSZYSTKIEMU

Adam Lazarowicz urodził się w 1902 roku w Berezowicy koło Zbaraża. Młodość spędzał jednak w okolicach Dębicy i Jastła, gdzie uczęszczał do gimnazjum. Mając siedemnaście lat uciekł z domu i zdołał zaciągnąć się do wojska, by wziąć udział w wojnie polsko – ukraińskiej. Po powrocie z frontu długo nie cieszył się bliskością rodziny. W 1920 znów zgłosił się do służby wojskowej. Przeciw bolszewikom walczył m.in. w okolicach Chorzela a w czasie starcia pod Ostrołęką został ranny.

W 1921 zdał maturę, po której pragnął zostać zawodowym wojskowym. I tu spotkała go przykra niespodzianka. Okazało się, że dziesiętnastolatek, mający już za sobą duże frontowe doświadczenia, na zawodowego żołnierza ma jednak zbyt słabe zdrowie. Po takim orzeczeniu lekarzy został studen-

1 Bitwa miała oczywiście miejsce w XIV w., Lazarowiczów dzieliło więc kilka pokoleń od swojego sławnego przodka

2 Co najmniej równie często Lazar określany jest nie jako król, lecz jako car Serbii

3 A. Lazarowicz, Klamra-mój ojciec, Wrocław 2009

tem historii Uniwersytetu Jagiellońskiego, co wiązało się z możliwością ukończenia kursu podchorążych piechoty. W 1931 roku uzyskał stopień podporucznika rezerwy. Pięć lat później, w czasie szkoleń rezerwistów, awansowany został na porucznika. Pracował natomiast jako dyrektor szkoły w Gumniskach. W pamięci mieszkańców wielu miejscowości z rejonu Gumnisk zapisał się jako tytaniczny działacz społeczny, dźwigający cywilizacyjne standardy wielu dziedzin życia, organizujący życie kulturalne, krzewiący patriotyzm. Bezmiar czasu poświęcał dzieciom analfabetów, które następnie osiągały średnie wykształcenie a nawet zostawały studentami. Formacyjnej, edukacyjnej, wychowawczej działalności nie przerywał w czasie wakacji – młodszy i starsi garnęli się do zajęć, które organizował. Jako lider strażaków – ochotników zastąpił akcją ratowniczą, w czasie której na sekundę przed zawaleniem się płonącego stropu wyniósł dzieci z płonącej chaty¹.

OBRONA OJCZYZNY – PO RAZ KOLEJNY

We wrześniu 1939 był m.in. ostatnim komendantem Dębicy, następnie dowodził kompanią w czasie walk w rejonie Rawy Ruskiej. Zdołał uniknąć niewoli i już w październiku, znów pracując jako nauczyciel w Gumniskach, zaczął organizować struktury konspiracyjnego wojska. Tworzone przez niego komórki weszły w skład Służby Zwycięstwu Polski, w roku 1940 – Związku Walki Zbrojnej. W tym samym roku został komendantem podziemnej placówki a od 1941 do wiosny 1944 pełnił funkcję komendanta Obwodu ZWZ (od 1942 – AK) Dębica. W tym czasie sformował 10 nowych placówek. Pomimo ciągłej rozbudowy struktur i intensywnego szkolenia wojskowego setek młodych ludzi – Niemcy nigdy nie wpadli na trop świetnie zorganizowanej konspiracji. Dowodzony przez niego obwód stale oceniany był jako dysponujący najwyższą gotowością bojową w całym Inspektoracie Rzeszowskim AK. Wśród swych podkomendnych Lazarowicz miał nie tylko swych uczniów, bliższych i dalszych krewnych, ale też własne dzieci. W 1943 otrzymał awans na kapitana a rok później majora. Jednym z sukcesów dowodzonej przez niego konspiracyjnej jednostki był znaczący udział w rozpracowaniu niemieckich rakiet V-2, testowanych na poligonie Blizny pod Dębicą².

POD PODWÓJNYM OSTRZAŁEM

Wiosną 1944 Lazarowicz został zastępcą szefa Inspektoratu Armii Krajowej Rzeszów. W czasie akcji „Burza” dowodził liczącym 1200 żołnierzy 5.

1 tamże

2 tamże

Pułkiem Strzelców konnych AK. 23-24 sierpnia 1944 pod Kałużówką oddział ten stoczył największą bitwę partyzancką w Polsce południowo-wschodniej, utrzymując swoje pozycje pomimo przewagi niemieckich jednostek frontowych. Lazarowicz znany był z tego, że nigdy nie narażał swoich żołnierzy na niecelowy rozlew krwi. Pomimo wykonywania nadzwyczaj trudnych zadań straty wśród jego ludzi były stosunkowo niskie. Jednak w następnych dniach jego pułk znalazł się pod ostrzałem zarówno niemieckiej, jak i sowieckiej artylerii. W tym też czasie dochodziło do współdziałania z pierwszymi szeregami żołnierzy Armii Czerwonej. W uznaniu pomocy, udzielonej frontowym żołdaczom oraz zasług we wspólnej walce dowódca sowieckiego odcinka postanowił odznaczyć Lazarowicza Orderem Czerwonej Gwiazdy. Major odznaczenia tego nie przyjął. Krótco potem żołnierze drugiej linii sowieckiej armii nie ukrywali już prawdziwego stosunku do Armii Krajowej, np. mówiąc podkomendnym majora, że „wyrżniom nie tolka germańców, ale i was”¹.

TZW. „WYZWOLENIE”

Po przełamaniu frontu przez Armię Czerwoną także Podkarpacie i Małopolska zaroły się od jednostek NKWD. Dla rodzin i ludzi w jakikolwiek sposób związanych z AK aresztowania stały się codziennością, tak jak i np. śmierć księdza z Gumnisk, załuczonego przez sowieckich oprawców. W zaistniałej sytuacji Lazarowicz troszczył się przede wszystkim o bezpieczeństwo podległych mu ludzi, starając się ich ukryć lub dać szansę funkcjonowania w innych regionach kraju pod nową tożsamością. Działalność zbrojną przeciw NKWD i UB ograniczał do przypadków jednoznacznej obrony przed terrorem. Już jednak w styczniu 1945, m.in. w okolicach Krakowa nowa władza rozwiesiła listy gończe, nazywające Lazarowicza bandytą oraz informujące o nagrodzie za jego głowę².

Major „Klamra”³ sytuację w Polsce oceniał bardzo trzeźwo. Szanse zbrojnego wywalczenia niepodległości w kraju okupowanym przez Sowieców były, jego zdaniem, żadne. W lutym 1945 stanął na czele Okręgu Rzeszowskiego organizacji Wolność i Niezawistość. Później został szefem Okręgu Wrocławskiego WiN a od grudnia 1946, jako zastępca komendanta IV Komendy WiN płk Łukasza Cieplińskiego, kierował siatką tej organizacji w całej zachod-

1 Relacja Adama Lazarowicza

2 A. Lazarowicz, Klamra-mój ojciec, Wrocław 2009

3 Oprócz najbardziej znanego pseudonimu (Klamra) mjr A. Lazarowicz posługiwał się także pseudonimami: Pomorski, Kleszczyk, Zygmunt, Grot, Orczyk, Gwóźdź, Jadzik, Aleksander

niej Polsce. Za jedno z najważniejszych swoich zadań uznał ratowanie żołnierzy Polski podziemnej przed prześladowaniami ze strony nowych okupantów. Na Ziemiach Odzyskanych szansę taką dawały państwowe Urzędy Repatriacyjne, które zostały opanowane przez ludzi WiN-u, co pozwalało, pod zmienionymi nazwiskami, osiedlać się na Dolnym Śląsku lub Pomorzu Zachodnim. Działania takie często uwieńczone były sukcesem, skutkiem którego wielu akowców na Ziem Zachodnich znajdowało azyl, pod zmienioną tożsamością pozwalający na zbudowanie względnie normalnego życia¹. O tym, jak było to trudne, świadczy jednak los syna majora Lazarowicza – Zbigniewa, który pod zmienionym nazwiskiem rozpoczął studia, które musiał porzucić i zacząć się ukrywać, gdyż został wytropiony przez UB². Dla ludzi zbyt dobrze komunistom znanych, by mieli szansę uniknięcia represji, „Klamra” organizował drogi ucieczki do krajów Europy Zachodniej. W sprawie przyszłości żołnierzy podziemia Lazarowicz kontaktował się m.in. z Kurasiem „Ogniem”. „Królowi Podhala” tłumaczył, że wielka legenda jego działalności przynosi także negatywne skutki. W pierwszych powojennych latach do oddziałów „Ognia” garnęły się setki młodych mężczyzn. Wprawdzie decydując się na ten krok opóźniali postępy sowietyzacji, ale raz na zawsze tracili szansę powrotu do normalnego życia, prędzej czy później stając się zwierzyną łowną dla siepaczy z NKWD czy KBW³.

5 grudnia 1947 w Żninie Lazarowicz został aresztowany przez UB. W czasie jednego z pierwszych przesłuchań otrzymał propozycję wyjechania za granicę i kontynuowania swej działalności teraz już wśród polskiego wychodźstwa politycznego. Teraz miałby być jednak przede wszystkim agentem UB. Lojalność gwarantować miałyby pozostawiona w Polsce rodzina. Na stanowczą odmowę bezpieczeństwa odpowiedziały torturami i postawieniem przed Sądem Rejonowym w Warszawie, który w październiku 1950 wydał czterokrotny wyrok śmierci. O egzekucji, wykonanej 1 kwietnia 1951, rodzina dowiedziała się po latach.

CIĄGLE NIE ODNALEZIONY

Przez długi czas bliscy majora „Klamry” cierpieli prześladowania. Pozbawieni jakiegokolwiek zatrudnienia utrzymywali się z dorywczych prac, np. zbierania grzybów. Ćwierć wieku po wojnie ciągle byli obserwowani przez SB. W latach siedemdziesiątych Lazarowicze znów znaleźli się w czynnej opozycji.

1 Relacja Rolanda Wincioraka

2 A. Lazarowicz, Klamra – mój ojciec, Wrocław 2009

3 tamże

Syn majora Zbigniew¹ i wnuk Przemysław² zapłacili za to więzieniem. Tytanem pracy konspiracyjnej był wnuk „Klamry” Zbigniew, wraz z żoną Heleną³ Lazarowicz biorący udział w najbardziej ryzykownych aktywnościach Solidarności Walczącej. Od roku 2012 zespół prof. Krzysztofa Szwagrzyka dysponuje materiałem genetycznym dzieci bohatera. Niestety, odnalezienia zwłok nie doznał syn i podkomendny majora (w 2013 roku pośmiertnie awansowanego na podpułkownika), zmarły jesienią 2017 Zbigniew Lazarowicz. Nie było to też dane wnukowi – Romualdowi Lazarowiczowi, który odszedł niecałe dwa lata po śmierci swojego ojca. Romek, za prace nad historią WiN-u uhonorowany tytułem Kustosza Pamięci Narodowej, w przeprowadzonej w 2002 roku ankiecie miesięcznika „Opcja na Prawo” na pytanie o największe nierealne marzenie odpowiedział: „Chciałbym osobiście poznać mojego dziadka”. Na tym lepszym ze światów na pewno już się to stało. Na naszym poszukiwania doczesnych szczątków nadal trwają.

Bibliografia:

Adam Lazarowicz w: Konspiracja i opór społeczny w Polsce 1944-56. Słownik Bibliograficzny, t.2. Kraków 2004

Z. Lazarowicz Klamra – mój ojciec, Wrocław 2009

1 Biogram w internetowej Encyklopedii Solidarności

2 Biogram w Internetowej Encyklopedii Solidarnosci

3 Biogram w internetowej Encyklopedii Solidarności



LAZAROWICZ – LITERATURA PRZESTROGI I NADZIEI

Pisarska działalność Romualda Lazarowicza nie ograniczała się do publicystyki czy historycznych prac dokumentacyjno-badawczych, docenionych zresztą przyznaniem tytułu Kustosza Pamięci Narodowej.

ZARAZA WYCHODZI Z UŚPIENIA

Tematyka zbioru opowiadań „Pomnik komunizmu” jest kontynuacją literackich wizji, zawartych w zbiorze „Błękitny delfin”. Obydwa zawierają obrazy świata, jaki nas czeka w przyszłości, o ile pójdzie on drogą, wytyczaną przez nihilistyczne prądy skrajnej lewicy. W odróżnieniu od książki poprzedniej – ostatnia zawiera także utwory osadzone w realiach totalitaryzmu, jeszcze nie tak dawno ugruntowywanego w PRL-u czy ZSRS. Przyczyny sięgnięcia do takiej problematyki, w „Pomniku komunizmu” sąsiadującej z futurologiczną, zapewne są wynikiem coraz bardziej oczywistego pokrewieństwa bolszewickich i hitlerowskich manowców lewicowości z obędem dzisiejszych ideologii lewackich. Kolejny kurs ku samozatraceniu jest jak memento, zamykające najważniejszą z powieści Alberta Camusa. Tak, jak dżuma niemieckiego nazizmu, tak i gangrena komunizmu, wraz z upadkiem tych najpotworniejszych z ustrojów, wcale nie zostały pokonane. Hitleryzm w 1945 a marksizm w 1989 zostały jedynie zapędzone do fazy uśpienia. Wiele wskazuje na to, że jesteśmy dziś świadkami uwalniania się starej zarazy w nowej, przepoczwarzonej, więc nie zawsze łatwo rozpoznawalnej formie.

TOTALITARYZM RAZ JESZCZE?

Tom pt. „Błękitny delfin” zawiera m.in. przestrozę przed nowymi formami masowej zagłady. Jak wiadomo w latach wojny wiele praktyk stricte ludobójczych przez państwo niemieckie zaliczanych było do procedur medycznych. Uzasadniać takie definiowanie miało zaangażowanie niemieckich lekarzy i profesorów uczelni medycznych, którzy byli autorami wynalazków taniego, masowego i „higienicznego” zadawania śmierci np. zastrzykami fenolu, emisją tlenu węgla czy gazu, przez Fritza Habera opatentowanego jako środek dezynfekujący silosy zbożowe. W swoich opowiadaniach Lazarowicz ostrzega, że tak, jak miliony nieświadomych swego losu skazańców zamiast w kabi-

nach prysznicyowych znajdowały się nagle w komorach gazowych tak w przyszłości końcem zbiorowości przeznaczonych do zniszczenia mogą być przeloty nad oceanem odpowiednio skonstruowanymi statkami powietrznymi. Czytając opowiadanie pt. „Zaciemnienie” trudno się oprzeć wrażeniu, jak bardzo ta wizja błyskawicznego odbudowania ładu totalitarnego jest bliska faktom z historii XX wieku. Sowieckiemu ludobójstwu towarzyszyła przecież propaganda o budowie szczęścia całej ludzkości a na kartach „Młodych lwów” Irwin Shaw przypominał szczere przekonanie hitlerowskich najeźdźców, że ich walka służy idei zjednoczenia Europy. Także dziś pod hasłami rzekomej równości świat cywilizacji Zachodu umacnia przecież praktyki na wskroś zamordystyczne a zasada politycznej poprawności jest już nie tylko coraz bardziej opresyjnym narzędziem cenzury, ale sposobem eliminowania z przestrzeni publicznej wielkich grup społecznych. Opowiadanie Lazarowicza brzmi jak memento: wzniosłe ideały, piękne hasła, szlachetne wizje znów są orężem sił wiodących narody ku zniewoleniu i zatraceniu. To, że potrafią one dochodzić do głosu nawet w kraju tak doświadczonych bolszewizmem i hitleryzmem, jak Polska świadczy o tym, że zagrożenie osiąga już stan alarmowy.

WIARA I NADZIEJA

Obok opowiadań, poświęconych jednostkom i zbiorowościom, samobójczo idącym na lep spreparowanych legend i fałszywych idei są i mówiące o potędze zwykłej ludzkiej dobroci i skuteczności nawet jednostkowego oporu. Zło ciągle udowadnia swą moc – formując wielotysięczne partie o niszczycielskich programach czy fan – cluby morderców w rodzaju Charlesa Mansona. Wartości prawdziwe stanowią jednak bastion, mogący skruszyć najpotworniejsze ze złych mocy. Nie przypadkiem ostatnie słowa opowiadania pt. „Tajemnica nocy”, zamykającego cały tom „Pomnik komunizmu” brzmią: „Amor vincit omnia”. „Miłość zwycięża wszystko” – to najważniejsza z prawd. Potwierdza się ona zawsze, o ile tylko traktowana jest naprawdę serio.

„Obywatelska” wrzesień 2019

„LATAJĄCY UNIWERSYTET PODZIEMNEGO DRUKU”

Wiosna 1983. Wraz z Grześkiem Osińskim i Iwonką Sikorską stanowimy jedno z ogniw Polskiej Niezależnej Organizacji Młodzieżowej. Kontakt z resztą tej konspiracyjnej struktury utrzymujemy przez naszego szefa Radka Hejnowicza. Od ponad roku jest dla nas głównym źródłem prasy podziemnej, którą kolportujemy a także książek z konspiracyjnej biblioteki wydawnictw drugiego obiegu. „Odwdzięczamy się” głównie plakatami i ulotkami, odbijanymi na matrycach, własnoręcznie rzeźbionych w płytkach PCV. Część tej produkcji rozklejamy lub rozrzucamy sami, niemal każdego dnia.

Na kolejne spotkanie, oprócz paczek z bibułą, Radek przynosi elektryzującą wiadomość: „Jeśli szybko załatwicie właściwy do tego lokal – ludzie z Solidarności Walczącej wyszkołą was w sitodruku!” Lecę z tą informacją do Grześka zupełnie tak, jakbym chciał się z nim podzielić wiadomością o wygranej w totolotka. I jego reakcja jest właśnie taka, jakbym przyniósł kupon wart milion złotych. Nareszcie będzie prawdziwe drukowanie! Po chwili jednak – zagwozdka. I on i ja mieszkamy w przeludnionych klitkach Szczepina. Gdzie się spotkamy z tymi nauczycielami druku? Następnego dnia Grzesiek znajduje jednak rozwiązanie. Jego kolega zgodził się udostępnić swoje mieszkanie na kilka godzin. Lecę z tą wiadomością do Radka. Dzień później mamy potwierdzony termin i informację, że na szkolenie, oprócz nas, przyjdzie jeszcze kilka osób. Super! Zamiast dwóch nowych drukarzy będzie walczyło z komuną nowych dziesięciu!

W dniu szkolenia Radek mówi: „Solidarność Walcząca to superelita konspiracji. Niech nikt z nas nie zachowa się przy nich, jak pętaś. A koncentracja na tym instruktażu ma być większa, niż gdyby chodziło o sztukę otwierania kas pełnych złota.” Każdy z nas rozumiał to świetnie i bez tych słów.

Do mieszkania przy ul. Czarneckiego średnio co kwadrans wchodzi kolejny „podziemny kursant”. Jako ostatni pojawia się około czterdziestoletni człowiek, emanujący optymizmem i energią. Wita się ze wszystkimi i każe sobie mówić po imieniu, choć domyślamy się, że to imię jest pseudonimem.

Będę go jeszcze spotykał, ale o tym, że nazywa się Bohdan Błażewicz i jest jednym z tych drukarzy Solidarności Walczącej, o dokonaniach których można pisać książki, dowiem się dopiero kilka lat później.

Zaczyna od najprostszycch form druku. W rękach każdego z obecnych notes i długopis. Na widok skupionej uwagi zgromadzonych pomyślałem o szkolnych nauczycielach tej grupy nastolatków. Gdyby zobaczyli ich pilność w tych godzinach – doznaliby chyba najpotężniejszego uczucia zazdrości w całym swoim zawodowym życiu. Co chwilę jednak jest okazja by parsknąć śmiechem, bo wykład nad stołem, na którym na ramkę naciągane jest szyfonowe płótno, przeplatany jest dowcipami, których nikt wcześniej nie słyszał. A kiedy tematem jest kolejna metoda drukowania za pomocą substytutów, w postaci gwoźdźcia, foliowego woreczka i papieru ściernego – wszyscy ze zdumieniem kręcą głowami. Pokój wypełniają pełne podziwu i emocji szepety: „Proste a genialne...”, „Niesamowite...”. Jakby w odpowiedzi nasz nauczyciel prostuje się nad stołem i półgłosem wypowiada kilka najważniejszych zdań, jakie słyszałem przez wszystkie lata mojej konspiracji: „Otóż to właśnie! Drukować można ZAWSZE. W niemal KAŻDYCH warunkach. Znając kilka technik i robiąc to bardzo starannie – drukować można, korzystając z materiałów, które zawsze są dostępne. Uczcie się tych sposobów i uczcie ich innych a nasze PODZIEMNE DRUKOWANIE BĘDZIE NIEZNISZCZALNE”.

Każdy z uczestników szkolenia wychodził z niego oszołomiony niezwykłością nabytych właśnie umiejętności. Wszyscy, w dziesięciominutowych odstępach opuszczający mieszkanie wypożyczone przez Grześka, zwrócili też uwagę na stojącego na półpiętrze człowieka. Wpatrywał się on w drzwi tegoż mieszkania a na jego twarzy malowało się bezbrzeżne zdumienie. Następnego dnia od Grześka się dowiedziałem, że był to właściciel wypożyczonego lokalu. Był przekonany, że Grzesiek „pożycza od niego chatę”, by spotkać się w niej z dziewczyną. Ciekaw był jej widoku, więc przyszedł odpowiednio wcześniej. Lecz zamiast jakiejś uroczej blondynki, której się spodziewał, zobaczył wychodzących z jego mieszkania kolejnych osobników płci jak najbardziej męskiej...

Z BIBUŁĄ I SPRZĘTEM W TRASIE

Trasę kolejową Wrocław – Trójmiasto i z powrotem przemierzyłem ze sto razy, albo więcej. Najczęściej pociągiem, który odjeżdżał krótko po północy (rozkłady jazdy się zmieniały, raz była to 0:05, potem 0:03 itd.). Ulice miasta były już wtedy opustoszałe, nie było ulicznego tłumu, w który można się było wtopić, ale prosta metoda zmniejszała ryzyko. Przyjeżdżałem autobusem nocnym kilka minut przed odjazdem pociągu. Bilet zwykle już miałem, szybkim krokiem wchodziłem na peron. Pociąg był wyjątkowo długi, w ostatnich (co było rzadkie w tamtych latach) zawsze były wolne miejsca. Przedziały znałem już jak własną kieszeń i wiedziałem, w którym jest zepsute ogrzewanie a w którym nie otwiera się okno.

A propos „wyjątkowo pustego pociągu”. W okresach wakacyjnych za PRL – u normą było, że do pociągów jadących nad morze tłum podróżnych wdierał się wchodząc przez okna, czasem nawet zanim pociąg się na dobre zatrzymał. Rzadkością były miejscówki czy kuszetki. Miejsc siedzących – prawie zawsze brakowało. Jeśli więc jakaś rodzina jadąca na wczasy obawiała się, że całą drogę z Wrocławia do Świnoujścia czy Gdańska stała będzie w korytarzu – trzeba było się wykazać na dworcu walecznością. Wyglądało to zwykle tak, że nim jeszcze pociąg stanął przy peronie, ojcowie rodzin otwierali drzwi wagonów lub, biegnąc przy zwalnającym i stającym pociągu, starali się uchwycić jakieś dające się otworzyć okno. Jeśli zostało otwarte – włązili przez nie metodą „na szczupaka”, tzn. najpierw głowa, potem tułów, przyspieszające czynność machanie nogami w powietrzu, po czym odbijali się od podłogi zdobywanego przedziału, triumfalnie wyglądali przez okno, wydając z niego okrzyk: „Jaśka! Dawaj walizki!” Przez okno błyskawicznie wciągane były torby podróżne, wkładane dzieci a czasem także żony „zdobywców”. Tym sposobem przedział zostawał opanowany i wypełniony, nim reszta spragnionej podróży tłuszczy zdołała wedrzeć się do pociągu metodami bardziej konwencjonalnymi.

Pociąg relacji Wrocław Główny – Gdynia Główna Osobowa wyróżniał się wyjątkowo długim składem. Większość podróżnych nie spodziewała się tego, że jego ostatnie wagony zatrzymują się przy samej końcówce peronu. W miesiącach letnich powyżej opisane sceny zdobywania wagonów widywałem wiele razy. Ludzie byli zaangażowani w te zmagania tak bardzo, że nie dostrzegali tego, iż sto metrów dalej można było wejść do tego samego pociągu bezkonfliktowo a nawet swobodnie. I bez trudu – znaleźć wolne miejsce.

Pustki na ulicach i mniejszy ruch na dworcu w porze późnowieczornocnej miał też swoje plusy. Łatwiej było się zorientować, czy nie jest się śledzonym. Pewności jednak nie można było mieć nigdy. Kiedyś uświadomiono mnie, jak łatwo „zaznaczyć” człowieka, który ma być przedmiotem obserwacji. Służby dysponowały substancją chemiczną – rodzajem proszku, którego odrobiną wystarczyło obsypać człowieka, wetrzeć w jego ubranie lub tylko – posmarować mu nią klamkę. Nic nie zdradzało tego, że ktoś tę substancję na sobie niesie. Dopiero okiem uzbrojonym w odpowiednie urządzenie można było zobaczyć ów proszek jako jaskrawą, fosforyzującą plamę. Obserwacja kogoś takiego była bardzo łatwa. Przez odpowiednie urządzenie widać go było wyraźnie z daleka. Wystarczyło też podać informację współpracownikom ze służb, że ktoś z taką plamą wysiądzie z pociągu, no i czekać na kogoś takiego na dworcu... Pod koniec lat osiemdziesiątych coraz bardziej liczyliśmy się z możliwością bycia śledzonym taką metodą. Nie wiem jednak, jak często była ona praktykowana.

Z tego, co dziś wiemy o metodach pracy SB wynika, że śledzenie czy obserwacje dla większości działaczy nie były sposobami najgroźniejszymi. Konspiratorów Solidarności Walczącej było tak dużo, że SB skazana była na dokonywanie wyboru – kogo śledzić permanentnie i z zaangażowaniem pełnego aparatu (odpowiedniej liczby samochodów, ludzi itd.). Wszystkich, o których działalności coś wiedzieli – obserwować nie daliby rady. A już na pewno – obserwować bez przerwy. Z lektury materiałów, które za Mazowieckiego jakoś ocalały przed spalaniem wynika, że standardową metodą pracy SB było pozyskiwanie informatorów. To oni byli głównymi źródłami wiedzy służb o opozycji. Dyrektor wrocławskiego oddziału IPN prof. Włodzimierz Suleja w jednej ze swoich prac stwierdził jednoznacznie, że „Solidarność Walcząca wykazywała się wyjątkową odpornością na inwigilację przez Służbę Bezpieczeństwa”. Nie ma w tym zresztą niczego dziwnego. Np. NZS w 1980 – 81 tworzyli ludzie, którzy często słabo się znali, niejednokrotnie przecież ledwie przyjecha-

li z odległych miast i wiosek. Wielu było wśród nich wspaniałych i szlache-nych, ale wiadomo też, że nie jeden spośród nich realizował postawione przez swoich oficerów prowadzących zadanie „objęcia jak najwyższej funkcji w formującym się Zrzeszeniu”. Kocham, cenię i szanuję NZS, do którego mam sentyment większy, niż do Solidarności, sam byłem jego członkiem, ale niestety – tak było. Do ruchu Wolność i Pokój można było przystąpić, przychodząc na demonstrację, stając pod transparentem i dając się „zwinąć”. A jak ktoś był już „zwijany” kilka razy – stawał się sławny, podziwiany, szanowany. I otwierały się przed nim nie tylko tysiące serc, ale też całe mnóstwo opozycyjnych drzwi. W Solidarności Walczącej było diametralnie inaczej. Zdarzali się konspiratorzy, którzy do konspirowania się nie nadawali, ale zanim ktoś zaczął działać w tych strukturach, zanim z kimkolwiek został skontaktowany – jego postać była analizowana pod kątem „kim jest, ilu godnych zaufania ludzi zna go długo i za niego ręczy?”

Współpracujący z Solidarnością Walczącą kapitan Marian Charukiewicz (usunięty z SB w 1982 roku) mnóstwo razy powtarzał pewne zdanie, które musiał słyszeć wielokrotnie na szkoleniach, które odbywał (a kończył takie kursy i w NRD – owskim Stasi i w Moskwie). Brzmi ono: „Pozyskanie jednego współpracownika z szeregów przeciwnika jest ośmiokrotnie tańsze, niż wprowadzenie własnego, wyszkolonego i przygotowanego agenta”. Wg Charukiewicza – była to metoda najpowszechniej praktykowana. Uznawana była za najbardziej efektywną metodę walki politycznej, przynoszącą także takie korzyści, jak sianie nieufności, podejrzeń, konfliktów w szeregach przeciwnika. Charukiewicz uważał, że podziemie powinno taką samą metodą stosować przeciw służbom komunistycznego państwa. A w kontekście tej metody – znów potwierdzają się powtarzane jak mantra rady Tośka Ferenca, który tak często pytał: „Co jest twoją najsłabszą stroną? Musisz wiedzieć, gdzie są twoje czułe punkty. Chora matka? Mała odporność na ból? Jakies sprawy z przeszłości? A może jakies skłonności czy uzależnienia? Masz więc świadomość tego, co jest tym twoim słabym punktem? Bo oni będą się starali tego dowiedzieć i jak się dowiedzą – od tego zaczną”. Ja nie miałem żadnych uzależnień, nie było niczego, czego bym się szczególnie bał i nie miałem w „życiowym dorobku” niczego, co mogłoby stanowić przedmiot szantażu. Ale miałem ciężko chorego ojca. Obawiałem się sytuacji, w której w mieszkaniu nagle wyłamywane są drzwi i do pokoju wpada banda uzbrojonych drabów. Ojciec był ciężko chory na serce i bałem się, że jeśli któregoś dnia oni taką metodą „wjadą do domu” – to on takiej sy-

tuacji nie przeżyje. To była ta moja słaba strona. Bałem się o ojca, ale absolutnie nikomu nie powiedziałem nigdy ani słowa o tym, że jest tak chory i że się o niego boję.

Pierwszy przyjazd do Gdyni. Pojechałem z Andrzejem Traczem. Uginały się pod plecakami pełnymi bibuły. Dzwonimy do drzwi. Drzwi powoli się uchylają, z powstałej szpary wygląda starszy człowiek niskiego wzrostu. Jego spojrzenie jest mieszaniną zdziwienia i przestraszenia. Recytuję hasło:

– Jesteśmy studentami Wyższej Szkoły Morskiej. Przyszliśmy w sprawie wynajęcia pokoju od nowego roku akademickiego.

Oczekuję odpowiedzi: „To już nieaktualne, ale znajomi mają pokój do wynajęcia. Proszę wejść”. Zamiast usłyszeć taki właśnie odzew widzę, że starszy człowiek zaczyna się drapać w głowę, jego twarz wyraża „wysiłek przeczyszczenia pamięci”.. I mówi cicho: „Cholera... No jak to miało być...? Ale tak, to tutaj, wchodźcie chłopaki...” Po chwili wahania wchodzimy do środka. Nasz gospodarz tłumaczy się dalej:

– No skleroza no... Bo w zasadzie to tym wszystkim zajmuje się moja żona... Ja tam nie wiem wszystkiego...

Po chwili siedzimy już w fotelach, na stole herbata, ciastka, kanapki. Żona starszego pana ma się wkrótce pojawić. Jest u jakiejś znajomej, ale starsi państwo nie mają telefonu. Mijają godziny, w czasie których starszy pan zabawia nas opowieściami o konspiracyjnym życiu Trójmiasta. O wożeniu bibuły, o masie ludzi przewijających się przez to mieszkanie, o paczkach nielegalnej prasy, których nie ma gdzie pomieścić. Nie pytamy o nic, zdumieni jesteśmy coraz bardziej. W końcu pojawia się żona starszego pana. Atmosfera robi się coraz bardziej serdeczna. Pani wychodzi, by zatelefonować, potem wraca i gotuje obiad. Z zaistniałej sytuacji i opowieści wnioskujemy, że nasi gospodarze są ludźmi jedynie związanymi z organizacją, choć mają nie tylko całe mnóstwo znajomych wśród osób głęboko zanurzonych w podziemiu, ale też wśród najbardziej znanych opozycjonistów. Oczekujemy na kogoś, kto musi z nami porozmawiać. Mija kolejna godzina, gdy przychodzi człowiek, przedstawiający się jako Edek (po latach dowiem się, że to Edward Frankiewicz). Dobry kwadrans toczy się rozmowa, z której absolutnie niczego nie potrafię zrozumieć. Pyta mnie o całkowicie mi nieznane tematy. Kiedy nawiązuje do ustaleń z kimś, kogo pseudonim nic mi nie mówi stwierdzam:

– Słuchaj, chyba nie jestem tym, z kim zamierzałeś się spotkać.

Edek wyraża zdziwienie, po czym bardzo ostrożnie staramy się dojść do tego, na czym polega ewentualne nieporozumienie. Nagle Edek robi wielkie oczy i z wielkim zdumieniem pyta:

– To ty nie jesteś z Poznania??

– Nie! Jestem z Wrocławia – odpowiadam.

Zapada długa chwila milczenia. Obydwaj przez parę minut badawczo patrzymy na siebie i chyba myślimy o tym samym: co tu jest grane? Edek spodziewał się całkowicie kogoś innego. W końcu mówi:

– Teraz rozumiem, dlaczego jesteś dzisiaj. Nie spodziewaliśmy się dzisiaj nikogo. Ktoś z Poznania ma przyjechać chyba jutro....

Wszystko powoli staje się jasne. Jakieś informacje wysłane konspiracyjnymi kanałami ktoś odczytał niewłaściwie. Nowego kuriera z Wrocławia, czyli mnie, spodziewali się dopiero w przyszłym tygodniu i pod innym adresem. Po powrocie do Wrocławia poinformowałem o nieporozumieniu, do którego doszło. Ktoś to sprawdzał i szybko przyszła wiadomość, że wszystko jest OK. Gdzieś coś „nie dogadano”. Rozpoczął się trwający parę lat okres moich podróży do Trójmiasta, w czasie których odwiedzałem mieszkania w Gdyni, Wrzeszczu, Rumi, Oliwie, na Zaspie... Po kilku pierwszych miesiącach tego podróży w kolejnych miejscach zaczął mi się rozpruwać mój wielki plecak, który ciągle zszywałem, łątałem. Nikomu nie mówiłem o tym, że mam z plecakiem taki kłopot. Wrocławscy współpracownicy jednak problem zauważyli – którymś razem Maciek Dziubański wręczył mi kopertę mówiąc: „Kup nowy, solidny plecak”.

Ilekoć do przewiezienia było więcej, niż plecak plus torba, jechałem z kimś z przyjaciół. Dziesiątki razy towarzyszyła mi moja ówczesna dziewczyna a od trzydziestu czterech lat żona Grażyna. Wraz z nią wiozłem do Wrocławia m.in. powielacze, odbierane z domu przy ul. Legnickiej w Gdańsku. Bywało też, że jechałem wraz ze wspomnianym już Andrzejem Traczem. Zdarzały się też oczywiście kursy do innych miejsc. Wielokrotnie wyruszałem do nich z moją Grażyną, czasem też wraz z Piotrkim Pawełczykiem lub Grześkiem Osińskim. Podróżowanie po Polsce ze sprzętem (głównie do drukowania), materiałami poligraficznymi, nielegalnymi wydawnictwami to doświadczenie wielu uczestników konspiracji lat osiemdziesiątych. Przy okazji tych wyjazdów dość często wiozło się też jakąś korespondencję. Można przypuszczać, że czasem dość ważną, bo od wręczających mi ją niekiedy słyszałem: „W razie niebezpieczeństwa – koniecznie to zniszcz. Byłoby źle, gdyby wpadła w ich ręce. Koperta

jest otwarta a kartka nieduża, więc w razie czego – po prostu ją zjedz”. Szczęśliwie nigdy nie przydarzyła mi się konieczność połykania żadnej konspiracyjnej korespondencji.

STRAŻNIK BEZPIECZEŃSTWA LUDZI PODZIEMIA

Wspominając swych współpracowników z czasów konspiracji Kornel Morawiecki podkreślał, że wielkim honorem było dla niego współdziałanie z ludźmi nadzwyczaj szlachetnymi, wyjątkowymi, będącymi też często umysłami największego formatu. Do tych, o których mówił, że ich przyjaźń była zaszczytem, należał Jan Pawłowski.

Przyszły szef Kontrwywiadu Solidarności Walczącej urodził się w 1945 w Stanisławowie. Rok później podzielił los większości jego mieszkańców, przez władze sowieckie ograbionych z ziem ojczystych i ekspatriowanych na zachód od granicy wykreślonej przez Stalina najpierw wraz z Hitlerem a potem wespół z Rooseveltem i Churchillem. We Wrocławiu ukończył fizykę i został nauczycielem akademickim na Politechnice. W latach siedemdziesiątych zaczął współpracować z Kornelem Morawieckim, przyczyniając się do rozwoju bazy poligraficznej i sieci kolportażu wydawnictw drugiego obiegu. Miał znaczący udział w powstawaniu i sukcesie „Biuletynu Dolnośląskiego” – najważniejszego niezależnego periodyku Polski południowo-zachodniej. W 1980 został członkiem NSZZ Solidarność. Jego związkowa aktywność była charakterystyczna dla sposobu, w jaki funkcjonował przez całe swoje życie. Unikając pojawiania się w rolach pierwszoplanowych czy oficjalnych – mrowczą pracę wykonywał jako pozostający w cieniu organizator zaplecza. Niewielu znało charakter jego działalności, stąd tylko nieliczni potrafili ją docenić. A rzeczywista ranga jego niepodległościowej pracy stanowiła o istnieniu wielu form walki z komunistycznym reżimem.

KONSPIRACJA Z PRAWDZIWEGO ZDARZENIA

W chwili wprowadzenia stanu wojennego nikt do działalności w warunkach otwartej konfrontacji z komunistami nie był przygotowany w stopniu porównywalnym z kręgiem działaczy, skupionych wokół Kornela Morawieckiego. Dla wszystkich, którzy do niego należeli było jasne, że przeciwnik dysponuje najbardziej wyspecjalizowanymi i najdoskonalej wyposażonymi formacjami, przeznaczonymi do zwalczania społecznego oporu. Rodowodem SB czy WSW były sowieckie służby, które jak żadne inne w dziejach świata, w realiach naj-

większego z imperiów, potrafiły kontrolować każdy detal życia setek milionów ludzi. Dla tworzących prawdziwą konspirację było więc oczywiste, że szansę działania będzie ona miała tylko wtedy, gdy siepaczom strzegącym sowieckich interesów przeciwstawi ona równie profesjonalny oręż własnych jednostek, działających na rzecz bezpieczeństwa ludzi podziemia. Na dowody tego, czym kończy się niefrasobliwa „zabawa w konspirację” nie trzeba było długo czekać. Do jesieni 1982 w ramach kolejnych operacji SB dokonywała setek aresztowań. Z ocalałych dokumentów, znajdujących się dziś w dyspozycji IPN wynika, że wielka część środowisk opozycji została nasyciona agenturą w stopniu umożliwiającym nie tylko ich kontrolowanie, ale nawet sterowanie ich działaniami. Licząc się z takimi zagrożeniami kierowana przez Kornela Morawieckiego struktura wydawniczo-kolportażowa RKS NSZZ Solidarność Dolny Śląsk już w pierwszych dniach stanu wojennego uruchomiła pierwsze ogniwa podziemnej siatki, mającej na celu obserwowanie tajnych działań przeciwnika. W tej walce, której stawką było „być albo nie być podziemia”, rolę największą odgrywał Jan Pawłowski.

SB NA PERMANENTNYM PODSŁUCHU

W pierwszym tygodniu stanu wojennego nasłuch częstotliwości radiowych, wykorzystywanych przez SB, milicję i wojsko, prowadzony był za pomocą sprzętu krótkofalarskiego i przestrojonych radiostacji wymontowanych z wycofanych z użycia karetek pogotowia. Już wtedy Pawłowski zauważył, że ilości podsłuchiowanych rozmów, mogących mieć znaczenie dla podziemia, są ogromne. Konieczne więc było zaangażowanie kolejnych osób oraz rozbudowanie infrastruktury technicznej. Jednym z rozwiązań było przystosowywanie domowych odbiorników radiowych do słuchania częstotliwości, wykorzystywanych przez komunistyczne służby. W dużej mierze za sprawą Pawłowskiego z możliwości takich zaczęły korzystać dziesiątki konspiratorów. Problemem było jednak wykorzystywanie przez SB wielu podzakresów. Możliwość wprowadzenia funkcji wyszukiwania podzakresów, w których pojawia się sygnał, miały radioodbiorniki „Julia”. Na ich zakup Kornel Morawiecki przeznaczył dużą część znajdujących się w jego dyspozycji środków. Kilka egzemplarzy „Julii”, działających jak profesjonalny skaner radiowy, подарowanych zostało działaczom Solidarności z kręgu Władysława Frasyniuka. Specjalna ich funkcja uruchamiana była po równoczesnym wciśnięciu dwóch klawiszy. Celem pilnego strzeżenia tej tajemnicy wszystkich użytkowników zobowiązywano do wyciskaniu owych klawiszy zawsze, gdy w domu pojawić się miał ktokol-

wiek spoza konspiracji. Czyli np. wtedy, gdy ktoś pukaniem czy dzwonieniem prosił o otwarcie drzwi mieszkania. Wyciśnięcie klawiszy powodowało, że „Julia” odbierała wtedy zwykły program radiowy. Niestety, jedna z działaczek RKS-u otworzyła drzwi swego mieszkania nie wyciskając klawiszy. Skutkiem tego w czasie rewizji funkcjonariusze SB usłyszeli nagle transmitowane przez „Julię” rozmowy swych przełożonych. Bezpieka dowiedziała się więc o tym, że jest podsłuchiwana na dużą skalę, co oczywiście uwzględniła w swych działaniach. Zaczęła się np. posługiwać komunikatami złożonymi z szyfrów. Ten tajny język SB nazywała „Fosą”. Pawłowski niezwłocznie przystąpił do jego rozszyfrowywania. Jednym ze sposobów było angażowanie osób, będących przedmiotem obserwacji. Szczegóły ich wyglądu, zachowania i przemieszczania się, zestawione z przechwytywanymi radiowymi informacjami esbeków, umożliwiło sporządzenie kompletnego tajnego słownika funkcjonariuszy SB.

SYSTEM OSTRZEGANIA KONSPIRATORÓW

We współpracy z innymi działaczami Solidarności Walczącej, głównie naukowcami Politechniki Wrocławskiej, Pawłowski skonstruował system, zapewniający podsłuch wszystkich kontaktów radiowych wszystkich służb na terenie Wrocławia i okolic. Działał on od roku 1982 do początku lat dziewięćdziesiątych bez przerwy, 24 godziny na dobę. Rozmiar zadania wiązał się z koniecznością zaangażowania osób prowadzących nasłuch, nadzorujących i rozbudowujących urządzenia elektroniczne, deszyfrujących nieustannie nagrywane materiały z podsłuchu. Owocem tej mrówczej pracy było codzienne sporządzanie listy obiektów i osób, znajdujących się pod obserwacją. Nie wszystkie śledzone przez SB osoby udawało się zidentyfikować i natychmiast ostrzec. Dlatego informacje, zawierające przechwycone z nasłuchu rysopisy oraz godziny i miejsca przemieszczania się śledzonych, drukowane były w gazetkach, przeznaczonych dla działaczy podziemia. To z tych ciągle powielanych tajnych karteczek niezliczoną ilość razy wielu konspiratorów dowiadywało się, że jest „na oku SB”. Korzystając z tego ostrzeżenia unikano wytropienia lokali i współpracowników oraz rozpoznania konspiracyjnych powiązań. Szczególną uwagę ludzie Pawłowskiego przywiązywali do ruchów SB w dniach spotkań gremiów przywódczych Solidarności Walczącej oraz Kornela Morawieckiego z innymi działaczami opozycji. W ciągu sześciu lat operacji służb, mających na celu schwytanie Morawieckiego, miało miejsce około dwóch tysięcy takich spotkań i z każdym wiązało się pilne obserwowanie ruchów komunistycznych służb. W przypadku rozpoznania ryzyka – do spotkania nie dochodziło. Co naj-

mniej kilka razy, dzięki nasłuchowi radiowemu, w osobach mających spotkać się z przewodniczącym Solidarności Walczącej rozpoznano agentów SB. Dzięki dokumentom, znajdującym się dziś w IPN wiadomo też o przypadku, w którym agent działający w rozpracowanej przez SB rzeszowskiej strukturze Solidarności dotarł na spotkanie z Morawieckim. Było to możliwe w wyniku tego, że w rejonach przemieszczania się agenta nie towarzyszyli mu funkcjonariusze SB, którzy też nie prowadzili w związku z jego działaniem łączności radiowej. Skutkiem tego doszło do rozmowy z Morawieckim, ale agent nie potrafił nic powiedzieć ani o jej miejscu, ani o ludziach, towarzyszących mu w drodze na to spotkanie. Z jego zachowanej w IPN relacji dowiedzieć się natomiast można o metodach, jakimi Solidarność Walcząca zapewniała bezpieczeństwo spotkań swojego przewodniczącego. Człowiek, który potem został rozpoznany jako agent SB opowiadał, że z dworca został zabrany samochodem. Po przewiezieniu do nieznanego mu części miasta opiekę nad nim przejęli kolejni nieznanymi mu ludźmi, znów wiozący go kolejnym pojazdem. Mimo, że operacja taka została powtórzona parokrotnie, przesiadanie się do kolejnych samochodów zawsze zorganizowane było w sposób uniemożliwiający mu spojrzenie na tablice rejestracyjne. Do miejsca spotkania z Morawieckim wprowadzany był natomiast podwórkiem i bramą, pozbawionymi numerów, nazw ulicy i jakichkolwiek innych elementów, umożliwiających rozpoznanie miejsca. Agent potrafił potem jedynie powiedzieć, że miejscem spotkania było mieszkanie w najbardziej typowym blokowisku i zapewne musiało to być daleko od dworca, gdyż po spotkaniu ludzie z organizacji Morawieckiego wieźli go na ten dworzec wieloma ulicami przez ponad pół godziny. W rzeczywistości spotkanie miało miejsce w mieszkaniu Marianny Żabińskiej przy ul. Komandorskiej, czyli o przysłowiowy rzut beretem od dworca.

KONSPIRACJA O CHARAKTERZE OFENSYWNYM

Permanentne kontrolowanie łączności radiowej służb, wraz z rozpoznawaniem ich funkcjonariuszy, agentów, informacjami pochodzącymi od współpracowników SW działających np. w szeregach wrocławskiej SB sprawiło, że Solidarność Walcząca okazała się być częścią opozycji najbardziej odporną na wszelkiego rodzaju działania operacyjne. Równocześnie, jak wynika ze sprawozdania z zawieszenia działań operacyjnych przeciw Solidarności Walczącej, sporządzonego przez MSW w kwietniu 1990, organizacja Kornela Morawieckiego nie tylko nie została osłabiona represjami czy infiltracją. Pomimo skali działań, jakich nie podjęto przeciw żadnej innej organizacji, SB nie znała na-

wet składu przywódczych jej gremiów. Kilkudziesięciostronicowy raport, sporządzony m.in. przez najbardziej elitarne jednostki PRL-owskich służb, czyli Biuro Studiów MSW i Inspektorat II (powołany do zwalczania najpierwszych przeciwników reżimu) zawiera natomiast mnóstwo ustaleń błędnych i jest dowodem na to, że ogromne obszary organizacji dla jej tropicieli do końca pozostawały istną „czarną magią”.

W roku 1985 kierujący wszystkimi PRL-owskimi służbami gen. Czesław Kiszczak stwierdził, że brak sukcesów w zwalczaniu organizacji musi być wynikiem zinfiltrowania wrocławskiej Służby Bezpieczeństwa przez Solidarność Walczącą. W wyniku zarządzanej przez niego czystki wydalono ze służby kilkudziesięciu funkcjonariuszy, wśród których nie było jednak nikogo z wtyczek SW. Kolejnymi decyzjami Kiszczaka było bezprecedensowe zarządzenie „użycia wszystkich sił i środków” przeciw Solidarności Walczącej oraz zwrócenie się do służb specjalnych NRD. W jego następstwie Stasi otrzymało nieograniczoną zgodę na prowadzenie działalności operacyjnej na terenie zachodniej Polski. W roku 1986 z Warszawy do Wrocławia skierowany został specjalny oddział MSW, mający zakaz kontaktowania się z dolnośląską SB. Jego pojawienie się kierowany przez Pawłowskiego Kontrwywiad odkrył natychmiast. Główną siedzibą specjalnej jednostki Kiszczaka były dwa piętra jednego z hoteli. Pawłowski wraz ze swymi ludźmi ustalił, że zasadniczą metodą jej działania jest permanentna obserwacja dużej ilości obiektów, podejrzewanych jako miejsca, w których pojawić się może Kornel Morawiecki. W ocenie Kontrwywiadu skala operacji była olbrzymia. W rzeczywistości – była jeszcze większa. Znając bowiem skuteczność i skalę prowadzonego nastuchu specjalna jednostka Kiszczaka radykalnie ograniczyła posługiwanie się kontaktem radiowym. Od czasów walki z oddziałami żołnierzy niezłomnych analogicznej skali działań ani podobnych środków reżim komunistyczny nie podejmował przeciw żadnemu ze swoich przeciwników. Żadnego z nich nie zdefiniował też tak, jak Solidarność Walczącą, którą określił jako konspirację o charakterze ofensywnym.

Dużą część sukcesu organizacji była zasługą jej Kontrwywiadu, potrafiącego na bieżąco rozpoznawać wielką część ruchów przeciwnika. Jeśli niepodległa Polska chciałaby mieć w najwyższym stopniu profesjonalne, propaństwowe, doświadczone i kreatywne służby specjalne – do ich budowy powinna zaangażować przede wszystkim Jana Pawłowskiego i jego współpracowników. Ułomna państwowość, w 1989 roku wypoczwarczająca się z PRL-u uważała jednak inaczej. Swój Urząd Ochrony Państwa okrągłostołowe rządy wołały formo-

wać z funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa, jakże zasłużonej w krzywdzeniu obywateli i zwalczaniu polskiej niepodległości. Poza fikcją rzekomych weryfikacji do osobników ze starej bezpieki dodano nieco ludzi wywodzących się z kręgów demokratycznej opozycji. Kręgów nie mających żadnego doświadczenia walki podziemnej i mocno zinfiltrowanych agenturą. Z potencjału ludzi takich, jak Jan Pawłowski, zdecydował się skorzystać dopiero rząd Jana Olszewskiego. Szybki powrót do władzy postkomunistów sprawił, że owa próba nadanie w latach dziewięćdziesiątych służbom charakteru godnego polskiego państwa okazała się epizodycznym wyjątkiem potwierdzającym regułę.

Przedwcześnie zmarły w roku 2005 Jan Pawłowski powinien być w Polsce pamiętany jako niezmordowany i niezwykle skuteczny bohater niepodległościowej konspiracji. W wielkiej mierze to jemu zawdzięczamy to, że zamiast kolejnych setek więźniów politycznych mieliśmy w Polsce setki tytułów podziemnej prasy, wraz z mnóstwem innych podziemnych aktywności rozsadzających monolit totalitarnego zniewolenia.

SKĄD ONI SIĘ WZIĘLI?

Realia, w których żyjemy od kilkadziesiąt lat, są w ogromnej mierze anormalne. Jak to przecież jest możliwe, że za elity państwa w dużej mierze uchodzić mogą kręgi konsekwentnie działające na jego szkodę? Jak możliwe było to, że środowiska stanowiące antypolski margines polskiego społeczeństwa mogły przez pół wieku sprawować władzę i do dziś nie utracić uprzywilejowanej pozycji?

PRZYPOMNIJMY O ELEMENTARNYCH FAKTACH

Organy postkomunistycznej propagandy, kuriozalnie nazywane „mediami głównego nurtu” niezliczoną ilość razy publikowały łzawe opowiadki o przedwojennych komunistach, przedstawianych jako romantyczni idealisci, rzekomo pragnący lepszej Polski i lepszego świata. Oszczerstwa te nie mają grama związku z prawdą. Komunistyczna Partia Polski (podobnie jak Komunistyczna Partia Zachodniej Ukrainy i inne podobne im bandy) w samym swym programie miała rozbiór Rzeczypospolitej. De facto – unicestwienie naszej państwowości. Większość jej członków wywodziła się z mniejszości narodowych, pozostali rekrutowali się z szumowin kierujących się wyłącznie interesem osobistym. A zarządzana z Moskwy KPP była przez Sowieców finansowana bardzo hojnie, każdy członek tej bolszewickiej sitwy z tytułu uczestnictw w niej miał możliwość życia na dobrym poziomie. Przekonany też był, że jeśli za sprawą Armii Czerwonej program KPP zostanie zrealizowany, osobista przyszłość będzie miała standardy książęce.

Perspektywy te zachwiały się po opublikowaniu książki Jana Alfreda Reguły „Historia KPP”. Ukrywający się pod pseudonimem autor bez wątplenia był oficerem polskich służb specjalnych, rozpoznającym od środka działalność KPP. Moskiewscy szefowie polskich komunistów, po przeczytaniu książki J.A. Reguły, doszli do wniosku, że ich agenturalna partia w Polsce jest całkowicie rozpracowana przez polskie władze i w ogromnym stopniu składa się z funkcjonariuszy polskiego kontrwywiadu. Zapewne w dużej mierze było to prawdą. Zdaniem prof. Pawła Wieczorkiewicza polskim agentem był np. jeden z liderów KPP Marian Buczek, który we wrześniu 1939 zginął bardzo nie-

typową dla komunistów śmiercią – po zwolnieniu z więzienia stanął do walki z najeźdźcami i poległ pod Ożarowem.

Wnioskiem Kominternu (czyli po prostu – Stalina) z lektury książki J.A. Reguły była jednak konieczność rozwiązania KPP. A w języku bolszewików rozwiązanie – oznacza zarazem rozstrzelanie wszystkich członków. Tak się też stało z wszystkimi członkami KPP, którzy przyjęli od Kominternu zaproszenie i przyjechali do Moskwy. Przeżyli członkowie partii mający mniej zaufania do swych szefów oraz ci, którzy za działalność, mającą na celu likwidację państwa polskiego, siedzieli w polskich więzieniach.

NOWA REKRUTACJA KOMUNISTÓW

Dekretem prezydenta Mościckiego z 2 września 1939 z więzień i aresztów śledczych wyszło na wolność ponad 80 tys. więźniów, w tym wiele tysięcy bardzo groźnych przestępców. Wielka ich część natychmiast powróciła do swojego bandyckiego rzemiosła, do czego w okupacyjnych realiach kryminaliści warunki mieli idealne. Nieśłusznie zapomnianym faktem jest dziś to, że do najbardziej zasadniczych celów utworzonej w 1939 roku Narodowej Organizacji Wojskowej, tak jak formowanych od 1940 Batalionów Chłopskich należała ochrona polskiej ludności nie tylko przed okupantami, ale i przed bandami. Wypuszczonych z więzień kryminalistów, poza polską konspiracją niepodległościową, nie ścigał bowiem nikt. To z nich rekrutowała się większość szmalcowników oraz gangi codziennie napadające na mieszkańców Warszawy i wszystkich innych miast. Bandy kryminalistów największy problem stanowiły na terenach wiejskich, sąsiadujących z większymi kompleksami leśnymi. Banda braci Bielskich istne Eldorado stworzyła sobie w Puszczy Nalibockiej. Nie wchodziła w drogę Niemcom, stąd i w żaden sposób przez nich nie nękana aż do 1944 roku żyła luksusowo, dokonując w wioskach na wielką skalę mordów, rabunków i masowych gwałtów. Miliony polskich rodzin przez lata okupacji żyły w zagrożeniu nie tylko ze strony Niemców, ale i bandytów. Co najmniej do roku 1942 najważniejszym zadaniem, realizowanym przez Bataliony Chłopskie, wcale nie była walka z Niemcami. Podejmowano ją tylko w ostateczności, gdyż odwetem było najczęściej mordowanie całych miejscowości, włącznie z kobietami i dziećmi. W pierwszych latach okupacji Bechowcy zajmowali się przede wszystkim staniem na straży bezpieczeństwa wiosek. Wiele tysięcy Polaków zawdzięcza im ocalenie od śmierci, gwałtu i rabunku.

Nowy etap w historii ruchu komunistycznego w Polsce rozpoczął się po wybuchu wojny niemiecko – sowieckiej. Głównym celem Stalina po pokona-

niu Hitlera było całkowite podporządkowanie sobie Polski. Niezbędne do tego było sformowanie na terenie okupowanego kraju jednostek, mających w jak największym stopniu „oczyścić” teren ze struktur Polskiego Państwa Podziemnego i wszelkiego rodzaju konspiracyjnych sił zbrojnych, polskich patriotów i państwowców. W tym celu do polskich lasów sowieckie samoloty zrzucały spadochroniarzy, mających przede wszystkim wykonać jedno zasadnicze zadanie. Było nim dotarcie do hersztów band leśnych i złożenie propozycji nie do odrzucenia. Przywódców band informowano, że wkrótce Polska zostanie zajęta przez Armię Czerwoną, która dokona eksterminacji wszystkich, którzy się jej nie podporządkują. Zarazem podporządkowanie się jej już w okresie okupacji niemieckiej i wykonywanie jej poleceń oznaczało będzie nie tylko brak kary i zachowanie łupów z wszystkich zbrodni, ale też gwarancję uprzywilejowanej pozycji i kariery w „wyzwolonej” Polsce. Tym sposobem bandy kryminalistów zaczęły przeobrażać się w Polską Partię Robotniczą i związane z nią formacje zbrojne. Ich rzeczywistym celem nie była walka z Niemcami, ale zadanie maksymalnych strat Armii Krajowej. Jedną z metod było wysyłanie donosów na Gestapo. A w związku z ogromną ilością wysyłanych donosów – dochodziło do pomyłek. Omyłkowe zadenuncjowanie lokalu PPR zamiast AK (adresy były podobne) doprowadziło do porachunków w łonie samego PPR-u (bracia Mołojcowie zamordowali wtedy sekretarza PPR Nowotkę).

Typowym przykładem przekształcania band leśnych w komunistyczne szwadrony śmierci jest działalność sowieckiego agenta Stefana Kilanowicza, który już w PRL-u, jako Grzegorz Korczyński, jeden z paru najwyższych rangą generałów Ludowego Wojska Polskiego, był głównodowodzącym masakra robotników Wybrzeża. W roku 1942 został przerzucony do okupowanej Polski, zjednoczył pod swoją komendą kilka band i do końca wojny prowadził działalność bardzo wieloraką. Walkę z AK i pacyfikowanie sprzyjających jej wiosek łączył z tropieniem, rabowaniem i mordowaniem ukrywających się zamożnych Żydów. W związku ze skalą podporządkowanych sobie, uzbrojonych sowieckimi zrzutami oddziałów wchodził też jednak w zbrojne konfrontacje z Niemcami. Starcia te, odpowiednio wyolbrzymione, do dziś eksploatowane są przez komunistyczną propagandę.

DWIE FRAKCJE WŁAŚCICIELI POLSKI LUDOWEJ

Związek Sowiecki, od 1944 roku konstruujący niby – państwowy, całkowicie od siebie uzależniony byt, zwany Polską Ludową, jego zarządców pozyskiwać mógł głównie z dwóch zasadniczych zasobów. Pierwszym był społecz-

ny margines polskiej narodowości, niziny złożone z podatnych na propagandę, pragnących wzbogacenia się i awansu analfabetów i pół-analfabetów. Z nich sformowana została ta część partii komunistycznej, którą przez dziesięciolecia po cichu nazywano „chamami”. Drugi zasób sformowany był z mniejszości narodowych, w większości przywiezionych ze Związku Sowieckiego, Polskę postrzegających jako byt całkowicie obcy. W związku z tym, że komunistom tym nasz kraj kojarzył się z niegdysiejszą (czyli – także potencjalną) potęgą, z bastionem chrześcijaństwa i zatrzymującym ich pochodź zwycięstwem nad bolszewikami w roku 1920 – często Polskę i Polaków darzyli oni bezbrzeżną nienawiścią. W związku z przeważającym składem etnicznym tej grupy frakcję tę powszechnie nazywano „żydami”.

Jako główne narzędzie swej władzy w Polsce w roku 1944 Sowieci wybrali komunistyczną frakcję „żydów”. Powszechne nazywanie ich rządów „żydokomuną” było trafne i uzasadnione. To w tej części PPR – u (a potem PZPR-u) niewspółmiernie więcej było ludzi o umysłowym potencjale, umożliwiającym sformowanie komunistycznego aparatu propagandy i służb dyplomatycznych, skomunizowanie polskich szkół i uczelni czy ośrodków kultury. Nade wszystko jednak Sowieci uznali, że powierzenie głównego steru rządów ludziom Polakom narodowo obcym a nawet Polsce wrogim dawało im namiestników najbardziej posłusznych a zarazem w stosunku do narodu polskiego skrajnie bezwzględnych. Nie oznaczało to krzywdy zepchniętej do drugiego szeregu frakcji „chamów”, z której rekrutowało się wielu mniej ważnych ministrów, wojewodów, dygnitarzy partyjnego aparatu.

PORAŻKA FRAKCJI „ŻYDÓW” I NARODZINY POSTKOMUNISTYCZNYCH DYSYDENTÓW

W rywalizacji o rządzenie „chamy” permanentnie ścierały się z „żydami”. Do jednego z większych starć doszło w kryzysowym roku 1956. Porażka „żydów” wydarzyła się dekadę później. Kiedy Związek Sowiecki ostatecznie przekonał się o przejściu Izraela na stronę państw świata zachodniego w całym obozie socjalistycznym dygnitarze narodowości żydowskiej popadli w niełaszkę. Po dwudziestu latach sowieccy nadzorcy mieli też już alternatywę – frakcje „chamów” dorobiły się już kadr, jakimi można było zastąpić „żydów”. Sygnałem do wewnątrzpartyjnej rozprawy była wojna sześciodniowa z 1967 roku. Wielu polskich komunistów żydowskiego pochodzenia zachowała jednak stanowiska. Część nie chciała żyć w Polsce po utracie przywilejów. Często wyjeżdżała jednak wraz z towarowymi wagonami pełnymi cennych ruchomości. Część

pozostała w kraju, licząc na powrót koniunktury, która znów uprzywilejuje ich środowiska i wyniesie je do władzy. Wielu ludzi, którzy z aparatem władzy rozstali się w okolicach roku 1967, zaczęła formować dysydenckie środowiska, zwane „lewicą laicką”. W roku 1980 włączyły się one w ruch Solidarności. Kręgi nawet jeśli mające za sobą przeszłość opozycyjną, ale wywodzące się z komunistycznej nomenklatury, były ruchowi Solidarności organicznie obce. Klimat panujący w polskim społeczeństwie po triumfie Sierpnia sprawił jednak, że niegdyśszych stalinowskich fundamentalistów czy funkcjonariuszy wysokiego szczebla, odtrąconych przez swych partyjnych towarzyszy – Solidarność przyjmowała z otwartymi ramionami. Powszechnie uważano, że „nie ważne, że kiedyś służyli interesom sowieckim – dziś są po naszej stronie!” Ich pozyskiwanie Solidarność poczytywała sobie za przejaw własnego sukcesu, historycznego przełomu, owoc narodowego pojednania. Zaprawionym we frakcyjnych rozgrywkach, przebiegłym aparatczykom taka dobroduszość umożliwiła zdobycie dość znaczącą pozycji w rodzącym się niezależnym ruchu społecznym. A komunistyczna propaganda swych niedawnych komunistycznych towarzyszy kreowała na rzekomych radykałów. Co oczywiście zwielokrotniało sympatię dla „solidarnościowców z odzysku” i umacniało ich pozycję w związku. W rzeczywistości byli to ludzie często rodzinnie i towarzysko bardzo blisko związani z osobami ciągle sprawującymi władzę z sowieckiego nadania. Kiedy więc pozostająca przy władzy konkurencyjna frakcja komunistów doszła do wniosku, że nie jest w stanie zapobiec ostatecznej katastrofie gospodarki – partnerów do porozumienia znalazła przede wszystkim w swoich niegdyśszych towarzyszach. Dzielącym się władzą zapewniło to bezpieczeństwo przed odpowiedzialnością za niezliczone zbrodnie, przywilej uwłaszczenia się na narodowym majątku a także perspektywę powrotu do pełni władzy już z mandatem demokratycznego wyboru.

TO, CO NAJWAŻNIEJSZE, ZOSTAŁO PO STAREMU

Porozumienie swoich ze swoimi, dzięki przytłaczającej przewadze medialnej wykreowane na rzekomy historyczny przełom, pozostawiło nietkniętymi najbardziej strategiczne obszary życia państwa i społeczeństwa. Finansową elitą kraju stali się komunistyczni funkcjonariusze. Bezkarność zbrodniarzy i grabieżców narodowego majątku zagwarantowały sądy od czasów komunistycznych nie muśnięte choćby śladową zmianą. Nietknięty lustracją i dekomunizacją pozostał świat mediów, kultury, wyższych uczelni. Nawet w służ-

bach, „zasłużonych” tylko i wyłącznie terroryzowaniem narodu, przez kilkanaście lat, poza nazwą, nie zmieniło się prawie nic.

Eksterminacja prawdziwych polskich elit w latach czterdziestych i pięćdziesiątych oraz kilkadziesiąt lat propagandy nie pozostały bez skutków w świadomości milionów Polaków. Od zainstalowania w Polsce obcego jej reżimu minęły pokolenia, ale kolejne generacje właścicieli Polski Ludowej miały przecież następców, dziedziczących majątki, wpływy, miejsce w sitwie gwarantującej przywileje. Dzieci i wnuki odziedziczyły nie tylko zasoby, ale też mentalność kasty, do której przynależą.

Dzisiejszą sytuację polityczną definiuje się często jako „walkę trzeciego pokolenia UB z trzecim pokoleniem AK”. Rzadko jakieś uproszczenie tak trafnie oddaje prawdę, równie dokładnie definiuje istotę rzeczywistości.

„Obywatelska”, wrzesień 2019

DWIE LINIE ESBECCI

Każdy, kto za PRL-u był choćby czytelnikiem nielegalnie wydawanej „bibuły”, musiał się liczyć z działalnością osób pracujących dla służb komunistycznego reżimu.

Wtedy przyjmowało się, że służby te to SB. Nieliczni zdawali sobie sprawę z tego, że obok Służby Bezpieczeństwa w celu zwalczania wszelkiego rodzaju form społecznego oporu aktywnie działa także wojskowy wywiad i kontrwywiad, Wojskowa Służba Wewnętrzna, niejawni współpracownicy Milicji Obywatelskiej, cywilni funkcjonariusze ORMO, kilka innych służb (np. graniczna) a jak się coraz częściej przekonujemy także służby zagraniczne, z KGB, GRU i enerdowskim Stasi na czele.

Pozostajemy jednak przy działalności „zwykłej” SB. Dzięki działalności Instytutu Pamięci Narodowej dowiedzieć się dziś o niej możemy całkiem sporo. Celem konfrontacji naszych niegdysiejszych wyobrażeń warto zajrzeć do wydawanych przez IPN książek, złożonych z dokumentów tzw. SOR – ów, czyli Spraw Operacyjnego Rozpracowania. Nawet pobieżna lektura tych publikacji prowadzi do wniosku, że wiele niegdysiejszych wyobrażeń o pracy SB niezbyt przystawało do rzeczywistości. W latach osiemdziesiątych krążyło np. mnóstwo opowieści o wszechobecnych środkach technicznych, głównie w postaci ukrytych kamer i podsłuchów. Z zachowanych dokumentów okazuje się jednak, że zdecydowanie największą rolę odgrywały osobowe źródła informacji. Jest to zresztą logiczne. Kilometry nagranych taśm trzeba przecież pracownie odsłuchiwać, odszyfrowywać, poddawać analizie. Natomiast wynajęty agent potrzebne informacje potrafi po prostu – zdobyć. Sam też potrafi „oddzielić ziarno od plew”, przekazując materiały dotyczące konkretnego „zadanego tematu”. Funkcjonariusze SB, zawsze trzymający się zasady pozyskiwania informacji na jeden temat z co najmniej dwóch, nawzajem o sobie nie wiedzących tajnych źródeł, zawsze mogli mieć pewność posiadania wiadomości prawdziwych. Działalność SB oraz spokój właścicieli PRL-u oraz ich sowieckich mocodawców – stały więc na osobowych źródłach informacji. Czyli – na ludziach pracujących dla SB w charakterze TW (tajnych współpracowników), OZ (osób zabezpieczenia czy osób zaufanych) albo agentów zakwalifikowanych do agencji innymi oznaczeniami.

W roku 1984 lub 1985 byłem niemal świadkiem próby zwerbowania przez SB jednej z koleżanek z mojego roku. Koleżanką tą była dziewczyna, którą scharakteryzowałbym jako jedną z tych „bardziej prostych i nieco – „zahukanych”. Żadna przebojowa, szalona buntownica ani też nie córeczka z profesorskiego domu. Do Wrocławia przyjechała z jednego z dalekich małych miasteczek, chyba należała do pierwszych w jej rodzinie osób mających maturę. Robiła wrażenie jakby nieco przestraszona i nawet się zastanawiałem: czego? Dużego miasta, nowego dla niej środowiska, uczelni? Wyróżniała się nadzwyczaj sumiennym przygotowaniem do wszystkich zajęć, na które przychodziła nawet z objawami poważnej grypy. Kiedy więc pewnego dnia w ogóle nie przyszła ani na poranny lektorat a wykład profesora, o którym wszyscy wiedzieli, że „kto do niego na wykłady nie chodzi ten u niego nigdy nie zdaje”, od razu wiedziałem, że musiało się u niej wydarzyć coś naprawdę nadzwyczajnego. W żaden sposób tą dziewczyną się nie interesowałem, ale zwyczajnie po ludzku się zaniepokoiłem, że ze znaną mi osobą chyba musiało się coś stać. Koło południa mieliśmy tzw. „okienko” w rozkładzie zajęć i wtedy ją zobaczyłem. Szybkim krokiem kierowała się do jednego z zakątków uczelni, w których zwykle można było zaznać samotności, albo porozmawiać bez świadków. Z trudem panowała nad emocjami, dosłownie drżała. Na moje pytanie „czy coś się stało?” długo nie odpowiadała. Nie prosiła jednak, bym o nic nie pytał ani nie mówiła, że wszystko w porządku. Kiedy spytałem, czy może mógłbym w czymś jej pomóc zobaczyłem, że toczy jakiś wielki wewnętrzny bój z własnymi myślami. Po długiej chwili i upewnieniu się, że nikt tego nie usłyszy, zaczęła mówić głosem stłumionym, choć jej słowa były jak dławiony krzyk. Wyglądała tak, jakby chciała coś z siebie wyrzucić a zarazem wie, że nawet ciche słowo na ten temat wiązać się dla niej może z niebezpieczeństwem.

– Dobrze, powiem ci, ale rozumiesz, że oni mi tego surowo zabronili – wyrzuciła z siebie a ja słysząc „oni” zacząłem rozumieć, co się stało. Od początku tej rozmowy czułem się trochę jak psychoterapeuta a teraz dowadywałem się o znamienym zdarzeniu. Kontynuowała:

– Byłam na SB! Musiałam iść, bo dostałam wezwanie! Ty wiesz, że oni wszystko o mnie wiedzą! Rozumiesz? Oni wszystko w najdrobniejszych szczegółach wszystko wiedzą!

Dopytałem, co takiego o niej wiedzą. Dziewczyna odpowiedziała, że wiedzą wszystko o jej rodzinie, kto czym się zajmuje, że brat miał pewne kłopoty, że rodzice od lat starają się o większe mieszkanie i wiedzą nawet to,

że niedawno zmieniła fryzurę. Mówiąc to wyglądała ma przerażoną, roztrzęsioną, niemal zaszczutą. Objawy chyba typowe dla osoby dotąd mającej wrażenie, że przez mało kogo jest zauważana i nagle odkrywającej, że jest permanentnie przez kogoś inwigilowana, że ktoś zna każdy jej ruch. Mi jednak ta sytuacja wydawała się na tyle prosta, że potrafiłem jej ją wyjaśnić:

– Spokojnie, nie ma w tym niczego nadzwyczajnego. Esbecja chce mieć swoje wtyczki w każdym środowisku, więc bez przerwy ich szuka. Wzywa różnych ludzi i chce na nich zrobić wrażenie swoją rzekomą omnipotencją. Zebrali trochę informacji na twój temat. W przypadku każdego człowieka jest to proste jak drut. Poprosili bezpieczeniaków z twojego miasta o zwykłe, urzędowe informacje o twojej rodzinie. Mieli twoją fotografię sprzed roku czy dwóch, kiedy robiłaś zdjęcie do dowodu osobistego, i stąd wiedzą, że miałaś wtedy inną fryzurę. To nic niezwykłego, tyle wiedzą o każdym a chcieli na tobie zrobić wrażenie swojej wszechmocy. Co ci jeszcze mówili?

– Gadali ze mną prawie trzy godziny. Kilku, jeden najdłużej. Tłumaczył, że każde państwo o różnych sprawach musi wiedzieć. Że na Zachodzie też służby to robią, bo to normalna rzecz w każdym państwie. Mówili, że nie chodzi im o to, żeby komuś zrobić krzywdę, ale żeby różni nieodpowiedzialni młodzieńcy sami sobie krzywdy nie zrobili. Ich zdaniem sytuacja w Polsce jest dawno opanowana, że już nie muszą nikomu w żaden sposób zaszkodzić, bo i tak nikt już nie jest dla państwa groźny. Mówili, że wszystko całkowicie mają pod kontrolą, ale dmuchając na zimne, na wszelki wypadek, bo dodatkowe potwierdzenie dobrze im znanych informacji im nie zaszkodzi. No i że każdy obywatel Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej jest zobowiązany do wspierania organów, powołanych do dbania o bezpieczeństwo państwa, w którym żyje.

Wyjaśniłem jej, że to standardowe esbeckie kity i że nie istnieje żadne prawo, mogące kogokolwiek zmuszać do donosicielstwa. Dziewczyna wyraziła się naszą rozmową uspokoiła. Na pytanie, czy coś podpisywała, odpowiadała wymijająco mówiąc, że „nie, nie będę z nimi współpracować”. W późniejszym czasie próbowałem z nią jeszcze o tym rozmawiać, ale zawsze już uciniała temat. Odpowiadała, że nigdy więcej nie miała ani wezwań ani spotkań. Nigdy też nie widziałem jej już w podobnych nerwach, jak tamtego dnia. Nigdy też nie widziałem jej w żadnych okolicznościach, przyciągających ludzi sympatyzujących z przeciwnikami reżimu. Bywając na spotkaniach z pisarzami niezbyt lubianymi przez władze czy na mszach świętych dla studentów nawet się rozglądałem, czy jej nie ma. Nigdy jej w takich miejscach nie widywałem. Przypusz-

czałem więc, że współpracy z bezpieką nie podjęła. Oznaczać to jednak mogło, że SB zdołała zwerbować innych studentów mojego roku. Tylko – których?

Wielu zapewne pamięta takich ludzi, o których chyba wszyscy wiedzieli, że są oni agentami SB. Któres z podziemnych pism NZS-u Uniwersytetu Warszawskiego zamieściło nawet fotografię takiego szwendającego się po uczelni tajnego współpracownika bezpieki. W latach osiemdziesiątych na Uniwersytecie Wrocławskim takim studentem dość powszechnie znanym jako współpracownik SB był pewien łysawy facet o dość pospolitym nazwisku (nie wymienię, by nie rzucać ewentualnych podejrzeń na Bogu ducha winnych ludzi, którzy też je noszą). Pamiętam sporo takich sytuacji, w których np. staliśmy w kilkuosobowym gronie, oglądając książki drugiego obiegu, które ktoś właśnie oferował do sprzedaży. Człowiekiem przynoszącym takie książki najczęściej był student noszący rzadkie nazwisko, nazwijmy go „Apacz”. Kiedy np. „Apacz” sprzedawał książki a w pobliżu pojawiał się „on” – niepostrzeżenie wszystkie książki łądowały w plecaku a nasza grupka udawała, że pochyla się nad notatkami, skryptami, albo że opowiada sobie kawały. Po chwili „on” zniknął za rogiem i wtedy z ulgą w głosie ktoś mówił: „W porządku, już poszedł”. Po czym proceder oglądania i sprzedaży zakazanej literatury ruszał od nowa. A wszyscy jego uczestnicy z wyrazem politowania na twarzach myśleli sobie: „Jakaż ta bezpieka głupia, takich głupich szpicliów tu nam wysyła a my i tak wszyscy ich znamy”. I oczywiście każdy z nas był zadowolony ze swej przenikliwości, usatysfakcjonowany swym małym „zwycięstwem nad bezpieką”, swoim „intelektualnym dominowaniem nad służbami reżimu”. Bo oczywiście to my byliśmy w tych rozgrywkach mądrzejsi, sprytniejsi, lepsi.

Kiedy w 1988 roku mieliśmy na uczelni strajk okupacyjny straż strajkowa tego powszechnie znanego agenta wyprosiła za drzwi. Pamiętam, jak bardzo wolnym krokiem oddalał się od drzwi. Na twarzy malował mu się wtedy wyraz jakby lekkiej pogardy czy politowania. Ten jego wyraz twarzy trochę mnie wtedy zastanowił i na długo został mi w pamięci. I jakoś nie udzielił mi się wówczas entuzjazm kolegów mówiących, że „zdekonspirowaliśmy esbeka, pozbyliśmy się go”. Gmach Wydziału Filologicznego pełen był wtedy studentów. Jedną z ważniejszych ról w tych wydarzeniach odgrywał „Apacz” – jeden z głównych dostawców drugoobiegowych książek, organizator spotkań z ludźmi opozycji, słynący z rozległych kontaktów w jej kręgach.

Po wielu latach Wojtek Sawicki, pracujący w Pionie Archiwalnym IPN-u, zadzwonił do mnie z informacją, że trafił na szczątkowe dokumenty dotyczą-

ce kogoś, kogo chyba znam. Okazało się z nich, że „Apacz” był agentem najbardziej elitarnego Inspektoratu Drugiego MSW. W dokumentach tzw. „workowych”, czyli już spakowanych w celu zniszczenia, ale jakimś przypadkiem ocalałych, nie zachowała się historia współpracy. A przynajmniej nie została do-
tąd odnaleziona. „Apacz” miał jednak aż dwa kryptonimy – „Kułak” oraz „Kulis”, co przemawia za długim okresem działania na rzecz SB. Zachowane kartki dokumentów wymieniają też oficera prowadzącego, którym był kapitan Krymuza, przez ludzi podziemia znany jako jeden z przeciwników najbardziej niebezpiecznych.

Nazwiska „Apacza” nie wymienię. Nosi je bardzo niewiele osób a pracy dla SB oddał się spośród nich zapewne tylko on jeden. On – przez lata przez tak wielu podziwiany jako wielki człowiek opozycji, przyjaciel powszechnie znanych bohaterów, nieustrudzony dostawca wolnego słowa, nieustraszony bojownik. To on do ludzi, którym sprzedawał nielegalne książki wiele razy mówił: „uwaga, ten tajniak idzie”. W rzeczywistości znany wszystkim tajniak powołany był tylko i wyłącznie do tego, by swoją rozpoznawalnością dawać satysfakcję ludziom związanym z opozycją. By usypać ich czujność. Ta linia esbeków, którą reprezentował, nie była groźna. Naprawdę groźna była ta linia esbeków, którą reprezentował „Apacz”. A sądząc po ilościach tajnych współpracowników SB, od 1989 roku wypełniających kolejne kadencje sejmu, senatu, składy rządów, zarządy i redakcje największych mediów i inne strategiczne gremia to wnioskować można, że linia reprezentowana przez „Apacza” wcale nie była jeszcze tą najgroźniejszą.

Solidaryzm, 2020



OSOLSKI AZYL U JĘDRKA STADNICKIEGO

W 1974 roku Andrzej Stadnicki miał 28 lat i był pracownikiem naukowym poznańskiej Akademii Medycznej, w której prowadził węzłowy wówczas dla tej uczelni temat termografii. W związku z zamiarem odwiedzenia krewnych, mieszkających we Francji, złożył wtedy podanie o paszport. A kiedy otrzymał odmowę poprosił o jej uzasadnienie, które brzmiało mniej więcej tak: „Wnioskujący o paszport jest naukowcem tak wysokiej klasy a zarazem specjalistą takiej dziedziny, że jest wielce prawdopodobnym, iż po znalezieniu się na obszarze któregośkolwiek z państw zachodnich będzie adresem propozycji zatrudnienia z bardzo atrakcyjnymi warunkami finansowymi oraz co najmniej równie atrakcyjnymi możliwościami rozwoju kariery zawodowej”. Odpowiedź Andrzeja Stadnickiego brzmiała następująca: „W związku z tym, że uprawiany przeze mnie zawód oraz moje kwalifikacje zawodowe są przyczyną ograniczenia mojej wolności składam rezygnację z posiadanego stanowiska oraz wykonywanej dotąd pracy”.

Po zwolnieniu się z pracy na uczelni Andrzej Stadnicki wyjechał w Bieszczady, w których przez siedem następnych lat utrzymywał się z wypalania węgla drzewnego, hodowli zwierząt i zbioru runa leśnego. W tym czasie nawiązał też wiele przyjaźni i kontaktów, służących różnym społecznym inicjatywom. W roku 1980 pomagał Wieńczysławowi Nowickiemu utworzyć Solidarność Wiejską. Doprowadził też do powstania NSZZ Solidarność Zbieraczy Runa Leśnego oraz pierwszego spotkania przedstawicieli rządu z Solidarnością Wiejską, jakie miało miejsce w Lesku w kwietniu 1981. W tym czasie był już właścicielem domu w Osolinie, który został mu zapisany przez jego dziadka.

Stan wojenny zastał Andrzeja w Poznaniu, gdzie od razu zaangażował się w organizowanie pomocy dla rodzin internowanych, aresztowa-

nych, wyrzuconych z pracy i zmuszonych do ukrywania się. W tym celu współdziałał z kapłanami z parafii franciszkańskich i dominikańskich a wraz z mec. Alfonsem Juraszkim utworzył Biuro Pomocy Prawnej, świadczące bezpłatne usługi wszystkim, których dotknęły represje związane z wprowadzeniem stanu wojennego. U dominikanów znalazł dla tego biura lokal a wraz z franciszkanami przygotowywał paczki, które rozwoził do potrzebujących.

W Osolinie zamieszkał w czerwcu 1982 i wiele wskazuje na to, że radykalne zmiany miejsca stałego pobytu (Bieszczady, Poznań a w końcu wioska położona 30 km na północ od Wrocławia) oraz to, że ciągle nie był zatrudniony na umowę o pracę (prowadził działalność gospodarczą, polegającą m.in. na hodowli rybek akwariowych) „zniknął z radarów bezpieki”. I w związku z tym, że z żadnymi przejawami aktywności służb się nie spotykał, w swoim domu zaczął gościć działaczy opozycji – poszukiwanych i zmuszonych do ukrywania się. Jednym z pierwszych był nestor niezależnego ruchu ludowego Józef Teliga. Do Osolina dotarł też Wieńczysław Nowicki, który właśnie tam zaczął organizować Ogólnopolski Komitet Oporu Rolników.

Osolski dom Andrzeja Stadnickiego stoi nieopodal lasu, na obrzeżu niewielkiej miejscowości. Zarówno przyjeżdżając tam pociągiem, autobusem, rowerem czy samochodem zawsze ma się dużo możliwości zorientowania się, czy nie ciągnie się jakiegoś „esbeckiego ogona”. Zarazem z centrum Wrocławia dotrzeć do niego można w ciągu godziny. A w związku z tym, że dom Andrzeja zawsze był otwarty dla ludzi zmagających się z komunistycznym reżimem i walczących o niepodległość już w 1982 roku stawał się on istną mekką opozycjonistów, którzy przyjeżdżali, by np. oddychając wiejskim powietrzem podreperować zdrowie po wielomiesięcznym oddychaniu powietrzem więziennym. A że ten typ ludzi beczynności nie lubi szybko rodziły się tam różne konspiracyjne inicjatywy. Jedną z pierwszych było utworzenie punktu kontaktowego a w zasadzie magazynu podziemnych wydawnictw, w którym następowała ich wymiana z przywożonymi przez bieszczadzkich przyjaciół z Polski południowo-wschodniej. Na przełomie 1982 i 1983 roku Wojciech Myśleccki zaproponował Andrzejowi włączenie się w struktury Solidarności Walczącej. W następstwie tego w Osolinie ruszyły szkolenia drukarskie i niemal równocześnie druk pism Solidarności Walczącej i Solidarności Wiejskiej. Pomimo rozrastającej się skali rozmaitej działalności nadal nie pojawiały się jakiegokolwiek sygnały, mogące świadczyć o jakimś zainteresowaniu komunistycznych służb. Zapewne zawdzięczać to należy nie tylko wyjątkowo pod tym względem ko-

rzystnemu położeniu domu, jak też temu, że bywający w nim ludzie podziemia byli konspiratorami najwyższej próby i ani żadna wiadomość o tym miejscu nigdzie nie „przeciekła”, ani też nikt, skutkiem niedostatku ostrożności, nie doprowadził tam żadnych esbeckich obserwatorów. Przez dość długi czas mogli tam więc przebywać i prowadzić swoją działalność m.in. Hanna Chorażyna, prof. Romuald Kukułowicz, prof. Andrzej Wiszniewski, Romuald Lazarowicz, Piotr Medoń i wielu innych. Po przeanalizowaniu wszystkich informacji i okoliczności Kontrwywiad Solidarności Walczącej doszedł też do wniosku, że w miejscu tym Kornel Morawiecki będzie mógł odbyć spotkanie m.in. z Joanną i Andrzejem Gwiazdami oraz Zbigniewem i Zofią Romaszewskimi. Oczywiście dotarcie na miejsce takich osób zawsze było złożoną operacją, do której Solidarność Walcząca używała całego szeregu tzw. śluz oraz sztafety samochodów, które pokonując bardzo przemyślaną trasę były po kolei zmieniane w drodze do miejsca spotkania. Rzeczą jasną Kontrwywiad Solidarności Walczącej pilnie kontrolował wtedy ruch wszystkich pojawiających się w okolicy funkcjonariuszy SB, prowadząc permanentny nasłuch wszystkich częstotliwości radiowych, wykorzystywanych przez wszelkiego rodzaju służby.

Andrzej Stadnicki, nie będący już „pracownikiem naukowym, którego chciałoby zatrudnić wiele zachodnich instytucji naukowych”, w połowie lat osiemdziesiątych dostępował już wyróżnienia, jakim w czasach PRL-u było udostępnianie obywatelowi (choć może raczej należałoby używać pojęcia nie „obywatel”, ale „niewolnik”) paszportu. We Francji spotykał się wtedy nie tylko z Ewą Kubasiewicz, ale też z Rafałem Ganem – Ganowiczem, którego osobiście poznał wiele lat wcześniej. A celem tych spotkań było m.in. przekazywanie przemycanych mikrofilmów, zawierających mnóstwo skopiowanych wydawnictw Solidarności Walczącej.

Historia domu Andrzeja Stadnickiego jest dowodem na to, że pomimo niemal wszechobecnej esbeckiej inwigilacji praktykowanie najwyższych konspiracyjnych standardów umożliwiało prowadzenie aż do początku lat dziewięćdziesiątych wielorakiej podziemnej działalności angażującej bardzo liczne grono ważnych, aktywnych opozycjonistów. I że miejsce tak bardzo tętniące walką o wolną Polskę do samego końca mogło pozostać nierozpoznane przez żadną ze służb komunistycznego reżimu.



KIM BYŁ, DO CZEGO DĄŻYŁ, JAKIE PRZESŁANIE POZOSTAWIŁ?

Rozmowa „Gazety Polskiej Codziennie” z Arturem Adamskim o zmarłym przewodniczącym Solidarności Walczącej

Czy da się oddzielić życie prywatne Kornela od polityki?

Zacznijmy od etymologii słowa „polityka”. Znaczy ono: „służba sprawom publicznym”. I przypomnijmy, że dla starożytnych słowo „idiota” oznaczało osobę, która polityką się nie interesowała. Kornel – oczywiście się interesował. A politykę uważał za realizację służby publicznej. I zaczął się nią zajmować w latach głębokiego PRL-u. A zajmował się nią razem z całą swoją rodziną. W jego pierwszych aktywnościach wspierali go ojciec i teść. W tworzeniu „Biuletynu Dolnośląskiego” brała udział żona – Jadwiga. Jednym z pierwszych drukarzy Kornela była jego córka Anna. Zaczynała długo przed Sierpniem 1980, mając kilkanaście lat. A od wprowadzenia stanu wojennego z jednej z drukarni nie wychodziła w ogóle przez prawie cztery miesiące. Bo oni w tej drukarni pracowali 24 godziny na dobę, gospodarze domu donosili im jedzenie, kurierzy dostarczali papier i farbę, odbierali wydruk. Mateusz Morawiecki przy druku pracował już mając zaledwie 12 lat. Zajmował się wtedy rozkładaniem i suszeniem świeżo zadrukowanych kartek, potem ich składaniem w broszury. Tak wyglądało życie rodziny Kornela Morawieckiego. Życie z polityką, ale tą polityką rozumianą właśnie jako – służba publiczna. Wszyscy członkowie tej rodziny służyli Polsce i jak wiemy – robią to do dzisiaj.

Można powiedzieć, że Kornel narażał swoją rodzinę, narażał swoje dzieci. Ale Kornel był synem żołnierza Armii Krajowej, w jego rodzinie było wielu żołnierzy AK, w tym warszawskich powstańców. I taka charakterystyczna opowieść z tego powstania się nasuwa o takiej sytuacji, która miała wtedy miejsce w setkach rodzin. Jedyne dziecko mówi rodzicom: „idę walczyć”. To dziecko jest jedynym, największym skarbem rodziców. I oni odpowiadają: „jesteś dla nas wszystkim, ale nie wychowywaliśmy ciebie dla siebie. Wychowywaliśmy ciebie także dla Polski”. Kornel też nie wychowywał swoich dzieci – tylko dla siebie.

Co udało się osiągnąć Kornelowi?

Kornel stworzył największą niepodległościową organizację ostatnich dziesięcioleci PRL-u. Sam powtarzał wiele razy: „Nie udało nam się osią-

gnąć wszystkich naszych celów. Jednak na tym doczesnym świecie sytuacje, stanu idealne nigdy nie występują. Chodzi więc tu tylko o to, by ze wszystkich sił do tych stanów idealnych zawsze jak najbardziej się zbliżyć. I tu sporo osiągnęliśmy. Zbudowaliśmy świat, któremu ciągle daleko do ideału, ale jest to lepszy świat od tego, z którym mieliśmy do czynienia na początku naszej drogi”.

Testament Kornela

Myślę, że on się zawiera w jego mowie sejmowej, jaką jako Marszałek Sejmu RP wygłosił otwierając nową kadencję parlamentu w listopadzie 2015. Mówił o tym, że skończyć trzeba z prywatą i niesprawiedliwością. W tym zakresie większość sejmowa, do której należał Kornel, wiele osiągnęła. Cokolwiek by powiedzieć o rządzących od roku 2015 – stanowią oni jakoś diametralnie inną od tych, którzy rządili przed nimi. Mówił Kornel o sądownictwie, które nietknięte jakąkolwiek reformą czy weryfikacją przeniesione zostało z PRL-u do Polski nam współczesnej. Sądownictwo do niedawna było postkomunistyczną skamieliną. Zdarzali się w niej uczciwi sędziowie, ale dominowali sędziowie – funkcjonariusze komunistycznego reżimu. Mamy tu do czynienia z początkiem bezwzględnie koniecznych zmian. Kornel na pewno pragnąłby, by w polskim sądownictwie wreszcie zapanowała praworządność i sprawiedliwość, by sądy nie służyły sędziom i łajdakom, ale Polsce i obywatelom pragnącym sprawiedliwości. Do takiej normy ciągle nam jeszcze daleko.

W roku 2015 Kornel mówił też o potrzebie nowej Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej. Obecna – jest przecież tylko „stalinowską konstytucją PRL-u z roku 1952 po niezbyt gruntownym liftingu”. Kornel mówił wtedy, że naród, który stworzył kiedyś dzieła tak wielkie, jak Konstytucja Trzeciego Maja, musi mieć konstytucja na swoją miarę. Obecna – taką absolutnie nie jest. Jaka powinna być? Na pewno prosta, krótka, jasna dla obywateli, nie dająca możliwości różnych interpretacji. Nie będąca pożywką dla różnych patologii. Do jej stworzenia potrzebna jest jednak sejmowa większość, której dziś nie ma.

Czy każdy z Kornela bierze co innego?

Kornel był zwolennikiem solidaryzmu. To była jego idea, jego najbardziej dalekosiężny cel. Ustrój pełnej wolności, w którym ludzie różnych warstw czy klas społecznych nie strzegą egoistycznie swych przywilejów, lecz współpracują i wspomagają siebie, pomimo wszystkich przeciwności. Podobnie brzmią tu ewangeliczne słowa „jedni drugich brzemiona noście”. Oczywiście, że to jest

bardzo ambitny ideał. Może go nie osiągniemy, może się tylko do niego – zbliżymy. Ale – nie jest on utopią. Wolność i solidarność – są do pogodzenia.

Dziękuję za rozmowę.

„Gazeta Polska Codziennie”, listopad 2019



PODZIEMNE, ALE NADAJĄCE NA ŻYWO

Do uruchomienia podziemnej radiofonii krąg Kornela Morawieckiego dążył już w pierwszych tygodniach stanu wojennego. Środowisko późniejszego twórcy Solidarności Walczącej składało się przede wszystkim z pracowników naukowych Politechniki Wrocławskiej, w tym z wielu elektroników. Ich praca szybko przyniosła zaskakująco dobre owoce.

Zespół radiowców dolnośląskiego Regionalnego Komitetu Strajkowego rozpoczął emisję audycji, używając jednorazowych, automatycznych nadajników. Polegało to na zainstalowaniu na dachu któregoś z wysokich budynków nadajnika z magnetofonem kasetowym. O terminie audycji oraz częstotliwości radiowej wrocławianie dowiadywali się z rozsypanych w całym mieście ulotek. O wyznaczonej porze automat był włączany i emitował audycję tak długo, aż nadajnik został namierzony przez pelengatory i przechwycony przez SB. Któryś ze współpracowników Kornela Morawieckiego wpadł wtedy na pomysł przedłużenia żywotności jednorazowych nadajników. Polegało to na tym, że kiedy SB wiedziała już, na którym dachu znajduje się solidarnościowa mini – rozgłośnia, musiała sforsować drzwi dachowe, na których wisiał pakunek z napisem: „Uwaga! To jest bomba!” SB musiała wtedy sprowadzać saperów, którzy po kilku kwadransach oczywiście stwierdzali, że rzekoma bomba jest tylko zawiniętą w papier cegłą.

Utworzona w czerwcu 1982 organizacja Solidarność Walcząca nie dysponowała pieniędzmi, pozwalającymi na produkcję jednorazowych aparatów nadawczych. Zwyciężył inny wariant – bardzo częstych, krótkich audycji, pojawiających się bez zapowiedzi na pasmach popularnych programów Polskiego Radia. Najczęściej Radio Solidarność Walcząca włączało się, z trwającym kilka minut programem, w czasie „Listy Przebojów Trójki”. Audycja konspiracyjnego radia była doskonale słyszalna kilkaset razy na obszarze paruset kilometrów kwadratowych. Zasięg obejmował więc większość terenu Wrocławia, czasem obejmował też odległe przedmieścia.

Z okazji drugiej rocznicy podpisania Umów Sierpniowych Solidarność Walcząca przygotowała nie tylko demonstracje, ale też szereg audycji „na

żywo” informujących o ich przebiegu. Głównym nadajnikiem kierował zespół Pawła Falickiego a zespołem przekazującym wiadomości o biegu wydarzeń – Romuald Lazarowicz, któremu towarzyszyły Helena Lazarowicz oraz Krystyna Jagoszewska. Obydwa zespoły znajdowały się w różnych miejscach. Utrzymywały ze sobą łączność, posługując się krótkimi emisjami, wysyłanymi z odrębnych urządzeń krótkofalowych.

W godzinach porannych 31 sierpnia 1982 wrocławskie Radio Solidarność Walcząca kilkakrotnie włączyło się w eter III Programu Polskiego Radia, by nadać audycje przypominające Sierpień 1980 i informujące o demonstracji, która zacząć się miała na Placu Czerwonym (dziś Plac Solidarności). W południe, również parokrotnie, wyemitowane zostały apele do funkcjonariuszy MO, ZOMO, ROMO, SB oraz żołnierzy, by powstrzymali się od używania przemocy i pozwolili na pokojowy przemarsz ulicami miasta. ZOMO zaatakowało zbierających się ludzi już ok. godz. 14. O ciężkich walkach ulicznych, obejmujących zachodnią część miasta, Radio Solidarność Walcząca niezwłocznie poinformowało wrocławian z innych dzielnic. W kolejnych audycjach przekazano wiadomości o pochodach, formujących się w kolejnych rejonach dolnośląskiej stolicy. Informowano o wielkim tłumie, maszerującym ulicą Grabizyńską, o prawdziwym bastionie, od którego odbijają się kolejne ataki ZOMO na Tęczowej, o użyciu przez ZOMO broni maszynowej i ostrej amunicji na rogu ul. Legnickiej i Dobrej, na Placu Strzegomskim i Placu Kirowa (dziś Plac Orłąt Lwowskich). Następne audycje powiadały o podpaleniu samochodu pancernego, unieruchomionego przez walczących na Szczepinie oraz o tym, że czarny dym, wznoszący się nad centrum miasta, pochodzi z wyposażonego w zapasy paliwa gazika, doszczętnie spalonego na Placu Grunwaldzkim. Wśród newsów były i takie, że za chwilę ulicą Powstańców Śląskich jechał będzie tramwaj wymalowany hasłami Solidarności. Audycje prowadzone na żywo informowały o miejscach, w których zebrał się największy tłum. Czyli o tych, w których demonstrowanie jest stosunkowo bezpieczne. Do punktów takich należał Plac Pereca, którego ZOMO nie było w stanie zdobyć przez kilka godzin. Świątujący tłum był tam więc bombardowany gazem zrzucanym z helikopterów.

Emisje konspiracyjnego radia „na żywo” były akcją brawurową, bezprecedensową w skali całej niezależnej radiofonii tamtych czasów. Po mieście krążyły samochody z urządzeniami radiopelengacyjnymi, ale ich poruszanie się utrudniały stojące na ulicach barykady, ciągnące w różnych kierunkach wielotysięczne pochody i zaciekle rozruchy. Bardzo możliwe, że właśnie opano-

waniu dużych obszarów miasta przez demonstrantów podziemni radiowcy zawdzięczali to, że działania pelengacyjne były utrudnione. I być może dzięki temu w czasie swych odważnych akcji radiowych nie zostali schwytani. Jak przyznawali to sami funkcjonariusze reżimu – do starć z ZOMO doszło tego dnia w 39 punktach miasta. Nie mogły więc po nim swobodnie się poruszać pojazdy żadnych służb. Także radiopelengacyjnych.



ZE WSPOMNIENIĘĆ SŁUCHACZA RADIA SOLIDARNOŚĆ WALCZĄCA

Pojawienie się w czasach stanu wojennego działającej w naszym mieście radiofonii solidarnościowego podziemia było wydarzeniem absolutnie nadzwyczajnym. Pierwsze audycje wywoływały sensację. Tym bardziej, że tysiące wrocławian było świadkami zakrojonych na ogromną skalę akcji, mających na celu schwytanie dzielnych konspiratorów – radiowców. Furię komunistycznego aparatu represji można było oglądać, widząc pędzące przez miasto samochody milicji, ciężarówki z antenami pelengacyjnymi oraz grupy zomowców i ubeków, wbiegających do bram kolejnych bloków. Tysiące modliły się i trzymały kciuki za tym, by bezpieka podziemnych radiowców nie złapała.

Pierwsze wieści o podziemnym radiu pojawiły się już na początku roku 1982. Przyjmowano je z niedowierzaniem. Dziś wiemy, że już w pierwszym miesiącu stanu wojennego konspiratorzy skupieni wokół Kornela Morawieckiego przeprowadzali pierwsze eksperymentalne próby nadawania własnych audycji. Jedną z analizowanych koncepcji było podłączenie radiostacji nadawczej do sieci wrocławskich linii tramwajowych. Tym sposobem ponad sto kilometrów traktacji wykorzystano by jako jedną wielką antenę.

Radio Solidarność Walcząca zaczęło nadawać latem 1982 roku. Jego audycje pojawiały się niespodziewanie, wdzierając się w sygnał Programu Trzeciego Polskiego Radia. Nadawanie trwało kilka minut, najlepszy odbiór był zwykle w centrum miasta. Po paru dniach jednak ta sama audycja najlepszą słyszalność miała w blokowiskach dzielnicy Fabryczna, potem na Krzykach i na Psim Polu. Można było więc odnieść wrażenie, że radiowcy z SW co kilka dni nadają preferując kolejne części miasta.

Wydarzeniem jedynym w swoim rodzaju był cykl audycji, nadanych w czasie największych demonstracji i rozruchów w dniu 31 sierpnia 1982. Dziś wiemy, że było to dzieło przede wszystkim Heleny i Romualda Lazarówiczków, Krystyny Jagoszewskiej i Pawła Falickiego, z którymi współpracowało kilku wyposażonych w nadajniki korespondentów z różnych dzielnic. Owocem pracy tych ludzi były bieżące wiadomości o tym, co dzieje się w poszczególnych dzielnicach. Uliczne walki trwały bowiem równocześnie w bardzo wielu rejonach miasta – na ulicy Grabiszyńskiej i na Placu Grunwaldzkim, na Szczepinie i w rejonie Placu Społecznego itd.

Wczesną jesienią 1982 zabrzmiało w eterze Radio Solidarność, kierowane przez Regionalny Komitet Strajkowy NSZZ Solidarność Dolny Śląsk. Stosowało ono metodę zupełnie inną od praktykowanej przez Solidarność Walczącą. Zestaw nadawczy jednorazowego użytku, wraz z magnetofonem kasetowym umieszczany był na strychu lub dachu któregoś z wieżowców. Nadawał tak długo, aż skończyła się taśma z nagraniem, o ile wcześniej aparatury tej nie wytrpiała nie wyłączyła esbecja. Radio RKS – u nadawało na częstotliwościach nie wykorzystywanych przez inne radiostacje. O terminie nadawania audycji oraz zakresie, na który należało nastawić radio, informowała prasa podziemna, ulotki, napisy na murach. Oczywiście – słuchał cały Wrocław a wielu audycje nagrywało. W pamięci utkwiły mi przede wszystkim dwie audycje. Jedną poprzedziły rozmowy radiowe w języku rosyjskim. Jak się okazało – żołnierze stacjonującej bardzo licznie we Wrocławiu Armii Radzieckiej uczestniczyli w zagłuszaniu radiostacji Solidarności. Zresztą – z dość umiarkowanym skutkiem a w prasie podziemnej konspiratorzy podkreślali potem z dumą: „Największe siły zbrojne świata przystąpiły do walki z naszym radijkiem!” Druga audycja, która wyjątkowo mocno utkwiła w mojej pamięci, emitowana była chyba w październiku 1982 roku. Wraz z całą rodziną słuchaliśmy jej w naszym mieszkaniu przy ulicy Legnickiej. Już w pierwszej minucie jej trwania zatętnił mi w głowie wniosek, że jeśli jakość dźwięku jest tak doskonała to chyba nadają gdzieś z bardzo bliska. W drugiej minucie serce zabiło mi jeszcze mocniej, bo pomyślałem: „a może ten nadajnik jest na strychu lub dachu naszego bloku?” W trzeciej minucie wybiegłem z mieszkania i galopem poleciałem na sam szczyt naszego budynku. Ni mniej ni więcej – postanowiłem, że jeśli się okaże, że ta radiostacja tam będzie to zanim pojawi siębezpieka ze służbami pelengacyjnymi zgarnę ten cały sprzęt, zabiorę do naszego mieszkania a potem sam będę nadawał swoje audycje. Mieszkaliśmy na dziewiątym piętrze, więc do strychu i dachu miałem blisko. Aparatury nadawczej niestety tam nie było. Jak tylko wróciłem do pokoju, w którym moi rodzice wraz z moim bratem nadal słuchali Radia Solidarność, miałem możliwość zobaczenia, że służby pelengacyjne i SB lokalizację nadajnika oceniły podobnie, jak ja. Z okien naszego mieszkania zobaczyć bowiem było można furgonetkę z anteną oraz kilka samochodów milicji i bezpieki, z których kolejne grupki rozbiegały się w różnych kierunkach. Mieli co sprawdzać, bo dziesięciopiętrowych bloków w najbliższej okolicy jest przecież kilkanaście.

Radio RKS-u z końcem 1982 roku zamilkło, natomiast coraz częściej usłyszeć można było Radio Solidarność Walcząca. Wchodziło w pasmo Programu Trzeciego Polskiego Radia wtedy, kiedy skupiało ono największe grono słuchaczy – w czasie emisji „Listy Przebojów” lub „Powtórki z Rozrywki”. Wkrótce też się okazało, że od czasu do czasu Radio Solidarność Walcząca można usłyszeć także w Opolu, Wałbrzychu a nawet w miejscowościach wokół Trzebnicy. Można było wywnioskować, że radiowcy z SW przemieszczają się po kraju, by nadawać swoje audycje w najbardziej niespodziewanych miejscach. We Wrocławiu Radio Solidarność Walcząca zaczęło się stawać niemal codziennością. I to pomimo widocznych w całym mieście kolosalnych wręcz operacji, mających na celu schwytanie podziemnych radiowców. Np. na kilku wieżowcach Wrocławia wzniesione zostały bardzo wysokie maszty radiowe. Największy z nich umieszczony był na dachu najwyższego biurowca w mieście – Poltegoru. Wyróżniał się on tym, że miał kształt wielkich wideł i automatycznie zaczynał się obracać natychmiast, jak tylko w eterze pojawiał się sygnał radiowy Solidarności Walczącej. Wiedza o tym, do czego służy wielka, ruchoma antena na widocznym z bardzo wielu punktów miasta „drapaczu chmur”, szybko stała się wśród wrocławian powszechna. Wielu widząc, że antena się obraca, szybko włączano swój radiodbiornik, bo prowadząc pelengację w sposób tak spektakularny SB niejako informowała wszystkich, że Radio Solidarność Walcząca – właśnie nadaje. Wrocławianie mieli też możliwość zorientowania się, jak często nadawane są audycje. Bywało, że antena na Poltegorze wprawiana była w ruch kilka razy dziennie. Zdarzało się też, że wraz z uruchomieniem obrotowej anteny na niebie pojawiał się helikopter, również wyposażony w anteny. Nie ulegało wątpliwości, że współdziałał on z urządzeniami namierzającymi źródło sygnału z dachów i z ulic miasta.

Było czymś absolutnie niezwykłym, że pomimo zaangażowania kolosalnych środków i uciekania się do nadzwyczajnych metod, Radio Solidarność Walcząca działało przez całe lata. Udostępniało też swój sprzęt innym strukturom konspiracji, skutkiem czego we Wrocławiu można było usłyszeć także Radio Niezależnego Zrzeszenia Studentów czy Radio Międzyszkolnego Komitetu Oporu. Z dość znamiennych sytuacji z drugiej połowy lat osiemdziesiątych pamiętam związaną z moimi odwiedzinami u kolegi, mieszkającego przy Placu Świętego Mikołaja. Siedziałem w pokoju, w którym było kilkoro domowników, radio było nastawione na odbiór Programu Trzeciego. Nagle dźwięki muzyki ucichły, pojawił się sygnał złożony z kilku taktów „Roty” i w doskonałej ja-

kości technicznej, ani odrobinę nie gorszej od słyszanej przed chwilą „Trójki”, usłyszeliśmy słowa: „Mówi Radio Solidarność Walcząca, przepraszamy za wejście na oficjalny program...” Zaskoczyło mnie to, że nikt z domowników w ogóle na to nie zareagował. Każdy nadal zajmował się tym, co robił przed chwilą. Na moje pytające spojrzenie kolega odpowiedział znudzonym głosem: „Radio Solidarność Walcząca... Czwarty raz dziś nadają...”

Po latach dowiedziałem się, że kluczem do dużego zasięgu nadajników a zarazem ich nieuchwytności, było emitowanie sygnału z kilku różnych punktów równocześnie. Janusz Krusiński opowiadał mi o kilkunastu ludziach, których do tej działalności zaangażował. Jednym z wymienionych okazał się być Tomek Wawrzyniak, z którym osiem lat chodziłem do jednej klasy, z którym w latach osiemdziesiątych się widywałem i którego nigdy bym nie podejrzewał o związek z taką działalnością. Sam Janusz od 1990 roku starał się swoje Radio Solidarność Walcząca przekształcić w niezależną stację radiową, w której mógłby kontynuować swą wywodzącą się z konspiracji pasję. Niestety – jego inicjatywie nie udzielono koncesji. W pookrągłostołowej Polsce okazało się, że legalna działalność Radia Solidarność Walcząca – nie jest możliwa.

RADIO Z FUNKCJĄ ANTYESBECKIEGO PODSŁUCHU

Środowisko aktywnych opozycjonistów, od lat siedemdziesiątych skupionych wokół Kornela Morawieckiego, w największej części składało się z pracowników naukowych Politechniki Wrocławskiej. W styczniu 1982 roku Karol Skibiński (pseudonim „Gustaw”), działający w grupie „Pax – Batory”, wchodzącej w skład podziemnej struktury Regionalnego Komitetu Strajkowego NSZZ Solidarność, dostarczył Kornelowi Morawieckiemu schemat nowego, na owe czasy supernowoczesnego radioodbiornika, którego produkcja miała być uruchomiona w warszawskich zakładach radiowych. Analizujący schemat elektronicy z Politechniki Wrocławskiej potwierdzili spostrzeżenia Karola Skibińskiego, który zauważył, że po stosunkowo niedużych przeróbkach nowy radioodbiornik może stanowić bardzo skuteczne urządzenie do nasłuchu podzakresów, wykorzystywanych przez Służbę Bezpieczeństwa. Kornel Morawiecki natychmiast uznał, że trafia się doskonała okazja znaczącego podniesienia bezpieczeństwa działalności konspiratorów. Późniejszy przewodniczący Solidarności Walczącej a wówczas szef wydawniczo – kolportażowej siatki RKS NSZZ Solidarność Dolny Śląsk zaproponował dokonanie zakupu jak największej ilości nowych radioodbiorników, przerobienie ich na urządzenia nasłuchowe i wyposażenie w nie podziemnych drukarni oraz organizatorów kolportażu. Źródłem finansowania zakupu miałyby być sławne 80 milionów, czyli pieniądze dolnośląskiej Solidarności, wypłacone z rachunku bankowego i ukryte kilka dni przed wprowadzeniem stanu wojennego. Zaznaczyć trzeba, że urządzenie nasłuchowe zrobione z polskiego radioodbiornika byłoby ponad sto razy tańsze od tzw. skanera – przemycanego z Zachodu aparatu radiowego o podobnej funkcji. Niestety – z do dziś nie do końca jasnych przyczyn na cel ten żadnych pieniędzy z uratowanych 80 milionów dolnośląskiej Solidarności nigdy nie przeznaczono. Kornel Morawiecki na cel ten wyasygnował więc znajdujące się w jego dyspozycji 800 dolarów, pochodzące od przyjaciół zza granicy. Równocześnie projektem zainteresowano też biskupa Adama Dyczkowskiego, który z kasy kurii przekazał na ten cel 30 tysięcy złotych. Szybko też udało się rozwiązać kolejny problem. Analizujący schemat nowej wersji owego radioodbiornika (nazywał się „Julia” i w dużej mierze był kopią produkowanego w RFN stereofonicznego radiomagnetofonu marki Grundig) elektronik Jacenty Lipiński doszedł do wniosku, że najlepszy efekt byłby uzyskany po wmontowaniu najnowszych tranzystorów i mikro-

układów scalonych, z jakimi miał do czynienia w czasie niedawnych kontraktów na Zachodzie. Kłopot był jednak w tym, że części te były całkowicie niedostępne w Polsce. Sprawa znalazła jednak szybko rozwiązanie. Jednym ze współpracowników Morawieckiego był Michał Gabryel – alpinista, mający wielu przyjaciół wśród Szwajcarów i Austriaków, wraz z którymi wytyczał nowe trasy na takich szczytach, jak Matterhorn oraz pracował w instytutach naukowych. Za pośrednictwem kierowców z austriackich konwojów humanitarnych zamówienie na części do urządzeń podsłuchowych szybko trafiło do zagranicznych przyjaciół Gabryela. Już po kilka dniach tą samą drogą nadeszła informacja, że zamówione części austriaccy przyjaciele powkładają do aparatu rentgenowskiego, który jako dar wiedeńskich katolików będzie jechał do domu opieki, prowadzonego pod patronatem wrocławskiej metropolii kościelnej. Celnicy i straż graniczna w pierwszych miesiącach stanu wojennego wyjątkowo starannie przetrząsali każdy wjeżdżający do Polski samochód. Nie byli jednak w stanie odgadnąć, do czego służą części, wlotowane w elektroniczną tkankę wwożonego do kraju urządzenia. Tymczasem już kilka godzin po przekroczeniu granicy ludzie Morawieckiego wylutowywali z aparatu rentgenowskiego dziesiątki części w najmniejszym stopniu nieprzydatnych do prześwietlania wnętrza człowieka a za to bezcennych dla solidarnościowej konspiracji. Miało to miejsce w jednym z ostatnich dni lutego 1982 roku na zapleczu kościoła Bonifratrów przy ul. Traugutta we Wrocławiu. Przemycone części wynajdywali późniejsi wieloletni działacze Solidarności Walczącej: Jan Pawłowski (pseudonim „Gajos”), Stanisław Mittek (pseudonim „Gad”) oraz Tadeusz Świerczewski (pseudonim „Rustejko”). Sam zakup radioodbiorników „Julia” też nie był sprawą najprostszą – wszystkie sklepy świeciły wtedy pustkami a każdy choćby nieco bardziej atrakcyjny towar był reglamentowany. Sześć pierwszych radioodbiorników „Julia” udało się jednak kupić już z próbnej serii, wyprodukowanej w lutym 1982, dzięki Karolowi Skibińskiemu, pracującemu we wrocławskim Ośrodku Badawczo Rozwojowym Energetyki i dzięki temu mającym rozległe, osobiste kontakty w ówczesnej branży elektrotechnicznej. Błyskawicznie „wyprodukowane” nowe urządzenia nasłuchowe zostały przetestowane w pierwszych dniach lutego 1982. Efekty – przerosły najśmielsze oczekiwania. Przerobione radio „Julia” z zewnątrz wyglądało jak każde inne i miało wszystkie, przypisane mu przez fabrykę funkcje. Osoba postronna mogła je użytkować i nigdy nie zorientować się, że służy ono jeszcze do czegoś innego. Wystarczyło jednak wcisnąć równocześnie dwa przeznaczone do tego klawisze a zamiast jakiejś stacji radiowej słyszało się radiowe rozmowy funkcjonariuszy SB i to na wszystkich, wykorzysty-

wanych wówczas przez bezpiekę podzakresach. Przerobiona „Julia” „przeczesywała” wszystkich dziesięć esbeckich podzakresów. Mogła trzymać się jednego, lub samoczynnie przeskakiwać na te, które w danej chwili były w użyciu.

Dwie pierwsze przerobione „Julie” zostały podarowane ukrywającemu się Władysławowi Frasyniukowi z wielokrotnie powtarzaniem zastrzeżeniem, że nikt postronny nigdy nie powinien się dowiedzieć o rzeczywistym przeznaczeniu „Julii”. Każdy jej użytkownik nastuchową funkcję radioodbiornika powinien włączać tylko i wyłącznie w obecności osób w najwyższym stopniu zaufanych i pamiętać, że przed każdym otwarciem komukolwiek drzwi swojego mieszkania musi wycisnąć kluczowe dwa klawisze „Julii”. Służba Bezpieczeństwa zdawała sobie sprawę z tego, że jest podsłuchiwana przez podziemie. Wszystko jednak wskazuje na to, że do jesieni 1982 roku nie miała pojęcia o skali tych działań. Po utworzeniu w czerwcu 1982 roku organizacji Solidarność Walcząca elektronicy Kornela Morawieckiego przerabiali kolejne „Julie”. Uratowały one przed wpadką nie jedną podziemną drukarnię, wielu kurierów i kolporterów. W czasie gigantycznych demonstracji, jakie miały miejsce we Wrocławiu 31 sierpnia 1982, „Julia” służyła m.in. Grupom Wykonawczym Solidarności Walczącej. Grupy Wykonawcze składały się z ludzi, którzy w czasie starć z ZOMO stawiali opór czynny i zorganizowany. Kiedy na ulicach Wrocławia stanęły barykady (oficjalna propaganda, zwykle starająca się minimalizować rozmiary zajęć, przyznawała że do starć doszło w 39 punktach miasta) Grupy Wykonawcze najszybciej dowiadywały się, którymi ulicami przemieszczać się będą sprowadzane do Wrocławia posiłki ZOMO. Pozwalało to na wysłanie „komitetów powitalnych”, rzucających pod koła milicyjnych suk kolczatek dziurawiących opony i obrzucanie koktajlami Mołotowa szarżujących samochodów pancernych.

Równocześnie z aresztowaniem Władysława Frasyniuka oraz Barbary Labudy w dniu 5 października 1982 Służba Bezpieczeństwa aresztowała kilku innych działaczy. Wkrótce fala represji objęła ponad sto osób. Jedną z nich był Tadeusz Świerczewski „Rustejko”, faktyczny twórca sieci podziemnych komisji zakładowych dolnośląskiej Solidarności, w którego mieszkaniu stał jeden z przerobionych radioodbiorników „Julia”. Zgodnie z przyjętymi zasadami radioodbiornik był jednak wyłączony, w związku z czym nie wzbudził żadnego zainteresowania esbeków. Niestety inaczej było kilka dni później, w mieszkaniu jednego ze współpracowników Władysława Frasyniuka. W czasie rewizji nagle funkcjonariusze SB stanęli jak wryci, gdyż ze stojącego w przetrzęsanym pokoju radia usłyszeli rozmowę swoich kolegów. Jeden z esbeków wrzasnął: „O k...! Oni nas

podstuchują!” Wszyscy funkcjonariusze rzucili się w kierunku radioodbiornika „Julia”, tego samego dnia rozbieranego potem na części pierwsze przez analityków z MSW. Wiadomość o tym, że SB już wie o „Julii” błyskawicznie dotarła do Solidarności Walczącej. Organizacja zdawała sobie sprawę z tego, że jedno z urzędzeń ciągle znajduje się w mieszkaniu aresztowanego parę dni wcześniej Tadeusza Świerczewskiego. Jego dom na wrocławskim Poświętnem znajdował się jednak pod ciągłą obserwacją SB. Pomimo tego do mieszkania Świerczewskiego niepostrzeżenie zdołał się przedrzeć działacz Solidarności Walczącej Zygmunt Gabert, który przerobioną „Julie” zamienił na egzemplarz jeszcze nie wyposażony w podzespoły umożliwiające podsłuchiwanie SB. Czyli – na egzemplarz „zwyčajny”. Okazało się, że z ową „podmianką” Gabert zdążył dostownie w ostatnich minutach. Funkcjonariusze SB, którzy poznali prawdziwą rolę „Julii” przypomnieli sobie bowiem szybko, że identyczne radio widzieli także w mieszkaniu aresztowanego parę dni wcześniej Tadeusza Świerczewskiego. Natychmiast, kiedy tylko zdali sobie z tego sprawę, wrócili w celu przeprowadzenia ponownej rewizji. Z satysfakcją stwierdzili, że w domu Świerczewskiego „Julia” ciągle stoi na tym samym miejscu. Rozczarowanie nastąpiło wtedy, kiedy usiłowali włączyć funkcję podsłuchową. Rozbierający „Julie” Świerczewskiego elektronicy z MSW musieli się pogodzić z tym, że ten egzemplarz – niestety nie stanowi podstawy do postawienia Świerczewskiemu kolejnych zarzutów. Pomimo tego, w czasie trwającego dwa lata śledztwa i więzienia działacza o pseudonimie „Rustejko” w areszcie wrocławskiej SB, był on o to radio bezskutecznie pytany setki razy.

W związku ze zdekonspirowaniem nowej funkcji radioodbiornika „Julia” po październiku 1982 urzędzenia te nie odgrywały już roli tak dużej, jak w poprzednich kilku miesiącach. Elektronicy Solidarności Walczącej skonstruowali jednak dziesiątki co najmniej równie efektywnych urzędzeń, użytkowanych przez podziemie aż do transformacji ustrojowej z przełomu lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych. Odegrały one dużą rolę w budowie podziemnych struktur SW i innych organizacji. W dużej mierze to dzięki nim możliwe było skuteczne ukrywanie się Kornela Morawieckiego, schwytanego dopiero po sześciu latach zakrojonego na ogromną skalę pościgu. Tadeusz Świerczewski (pseudonim „Rustejko”), na którym najmocniej odbiły się represje z jesieni 1982, w 25 rocznicę utworzenia Solidarności Walczącej został przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego odznaczony Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski.

W OBRONIE DETEKTORYSTÓW

Obowiązujące w Polsce prawo bardzo ogranicza możliwości prywatnego poszukiwania artefaktów historycznych. W łonie rządzącej koalicji toczą się konsultacje, mające na celu złagodzenie restrykcyjnych rozwiązań.

Argumentem części konserwatorów zabytków jest wymierzony w właścicieli wykrywaczy metalu zarzut, że ich poszukiwania naruszają czasem stanowiska archeologiczne. Poszukiwacze odpowiadają, że tak jak kłusowników nie należy utożsamiać z wędkarzami tak grabieżców nie należy mylić z miłośnikami historii, motywowanymi troską o dziedzictwo. Sprzeciwiają się też zakazowi poszukiwań na terenach prywatnych, gdyż stanowi to naruszenie prawa dysponowania posiadaną własnością. Mając nadzieję na rozstrzygnięcie korzystne zarówno dla detektorystów, jak i drzemiącego w ziemi historycznego dziedzictwa, podzielę się nieco związanym z tą problematyką wspomnieniem.

JESZCZE JEDEN FRAKTAL W STRUKTURZE

W roku 1985, wspólnie z paroma przyjaciółmi z konspiracji, wpadliśmy na pomysł utworzenia nowego podziemnego wydawnictwa. Okolicznością sprzyjającą takiej inicjatywie było trafienie w moje ręce części starego domu, zlokalizowanego w Obornikach Śląskich, wcześniej zamieszkiwanego przez moich dziadków. W ocenie moich przyjaciół – świetnie nadawał się na drukarnię. Nasza inicjatywa, dla której wymyśliliśmy nazwę Niezależna Oficyna Studencka, de facto była jednym z trybików niezmiernie złożonej (i stąd wręcz niemożliwej do rozpracowania) struktury Solidarności Walczącej. Gros sprzętu i pomoc techniczna – pochodziły z organizacji Kornela Morawieckiego. Powielacz (jak się po latach okazało użytkowany wcześniej m.in. przez Bohdana Błażewicza) na użytek Oficyny NOS przekazał nam Krzysztof Zwierz (w SW znany pod pseudonimem „Wyrocznia”). Z tym dużych rozmiarów sprzętem wiąże się oddzielna historia. Przed transportem do Obornik powielacz ten został ulokowany w piwnicy Radka Hejnowicza na Biskupinie (w grudniu 1984 roku zatrzymanego w związku z działalnością w Polskiej Niezależnej Organizacji Młodzieżowej i od tego czasu nie zajmującego się konspiracją). Zanim jednak znaleźliśmy sposób przetransportowania powielacza do miejsca oddalonego o 30 ki-

lometrów działania Służby Bezpieczeństwa uświadomiły nam, że sprzęt wymaga natychmiastowej ewakuacji. Nie mając innego pomysłu (a nie chcąc narażać nikogo na ryzyko skonfiskowania samochodu) w najbardziej niesprzyjającym momencie, po nieprzespanych nocach i w środku wyjątkowo mroźnej i śnieżnej zimy, do miejsca przeznaczenia powielacz dowlokłem w efekcie całodziennego ciągnięcia go w wózku, po zaspach pobocza oblodzonej szosy. Uskrzydlająca była jednak pomoc dla naszego wydawnictwa, udzielana przez przyjaciół z Solidarności Walczącej. Darek Olszewski wykonał bowiem dla nas dwa komplety przepięknych mosiężnych stempli. Służyć miały do pieczętowania naszych publikacji, którymi były m.in. koperty z seriami fotografii.

HISTORIA REZERWOWEGO KOMPLETU

W momencie uruchamiania obornickiej drukarni wrocławska konspiracja wstrząsana była masowymi represjami. Wraz z ludźmi, trafiającymi do aresztów, przepadał cenny sprzęt. Nauczeni tym doświadczeniem zapasy materiałów poligraficznych rozlokowaliśmy w kilku oddalonych od drukarni skrytkach. Jeden z kompletów mosiężnych pieczęci postanowiliśmy ukryć solidniej. Miały one stanowić zapas na wypadek skonfiskowania przez bezpiekę kompletu zasadniczego. Umożliwiałyby to, być może dopiero po wyjściu na wolność, wznowienie działalności wydawnictwa. Zapasowe pieczęcie umieściliśmy w metalowej puszcze i zakopaliśmy pod drzewem, które wydawało nam się wtedy nadzwyczaj charakterystyczne, rosnącym na skraju lasu, tuż przy szosie łączącej Oborniki z Wilczynem Leśnym. Jak się okazało parę lat później – miejsce to świetnie ukryło swą tajemnicę nie tylko przed komunistycznymi służbami, ale też przed nami. Poszukując naszej puszeki przekopaliśmy sporą część gruntu wokół całego szeregu „charakterystycznych” drzew. W końcu pogodiliśmy się z tym, że zapasowy komplet pieczęci przepadł na zawsze.

NIESPODZIEWANE ROZWIĄZANIE ZAGADKI

Minęło ponad ćwierć wieku, kiedy przypadkiem usłyszałem z radioodbiornika fragment rozmowy, w której jak mi się zdawało – padła nazwa naszego niegdysiejszego wydawnictwa i w której była mowa o jakimś „leśnym znalezisku”. Nie dowierzałem własnym uszom i po chwili doszedłem do wniosku, że najpewniej coś źle zrozumiałem. Parę dni później odebrałem jednak telefon od Cezarego Szarugiewicza, wraz z którym około trzydziestu lat wcześniej zakładałem naszą małą strukturę wydawniczą. „Znalazły się nasze pieczęcie!” – krzyczał Czarek do słuchawki. Okazało się, że miejsce ukrycia pieczęci wzbudziło za-

interesowanie poszukiwaczy wojennych pamiątek. Wzdłuż szosy łączącej Oborniki z Wilczynem w 1944 roku pociągnięto bowiem linię okopów. Kilkadziesiąt lat później przemierzali ją wyposażeni w wykrywacze metali poszukiwacze, spod ściółki leśnej wydobywający mundurowe guziki, karabinowe łuski i inne drobniactwa. W pewnym momencie natknęli się też na znalezisko całkowicie przez nich niespodziewane: puszkę z kilkoma mosiężnymi stemplami, z których największy miał wielkość małej koperty. W pierwszym odruchu poszukiwacze skontaktowali się z rozgłośnią radiową, by ogłosiwszy informację o znalezisku wśród słuchaczy odnaleźć kogoś, kto mógłby być właścicielem pieczęci, lub wiedział cokolwiek na temat ich historii. Zastłyszany przez mnie fragment radiowej audycji był efektem tego właśnie działania. Nie przyniósł on rezultatu, więc detektoryści rozpoczęli przeszukiwanie Internetu. W końcu natknęli się na lakoniczną wzmiankę, zamieszczoną przez IPN, obok nazwy wydawnictwa wymieniającą też parę nazwisk. Moje nosi w Polsce około dwudziestu tysięcy ludzi, ale nazwisko Szarugiewicz – należy do nielicznych. Szybko odnaleźli więc firmę budowlaną, kierowaną przez Cezarego Szarugiewicza. I był to strzał bez pudła – dzisiejszy przedsiębiorca i niegdysiejszy konspirator to jedna i ta sama osoba. Detektoryści na oddanie „zguby” umówili się na jednym z parkingów przy ul. Grabiszyńskiej. Wjeżdżając na ten parking Czarek zobaczył grupkę ludzi z wielkim bukietem kwiatów. Okazało się, że ta ekipa, przypominająca jakąś oficjalną delegację, czekała właśnie na niego. W takiej atmosferze, wraz z podziękowaniami za uczestnictwo w podziemnej walce o wolność ojczyzny, detektoryści przekazywali właścicielom zagubiony komplet pieczęci.

Warto by może jeszcze wspomnieć o dalszych losach naszego wydawnictwa. Drukowaliśmy w nim publikacje w zdecydowanej większości nie sygnowane znakiem Niezależnej Oficyny Studenckiej. Jednym z powielanych w niej pism był np. warszawski miesięcznik „Baza”. W 1987 roku kontrwywiad Solidarności Walczącej zaczął przynosić informacje o wzmożonym zainteresowaniu Służby Bezpieczeństwa jakąś działalnością, prowadzoną w Obornikach Śląskich. Wiosną 1988 niezapomniany Tosiek Ferenc, mój szef z Solidarności Walczącej, zarządził natychmiastowe ewakuowanie z mojego domu całego sprzętu, w trybie alarmowym. Godzinę później, na pace samochodu dostawczego Żuk, siedziałem oparty o powielacz. Po dotarciu na nowe miejsce przeznaczenia współpracownicy, którzy zajmowali miejsca w szoferce powiedzieli mi, że zazdrościli mi braku możliwości obserwowania drogi. Poziom adrenalinę kilkakrotnie podnosiły im bowiem stojące przy jezdni patrole milicji.

Po dziesięcioleciach, w czasie wizyty w siedzibie dolnośląskiej Solidarności, identyczny powielacz zobaczyłem na tamtejszej ekspozycji urządzeń poligraficznych z czasów konspiracji. Nie wiem, jakimi drogami tam trafił, ale po charakterystycznych znakach poznałem – to ten.

„Obywatelska”, listopad 2019

SOLIDARNOŚĆ WALCZĄCA W OBRONIE WARSZAWSKIEGO RADIA SOLIDARNOŚĆ

29 sierpnia 1982 Służba Bezpieczeństwa aresztowała twórcę działającego w stolicy Radia Solidarność. Wraz ze Zbigniewem Romaszewskim do więzienia trafiła też jego żona. Solidarność Walcząca podjęła wtedy działania mające na celu zarówno nadawanie kolejnych audycji podziemnej warszawskiej radiofonii, jak też pomoc uwięzionym, których sądzono w dwóch kolejnych procesach.

Janusz Krusiński, wrocławski radiowiec Solidarności Walczącej, zwrócił się wtedy do przywódców swojej organizacji z inicjatywą udania się do Warszawy, celem nadania kolejnych audycji Radia Solidarność. Kornel Morawiecki wskazywał na duże ryzyko tak spontanicznych akcji, ale zgodził się z argumentem, że radiowa działalność warszawskiej Solidarności nie może być przerwana wraz z aresztowaniem Romaszewskich. Tym bardziej, że ich dalsza obecność w eterze zdejmowała z oskarżonych przynajmniej część odpowiedzialności za nielegalną działalność radiową. Jak się wkrótce okazało warszawskie emisje wrocławskich nadawców były słyszalne na znacznie większych obszarach stolicy, niż to miało miejsce wcześniej.

W marcu 1983 Sąd Warszawskiego Okręgu Wojskowego skazał Zbigniewa Romaszewskiego na 4 i pół a Zofię Romaszewską na 3 lata więzienia. Ich córka wraz z mężem Jarosławem Guzym zwróciła wtedy uwagę na pewną niejasność dowodów, jakimi posługiwał się pułkownik Stanisław Błasikiewicz. Ten główny ekspert gen. Kiszczaka od spraw fonicznych był twórcą powstałego w latach sześćdziesiątych Wydziału Fonoskopii w Zakładzie Kryminalistyki Komendy Głównej Milicji Obywatelskiej. Przed sądem twierdził, że ponad wszelką wątpliwość zidentyfikował głos spikerki Radia Solidarność jako należący do Zofii Romaszewskiej. Zięć Romaszewskich Jarek Guzy postanowił podjąć próbę dalszej sądowej walki na płaszczyźnie merytorycznej. Zaczął więc poszukiwać specjalisty, który podjąłby się podważenia ekspertyzy Błasikiewicza. W sterroryzowanym kraju nie było to łatwe – odmówili naukowcy z Warszawy i Poznania. Zadaniami natychmiast podjął się dr Wojciech Myślecki z Politechniki Wrocławskiej,

o którym ani Guzy ani Romaszewscy nie wiedzieli wtedy jeszcze, że jest także jedną z najważniejszych postaci Solidarności Walczącej. Pozostawała tylko kwestia dopuszczenia przez komunistyczny sąd do wypowiedzenia się w czasie procesu kogoś takiego, jak Myślecki. Zdaniem Jarosława Guzego pomogła w tym niefrasobliwość sądu, który ani nie rozpoznał Myśleckiego jako niepodległościowego działacza z wielkim opozycyjnym dorobkiem ani też najwyższej klasy fachowca a zarazem doskonałego mówcy, w starciu z którym z Błasikiewicza nie zostaną nawet strzępy. Jak wspominał Jarosław Guzy: „Myślecki wygłosił godzinną, wspaniałą, niezwykle przekonującą mowę a potem pułkownik całkowicie poległ w walce na argumenty. Kolejne celne zdania Myśleckiego obnażyły braki w przygotowaniu teoretycznym, metodologicznym i w logice wywodów Błasikiewicza”. Główny ekspert Kiszczka, miażdżony fachowymi i dobitnymi argumentami, w końcu uciekł się do desperackiego stwierdzenia, że „głos Zofii Romaszewskiej zidentyfikował ze stuprocentową dokładnością”. Myślecki jakby tylko na to czekał. Zwracając się do sądu stwierdził: „Nawet Albert Einstein głosił, że w naukach przyrodniczych sto procent pewności nie istnieje! Widocznie pan pułkownik Błasikiewicz nie tylko uważa, że wie lepiej od Einsteina, ale też ma się za jedyne nieomylnego”.

Męki naczelnego eksperta MSW od analiz fonoskopijnych przerwał sąd, który udał się na długą naradę. Znając realia PRL-owskiego sądownictwa domyślać się można, że polegała ona na poinformowaniu o zaistniałej sytuacji najwyższych funkcjonariuszy reżimu i oczekiwaniu na ich decyzję. Okazało się, że było nią zakończenie procesu przy utrzymaniu wyroku poprzedniej instancji. Wielka kompromitacja sądu oraz retoryczne i merytoryczne zmasakrowanie eksperta MSW najwyższego szczebla przez doktora Wojciecha Myśleckiego stało się jednak wielką sensacją. Triumfujący naukowiec nie został zidentyfikowany jako działacz Solidarności Walczącej (jeśli by się tak stało – siedziałby już w więzieniu), ale dla wszystkich było już jasne, że jest on postacią ze swej antykomunistycznej i niepodległościowej aktywności znaną co najmniej od roku 1968. Jeszcze bardziej wymowne było to, że krótko przed procesem Romaszewskich sam, oczywiście z powodów politycznych, przez wiele miesięcy siedział w więzieniu.

Starcie Błasikiewicz – Myślecki było więc jak pojedynek reprezentanta interesów sowieckich z rzecznikiem niepodległości. Wymierzony w tej walce perfekcyjny nokaut radował polskie serca budząc wiarę w sens walki o lepsze jutro ojczyzny.

OKRUCHY WSPOMNIEŃ Z SIERPNI 1982

W chwili wprowadzenia stanu wojennego miałem 17 lat. Od 1967 roku moim adresem była Legnicka 28 m. 109. Parę pięter niżej mieszkał z rodziną Wiesław Moszczak – jeden z najbardziej zasłużonych drukarzy drugiego obiegu. To on wydrukował pierwszy wojenny numer „Z Dnia na Dzień” i chyba z tego tytułu należy mu się tytuł pierwszego drukarza stanu wojennego. W 2008 roku byłem na jego pogrzebie. Książd, grabarze, syn Wieśka (mieszka w Londynie, chyba Filip ma na imię?), Kornel Morawiecki, Helenka i Romek Lazarowiczowie, Krzysiek Gulbinowicz, który umarł kilkanaście miesięcy później. Jeszcze człowiek z Solidarności, który przeproszał, że nie ma pocztu sztandarowego i większej delegacji (ale było to tak szczere i przejmujące, że wystarczyło chyba za delegację i sztandar). No i Robert Juszczyk (drugi mąż mieszkającej już wtedy na Long Island w USA Joanny Moszczak) wraz z synem. I jeszcze ja i ... chyba nikt więcej?

Kiedy przyszli w nocy z 12 na 13 XII 1981 po Wieśka – jego matka nie spieszyła się z otwieraniem drzwi. Wyrąbali więc je siekierą. W środku zastali tylko starą kobietę i małe dziecko. Wiesiek kilka godzin później, gdzieś na Krzykach, zaczął przygotowywać druk pierwszego wojennego numeru „Z Dnia na Dzień”. Wcześniej matryce wystukiwały na maszynach Helena Lazarowicz i żona Wieśka – Joanna.

(koniec dygresji o miejscu, w którym mieszkałem 31 sierpnia 1982 ☺)

ULICA LEGNICKA

Przez wielu wrocławian całymi latami zwana była „Rozkopaną”. Mieszkałem przy niej 20 lat i doprawdy – rzadko była ona normalną ulicą. Tuż przed stanem wojennym rozryto trawniki na odcinku od Nabycińskiej do Dobrej. Po tem wykopy pojawiły się przed zespołem pawilonów dochodzącym do ul. Trzemeskiej. 31 sierpnia 1982 w sąsiedztwie miejsca, w którym miała się zacząć demonstracja Solidarności pełno było głębokich wykopów, wielkich wałów ziemi, pełnych gruzu – cegieł i kamieni będących pamiątkami po zabudowie zniszczonej w czasie oblężenia Festung Breslau. Leżały też mniejsze i większe rury, jakieś betonowe kręgi, szyny, inne budowlane klamoty. Kładka dla pieszych, która dziś spina dwie strony Legnickiej przy Placu Solidarności, miał wówczas postać przęsła, słupów i barierek – czekał dopiero na montaż, ustawiony w stertę na rogu

Nabycińskiej. Z punktu widzenia ewentualnych starć z ZOMO najbardziej obiecująco wyglądała bezpośrednia okolica mojego bloku. Od ulicy Dobrej w kierunku Placu Strzegomskiego przez paręset metrów ciągnęła się budowana dopiero nowa jezdnia. Między krawężnikami znajdowały się tysiące granitowych kamieni. Idealnych do tego, żeby się tylko schylić i rzucić. Przypuszczałem, że w związku z zapowiadаныmi manifestacjami ten zbiór „amunicji” pospiesznie przykryją asfaltem, albo przynajmniej obstawią jakimś oddziałem ZOMO. W dniu narodowego protestu ze zdziwieniem stwierdziłem, że nic takiego jednak się nie stało.

DOŚWIADCZENIE 28 CZERWCA 1982

28 czerwca 1982, w rocznicę Powstania Poznańskiego, miała mieć miejsce demonstracja, której punkt zborny stanowić miała ul. Grabiszyńska. ZOMO, ROMO, wojsko i inny służby uczyniły jednak wszystko, by do zgromadzenia nie doszło. Nad miastem latały nie tylko helikoptery. Tuż nad dachami bloków krążył też wojskowy samolot AN-2. Na bardzo długim odcinku Grabiszyńskiej zamknięty został ruch samochodów. Zamknięto kilka przystanków tramwajowych i autobusowych – komunikacja odbywała się be za zatrzymywania na nich. Sznury samochodów brnęły wążutką ulicą Oporowską i innymi drogami osiedlowymi. Stały w korkach, gdyż milicjanci rewidowali część pojazdów – zatrzymywali je, legitymowali pasażerów, zaglądali do bagażników. Kordony ZOMO były tak szczelne, że dla nie mieszkających w tym rejonie niemal nie sposób było wejść do części miasta de facto zamkniętej dla ludzi z zewnątrz. W praktyce wyglądało to tak, że, alby dostąpić prawa przemieszczania się od ul. Stalowej w kierunku zajezdni MPK trzeba było okazać zomowcom dowód osobisty. Większość z nich nie znała miasta, dysponowała wydrukowaną listą ulic. Miałem też wrażenie, że do każdej drużyny czy grupy zomowców oddelegowano kogoś znającego Wrocław. Którymś razem bowiem zomowcy odczytali głośno z mojego dowodu adres i pytające spojrzenia skierowali w stronę zomowca najwyraźniej lepiej zorientowanego w topografii. „Legnicka? A czego on tutaj szuka? Nie wpuszczać!” Po usłyszeniu czegoś takiego szukałem innej drogi do miejsca, w którym miała się zacząć demonstracja. Bezskutecznie – blokada była imponująco skuteczna. Potem dowiedziałem się, że pod Tablicę Solidarności nikt z demonstrantów nie dotarł, że ZOMO rozbiło tam swój wielki obóz a tych, którzy jakimś cudem przedarli się przez blokadę byli już nie przepędzani, lecz ładowani do ciężarówek, gdzie po ścieżkach zdrowia i pobycie w areszcie byli skazywani przez Kolegia d.s. Wykroczeń na drakońskie grzywny z zamianą na trzy miesiące aresztu.

28 czerwca 1982 nałaziłem się wokół Grabiszyńskiej, ZOMO wielokrotnie mnie legitymowało. Widziałem olbrzymie ilości pojazdów wojska i milicji, ale nie udało mi się nawet spotkać z kolegami i w ogóle nie miałem kontaktu z demonstracją. Podobno była. Jacek Kulesza opowiadał mi, że tego dnia w pobliżu Placu Pereca kilkudziesięciu ludzi zaczęło wznosić okrzyki i uformował się mały pochód. Niektórzy jego członkowie rozklejali na murach i witrynach sklepów małe plakaty. Grupa ta została jednak błyskawicznie zaatakowana przez bardzo licznych zomowców. Jacek z paroma kolegami uciekał w stronę Stalowej. Ulica ta wypełniona była Gomolami, stały tam długie kolumny ich pojazdów. Chłopcy zaczęli więc przeskakiwać przez płot tamtejszych ogródków. Nie wszyskim się to udało. Część została wtedy schwytana.

28 czerwca były już wakacje. Miałem mniejszy kontakt z kolegami ze szkoły, stąd też mniej znam innych relacji z tego dnia. Znałe mi – są podobne do moich. Generalnie dzień ten pozostawił takie wrażenie, że ZOMO jest w stanie w tak wielkim stopniu zapanować nad miastem, że do rozpoczęcia demonstracji w ogóle może nie dojść. Spodziewałem się, że to samo może się wydarzyć 31 sierpnia. ZOMO zachowało się wtedy jednak całkiem inaczej – skupiło się jakby na obronie swoich baz. Nie wolno się było zbliżyć ani do ulicy Zelwerowicza ani do Księcia Witolda. Przypuszczam, że także do wielu innych. Sam Plac Czerwony (dziś Solidarności) obstawiony był jednak dość słabo. W porównaniu do 28 czerwca robiło to wręcz wrażenie zastosowania jakiejś taktyki defensywnej. Jakby czekali, aż coś się zacznie dziać. Sam plac – nie był zablokowany. Sprawdzali inną strategię? Dysponowali mniejszymi siłami (28 czerwca demonstracja miała być tylko we Wrocławiu a tym razem musieli pilnować też innych miast)? Ktoś inny dowodził? A może chcieli, żeby do jakiejś demonstracji i jakichś starć jednak doszło? Nie wiem.

INFORMACJA O DEMONSTRACJI

– zamieszczona została w prasie podziemnej i błyskawicznie stała się jednym z najważniejszych tematów rozmów. Miałem wrażenie, że mówi się o tym wszędzie. Zwracano uwagę na to, że tym razem do manifestacji wzywał także RKS i Frasyniuk. Wcześniej demonstracje organizowała Solidarność Walcząca. Wspólny komunikat RKS-u i SW, uzgodniona trasa planowanego pochodu skutkowały wrażeniem, że podziemie zwiera szeregi, że jest bardziej zjednoczone i silniejsze. Bardzo elektryzujący był sam pomysł trasy marszu – z Placu Czerwonego do ulicy Mazowieckiej (czyli od pierwszej do drugiej siedziby Solidarności w latach 1980-81). Wielu mówiło, że „to jest nie do przepro-

wadzenia”. Chyba nikt nie przewidywał tego, jak w rzeczywistości wydarzenia się potoczą. Demonstranci mieli jednak iść główną arterią miasta, w dzień powszedni, w godzinach szczytu, pośród wąskich ulic, zabudowy zarówno zwartej, jak i rozproszonej. Wielu z nas oczyma wyobraźni widziało już zabarykadowane ulice, odpieranie ataków ZOMO w pasażach i podwórkach oraz wielkie tłumy przeżywające poczucie narodowej wspólnoty na wolnych od siepaczy reżimu wielkich placach miasta.

NASTRÓJ „TYKAJĄCEJ BOMBY”

Nigdy w życiu nie zaznałem podobnego narastania zbiorowej emocji, jak w tamtych dniach. Miałem wrażenie, że wszyscy wszędzie przygotowują się do wielkich wydarzeń. Wszyscy wiedzieli, że ma być wielka demonstracja, ale mimo tego ile tylko się dało – rozklejaliśmy ulotki wzywające do uczestnictwa. Najbezpieczniej było rozklejać je w windach. Miały one tę cechę, że z każdej koryzstały setki ludzi, którzy jadąc przez tych parę minut mogli się z krótkim tekstem zapoznać. Były bezwzględnie i bardzo szybko zdzierane. Kolega (nie pamiętam, już jak się nazywał, ale mieszkał w bloku Legnicka 26) przyniósł wielki stoik lakieru. Plakat rozklejony w windzie pokrywaliśmy warstwą lakieru, skutkiem czego stawał się on nieomal integralną częścią windy – zdrapać to było bardzo trudno. Słyszałem o rozklejaczach, którzy poszli jeszcze krok dalej i pod przyklejonymi ulotkami umieszczali żyłkę. W takim wypadku zrywanie plakatu łączyło się z przykrą niespodzianką. Część wind bardzo dobrze się też nadawała do pisania kredkami świecowymi. W tamtych czasach wszystkie chyba takie zakamarki osiedli krzyczały solidarnościowymi hasłami. W sierpniu 1982 było tego wyjątkowo dużo. Młodzież miała wakacje i miała na to czas.

Do Wrocławia ściągali wielkie siły ZOMO, ROMO i inne (potem okazało się, że w walce z demonstrantami wzięły udział też „czerwone berety”, czyli 6. Pomorska Dywizja Powietrzno-Desantowa). Część szkół średnich miała z tego powodu opóźnione rozpoczęcie roku szkolnego. Tak było np. w Zespole Szkół Rolniczych na Praczach, gdzie ZOMO na kilka tygodni urządziło sobie koszary. Uczącym się tam kolegom zazdrościliśmy dłuższych wakacji i żartowaliśmy, że zapewne skutkiem tego – stworzą fan klub ZOMO. Okazało się jednak, że w zamian za przedłużenie wakacji zabrano im szereg wolnych sobót.

Dość wstrząsające wrażenie zrobiło przemówienie Kiszczaka – wyemitowane w TVP. Zdaje się, że mówił, że może się polać krew. Zabrzmiało to naprawdę groźnie.

13 sierpnia, jak co miesiąc ZOMO zaatakowało tłum wychodzący z wieczornej Mszy Św. za Ojczyznę. Doszło do starć, wielu ludzi zatrzymano.

Każdego trzynastego w okolicach katedry było niebezpiecznie. Widziałem tam takie scenki, jak zomowiec nagle trzasnął chłopaka pałąk w głowę, bo w czasie legitymowania nie wyjął ręk z kieszeni i na pytanie o nazwisko odpowiedział „tam jest napisane”. Innym razem, kiedy mi sprawdzali dokumenty, dwóch moich rówieśników powiedziało, że nie ma, bo ich dowody osobiste już im zabrali „ci panowie zomowcy, którzy stali przy katedrze”. Legitymujący ich zomowiec odpowiedział „zabrali? To my teraz zabierzemy was!” I kazali chłopakom pakować się do ciężarówki.

Pamiętam jeszcze na początku stanu wojennego, jak jeden z naszych nauczycieli, który nazywał się Czemeryński, mówił nam o konsekwencjach zatrzymania w czasie „nielegalnych zgromadzeń”. „To, że ci pałąk dadzą, że na trzy miesiące aresztu skazą – to jeszcze nic. Każdy podejrzany o uczestnictwo w nielegalnej demonstracji zostanie usunięty ze szkoły i nie zostanie przyjęty do jakiegokolwiek innej. Ktoś taki – będzie skończony”. Czemeryński mówił prawdę – właśnie tak było. Znam przypadki, w których ludzie byli zatrzymywani a jednak jakoś w szkołach się ostali. Były to jednak wyjątki potwierdzające regułę. Za udział w demonstracjach dyrektor Zespołu Szkół Mechaniczno-Elektrycznych Alfred Kostrzewa usunął ze szkoły dziesiątki uczniów. Dla wielu oznaczało to wielki problem. Pamiętać trzeba, że w owym czasie obowiązywała dwuletnia (a w marynarce, lotnictwie czy wojskach rakietowych – trzyletnia) służba wojskowa. W czasie stanu wojennego była ona jeszcze o kilka miesięcy przedłużana. Wyrzucanych ze szkoły często szybko powoływano do służby wojskowej. Często nigdy już nie udawało im się uzupełnić wykształcenia.

CISZA PRZED BURZĄ

Jakieś dwa tygodnie przed 31 sierpnia zaczęły się wzmacniać demonstracje siły. Najpierw jeździły po mieście mniejsze, potem coraz większe i coraz liczniejsze kolumny ZOMO. Kilka dni przez Rocznicą Porozumień Sierpniowych pełno już było kolumn wyładowanych zomowcami w niemal pełnym rynsztunku – w hełmach i z tarczami. Aż roіło się też on patroli pieszych – kilkusobowych. Zomowcy chodzili w mich trzymając wielkie pały w rękach, wyginając je i machając nimi, jakby rozglądali się, komu by tu nimi przyłożyć. 30 sierpnia jednak sił tych na ulicach było znacznie mniej. Zdecydowana większość kolumn i zomowców – zniknęła. Prawdopodobnie ich dowództwo wiedziało, że najbliż-

sze dni i noce mogą być bardzo ciężkie, więc zapewne pozwolili swojemu „wojsku” odpocząć i porządnie się wyspać.

Wiadomo jednak, że mobilizacja sił milicyjnych była totalna. Widywano się autobusy jakichś zbiorczych szkół gminnych – wypełnione ludźmi ubranymi w polowe mundury milicji. Reżim mobilizował więc wszystko, co się tylko dało. W owym czasie bywałem często w Obornikach Śląskich i dowiedziałem się, że z tamtejszego komisariatu nyska pełna milicjantów także 31 sierpnia porzuca swój rejon i jedzie do Wrocławia. Wróciła zresztą potrzaskana kamieniami a jeden z milicjantów – mocno poturbowany. Słynął w Obornikach z nadużywania przemocy i w czasie walk we Wrocławiu zachowywał się też nadaktywnie. Podobno zapędził się z pałką w jakieś podwórko, gdzie go dosięgły najpierw kamienie a potem pięści. Podobno z każdego komisariatu województwa wrocławskiego „nyskowa delegacja” jechała tłumić solidarnościową demonstrację. Widziałem takie kolumny, złożone z dziesiątek nysek, którymi raczej nie jechali zomowcy, lecz „zwykła milicja”. Prawdopodobnie były to te złożone z funkcjonariuszy Kątów Wrocławskich, Trzebnicy, Oleśnicy i innych. Opowiadano też, że świat przestępczy tych gmin w tych dniach stwierdził, że „hulaj dusza – piekła nie ma”. Kradzieże i rozboje w miasteczkach i wioskach pozbawionych stróżów porządku (lub pilnowanych przez zmobilizowanych milicjantów – emerytów) miały wówczas ponoć wyjątkowo dużą skalę.

Bardzo wielu właścicieli samochodów doszło do wniosku, że skoro w mieście na pewno dojdzie do walk ulicznych, w powietrzu będą latać pociski i kamienie – to lepiej dorobek życia usytuować w jakimś bezpiecznym miejscu. Moi rodzice zostawili na te dni samochód u rodziny w Obornikach. Okazało się to krokiem bardzo słusznym. Przez placyk, na którym zwykle nasza skoda parkowała, wielokrotnie 31 sierpnia pędziły samochody pancerne. Przez szereg godzin latał tam grad kamieni. Niestety – nie jeden samochód ucierpiał i to czasem od kamieni rzuconych w ZOMO. 31 sierpnia na rogu Szczepińskiej i Legnickiej rozgrywała się m.in. tak scenka: w miejscu, w którym zwykle stało wiele pojazdów, stała tylko jedna syrenka. Tuż przed nią, naprzeciw rozwścieczonego tłumu kilkakrotnie przejeżdżały pojazdy milicji a potem podszedł duży szpaler ZOMO, zza którego gazik wyposażony w wyrzutnie granatów gazowych wysyłał ich w powietrze całe dziesiątki. W stronę milicji leciała masa kamieni. Nagle w tym zgietku pojawiła się jeszcze jedna osoba – najprawdopodobniej właścicielka samochodu marki syrena, wokół którego padały liczne kamienie. Stała ponad grupą zomowców i krzyczała ponad ich głowa-

mi: „chuligani, łobuzy, przestańcie rzucać te kamienie, przecież tu samochód stoi, przecież go rozwalicie!” I rzeczywiście – jakby w odpowiedzi na te słowa jeden z kamieni poleciał ponad hełmami zomowców, rozbił przednią szybę syrenki i wraz z mnóstwem szklanych okruchów znalazł się wewnątrz pojazdu. Stojąca na balkonie zareagowała na to konwulsyjną rozpaczą. Załamywała ręce, płakała, łkała i krzyczała, by koniecznie schwytać tego chuligana, który uszkodził jej samochód.

PORANEK 31 SIERPNI

Koło godziny 8 – 9 jechałem tramwajem przez miasto. Nie było widać nadmiernych sił ZOMO. Pod gmachami sądów, na rogu ul. Podwale i Sądowej rozstawionych było dużo patroli wojskowych. Żołnierze w morach, hełmach i z kamasznikami nie umieszczonymi na plecach, lecz wiszącymi na ramionach. Dłonie na kolbach i magazynkach, nieomal – z palcami na spustach. Zda się, że część z nich była w pełnym rynsztunku, z plecakami, zapasowymi magazynkami amunicji i z bagnetami na lufach. Wyglądało to bardzo groźnie. Próbowałem przejść trasę od Mostu Mieszczańskiego do ulicy Braniborskiej. Pod siedzibą Komitetu Wojewódzkiego PZPR skoncentrowane były wyjątkowo duże siły wojskowe. Ulica Księcia Witolda w ogóle była zamknięta. Przy Moście Sikorskiego i przy Mostach Pomorskich stały samochody ZOMO, bariery i znaki zakazujące wjazdu i wejścia. No i mnóstwo gotowych do akcji zomowców. Nie udało mi się wejść w ulicę Sokolniczą, w okolicy której były garaże i magazyny milicji. „Nie wolno tu wchodzić, proszę pana” – powiedział do mnie jakiś wyjątkowo drobny, niski funkcjonariusz ZOMO z karabinkiem AK na plecach. Pierwszy raz w życiu zdarzyło się, że funkcjonariusz reżimu powiedział do mnie „proszę pana”. Chłopak wyraźnie się bał tego, do czego miało dojść w ciągu najbliższych już godzin. I zrobiło mi się go żal.

Około południa zaroilo się od terenowych samochodów milicji. Krążyły bardzo nerwowo. W środku każdego pełno uzbrojonych funkcjonariuszy. Na rogu Legnickiej i Inowrocławskiej byłem świadkiem jakiegoś bardzo szybkiego i brutalnego zatrzymania. Zaplandekowany gazik nagle stanął koło jakichś dwóch mężczyzn. Wyskoczyli z pojazdu faceci w morach i bardzo brutalnie zaczęli wpychać zatrzymanych do wnętrza gazika. Aresztowani uderzali głowami o krawędź samochodowego dachu, drzwi zatraskiwano, kiedy ich nogi znajdowały się jeszcze na zewnątrz. Nie wiem, o co chodziło, ale odebrałem to jako taki sygnał, że tamta strona już ledwie panuje nad nerwami, że jej agresywność sięga zenitu, że jak się dzisiaj zacznie – to będzie bardzo ostro.

Mieszkałem przy Legnickiej 20 lat, ale nigdy nie widziałem na niej takiego ruchu, jak tego dnia. Autobusy i tramwaje pełne ludzi, mnóstwo pojazdów a przede wszystkim – tłumy idące w obydwu kierunkach chodnikami z obydwu stron jezdni. Pamiętać trzeba, że jezdnia Legnickiej wyglądała wtedy inaczej, niż dzisiaj. Była wtedy parokrotnie węższa – brukowana z licznymi asfaltowymi łatami. Wokół dużo było wykopów i rozrzuconych materiałów budowlanych. Wszyscy byli w ruchu, bo chyba obawiali się, że jak tylko się zatrzymają – zostaną zgarnięci przez krążące zmotoryzowane patrole. Pieszycy była masa. Więcej w tym miejscu widziałem tylko w następnym roku, w środku nocy, kiedy nieprzerwana rzeka szła całą szerokością jezdni i trawników na Martynice, na spotkanie z Papieżem.

POCZĄTEK

Zgodnie z intencją organizatorów demonstracja miała się zacząć o godz. 15.30. Wbrew bardzo wielu relacjom upierałbym się przy tym, że pierwsze strzały padły co najmniej półtora godziny wcześniej. Być może nawet blisko dwie godziny przed czasem.

Około 13.30 ruch pieszy i samochodowy na Legnickiej i ulicach wokół placów (wówczas) Czerwonego i Pierwszego Maja – nieprawdopodobnie intensywny. Stosunkowo mało patroli ZOMO. Jedna kolumna stoi w głębi Sokolniczej. Zapewne samochody z pałkarzami czekają również na Zelwerowicza, ale tam trudno podejść. Przed 14 na Podwalu, naprzeciw Kładki Świętego Antoniego sypią się ulotki. Ktoś ucieka biegnąc po dachu, tuż przy krawędzi kamienicy. Potem dowiaduję się, że to mój kolega z czasów podstawówki – Jacek Biernat. W jego kierunku pogałopowało kilku zomowców. Udało mu się zwiać w ostatniej sekundzie.

Było chyba tuż przed 14, kiedy na przystanki autobusowe przy Placu Czerwonym zajechały niemal równocześnie trzy autobusy MPK. Dla niektórych z nich były to przystanki końcowe, więc na ulicę wysypało się dość dużo ludzi. Tłum liczył paręset osób i szybko rósł. Sporo tych, którzy wokół krążyli – chodzili, spacerowali – szybko podążało w tamtym kierunku. W rosnącym licznie zgromadzeniu głośno padały opinie na temat tego, co robić dalej. Jedni uważali, że jest o wiele za wcześnie. Demonstracja miała się zacząć dopiero o 15.30. Inni byli zdania, że trzeba już teraz formować pochód w kierunku ul. Mazowieckiej. W bezpośrednim sąsiedztwie tego zgromadzenia nie było większych sił milicji. Jakaś kolumna stała przy Placu Świętego Mikołaja. Roito się od pojazdów ZOMO na Zelwerowicza i Sokolniczej. O przedwczesnym wybu-

chu starć przesądziły emocje i właśnie ZOMO. Na widok jakiejś kolumny milicji tłum zaczął skandować „So-li-dar-ność!” Odpowiedzią były głośne wystrzały. Padły one z gazików stojących kawatek za nieistniejącym dziś pawilonem spożywczym (na rogu Legnickiej i Pl. Czerwonego, bliżej Pl. Mikołaja). Odkryte terenówki GAZ wyposażone były w wyrzutnie granatów gazowych. Robiły wiele huku i wypluwały granaty długimi seriami. Na Placu wybuchły wielkie chmury białego, gryzącego dymu. Tłum przemieścił się w dwóch kierunkach – rogu Legnickiej i Nabycińskiej oraz w kierunku ówczesnego Placu 1-go Maja.

Dość często spotkać się można było z relacjami, wg których „pochód szedł ulicą Legnicką” (pisały tak liczne tytuły prasy podziemnej, wielokrotnie wersję tę powtarzała Wolna Europa). Nie jest to ścisłe, choć być może chodzi o pochód złożony z tych, którzy po pierwszych wystrzałach przemieścili się na Plac Pierwszego Mikołaja (odcinek między Pl. Czerwonym a Pierwszego Maja też bywa nazywany ul. Legnicką). Tłum ten szybko rósł. Na samym Placu Pierwszego Maja był już duży i został ostrzelany przez ZOMO granatami gazowymi. Na dźwięk eksplozji i krzyków z budynku szpitala zaczęły wyglądać pielęgniarki. ZOMO zaczęło wtedy ostrzeliwać z wyrzutni gazu właśnie budynek szpitala. Roztrzaskano co najmniej kilka szklanych płyt pokrywających fasadę oraz co najmniej drugie tyle okien. Gaz zaczął wypełniać oddziały szpitala. O dantejskich scenach, do których tam wtedy dochodziło, opowiadał potem cały Wrocław. Szpital wyglądał tak, jakby płonął. TVP podziurawioną, szklaną fasadę szpitala pokazywała wielokrotnie i wg jej relacji – miał to być efekt działania chuliganów. Nie było to tak dalekie od prawdy, jeśli takim eufemizmem nazwać zomowców. Ilu ludzi dotarło do ul. Ruskiej? Kolega z podziemia, występujący w nim wtedy pod pseudonimem Bogdan Zaremba opowiadał, że na Ruskiej pojawił się tłum tak wielki i gęsty, że nie był w stanie trzymać w ręce papierosa. Było po prostu za ciasno – ludzi musiało być naprawdę dużo.

WYDARZENIA NA ROGU NABYCIŃSKIEJ I LEGNICKIEJ

– znam z relacji. Pojawić się tam miał szpaler ZOMO – kroczący od strony Braniborskiej i wspierany jadącą za nim armatką wodną. Szedł imponującym wręcz rytmem – jego kroki były perfekcyjnie skoordynowane. Na wielu zrobiło to wrażenie. Część demonstrantów zamarła, reszta zaczęła się wycofywać. Jednak kiedy szpaler zbliżył się na odległość rzutu kamieniem ktoś zaczął krzyczeć „Boicie się tych gówniarzy! Na nich!!” I jak na Komedę zaczął lecieć w stronę zomowców grad celnych kamieni. Ich szyk pękł niemal od razu, zaczęli uciekać niemal w panice. Podskakujący rysz tunek uchodzących funk-

cjonariuszy wyglądał groteskowo, co tylko podsyciło pewność siebie demonstrantów. Armatka wodna z trudem usiłowała zawrócić. Dosięgała ją masa ciskanych w jej kierunku kamieni.

STARCIA NA ODCINKU MIĘDZY NABYCIŃSKĄ A DOBRĄ

Pierwsze w charakterze barykad przewrócone zostały jakieś przyczepy budowlane. Potem koło sklepu rybnego na środku ulicy znalazły się jakieś beczki i wózek z piaskiem przeciwpożarowym. Wzdłuż Legnickiej, pod ośmiopiętrowymi blokami, ciągnęły się wykopy wraz z hałdami ziemi i gruzu. Po chwili setki ludzi stały na tych hałdach i ciskały w milicję wszystkim, co tylko znajdowało się pod nogami.

BTR

Najbardziej przerażającą bronią, której użyli zomowcy w pierwszej godzinie starć, był chyba samochód pancerny BTR. Stary transporter opancerzony (ten większy typ BTR-ki, z olbrzymimi kołami, od góry zaplandekowany). Ryk jego silnika był słyszalny z daleka, pomimo panującego wszędzie hałasu i kano-nady wystrzałów. Samochód pancerny wpadał z ogromną prędkością w grupy ludzi. Uciekali spod kół, wyskakiwali spod nich często dosłownie w ostatniej sekundzie. Z ogromną prędkością samochód pancerny wykonywał bardzo zaskakujące i gwałtowne manewry. Skręcał w prawo i lewo, zataczał półkola, gnał przez podwórka, trawniki, parkingi. Pojawiał się nagle pod hotelami robotniczymi przy Trzemeskiej, by po chwili z impetem wpadać w tłum stojący w pobliżu Placu Czerwonego. Chyba wszyscy byli zdumieni tym, że pojazd ten jeszcze nikogo nie zabił. Nikt bowiem nie mógł mieć wątpliwości, że kierował nim ktoś, kto miał na celu zadawanie śmierci. I co kilka sekund ktoś, kto wyskakiwał spod jego kół, był od niej o krok. We wszystkich BTR-ka wywoływała krańcową nienawiść i agresję. Ciskano w jej kierunku kamienie, które jednak niewiele były jej w stanie zaszkodzić. Nie za wiele też kamieni go dosięgały – przemieszczała się zbyt szybko o wykonywała zbyt zaskakujące manewry. Wielokrotnie podnosiły się więc krzyki w rodzaju „Zabijmy to, zanim to zabije nas!”

Zdawało mi się, że widziałem parę prób podpalenia tej wstrętnej BTR-ki. Wszystkie były nieudane. Nie jestem tego na 100% pewien, ale chyba widziałem tego wspaniałego chłopaka, który w końcu sprawił, że ten pancerny pojazd bandytów (wtedy tak go nazywałem i po dziesięcioleciach nadal uważam, że i on i jego kierowcy zasługują na właśnie taką, w pełni uzasadnioną nazwę) wreszcie stanął w płomieniach. Otóż za niewielkim krzaczkiem, rosnącym

kilka – kilkanaście metrów od bloku Legnicka 28, przykłął chłopak może siedemnastoletni (może miał więcej – 19? Chyba jednak nie więcej, niż 20). Widziałem go przez chwilę. Pamiętam ciemne włosy i spokój, który mi zaimponował. Stała przed nim duża, litrowa butelka wypełniona płynem, zatkana szmatką. Chłopak powoli zapalał zapałkę... Klęczał przed butelką na obydwu kolanach, jak w czasie modlitwy. Nie wiedziałem momentu, w którym BTR-ka została podpalona. Stało się to jednak w momencie, kiedy przejeżdżała obok bloku Legnicka 28. Wg niektórych relacji – butelka benzyny miała spaść z korytarzowego okna tegoż bloku. Wydaje mi się to mało prawdopodobne. Podpalenie BTR-ki kojarzę z tym „chłopakiem zza krzaka”. Wyglądał na kogoś bardzo opanowanego, działającego celowo, potrafiącego się przyzysać i cisnąć butelkę w odpowiednim momencie.

Moment podpalenia samochodu pancernego został uwieńczony eksplozją radości. Gardła wszystkich, którzy to widzieli, wrzeszczały na cały głos. Ludzie wykrzykiwali różne rzeczy, wyrażając jedną wspólną myśl: „Potworni mordercy zostali ukarani”. Radość ta nie trwała jednak długo. Na samochodzie pancernym zapaliła się plandeka tuż za kabiną kierowców. Pojazd zwolnił i nagle stanął na placyku czy trawniku tuż przy rogu Legnickiej i Dobrej. Ktoś próbował w nim otworzyć drzwi, czy gasić płonąca plandekę – zapamiętałem ten moment jako jakieś „gramolenie się kogoś w BTR-ce”. Pierwszy raz od początku wydarzeń pojazd ten stał bez ruchu. Nadbiegał w jego kierunku tłum, nadal leciały w jego kierunku kamienie. Nagle do wielkiego hałasu, który wokół panował, do krzyków i kanonady różnych wystrzałów, dołączył dźwięk, jakiego wcześniej słyszeć nie było. Była to długa seria z karabinu maszynowego (a raczej karabinka AK, w jakie wyposażeni byli kierowcy). W odróżnieniu od innych huków i wystrzałów tu dosłownie czuło się, że tym razem coś dźwięczącego – metalicznego rozdziera powietrze. Wszyscy wokół szybko zdali sobie sprawę z tego, że w użyciu znalazła się maszynowa broń z ostrą amunicją. To było jakby „podniesienie stawki”. Teraz już – walka na śmierć i życie. Sięgają już po bardziej śmiercionośne narzędzia od rozpędzonych samochodów pancernych.

Jestem prawie pewien tego, że wtedy na rogu Legnickiej i Dobrej strzały zostały oddane z dwóch karabinków automatycznych AK. Jeden strzelił parę serii, w tym jedną bardzo długą, złożoną z co najmniej kilkunastu wystrzałów. Prawdopodobnie wystrzelany został wtedy cały lub prawie cały magazynek. Drugi strzelał krócej, przez chwilę dołączając do pierwszego. Strzały zostały oddane w powietrze. Nie wiem, czy jakieś zostały tam oddane wprost w stro-

nę tłumy. Z tego, co wiem o tej broni wnoszę, że pociski (mogę się mylić, ale było ich chyba nie mniej, niż 25 – 30) powinny przelecieć nad dachami bloków i spaść gdzieś w okolicach Braniborskiej lub dalej – na tereny przemysłowe, bocznicę kolejową. Szczęśliwie mogły więc nikogo nie trafić.

Po seriach z broni maszynowej na kilka minut zapadła cisza. To był coś na kształt kolejnego stadium przerażenia. Duża część demonstrantów wycofała się za blok Legnicka 28. Tam walki trwały nadal, ale tłum dość szybko wycofywał się w stronę Placu Strzegomskiego. Widziałem tam też kolejnego człowieka z butelką benzyny – z płonąącym już korkiem. Człowiek ten potknął się na skraju wykopu (było ich tam wtedy pełno). Część zawartości oblała jego rękę, butelka zsunęła się parę metrów niżej. Część ubrania tego demonstranta, na szczęście ograniczona do rękawa, stanęła w ogniu. Błyskawicznie przyszło mu z pomocą paru ludzi, którzy przycisnęli płonącego do hałdy ziemi i natychmiast zasypali płonąca rękę piachem. Nie wiem, na ile groźnych doznał poparzeń – nie krzyczał a moment później był już wśród wycofujących się w stronę Pl. Strzegomskiego.

Być może ZOMO też uważało, że ich samochód pancerny został zapalony butelką benzyny, rzuconą z bliku Legnicka 28. Po opanowaniu tej części dzielnicy wielka ilość zomowców wdarła się bowiem do tego bloku, po czym wpadła do prawie wszystkich, spośród ponad stu mieszkań. W niektórych powyłamywano drzwi. Znajdowałem się wtedy w mieszkaniu na 9 piętrze. Zomowcy do niego się nie wdarli chyba tylko dlatego, że chwilę wcześniej wyłamałi drzwi sąsiedniego mieszkania i stwierdzili, że nikogo w nim nie było. Pierwszy raz w życiu słyszałem tak przerażające krzyki bitych ludzi. Katowali kogoś na korytarzu. Tych krzyków nigdy nie zapomnę. Robiły potworne wrażenie. Po tak wielu latach każde sięgnięcie pamięcią do tych chwil robi takie wrażenie, jakbym te straszne krzyki bitych ludzi słyszał dopiero przed chwilą.

NIEPRAWDOPODOBNY WĄTEK ZWIĄZANY Z PODPALENIEM SAMOCHODU PANCERNEGO

Sam bym w to nie uwierzył, ale kilka dni później byłem świadkiem rozmowy paru milicjantów. Często w tym czasie bywałem w Obornikach Śląskich. Jakoś ok. 7 – 10 września wsiadłem w Obornikach do pociągu do Wrocławia. W niemal pustym wagonie znalazłem się wraz z chyba dwoma milicjantami (jak przez mgłę pamiętam trzecią osobę – chyba milicjantkę). Jeden był chyba po prostu z drogówki (chyba taką miał naszywkę na mundurze). Rozmawiali o wydarzeniach z 31 sierpnia. Mówili o kolegach, którzy doznali obrażeń, do-

stali kamieniami. Oburzali się na okrzyki „Gestapo”. „Oni wiedzą, co to gestapo...” – któryś z nich mówił z wyraźną kpiną w głosie. Nagle jeden zaczął mówić o podpaleniu samochodu pancernego BTR. To, co mówił dałoby się odtworzyć w taki mniej – więcej ciąg zdań:

„Przed 31 sierpnia dowództwo zastanawiało się, czy dać oddziałom ZOMO ostrą amunicję. W końcu podjęło decyzję, że nie. Parę dni przed demonstracją jednak ktoś zauważył, że nie można zostawić bez uzbrojenia kierowców samochodów. Wydano więc im ostrą amunicję...” Rozmawiający milicjanci wymieniali następnie informacje o podpaleniu BTR. „Na Legnickiej Włodka (nie pamiętam, czy to było takie imię) podpalili, kark i kawałek pleców ma poparzone. Puścił parę serii w powietrze...”

Tyle się dowiedziałem o okolicznościach tego zdarzenia „od drugiej strony”.



„GŁOŚNY” WROCŁAWSKI 13 GRUDNIA 1983

W drugą rocznicę stanu wojennego duże siły ZOMO skoncentrowane zostały w wielu punktach miasta. Bardzo liczne – na ulicy Świdnickiej i w jej okolicach. Przy okazji może warto przypomnieć, bo mało się dziś pamięta, że jej szersza część, położona między Rynkiem a ul. Kazimierza Wielkiego dostała kiedyś imię Plac Młodzieżowy. Co w końcówce lat osiemdziesiątych miało pewien swój wyraz, gdyż była to wtedy główna arena happeningów Pomarańczowej Alternatywy.

Koncentracja w tym miejscu sił ZOMO 13 grudnia 1983 była zapewne skutkiem artykułów, publikowanych na łamach „Solidarności Walczącej” a wyrażających pogląd, by w związku ze zmniejszającą się frekwencją na niezależnych manifestacjach organizować je w miejscach najbardziej ruchliwych w godzinach komunikacyjnego szczytu. A także, by akcje takie podejmować także bez zapowiedzi. Czyli pojawiać się na ulicy nagle kilkudziesięcioosobową, głośną grupą wyposażoną we flagi i transparenty i wzywającą przechodniów do przyłączenia się do zainicjowanej tym sposobem demonstracji.

Nie ulega wątpliwości, że służby komunistycznego reżimu zapoznały się z niniejszymi propozycjami redaktorów „Solidarności Walczącej” oraz że wyciągnęły z nich wnioski i poczyniły odpowiednie przygotowania. W godzinach ulicznego szczytu 13 grudnia 1983 najbardziej ruchliwe ulice i place pełne były pojazdów oraz pieszych patroli milicji. Na ulicy Świdnickiej, czyli na najbardziej uczęszczanym deptaku Wrocławia, mundurowi podchodzili do każdego, kto choćby stanął przed którymś ze sklepów. Legitymowali i spisywali tych, którzy szli zbyt wolno. Zatrzymywali każdego, kto wydał im się podejrzany. A milicjantów tych było tak wielu, że o wszczęciu jakiegokolwiek manifestacji w tym miejscu nie mogło być mowy.

I wtedy zaczęło się dziać coś nieoczekiwanego. Ulica Świdnicka była bowiem rodzajem promenady, która z powodu częstych w tym miejscu kiermaszów, festynów czy innych imprez plenerowych na części swej długości była radiofonizowana. Na licznych słupach z oświetleniem po prostu były zainstalowane także głośniki, co jakiś czas służące do emitowania muzyki

czy wygłaszania jakichś komunałów. Okazało się, że ktoś do sieci tych głośników musiał się podpiąć z jakąś swoją aparaturą, bo nagle, i to bardzo głośno, zaczęły z niej płynąć treści, na które zgromadzeni milicjanci zareagowali bardzo nerwowo a w przechodniach wywołały one nie tylko zaskoczenie, ale i entuzjazm. Miejskie głośniki zaczęły bowiem emitować audycję na temat rocznicy stanu wojennego, przypominającą o zbrodniach w kopalni Wujek i innych ofiarach reżimu Jaruzelskiego. Bardzo głośno roznosiły się ostre antykomunistyczne teksty, co chwilę przerywane fragmentami piosenek o takiej samej wymowie. Zaskoczeni funkcjonariusze nie wiedzieli co robić. Najpierw wywiązała się chaotyczna bieganina, przypominająca nieszczęsne owady w obsikiwanym mrowisku. Po chwili jedni skupili się na poszukiwaniu przewodów prowadzących do głośników. Inni wyjęli pałki tak, jakby natychmiast zamierzali ich użyć i głośno krzycząc zaczęli przepędzać przechodniów. A schodziło ich się coraz więcej, bo dźwięki niecodziennej audycji były słyszalne w Rynku i na południowym odcinku Świdnickiej. Część zomowców musiała dostać szybkie rozkazy, bo ustawiła się szpalerami, zakazując ludziom wchodzenia na tę ulicę od strony Ofiar Oświęcimskich, Rynku a inni nie wpuszczali nikogo do przejścia podziemnego pod Trasą W-Z. Mijały kolejne minuty, audycja nadal była emitowana a wszystkie próby jej przzerwania okazywały się nieskuteczne. Wtedy ktoś z dowodzących milicją musiał wpaść na pomysł zagłuszenia audycji. Wszystkie samochody milicyjne, a były ich tam dziesiątki, włączyły bowiem swoje syreny. Ich głośny ryk wypełnił wszystkie okoliczne ulice. Przez dobrych kilka minut był on słyszalny w całej centralnej dzielnicy Wrocławia. Nadawaną audycję skutecznie zagłuszył. Kiedy syreny umilkły – jej też nie było już słychać. Czyli albo dobiegła końca albo też milicja znalazła sposób na wyłączenie głośników.

Nie byłem bezpośrednim świadkiem tego wydarzenia. Przechodziłem przez Plac Kościuszki, kiedy od strony Rynku najpierw dały się słyszeć słowa mówione przez głośniki. Z tej odległości nie sposób było ich zrozumieć i przypuszczałem, że to milicja wzywa do rozejścia się ludzi, którzy być może zaczęli się tam gromadzić. Ruszyłem w tamtą stronę i niemal równocześnie wyprzedziła mnie kolumna milicji jadąca w tym samym kierunku. Zatrzymała się pod operą i zomowcy, którzy się z niej wysypali, zamknęli ruch pieszy. Ten sam milicyjny manewr w tym miejscu widziałem już parę razy a zawsze był raczej skuteczny, bo żeby ominąć tak zablokowane miejsce trzeba było pokonywać długą odległość Podwalem wzdłuż fosy. O tym, co się działo na Świdnickiej bliżej

Rynku wiem więc tylko z opowieści tych, którzy tam wtedy byli. Powtarzano je wtedy zresztą w całym Wrocławiu.

Spotkałem się z różnymi informacjami na temat autorstwa akcji podłączenia się do sieci głośników. Podobnych w tamtych latach było sporo, ale polegały one na umieszczaniu najczęściej na drzewach tzw. „gadał”, czyli magnetofonów z głośnikami. Wiele razy włączały się one np. po mszach świętych, kiedy z dużych kościołów (np. św. Karola Boromeusza przy dzisiejszej ul. Gajowickiej) wychodziła wielka rzesza ludzi. W przypadku akcji na Świdnickiej do dziś nie mam pewności, kto za nią stał.



LECH KACZYŃSKI – PRAWDZIWIE NIEPODLEGŁY PREZYDENT

Jego poprzednikami na stanowisku prezydenta były postacie stanowiące kwintesencję pookrągłostołowej Polski: Jaruzelski, Wałęsa i Kwaśniewski. Zaskakujące zwycięstwo w wyborach roku 2005 polskim patriotom i państwowcom dało wiarę w możliwość budowy ojczyzny sprawiedliwej i prawdziwie niepodległej.

Urodził się w Warszawie w roku 1949, w rodzinie o tradycjach patriotycznych. Był dzieckiem powstańców warszawskich (ojciec był kawalerem Orderu Virtuti Militari). Czymś na miarę symbolu jest też to, że przychodzącego na świat przyjmowała położna, będąca matką poległego w Powstaniu poety Tadeusza Gajcego a ojcem chrzestnym został jego wuj Stanisław Miedza – Tomaszewski, którego niezwykle okupacyjne doświadczenia stały się kanwą scenariusza filmu pt. „Umarłem aby żyć”.

PRZECIW KOMUNISTYCZNEMU BEZPRAWIU

W 1971 roku Lech Kaczyński ukończył prawo na Uniwersytecie Warszawskim, po czym przeniósł się do Trójmiasta, gdzie rozpoczął pracę na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Gdańskiego. Specjalizował się w prawie pracy a jako nauczyciel akademicki szybko dał się też poznać jako wykładowca mocno artykułujący sprawę etycznych powinności zawodów prawniczych. Częścią praktykowanego przez Lecha Kaczyńskiego prawniczego etosu było bezpłatne służenie pomocą ludziom skrzywdzonym a nie mogącym sobie pozwolić na zatrudnienie adwokata. Pomoc ta nie ograniczała się do doradzania. Jedną ze spraw, w które się zaangażował, był problem rolnika, którego pola uprawne miejscowi notable upatrzili sobie jako dobre miejsce do budowy własnych rezydencji. Występując przeciw ich brutalnym machinacjom Kaczyński nie zawahał się wejść w konflikt z przywykłą do bezkarności komunistyczną sitwą. Mimo nieobecności w mediach – sprawa ta stała się głośna. Stąd bardzo wielu uświadomiła, że władza partyjnych klik nie jest nieograniczona i że nie tylko można, ale wręcz trzeba się jej przeciwstawiać, korzystając z pomocy uczciwych, ofiarnych prawników.

W OBRONIE ENKLAW WOLNOŚCI

W połowie lat siedemdziesiątych zaczął się w Polsce dynamicznie rozwijać niezależny ruch wydawniczy. Coraz większe ilości czasopism i książek, powielanych poza zasięgiem cenzury w tajnych drukarniach, rozpowszechniane były przez kolporterów, tropionych przez Służbę Bezpieczeństwa. Jednym z nich był Lech Kaczyński, który zatrzymywany przez MO i SB służył doradztwem i obroną. W 1977 Lech Kaczyński rozpoczął współpracę z utworzonym przez Zbigniewa Romaszewskiego Biurem Interwencyjnym KSS KOR. Pierwsze aktywności polegały tu na pomocy prawnej dla prześladowanych. Szybko jednak jego działalność przybrała skalę dużo większą. W prywatnych mieszkaniach, plebaniach, salkach katechetycznych dla ciągle nowych grup robotników w wielu miejscowościach Polski prowadził konspiracyjne szkolenia z najbardziej przydatnych zasad prawa pracy. Skutkiem tego zaczęło przybywać ludzi, którzy wykorzystując obowiązujące w kraju prawo potrafili w swych środowiskach bronić obywateli przed represjami i stawiać skuteczny opór łamaniu praw pracowniczych. W 1978 włączył się w działalność Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża. Oprócz obrony prześladowanych niezależnych związkowców i tajnych szkoleń z prawa pracy rozwijał działalność konspiracyjnego uniwersytetu robotniczego, w ramach którego prowadził cykle wykładów z zakazanych lub zakłamanych przez władze wątków historii. Równocześnie zaczął publikować na łamach pism ukazujących się poza zasięgiem cenzury, głównie „Robotnika Wybrzeża”.

WŚRÓD RATUJĄCYCH SIERPIEŃ

Doniosłą rolę Lech Kaczyński odegrał w czasie strajku w Sierpniu 1980. Do centralnego ośrodka narodowego protestu, jakim była Stocznia Gdańska (wówczas nosząca imię Lenina), z poparciem władz trafiła grupa tzw. „doradców”. Szybko okazało się, że głównym celem tych ludzi, mających rzekomo stanowić merytoryczne wsparcie dla Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego, było doprowadzenie do rezygnacji z najważniejszych postulatów. W tym – prawa do utworzenia związku zawodowego, niezależnego od komunistycznych władz. Argumenty owych „doradców” okazywały się być przekonujące dla części przywódców strajku. Jeśli by one przeważały – owocem Sierpnia 1980 nie byłby żaden historyczny przełom a Polacy nie uczyniliby wówczas najmniejszego kroku w kierunku upodmiotowienia zniewolonego społeczeństwa i niepodległości swojego kraju. Skutkiem sprowadzenia protestu wyłącznie do doraźnych celów ekonomicznych oraz szerzenia podziałów – wszyst-

kie istotne cele sierpniowego zrywu mogły zostać oddalone na długie lata. W tych krytycznych chwilach wszystkie historyczne zdobycze Sierpnia zostały ocalone dzięki grupie rzeczywistych przywódców, złożonej głównie z Andrzeja Kołodzieja, Anny Walentynowicz, Andrzeja Gwiazdy i właśnie – Lecha Kaczyńskiego. To przede wszystkim oni oparli się naciskom, pozostali wierni najważniejszym celom Sierpnia i zdołali do nich przekonać zasadniczą część uczestników strajku. Natychmiast po jego zwycięstwie Lech Kaczyński przystąpił do organizowania związku, by formować go jako wielką enklawę polskiej wolności. W 1981 był delegatem na I Krajowy Zjazd NSZZ Solidarność, na którym został członkiem Komisji Programowej.

WIĘZIENIE I KONSPIRACJA

13 grudnia 1981 Lech Kaczyński został internowany, po czym w ośrodku odosobnienia w Strzebielinku spędził blisko rok. Krótco po wyjściu na wolność rozpoczął współpracę z działającą w konspiracji Tymczasową Komisją Koordynacyjną NSZZ Solidarność. Szybko też stał się jedną z najważniejszych postaci struktur gdańskiego regionu związku zepchniętego do działania w podziemiu. Organizował siatkę tajnych komisji zakładowych, spieszył ze wsparciem dla represjonowanych, publikował na łamach solidarnościowej bibuły. W 1985 współtworzył Radę Pomocy Więźniom Politycznym. Wiosną i latem 1988 uczestniczył w strajkach w Stoczni Gdańskiej. Tam też zastała go decyzja Lecha Wałęsy o powstrzymaniu fali narodowego protestu i rozpoczęciu negocjacji z ministrem spraw wewnętrznych komunistycznego rządu – gen. Czesławem Kiszczakiem.

W POSZUKIWANIU POLSKIEJ SZANSY

Rozmowy części przywódców Solidarności oraz ugodowych odłamów opozycji z reprezentantami reżimu Jaruzelskiego Lech Kaczyński postrzegał jako szansę na doprowadzenie w Polsce do rzeczywistych przemian. Wiele wskazuje na to, że w owym czasie nie miał złudzeń nie tylko co do intencji komunistów, ale też do kursu, reprezentowanego przez Lecha Wałęsę. Ówczesny przewodniczący Solidarności cieszył się wtedy jednak ogromnym społecznym poparciem i zaufaniem. Potencjał jego przywództwa mógł więc być wykorzystany do osiągnięcia fundamentalnych narodowych celów. Lech Kaczyński wziął więc udział w rozmowach, jakie Wałęsa rozpoczął z komunistami i wszedł w skład Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie. Za pierwszy z celów postawił przywrócenie związkowi Solidarność prawa do legalnej

działalności. Został on osiągnięty w czasie negocjacji Okrągłego Stołu w zespole d.s. pluralizmu związkowego, po czym w kwietniu 1989 Lech Kaczyński został członkiem prezydium a w maju 1990 wiceprzewodniczącym Komisji Krajowej NSZZ Solidarność. Już jednak bezpośrednio po kontraktowych wyborach z czerwca 1989, w czasie których został senatorem, był orędownikiem dążenia do odsunięcia partii komunistycznej od władzy. W tym celu rozpoczął rozmowy z liderami Stronnictwa Demokratycznego i Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego, które doprowadziły do utworzenia nowej większości w Sejmie i powołania rządu Tadeusza Mazowieckiego. Szybko doszedł do wniosku, że rząd ten nie spełnia pokładanych w nim nadziei. Szansę nadania nowej energii biegowi polskich spraw wiązał z powstaniem Porozumienia Centrum oraz ośrodka prezydenckiego, z Lechem Wałęsą w roli głowy państwa. Z jego gabinetu odszedł po niespełna roku, ostatecznie rozstając się z nadziejami na możliwość odgrywania przez Wałęsę jakiegokolwiek korzystnej dla Polski roli.

NA DRODZE DO ZJEDNOCZONEJ PRAWICY

W 1992, w krótkim okresie rządu Jana Olszewskiego, został prezesem Najwyższej Izby Kontroli. Urząd ten sprawował do roku 1995. Równocześnie zajmował się pracą naukową i dydaktyczną. W latach 2000 – 2001 był ministrem sprawiedliwości w rządzie Jerzego Buzka. W roku triumfalnego zwycięstwa w wyborach parlamentarnych postkomunistycznej lewicy doprowadził do utworzenia partii Prawo i Sprawiedliwość, której został pierwszym przewodniczącym i z jej listy – posłem na Sejm IV kadencji. W roku 2002 doprowadził do poszerzenia konserwatywnej koalicji i utworzenia Przymierza Prawicy. Oznaczało to przełom, zapowiadający przemodelowanie polskiej sceny politycznej. Po kilkunastu latach dominacji formacji lewicowych, pilnie strzegących swego niemal monopolistycznego panowania w mediach, do głosu zaczęły dochodzić środowiska konserwatywne, skutecznie dotąd rozbijane działaniami operacyjnymi postkomunistycznych służb specjalnych.

PREZYDENT WARSZAWY

W roku 2002 został wybrany na prezydenta Warszawy. Jak się wkrótce okazało – od czasów Stefana Starzyńskiego pierwszego tak wyrazistego i oddanego jej dziedzictwu włodarza polskiej stolicy. Po dziesięcioleciach działań pozorowanych – błyskawicznie doprowadził do utworzenia Muzeum Powstania Warszawskiego. Stało się ono wzorcową, wyznaczającą trendy placówką polskiego muzealnictwa. Za jego sprawą powstał pierwszy w Polsce wielkich roz-

miarów nowoczesny ośrodek edukacji uczestniczącej – Centrum Nauki „Kopernik”. Spośród znaczących inwestycji trzyletniego zarządzania stolicą wymienić warto np. pierwsze odcinki Szybkiej Kolei Miejskiej.

GŁOWA PAŃSTWA O PATRIOTYCZNYM RODOWODZIE

Kampania prezydencka z roku 2005 ujawniła obywatelskie przebudzenie milionów Polaków. Tym bardziej przeciw Kaczyńskiemu koncentrowała się nie kończąca furia ataków. O tym, że ma on szansę zwycięstwa, powiadomiliśmy dopiero sondaże publikowane tuż przed ciszą wyborczą. Zupełnie tak, jakby po miesiącach zaniżania prognoz, w ostatnim momencie manipulatorzy chcieli uniknąć zdemaskowania i kompromitacji. Zwycięstwo w wyborach i objęcie urzędu w grudniu 2005 histerię ciągle dominujących a wrogich nowemu prezydentowi mediów podniosło w stronę rejestrów krańcowych. Zwalczająca Kaczyńskiego postkomunistyczna propaganda przeobraziła się w pracujący na pełnych obrotach przemysł pogardy. Nie osłabiło to aktywności pierwszego niezależnego prezydenta III RP. W polityce zagranicznej dążył on do zacieśnienia współpracy państw środkowo – wschodniej Europy. Jednym z jej celów było zmierzanie do energetycznego uniezależnienia od Rosji. W roku 2006 zapadła decyzja budowy gazoportu w Świnoujściu. Najbardziej spektakularnym przejawem sprzeciwu wobec agresywnego rosyjskiego imperializmu była, złożona w towarzystwie przywódców Litwy, Łotwy, Estonii i Ukrainy, wizyta w stolicy Gruzji, zaatakowanej przez wojska rosyjskie. Całkowitą rewolucją była polityka odznaczeniowa Lecha Kaczyńskiego. Po kilkunastu latach obsypywania orderami tysięcy funkcjonariuszy komunistycznych i środowisk, które zawarły z nimi kompromis, państwo polskie zaczęło wyróżniać działaczy niepodległościowej konspiracji i żołnierzy antysowieckiego powstania z lat po II wojnie światowej.

Prezydentura prof. Lecha Kaczyńskiego została przerwana w wyniku ciągle niewyjaśnionej katastrofy lotniczej pod Smoleńskiem. Charakter i rozmiar czci oddawanej tragicznie zmarłemu przez miliony Polaków był wstrząsem dla środowisk postkomunistycznych i samozwańczych elit, dokooptowanych PRL-owskiej oligarchii w roku 1989. Dla nich pierwszy prezydent III RP o prawdziwie solidarnościowym i niepodległościowym rodowodzie nawet po tragicznej śmierci nie przestaje być celem barbarzyńskich ataków.

„Obywatelska” marzec 2020



AGENCJA FOTOGRAFICZNA SOLIDARNOŚCI WALCZĄCEJ

Już w czerwcu 1982 roku w kręgu Kornela Morawieckiego pojawił się pomysł utworzenia konspiracyjnego zespołu fotografów, którzy stanowiliby jedno z ogniw organizacji Solidarność Walcząca i zajmowali się przede wszystkim dokumentowaniem przebiegu protestów ulicznych. Głównym jego organizatorem został Michał Gabryel a formowany przez niego zespół działalność rozpoczął w sierpniu 1982. Od początku było jasne, że każdy człowiek fotografujący np. oddziały wojska czy pojazdy milicji (w stanie wojennym było to surowo zakazane i groziło wysokimi karami) narażać się będzie na spore ryzyko zatrzymania. Z tego więc powodu dążono do tego, by grupa ta stanowiła strukturę wyspecjalizowaną i możliwie nie łączącą tej aktywności z innymi. Wkrótce jednak trzymanie się tej zasady okazało się trudne. Konspiratorzy sami bowiem znajdowali dla siebie nowe pola aktywności i dość rzadko się zdarzało, żeby ktokolwiek do końca lat osiemdziesiątych realizował zadania tylko jednego rodzaju.

Wśród zaangażowanych w działalność Agencji Fotograficznej Solidarności Walczącej znaleźli się między innymi Aleksander Beszlej, Andrzej Borowiec, Jerzy Janicki, Stanisław Klimek, Hanna Nowik, Tomasz Nowik, Bogdan Suchta. Najlepiej znanym osiągnięciem AFSW jest seria zdjęć przedstawiających wydarzenia we Wrocławiu, jakie miały miejsce 1 maja 1983 roku. Związane one były z niezależną demonstracją, która włączyła się w trasę oficjalnego proreżimowego pochodu i przeszła przed trybuną honorową, wypełnioną komunistycznymi notablami i ich sowieckimi gośćmi, m.in. generałami i oficerami Armii Radzieckiej.

Te i inne fotografie Agencja publikowała w podziemnych wydawnictwach Solidarności Walczącej. Często były też wykorzystywane przez inne niezależne inicjatywy wydawnicze. Bardzo sprawnie działało też permanentne ich dostarczanie zagranicznym przedstawicielstwom Solidarności Walczącej oraz

mediom działającym na Zachodzie. Dla potrzeb przemytu negatywów wykorzystywano głównie samochody ciężarowe zagranicznej pomocy humanitarnej. Bezcenne okazały się tu kontakty Michała Gabryela z austriackimi przyjaciółmi, z którymi znał się z wypraw wysokogórskich i alpejskich wspinaczek skałkowych. Byli wśród nich m.in. projektanci i inżynierowie z koncernów takich, jak Steyer. I właśnie dzięki relacjom z producentami ciężarówek członkom Solidarności Walczącej (zarówno działającym w kraju, jak i na Zachodzie) znane były możliwości tworzenia i wykorzystania skrytek w miejscach nieznanym żadnym służbom granicznym.

Oprócz obszernych dokumentacji fotograficznych przedstawiających demonstracje, walki uliczne czy zbrodnie reżimu Agencja Fotograficzna Solidarności Walczącej mikrofilmowała ogromne ilości wydawnictw drugiego obiegu. Przemycane były one tym samym sposobem i trafiały między innymi do Radia Wolna Europa. Składające się z artykułów z bezdebitowej prasy takie cykliczne audycje, jak „Wiadomości i Teksty Zakazane” czy „Przegląd Prasy Podziemnej” w dużej mierze opierały się na mikrofilmach, dostarczanych właśnie dzięki Agencji Fotograficznej Solidarności Walczącej.

Upowszechnianie w wolnym świecie świadectw walki Polaków z reżimem komunistycznym owocowało nie tylko wiedzą o toczących się wydarzeniach, ale przysparzało sympatyków, udzielających wsparcia finansowego, bardzo potrzebnego podziemiu.

Dzięki pracy Agencji nakładem Solidarności Walczącej wydane zostały też albumy poświęcone społecznym protestom oraz Czesławowi Miłoszowi czy Janowi Pawłowi II.

Agencja działała do 1990 roku. Większość osób zaangażowanych w jej prace nigdy nie została rozpoznana przez służby specjalne PRL.

UCIECZKA FOTOGRAFA

Wykonałem w swoim życiu trochę zdjęć, które były w różnych miejscach publikowane. Tylko raz miałem jednak okazję zrobić takie, które stały się znane po obydwu stronach oceanu.

Latem 1986 roku ruszyła we Wrocławiu akcja „Uwolnić Więźniów Politycznych”. Polegała ona na wychodzeniu na ulice ludzi, do których solidnie przywiązane były duże kartony z hasłami. Zadaniem tak odzianych ludzi było stanie w ruchliwym miejscu lub spacerowanie tak długo aż zostaną zatrzymani przez milicję albo Służbę Bezpieczeństwa. O celu wydarzeń informowała wrocławian prasa podziemna, Radio Solidarność Walcząca oraz ulotki. Publikacje te zawierały relacje z już przeprowadzonych „akcji kanapkowych” (tak ten rodzaj demonstracyjnego protestu „słownikowo” się nazywa) oraz instrukcje, by np. nie stawać w obronie zatrzymywanych. Organizatorzy akcji nie chcieli bowiem narażać przechodniów na zarzuty czynnego stawiania oporu funkcjonariuszom MO, za co groziły długie lata więzienia. Decydujący się na pełnienie roli „kanapki” (czyli człowieka – transparentu) zakładali, że staną za to przed Kolegium d.s. Wykroczeń, które wymierzy im wyrok trzech miesięcy aresztu. W przypadku możliwości zamiany aresztu na grzywnę każdy uczestnik deklarował, że nic nie zapłaci i – będzie siedział. Zachodziło ryzyko, że komuniści będą się sięgać do poważniejszych paragrafów i stawiać ludzi nie przed kolegiami, ale przed sądami, dążąc do wymierzania wyroków kilkuletnich. Tak się zresztą zaczęło dziać w czasie pierwszej akcji, w czasie której na ulicy Świdnickiej milicja zatrzymała demonstrujących Pawła Kociębę i Wieśka Mielcarskiego. Mimo, że zatrzymywani nie stawiali oporu, jeden z milicjantów (zapewne wykonując instrukcję swych przełożonych) zgłosił fakt doznania obrażenia, polegającego na skaleczeniu palca. Usłudni lekarze natychmiast wystawili stosowny dokument, opisujący ów „rozlew milicyjnej krwi”. Spodziewając się takich sytuacji w pogotowiu oczekiwali adwokaci. Mecenas Henryk Rossa przed skierowaniem sprawy do prokuratury i sądu Pawła Kociębę wybawił stwierdzeniem, że „skarga na płytkie zranienie o długości zaledwie kilku milimetrów jest obrazą dla munduru”. Skończyło się więc na kolegium i areszcie.

Kilka dni po demonstracji Pawła i Wieśka wyjść na ulicę miał znany mi z działalności w Solidarności Walczącej Dariusz Olszewski. Dzięki temu wiedziałem, gdzie i o jakiej porze obwiązany transparentami Darek się pojawi. Informacja ta była oczywiście najściślej tajna. Jeśli przecież pojawianie się „kanapek” nie byłoby dla SB zaskakujące pod względem czasu i miejsca to wszystkie takie akcje kończyłyby się wcześniej, niż się zaczynały. A miejsca „kanapkowcy” wybierali rozmaite. Dwoje z nich pojawiło się np. na terenie ogrodu zoologicznego. Od Darka dowiedziałem się, że danego dnia on zjawi się o godz. 16 na pasażu pod „bunkrowcami” na Placu Grunwaldzkim. Przyszedłem tak zabierając ze sobą swój aparat fotograficzny „Zenit”. Zanim jeszcze na trotuar wyszedł Darek zobaczyłem, że w miejscu tym czeka już co najmniej dwóch fotografów. Jeden siedział na murku i miał jakiś fantastycznej jakości sprzęt z wielkim teleobiektywem. Zrozumiałem, że to jacyś też wtajemniczeni ludzie z kręgów opozycji i że przyszli po to, by wydarzenie uwiecznić.

Dokładnie o 16 zza któregoś z rogów wyszedł Darek. Z przodu i z tyłu miał solidnie przytwierdzone tablice z napisami „Uwolnić Więźniów Politycznych”. Na głowie miał czapkę z logo Solidarności a u boku chlebaczek, zapewne zawierający szczoteczkę do zębów i inne przybory, które wolno i warto mieć w areszcie. Przechodnie zareagowali owacją. Facet z teleobiektywem nadal siedział na murku i wykonywał serie zdjęć. Ja wyjąłem spod kurtki swojego „Zenita” i też zacząłem „trzaskać” jedno za drugim. Z przodu, z tyłu, z boku, z odległości kilkunastu metrów i niemal „z przyłożenia”. Zapełniłem już większość klatek filmu, gdy zacząłem dochodzić do wniosku, że jeśli akcja ta trwa już z kilka minut to najpóźniej za dwie – trzy będzie tu SB. A wtedy, zanim weźmie się za Darka, wyłapie najpierw wszystkich ludzi z aparatami fotograficznymi. Z ich punktu widzenia przecież najważniejsze jest to, żeby obrazy tego wydarzenia nie poszły w świat. Dokładnie w momencie, w którym ta myśl pojawiła się w mojej głowie zobaczyłem, jak dwóch drabów rzuca się na faceta z teleobiektywem. „Cholera, już są” – pomyślałem i równocześnie usłyszałem rozemocjonowane słowa znajomego mi człowieka o imieniu Grzegorz, stojącego w zgromadzonym tłumie: „Artur, przyskaj!” Aparat miałem już ukryty pod kurtką, lecz kiedy szybkim krokiem ruszyłem w stronę Mostu Grunwaldzkiego zauważyłem, że właśnie z tamtej strony krokiem niemal marszowym idzie czterech rosnących facetów. Znow odwróciłem się w kierunku tej części deptaku, na końcu którego kilku esbeków już wlekło fotografów w stronę schodów. Obwieszony transparentami Darek nadal spacerował. Kilkudziesię-

sięciu zgromadzonych ludzi bezradnie przyglądało się błyskawicznemu tokowi wydarzeń. Ktoś gwizdał, ktoś krzychał „Precz z esbecją!”. Z dziesięć metrów przede mną były małe schody, biegnące na położony pod nimi parking. Zobaczyłem jednak, że właśnie w ich kierunku ktoś przedziera się przez może trzydziestoosobową grupę stojących przed nimi ludzi. Uznałem, że nie mam innego wyjścia i prawie nie sprawdzając, na co wyląduję, przesadziłem przez murko – barierkę, zamierzając czym prędzej znaleźć się na leżącym kilka metrów niżej parkingu. Za sobą usłyszałem tupot goniących nóg, okrzyk „Ucieka!” doleciał do mnie, kiedy leciałem już w powietrzu. Po skoku z kilkumetrowej wysokości wylądowałem techniką identyczną z tą, jaką parę lat wcześniej praktykowałem skacząc z samolotów na spadochronach SD1 – M. Bóg mi sprzyjał – wylądowałem na kawałku ubitego gruntu, między samochodami. Od razu biegiem rzuciłem się w kierunku bramy do znanego mi podwórka. Wiedziałem, że jest w nim sklep ze sprzętem turystycznym a za nim brama wychodząca wprost na akademik studentów Akademii Medycznej „Eskulapa”. Biegłem z tętniącą mi w głowie myślą: „oni w takich sytuacjach zwykle szeroko obstawiają teren, muszę wyjść z bramy spokojnie i wyglądać choć trochę inaczej”. Błyskawicznie zdjąłem zwiewną granatową kurtkę, pod którą ubrany byłem w białą koszulkę. Widząc to, co dzieje się za bramą od strony „Eskulapa” niemal na głos powiedziałem: „Dzięki Ci, Panie”. Za bramą stał bowiem tramwaj, do którego wchodził właśnie tłum ludzi. Momentalnie znalazłem się w samym jego środku i po chwili z okien tegoż tramwaju mogłem zobaczyć facetów biegnących chodnikiem właśnie w stronę „Eskulapa” i obserwować, jak z kilku zatrzymanych poniżej sklepu „Artur” samochodów wychodzą kolejni funkcjonariusze SB. Pomyślałem, że o ile jacyś nie jadą ze mną tym samym tramwajem – jestem już bezpieczny. Przypuszczenie to okazało się być słuszne.

W koreksie wywołałem film – wypełnione obrazkami klatki wyglądały zadowolająco. W ciągu najbliższych miesięcy nie miałem jednak okazji „przezcucić” ich na papier. Spotkałem się z Grzegorzem, świadkiem mojej ucieczki. Był bardzo zdziwiony, że udało mi się uciec. „Tam wszyscy myśleli, że ciebie złapali”. Okazało się, że podobnie myślał sam Darek Olszewski. Spotkałem się z nim parę miesięcy później, gdy po wyjściu z aresztu dołączał do jego deportowanej właśnie z Polski żony, Donny Kersey, która była obywatelką amerykańską. Ucieszył się, kiedy pokazałem mu kliszę ze zdjęciami. „To jedyne!” – powiedział – „Wszystkich innych fotografów bezpieka wyłapała!” Dałem Darkowi film, z którego jeszcze przed odlotem do USA miał mi zrobić komplet

odbitek. Potem jednak okazało się, że Darek za ocean wyleciał wcześniej, niż miał to w planie. O swoich zdjęciach słyszałem już tylko, że były publikowane w Stanach. Sam zobaczyłem je dopiero w roku 2007. Uczestniczyłem wtedy w redagowaniu albumu, który Wydawnictwo Volumen przygotowywało na 25 rocznicę utworzenia Solidarności Walczącej. Do albumu tego trafiły właśnie moje zdjęcia, zrobione w czasie „kanapkowej” akcji z lata 1986 roku. Przy tej też okazji po raz pierwszy od 21 lat spotkałem się z Darkiem. Powiedział wtedy: „Z trzech, którzy tam wtedy robili zdjęcia tylko tobie udało się uciec. I są to jedyne, przedstawiające to wydarzenie”. Odpowiedziałem: „Zawdzięczam to temu, że z tych trzech ja miałem najgorszy sprzęt, ledwie starego „Zenita”. Na pytające spojrzenie Darka odpowiedziałem: „Najpierw rzucili się na tych z bardzo profesjonalnym sprzętem, na faceta z teleobiektywem. Ja miałem tylko „Zenita”. Uratowało mnie więc to, że mnie zamierzali zgarnąć w drugiej kolejności”.

Wykonane przeze mnie fotografie samotnie demonstrującego Dariusza Olszewskiego zobaczyć można m.in. we wrocławskim Centrum Historii „Zajeżdźnia”, na wystawie w siedzibie Stowarzyszenia Solidarność Walcząca (na rogu Nowowiejskiej i Barlickiego) a także w wielu wydawnictwach, np. w książce Igora Janke „Twierdza. Solidarność Walcząca – podziemna armia”.

KONSPIRATORZY I PRZYJACIELE

Kiedy w 1982 roku SW opublikowała „Naszą Wizytówkę”, stanowiącą zarys programu, dla wielu liczne jej fragmenty zaskakiwały a czasem nawet wstrząsały. Jak dziś to poczytać – duża część tego tekstu ma charakter profetyczny. Nie tylko w wymiarze politycznym, czy historycznym (jak przewidywali autorzy – powstały niepodległe państwa), ale też jednostkowym. Mnie zelektryzował najbardziej taki fragment: „Ilu nas jest? Dziś kilkuset. Jutro – i Ty wśród nas.” I – stało się. Nie szukałem jakoś specjalnie drogi do Solidarności Walczącej. Zaprowadziło mnie do niej moje życie. Zaprowadziła ta jego część, którą czułem się zobowiązany poświęcać obywatelkowi wobec swojego kraju. Prowadziły do niej marzenia o Polsce wolnej od komunizmu. Droga podobna do mojej zaprowadziła do Solidarności Walczącej tysiące Polaków.

„Nasza wizytówka” zaskakiwała nie jednym. Ten jasny przekaz, że nie zamierza lawirować, szukać kompromisów, że tę „władzę chce pozbawić władzy” – brzmiał dość fantastycznie, ale zarazem – konkretnie. Cel ten wydawał się odległy i trudny, lecz za to był bardzo jednoznaczny. Takie Norwidowskie „tak znaczy tak a nie – nie”. W tym świecie pełnym kłamstwa i moralnych dwuznaczności – brzmiało to jak silny powiew czegoś jasnego, świeżego.

W 1982 roku dla tysięcy Wrocławian Lwów czy w ogóle Kresy – były przedmiotem wciąż żywej, naprawdę codziennej, wielkiej tęsknoty. Wielu cięgle wierzyło, że w końcu jednak stanie się coś nadzwyczajnego, co pozwoli im wrócić do tych stron, w których ich rodziny żyły od niepamiętnych czasów, w których wyrosła ogromna część narodowej kultury Polaków. A tu nagle Solidarność Walcząca głosi, że jest za niezmiennością granic. To było bardzo odważne. Zarazem jednak uzasadniano to tym, „by nie mnożyć nieszczęść”. I wyrażano wiarę, że w tym świecie, który trzeba zbudować, granice nie będą narodów od siebie oddalały, że nie będzie problemu z zamieszkaniem tam, gdzie się mieszkać pragnie. Zaznaczenie takiego celu – działało kojąco.

SW zawsze żywo reagowała, gdy docierały do niej informacje o dezercjach z Armii Radzieckiej. W zachodniej Polsce jednostek sowieckich było całe mnóstwo. W samym Wrocławiu koszary i inne bazy mieli na Kozanowie, Oporowie, Partynicach, w Leśnicy, w Pawłowicach i Bóg wie, gdzie jeszcze. Niektóre z nich były tak okazałe, że dziś stanowią wielkie zespoły szpitalne, kampus uniwersytecki i niemałe osiedla mieszkaniowe. W latach osiemdziesiątych co jakiś czas z tej strasznej Armii Radzieckiej ktoś uciekał. Zawsze wtedy w prasie Solidarności Walczącej publikowane były apele o udzielanie pomocy tym dezertantom. Argumentowano, że każdemu z tych nieszczęśników, którzy nie wytrzymali potwornych realiów służby, grozi śmierć. Apele te przynajmniej kilka razy odniosły skutek a sami ludzie Solidarności Walczącej co najmniej paru tym dezertantom skutecznie udzielili pomocy. Co jakiś czas kogoś ukrywano i bywało, że dało radę przetrwać przez granice – na Zachód. Nie wszyscy tym zbiegom z Armii Czerwonej ufali. Pamiętam, że jednego, dla którego Kornel zabiegał o pomoc, ten i ów nazywał „kagiebesznikiem”. Trudno zresztą było nie liczyć się z tym, że którymś razem – przyślą nam swojego agenta. Kornel nigdy nie chciał o tym słyszeć. Pamiętam, że jeden z tych dezertantów trafił do Rolanda Winciorka. Mieszkał z Rolandem i pomagał mu w gospodarstwie. To był chłopak ze wsi, o drobnej dość posturze. Zapuścił gęstą, czarną brodę. Póki się nie odezwał – nikt by nie wpadł na to, kim jest. Ktoś potem organizował jakiś jego „ciąg dalszy”, ale nie potrafię powiedzieć, na czym to polegało.

Byłem przynajmniej w kilku miejscach, w których się drukowało. W paru znanych mi z autopsji przypadkach – drukowano w kuchni. Miało to ten plus, że trudniej było pobrudzić dywany czy wyściełane meble. Dywan w moim mieszkaniu w Obornikach a także krzesła – całe były w plamach po farbie. W kuchni zwykle i meble są takie, z których wszystko łatwiej wytrzeć a na podłodze najczęściej – kafelki lub linoleum. Jedno z mieszkań na wrocławskim Szczepinie było imponującą biblioteką. Drukowali w nim bardzo młodzi ludzie, ich pracę koordynował Darek Kędra. Rozbawiły mnie kiedyś okoliczności urządzania drukarni w piwnicy starego domu w okolicach ulicy Nowowiejskiej. Piwnicę udostępnił dla tego celu sąsiad jednego z kolegów. Chłopcy, którzy się brali do urządzania tej drukarni, traktowali rzecz bardzo serio, uważali że walcząc tym sposobem z komunizmem wypełniają wielkie, ponadludzkie postannictwo. Zdaje się, że byli związani z ruchem oazowym, w każdym bądź razie byli gorliwymi katolikami. Stąd jak pierwszy raz szli do tej piwnicy to mieli ze sobą krucyfiks, żeby go powiesić nad drzwiami, portret papieża i chyba jeszcze jakiś

święty obrazek. Zapewne swoją pracę w tej piwnicy zamierzali zacząć od modlitewnego skupienia. Kiedy jednak otworzyli drzwi do tej piwnicy zobaczyli ściany wyklejone wyciętymi z kolorowych gazet gołymi babami. No i nie wiedzieli, co mają teraz zrobić. Zrywać ze ścian tę kolekcję, pieczołowicie zgromadzoną przez właściciela lokalu, czy może te panienki czymś pozastaniać? Dylematem też było, czy godzi się wieszać krzyż w sąsiedztwie wizerunków bezwstydných panienek. Nie pamiętam, do jakiego doszli wniosku, ale wiem, że drukowało im się w tym miejscu bardzo żwawo.

Z drukowaniem w tej części miasta (w okolicach Piastowskiej – Nowowiejskiej) wiąże się też wypowiedź Przemysława Gintrowskiego, którą nagrałem na jego wrocławskim koncercie w 1989 roku (mam gdzieś to „własnoręcznie dokonane” nagranie do dzisiaj). Gintrowski opowiadał, że bodaj w 1983 czy 1984 był we Wrocławiu u znajomego, gdzieś na Piastowskiej czy Nowowiejskiej. Znajomy był podziemnym drukarzem. Nagle ktoś zaczął pukać do drzwi a wiadomo, co to wtedy mogło znaczyć. Okazało się jednak, że przyszedł sąsiad, który zapytał: „słuchaj, mógłbyś mi pożyczyć trochę farby, bo mi się skończyła...” Gintrowski dodał, że „w tej kamienicy to podobno na każdym piętrze ktoś drukował...”

Ta przygoda Gintrowskiego była ponoć genezą jego piosenki „Gdy tak siedzimy”. Słowa „Ojczyzna nam umiera... gniją w celach koledzy...gdzieś niedaleko patrol jednego z nas zatrzymał...wolno się kręci powielacz...” Jakże trafnie ta pieśń oddawała nasze ówczesne nastroje...

Opowieść Gintrowskiego przypomniła mi historię z 1982 czy 1983 roku, jaka miała miejsce przy Alei Piastów. To jest willowa ulica, w jednym z tamtejszych domów mieszkał działacz SW Adam Zawisza, u którego kilkusobowa ekipa drukowała dzień i noc, na okrągło. Jedni spali, inni jedli, ktoś stukał na maszynie, druk szedł cały czas. I nagle, śnieżną zimą, w środku nocy podjechały pod dom samochody, z których wysypało się kilku facetów. Któryś z nich w rękach miał broń, więc nie było już absolutnie żadnych wątpliwości – bezpieka. Wszyscy drukarze rzucili się do ucieczki, przez drzwi prowadzące na ogród. Sam Zawisza został wyrwany z najgłębszego snu, ale wiał po głębokim śniegu, ile sił w bosych nogach, mając na sobie same slipy. Kiedy już wszyscy poprzeskakiwali przez ogrodowe płotki zorientowali się, że esbecy nie „zaatakowali” domu Zawiszy, ale wdarli się do budynku sąsiedniego. Czyli – przyjechali po kogoś innego. Szczęśliwie esbecy nie zorientowali się, jaki popłoch wywołali w sąsiednim budynku. Cała drukarska ekipa powoli wróciła z powrotem i kiedy ochłoneła, ogrzała się – wróciła do nagle przerwanej roboty.

Chyba najczęściej drukowało się w zespole dwuosobowym. Choć Andrzej Sztyler lubił czasem na sicie pracować sam. W czasie drukowania oczywiście dużo się gadało. Któryś razem z Krzyśkiem Zwierzem drukowaliśmy na powielaczu, gadaliśmy o tym i owym i ja jakby „odkryłem” wtedy pewną dotyczącą tych rozmów prawidłowość. Mówię więc: „Słuchaj, jak to jest, że jak dwóch facetów pracuje przy powielaczu to jednym z permanentnie powtarzających się tematów są kobiety?” Krzysiek popatrzył na powielacz i powiedział „A bo może ta maszyna kształt ma jakiś taki...?” Parsknęliśmy śmiechem. Nasz angielski powielacz miał bardzo krągłe kształty, ale żeby miał się kojarzyć z kobietą?

Kiedyś Andrzej Sztyler pracowicie zmywał moje odciski palców, które pobrudzonymi farbą rękami zostawiłem na niektórych egzemplarzach gazetek. „Tyle tych odcisków zostawił... Jak się nie wytrze – to będzie siedział...” – mamrotał przy tym Andrzej. Krzysiek temat uciął krótko: „Spoko. Przecież i tak – będzie siedział”. I uśmiechając się mrugnął okiem. W przepełnionej beznadzieją połowie lat osiemdziesiątych takie żarty, świadectwo nieco straceńskich nastrojów, były stałym elementem naszych rozmów...

Dziś mało się pamięta o tym, jak duża część przeróżnych środowisk opozycyjnych ciążyła ku Solidarności Walczącej, w Kornelu Morawieckim i jego kręgu – widziała najwłaściwsze dla Polski przywództwo. Jakoś we wrześniu 1988 pod kościołem św. Barbary spotkałem Waldemara Fydrycha „Majora”. Od razu zaczął mówić o aktualnych wydarzeniach: „Ty też na pewno nie wierzysz w ten okrągły stół... Popatrz, jak ci „wielcy przywódcy” pogalopowali na pierwsze skinienie komunistów... Myślę, że skutkiem tego będzie to, że naród straci moralny kręgosłup. Oni teraz rozmyją, ubłocą i roztrwonią tę prawdziwą Solidarność. Całkowicie ją zmarnują... Kornel – to jest największa postać naszego miasta. Jego zawsze darzyłem szacunkiem największym – tym szacunkiem prawdziwym. Obawiam się jednak, że on i Walcząca nie będą w stanie odwrócić spraw, które chyba już ruszyły w bardzo popapranym kierunku...” Zapadła mi w pamięć ta rozmowa – Major czasem doskonale oceniał sytuację i bywało, że następstwa pewnych faktów przewidywał bezbłądnie.

Inni też dobrze widzieli, co będzie. Po wakacjach w 1989 stałem w kolejce do dziekanatu Wydziału Nauk Historycznych, z indeksem mojej świeżo poślubionej żony (studiowała historię sztuki). Zaraz po mnie przyszedł studiujący historię Grzesiek Schetyna. Wtedy się znaliśmy, od prawie roku jako jeden z nie tak licznych miałem legitymację NZS – u, brałem też udział w wiosen-

nym strajku – od pierwszego dnia do ostatniego. Zapytałem mu pytanie, które stawialiśmy sobie wtedy każdego dnia: „co z tego wszystkiego będzie?” Jego twarz nie wyrażała entuzjazmu. Tak jakby skrzywił się i odpowiedział: „Hmm... Szczerze mówiąc to mam obawę, że to wszystko może się skończyć podobnie, jak ostatni rozdział „Folwarku zwierzęcego”...” Grzesiek przewidywał więc trafnie. Ale chyba nie przewidywał wtedy jeszcze, jaką sam w tym „Folwarku” odegra rolę.

W 1986 roku z małą grupą przyjaciół wędrowaliśmy na rowerach po Pojezierzu Lubuskim. W pobliżu Jeziora Niestysz zobaczyliśmy dość wyjątkowy ośrodek wypoczynkowy. Jechaliśmy leśną ścieżką wzdłuż solidnego siatkowego płotu, który ciągnął się głęboko w las. Ogrodzone tak było ładnych parę kilometrów kwadratowych leśnego terenu. Zobaczyliśmy, że dość blisko ogrodzenia, na tym zagrodzonym obszarze, stoją słupy z niedużymi, pomarańczowymi tubami głośników. Nie mieliśmy pojęcia, do czego one mogłyby służyć, ale od razu zrodziła się myśl, że to dobry sprzęt do tego, by zrobić z niego „gadaty” – urządzenia, które po zaopatrzeniu w magnetofon i silną baterię emitowałyby nielegalne audycje w środku miasta. Po powrocie do Wrocławia wiadomość o tych głośnikach (z dokładnymi danymi, gdzie one są) strukturami podziemnymi przekazaliśmy do Grup Wykonawczych SW. Nie wiem, co było dalej, ale przypuszczam, że chłopaki z Grup Wykonawczych nie przegapili takiej okazji i po nie przyjechali. Wydaje mi się to tym bardziej prawdopodobne, że jesienią 1986 „gadaty” odezwały się w kilku miejscach. A jeśli chodzi o ten ośrodek wypoczynkowy znad jeziora Niestysz – to dlatego miał on tak olbrzymie rozmiary, gdyż jak się okazało – należał do MSW.

Bardzo sympatyczne w SW było to, że mimo konspiracji, mimo tego, że w jej warunkach trudno o to, by ludzie dużo o sobie wiedzieli – często przekonywałem się, że ktoś o mnie myśli, jakoś się o mnie troszczy. Ze starym plecakiem, wypełnionym tym, co przywoziłem z Gdyni, trafiałem regularnie do Krzyśka Zwierza czy do Maćka Dziubańskiego. Ktoś czasem zauważał, że „ten twój plecak to kiedyś będzie w muzeum stał. Ile ton bibuły się już przez niego przewinęło?” Rzeczywiście – był stary i „zajechany jak cygańskie skrzypce”. Któryś razem Maciek Dziubański dał mi kopertę mówiąc: „kup nowy, solidny”. I tak od SW dostałem na plecak, służący nie tylko do konspirowania, lecz i podróżowania. Co jakiś czas trafiała w moje ręce paczka kawy – jakiejś zagranicznej, pięknie zapakowanej. W tamtych czasach to był prawdziwy rarytas. Przeznaczenie było jasne: „ktoś dał kawę dla drukarzy”. Bo rzeczywiście – dru-

kowało się przede wszystkim nocą. Andrzej Sztylek, z którym sporo drukowałem, cierpiał na niskie ciśnienie i bez kawy zawsze przysypiał. Ja nie byłem miłośnikiem kawy, ale dla takich, jak on – był to produkt pierwszej potrzeby.

Przekonywałem się też czasem, że ktoś myśli o tym, czy nie jest mi zimno, kiedy zimową porą wiozę niedogrzanymi pociągami prasę podziemną na drugi koniec Polski. Teresa Zwierz raz ubrała mnie w bluzę, innym razem w duży sweter mówiąc tylko „w sam raz dla kogoś takiego, jak ty”.

Przez parę lat moja działalność skupiała się przede wszystkim w grupie, do której należał Krzysiek Zwierz, Maciek Dziubański, Andrzej Sztylek, Tosiek Ferenc i czasem ktoś jeszcze. Od najmłodszego z nich – byłem pięć lat młodszy, co na tym etapie życia pewną różnicę robi (kiedy ja miałem 22 lata – Krzysiek miał 27, Andrzej z 35 a Tosiek był po pięćdziesiątce). Faktem jest, że nie oszczędzałem się w robocie – regularne wyjazdy do Trójmiasta, nocne drukowanie, rozwożenia diap po Wrocławiu, w czasie czego trzeba było mieć „oczy dookoła głowy” itd. Ale też czułem się w tym towarzystwie tak znakomicie, że przez całe lata do głowy mi nie przychodziło, żeby robić cokolwiek innego. Nie zdawałem sobie sprawy z tego, że gdybym tylko chciał – mógłbym wtedy w Solidarności Walczącej robić coś całkowicie innego. Np. – pisać, redagować jakąś podziemną gazetkę. Do tego, że zacząłem pisać w prasie Solidarności Walczącej – doszło w zasadzie przypadkiem. Sporo dyskutowaliśmy o artykułach z podziemnych wydawnictw. Któryś razem chyba wyraziłem się jakoś niekorzystnie o czymś, co było zamieszczone w którymś z wydań „Solidarności Walczącej”. Krótko potem dostałem od Bogdana Zaremby (po latach okazało się, że tak naprawdę nazywa się Zbigniew Jagiełło) propozycję: „Chcesz pisać? Redagować? Nie ma problemu”. I tak zostałem redaktorem „Solidarności Dolnośląskiej”. Pamiętam takie olśnienie, które mi przy tym towarzyszyło. Jakby żarówka zaświeciła się nad głową „Pomysłowego Dobromira”, który zrozumiał, że „Rety! W tej Solidarności Walczącej każdy może robić to, co chce, co lubi i do czego najbardziej się nadaje. Żadnych rozkazów, tylko oczekiwanie na twoje preferencje. Na to, jaką formę walki sam sobie wybierzesz. Chcesz wozić bibułę – jesteś kurierem, chcesz drukować – drukarzem a jak wyrazisz opinię o podziemnej prasie to zaraz ci ktoś powie: Super! Stary, zostań redaktorem. I wcale nie kończyło się na słowach. Bardzo szybko do tej redaktorskiej pracy dostałem wszystko, co trzeba. Włącznie z maszyną do pisania!

NAJBLIŻSI OFIAR UMIERAJĄ NIE DOCZEKUJĄC SPRAWIEDLIWOŚCI

W chwili wprowadzenia stanu wojennego Emil Barchański miał 16 lat. W warszawskim XI Liceum Ogólnokształcącym im. Mikołaja Reja znany był jako malarz intrygujących, dojrzałych obrazów, czytelnik poważnych książek a zarazem – współtwórca (wraz z Leszkiem Czajkowskim) szkolnego kabaretu „Wywrotowiec” i wydawca satyryczno-politycznego pisma „Kabel”.

Po wypowiedzeniu przez komunistów wojny Polakom od razu stawiał się na pierwszej linii jej frontu. Był już doświadczonym drukarzem i miał sprzęt, na którym powielał nie tylko ulotki, ale arkusze całych książek. Wraz z Arturem Nieszczerzewiczem i Markiem Marciniakiem założył organizację o nazwie „Piłsudzczy”. 10 lutego 1982 ta trójka nastolatków pod nosem Komendy Głównej MO dokonała brawurowej akcji oblania farbą i obrzucenia butelkami z benzyną pomnika Feliksa Dzierżyńskiego. Spektakularny pożar płonącego jak pochodnia posągu bolszewickiego ludobójcy odbił się szerokim echem.

3 marca, w czasie gdy Emil zajęty był drukiem, do drzwi zaczęła się dobijać SB. Mimo, że mieszkanie znajdowało się na trzynastym piętrze, próbował uciekać. Wszedł przez okno, trzymając się piorunochronu starał się zejść na któryś z balkonów niższych kondygnacji. Zrezygnował, kiedy esbecy, wychylający się z okien i stojący pod blokiem, zaczęli mierzyć do niego z pistoletów i z cynicznym śmiechem głośno dyskutować, czy lepiej uciekającego odstrzelić, czy poczekać aż sam odpadnie od ściany. Po przewiezieniu na SB natychmiast zaczęło się bardzo brutalne śledztwo. Torturami wymuszano na nim przyznanie się nie tylko do działalności antypaństwowej, ale także do aktów terroru, konstruowania bomb i zabicia milicjanta. Żądano podania nazwisk współpracowników – nie wymienił żadnego. W szybkim „wojennym” trybie prokuratura sporządziła akt oskarżenia, złożony z najpoważniejszych zarzutów.

ŁASKAWOŚĆ PRL-OWSKIEGO SĄDU

Proces ruszył już w marcu, do sali sądowej udało się dostać także grupie zagranicznych dziennikarzy. W momencie, w którym udzielono głosu oskarżonemu powiedział, że wszystkie jego zeznania były wymuszane biciem i innymi

formami przemocy. Na pytanie o nazwiska osób, do których odnoszą się jego zarzuty odpowiedział: „Ci panowie, kiedy biją, nie przedstawiają się, ale gotów jestem w każdej chwili ich rozpoznać”. Sąd zakończył rozprawę, wyznaczając następną dopiero na 17 czerwca. Sądzeni wówczas mieli być także inni członkowie organizacji, wrócić wtedy miał też wątek traktowania szesnastolatka w czasie pobytu w areszcie i przesłuchiwania przez SB. Sąd podjął też decyzję, że do dnia następnej rozprawy oskarżony przebywał będzie na wolności. Jak się wkrótce miało okazać – decyzja o uwolnieniu służyła nie oskarżonemu, lecz jego prześladowcom.

„ZNIKAJĄCY PRZYJACIEL” CZYLI PROFESJONALIZM PRL-OWSKICH SZWADRONÓW ŚMIERCI

Parę dni po tym, jak wrócił do domu, na schodach bloku, w którym mieszkał poznał młodego człowieka, podającego się za studenta akurat tego kierunku, który po maturze zamierzał wybrać Emil. Rozmowa zaczęła się od książek, które niósł – zainteresowały nastolatka, bo były to akurat te, których poszukiwał i zamierzał przeczytać. Nowy kolega powiedział, że wynajmuje pokój w tym samym bloku, w którym mieszka Emil. Od tego czasu jakimś trafem wpadali na siebie niemal codziennie. Emil uczestniczył w demonstracjach 1, 3 i 13 maja. Jak wspominała jego matka – wracał z nich ledwo żywy z zapuchniętymi od gazu, prawie niewidzącymi oczami. Na ostatniej z tych demonstracji spotkał swojego nowego kolegę. Przyjaciołom i rodzicom opowiadał o nim, że mają identyczne poglądy i zainteresowania i że student ten wie ogromnie dużo o wszystkich pisarzach, filozofach i artystach, którymi (jakiż niezwykle „traf”!) obydwaj fascynują się najbardziej. Rozmawiali ze sobą coraz więcej, dyskutowali o przeczytanych książkach, razem zaczęli chodzić m.in. do Biblioteki Uniwersyteckiej. Ostatni raz żywego Emila widziano 3 czerwca, właśnie w towarzystwie jego nowego przyjaciela.

Zwłoki Emila Barchańskiego zostały wyłowione z Wisły 5 czerwca 1982. Od tego też momentu zaginął wszelki ślad po jego nowym przyjacielu, rzekomym studencie. Człowiek, który przez kilka tygodni codziennie był w miejscu zamieszkania Emila nagle jakby przestał istnieć. Okazało się, że nikt taki nie wynajmował pokoju w jego bloku ani nie studiował na kierunku, o którym opowiadał. W sprawie śmierci Emila milicja i prokuratura odmówiły wszczęcia śledztwa stwierdzając, że do utopienia doszło bez udziału osób trzecich. Zignorowane zostały lekarskie świadectwa o hydrofobii, na którą cierpiał i z powodu której nie zbliżał się do rzek, zbiorników wodnych, nie pływał, nie chodził

na basen. Przypadłość ta dobrze była znana kolegom pamiętającym, że w czasie obozu nad morzem nigdy nie zanurzył w nim nawet palca stopy.

Emil zginął trzy dni przed swoimi siedemnastymi urodzinami. Okoliczności jego śmierci w roku 2009 bezskutecznie badał Pion Śledczy Instytutu Pamięci Narodowej. 26 maja 2020 zmarła Krystyna Barchańska, której Emil był jedynym dzieckiem. 1 sierpnia 2020 komunistyczne zbrodnie popełnione na Polakach ulec miały przedawnieniu. Jedyne, co jest w tej historii dobre, to większość parlamentarna, która w przeciwieństwie do tej, która tak często stawiała po stronie oprawców, teraz haniebną zasadę przedawnienia komunistycznych zbrodni jest w stanie zmienić.

„Obywatelska”, czerwiec 2020



ESBECKI ODWET NA RODZINIE KONSPIRATORA

W nocy z 12 na 13 grudnia 1981 do mieszkania rodziny Kornela Morawieckiego przyszli funkcjonariusze SB. W wyniku przeszukania stwierdzili jednak tylko obecność żony Jadwigi, trzynastoletniego syna Mateusza oraz dwóch córek – szesnastoletniej Marty i ośmioletniej Marii.

Ubecy stanowczo żądali udzielenia informacji o miejscu pobytu poszukiwanego przez nich działacza opozycji. Odeszli nie uzyskując niczego. Naza jutrz pani Jadwidze udało się spotkać z jej mężem a parę dni później Mateuszowi z jego ojcem. W pierwszych dniach stanu wojennego Służba Bezpieczeństwa dokonywała masy aresztowań, Kornel Morawiecki nie był jeszcze dla niej celem numer jeden. Pojawiły się też informacje, że SB zamierza zatrzymać także najstarszą, dwudziestojednoletnią córkę państwa Morawieckich. Anna w największym stopniu zaangażowana była w aktywności ojca, od lat zajmowała się drukowaniem pism drugiego obiegu. W trzecim dniu stanu wojennego dotarła od niej wiadomość, że jest w bezpiecznym miejscu, którego być może nie będzie opuszczała nawet przez parę miesięcy. Miejscem tym była willa na wrocławskich Karłowicach, w piwnicy której, wraz z kilkoma przyjaciółmi, dniami i nocami drukowała gazetkę „Z Dnia na Dzień”. Po raz pierwszy miejsce to opuściła dopiero późną wiosną 1982.

Pani Jadwiga Morawiecka już w pierwszych dniach stanu wojennego skupiła się na niesieniu pomocy rodzinom internowanych. We współpracy z parafią a następnie komitetem, pracującym pod opieką arcybiskupa Henryka Gulbinowicza, brała udział w ustalaniu listy rodzin, którym bezterminowo uwięziono ojców lub matki. Po sprawdzeniu, jaki rodzaj pomocy jest niezbędny, uczestniczyła w organizowaniu pomocy materialnej, prawnej, medycznej czy polegającej na opiece nad dziećmi. Pani Jadwiga, mimo że sama należała do osób bezpośrednio dotkniętych represjami, poświęcała tym aktywnościom dużą część każdego dnia. Mieszkanie Morawieckich stało się jednym z ogniw społecznej siatki solidarnościowej pomocy. Część spotkań wolontariuszy tego spontanicznego ruchu miało miejsce właśnie u niej. Elementarne sprawy życia rodzinnego, takie jak robienie zakupów czy przygotowanie posiłków wzięli na siebie Marta i Mateusz. Całkowicie też uwolnili oni swoją mamę od przy-

gotowań do świąt Bożego Narodzenia. Kontakt z głową rodziny odbywał się za pomocą korespondencji, doręczanych przez ludzi związanych z konspiracją. Tą drogą w maju dotarł do Marysi Morawieckiej prezent z okazji jej przystąpienia do Pierwszej Komunii Świętej. Listy w obydwie strony przekazywane były często aż do aresztowania w listopadzie 1987.

Na początku stycznia 1982 Służba Bezpieczeństwa dysponowała ustaleniami, wg których to Kornel Morawiecki odgrywał zdecydowanie największą rolę w tworzeniu i kierowaniu strukturami podziemia południowo – zachodniej Polski. Głośniejsze było w tym czasie nazwisko Władysława Frasyniuka, niedawnego przewodniczącego Zarządu Regionu NSZZ Solidarność a następnie formalnego przewodniczącego Regionalnego Komitetu Strajkowego. Było jednak już jasne, że rola Frasyniuka polega głównie na legendzie, jaka zaczynała otaczać jego osobę. W żadnym razie jednak nie na faktycznej sprawczości w strukturach konspiracji. Ponadto bardzo szybko w bezpośrednim otoczeniu Frasyniuka zaczęła działać esbecka agentura. Zdecydowanie najważniejszym przeciwnikiem komunistycznego reżimu był więc Kornel Morawiecki i to jego schwytanie stawało się najważniejszym z najważniejszych zadań służb PRL-owskiego reżimu.

Jako jeden ze sposobów wytropienia poszukiwanego Służba Bezpieczeństwa przyjęła inwigilację jego rodziny. Od stycznia 1982 stawała się ona coraz ściślejsza. Po kilku miesiącach miała już charakter permanentny. Skutkiem tego wszyscy członkowie rodziny uznali, że spotkanie z Kornelem Morawieckim byłoby dla niego zbyt dużym ryzykiem nawet przy zachowaniu największej ostrożności. Rozważane było zorganizowane przez działaczy Solidarności Walczącej spotkanie, do którego miałoby dojść „systemem służ”. Praktykowany on był przy niemal wszystkich spotkaniach Morawieckiego i polegał na przynajmniej parokrotnym zmienianiu samochodów oraz nieustannym nasłuchu radiowym, pozwalającym rozpoznać ruchy PRL – owskich służb specjalnych. Między grudniem 1981 a listopadem 1987 tą metodą ze swym ojcem parokrotnie udało się spotkać z ojcem Annie i Marcie Morawieckim. Jako zbyt ryzykowne oceniono jednak doprowadzenie tym samym sposobem do spotkania z jej mężem pani Jadwigi Morawieckiej. Nie doszło też do bezpośredniego skontaktowania się z ojcem Mateusza Morawieckiego.

Od stycznia 1982 codziennością rodziny Morawieckich było nachodzenie przez funkcjonariuszy SB, rewizje i zatrzymania „celem złożenia zeznań”. W gmachu Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych przesłuchania mia-

ty charakter nie kończących się gróźb. Prześtuchujący zabawiali się w ich czasie pistoletami, sugerując możliwość ich użycia. Żądając ujawnienia miejsca pobytu przewodniczącego Solidarności Walczącej esbecy grozili sięgnięciem do wszelkiego rodzaju zbrodni. Podkreślali przy tym przynależny im przywilej bezkarności. „Myślicie, że ktoś nam coś za to zrobi?” – powtarzali mówiąc np. że zgwałcą siostrę Mateusza Morawieckiego. Po latach przyznawał, że grożono mu na dziesiątki sposobów, ale tej groźby bał się najbardziej. Brzmiała ona naprawdę realnie. Co jak co, ale to te oprychy z esbeckim immunitetem naprawdę mogły zrobić.

Ceną bycia synem przewodniczącego Solidarności Walczącej było też „specjalne traktowanie” przez ZOMO. Mateusz Morawiecki uczestniczył we wszystkich demonstracjach, organizowanych przez opozycję a także w tych, do których dochodziło spontanicznie. Do końca 1983 roku niemal każda msza św. za ojczyznę, odprawiana każdego trzynastego dnia miesiąca we wrocławskiej katedrze, kończyła się atakiem ZOMO na wychodzący ze świątyni tłum. Dochodziło wtedy do ulicznych starć, mających czasem bardzo dramatyczny przebieg. Bardzo wiele wskazuje na to, że przy takich okazjach odbywało się swoiste „polowanie na syna Morawieckiego”. Wiele razy znalazł się on wtedy w rękach funkcjonariuszy ZOMO, których okrzyki były dowodem, że rozpoznają go bez legitymowania. Po powrocie do domu pręgi od uderzeń pałkami i inne ślady pobicia starał się ukrywać przed drżącą o życie swego syna matką.

Inną groźnie wyglądającą sytuacją było najście funkcjonariuszy SB w środku nocy na letni dom Morawieckich pod Pęgowem. Wraz z matką i młodszą siostrą niespełna trzynastoletni Mateusz nocował w nim wczesną wiosną 1982 roku. Drewniany dom znajdował się w dużym oddaleniu od jakichkolwiek innych zabudowań, stał na krawędzi lasu. Nagle ktoś zaczął walić w okna i drzwi. Inni napastnicy wydzielali się wrzeszcząc w głębie studni. Ktoś biegał z pochodnią, trzymając w drugiej ręce coś przypominającego kanister. Wszystko robiło wrażenie zbiegowiska sadystów, zamierzających spalić drewniany dom wraz z ich mieszkańcami. Napastnicy groźby swej nie spełnili, ale do końca lat osiemdziesiątych ich zwyczajem stało się wybijanie szyb i wlewanie do środka cuchnących substancji, smarowanie nimi drzwi i inne akty zwykle kojarzone ze skłonnościami wulgarnych wandalii.

Trywialnym sposobem odreagowywania bezskuteczności poszukiwania przewodniczącego Solidarności Walczącej było dewastowanie skromnego

samochodu jego rodziny. Wyłamywanie wycieraczek i klamek czy przebijanie opon nie było jeszcze tym sposobem najgorszym. Któregoś dnia, kiedy samochodem jechali Jadwiga i Mateusz Morawieccy nagle odpadło przednie prawe koło. Pojazd wpadł wtedy na chodnik, na którym na szczęście w tym miejscu nie było akurat nikogo. Uderzając w krawężnik odpadło drugie z przednich kół. Sytuacja była skrajnie niebezpieczna, gdyż na sąsiednim pasie ruchu przejeżdżał właśnie samochód ciężarowy. Jeśli więc kolejność odpadania kół byłaby odwrotna – po odpadnięciu lewego koła fiat 126p z Jadwigą i Mateuszem Morawickimi wpadłby wprost pod koła nadjeżdżającej ciężarówki.

Oprócz nękania standardowymi rewizjami SB zaczęła także przeszukiwania mieszkania Morawieckich pod ich nieobecność. W czasie jednego z pierwszych pani Jadwiga próbowała wejść do swojego domu, ale okazało się, że inny klucz był włożony od strony wewnętrznej. W ówczesnych realiach nie było nawet możliwości skutecznego poskarżenia się na tego rodzaju bezprawie. Kiedy więc ubecy pod nieobecność właścicieli eksplorowali ich mieszkanie po prostu należało poczekać na zewnątrz, aż esbecja zakończy swe bandyckie czynności. Jak się okazało jednymi z poszukiwanych przedmiotów były rodzinne albumy i zbiory fotografii. SB zdobywała i gromadziła wszelkiego rodzaju zdjęcia Morawieckich, by rozpoznać krąg wszystkich ich znajomych. W takich okolicznościach rodzina ta na zawsze utraciła wszystkie tego rodzaju rodzinne pamiątki, włącznie z pochodzącymi sprzed wojny a nawet z XIX w.

Jedną z form zastraszania i dążenia do uzyskania informacji było porwanie Mateusza Morawieckiego wprost z ulicy. Po przewiezieniu na SB nastolatek ten słyszał wtedy: „Tym razem nikt nie widział, jak cię zgarnęliśmy. Nie było świadków – możesz zniknąć jak kamfora”. W związku z taką praktyką pani Jadwiga za prawdopodobne uznała nagłe zatrzymanie jej syna w dniach egzaminów dojrzałości. Mogłoby ono spowodować, że nie mógłby zdawać matury. W tym celu Mateusz został przez znajomych lekarzy umieszczony w szpitalu i na egzaminy był przywożony karetką pogotowia. Wcześniej jednak doszło do porwania z ulicy, po którym syn przewodniczącego Solidarności Walczącej został wywieziony do lasu. Ten incydent przez Radę i Komitet Wykonawczy Solidarności Walczącej był już rozpatrywany jako wymagający podjęcia kroków o charakterze odwetowym. Członek Komitetu Wykonawczego SW dr Wojciech Myślecki uważał, że „trzeba zrobić coś, co będzie dla bezpieczeństwa ostrzeżeniem, bo następnym razem tego chłopaka po prostu zabiją”. Przywódcze grono organizacji uznało też, że w drodze wyjątku Mateusz Morawiecki powinien zostać jej

członkiem pomimo tego, że jest jeszcze osobą niepełnoletnią. Został więc zaprzysiężony jako jedyny nie mający ukończonych osiemnastu lat.

Krótko po najgroźniej wyglądającym uprowadzeniu syna przewodniczącego organizacji przeprowadziła ona akcję, mającą Służbie Bezpieczeństwa dać do zrozumienia, że potrafi ona odpowiedzieć przemocą na przemoc.



SB TEŻ SIĘ BAŁA

Barbara Sarapuk, która kierowała całą siecią podziemnych drukarni Solidarności Walczącej i wyszkoliła prawdziwą armię specjalistów konspiracyjnej poligrafii wspomina dziś, że w czasie przesłuchań oficerowie SB wyjątkowo często dopypywali się o młodego, niepozornego chłopaka.

– Kim jest ten Mariusz Mieszkalski? To chyba jakiś niebezpieczny szaleńiec? Skąd wy bierzecie takich wariatów, którzy już samym spojrzeniem chcieliby nas pozabijać?

Pierwszy raz SB Mariusza zgarnęło z ulicy nad ranem, bez świadków. Przesłuchujący rozmowę zaczął od stwierdzenia:

– Nikt nie wie, że jesteś w naszych rękach...

Po czym wyjmuje pistolet, przeładowuje i przykłada do skroni ledwie osiemnastoletniego chłopaka. Naciska spust, daje się słyszeć chrzęst zamka. Esbek mówi:

– Cholera, nie uzupełniłem magazynka...

Niedoszły oprawca jest jednak przerażony bardziej od swej niedoszłej ofiary. Nastolatek ani przez moment nie pokazał po sobie nawet cienia strachu... Przeciwnie – po słowach esbeka patrzy na niego kpiąco. Jego twarz wyraża beżmiar pogardy. Oczy zdają się mówić:

– Myślałeś, że się przestraszę? Ja? No dalej – wkładaj amunicję do tej żałosnej pukawki!

Esbek już wie, że od tego nastolatka nie dowie się niczego. Mariusz trafia więc do celi. Szybko orientuje się, że współlokator jest kapusiem. Nie daje jednak po sobie nic poznać. Dopiero w nocy współwięźnia budzi regularny chrobot. Pyta:

– Co się dzieje?

W odpowiedzi widzi nad sobą uśmiechniętą twarz Mariusza:

– Nic takiego... Wiesz, przerabiam łyżkę na sztylet. Bo przecież gdyby tu był jakiś ubek – to trzeba by go zarżnąć, no nie?

Kapuś do rana nie zmruży już oka. Przed śniadaniem opuszcza celę, w której nigdy już się nie pojawi. A Mariusz spędzi w niej jeszcze kilka miesięcy. Po amnestii, ogłoszonej z okazji 40 rocznicy PKWN, wychodzi na wolność. Jako jeden z ostatnich. Jakby na pożegnanie ze strony kilku esbeków pada zaprawione kpiną pytanie:

– A niech pan na koniec nam powie, panie Mieszkalski, jak to będzie, kiedy już wy obalicie obecne władze i będziecie rządzić? Będzie dla nas pluton egzekucyjny?

Paru esbeków parska śmiechem. Mariusz nie uśmiecha się ani przez chwilę. Przez kilka sekund mrozi ich wzrokiem i odpowiada głosem przepętnionym pewnością:

– Tak. Będzie. Ja nim będę dowodził.

Odpowiedzią jest cisza tak głucha, jakby wszyscy wstrzymali oddech. Podczas kolejnych aresztowań działaczy Solidarności Walczącej esbecy przywołują ten moment:

– Wy macie jakichś wariatów w strukturach! Ten gówniarz naprawdę nie żartował! On naprawdę najchętniej by nas pozabijał!

Mariusz Mieszkalski jest dziś pracownikiem Politechniki Wrocławskiej. Ma rodzinę, wspaniałe dzieci. Wszyscy znają go jako człowieka przyjaznego, życzliwego i nadzwyczaj spokojnego. Wspominając działalność w latach osiemdziesiątych często wraca do wątku, w którym uniknął aresztowania dzięki ostrzeżeniu ze strony przypadkowego patrolu milicji. Powtarza:

– Nie wszyscy oni byli źli. Ten nieznany mi milicjant, który mnie ostrzegł, naprawdę się narażał. Ale jeśli Jaruzelski wysłał wtedy przeciw nam czołgi – to my musieliśmy być co najmniej tak twardzi i zdecydowani, jak te czołgi. I jak prawdziwi wojownicy – całkiem serio, w każdej chwili, gotowi do ofiary ze swojego młodego życia.

Wiele innych świadectw stanowi potwierdzenie tego bardzo ważnego faktu – funkcjonariusze aparatu represji często liczyli się z odwetem, jaki może ich spotkać, jeśli prześladowając ludzi podziemia przekroczą miarę w brutalności czy okrucieństwie. I to przede wszystkim dzięki temu w latach osiemdziesiątych komunistyczny terror rzadko przybierał formy stanowiące powszechną codzienność choćby w latach pięćdziesiątych.

KONSPIRACYJNE SPOTKANIE Z BISKUPEM

Już w pierwszych tygodniach stanu wojennego reżim komunistyczny doszedł do oczywistego wniosku, że jednym z najważniejszych liderów podziemia jest Kornel Morawiecki.

O wzrastającej skali operacji służb specjalnych, mających na celu jego schwytanie, świadczyło poddanie permanentnej inwigilacji rodziny Morawieckich. Budowana od grudnia 1981 sekcja kontrwywiadu dolnośląskiego podziemia też nie miała wątpliwości, przeciw komu rozwijane są zakrojone na największą skalę działania SB i innych służb. Ukrywanie się najbardziej poszukiwanego człowieka w Polsce musiało więc mieć kształt przemyślanego systemu. Mimo, że podstawowe jego zasady były proste, Służba Bezpieczeństwa nigdy ich nie rozpoznała. Biuro Studiów MSW przypuszczało, że Morawiecki ukrywa się głównie w wynajmowanych mieszkaniach i dających możliwość swobodnego działania dużych willach. Zakładano też, że przewodniczący Solidarności Walczącej przebywać może w różnych polskich miastach. Tymczasem Kornel Morawiecki ukrywał się głównie w małych mieszkaniach wielkich osiedlowych bloków, dołączając do przyjmujących go pod swój dach ponad sześćdziesięciu kolejnych wrocławskich rodzin. Żelazną zasadą natomiast było nie odbywanie jakichkolwiek spotkań w lokalu, stanowiącym miejsce ukrycia. Do celu tego służyło inne mieszkanie, najczęściej znajdujące się w tym samym bloku, ale na innym piętrze. Czasem był to lokal w którymś z sąsiednich budynków, do których dostać się można było szybko i bez zwracania niczyjej uwagi. W przeciwieństwie do tych prostych zasad – organizowanie konspiracyjnych spotkań, w których uczestniczył Kornel Morawiecki, stanowiło skomplikowane operacje logistyczne. Angażowało wielu ludzi i często związane były z koniecznością przechodzenia ich uczestników przez cały system „śluz”. Tajne spotkania z przewodniczącym Solidarności Walczącej niemal zawsze wiązały się z działaniami obserwacyjnymi oraz pilnym nasłuchem częstotliwości radiowych, wykorzystywanych przez reżimowe służby specjalne.

Od reguł tych zdarzały się jednak wyjątki. Należały do nich sytuacje spontaniczne, aczkolwiek bezpieczeństwa takiego niespodziewanie zdarzającego się spotkania zawsze należało być w wysokim stopniu pewnym. W czerwcu 1983, wraz ze grupą przyjaciół z Solidarności Walczącej (były wśród nich

osoby z mistrzowskimi stopniami sztuk walki, gotowe do stawienia oporu) Kornel Morawiecki uczestniczył w częstochowskiej mszy świętej, odprawianej przez papieża Jana Pawła II. Niespodziewanie grono to zostało wówczas zaproszone na obiad przez uczestniczącą w tej samej uroczystości pewną częstochowską rodzinę. Z zaproszenia skorzystano a dziękując za nie, na pożegnanie, Kornel Morawiecki ujawnił swoją tożsamość. W tym samym roku, w wigilię Bożego Narodzenia, do działaczy konspiracji Jolanty i Tadeusza Piątków przyszedł ich przyjaciel i sąsiad, także zaangażowany w działalność podziemia Antoni Cydzik. Zapytał, czy może kogoś przyprowadzić i po chwili pojawił się w towarzystwie ukrywającego się w tym samym bloku Kornela Morawieckiego.

Dość spontanicznie na przełomie roku 1984 i 1985 doszło do spotkania przewodniczącego Solidarności Walczącej z biskupem Adamem Dyczkowskim. Z tym dostojnikiem kościelnym Kornel Morawiecki znał się jeszcze z czasów studenckich, kiedy jako młody kleryk a następnie kapłan Adam Dyczkowski znany był jako „ksiądz Harnaś”. Wraz ze studentami i młodymi naukowcami spotykał się on często m.in. w czasie duszpasterskich rajdów po Sudetach, Tatrach, Pieninach.

W ostatnich dniach grudnia 1984 biskup Adam Dyczkowski zawitał we Wrocławiu. Odwiedzał znajomych w wielu miejscach a Kontrwywiad Solidarności Walczącej ustalił, że nie jest on śledzony przez Służbę Bezpieczeństwa. W takich okolicznościach zrodził się pomysł spotkania biskupa z Kornelem Morawieckim. Późnym popołudniem kościelny hierarcha ubrany w zwykły płaszcz i poruszający się prywatnym samochodem, stąd nie wyróżniający się w tłumie przechodniów, odwiedzał rodzinę Nowakowskich, mieszkających na rogu ulic Braci Gierymskich i Orłowskiego. Pani Nowakowska była stryjeczną bratanicą księdza Aleksandra Zienkiewicza. Jeśli więc nawet SB podjęłaby obserwację biskupa to powinna dojść do wniosku, że odwiedza on osoby blisko związane z klerem i Kościołem. Stamtąd biskup Adam Dyczkowski pojechał na ul. Kamienną, gdzie w mieszkaniu nr 34 bloku nr 33 mieszkała Aleksandra Kostruba. To spotkanie też miało wszystkie znamiona wizyty duszpasterskiej, ale jednym z jego uczestników był także oczekujący tam na biskupa Kornel Morawiecki.

Przewodniczący Solidarności Walczącej cenił nadzwyczaj przenikliwy, analityczny umysł biskupa Adama Dyczkowskiego. Wiedział też, że był on bardzo dobrze poinformowanym bystrym obserwatorem życia politycznego. Często dysponował on cennymi a mało znanymi wiadomościami o różnych niuansach relacji państwo – Kościół. Potrafił je trafnie interpretować, rozpozna-

wać w nich przejawy różnych pojawiających się tendencji. Nie ulega więc wątpliwości, że uczestnicy tego dość spontanicznego, tajnego spotkania mieli o czym ze sobą rozmawiać.

To, że w czasie sześciu lat skutecznego uchodzeniu permanentnemu i zakrojonemu na gigantyczną skalę pościgowi Kornel Morawiecki zdołał się spotkać z około dwoma tysiącami działaczy podziemia, jest faktem imponującym. Tym bardziej niezwykle jest to, że pomimo tak niezwyklej realii możliwe były spotkania w dużej mierze improwizowane. Takie, do jakich należało konspiracyjne zebranie z udziałem biskupa Adama Dyczkowskiego.



EUGENIUSZ SZUMIEJKO 1946 – 2020

Bez wątpienia był jedną z najbardziej niezwykłych postaci solidarnościowego podziemia.

Eugeniusz Szumiejko pochodził z Grodzieńszczyzny, do dziś zwanej „pograniczem polsko-polskim”. Ten fragment wyrwanej nam Polski przedzielony został bowiem granicą, jakiej nigdy tam nie było. Granicą między dwoma republikami ZSRS, dziś oddzielającą Litwę i Białoruś. Do dziś zamieszkuje tam przede wszystkim Polacy. Także rodzina Eugeniusza po wojnie chciała na swej ojczyźnie zostać. Sowietyzacja oznaczała jednak terror i głód grożący śmiercią. W 1958 roku Szumiejkowie wykorzystali więc ostatnią szansę na przeniesienie się w granice powojennego PRL-owskiego quasi-państwa. Już 10 lat później Eugeniusz, będąc studentem astronomii stał się jednym z organizatorów strajku na Uniwersytecie Wrocławskim. Marcowe represje były już w pełni, trwały relegacje, karne powołania do wojska, aresztowania, zapadły wyroki. Nie mógł wtedy wiedzieć, że prof. Alfred Jahn okaże się najmężniejszym z wszystkich polskich rektorów i biorąc na siebie każdą odpowiedzialność obroni wszystkich swoich studentów. W tym też czasie Eugeniusz Szumiejko pierwszy raz zetknął się ze strajkującym na tym samym wydziale młodym naukowcem Kornelem Morawieckim. Kilka lat później udostępni mu swoje mieszkanie dla potrzeb tajnej drukarni i zacznie kolportować „Biuletyn Dolnośląski”.

Był człowiekiem wielu pasji. Obok nauk ścisłych uprawiał sporty lotnicze, trafił nawet do spadochroniarskiej kadry narodowej. To oznaczało też, że wojskowi powołają go do służby w jednostce komandosów. Proponowano mu karierę wojskową, co rozwiązałoby mnóstwo bytowych problemów. Nie chciał jednak służyć w wojsku, co do którego nie miał pewności, czy na pewno jest do końca polskie.

W sierpniu 1980 kończył pisać swoją pracę doktorską z astrofizyki. Kiedy jednak stanął przed wyborem – kończyć dzieło o wybuchających gwiazdach czy budować Solidarność – bez wahania wybrał to drugie. Był tytanem pracy organizacyjnej, za jego sprawą zatętniło życiem całe mnóstwo ogniw związku, w którym on widział posiew nadchodzącej niepodległości. Doceniano jego trud – został członkiem prezydium Zarządu Regionu, delegatem na pierwszy

krajowy zjazd, członkiem Komisji Krajowej NSZZ Solidarność. Stan wojenny zastał go w Gdańsku. Od razu wziął w udział organizowaniu strajku w porcie, potem w stoczni. Jako pierwszy doprowadził do sformowania gremium, mającego na celu koordynowanie działania Solidarności w skali całego kraju. Wielkim zwolennikiem tego kroku był główny organizator podziemia w Polsce południowo – zachodniej Kornel Morawiecki. Ogólnopolski Komitet Oporu przez kilku innych liderów podziemia został wtedy jednak obrzucony stekiem najnieczystszych wyzwisk, wśród których były zarzuty o współpracę z SB. Autorzy tych kalumnii sami potem okazą się ludźmi z przedstawicielami tych służb idącymi pod rękę. Eugeniusz nie zrażał jednak nawet najboleśniejściami ciosami, zadawanymi także przez tych, którzy powinni być przyjaciółmi. Organizował podziemie, wszedł w skład Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej utworzonej wtedy, kiedy liderzy Solidarności Mazowska i paru innych regionów wreszcie doszli do wniosku, że zamiast Szumiejki w sprawie ogólnopolskiego centrum związku był słuszny. Równocześnie SB już wiedziała, że należy on do najskuteczniejszych organizatorów podziemia. Z jednej z obław zdołał się wyślizgnąć w sposób, jakiego nikt się nie spodziewał. Drogą ucieczki z dziesiątego piętra była lina piorunochronu a potem wykop pod budowę sąsiedniego bloku. Przetrzęsając wszystkie mieszkania ubecy nie wierzyli własnym oczom – w ich oczach tropiony dosłownie rozpułnął się w powietrzu.

W roku 1984 do konfliktów w słabnącym solidarnościowym podziemiu i intryg fałszywych przyjaciół doszło wyzwanie zupełnie innego rodzaju – żona spodziewająca się dziecka. Skorzystał wtedy z szansy, jaką dawała amnestia, po ujawnieniu się został ojcem. Nie zaprzestał jednak dalszej działalności. Pomimo nękania przez SB nadal budował komórki podziemnej organizacji, stanął nawet na czele Regionalnego Komitetu Strajkowego. Z Solidarnością Walczącą współtworzył „Gazetę Uliczną”. W 1988 roku nie miał złudzeń, że obrady w Magdaleniec, Okrągły Stół i kontraktowe wybory to dla Polski pułapka. Potem jednak swoje ostatnie nadzieje związał z ludźmi, którzy wspierając Wałęsę liczyli na złamanie haniebnego kontraktu z siepaczkami UB i wczorajszymi właścicielami Polski Ludowej. Wałęsa okazał się być jednak prezydentem przede wszystkim tych właśnie kręgów. Wtedy Szumiejko zaangażował się w działalność Ruchu Odbudowy Polski. ROP przez media i służby III RP zmarginalizowany jednak został podobnie, jak wcześniej Solidarność Walcząca. Był głową rodziny, co wtedy oznaczało konieczność pracy na więcej, niż jednym etacie. Pomimo tego angażował się w kolejne patriotyczne inicjatywy. Jedną z ostatnich był strajk gło-

dowy w obronie lekcji historii, przez rząd PO-PSL wyrzucanych z polskich szkół. Kilka lat później minister edukacji narodowej Anna Zalewska wręczy mu za to Medal Komisji Edukacji Narodowej. Wcześniej jego zasługi docenił prezydent Lech Kaczyński, który za walkę o niepodległość wyróżnił go Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski.

Życiorys Eugeniusza Szumiejki to temat na pasjonującą książkę, na fascynujący film. Przede wszystkim to jednak przepiękny przykład bohaterskiego polskiego losu. I taka postać nam właśnie ubyła – bohaterska i piękna.

„Obywatelska”, lipiec 2020



PIERWSZE OSTRZEŻENIE OD SOLIDARNOŚCI WALCZĄCEJ

Obok ogromnej aktywności wydawniczej czy radiowej organizacja Kornela Morawieckiego rozwijała też różnorakie działania nie tylko nie wykluczając całkowicie nowych form, ale też różnego rodzaju nowych metod ciągle poszukiwała. Środków mogących przybliżyć osiągnięcie strategicznych celów – rozbicia komunizmu, dekompozycji sowieckiego imperium, pełnej niepodległości Polski – w działalności SW ciągle przybywało.

Solidarność Walcząca nie wykluczała nawet podjęcia walki zbrojnej. Jej członkowie świetnie sobie jednak zdawali sprawę z ryzyka takiej drogi oraz z oczywistego faktu, że w realiach lat osiemdziesiątych sięganie do broni mogłoby przynieść więcej szkód, niż pożytku. Wśród działaczy dość powszechny był jednak pogląd, że zbrodnie komunistów powinny się spotkać jeśli nawet nie z adekwatnym odwetem to przynajmniej z uświadomieniem przeciwnika, że zaprowadzanie przez reżim krwawego terroru nie będzie mogło odbywać się bezkarnie. Już w połowie 1982 roku prasa Solidarności Walczącej publikowała adresowane do władz artykuły, ostrzegające przed pomysłami formowania szwadronów śmierci. A o pomysłach takich świadczyły zdarzające się w kraju niewyjaśnione przypadki śmierci, wyglądające na mordy skrytobójcze. W wypowiedziach na łamach prasy Solidarności Walczącej pojawiały się więc ostrzegawcze zdania w rodzaju: „Jeśli zechcecie rozlewać naszą krew to liczcie się z tym, że popłynie także wasza”.

Temat zadania ograniczonego, ostrzegawczego ciosu był rozważany przez wiele miesięcy. Oczywiście było, że pierwszy taki akt odwetowy nie powinien oznaczać ofiar w ludziach a zarazem musiałby on być odczuty przez osobę bardzo trafnie dobraną. W żadnym razie nie mógłby to być przypadkowy funkcjonariusz aparatu represji. Najlepiej, gdyby to był osobisty wykonawca zbrodni, za którą ma być ukarany, albo w wysokim stopniu odpowiedzialna figura komunistycznych organów terroru. Jednym z doradców w takich sprawach od 1982 roku był sędziwy Roman Lipiński.

Lipińskiego jeden z późniejszych liderów Solidarności Walczącej Wojciech Myślecki poznał na początku 1982 roku w więzieniu, w którym obydwoj

byli internowani. Jak się okazało Roman Lipiński w czasie okupacji hitlerowskiej był młodym żołnierzem oddziału likwidacyjnego. Na niemieckich zbrodniarzach oraz agentach Gestapo wykonywał wyroki, orzeczone przez sądy Polskiego Państwa Podziemnego. Wiązała się z tym jednak i historia tragiczna. Wyrok taki został bowiem wydany m.in. na dziewczynę z konspiracji, przez podziemny sąd uznaną za hitlerowską wtyczkę. Lipiński brał udział w wykonaniu tego wyroku a po jakimś czasie okazało się, że jednak dziewczyna była niewinna. Ta straszna historia prześladowała Lipińskiego do końca życia. Potwornym doświadczeniem dzielił się ze współpracownikami z Solidarności Walczącej. Dobitnie uświadamiało ono wielkie ryzyko, jakie zawsze wiąże się z sięganiem do broni.

Po zastąpieniu Niemców Sowieci Lipiński nadal działał w polskim zbrojnym podziemiu. W latach powojennego Powstania Antykomunistycznego wykonywał wyroki na najpotworniejszych sadystach z UB – zbrodniarzach winnych śmierci wielu polskich patriotów. W 1947 roku został aresztowany i po brutalnym śledztwie skazany na karę śmierci. Kiedy trafił do więziennej celi, w której wśród dziesiątków więźniów byli i inni oczekujący na wykonanie wyroku, rozmowę z nim zaczął starszy człowiek, który wydał mu się znajomy. Okazało się, że mężczyzna robiący wrażenie duchowo niezniszczalnego, mimo iż ledwie żywego z powodu krytycznego stanu zdrowia, to legionista, pisarz i przedwojenny starosta Kostek Biernacki. Komuniści starali się obarczyć go odpowiedzialnością za funkcjonowanie na terenie powiatu, w którym do 1939 roku urzędował, ośrodka odosobnienia w Berezie Kartuskiej. Wystuchawszy opowieści Lipińskiego Biernacki zapytał, czy komuniści dowiedzieli się o wszystkich wyrokach, jakie wykonał i usłyszawszy, że nie, młodemu towarzyszowi niedoli dał pewną radę: „Postaraj się roztropnie gospodarować tymi bandytami, których zabiłeś. Komuniści zwykle nie wykonują swych wyroków od razu. Skazanych trzymają w celach śmierci czasem nawet rok i dłużej. Liczą na to, że przydadzą im się oni jako świadkowie w procesach kolejnych ludzi podziemia. Zanim więc kogoś powieszają czy rozstrzelają – starają się go jeszcze wykorzystać sądowo lub propagandowo. Staraj się trzymać rękę na pulsie w tej sprawie i kiedy będziesz miał wrażenie, że wykonanie wyroku na tobie się zbliża – poproś o spotkanie z komendantem więzienia. I opowiedz mu wtedy o kolejnym komunistycznym bandycie, którego zabiłeś. Czyli o tym wykonanym przez ciebie wyroku, o którym oni jeszcze nie wiedzą.”

Lipiński skorzystał z rady Biernackiego i po kilku miesiącach, kiedy wszystko wskazywało na to, że wykonanie wyroku będzie miało miej-

sce w najbliższych dniach, zażądał spotkania z komendantem więzienia. Kiedy został do niego doprowadzony powiedział: „Panie komendancie, jest taka sprawa, że przypomniałem sobie o zabiciu jeszcze jednego oficera UB, o którym nie było mowy na moim procesie”. Zaskoczony komendant oczywiście nie uwierzył, ale Lipiński zaproponował, by UB zaczęło kopać metr za kapliczką pod lasem nieopodal pewnej bardzo konkretnej miejscowości. Tydzień później przyszła wiadomość, że rzeczywiście posługując się tą informacją wykopano tam trupa zaginionego przed rokiem ubowca. Ruszyło kolejne śledztwo, Lipiński znów stanął przed sądem, „Kronika Filmowa” nakręciła kolejny materiał i po kilku miesiącach na tym samym skazańcu zapadł jeszcze jeden wyrok śmierci. Lipiński wrócił do swojej celi i znów starał się przewidzieć moment, w którym wyrok będzie na nim wykonany. Kiedy nadszedł ten czas ponownie zgłosił się do komendanta: „No tak się złożyło, że o jeszcze jednym sobie przypomniałem. Znajdziecie go na dnie stawu przy skrzyżowaniu dróg. Po tym, jak go zastrzeliłem – utopiłem go tam razem z jego rowerem”. Parę dni później wyłowiono zwłoki sowieckiego towarzysza z NKWD, kilkanaście miesięcy wcześniej tajemniczo zaginionego. Zaczęło się nowe śledztwo, potem następny proces, aparat propagandy produkował i publikował kolejne materiały. A Lipiński, obciążony kolejnym wyrokiem, znów trafił do celi śmierci, w której na wszelkie możliwe sposoby starał się ustalić datę zasądzonego mu rozstrzelania. Datę bardzo dla niego istotną, bo w przeddzień znów zamierzał się udać do komendanta... Metoda zaproponowana przez Kostka Biernackiego okazała się skuteczna – pozwoliła Lipińskiemu dożyć w więzieniu do roku 1956, w którym to ogłoszono amnestię.

Kiedy w 1985 roku szykany w stosunku do rodziny Morawieckich zaczęły osiągać apogeum, czego przejawem było m.in. porwanie z ulicy syna przewodniczącego Solidarności Walczącej i wywiezienie go do lasu, gdzie grożono mu śmiercią, Wojciech Myślecki uznał, że nadszedł czas stanowczej reakcji. „Jeśli czegoś nie zrobimy – następnym razem Mateusza zabiją!” – przekonywał Myślecki. Po długiej debacie Rada i Komitet Wykonawczy Solidarności Walczącej, posiłkując się konsultacjami m.in. właśnie z Romanem Lipińskim, postanowiły o zadaniu ciosu w osobę komendanta wrocławskiej Służby Bezpieczeństwa. Ofiarą miał być domek letniskowy, a w zasadzie nieco okazalsza altanka, będąca własnością esbeckiego pułkownika Błażejewskiego. Wykonawcami akcji byli Roman Lipiński i Wojciech Myślecki. Po latach Myślecki wspominał, że z sędziwym weteranem umówili się w pobliżu podmiejskich ogrodów, nale-

zących do funkcjonariuszy Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Lipiński podjechał swoją starą jak świat syrenką, z której wyszedł z konewką. Wyglądał jak staruszek, który zamierza na ogródku podlać kwiatki. Jedynie z bliskiej odległości można było wyczuć, że w koneweczce nie niesie wody, ale naftę zmieszaną z benzyną. Idąc krokiem spacerowym po chwili dotarli do dwóch bardzo do siebie podobnych drewnianych domków. Z uzyskanej informacji wynikało, że własnością Błażejewskiego jest ten stojący po prawej stronie. Myślecki dyskretnie, ale bacznie się rozglądał po okolicy a Lipiński, bez najmniejszych nawet oznak jakiegokolwiek niepokoju, dół drewnianej budowli podlewał zupełnie tak, jakby wykonywał prace ogrodowe. Powoli oddalając się rzucił zapałkę. Altanę objęły płomienie. „Chciałem przyspieszyć kroku, ale Lipiński nie tylko szedł bardzo niespiesznie, ale nawet zaczął mówić na jakiś zupełnie z tym wydarzeniem niezwiązany temat” – wspominał Wojciech Myślecki.

Jednym ze źródeł informacji o wydarzeniach w łonie SB byli trenerzy i sportowcy klubu Gwardia Wrocław. Jego okazała siedziba, mieszcząca wiele biur wrocławskiego Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych, dzień po pożarze niemal trzęsa się od histerycznych opowieści. Wprawdzie okazało się, że spłonął nie domek Błażejewskiego, ale jego zastępcy, to jednak sygnał podziałał przerażająco. Potem wiadomości te uzupełnione zostały doniesieniami, napływającymi od współpracującej z Solidarnością Walczącą Grupy Charukiewicza, czyli od kilkorga funkcjonariuszy SB przekazujących podziemiu różne informacje, głównie ostrzeżenia o planach esbeckich akcji. Dzień później Błażejewski otrzymał list podpisany przez Kornela Morawieckiego, zaczynający się od słów: „Niniejszym czynię pana odpowiedzialnym za bezpieczeństwo członków rodzin działaczy Solidarności Walczącej oraz innych antykomunistycznych organizacji...”

Od niniejszego wydarzenia przez co najmniej kilka miesięcy wrocławska SB nie sięgnęła do brutalnych metod, które zdawały się już być codziennością. W tym samym roku gen. Czesław Kiszczak ostatecznie doszedł natomiast do przekonania, że w łonie wrocławskiej bezpieki działają liczne osoby współpracujące z Solidarnością Walczącą. Skutkiem tego kilkadziesiąt osób wydalono ze służby. W tej liczbie nie było nikogo z Grupy Charukiewicza. Za pomoc udzielaną podziemiu i tym samym udział w walce o niepodległość członkowie tej grupy w roku 2009 zostali przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego odznaczeni Krzyżami Oficerskimi Orderu Odrodzenia Polski.

KONTRWYWIAD Z PERSPEKTYWY SZAREGO DZIAŁACZA

O tym, że Solidarność Walcząca dysponuje własnym Kontrwywiadem i że prowadzi wielorakie działania, mające na celu zapewnienie możliwie dużego bezpieczeństwa ludzi trudniących się konspiracją, wiadome było już w 1982 roku. I to nie tylko działaczom samej organizacji Kornela Morawieckiego, ale też członkom np. podziemnych struktur młodzieżowych. O tym, jak ten Kontrwywiad działał, można było się tylko domyślać. Z czasem jednak każdy, kto miał związek z czynną opozycją, z różnymi formami jego aktywności spotykać się musiał coraz częściej. Pamiętać też trzeba, że Kontrwywiad Solidarności Walczącej działał nie tylko dla tej organizacji i dla jej członków. Swym parasolem starał się chronić wszystkich, którzy narażali się na represje. Swoje ustalenia przekazywał innym strukturom a kiedy rozpoznawał wymierzone przeciw komuś działania represyjne – natychmiast spieszył z informacją. Ostrzegał, alarmował, radził co robić i pomóc się starał w każdy możliwy sposób.

Z pracą Kontrwywiadu Solidarności Walczącej po raz pierwszy zetknąłem się chyba jesienią 1982. Byłem wtedy działaczem Polskiej Niezależnej Organizacji Młodzieżowej i w czasie spotkania z knującym w tej samej formacji Radkiem Hejnowiczem dostałem od niego długą listę adresów. Powiedział: „Popatrz, czy nie bywasz w tych okolicach i jeśli tak – uważaj na te miejsca”. Oczywiście spytałem, co to za lista. I usłyszałem: „Wykaz lokali operacyjnych SB. Mieszkań, które esbecja wykorzystuje do prowadzenia obserwacji, do spotkań z konfidentami i całej reszty swojej roboty.” Zaskoczyło mnie wtedy to, że miejsc tych było aż tak dużo. Pomyślałem nawet, że moi rodzice, jak niezliczona ilość innych rodzin, od dwudziestu lat bezskutecznie czekali na przydział większego mieszkania a tu taka masa lokali marnowała się w rękach ubeków. Wymienione w tej liście punkty gęsto i dość równomiernie rozsypane były po całym Wrocławiu. Zwróciłem uwagę na to, że codziennie idąc do szko-

ty przechodziłem pod oknami dwóch z nich a po drodze do kościoła miałem trzy. Okazało się też, że niemal po drugiej stronie ulicy Partyzantów, przy której odbywała się ta rozmowa, znajdował się kolejny. „Skąd to masz?” – zapytałem w bezbrzeżnym zdumieniu. Radek odpowiedział, że to ustalenie Solidarności Walczącej, która też na bieżąco śledzi wszystkie zmiany, dotyczące sieci lokali operacyjnych SB. Bo ciągle pojawiały się nowe a stare co jakiś czas zmieniały lokalizację.

Jakiś czas później spotkałem się z listą wymieniającą służące esbecji pojazdy i ich numery rejestracyjne. Przyjaciele z organizacji, zapewne za radą tych, od których spis ten otrzymali powtarzali, by nie utożsamiać poszczególnych numerów z konkretnymi samochodami. Funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa często bowiem wozili ze sobą nawet kilka kompletów tablic a w swojej pracy posługiwali się także samochodami prywatnymi. Oczywiście nikt z nas nie uczył się tych danych na pamięć. Wiadomo jednak było, że dysponujemy dobrze gdzieś ukrytą listą, do której można było zajrzeć w przypadku, gdyby jakiś pojawiający się np. pod naszym domem samochód wydawał się nam podejrzany.

Nie pamiętam kiedy po raz pierwszy miałem w rękach wydruk z nasłuchu. Miał on kształt maszynopisu, najwyraźniej przepisanego z użyciem wielu warstw kalki. Prostokątny pasek wycięty z kartki formatu A4 zawierał kilka wersów z lakonicznymi informacjami podającymi datę, godzinę i miejsce obserwacji. Np.: „2.IV 83. Godz. 19.15 1 maja pod lwami: 20-letni blondyn, czarna torba – do św. Antoniego 20. Koniec obs.” Znaczyło to, że kogoś o wymienionym wyglądzie SB śledziła w podanym czasie i wymienionym miejscu. A pojawienie się tej informacji na tym pasku znaczyło tyle, że Kontrwywiad Solidarności Walczącej innym sposobem nie zdołał ustalić, kim była obserwowana osoba. Kolportował więc tę informację wśród działaczy. Nie tylko tych z Solidarności Walczącej, ale też innych, współpracujących z SW organizacji. Każdy, kto dostawał do rąk ten kawałek papieru mógł dzięki niemu się zorientować, czy to nie właśnie on był obserwowany. Czasem karteczka taka zawierała nawet kilkanaście tego rodzaju informacji. Wydruki takie towarzyszyły mi przez wszystkie lata konspiracji. Czytanie ich polegało na uruchamianiu „przełądu pamięci” wg klucza „co ja wtedy robiłem?” Zarazem uświadamiało ono, jak intensywnie pracują nasi prześladowcy. Co jakiś czas dowiadywałem się, że informacje z tych karteczek kolejnych ludzi skutecznie informowały o tym, że muszą natychmiast i niepostrzeżenie wynieść ze swoich mieszkań wszystkie

przedmioty, mogące stanowić dowód prowadzonej działalności. Często ostrzeżenie przychodziło w porę i wtedy zaalarmowani konspiratorzy unikali więzienia. Z informacją, co do której zachodziło przypuszczenie, że mogą dotyczyć m.in. mojej osoby, spotkałem się na przełomie 1987 i 1988 roku. W większym jednak stopniu chodziło w niej o Maćka Dziubańskiego, który krótko potem został zatrzymany przez SB.

Wiadomości na temat punktów obserwacyjnych Służby Bezpieczeństwa, jakimi naszpikowane były polskie miasta, miały duży wpływ nie tylko na to, jak poruszaliśmy się ulicami, ale też jak funkcjonowaliśmy w swoich mieszkaniach. Dość często przekazywana była np. informacja o wyposażonych w doskonały sprzęt optyczny „obserwatoriach SB” ulokowanych na wysokich kondygnacjach budynków. Chyba najważniejsze mieściło się na najwyższym piętrze wieżowca „Poltegor”, dominującego nad Wrocławiem tak, jak Pałac Kultury nad Warszawą. Szczyt „Poltegoru” widoczny był z tysięcy miejsc. Znaczyło to, że można było z niego wykierować soczewki lunet w równie wielu kierunkach. Dysponując takim sprzętem ulokowanym w takim miejscu zaglądać można było do tysięcy okien. Stąd nie dziwiło mnie to, że w mieszkaniach, w których ludzie Solidarności Walczącej drukowali a z okien których widać było ostatnie piętra „Poltegoru”, zasłanianie okien było oczywistością. A w czasie pracy nocą wielu troszczyło się także o to, by nie było widać, że w mieszkaniu włączone jest światło.

Niektóre pola obserwacji omijało się tylko po to, by nie kusić losu. Esbeka mógł bowiem zainteresować człowiek wielokrotnie przechodzący w tym samym miejscu z torbą czy plecakiem. Mógł go też skojarzyć z jakąś sprawą, w której uczestniczył czy dokumentacją, z jaką się zapoznawał. Z tej przyczyny odwiedzając skrzynkę kontaktową, mieszczącą się w kamienicy na rogu placu i ulicy Powstańców Śląskich, nie przechodziło się ulicą Kamienną. Stojący przy niej dziesięciopiętrowy blok należał bowiem do obiektów najpilniej obserwowanych. Rzucająca się w oczy przerwa w ciągnącym się tam długim szpalerze drzew powstała tam z tej właśnie przyczyny – esbecy doprowadzili do wycięcia kilku jedynie po to, by nie przeszkadzały w obserwowaniu, kto wchodzi i wychodzi z bloku, którego parę mieszkańek bardzo ich interesowało.

Wiosną 1988 roku z wiadomością, muszącą pochodzić z Kontrwywiadu Solidarności Walczącej, nagle dotarł do mnie Krzysiek Zwierz, znany nam pod pseudonimem „Wyrocznia”. Sprawa wyglądała na bardzo pilną, bo znalazł

mnie w środku dnia na uczelni. To, gdzie jestem, ustalił na podstawie wiszącego w gablotce na korytarzu grafiku zajęć. Wiedział, na którym jestem roku a wnioskując po moim nazwisku, zaczynającym się na „A” domyślił się, że przynależę do pierwszej grupy. Jego pojawienie się w drzwiach salki, w której odbywały się zajęcia z panią dr Joanną Pyszny było dla mnie tak zaskakujące, że nie mogło być inaczej – działo się coś nadzwyczajnego. Nie kłamałem więc przeprasząc za konieczność nagłego wyjścia a potem nawet nie pytałem Krzyśka, o co chodzi, kiedy niemal biegiem opuszczaliśmy gmach uczelni, by po chwili siedzieć w jego samochodzie. Pędząc przez miasto powiedział tylko: „Jeśli masz fart to zdążysz wynieść wszystko z domu zanim wpadnie tam esbecja. Wszystko, co w nim masz przekazujesz facetowi, do którego cię wiozę.” Przyjechaliśmy do jakiegoś zakładu na peryferiach Wrocławia, przed którym czekał pewien mój rówieśnik, w którym rozpoznałem studenta, z którym epizodycznie spotykałem się przy okazji konspiracyjnych kontaktów z Czarkiem Szarugiewiczem. Przywitaliśmy się, Krzysiek powiedział, że bym „miał oczy dookoła głowy tak, jak nigdy” i że bym przyszedł do niego wieczorem. Zrozumiałem, że do wiem się wtedy, co w ogóle się dzieje i że spróbujemy ustalić, co robimy dalej. Kolega od Czarka, o którym po latach dowiedziałem się, że nazywa się Tomek Białaszczyk, spytał mnie jeszcze o adres domu, do którego mieliśmy wyruszyć. Chodziło o dom moich dziadków, w którym mieszkalem od paru lat i gdzie miałem swoją drukarnię. Pojawił się kierowca żuka, którym mieliśmy przejechać po około trzydziestu kilometrów w każdą stronę. Tomek z kierowcą wsiadł do szoferki a ja „na pakę”, co było okolicznością umożliwiającą dobrą obserwację wszystkiego, co działo się za nami. Przez jakiś czas za naszym żukiem telepał się jakiś polonez, ale i on w końcu nas wyprzedził i nic innego w drodze tej nie wydało mi się podejrzane. Choć oczywiście zawsze ważne było nie tylko to, co się działo za nami, bo mobilną obserwację bezpieczeństwa potrafiła prowadzić także „od przodu”. Na miejscu przekonałem się, że kierowca musiał nie mieć pojęcia, co będzie wiózł, bo Tomek stwierdził, że mój wielki powielacz musimy w coś solidnie zawinąć, żeby absolutnie nie było widać, co to jest. Oprócz tej wielkiej maszyny, którą parę lat wcześniej z wrocławskiego Biskupina dotarłem pchając go na wózku pieszko, spakowaliśmy też wszystko, co służyło do druku. Do jednego z pudeł włożyłem też kubki, talerze i sztucce, których używałem wyłącznie w czasie drukowania. Często chwytane rękami upapranymi farbą ciężko było domyć. A odciski palców na porcelanie potrafią prezentować się bardzo okazale. Ruszyliśmy w drogę powrotną, ja znów na „pace” i tym razem emocji było odrobinę więcej, bo minęliśmy dwa zaparkowane

tuż przy drodze radiowozy ze stojącymi przy nich milicjantami, zatrzymującymi wybrane pojazdy. Po dotarciu na miejsce Tomek powiedział: „Miałeś szczęście siedząc z tyłu i widząc te gliny dopiero wtedy, kiedy już je minęliśmy. A ja dwukrotnie miałem wrażenie, że już nas zatrzymują”.

Powielacz trafił do jakiegoś nieznanego mi miejsca. Po latach dowiedziałem się, że służył drukarzom ze współpracującej z Solidarnością Walczącą grupy „Baszta”. Niedawno identyczny zobaczyłem na ekspozycji, mieszczącej się w siedzibie zarządu dolnośląskiej Solidarności. Stoi tam chyba do dziś i opatrzone jest tabliczką informującą, że należał do Bohdana Błażewicza. Z rozmowy z Pawłem Błażewiczem dowiedziałem się, że tak było w istocie, ale jakoś chyba jeszcze przed 1985 rokiem powielacz ten trafić musiał do innego miejsca i trudno było ustalić, kto i gdzie z niego korzystał. W moje ręce przekazany został za sprawą Krzyśka Zwierza na początku roku 1986. Powielacz stojący w gmachu przy Placu Solidarności jest identyczny z tym, którego używałem. Jestem niemal pewien, że to właśnie ten. Jeśli nawet tak jest to pełna jego historia do odtworzenia byłaby trudna. Nie żyje już bowiem co najmniej dwóch jego użytkowników. Oprócz ś. p. Bohdana Błażewicza także człowiek, od którego sprzęt ten przejął i przekazał w moje ręce Krzysiek Zwierz.

A u Krzyśka, zgodnie z jego życzeniem, pojawiłem się wieczorem tego dnia, którego powielacz opuścił moje ówczesne locum, czyli ten kawałek stojącego w Obornikach Śląskich domu po moich dziadkach. W naszym spotkaniu uczestniczył Tosiek Ferenc, który przekazał informację wręcz piorunującą. Stwierdził bowiem, że jeden z naszych współpracowników został przez Solidarność Walczącą rozpoznany jako agent Służby Bezpieczeństwa. Tosiek miał zwyczaj mówienia o takich sprawach wyłącznie konspiracyjną grypserską. Miewałem trudność ze zrozumieniem tego, co chce przekazać, ale celem tego „szyfrowanego języka” było to, żeby jak najmniej z tego mógł pojąć każdy, kto byłby przypadkowym świadkiem rozmowy. A w szczególności, żeby jak najmniej mogła z tego zrozumieć podsłuchująca jego wypowiedzi bezpieka. Z tego, co Tosiek wtedy mówił wynikało, że Kontrwywiad Solidarności Walczącej (oczywiście żadne z tych słów nie pojawiło się w tej rozmowie) od dłuższego czasu obserwował i analizował wszystkie działania jednego z naszych znajomych. Człowiek ten miał bardzo rozległe kontakty wśród liderów jawnej opozycji, przyjaźnił się z kilkoma znaczącymi postaciami i jakiś czas temu, za sprawą jakiegoś bardzo solidnego polecenia, współpracował także z nami. O mojej drukarni nie tylko wiedział. Niejednokrotnie drukowaliśmy w niej razem. Poligra-

ficzne rzemiosło znał nieźle a jego umiejętności z zakresu sitodruku ocenić by należało jako naprawdę duże. I teraz Tosiek mi mówił, że ten człowiek to ubek! Powiedzieć, że byłem w ciężkim szoku, to nic nie powiedzieć. Najważniejszym jednak, czego Tosiek oczekiwał ode mnie tego wieczoru, było ustalenie wszystkiego, czego ten człowiek się ode mnie mógł dowiedzieć. Grzebanie w pamięci zajęło mi dobrych parę godzin a potem pytanie to wracało do mnie tygodniami. Szczęśliwie było jednak tak, że na pewno nie dowiedział się ode mnie o nikim oprócz naszych wspólnych znajomych, których w każdym przypadku on znał wielokrotnie lepiej ode mnie. „Apacz”, bo takiego używał pseudonimu, był starszy ode mnie i relacja między nami była taka, że to on czuł się kimś ważniejszym, brylującym przede mną opowieściami o swoich ważnych znajomych oraz rozmaitych własnych przygodach i dokonaniach. Ja potrzeby takiej nie miałem i nie miałem też skłonności do jakiegokolwiek rywalizacji. To ja więc słuchałem a on o żadnym z nieznanym mu kontaktów ode mnie się nie dowiedział. Za to lista ludzi, o których on mi opowiadał, była długa. Ją też Tosiek był bardzo zainteresowany, bo składała się ona z osób, które należało ostrzec.

Dzień, w którym ewakuowaliśmy moją drukarnię a potem przez kilka godzin rozmawialiśmy wraz z Tośkiem i Krzyśkiem, miał miejsce kilka tygodni po dużej esbeckiej akcji, w czasie której przeprowadzono rewizje w co najmniej kilkudziesięciu mieszkaniach. Tosiek wyrażał przypuszczenie, że podobna fala represji wkrótce może się powtórzyć. Choć zauważał też, że w czasie ostatniego „esbeckiego ataku” do bardzo wielu naszych ludzi na rewizje jednak nie przyszli. Przypuszczał, że ciąg dalszy niedawnej fali represji może nastąpić najbliższych dniach. Radził, żebym był na to pod każdym względem gotowy. Na wypadek przypadkowego spotkania z „Apaczem” miałem mu powiedzieć, że mam ostatecznie dość wszystkiego, co się wiąże z konspiracją. Że podjąłem decyzję o zakończeniu z tym raz na zawsze. W żadnym razie nie miałem się zdradzić z tym, że wiem, kim on naprawdę jest. Zrozumiałem, że „Apacz” miał być odcinany od wszystkich swoich opozycyjnych kontaktów w taki sposób, żeby zarówno on, jak i jego mocodawcy, w sytuacji tej zorientowali się jak najpóźniej.

Następne dni a nawet tygodnie w dużej mierze upływały mi pod znakiem otrzymywania od niezliczonych bliższych i dalszych znajomych informacji na temat fatalnego znajomego z konspiracji. „Apacz” był bowiem bardzo znanym kolporterem. W środowiskach studenckich i nie tylko rozprowadzał ogromne ilości książek, znaczków, plakatów. Cieszył się opinią człowieka, któ-

ry jest w stanie zrealizować każde zamówienie, sprowadzić każdą ilość każdych podziemnych wydawnictw. Zdumiony byłem tym, w jakim tempie informacja o esbeckim zaangażowaniu wielkiego kolportera dotarła do mnóstwa ludzi z przeróżnych środowisk. Dosłownie co chwilę ktoś do mnie podbiegał i z trudem panując nad wielkimi emocjami stłumionym głosem mówił do mnie, że „Apacz” to ubek i mimo że brzmi to niewiarygodnie, jest to informacja absolutnie pewna, pochodząca z najbardziej wiarygodnego źródła. Za każdym razem udawałem wielkie zdziwienie i poruszenie, choć właściwie to udawać ich nie musiałem. Tym, co przekazał mi Tosiek, ogromnie poruszony byłem przez wiele dni. Jakimiś niezmiernie licznymi i kompletnie mi nieznanymi kanałami informacja o „Apaczu” lotem błyskawicy dotarła do często zaskakujących mnie miejsc. Przynosili mi ją nie tylko ludzie związani z NZS-em czy WiP-em. Na korytarzu Instytutu Historii nagle podszedł do mnie jeden z adiunktów, który rozpoznał we mnie uczestnika konspiracyjnych wykładów i spotkań dyskusyjnych. Poprosił mnie do swojego pokoju. Od niego też usłyszałem: „Słyszał pan już, że organizator tych naszych spotkań pracuje dla SB?” Podobna sytuacja powtórzyła się w bibliotece polonistyki, w której dopadł mnie pracujący w niej Wicek Korsan. Poprowadził mnie głęboko na zaplecze magazynu wypchanego regałami pełnymi książek. Szybko zeszło się w tym miejscu kilkoro innych pracowników biblioteki, w której dystrybucja wydawnictw drugiego obiegu przez całe lata osiemdziesiąte szła na wielką skalę. Wszyscy kojarzyli mnie jako znajomego „Apacza”. I oni też przekazali mi tę ponurą wiadomość.

Fatalnego znajomego spotkałem na ulicy kilkanaście dni później, kiedy wiadomość o tym, że jego agenturalność została rozpoznana, musiała już dotrzeć także do niego. Wcześniej każde takie spotkanie oznaczało przynajmniej krótką rozmowę. Teraz musiało być dla niego jasne, że sensacyjne ustalenie przekazane zostało także mojej osobie. Minęliśmy się jak obcy, nawzajem nie znający się ludzie.

Zgodnie z radą Tośka – spodziewałem się wizyty funkcjonariuszy SB. Nigdy jednak do niej nie doszło. Kilka miesięcy później, po przerwanej apelami Wałęsy fali strajków, tzw. „konstruktywna opozycja” zaczęła dogadywać się z Kiszczakiem i resztą „właścicieli Polski Ludowej”. Rodził się twór szumnie zwany Trzecią Rzeczpospolitą. A ja założyłem rodzinę, której w tych jakże ciężkich czasach starałem się zapewnić jakiś byt. Na wyjaśnianie spraw tak bolesnych, jak przypadek „Apacza” brakowało czasu, sił i chęci. Nie istniały też żadne do tego narzędzia. W czasach rządu Tadeusza Mazowieckiego płonęły archiwa Służby Bezpie-

czeństwa. Kasta beneficjentów okrągłego stołu każdą próbę wyjaśnienia czyjejs podłej działalności wdeptywała w ziemię. Żadnej zmiany nie przyniosło nawet utworzenie w końcówce lat dziewięćdziesiątych Instytutu Pamięci Narodowej. Przełomem okazało się dopiero objęcie w nim funkcji prezesa przez prof. Janusza Kurtykę. Wtedy szansę prowadzenia nieskrępowanych badań uzyskało spore grono historyków bardzo rzetelnych, z wielką energią dążących do wyjaśnienia zagadek nie tak dawnej przeszłości. Jednym z tych weteranów Solidarności Walczącej, którzy złożyli dużą ilość wniosków, mających przynieść odpowiedzi na różne pytania, był Tosiek Ferenc. Początkowo owoce tych starań były skromne. Najczęściej okazywało się, że teczki osób, w sprawie których składano zapytanie, zostały spalone w 1990 roku. Potem jednak różne ich fragmenty zaczęły się odnajdywać a pracownicy IPN-u informowali też, że w archiwach jest mnóstwo tzw. „dokumentów workowych”. Czyli fragmentarycznych papierów, które jakimś trafem ocalały z pożogi oraz tego całego wielkiego procederu, polegającego na masowym rozkradaniu archiwów przez przeróżnych osobników, w pokrągłostołowej Polsce uprzywilejowanych. Z tego, co mówili archiwiści wynikało, że dokumentów takich są tony i ich uporządkowanie to praca na długie lata. Dodawali też jednak, że w IPN – ie nie brakuje badaczy gotowych jej poświęcić duży kawał swojego życia. I rzeczywiście odkrycia historyków studiujących choćby i szczątkowe archiwa pozostałe po komunistycznych siepaczach często są porażające i mogą zmienić nasze wyobrażenia o realiach PRL-u. Włodek Domagalski (zresztą zasłużony działacz Solidarności Walczącej) udowodnił np. utworzenie po Sierpniu roku 1980 co najmniej czterdziestoosobowej grupy oficerów SB, którym nadano wtedy nową tożsamość i których wspierano w zadaniu zajęcia kluczowych miejsc na szczytach solidarnościowej opozycji. Anna Kister (też SW) dotarła natomiast do dokumentów o elitach powstających w 1944 roku – Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego oraz Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Jakimś „trafem” szefostwo tego KBW i UB to w dużej mierze ojcowie i matki sporej części współczesnych nam „elit” III RP. Z kolei pokonferencyjny tom pod redakcją dr. Sebastiana Ligarskiego zawiera materiały na temat agentów SB, w latach 1985 – 87 zdemaskowanych przez Kontrwywiad Solidarności Walczącej i wykluczonych wtedy z podziemnych struktur. Naukowcy z IPN-u dokumenty na ich temat odnaleźli, więc i ustalenia Kontrwywiadu znalazły swoje najostateczniejsze potwierdzenie.

Niezapomniany Tosiek Ferenc nie doczekał odnalezienia w papierach IPN-u czegokolwiek na temat „Apacza”. Kilka lat po śmierci tego niezmordo-

wanego bojownika, zarazem będącego uosobieniem bezbrzeżnego ciepła i dobroci, odebrałem telefon z Instytutu Pamięci Narodowej. Dzwonił Wojtek Sawicki, pracujący wtedy w Pionie Archiwalnym: „Znalazło się coś o twoim starym przyjacielu! Tylko parę kartek, ale wyjaśniających bardzo wiele.” Okazało się, że wśród papierzysk, jakie ocalały po tym, jak w archiwach bezpieki buszowali jej funkcjonariusze wraz ze swoimi współpracownikami, były też pojedyncze kartki z teczek agentury, którą esbecja wyłączała z czynnej działalności. Kilka z nich dotyczyło naszego „Apacza”. Wojtek, niezmiernie biegły w interpretowaniu dokumentów, jakie pozostały po Służbie Bezpieczeństwa, wskazywał na kolejne rubryczki i wyjaśniał, co znaczą umieszczone w nich wpisy. Z jednej z nich wynikało, że kilka tygodni po tym, jak Kontrwywiad Solidarności Walczącej ostatecznie rozpoznał w „Apaczu” szpicla bezpieki, przesunęła go ona w stan nieczynny. Wcześniej jednak „Apacz” był agentem Inspektoratu II a jego oficerem prowadzącym był kapitan SB Lech Krymuza. Oznaczało to przynależność do agentury najbardziej elitarnej i zajmującej się tylko i wyłącznie sprawami największego kalibru. „Apacz” otrzymywał więc zadania rangi najwyższej, celem których było np. wytropienie Kornela Morawieckiego. Pionki takie, jak ja czy moja drukarnia to dla ludzi z Inspektoratu II był przystówiowy pryszcz. Informację o istnieniu takich ludzi i miejsc prawdopodobnie przekazali oni komuś, kto w esbecji zajmował się podobną „drobnicą”. Pamiętając rodzaj rozmów i relacji, jakie łączyły mnie z „Apaczem” mogę przypuszczać, że nie postrzegał mnie jako cokolwiek w rodzaju końcówki tej „nici”, która poprowadzić go mogła do jakiegokolwiek istotnego „kłębka”. To, że bezpieka w obornickim domu moich dziadków się nie pojawiła zapewne wynikało ze zmiany jej strategii. W przeciwieństwie do bezwzględnych represji, jakie za najskromniejszą nawet działalność spadały na moich najbliższych współpracowników w pierwszych latach wojny polsko-jaruzelskiej w roku 1988 bezpieka często zadowalała się samym posiadaniem informacji. Mając już pod kontrolą dużą część opozycji posiadała także dane pozwalające na zadanie ciosów radykałom z podziemia. Obierała już jednak kierunek, dla którego spektakularne prześladowania czy więźniowie polityczni nie byli zjawiskiem pożądanym. W ocalałych fragmentach akt Wojtek Sawicki zwrócił też uwagę na to, że „Apacz” miał w nich dwa kryptonimy. Pierwszym był „Kułak”, który następnie musiał zostać zamieniony na „Kulis”. Świadczyć to mogło o długim agenturalnym stażu tego człowieka, który być może początkowo współpracował z esbekami niższej rangi a w związku z tym, że znalazł się w bliskich relacjach z elitą

opozycji (tak właśnie było – znał się z najgłośniejszymi, jawnie działającymi postaciami) przejęty został przez Inspektorat II.

Sprawa „Apacza” przez całe dziesięciolecie wzbudzała emocje wśród wielu tych, którzy w latach osiemdziesiątych studiowali na wrocławskim uniwersytecie. Utrzymywał bowiem kontakty bardzo rozległe, stąd kiedy nawet po wielu latach spotykam kogoś z kolegów ze studiów to często pada pytanie w rodzaju: „A wiesz może, jak to w końcu z nim było? Przecież ja od niego chyba ze sto wydanych w podziemiu książek kupiłem!” Szczegółów jego historii być może nie poznamy już nigdy. Jednak dzięki Instytutowi Pamięci Narodowej i pracującym w nim solidnym badaczom tego, co pozostało z pozycji w archiwach SB wiemy dzisiaj, że Kontrwywiad Solidarności Walczącej nie mylił się w swoich ustaleniach.

SOLIDARYZM – IDEA KORNELA MORAWIECKIEGO

Solidaryzm nie był w latach osiemdziesiątych ideą nową. W okresie międzywojennym propagował ją m.in. Feliks Młynarski. Ten sam właśnie specjalista od finansów, który w porozumieniu z Rządem Rzeczypospolitej Polskiej na Uchodźstwie i Polskim Państwem Podziemnym zdecydował się objąć stanowisko prezesa działającego w Generalnym Gubernatorstwie Banku Emisyjnego w Polsce. Ten rzecznik solidaryzmu w tym miejscu piekielnie trudnym i zmuszającym do karkołomnego lawirowania ogromne usługi oddawał Polsce i swoim rodakom walczącym o jej wolność. Dla legalnych polskich władz i dla świadomych żołnierzy konspiracji było to jasne. Niektórzy zarzucali jednak Młynarskiemu kolaborację a on może właśnie wtedy, w warunkach krańcowego ryzyka i z najwyższym poświęceniem służył dwóm najbliższym sobie sprawom – ojczyźnie i idei solidaryzmu.

Przekonanie, że bez względu na to, do jakiej warstwy czy klasy społecznej się przynależy najważniejsze jest to, co nas zbliża a nie dzieli, Kornel Morawiecki wyrażał długo przed tym, zanim powstał związek o nazwie Solidarność. Na pewno warto zastanowić się nad tą ideą w kontekście niepokojących przeobrażeń, dokonujących się we współczesnym świecie.

„Jedni ludzie gromadzą fortuny, inni co dzień się bronią przed głodem” – śpiewała Martyna Jakubowicz. Wielu by zapewne stwierdziło, że nie ma w tym niczego nienaturalnego, bo taki jest właśnie na naszym świecie porządek rzeczy. W filmie Olivera Stone’a „Wall Street” grany przez Michaela Douglasa Gordon Gekko na takim właśnie łądzie opierał całą swoją aksjologię i etykę. I nawet trudno odmówić mu pewnych racji gdy stwierdza, że chciwość jest dobra, bo stanowi napęd rozwoju. Rzeczywiście było tak, że w warunkach nieskrępowanej konkurencji przedsiębiorcy motywowani zyskiem doprowadzili do najbardziej masowego w dziejach cywilizacji podniesienia jakości życia. Jak dotąd nikt nie wymyślił mechanizmu w podobnym stopniu generujące-

go rozwój i dającego szansę życia w dobrobycie równie wielu milionom ludzi. Każda próba zawrócenia z tej drogi byłaby krokiem ku katastrofie. Już jesteśmy świadkami postępującego zastoju, będącego efektem nadmiaru regulacji, narzucanych głównie przez urzędnicze elity Unii Europejskiej. Zarazem jednak mechanizmy wolnorynkowe też doprowadziły do sytuacji mogących niepokoić i w pełni zasługujących na zdefiniowanie ich jako poważne patologie. Bo czy jest normalne i pożądane, by zaledwie jeden procent populacji świata koncentrował w swych rękach dziewięćdziesiąt dziewięć procent znajdujących się na nim dóbr? Z czymś takim nie mieliśmy do czynienia w żadnej z satrapii, znanej nam z kilku tysiącleci dziejów. Wprawdzie tzw. formacja azjatycka, której przykładem może być starożytny Egipt, formalnie polegała na skupieniu całej własności w rękach np. faraona, ale w rzeczywistości nie było jednak tak, żeby władca ten był faktycznym właścicielem ponad dziewięciu dziesiątych majątku swojego państwa. I oczywiście – uboższą większość ówczesnych społeczności trudno porównać z dzisiejszymi jej odpowiednikami, zwykle żyjącymi na niewspółmiernie lepszym poziomie. Kiedy jednak uświadomimy sobie, że w wielu przodujących krajach świata zachodniego wzrost standardu życia, po boomie lat sześćdziesiątych czy siedemdziesiątych dość wyraźnie wyhamował to stwierdzić musimy, że jakiś problem jest. Świadomość tego, że w przewidywalnej przyszłości lepiej raczej nie będzie, a nawet że przyjdzie się pogodzić z obniżką poziomu życia rzędu dziesięciu procent, podawana jest jako jedna z głównych przyczyn narodzin francuskiego „ruchu żółtych kamizelek”.

Cóż poradzić na te rzeczywiste, niepokojące zjawiska? Przede wszystkim uświadomić sobie należy, że problem ma nasz współczesny świat i że, w większym lub mniejszym stopniu, będzie on bezpośrednio dotykał coraz większej części jego mieszkańców. Uzmysłować sobie trzeba, że nieznana żadnej z wcześniejszych epok koncentracja dóbr oznacza nieznane nigdy wcześniej zagrożenia. Mamy dziś na świecie podmioty gospodarcze czy nawet pojedynczych ludzi, mających w swej dyspozycji zasoby większe od posiadanych przez poważne państwa średniej wielkości. O tym, co ze swoimi aktywami robi państwo, nawet w przypadku ustrojów autorytarnych czy totalitarnych, decyduje dość szerokie grono. I nawet w przypadku państw zamożnych potrzeby zawsze są większe od możliwości, więc na budżetowe ekstrawagancje dużo przestrzeni nie ma – jego środki pochłaniane są jak woda rozlana na piach pustyni. Natomiast w przypadku kolosalnych pieniędzy prywatnych – mamy do czynienia z mechanizmem całkowicie innym. W 1954 roku Abraham Maslow opisał jed-

ną z tych psychologicznych zasad, których nikomu nie udało się dotąd zakwestionować. Jest ona bowiem arcy-logiczna i mówi nam, że wraz ze wzrostem posiadania zmienia się zakres potrzeb człowieka. A posiadanie środków olbrzymich uruchamia potrzeby z kategorii marzeń o kreowaniu ładu świata. Bilion dolarów w posiadaniu jakiegokolwiek państwa – żadnego zagrożenia oznaczać nie musi. A taki sam bilion dolarów w rękach pojedynczego człowieka? Niewykluczone, że może być czego się bać.

Nasz świat znów zabrnął w rejony mogące być powodem do niepokoju. A nauczeni jego doświadczeniem wiedzieć powinniśmy doskonale, jak zgubne mogą się okazać wszystkie proste recepty. Jednym z najrozsądniejszych ze wskazań wydaje się być to, co mówił nam nasz wielki rodak Jan Paweł II. Podkreślał, że demokracja to szansa tworzenia sprawiedliwego ładu, ale też przestrzegał, że demokracja nie oparta na prawdziwych wartościach przekształca się w zakamuflowany lub jawny totalitaryzm. Analogicznie więc wolność gospodarcza daje możliwość wytwarzania wielu dóbr, ale skrajnie nadmierna koncentracja zysków rodzi ryzyko groźnych patologii. O zjawisku tym pisali też zwolennicy zasad solidaryzmu społecznego. Kornel Morawiecki podkreślał, że tak, jak w życiu społecznym, politycznym czy gospodarczym niezbędne są zasady rywalizacji, tak też nieodzowne jest pielęgnowanie obszarów współpracy.

Na pewno warto pochylić się nad myślami tych wielkich Polaków. Wiele przemawia za tym, że to one pozwolą ominąć pułapkę, do której zdaje się zbliżać nasza cywilizacja.



ZABIJANIE PAMIĘCI O WYDARZENIACH STANU WOJENNEGO

W przestrzeni publicznej coraz częściej pojawiają się wypowiedzi stanowiące dowód głębokiej atrofii wiedzy na temat realiów PRL-u. Zarazem jako rzekomi znawcy wydarzeń lat osiemdziesiątych występują krańcowi ignoranci oraz mitomani, podający się za rzekomych działaczy ówczesnej opozycji a kompromitujący się nieznaną elementarnych faktów z dziejów walki z reżimem komunistycznym.

PERSPEKTYWY AKTYWNYCH UCZESTNIKÓW I KONIUNKTURALISTÓW

Premier Mateusz Morawiecki, pytany o wspomnienia z ostatniej dekady Polski „ludowej” opowiedział m. in. o dramatycznych starciach na ulicach Wrocławia, w czasie których w pojazdy ZOMO ciskał butelkami z płynem zapalającym. Ku mojemu bezbrzeżnemu zdumieniu po tej wypowiedzi odezwały się głosy, wg których fakty takie nie miały miejsca a tym bardziej nie mogli mieć z nimi nic wspólnego ludzie w wieku tak młodym, w jakim wówczas był premier. Oczywiście wiedziałem, że od 1989 roku większość rządów, ministrów oświaty i mediów poczyniły ogromne wysiłki, by wiedzę o polskiej historii upośledzić, obraz PRL-u zrehabilitować, by na bohaterów wykreować i na cokołach poustawiać nawet ewidentnych popleczników komunistycznego reżimu. Po symfonii bredni, jakimi zareagowano na wspomnienia, dla każdego uczestnika tych wydarzeń jak najbardziej naturalne i oczywiste, zrozumiałem jednak, że nie doceniałem osiągnięć Trzeciej RP w tumanieniu Polaków. Nie doceniłem też skali socjologicznego chaosu, w którym żyjemy. Okazało się bowiem, że w roli ekspertów czy badaczy występować potrafią postaci o przedmiocie swej specjalności nie wiedzące literalnie nic. Jest to tym bardziej zdumiewające, że ludzie ci w latach osiemdziesiątych byli już w wieku, pozwalającym na świadome obserwowanie rzeczywistości. Rozumiem, że nie każdy uczestniczył wtedy w demonstracjach. Trudno zresztą, żeby uczestniczył w nich ktoś, kto wówczas był członkiem popierającego reżim Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej, powszechnie postrzeganego jako „przedszkole partii komunistycznej”. Z jakiej jednak przyczyny dzisiaj tacy ludzie uważają

się za znawców tematu? Jeśli też nawet wtedy byli koniunkturalistami, planującymi karierę w aparacie władzy, lub po prostu w tych burzliwych czasach siedzieli jak myszy pod miotłą, to dlaczego nie znają dostępnych bez trudu dokumentów, relacji, materiałów filmowych czy fotograficznych?

TE WSPOMNIENIA WCIĄŻ ŻYJĄ

We mnie tych parę wspomnieniowych zdań Mateusza Morawieckiego obudziło obrazy wydarzeń lat osiemdziesiątych. 31 sierpnia 1982 po podwórkach i trawnikach wokół ulicy Legnickiej, z rykiem silnika pędził wielki transporter opancerzony BTR. Wpadał w tłum demonstrantów, wykonywał gwałtowne zakręty, na jezdni rozpędzał się do zdumiewająco wielkiej, zapewne maksymalnej prędkości. Dziesiątki ludzi wyskakiwały spod jego kół dosłownie w ostatniej sekundzie. „On zaraz kogoś zabije!” – takie głosy słychać było zewsząd. W BTR-a leciały kamienie, które jednak niewiele mogły mu zrobić. Kiedy pędził koło kamienic przy ul. Dobrej – poleciały w jego kierunku pierwsze butelki z benzyną. Rzucający nie docenili chyba prędkości, jaką rozwinął – pędzący transporter jakby umknął przed butelkami, które roztrzaskały się na bruku i zapłonęła kamienna jezdnia. Minutę później BTR popędził przez podwórka między trzema dziesięciopiętrowymi blokami. Minęło kilkanaście sekund, gdy wykonywał gwałtowny manewr, skręcając przy bloku znajdującym się najbliżej ulicy Legnickiej. Za rosnącym tam krzakiem może piętnastoletni chłopak właśnie podpałał szmatkę, zatykającą wielką butelkę. Parę sekund później cisnął ją w kierunku pędzącego BTR-a. Rozbiła się tuż za okienkami pojazdu. Płomienie ogarnęły bok i przednią jego część. Pancerny samochód gwałtownie zahamował. Wydarzeniu temu towarzyszył głośny krzyk z kilkuset garded ludzi, będących świadkami tego wydarzenia. Okrzyk ten zamarł, gdy otwartą się drzwi stojącego już pancernego samochodu. Z jego wnętrza wychyliły się lufy karabinków KBK – AK. Wokół trwała kanonada wystrzałów z wyrzutni granatów z gazem. Dźwięk, który dał się słyszeć teraz, był inny. Tuż nad głowami demonstrantów powietrze rozdzierało coś metalicznego. Były to wystrzały, prowadzone równocześnie z dwóch kałasznikowów, do których sięgnęła załoga BTR-a. Jeden strzelał seriami, drugi jednym ciągiem „wywalił” chyba cały magazynek. Niektórzy ze zgromadzonych, widząc co się dzieje, padli na ziemię. Większość schroniła się za ściany bloku. W tym samym czasie z ulicy Inowrocławskiej w stronę unieruchomionego BTR-a wyjeżdżała długa kolumna pojazdów z kolejnymi oddziałami ZOMO. Tłum demonstrantów przemieszczał się w stronę ulicy Trzemeskiej, gdzie pojawił się kolejny pojazd pancerny,

tym razem BRDM. Przy restauracji, znajdującej się na końcu długiego pawilonu, doszło do kolejnego dramatycznego wydarzenia. Ramię młodego człowieka, sposobiącego się do rzutu butelką z benzyną, nagle objęły płomienie. Działo się to niemal na stercie ziemi, z wykonanych w tym miejscu wykopów. Przez biegnących tuż obok demonstrantów chłopak został błyskawicznie przewrócony i płonące części ciała zostały zasypane ziemią. Kilka sekund później biegł dalej wraz z tłumem, który w okolicach hoteli robotniczych przy ulicy Trzemeskiej znów zgęstniał i przybrał na liczebności.

Kiedy opisuję te wydarzenia, pomimo upływu 38 lat, stoją one przed moimi oczami tak wyraziście, jakby rozegrały się przed chwilą. Stanowią część wielu wrytych w pamięć wydarzeń stanu wojennego. To, o czym opowiadał Mateusz Morawiecki, było czymś najściślej odpowiadającym realiom tamtych dni. Butelki z benzyną zarówno na Legnickiej, jak i na wielu innych wrocławskich ulicach, w kierunku pojazdów ZOMO rzucało wtedy bardzo wielu ludzi w wieku nastu lat. Pojazdy komunistycznego aparatu terroru płonęły na Grabiszyńskiej, na Pereca, na Tęczowej, na Placu Grunwaldzkim i w wielu innych miejscach. Sporządzane przez reżim i dostępne dziś w IPN raporty mówią wyraźnie, że uczestnikami tych wydarzeń w wielkiej mierze byli ludzie bardzo młodzi, często czternastoletni. Wmawianie dziś Polakom, że tego wszystkiego nie było, jest czymś po prostu głęboko nikczemnym. Mentorskie ex cathedra kwestionowanie czyichś wstrząsających doświadczeń, stanowiących doznanie dojmujące i wciąż żywe a zarazem będące okrucieństwem narodowego polskiego doświadczenia – to duża nieodpowiedzialność i niemata podłość.

Obywatelska, grudzień 2020



W CIENIU FAŁSZYWYCH HEROSÓW

Przez całe dziesięciolecia karmiono Polaków opowieściami o fikcyjnych bohaterach walki z komunistycznym reżimem. Dopiero ostatnio dowiadujemy się, że tacy „ludzie podziemia” jak Michał Boni, mogli wtedy spać spokojnie, gdyż byli tajnymi współpracownikami SB. „Naczelnicy eksperci” od spraw lustracji, w rodzaju Lesława Maleszki, walcząc z lustracją walczyli w swojej sprawie, gdyż siepacze komunistycznego reżimu nigdy nie mieli narzędzi lepszych od takich właśnie „autorytetów prasy głównego nurtu”. Z wielką goryczą przyjęliśmy też niedawno wiadomość, że Oficyna Rytm – najszczościej w III RP subsydiowane wydawnictwo o podziemnym rodowodzie, zostało założone przez SB i do dzisiaj kieruje nim oficer SB o podwójnej tożsamości. Wiedzieć jednak trzeba koniecznie, że było też inne podziemie. Znacznie większe a nigdy przez służby reżimu nie zinfiltrowane.

Trzonem Solidarności Walczącej byli wybitni naukowcy jednej z najlepszych politechnik. Dla celów konspiracji wykorzystywali komory niskich ciśnień i laboratoria z materiałami rozszczepialnymi. Rzeczywistego promieniowania w nich nie było, ale szalejąca po uczelni SB bała się wejść do skrywających podziemną aparaturę pomieszczeń, nad którymi świeciły się ostrzeżenia „Nie wchodzić! Radioaktywność!” Elektronicy z Solidarności Walczącej potrafili zbudować system łączności, wykorzystujący nieczynnego telekomunikacyjnego satelitę Ziemi. W dniu wielotysięcznych demonstracji paraliżowali system łączności ZOMO, włączając skonstruowane w tym celu radio – zagłuszaraki. Doprowadzili do tego, że SB musiała szyfrować własne rozmowy, gdyż znajdowała się na permanentnym podsłuchu podziemnego kontrwywiadu. W dolnośląskiej bezpiece wywołała zamieszanie tak wielkie, że sam Kiszczak podjął decyzję o masowych zwolnieniach funkcjonariuszy SB, podejrzanych o współpracę z opozycją. Przy czym rzeczywiści współpracownicy z pracy zwolnieni nie zostali, w przeciwieństwie do dziesiątek wyrzuconych na bruk, wiernych

siepaczy reżimu. Innym osiągnięciem było skierowanie ataku ZOMO nie na demonstrantów Solidarności, lecz na grupę aktywistów PZPR.

To wszystko działo się naprawdę. Dlaczego tak mało ludzi o tym wie? Otóż – właśnie dlatego, że to Solidarność Walcząca w podziemnej walce z komunizmem w latach osiemdziesiątych osiągnęła zdecydowanie najwięcej. Nikt z członków okrągłostołowych „elit” nie ma w swoim życiorysie porównywalnego dorobku. Ludzi, którzy tak bardzo dali się Jaruzelskiemu we znaki, nie było w gazecie, którą w 1989 roku reżim pozwolił wydawać jednemu z nurtów opozycji. Ani w żadnym ze środków masowego przekazu, którymi podzielono się w ramach „kontraktu stulecia”, co dało możliwość wymazywania pamięci o niej, marginalizowania i zawłaszczania jej dorobku. A to właśnie Solidarność Walcząca najbardziej przybliżyła Polskę do wolności. To ona okazała się najbardziej odporna na działania PRL-owskich i sowieckich służb specjalnych. To ona stała się więc największym wyrzutem sumienia politycznych, medialnych czy ekonomicznych beneficjentów przełomu lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych.

SPOTKANIE Z FRASYNIUKIEM 1986

11 września 1986 organy komunistycznej propagandy podały zaskakującą informację o decyzji ministra spraw wewnętrznych gen. Czesława Kiszczaka w sprawie uwolnienia więźniów politycznych.

Wiadomość oczywiście była radosna. Zdumiewające jednak było to, że komunistyczny reżim wprost informował, że o tej amnestii nie zdecydował żaden konstytucyjnie powołany organ, lecz „pierwszy milicjant PRL-u”, szef organów ścigania. O tym, kto siedzi w więzieniu a kto nie w każdym normalnym kraju decydować może wymiar sprawiedliwości, parlament czy prezydent (w przypadku PRL – u Rada Państwa i jej przewodniczący). Dla wszystkich było oczywiście jasne, że wszystkie te konstytucje, sejmy, rady państwa w komunistycznej Polsce były całkowitą fikcją. Rządziły sowieckie marionetki z Biura Politycznego KC PZPR i to im podlegało absolutnie wszystko. Z sowieckiego nadania naszym krajem rządził Jaruzelski z Kiszczakiem i resztą tej bez reszty sprzedanej Moskwie kamaryli. Dotąd jednak zawsze dbali oni o pozory. O pozory istnienia prawa, konstytucji, parlamentu czy niezawisłego sądownictwa. Dlaczego więc nagle ci komunistyczni dyktatorzy tak całkowicie otwarcie stwierdzili, że „tak, te wszystkie sądy i parlamenty to pic na wodę, to my tu totalnie wszystkim rządymy i to my właśnie amnestię ogłaszamy!” W kilkuosobowym gronie zastanawialiśmy się, co to może znaczyć. Ktoś zażartował, że „może przestali udawać, bo i tak wszyscy wiedzą, jak jest”. Po niespełna dwóch latach najbardziej trafne okazało się inne przypuszczenie. Takie, że reżim starał się zmienić wizerunek Kiszczaka. Upiorny bolszewik, powszechnie kojarzący się ze strzelaniem do uczestników strajków i demonstrantów, ze skrytobójczymi mordami, z SB i ZOMO miałby zacząć się kojarzyć także z... wypuszczaniem ludzi na wolność. Próbowaliśmy dociec, o co chodzi i czy czegoś to nie zapowiada. Równocześnie czekaliśmy na wyjście z więzienia tych, którzy z decyzji Kiszczaka mieli skorzystać. Liczyliśmy na to, że czegoś dowiemy się od nich.

Z kolejnych komunikatów propagandy dowiedzieliśmy się, że na wolność wyjść ma 225 więźniów politycznych. Oczywiście nazywano ich nie „politycznymi”, ale swoją bolszewicką nowomową, czyli „skazanych z paragrafów dotyczących naruszania porządku publicznego i podstawy ustrojowych...”. Ta-

kim właśnie, ciągniętym przez kilka linijek, sowieckim pierdu – pierdu propaganda dowodziła, że nie są to oczywiście żadni więźniowie polityczni czy więźniowie sumienia, bo takich przecież w ludowej Polsce nie ma i nigdy nie było. Zwracała uwagę liczba, która od razu wydawała się nam zbyt mała. Dopiero po wielu tygodniach dowiedzieliśmy się, że rzeczywiście – wszystkich nie wypuszczono. Za kratami pozostali m.in. Józef Szaniawski i Adam Hodysz. Była to więc amnestia – selektywna. Z jakichś przyczyn jednych wypuszczano a innych – nie. Zanim jednak o tym się dowiedzieliśmy pojawiła się okazja spotkania z jednym z uwolnionych. Był nim Władysław Frasyniuk.

Spotkanie oczywiście miało mieć charakter konspiracyjny. Wszyscy jednak zakładaliśmy, że Frasyniuk będzie się znajdował pod ścisłą obserwacją SB. „Urwanie esbeckiego ogona” było możliwe, ale trudno było go być pewnym. Dla każdego, kto na to spotkanie zamierzał przyjść było jasne, że może się ono skończyć wpadnięciem bezpieki i zamknięciem wszystkich uczestników przynajmniej na 48 godzin. W sytuacji takiej przymknąć by też jednak musieli samego Frasyniuka, co byłoby dość bezsensowne. Jak ktoś to ujął „po co by go wypuszczali, jeśli zaraz znowu mieliby go zamykać?” Za ryzyko bardziej prawdopodobne uznaliśmy więc, że SB raczej ograniczy się do obserwacji i ustalania listy uczestników spotkania. No i że należy się liczyć z tym, że po jego zakończeniu na jego uczestników, pojedynczo czy małymi grupkami idących ulicą, napaść mogą „nieznani sprawcy”. To był taki standard tamtych czasów, który wówczas należało brać pod uwagę. Taki, że jak uczestniczyłeś w jakimś tego rodzaju zebraniu to po jego zakończeniu nagle kilku osiłków porządnie obijało ci mordę. Ścisłej rzecz biorąc – kolesie tacy nie poprzestawali na buzi, masakrowanie powalonego było zwykle dość kompletne. Krótco przed planowanym spotkaniem z Frasyniukiem coś takiego spotkało Piotrka Buzara, który na spotkaniu w Duszpasterstwie Akademickim „Dominik” zaproponował tworzenie na Uniwersytecie jawnych struktur Niezależnego Zrzeszenia Studentów. Zaraz po tym spotkaniu, na pustawym wieczorową porą skwerku na rogu Oławskiej i św. Wita dopadło Piotrka kilku bydlaków. Zadając ciosy a następnie kopiąc leżącego nie pozostawiali wątpliwości, kim są i z czym tę napaść należy wiązać. Groźne urazy, m.in. odbicie nerek sprawiły, że do zdolności w miarę normalnego chodzenia Piotr powrócił dopiero po ponad miesiącu. Podobnych przypadków było w tamtych latach wiele i czasem kończyły się jeszcze gorzej. Planując przyście na spotkanie z Frasyniukiem trzeba było założyć, że może się ono wiązać także z takim właśnie ryzykiem.

Chyba od początku było jasne, że z Frasyniukiem spotkamy się w akademiku „Wagant”, przy ul. Krętej, w pokoju Piotrka Pawełczyka i Andrzeja Szachnowskiego (chyba jeszcze ze dwóch studentów mieszkało wraz z nimi, ale te osoby się zmieniały i dziś już nie mam pewności, kto to był). Kto był głównym organizatorem spotkania? Wszystko wskazywało na to, że był nim szeroko na wydziale znany kolporter wydawnictw drugiego obiegu, przynajmniej w kręgach nabywców nielegalnych książek słynący z bywania u Józefa Piniora i ogólnie – licznych bliskich relacji z najgłośniejszymi postaciami jawnej opozycji. Jedną z jego ksywek brzmiała „Apacz” i do niej się ograniczmy. W 1988 gruchnęła bowiem wieść, że jest on agentem SB a z do tej pory odnalezionych dokumentów IPN wynika, że miał dwa kryptonimy i że jego oficerem prowadzącym był kapitan Krymuza z Inspektoratu II MSW. Wczesną jesienią 1986 nikt jednak o współpracy „Apacza” z bezpieczeńką nie wiedział, zapewne pojęcia o tym nie miał także Władysław Frasyniuk.

O umówionej porze pokój Piotrka i Andrzeja szczelnie wypełniło dwudziestu paru studentów. Byli wśród nich działacze Solidarności Walczącej, m. in. Gieniu Dedeszko – Wierciński i sporo ludzi, których sympatyzowanie z podziemiem było mi znane, ale nigdy nic konkretnego nie wiedziałem o ich działalności. Byli Julek Cichoń i Darek Derda z polonistyki, w różny sposób wspierająca konspirację Renata Zimny i sporo innych znanych mi osób. Frasyniuk przyszedł w towarzystwie „Apacza”, działacza Solidarności z Zielonej Góry, którego nazwiska nie pamiętam oraz Darka Olszewskiego. Darek, mistrz wschodnich sztuk walki, był oczywiście z Solidarności Walczącej, w której pełnił m.in. rolę osobistego ochroniarza Kornela Morawieckiego. Kiedy zobaczyłem, że Frasyniukowi towarzyszy Darek od razu pomyślałem, że to Kornel wydelegował Darka do tego, by zatroszczył się o bezpieczeństwo Frasyniuka.

Spotkanie zaczęło się od kilku zdań „Apacza”, który stwierdził m.in.: „Od paru dni wiem, że tak jak ja Władek też jeździ tramwajami nie kasując biletów. Wspólne praktykowanie tej samej zasady bardzo cementuje naszą przyjaźń”. Słowa takie oczywiście musiały budować pozycję „Apacza” wśród ludzi sympatyzujących z opozycją. Gość z Zielonej Góry nie powiedział wiele ponad to, że jego miasto powinno się nazywać „Czerwona Góra”, bo nic się w nim nie dzieje. W wypowiedziach Frasyniuka najpierw zapanowały dwa wątki. Pierwszym była wizja przyszłego historycznego przełomu, którym miał być „nowy Sierpień”. Chyba wszystkich zaskoczyło stwierdzenie, że „tym razem nie będą jednak strajkować wszystkie zakłady, lecz tylko wybrane”. Na pytanie, które

zadał Julek Cichoń, dlaczego „przyszły Sierpień” miałby tak wyglądać Frasyniuk odpowiedział w sposób dla nas nieprzekonujący. Mówił bowiem, że „załogi strajkujące byłyby wspomagane przez niestrajkujące” oraz że „ludzie nie zamknięci w zakładach będą potrzebni do odciągania tych wstrętnych zomowców”. Na powtórne pytanie o to, dlaczego tak to właśnie ma wyglądać usłyszeliśmy ucinającą temat odpowiedź: „No tak to sobie wyobrażam”. Padło pytanie, czy zna okoliczności lub przyczyny w tak dziwny sposób przeprowadzonej, nagłej „Kiszczakowej amnestii”. Usłyszeliśmy, że też był nią zaskoczony. No i oczywistość taką, że polityczni więźniowie są politycznym problemem dla władz starających się mieć jakieś niezbędne dla nich relacje z Zachodem.

Władysław Frasyniuk ożywił się po tym, jak siedzący obok niego Darek Olszewski zaproponował: „Opowiedz im, jak w więzieniu było, bo oni się martwili o ciebie”. Podziało to jak rozprucie worka z anegdotami. Przez dłuższy czas słuchaliśmy opowieści o tym, jak stawiać opór w „trzymance”, czyli prowadzeniu więźnia przez czterech strażników. Jednym z wariantów miało być balansowanie środkiem ciężkości własnego ciała, co miało powodować, że pary strażników znajdujące się po każdej stronie same zaczynają się zmagać ze sobą. Dowiedzieliśmy się też o piorunującej roli podziemnych gazetek, publikujących informacje o traktowaniu więźniów politycznych z wymienianiem imion i nazwisk agresywnych strażników. Temat ten był mi wtedy od dawna znany. Chodziło o to, że politycznych komunistów zamykali bardzo często w odległych, prowincjonalnych zakładach karnych. Takich zlokalizowanych w dalekich małych miasteczkach, do których prawie nie docierała podziemna prasa. Solidarność Walcząca zdobywała informacje o więźniach siedzących w zakładach karnych na głuchej prowincji i ustalała dane osobowe ich prześladowców. Po wydrukowaniu w swojej prasie setki gazetek, zawierających takie informacje, wysyłane były na adresy mieszkańców danej miejscowości. W takiej pipidówce wszyscy się znali i pojawienie się w niej gazetek, w których z imienia i nazwiska wymieniano kogoś wszystkim znanego informując, że znęca się on nad jakimś konkretnym więźniem sumienia – działało w lokalnej społeczności piorunująco. Frasyniuk opowiadał o takim dniu, w którym wszyscy strażnicy nagle wyglądali tak, jakby spadły na nich gromy z jasnego nieba. Jeden zaczął nawet przeproszać, zapewniać „że on już nigdy więcej” i prosił, by „tym, co to piszą jakoś przekazać”. Miło było słyszeć, że te informacyjno-wysyłkowe akcje Solidarności Walczącej tak korzystnie poprawiają warunki uwięzienia ludzi, którzy z powodów politycznych trafiali za kraty. Chronienie aktyw-

nych przeciwników bolszewizmu i osłabianie represyjnych zdolności reżimu – to były ważne i zdecydowane realizowane cele organizacji Kornela Morawieckiego.

Tematem, który wszystkich nas zdumiał i o którym mowa była chyba przez połowę spotkania, była Rada Konsultacyjna przy Przewodniczącym Rady Państwa. W oficjalnych mediach mówiło się o tym, ale nikt nie przywiązywał do tego większej wagi. Zaskoczyło więc nas to, że Frasyniuk wiąże z tym krokiem jakieś nadzieje. Najwięcej wątpliwości w tej sprawie artykułował Julek Cichoń. Frasyniuk odpowiadał, że w celu doprowadzenia w Polsce do rzeczywistych zmian należy wykorzystywać wszystkie pojawiające się możliwości. Na obawy o ryzyka, związane z takim posunięciem, kilka razy Frasyniuk powtórzył, że „w najgorszym razie taka rada konsultacyjna będzie mogła z hukiem się rozwiązać”. Powtórzył to jeszcze raz, gdy ktoś zauważył, że takie pomieszanie dobra ze złem wygenerować może totalną społeczną dezorientację, moralny chaos, że odczytane być może za przechodzenie na stronę komunistycznego reżimu.

Spotkanie kończyło się w atmosferze zdziwienia, zaskoczenia i generalnie – rozczarowania. Czegoś tam się dowiedzieliśmy, ale nie była to wiedza optymistyczna. Jeden z najgłośniejszych ludzi opozycji, lider dolnośląskiej Solidarności rozsnął przed nami wizje nie tylko mgliste, ale głęboko zaniepokoił perspektywą wykonania przez część opozycji kroków w kierunku wyglądającym na jakąś degrengoladę. Długo siedzieliśmy w nastroju jakby zdezorientowania i zasmucenia. Gieniu Dedeszko-Wierciński kręcąc głową powiedział: „Przecież to będzie uwiarygadnianie Jaruzelskiego”. Piotrek Pawełczyk wyraził obawę, że „Może właśnie o to tym od Jaruzela chodzi, by ostatecznie skompromitować opozycję?” Przez dobre pół godziny wymienialiśmy ze sobą opinie, głównie mające charakter zdań pytających. Nie znajduwaliśmy na nie odpowiedzi. Po ich postawieniu zapadały długie chwile ciszy. Jedną z tych długich chwil milczenia przerwał Julek Cichoń mówiąc: „W wyniku dziwnej amnestii na wolność wyszedł i dziwne rzeczy mówi...” I to była chyba naczelną konkluzją tamtego wieczoru.

Szczęśliwie na nikogo z nas po tym spotkaniu nikt nie napadł. O przygotowaniach do powołania Rady Konsultacyjnej w następnych tygodniach często informowały oficjalne środki masowego przekazu. Formalnie Rada Konsultacyjna przy Przewodniczącym Rady Państwa, którym wtedy był gen. Wojciech Jaruzelski, powołana do życia została 6 grudnia 1986. Obok siedemnastu

członków PZPR, w większości świetnie znanych jako skrajny komunistyczny beton, w organie tym znalazło się kilkoro działaczy „siostrzanych stronnictw” – ZSL-u i SD oraz trzydziestu sześciu bezpartyjnych. Dwunastu spośród nich należało do organizacji katolickich. O części z nich od zawsze mówiło się „funkcjonariusz skierowany na odcinek Kościoła”. W Radzie znaleźli się też m.in. Maciej Giertych, Kazimierz Dejmek, Marek Kotański, Jan Kułaj (pierwszy przewodniczący NSZZ Solidarność Rolników Indywidualnych, który po wprowadzeniu stanu wojennego złożył samokrytykę na antenie reżimowej TV), pisarze Jan Meysztowicz i Wiesław Myśliwski. Był wśród nich także znany potem minister z rządu Mazowieckiego, ogromnie „zasłużony” jako TW SB Krzysztof Skubiszewski.

Temat Rady Konsultacyjnej przy Jaruzelu nie ma więc już związku z czymkolwiek, co można by kojarzyć z tematem tego cyklu, czyli z dążeniami niepodległościowymi. Co jakiś czas spotykam jednak ludzi, z którymi uczestniczyłem w wyżej opisanym wydarzeniu z 1986 roku. Wszystkim nam wryło się ono w pamięć jako znak czegoś dziwnego. Zupełnie jednak wtedy nie wiedzieliśmy – czego. Skądinąd rok 1986 coraz bardziej jawi się dzisiaj jako początek różnych zaskakujących zjawisk i tendencji.

„WYRÓŻNIENIE” OD LECHA WAŁĘSY

Gdynia, jesień 1988. W chyba czwartym z kolei mieszkaniu, stanowiącym mój kurierski punkt docelowy, pakuję do plecaka czekające na mnie paczki, które mam zawieźć do Wrocławia. Najwięcej jest chyba tych zawierających ulotki w sprawie ciągle uwięzionego Romka Zwiercana a także fotograficznych „cegiełek”, związanych z tym samym znów represjonowanym działaczem podziemia. Z innej wyjmuję broszurkę zatytułowaną „Kanty okrągłego stołu” autorstwa Kornela Morawieckiego. Gospodyni tego miejsca krząta się w kuchni a ja mam tu poczekać na spotkanie z Edkiem Frankiewiczem, więc zanurzam się w lekturze. Szybko dochodzę do wniosku, że tekst jest świetną analizą tego, z czym właśnie w kraju mamy do czynienia. Sprawdzam, ile dano mi tego do przewiezienia i dochodzę do wniosku, że stanowczo za mało. Innych gazetek mnóstwo a ilość tego wręcz symboliczna! A rodzi mi się w głowie pewien pomysł. Dzielę się nim z Edkiem, który zjawia się właśnie wtedy, kiedy kończę czytać:

– Potrzebuję paru tysięcy takich broszurek!

Edek robi zmartwioną minę:

– Tyle nie dam rady. A na pewno nie dziś.

– To daj mi diapy tego tekstu. Wydrukuję sobie we Wrocławiu!

Tym razem mina Edka wyraża zdziwienie:

– Przecież to ty sam nam przywiozłeś te diapy tydzień temu!

Rozumiem więc, dlaczego tego dali mi najmniej. Pojęcia nie miałem, że sam wiozłem im diapozytywy z tym tekstem. W czym zresztą nie było nic dziwnego, bo zawartość części pakunków, którymi wypełniano mi plecak, zwykle nie była mi znana. Tymczasem Edek drapie się w głowę i mówi:

– Gdybyś został do jutra to byśmy ci tego wydrukowali, ale tak na dzisiaj to ja nawet tych diap stamtąd nie sprowadzę...

Niestety, ale do Wrocławia muszę wracać tego samego dnia. Następnie spotykam się z Mackiem Dziubańskim, z którym dzielę się pomysłem, jaki mi przyszedł do głowy w związku z doskonałym tekstem przewodniczącego Solidarności Walczącej:

– Za kilka dni będzie we Wrocławiu Wałęsa. Pierwszy raz od 1981 roku, więc to na pewno będzie głośne wydarzenie z masą ludzi. Chyba będzie opowiadał o tym, jak mu się fajnie dogaduje z Kiszczakami. Wydrukujemy kilka tysięcy egzemplarzy tych broszurek i zanieśmy na to spotkanie!

Maciek kiwa głową:

– Czyli trzeba znaleźć u nas te diapy...

Po paru dniach Maciek wręcza mi komplet przezroczystych błonapełnionych czarnym drukiem. Jestem zawalony różną inną robotą, ale dogaduję się z Andrzejem Sztylerem, którego mieszkanie na Popowicach służy nam za miejsce druku, że noc poprzedzającą przyjazd Wałęsy poświęcimy właśnie na powielanie „Kantów okrągłego stołu”. Wszystko idzie zgodnie z przyjętym planem. Pracę przy sicie kończymy koło ósmej rano. Paczki ledwie mieszczą mi się w plecaku. Tramwajem dojeżdżam do Świdnickiej i ruszam w stronę Uniwersytetu. To w jego gmachu głównym, w Sali Balcera, jednej z największych, jakimi dysponuje uczelnia, za niecałą godzinę ma się zacząć spotkanie z Wałęsą. Idę więc w kierunku Placu Uniwersyteckiego i już na początki Kuźniczkiej widzę, że w tą samą stronę ciągną tłumy jeszcze większe od tych, których się spodziewałem. Spotykam Krzyśka, znajomego z Akcji Studenckiej Solidarności Walczącej, który o organizacji tego wydarzenia wie więcej, niż ja:

– Dostaliśmy wejściówki, ale nie do tej sali, w której będzie Wałęsa! Do Balcera wejść ma przede wszystkim profesura. Reszta ma śledzić wydarzenie na ekranach telewizorów, umieszczonych w innych salach!

Sprawdzam, jaką mam wejściówkę. Tak, jak myślałem – do Sali Balcera, na bezpośrednie spotkanie z Wałęsą. Czyli Grzesiek Schetyński dał mi tę, którą powinien. Szybko szacuję, ile tych broszurek mam w plecaku. Dochodzę do wniosku, że na pewno wystarczy, na chwilę więc wchodzę z Krzyśkiem do bramy, w której wyjmuję z plecaka dwie paczki broszurek.

– Przydasz się tam, gdzie będziesz. Rozdaj ludziom w tej sali, do której trafisz.

Plac Uniwersytecki wypełnia tłum złożony z przynajmniej kilkuset osób. Obok długa kolejka ludzi z kartonikowymi zaproszeniami, uprawniającymi

do wejścia do gmachu. Część dopiero w tej chwili dowiaduje się, że Wałęsę zobaczy tylko na ekranie telewizorka a nie „na własne oczy”. No i ta część wyraża rozczarowanie, ale kieruje się tam, gdzie pozwala im się dostać posiadana przez nich wejściówka. Ja docieram do dużej grupy powoli wchodzących do Sali Balcera. Wejściówki a czasem także bagaże sprawdzają znajomi z NZS – u. Kiedy wchodzę mówimy sobie „cześć”, ale natychmiast słyszę też niemal krzyk:

– Plecak! Co jest w plecaku? Sprawdzić plecak!

Stary znajomy z NZS-u, z którym po zatrzymaniu w ramach tej samej akcji razem spędziłem kiedyś noc na SB, ale którego nazwiska może teraz nie wymienię, mówi do mnie spokojnie, ale stanowczo:

– Artur, pokaż co masz w plecaku.

Jestem już za progiem Sali Balcera. Zdejmuję plecak i szeroko otwieram:

– Broszurki. Solidarności Walczącej.

W ostatnich miesiącach z podobnymi reakcjami spotkałem się już wiele razy, bo o Solidarności Walczącej wielu teraz mówi i pisze rzeczy okropne. Obraz tego, jak zareagował stary znajomy z NZS – u, pozostanie mi jednak w pamięci na długo, bo jest pełen wyjątkowej ekspresji. Na dźwięk słów „Solidarność Walcząca” jego twarz wykrzywiła się w wyrazie najszczerzego obrzydzenia. Równocześnie dosłownie odskakuje ode mnie, jakby nie chciał się znajdować w pobliżu czegoś takiego jak to, co przyniosłem. I to samo wyrażają jego ręce, które odruchowo ułożyły się w geście wręcz krzyczącym: „Nie zbliżaj się z tym do mnie!” Nie pierwszy raz spotkam się z takim zachowaniem. Po raz kolejny przebiega mi przez głowę myśl w rodzaju „no to fajną nową Polskę zaczynamy budować”. Równocześnie jestem już w tłumie ludzi szczelnie wypełniających salę. Wszystkie ławki nabite są ludźmi starszej daty, przede wszystkim profesorami. Rozglądam się za jakimiś bardziej przyjaznymi znajomymi, ale studenci są tu nieliczni. Wyjmuję więc paczki broszurek i zaczynam rozdawać sam. Od razu w moim kierunku wyskakują dziennikarze z czegoś, co nazwać by chyba należało budkami reporterskimi. Wypełniają one całą tylną ścianę Sali Balcera. Chyba polega to na tym, że akredytacje przydzielono na konkretne metry kwadratowe. I to w nich roi się od kamer, mikrofonów i dziennikarzy. Dają im broszurki, za które oni grzecznie dziękują i ruszam w przejście między ławkami. Kolportaż idzie perfekcyjnie. W każdym rzędzie ludzie przekazują sobie z rąk do rąk. Dosłownie w ciągu paru minut mają je wszyscy zajmujący miejsca siedzące. Nieco bawi mnie myśl, że „nie wiedzą, co biorą”. Bo gdyby wiedzieli to wielu zareagowałoby zapewne podobnie do znajomego, który

na widok naszych wydawnictw odskoczył jak oparzony. Resztę zawartości plecaka rozdaje wśród stojących. Spotykam wśród nich Jaska Protasiewicza, Gienia Dedeszko-Wiercińskiego i doktora Ireneusza Guszpita, u którego piszę pracę magisterską. W dość gęstym tłumie stoję między Jackiem a Irkiem może pięć metrów przed stołem prezydialnym, za którym za chwilę ma się pojawić Wałęsa. Ustawienie to jest dość dziwne – pod oknami w rogu sali a nie pośrodku. Ci więc, którzy siedzą w ławkach, muszą głowy wykręcać nieco w bok.

Pojawia się orszak, w którym najniższy wzrostem jest Wałęsa. Za nim Ludwik Turko i Grzesiek Schetyna. Reakcją jest huragan braw, owacja na stojąco. Głos zabiera Ludwik Turko, reprezentujący uczelnianą Solidarność. Mówi, że wita laureata Nagrody Nobla w murach uczelni, która w swej historii noblistów wychowała i zatrudniała już jedenastu. Trochę takim stwierdzeniem jestem zdziwiony, bo wśród tych noblistów tej uczelni z niemieckich jej czasów byli też wielkiego kalibru nazistowscy zbrodniarze a Fritz Haber zastąpił głównie jako twórca iperytu, reagujący euforią na widok masowej śmierci, jaką przyniósł jego wynalazek oraz gazu cyklon B, którym potem zabito jakże wielu jego pobratymców, włącznie z członkami jego własnej rodziny. Wałęsa słysząc, że mury te znają aż taką gromadę noblistów, reaguje z trudem powstrzymanym wzburzeniem. No tak – im więcej laureatów Nobla tym mniej znaczy ten, który ją posiada. Turko jednak szybko kończy i zamiast profesorowi obrywa się Schetynie. Bo to Grzesiek teraz mówi, na co Wałęsa reaguje niemal od razu:

– No koniec już... Kończ wreszcie, to nie ciebie ludzie tu przyszli słuchać... – słowa Wałęsy są na tyle głośne, że słyszeć je musi przynajmniej część sali. Grzesiek ma jednak przewagę, bo trzyma mikrofon. Słowa składa powoli, co Wałęsę coraz bardziej irytuje. Ręce wrywają mu się w kierunku mikrofonu, który jakby zamierzał Grześkowi wyrwać. W tym momencie rzuca się w oczy to, że Wałęsa ma na tych rękach złotą biżuterię w postaci sygnetu i bransoletki. W końcu dorywa się do mikrofonu i zaczyna gadać. Słucham tego potoku słów i szukam w nich sensu. Dowiaduję się, że „władze nagle się dla Solidarności tak otworzyły, jak nikt w Solidarności nigdy się nie spodziewał”. Po-tem, że z komunistyczną propagandą teraz już sobie poradzimy, bo „nawet jak by nam telewizję odcięli to se kupimy sputnika i z niego będziemy nadawać”. Każdy tego rodzaju „bon mot” wywołuje entuzjazm zebranych. Najgorszy dla mnie moment przeżywam wtedy, gdy w kolejnym wątku swego przemówienia Wałęsa wykrzykuje: „A gdybym chciał to bym mógł te komune rozpirzyć!” Tym razem eksplozja radości jest tak huraganowa, że odruchowo odwracam

głową w kierunku epicentrum tego entuzjazmu. Ten obraz, w całej swojej jasności, pozostanie w mojej pamięci przez wszystkie następne dziesięciolecia. Po trzydziestu dwóch latach widzę go tak, jakbym go widział właśnie w tej chwili. W samym środku nieprzytomnie bijących brawo widzę roześmiane i zarazem pełne uwielbienia twarze paru moich profesorów (płci obojga). Twarze ludzi, których od lat niezmiernie ceniłem, szanowałem, podziwiałem. Hysterycznym entuzjazmem nagradzają – bezdennie głupie kocopały. Chyba nigdy wcześniej i nigdy później nie zdarzyło mi się przeżyć tak przerażającego niepokoju o kierunek, który obiera mój kraj. Wydobywamy się z komunizmu. Ale czy idziemy ku czemukolwiek lepszemu? I jak to możliwe, że prymityw wyrzucający z siebie nieskładne brednie uwieść może tak wielkie umysły? A zarazem ludzi tak wielkiej kultury! Trzydzieści dwa lata po tym zdarzeniu niezmiernie stwierdzam, że moment ten należy do najbardziej wstrząsających w całym moim życiu.

Tymczasem Wałęsa kończy wzywając do czegoś w rodzaju głosowania. Prosi bowiem, by wszyscy, którzy opowiadają się za tym, co tu wygłosił, podnieśli ręce do góry. Ku wyraźnemu zadowoleniu Wałęsy błyskawicznie wyrasta gęsty las rąk. Wtedy pada drugie pytanie: „A kto jest przeciw?” Z może pięciu osób, które podniosły ręce, ja stoję najbliżej. To we mnie pierwszego wymierzony więc zostaje zamaszysty gest z wyciągniętym do przodu wyprostowanym wskazującym palcem. Gdyby Wałęsa miał dłuższą rękę to ten palec przebiłby mnie chyba jak dzida. Towarzyszy temu najgłośniejszy z wydanych tu dzisiaj okrzyków: „Patrzcie!! I za – pa – mię – tajcie!!” Zaskoczyło mnie to, zmroziło, ale Wałęsa z twarzą już nie rumianą, ale jakrawoczerwoną dźga tym swoim palcem w kierunku kolejnych osób, które swoje ręce podniosły do góry. Jedno z tych zamaszystych „pchnięć”, któremu towarzyszy kolejne „Patrzcie!! I za-pa-mię-tajcie!!” wymierzone jest w Gienia Dedeszko-Wiercińskiego i osobne w kogoś, kto Gieniowi towarzyszy. Następne – w kierunku kogoś w głębi sali. Czuję się dziwnie. Przeżywam jakby zaskoczenie, lekki wstrząs, ale z tego napiętnowania jestem chyba jakby trochę ... dumny. Tymczasem salę wypełnia huragan owacji pożegnalnej. Stoję w miejscu, tak wielki tłum nie wyjdzie przez jedyne drzwi w ciągu nawet kilku minut. Irek Guszpit spogląda mi w głęboko w oczy i mówi:

– Tak Artur, rozumiem cię. To prawda – słabe to było. Ale Wałęsa to jedynie symbol. On jest jaki jest. Ważniejsi są ci, którzy idą wraz z nim. Całkiem inny format.

Po Irku dopada mnie Jacek Protasiewicz, który jakby się tłumaczył:

– Ja nie podniosłem ręki ani za ani przeciw. Bo trudno być za tym, co mówił, ale przeciw temu kierunkowi, który on reprezentuje, nie można też być przeciw...

Jacek bardzo emocjonalnie kontynuuje ten swój wywód, który zaczyna mnie bawić. Wychodzę z sali jako jeden z ostatnich. Ku mojemu zdziwieniu nie widzę, żeby na ławkach, parapetach czy podłodze były gdzieś broszurki, które tutaj rozdałem. Spodziewałem się, że zobaczywszy, kto jest ich autorem i wydawcą, spora część zostanie porzucona. Może nawet demonstracyjnie. A jednak uczestnicy spotkania zabrali je ze sobą. Może przeczytają. Może się nad tym zastanowią.

Następnego dnia zaszedłem do mieszczącej się przy Placu Kościuszki księgarni z salonem prasowym, w którym dostępne są wyjątkowo liczne tytuły gazet. Wszystkie te „Trybuny Robotnicze” i inne organy wojewódzkich komitetów PZPR zawierają obszernie relacje z wrocławskiego wystąpienia Wałęsy. Po zachwytach nad „drogą ku narodowemu pojednaniu” każdy z tych artykułów odnotowuje, że „pojawiła się jednak także inna oferta dla Polski – konfrontacyjna...” I tu następuje ciąg zdań o Solidarności Walczącej, Kornelu Morawieckim i jego broszurze, która była kolportowana na spotkaniu. No i że znaczy to, że ciągle działają w Polsce siły nieodpowiedzialne, reprezentujące interesy obce narodowej racji stanu itd. itp.

Cóż – osiągnąłem choć tyle, że trochę przebił się głos sprzeciwu wobec tego kształtu przemian, który uważam za dla mojej ojczyzny zły. Choć tyle z tego drukowania i kolportowania będę więc miał, że nie stałem biernie przy budowie podwalin ubekistanu.

ŻYCIE NA PRZEKÓR KONIUNKTURALISTOM I SZPICLOM

Służba Bezpieczeństwa, nadzorująca życie mieszkańców PRL-u, największą część swej uwagi poświęcała mediom, uczelniom i literatom. Przynależność do każdego z tych kręgów często oznaczał wybór między służeniem jako marionetka reżimu a staniem się nieustannie zwalczanym celem różnorodnych ataków.

NIEUSTAJĄCY PROBLEM TRIUMFU MIERNOT

Jednym z bohaterów „Mistrza i Małgorzaty” Bułhakowa jest poeta Iwan Bezdomy – prymityw i niemal półanalfabeta, niezdolny do stworzenia choćby ułamka wartościowego dzieła, ale bez reszty oddany totalitarnej władzy i stąd lansowany, wyróżniany i sowiec wynagradzany. PRL setki takich właśnie „literatów” obsypywał profitami, laurami, każdy wyprodukowany przez nich bzdet wydawał w wielkich nakładach, do wykupywania których zmuszał biblioteki, placówki kultury i zakłady pracy. Grafomaństwami popleczników ludowej władzy zaśmiecano spisy szkolnych lektur, upośledzano gust i wrażliwość młodzieży. Proceder ten nie zakończył się zresztą wraz z ustrojową transformacją. Nadal funkcjonują analogiczne mechanizmy a o promocji jednych i marginalizacji innych przesądzać potrafią w dużej mierze te same środowiska. Rolę komunistycznej maszyny propagandowej przejęły medialne koncerty o esbeckim rodowodzie a o sile rażenia większej od Radiokomiteu i „Trybuny Ludu”. Stąd książka Stanisława Srokowskiego pt. „Życie wśród pisarzy, agentów i intryg” to nie tylko świadectwo istotnego fragmentu trudnej polskiej przeszłości, ale też cenna analiza życia literackiego w realiach ciągłego dominowania posttotalitarnych patologii.

Pisarze publikujący w wypełnionej nędzą Polsce czasów bierutowskich, za cenę oddania się na służbę władców z obcego nadania, otrzymywali mieszkania, stypendia, nieograniczone prawo korzystania z pobytów w domach pracy twórczej. Po roku 1956 wszyscy oni z ulgą przyjmowali kierowanie na przemiał milionów egzemplarzy ich książek. Utylizacja powodów do wielkiego wstydu pozwalała im na rozpoczęcie jakby nowego życia, w które wchodził jednak już ustawieni zarówno materialnie, jak i insty-

tuczonalnie. Pozycja wypracowana służbą stalinizmowi w PRL-u Gomułki nadal oznaczała pieniądze, zaszczyty, przywileje i promocję wysokich nakładów kolejnych książek. Wprost odwrotna była sytuacja pisarzy nie obciążonych twórczością proreżimową, nie wpisujących się w scenariusze dyrygowane przez komunistycznych włodarzy, nie poddających się kompromisom, mogącym otworzyć drzwi do przyspieszonej artystycznej sławy i życiowej stabilizacji.

JEDNOSTKOWA I ZBIOROWA PŁASZCZYŻNA WSPOMNIENI

Ostatnia książka Srokowskiego jest zarazem odważną analizą własnych wewnętrznych przeżyć, jak i unikatowym opisem życia środowiska nieustannie manipulowanego za pomocą licznej agentury komunistycznego reżimu. Autor jest ocalałym z Zagłady, której tragizm przerasta najbardziej nagłośnione horrendum Holokaustu. Śmierć zabijanych przez Niemców Żydów była zorganizowana, masowa i szybka. Zadawaną gazem lub strzałem poprzedzała często gehenna ukrywania się lub niepewności jutra. Trudno ją jednak porównać do tego, co przeżywały ofiary bestialskich rzezi, dokonywanych przez oszalałą ukraińską dziczą na Wołyniu, Podolu czy Pokućiu. Nieliczni ocaleni z tej Zagłady zawsze byli świadkami niewyobrażalnego cierpienia często wszystkich swych bliskich, umierających powoli w czasie obdzierania ze skóry, ćwiartowania, palenia żywcem, wypruwania wnętrzności i dziesiątek innych, niewyobrażalnych metod mordowania. Koszmar, którego niedobitą ofiarą był w dzieciństwie Stanisław Srokowski, jest niewysłowionym ciężarem, z równą siłą wstrząsającym bezpośrednio po śmierci bliskich, jak po kilkudziesięciu latach. Przeżyte sceny nigdy nie przestają powracać w snach, skojarzeniach, wspomnieniach i stanowią permanentną udrękę. Rodzą też zobowiązanie do złożenia literackiego świadectwa a zarazem hołdu dla bestialsko zamordowanych. Ciężar przeżyć okazuje się jednak tak wielki, że „Nienawiść”, prawdopodobnie najbardziej przerażające dzieło w całej historii polskiej literatury, powstać mogło dopiero po bezliku prób, podejmowanych przez kilkadziesiąt lat. Paradoksalnie przeciwwagą dla ekstremalnych wojennych doznań okazują się nieustanne trudy codzienności. Ceną za bezkompromisowość okazuje się być czasem niemal głodowanie i bezdomność, niezgoda na cenzurowanie owoców swojej pracy przynosi zakazy jej upubliczniania. Okazana niepokorność uruchamia socjotechniczne operacje, kolejne piętra intryg, zatraskiwanie kolejnych dróg działalności i rozwoju, wyrzucanie z kolejnych miejsc zatrudnienia.

NARRACJE KATA I OFIARY

„Życie wśród pisarzy, agentów i intryg” jest być może pierwszym w naszej literaturze dziełem, w którym spotykamy się z paralełą dwóch tak osobliwie różnych, równoległych narracji. Te same bowiem wydarzenia bywają opisywane przez fragmenty prowadzonego przez dziesięciolecia dziennika pisarza oraz – raporty sporządzane przez obserwujących go agentów Służby Bezpieczeństwa. Mamy więc do czynienia z dwiema perspektywami – człowieka, który na przekór piętrzącym się problemom pragnie realizować swoje cele życiowe i twórcze oraz perspektywę zorganizowanego aparatu oprawców, wyposażonych w inwigilacyjne instrumentarium, dążących do realizacji na aktywnej jednostce celów totalitarnego kolosa. Pisarz, mimo że od najmłodszych lat pozbawiony jakichkolwiek złudzeń co do natury komunistycznego porządku, dopiero krok po kroku odkrywa kolejne jego składniki. Okazuje się być nimi część jego kolegów – pisarzy. Wstrząsem jest to, że niektórzy z nich byli przez niego uważani za przyjaciół. Traktowani jako powiernicy okazywali się być nawet autorami raportów na temat stanów psychicznych twórcy tropionego przez SB. Po ocaleniu z najstraszliwszej Zagłady, jakiej doświadczyły narody świata i po odwilży, kończącej koszmar stalinizmu, życie okazuje się być kontynuacją dramatu, którego istota przez lata z wolna ujawnia się jako z trudem odgadywana, kolejna upiorna tajemnica.

„HAŃBA DOMOWA” PO WROCŁAWSKU

Tak, jak Jacek Trznadel czy Joanna Siedlecka ujawniali prawdę o rzekomych tuzach literatury, w istocie będących bezwolnymi marionetkami ich totalitarnych mocodawców, czasem od początku do końca przez nich uformowanymi, tak z książki Srokowskiego dowiadujemy się o mechanizmach, przez pół wieku rządzących kręgami pisarzy Dolnego Śląska. O postaciach szlacheckich i wrażliwych, wielkich nadziejach polskiej poezji i prozy, zniszczonych działalnością reżimowych siepaczy lub przez zazdrośnie strzegących swych pozycji „decydentów od spraw literatury”. Przybliżona nam zostaje postać niezłego pisarza Henryka Worcella, niestety aktywnego także jako pisarz donosów dla SB. A także kreowanego na geniusza grafomana i plagiatora Lecha Isakiewicza, którego największym dorobkiem pisarskim okazały się być teczki, wypełnione raportami na temat kolegów – literatów. Na miarę symbolu jest fakt, że ukoronowaniem jego „twórczej” działalności w III RP było dyrektorowanie warszawskim Pałacem Kultury i Nauki. Znamienne są też biografie licznych mistrzów serwilizmu, sługusów prosowieckich władców, po 1989 roku

namaszczanych na moralne autorytety, wyrocznie w sprawach poezji, prozy i sztuki teatralnej, nadal piastujące lukratywne funkcje redaktorów i dyrektorów.

„Życie wśród pisarzy, agentów i intryg” to niepowtarzalne dzieło literackie, unikatowe i wręcz bezcenne świadectwo osobistego i narodowego doświadczenia oraz przyczynek do gorzkiego, ale arcyważnego dla Polaków wniosku, że konieczny trud oddzielenia ziarna od plew to zadanie ciągle przez nas niewykonane.

„Obywatelska” lipiec 2021

MŁODZIEŻOWA DEKLARACJA SOLIDARNOŚCI

Przełom roku 1984 i 1985 był znaczącą cezurą w historii wrocławskiej konspiracji młodzieżowej. Z różnych przyczyn zamierała działalność części organizacji, utworzonych po wprowadzeniu stanu wojennego. Aresztowanie w grudniu 1983 a następnie długotrwałe uwięzienie Sławomira Niećko, jednego z najaktywniejszych działaczy Młodzieżowych Jednostek Oporu, odbiło się na skali działalności tej formacji. W grudniu 1984 trzecia już fala represji uderzyła w Polską Niezależną Organizację Młodzieżową. Aresztowany został też Waldemar Kras, redaktor i drukarz młodzieżowego pisma „Impuls”. W efekcie zatrzymań wydawców i kolporterów przestały się ukazywać biuletyny „Młodzież”, „Zarysy” oraz gazetka „Co u nas?”. Dodatkowo szeregi konspiracji młodych osłabione zostały skutkiem tego, że wielu z nich właśnie w 1984 roku kończyło naukę w szkołach średnich. W przypadku chłopaków (a ci w młodzieżowym podziemiu stanowili większość) niedostanie się na studia oznaczało powołanie do wojska. W tamtych latach dotyczyło to także tych, których stan zdrowia był nawet bardzo zły. O prawie ślepych i bardzo kulawych, którzy i tak zmuszeni zostali do odbywania co najmniej dwuletniej zasadniczej służby wojskowej, opowiadano wtedy w powszechnie znanych kawałach. Z liczących się wrocławskich organizacji młodzieżowych „na placu boju” pozostał tylko wydający „Wolną Polskę” i „Solidarność Młodych” Młodzieżowy Ruch Oporu „Solidarność”. Coraz bliżej związany z Solidarnością Walczącą w połowie lat osiemdziesiątych stał się on częścią tej organizacji.

W styczniu 1985 miejsce starszych kolegów zaczęli zapępniać przedstawiciele młodszych roczników. Kluczowym w procesie tym wydarzeniem była msza święta, odprawiona w intencji młodzieży szkolnej i ich nauczycieli w kościele św. Klemensa Dworzaka w styczniu 1985. Przybyli na nią uczniowie kilkudziesięciu szkół, którzy tego samego dnia wzięli też udział w spotkaniu, zorganizowanym przez księdza Adama Wiktora i innych kapłanów. O żadnej nowej organizacji nikt na nim nie mówił, ale wielu jego uczestników doszło do wniosku, że powinna ona powstać. Kilka tygodni później ukazał się pierwszy numer pisma „Szkoła Poziemna”. W kwietniu 1985 na jego łamach opublikowana została Młodzieżowa Deklaracja Solidarności. Celem tego oświadczenia było wezwanie do stworzenia wspólnej, młodzieżowej organizacji antykomunistycznej, mającej wspierać NSZZ Solidarność i inne formacje w walce o nie-

podległość i zmiany ustrojowe w kraju. Jako jeden z celów Deklaracja wskazywała również tworzenie kadr dla nowych roczników „dorosłej” opozycji oraz związku zawodowego Solidarność, który musi przecież rozwijać się pomimo zepchnięcia do podziemia. A rozwój ten powinien być wynikiem pozyskiwanie nowych członków spośród ludzi zaczynających swoje życie zawodowe.

Pod deklaracją podpisały się działający od lutego 1985 Międzyszkolny Komitet Oporu, de facto zamykająca swą aktywność Polska Niezależna Organizacja Młodzieżowa oraz redakcja pisma „Impuls”. Skutki Młodzieżowej Deklaracji Solidarności były ograniczone, ale stanowiły krok w kierunku budowy Międzyszkolnego Komitetu Oporu, jako struktury działającej we wszystkich szkołach średnich Wrocławia. I ten ambitny cel w latach 1986 – 87 został w pełni osiągnięty. Sieć kolportażu podziemnych wydawnictw (głównie pisma „Szkoła”) objęła wtedy nie tylko każdą szkołę, ale też miała swojego przedstawiciela w każdej klasie każdej ze szkół ponadpodstawowych Wrocławia i okolic.

TAJEMNICA „KOTWICY”

Do dziś niewyjaśniona śmierć co najmniej dwóch osób, aresztowania, brutalne akcje tajnych służb. Czy zagadka podziemnej organizacji, działającej we Wrocławiu w okresie stanu wojennego zostanie kiedyś rozwiązana?

Moja wiedza o niej jest szczątkowa i zasadniczo pochodzi „z drugiej ręki”. W latach osiemdziesiątych obowiązywała zasada „im mniej informacji – tym lepiej”. Potem jednak pytałem o to wielu. Zginęli przecież ludzie związani z walką o niepodległość. Do dziś więcej jest w tej sprawie domniemań, niż jednoznacznych ustaleń.

Młodzieżowe organizacje konspiracyjne, powstające po wprowadzeniu stanu wojennego, zwykle szukały kontaktu z tzw. „dorostym podziemiem”, mogącym być źródłem wydawnictw drugiego obiegu czy materiałów poligraficznych. Same też całkiem sporo miały do zaoferowania. Akcje ulotkowe, transparenty rozwieszane w spektakularnych miejscach, napisy na murach – często były dziełem młodych ludzi. W 1982 roku także nasza Polska Niezależna Organizacja Młodzieżowa „rozglądała się” za kontaktem z jakimś „dorostym podziemiem”. Owe „rozglądanie się” odbywało się oczywiście bardzo dyskretnie, były to ostrożne poszukiwania drogami konspiracyjnymi. O ile pamięć mnie nie zawodzi – kontakt z konspiracyjną strukturą, działającą we wrocławskim oddziale przedsiębiorstwa Żegluga Na Odrze, jakoś w połowie roku 1982, nawiązał Marek Szwad. Po swoich późniejszych zatrzymaniach przez SB dość powszechnie znany był jako osoba nosząca pseudonim „Mamut”. Ten pierwszy bohater niniejszej opowieści nic jednak nam już nie opowie – zmarł bardzo przedwcześnie 22 stycznia 1999 roku, w wieku zaledwie 35 lat.

Żegluga na Odrze w tamtych latach, również w okresie stanu wojennego, działała na nieznaną dzisiaj skalę. Wychodzące z Kędzierzyna czy z Wrocławia barki wyływały z Odry na kanały śródlądowe NRD, docierały nie tylko do Niemiec zachodnich, ale też do Holandii. Rzecz jasna przekraczanie granic, w szczególności tej zwanej „żelazną kurtyną” wiązało się z bardzo surowymi ograniczeniami i kontrolami.

Kontakt, nawiązany przez Polską Niezależną Organizację Młodzieżową z konspiracyjną strukturą o nazwie „Kotwica”, dla młodych ludzi podziemia był owocny. Działacze z Żeglugi Na Odrze dostarczali duże ilości solidarnościowej prasy, książki z wydawnictw drugiego obiegu, obiecywali zorganizowanie szkoleń z małej poligrafii. Wczesną wiosną 1983 zaczęły się jednak dziać rzeczy w najwyższym stopniu niepokojące. Dowiedzieliśmy się wtedy bowiem o śmierci jednego z członków „Kotwicy”. W czasie rejsu barką po Odrze, w pobliżu granicy z NRD wypadł za burtę. Świadkowie twierdzili, że po wyłowieniu jego ciała można było zauważyć ślad po uderzeniu w głowę. Mógł to być wypadek, ale krótko potem nadeszły wieści jeszcze bardziej wstrząsające. Czyli – kolejna, podobna śmierć. Zastanawialiśmy się nad tymi wydarzeniami, o ile dobrze pamiętam w maju 1983, w trzyosobowym gronie. Trochę informacji na ten temat mieli wtedy Robert Chmielarczyk (wówczas przewodniczący organizacji PNOM) oraz Radek Hejnowicz (zastąpił potem Roberta w funkcji przewodniczącego po jego zatrzymaniu przez SB w grudniu 1983). Sytuacja wyglądała tak, że po śmierci drugiej osoby, związanej z „Kotwicą”, do której doszło bardzo podobnie, pozostali członkowie tej struktury nie powrócili z rejsu do RFN. Wyglądało na to, że poczuli się zagrożeni tym, że ktoś ich po kolei zabija, więc nie chcąc podzielić losu swych poprzedników – uciekli za granicę. W niewiele wcześniejszym czasie doszło w Polsce do kilku innych tragedii, mogących wyglądać na skrytobójstwa. Zastanawialiśmy się, czy to nie przejaw nowej strategii Służby Bezpieczeństwa, która nie mogąc rozbić podziemia dąży do jego sterroryzowania. Śmierć może być kwalifikowana jako wypadek i zasadniczo nie zmienia tego fakt, że to śmierć np. działacza Solidarności. W NSZZ Solidarność było aż dziesięć milionów członków a przynależność do tego związku nie gwarantowała przecież odporności na wypadki. Mogą one przydarzyć się każdemu. Pozorowanie wypadków mogłoby skutkować tym, że większość Polaków traktować je będzie jako nieszczęśliwe zdarzenia losowe. Natomiast dla ludzi podziemia taki szereg nagłych śmierci mógłby być przerażającym sygnałem narastającego zagrożenia. Takiego, po którym należy zaprzestać działalności, poddać się presji, wywieranej przez służby a jeśli ma się taką możliwość – uciekać.

Kilka dni po tej naszej rozmowie doszło do aresztowania członka organizacji, który z „Kotwicą” miał związki najbliższe – Marka Szwada. „Mamut” utrzymywał jednak konspiracyjne kontakty z paroma innymi strukturami, głównie z Akademickim Ruchem Oporu i Niezależnym Zrzeszeniem Studentów.

Do dziś nie jest jasne, czy aresztowanie „Mamuta” miało związek z „Kotwicą”. Oczywiście o sprawie tej próbowaliśmy dowiedzieć się czegoś więcej. W tamtych latach wszyscy codziennie słuchaliśmy też zachodnich rozgłośni radiowych, które często podawały informacje o uciekinierach z Polski. Pamiętam, jak po ucieczce dobrze mi znanego Andrzeja Ignaczaka, który zwiął do Berlina Zachodniego samolotem tego samego aeroklubu, którego i ja byłem członkiem, wszystkie zachodnie radiostacje opowiadały o nim przez tydzień. Informowały też o prośbach o azyl polityczny, składanych przez marynarzy statków handlowych, o dotarciu kogoś na Zachód przez granice górskie czy morzem na gumowych pontonach. Nigdy ani jednym słowem nie wspomniano u ludziach z wrocławskiej barki. Zastanawialiśmy się, czy nie jest to wynik tak wielkiego poczucia zagrożenia tych uciekających wrocławian, że postanowili zatrzeć za sobą wszelkie ślady, zmienić tożsamość, zniknąć bez wieści.

W latach dziewięćdziesiątych pytałem o „Kotwicę” Kornela Morawieckiego. Natychmiast skojarzył ją z bardzo niejasną śmiercią dwóch ludzi, na czym historia tej organizacji się skończyła. Zaprzeczał, jakoby „Kotwica” miała stanowić część organizacji Solidarność Walcząca. Fraktalna struktura SW oznaczała jednak także to, że wokół organizacji Morawieckiego znajdowało się sporo przeróżnych, współpracujących z nią ogniw oporu. Kornel wymieniał ją jako jedną z nich. Kontakt z nią miał mieć ktoś, kto już nie żył a przy kontakcie tym zalecana miała być wyjątkowa ostrożność. Wynikać ona miała z oczywistego faktu, że zakłady pracy i pracownicy w jakikolwiek sposób współdziałający z kontrahentami zagranicznymi, byli pod wyjątkowo solidną obserwacją SB a także kontrwywiadu lub wywiadu wojskowego czy cywilnego. Stanowiło oczywistość, że agentura w Żegludze była wyjątkowo liczna. Wielu jej pracowników parało się mniejszym czy większym przemysłem, którego wykrycie dla każdego służb zawsze oznaczało świetną okazję do werbunku.

Inni moi rozmówcy wyrażali nawet przypuszczenie, że te śmiertelne wypadki mogły mieć związek z jakąś większą kontrabandą. Niewykluczone, że związaną z ciemnymi interesami, które na dużą skalę współ z niektórymi załogami robili sami esbecy. Jeszcze inni przypuszczali, że ludzie „Kotwicy”, jak wielu w Żegludze, od bardzo dawna swoje rejsy łączyli z drobnym przemysłem. A od czasu, gdy w Polsce zaczęła rozwijać się opozycja, swoje przemysłowe doświadczenia i znane sobie skrytki zaczęli wykorzystywać także do sprowadzania z Zachodu sprzętu i materiałów poligraficznych czy emigracyjnych wydawnictw.

Jeszcze inne przypuszczenie wyraził pracujący we wrocławskim oddziale Instytutu Pamięi Narodowej dr Grzegorz Waligura. Nie wyklucza on, że „Kotwica” mogła być wykorzystywana przez Służbę Bezpieczeństwa jako rodzaj wabika, czyli organizacja – pułapka. Przedrewolucyjna carska Ochra, potem Cze, KGB, GRU i UB praktykowały tę metodę na dużą skalę i z tragicznymi dla swych ofiar rezultatami. Przypadkiem najbardziej w Polsce znanym była ostatnia komenda organizacji Wolność i Niezawisłość. Całkowicie kontrolowana przez UB umożliwiła zlikwidowanie wielu organizacji, dążących do współpracy z WiN-em. Aresztowano też wtedy mnóstwo ludzi dopiero zamierzających włączyć się w niepodległościową działalność.

Być może tak upiorne przypuszczenia są bardzo krzywdzące dla ludzi, którzy działali w „Kotwicy”. Jej zagadka nadal jednak czeka na rozwikłanie.

SOLIDARNOŚĆ WALCZĄCA Z PERSPEKTYWY CENTRUM ANALIZ DEPARTAMENTU STANU USA

W maju 1988, po powtórnej deportacji, Kornel Morawiecki dysponował jedynie paszportem uprawniającym do jednokrotnego przekroczenia granicy. Czyli – po znalezieniu się na terytorium Austrii, do której został wywieziony rejsowym samolotem w towarzystwie eskorty złożonej z oficerów SB, dokumentem już nieważnym. Dzięki pomocy działających za granicą przedstawicieli Solidarności Walczącej oraz działaczy polskiego wychodźstwa politycznego, posiadającego kontakty na najwyższych szczeblach państw Zachodu, mógł posługiwać się dokumentami umożliwiającymi swobodne podróżowanie. Jeden z takich „nadzwyczajnych glejtów” pozwolił mu wjechać na teren Wielkiej Brytanii pomimo tego, że żelaznym tego warunkiem było posiadanie nie tylko aktualnego paszportu, wizy, ale także uzyskanie pozytywnej opinii oficera emigracyjnego, odbywającego rozmowę z każdym przybyszem. W czasie pobytu w Londynie do Kornela Morawieckiego dotarło mnóstwo zaproszeń z innych krajów, między innymi Stanów Zjednoczonych i Kanady. Warunki stawiane ubiegającym się o najkrótszy nawet pobyt w USA były jeszcze bardziej restrykcyjne, ale i one okazały się możliwe do przewyciężenia. Na moment ten warto zwrócić uwagę, gdyż sporo on mówi o pozycji, jaką wówczas miał Rząd Rzeczypospolitej Polskiej na Uchodźstwie. Prawdą jest, że od lipca 1945 roku nie był on uznawany przez Stany Zjednoczone i Wielką Brytanię a w późniejszych latach cofnęła mu uznanie większość państw świata. Pewne formy kontaktów z elitami politycznymi oraz władzami wielu krajów były jednak utrzymywane. To one umożliwiły wystawianie nadzwyczajnych dokumentów, pozwalających Kornelowi Morawieckiemu legalnie przekraczać granice kolejnych krajów. Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej na Uchodźstwie Kazimierz Sabbat przewodniczącego Solidarności Walczącej poinformował też, że otrzyma on prawo wjazdu do Stanów Zjednoczonych. Szczegóły tego, jakim sposobem zostało to załatwione, nie są nam znane. Z bezliku rozmów, jakie w środowiskach londyńskiej emigracji przeprowadził Kornel Morawiecki wnosił on, że kluczem do błyskawicznego wystawienia odpowiedniego dokumentu był wniosek złożony przez kogoś z brytyjskiej rodziny królewskiej. Dokument ten okazał się być na tyle „mocny”, że posługując się nim, pomimo

nieposiadania ważnego paszportu, przewodniczący Solidarności Walczącej bez najmniejszego problemu znalazł się na ziemi amerykańskiej.

W USA Kornel Morawiecki znów odbył niezliczoną ilość spotkań, głównie z przedstawicielami wszystkich największych ośrodków amerykańskiej Polonii, związanymi z nią kongresmenami i wysokimi urzędnikami. Pierwszym wrażeniem z tych kontaktów było dominowanie całkowicie fałszywych wyobrażeń na temat realiów współczesnej Polski. Najbardziej zdumiewały tu informacje, jakimi posługiwali się Jan Nowak Jeziorański oraz Zbigniew Brzeziński. Kornel Morawiecki wiele razy potem wspominał, jak bardzo zaskoczyło go to, jak niewiele panowie ci wiedzieli o tym, jak się żyje w „ludowej” Polsce, jak wygląda jej gospodarka, jaka jest kondycja reżimu komunistycznego czy jak się przedstawia panorama środowisk opozycyjnych. „Od tej rozmowy nie dziwiło mnie już to, że Zbigniew Brzeziński potrafił wtedy pisać swoją najpierw słynną a już parę lat później wstydliwie ukrywaną książkę o tym, jak Stany Zjednoczone powinny układać stosunki ze Związkiem Sowieckim w nadchodzącym XXI stuleciu”.

W Waszyngtonie Kornel Morawiecki spotkał się między innymi z naukowcami, pracującymi dla Sekretariatu Stanu. Byli bardzo zainteresowani tym, jak deportowany z PRL – u przewodniczący Solidarności Walczącej wyobraża sobie dalszy rozwój wydarzeń w Polsce, Europie środkowo – wschodniej i Związku Sowieckim. W trakcie rozmowy złożona została propozycja odwiedzenia waszyngtońskiego kompleksu, w którym bardzo liczne grono ekspertów oraz jeszcze liczniejsze, złożone ze stażystów i studentów, zajmuje się lekturą i analizą materiałów napływających ze wszystkich krajów świata. Większość działań tego wielkiego zespołu instytucji nie ma charakteru tajnego czy poufnego, choć duża część jego działalności przypomina pracę tzw. „białego wywiadu”, czyli studiowanie legalnie ukazującej się prasy i innych równie dostępnych źródeł informacji. Współpracują z nim liczni kongresmeni, naukowcy i dziennikarze. W największym jednak stopniu jego zadaniem jest służenie prezydentowi i sekretarzowi stanu. Prowadząc politykę zagraniczną o skali globalnej powinni oni bowiem zawsze mieć możliwość skorzystania z wiedzy na temat nowych sił politycznych, dochodzących do władzy w różnych krajach. W jeszcze większym stopniu istotne jest przewidywanie zagrożeń czy nowych tendencji w budowie ładu każdego z kontynentów. Nawet więc każdy z krajów małych i peryferyjnych jest przedmiotem zainteresowania, bo w wyniku np. jakiegoś przewrotu może dołączyć do jakiejś koalicji, co może mieć zna-

czenie dla interesów amerykańskich. Sternicy polityki zagranicznej tego potężnego państwa zawsze więc powinni mieć jak najsolidniejszą wiedzę o tym, z kim w danym miejscu mają do czynienia i czego tam powinni się spodziewać. Oczywiście jednymi obszarami globu Stany interesują się bardziej a innymi mniej. W przypadku Europy środkowo – wschodniej Kornel Morawiecki dowiedział się, że zainteresowanie to szybko zaczęło rosnąć po tym, jak Polak został papieżem a jeszcze bardziej po pielgrzymce Jana Pawła II do ojczyzny. Wielomilionowe rzesze naszych rodaków, uczestniczących w spotkaniach z ojcem świętym w Waszyngtonie odczytane zostały jako budzenie się potencjału mogącego wpłynąć na bieg wydarzeń w krajach zdominowanych przez sowiecki imperializm. Przełomem w skali zainteresowania Polską był Sierpień 1980, po którym Centrum Analiz Departamentu Stanu potroiło ilość specjalistów zajmujących się procesami, zachodzącymi w naszym kraju. Zatrudniono wtedy ponad stu nowych tłumaczy z języka polskiego i nie mniejszą liczbę historyków oraz politologów, którzy w dotychczasowej działalności zajmowali się problematyką związaną z naszym krajem. Jeden z tych ekspertów zaprosił Kornela Morawieckiego do spędzenia jednego dnia wśród ludzi, których praca polegała na analizowaniu myśli politycznej, oświadczeń i publicystyki różnych nurtów działającej w Polsce opozycji. Z opowieści Kornela wynika, że ta część wielkiego kompleksu wypełniała piętro dużego biurowca. A w obszernej sekcji przeznaczonej do pochylania się nad piśmiennictwem ruchów antykomunistycznych i niepodległościowych był też jeden duży pokój, przeznaczony do pracy z materiałami publikowanymi wyłącznie przez Solidarność Walcząca. Wyglądał on jak gabinet dobrze zorganizowanego naukowca. Jego ścianami były regały z półkami pełnymi segregatorów, przeznaczonych na poszczególne tytuły prasy podziemnej. Na biurku komputer, służący do wprowadzania najważniejszych konkluzji, wynikających z lektury poszczególnych periodyków.

Zatrudniony w tym miejscu analityk dysponował wprost fenomenalną wiedzą o tym, co myśli i co głosi ta część polskiego społeczeństwa, której reprezentantem była Solidarność Walcząca. W czasie trwającej kilka godzin rozmowy (w części w czasie wspólnie jedzonego obiadu) człowiek ten dopytywał o autorów tych artykułów z łam „Biuletynu Dolnośląskiego”, których przewidywania i wnioski postrzegał za najbardziej interesujące. Doskonale też wiedział o rozwijającej się aktywności Solidarności Walczącej na terenie kolejnych republik Związku Sowieckiego oraz w różnych krajach tzw. bloku ludowo – demokratycznego. Kornel Morawiecki zauważył, że jego rozmów-

ca nie tylko doskonale zna poglądy reprezentowane przez jego organizację, ale że jest nią szczerze zafascynowany, emocjonalnie zaangażowany po jej stronie. Ludzie z tego Centrum Analiz nie byli więc jedynie bezdusznymi obserwatorami. Przedmiot ich pracy wiązał się z adekwatnymi uczuciami, z opowiadaniem się po stronie walczących o polską wolność. Z rozmowy wynikało też, że analogiczne nastroje panowały w sekcjach specjalizujących się w sprawach rumuńskich, węgierskich czy bułgarskich. Wszystkie one były jednak dużo mniej liczne od polskiej.

Kornel przyznawał, że dzień spędzony w tym niezwykłym miejscu wywarł na nim wielkie wrażenie. Intelktualne zaplecze, jakim dysponuje amerykańska polityka zagraniczna, okazało się być nie tylko olbrzymie, ale też świetnie zorganizowane a przede wszystkim pełne ludzi bardzo zaangażowanych i kompetentnych. Znaczący to więc także, że mogących być ogromnie pomocnymi przy podejmowaniu przez Biały Dom wszystkich swoich ważnych decyzji. „Jednego tylko nie rozumiem – mówił Kornel Morawiecki – jest bowiem czymś trudnym do pojęcia, że dysponując tak wspaniałym, tak wysoce kompetentnym zapleczem znawców każdego kawałka tego naszego świata Stany Zjednoczone tak często potrafią podejmować tak wiele błędnych decyzji”.

WAŻNA PRAWDA O HISTORII NIEZALEŻNEGO ZRZESZENIA STUDENTÓW

NZS był pierwszą organizacją, którą reżim Wojciecha Jaruzelskiego nie tylko zawiesił, ale formalnie zdelegalizował. Miało to miejsce już parę tygodni po wprowadzeniu stanu wojennego, w styczniu 1982 roku.

Od 13 grudnia 1981 Niezależne Zrzeszenie Studentów działało w podziemiu. Jednak tylko na jednej uczelni w Polsce udało się Zrzeszeniu zachować w konspiracji pełną ciągłość organizacyjną od roku 1981 do 1989. Tą jedyną uczelnią, na której NZS działał w sposób nieprzerwany, co roku przyjmując nowych członków i przekazując działalność w ręce kolejnych przychodzących na studia roczników, był Uniwersytet Wrocławski.

Z NZS – u wrocławskiej alma mater wywodzi się wiele postaci z najwyższych szczytów polskiego życia politycznego. Należą do nich Bogdan Zdrojewski, Grzegorz Schetyna, Ryszard Czarnecki czy Jacek Protasiewicz. Zaslugi żadnego z nich nie miały jednak rangi przesądzającej o wyjątkowości NZS – u Uniwersytetu Wrocławskiego. Człowiekiem, któremu w największym stopniu zawdzięcza on to, co nie udało się nigdzie indziej, jest ktoś całkowicie inny.

Co stanowiło o tym, że organizacja prześladowana i zepchnięta do podziemia żyła nadal? Tym „czynnikiem stanowiącym o podziemnym życiu” było przede wszystkim wydawanie własnej prasy. W przypadku NZS-u Uniwersytetu Wrocławskiego było nią głównie podziemne pismo pt. „Komunikat”. Regularnie, bez żadnych przerw, ukazywało się ono od roku 1981 aż do 1989. I była to zasługa przede wszystkim jednego człowieka, który przez szereg najtrudniejszych lat zapewniał jego druk. W swojej książce pt. „Czas próby” potwierdza to działacz podziemnego NZS – u Roman Kowalczyk. W swoich wspomnieniach stwierdza on, że konspiracyjna organizacja wrocławskich studentów swoją poligrafię zawdzięczała przede wszystkim pewnemu „człowiekowi od czarnej roboty”.

Jak to często bywa – to nie ludzie najbardziej ofiarni i najbardziej zasłużeni czerpią profity ze swej szlachetnej przeszłości. Stąd i ten student, który w czasach konspiry wziął na siebie trud trwającego całe lata organizowania druku i drukowania, nie został potem ministrem, szefem rządzącej w Polsce

partii ani też posłem, senatorem czy eurodeputowanym. Pozostał osobą szereg nieznana, która po opuszczeniu murów uczelni nie zajmowała się robieniem kariery, ale zwyczajnym trudem, związanym z utrzymywaniem swojej rodziny.

Kim więc był ten człowiek, bez którego nie byłoby wyjątkowości NZS-u Uniwersytetu Wrocławskiego a tym samym karier tych, którzy tym bezprecedensowym sukcesem mogli się szczycić? Bo przecież bez tej wyjątkowości nie zaistniałyby kariery Jacka Protasiewicza czy Grzegorza Schetyny. Człowiekiem tym jest Eugeniusz Dededzko – Wierciński.

Gienio działalność w NZS – ie łączył z tytaniczną wręcz aktywnością w szeregach Solidarności Walczącej. Był członkiem Rady Oddziału SW Dolny Śląsk, w ramach Akcji Studenckiej Solidarności Walczącej brał udział w wydawaniu pisma pt. „Kontra”. Tego, w czym jeszcze uczestniczył, ciągle mogę się tylko domyślać. Mam nadzieję, że w końcu opowie o tym więcej. Podziemnym drukarstwem zajmował się od samego początku stanu wojennego. Szybko stał się nie tylko mistrzem poligrafii, ale też wszystkiego, co wiąże się z pracą wydawniczą. Związek z Solidarnością Walczącą dawał mu duże możliwości. Dzięki temu nigdy nie brakowało papieru, materiałów poligraficznych, lokali do druku, ludzi do pomocy. Skutkiem tego pismo „Komunikat” NZS – u Uniwersytetu Wrocławskiego przez osiem lat, nawet w okresach najbardziej masowych aresztowań, ukazywało się w dużym nakładzie, dobrej jakości technicznej i z regularnością szwajcarskiego zegarka.

Cieszę się ogromnie, że Gienio uczestniczył w niedawnych obchodach 40 Rocznicy NZS – u. I cieszę się, że przy okazji panelowej dyskusji z udziałem Piotra Krukowskiego i prof. Tomasza Głowińskiego mogłem choć krótko przypomnieć kolosalną rolę, jaką Gienio odegrał w pełnych mozołu i dramatu latach osiemdziesiątych XX wieku.

Solidaryzm, grudzień 2021

NZS 40 LAT PÓŹNIEJ

Niezależne Zrzeszenie Studentów śmielej, niż NSZZ Solidarność, artykułowało wolę pokonania komunizmu i odzyskania niepodległości. Było pierwszą organizacją nie tylko zawieszoną, ale formalnie zdelegalizowaną przez reżim stanu wojennego.

W obchodach 40 rocznicy wrocławskiego NZS – u udział wzięli działacze Studenckiego Komitetu Solidarności, powstałego w roku 1977 po zamordowaniu przez SB krakowskiego studenta – opozycjonisty Stanisława Pyjasa oraz członkowie NZS – u z dekad minionych oraz kontynuujący tradycję Zrzeszenia dzisiaj. Panel poświęcony wydarzeniom lat osiemdziesiątych przypomniął czasy walki podziemnej i brutalne represje, jakimi dla wielu się ona kończyła. Piotr Krukowski wyraził obawę, że współczesny NZS słabo pamięta i jeszcze gorzej realizuje ideowe założenia, jakie przyświecały jego założycielom. Tomasz Głowiński dodał, że na polskich uczelniach jest dziś o co walczyć, bo przestały one być miejscami wolnej debaty: „Lewicowy skręt na Uniwersytecie Wrocławskim jest dziś skrętem maksymalnym, posuniętym do ostatecznego oporu. Skutkiem tego permanentnego skręcania w lewo żaden dyskurs nie posuwa się naprzód. Zamiast tego wszystko kręci się w kółko, w jedną tylko lewą stronę”.

W debacie o historii udało mi się przypomnieć, że NZS Uniwersytetu Wrocławskiego był jedynym, który zdołał zachować w konspiracji pełną ciągłość organizacyjną od roku 1981 do 1989. Zawdzięczać to należy przede wszystkim człowiekowi, który z regularnością szwajcarskiego zegarka zapewniał ukazywanie się podziemnej prasy tej wyjątkowej w skali kraju uczelnianej organizacji. Tym ogromnie zasłużonym drukarzem był członek Akcji Studenckiej Solidarności Walczącej i Rady Oddziału Solidarność Walcząca Dolny Śląsk Eugeniusz Dedeszko-Wierciński.

Panelistom współczesnego NZS-u przypominałem, że na Uniwersytecie Wrocławskim działalność Zrzeszenia, kontynuowana w czasach najtrudniejszych, w latach dziewięćdziesiątych wygasła. A inicjatorem jej wznowienia był maturzysta z drugiego końca Polski, który jako miejsce swoich studiów wybrał

Wrocław, bo miasto to kojarzyło mu się z najtwardszą walką o niepodległość i wyzwolenie z komunizmu. Taką, w czasie której ginęli ludzie rozjeżdżani przez pojazdy ZOMO. Wniosek sąd, że jeszcze kilkanaście lat temu wrocławski NZS był kierowany przez ideowych patriotów i państwowców. Nikt natomiast nie wyjaśnił mi praktyki dzisiejszego NZS-u z niektórymi uczelniami, polegającej na ograniczaniu liczby członków. Czy przyczyna polega na środkach, pozyskiwanych na realizację projektów, z których nie powinna korzystać zbyt duża ilość studentów? Za odpowiedź otrzymałem potwierdzenie, że przynajmniej na jednej uczelni tak właśnie jest. Przypomniałem też, że w latach osiemdziesiątych toczyła się polemika na łamach konspiracyjnej prasy ruchu Wolność i Pokój oraz NZS-u. Publicyści WiP-u sprzeciwiali się obowiązkowi służby wojskowej a wielu ludzi z NZS uważało, że służyć trzeba, bo niepodległa Polska potrzebuje silnej armii. Wszystkie te nawiązania do ideowych wartości ruchu studenckiego spotkały się z odpowiedzią jedynie ze strony przewodniczącej Zarządu Krajowego NZS Alicji Książek. Zgodziła się ona z podnoszonymi przez starszych kolegów argumentami, że Zrzeszenie powinno skupiać się nie tylko na ubarwianiu studenckiego życia i konstruowaniu trampolin do karier absolwentów. Spotkania z młodymi działaczami w wielu weteranach NZS-u wzbudziły wrażenia dość mieszane. Z jednej strony – wspaniale, że Zrzeszenie nadal żyje. Pozostaje jednak pytanie, czy wiele ma ono dziś wspólnego z NZS – em sprzed lat, którego członkom chodziło przede wszystkim o dobro ojczyzny.

Ufam, że spotkanie z „dinozaurami” NZS-u przyniesie jakieś owoce w działalności jego młodzieży. Natomiast samego spotkania z przyjaciółmi z czasów, w których byliśmy studentami, przecenić po prostu nie sposób. Za jego zorganizowanie ogromne podziękowania należą się Robertowi Chmielarczykowi, Piotrowi Krukowskiemu, Krzysztofowi Jakubczakowi i wszystkim, którzy do wydarzenia tego się przyczynili.

„Obywatelska” grudzień 2021

NAMIASTKA TESTAMENTU KORNELA MORAWIECKIEGO

Marszałek Senior Sejmu RP, założyciel i przewodniczący Solidarności Walczącej to postać, której odejście jest dla Polski ogromną, niepowetowaną stratą. Hołd, żałoba, wspomnienia – są na to jakże smutne wydarzenie reakcją oczywistą. Najważniejsze jest jednak to, co trwałego, wielkiego Kornel Morawiecki budował. Bo bez wątpienia tym, czego on sam by dziś pragnął, byłoby przede wszystkim kontynuowanie dzieła, któremu poświęcił on swoje jakże aktywne życie.

Nie sposób tego, czego dla Polski i świata pragnął Kornel, przedstawić w krótkiej formie. Wizja lepszego jutra, wyrażana jego słowami i wykuczana czynami, powstawała przez dziesięciolecia jego życia. Tworzył ją w swej pracy ze studentami wyższych uczelni i uczniami wiejskiej szkółki. Wyrażał ją na łamach konspiracyjnych wydawnictw i urzeczywistniał tworząc w zniewolonym kraju podziemne struktury, złożone z wolnych ludzi. Prawdziwy „Testament Kornela Morawieckiego” byłby dziełem wielkim, wieloaspektowym, precyzyjnym i spójnym. Ja ośmielę się tylko zasygnalizować o kilka wątkach drogi do tego kształtu świata, do którego Kornel dążył. I wymienię głównie te mniej znane.

Mniej bowiem Kornel był znany jako człowiek pełen troski o światowy pokój. W rozmowach z nim ryzyko zagłady cywilizacji, czy wręcz ludzkości – było nierzadko pojawiającym się tematem. Pisał też o tym wielokrotnie. Taka była geneza jego poglądu na pokojowe współistnienie z Rosją. Kornel Morawiecki wychował się na zgłiszczach Warszawy, w dorosłe życie wchodził pośród ruin i gruzów Wrocławia. Znał cenę wojny. Być może jeszcze większym wstrząsem było dla niego, dokonane w czasie studiów uniwersyteckich z zakresu fizyki, uzmysłowienie sobie energii, drzemiącej w broni nuklearnej. Perspektywę jej użycia uważał za krok w stronę błyskawicznego unicestwienia jeśli nie całej to przynajmniej wielkiej części ludzkości. Pisał i przekonywał, by ryzyko totalnej zagłady traktować z należytą powagą i nigdy go nie lekceważyć. Doceniał to, że walący się sowiecki reżim jednak nie sięgnął po tę straszliwą broń, by ratować się przed upadkiem.

Nie wszyscy też wiedzą, że Kornel Morawiecki był autorem prac i analiz z zakresu ekologii. Nie był znany jako eko-aktywista, uczestniczący w spektakularnych protestach. Jego aktywność miała charakter naukowy i merytoryczny. Bardzo poważnie traktował ryzyka katastrof ekologicznych. Wskazywał rozsądne sposoby przeciwdziałania.

Kornel Morawiecki był rzecznikiem myślenia otwartego. Proponował dyskusje nie zamykające się na projekty, mogące uchodzić za szalone. Sceptycznie zapatrywał się na jednomandatowe okręgi wyborcze, ale nie widział przeszkód dla debaty, w której wyborca miałby nie jeden, ale np. 10 głosów. Umożliwiłoby to udzielenie poparcia nie jednej partii, ale dwom, lub nawet kilku – jednych popierając bardziej a innych mniej. Pomysłu tego Kornel nie formułował jako rzeczywistego projektu. Postulował jednak nie zamykanie się w granicach dotychczas praktykowanych rozwiązań. Na poziomie teoretycznym i w zakresie eksperymentalnym –proponował analizowanie nowych rozwiązań ustrojowych.

Dla Kornela nigdy argumentem nie były stwierdzenia w rodzaju: „to nigdzie nie jest praktykowane”. Zawsze uważał, że Polskę stać na rozwiązania własne, oryginalne. Jego zdaniem nasz kraj nie tylko może, ale wręcz powinien ubogacać innych własnymi, bezprecedensowymi rozwiązaniami. Polska – absolutnie nie jest skazana na wtórność, podrzędność i kopiowanie cudzych wzorów. Kornel wskazywał, że dobitnym na to dowodem jest polska historia i polska tradycja republikańska.

W 1989 roku Kornel ostrzegał, że przyjęty model transformacji szybko doprowadzi do społecznego porządku analogicznego do ładu krajów Trzeciego Świata, w którym większość znajdzie się na krawędzi niedostatku a większość zasobów kraju znajdzie się w rękach wąskiej oligarchii. Kornel już w latach siedemdziesiątych był rzecznikiem stosunków społecznym, opartych na zasadach solidarnych relacji międzyludzkich. Ich wyrazem byłby choćby powszechny akcjonariat pracowniczy. Jak dziś wiemy – akcjonariat okazuje się być nowym sposobem ekonomicznego i społecznego rozwoju kilku przodujących krajów świata.

Kornel wiele razy powtarzał, że wszelkiego rodzaju stany idealne na tym świecie, na którym żyjemy, są raczej nieosiągalne. Nie zwalnia to nas jednak od obowiązku kreowania idealnych wizji i upartego budowania jak najlepszego świata. Zastrzegał, że w stopniu całkowitym – celu tego nie osiągniemy. Możemy jednak zbudować świat znacznie lepszy od obecnie istniejącego.

Kornel krytycznie oceniał polską rzeczywistość, budowaną po roku 1989. Zawsze jednak doceniał, że w porównaniu z realiami PRL-u był to „trochę lepszy świat”. Tak zresztą zatytułowaliśmy ostatni rozdział wywiadu – rzeki, jaki przeprowadziłem z Kornelem w roku 2007. Tym więc, czego Kornel dziś pragnąłby najbardziej, bez wątpienia byłoby to, byśmy nie rezygnowali z marzeń o zbudowaniu rzeczywistości szczęśliwej dla wszystkich ludzi. I pomimo świadomości, że cel ten w pełni nie będzie mógł być osiągnięty, apelował byśmy nie rezygnowali z upartego zbliżania się do ambitnego celu. Nawet, jeśli w formie pełnej – byłby on nieosiągalny.



WROCŁAWSKI ŚLAD KORNELA MORAWIECKIEGO

Z przemówienia, wygłoszonego na pierwszym koncercie z cyklu „Niech żyje Polska” w maju 2021

Przywódca Solidarności Walczącej dokonał czegoś w ponad tysiącletniej historii stolicy Dolnego Śląska bezprecedensowego. Jest to dzieło, którego chwalebny owocami obdarowane zostały całe pokolenia mieszkańców niedysyjszego sowieckiego więzienia narodów.

Przeszłość dolnośląskiej metropolii upamiętniana jest na wiele sposobów. Jednym z nich jest „Encyklopedia Wrocławia”. Dowiedzieć się z niej możemy np. o barokowych ogrodach miasta, po których od wieków nie ma już śladu, które ani żadnej nie miały kontynuacji ani jakikolwiek trwałymi wartościami nie zaowocowały. Jednoznacznie jednak uważam, że encyklopedyczne hasła na ich temat są zasadne. Idąc np. ulicą Wierzbową warto jest przecież wiedzieć, że paręset lat temu był tu przez jakiś czas cudnej urody raj roślinnej egzotyki. O ileż jednak bardziej konieczne w takiej encyklopedii są hasła związane z tym, co w tym samym mieście wykuwało się jako ogromne dzieło na miarę więcej, niż europejską i znacząco się przyczyniające do odzyskania wolności przez wiele narodów.

Wrocław w swej historii należał do państwowości czeskiej, polskiej, austriackiej, pruskiej a doszukać się można nawet węgierskiej. Na jego kształcie odcisnęły się rządy francuskie (np. obecny Plac Kościuszki wytyczany był z polecenia brata Napoleona) i de facto – sowieckie. Członkowie każdej z zamieszkujących miasto narodowości mieli w nim swoich ludzi nauki, artystów czy wojskowych. Wiele razy wybuchały tu też bunty, napędzane niezgodą na ucisk. Jednak w tym przebogatym dziedzictwie tylko Polacy zapisali tu wielką kartę walki o wolność. I to będącą wielkim wkładem w wyzwolenie z komunistycznego zniewolenia wszystkich narodów ciemionych okowami sowieckiego imperializmu. Pomimo zakrojonych na ogromną skalę prześladowań pism ukazujących się poza zasięgiem cenzury w samym Wrocławiu ukazywało się przecież więcej, niż poza granicami Polski w całym sowieckim imperium od Łaby po Kamczatkę. Czyż nie jest to godny pamięci ogromny, unikatowy wkład w ponad tysiącletnie dziedzictwo Wrocławia? Nie jest trudno ustalić, komu w największym stopniu ten wielki dorobek zawdzięczamy. To Kor-

nel Morawiecki w 1979 roku zrewolucjonizował drugi obieg wydawniczy, który za sprawą jego metody stał się zjawiskiem niemożliwym do opanowania. Zamiast opierania druku na kosztownych powielaczach czy offsetach, które trudno zdobyć a łatwo stracić, postawił na upowszechnianie technik możliwych do praktykowania w skali masowej. Wcześniej bywało, że dziesiątki inicjatyw korzystały z jednej drukarskiej maszyny i przestawały istnieć wraz z jej konfiskatą. Kornel ludzi podziemnego druku przekonał, że zamiast zdobywania powielaczy należy nieustannie rozbudowywać legion drukarzy. Takich, którzy potrafią z powszechnie dostępnych materiałów, samodzielnie i w każdych warunkach, szybko zbudować punkt małej poligrafii. Pokazał, że mający gołe ręce mistrz sitodruku potrafi w jeden dzień od podstaw złożyć cały swój warsztat, by do ranka dnia następnego wydrukować kilka tysięcy stron tekstu dobrej technicznej jakości. O jego Solidarności Walczącej mówiono „Solidarność drukująca”. Idea była taka, że tą metodą złamany zostanie komunistyczny monopol przekazu informacji a to znacząco nas przybliży – do niepodległości. Do wolności nie tylko naszej, bo w 1981 ruszył druk w języku rosyjskim a w 1982 – czeskim. Kornelowi nauczyciele konspiracyjnego powielania wyszkolili setki nie tylko drukarzy, ale „ludzi – drukarni”. Nikt na tych podziemnych kursach nikogo nie pytał o to, jakie treści kolejni adepci zamierzają upowszechniać. Istotne były tylko to, że robić to będą poza zasięgiem cenzury. Czyli – potęgę cenzury będą łamać. I skutkiem tego łamało tę cenzurę we Wrocławiu prawie pięćset tytułów bezdebitowej prasy. A druk nie był przecież wszystkim, bo było też kilkaset emisji Radia Solidarność Walcząca a wcześniej wielki wrocławianin był jednym z najważniejszych twórców Pośłania do Ludzi Pracy Europy Wschodniej. Tego, które wstrząsnęło posadami imperium i o którym weterani walki o wolność z kilku krajów mówią dzisiaj: „Rozpoczęliśmy działalność po tym jak usłyszeliśmy, że Polacy myślą o naszym losie”. Czyż dzieło noszące tytuł „Encyklopedia Wrocławia” może pomijać fakty takiej miary?

Innym opisem dziejów dolnośląskiej stolicy jest „Ścieżka Historii Wrocławia”, mająca postać szeregu płyt, upamiętniających najważniejsze wydarzenia z przeszłości miasta. Jej pomysł jest znakomity tym bardziej, że między poszczególnymi jej panelami pozostawione zostały miejsca, pozwalające dokonać uzupełnień. Moim zdaniem żadnej z tablic nie należy usuwać, mimo że nie wszystkie dotyczą wydarzeń o charakterze bardzo doniosłym. Jedna z nich przypomina np. tzw. Powstanie Krawców. Te krwawo przez pruskie wojsko stłumione kilkudniowe rozruchy z roku 1793 zaczęły się od uwięzienia a na-

stępnie deportowania czeladnika narodowości węgierskiej, który zawinił tylko zmianą miejsca zatrudnienia bez zgody dotychczasowego pracodawcy. W mieście wielonarodowym i pełnym biedoty podziałało to jak iskra rzucona na beczkę prochu. Wydarzenia te nie przełożyły się na żadne historyczne procesy o choć odrobinę większej skali. Zgadzam się jednak z poglądem, że godne są upamiętnienia. Czy jednak można je porównać z zainicjowaną przez Kornela Morawieckiego we Wrocławiu Solidarnością Walczącą, której działalność sięgnęła walk o wolność wielu krajów? Członek SW Piotr Hlebowicz z karabinem w dłoniach wjeżdżający do Tbilisi na pancernym czołgu – to jedno z najbardziej znanych zdjęć ze zmagania o niepodległość Gruzji. Paru ministrów pierwszego rządu niepodległej Litwy twierdzi: „Jesteśmy z Solidarności Walczącej!” Za wspieranie swych dążeń dziękowali Kornelowi nawet Tatarzy. Jeśli Ścieżka Historii Wrocławia upamiętnia futbolowe mistrzostwa Europy, polegające na rozegraniu tu jedynie trzech meczy, to czyż nie powinien być upamiętniony jeden z głównych impulsów rozsadzających system sowieckiego zniewolenia? Wraz z ich głównym inicjatorem, szmat swojego życia poświęcającym temu dziełu swą pracę tytaniczną i jakże skuteczną.

Zasługi Kornela Morawieckiego przez długi czas były umniejszane. A przecież w wielkiej sprawie wolności Europy dokonał on więcej od wszystkich berlińczyków, którzy bez cienia jakiegokolwiek ryzyka wzięli udział w symbolicznym obalaniu Muru Berlińskiego. Trzydzieści lat temu pogląd, wg którego runął on po lekkim pchnięciu, gdyż od lat pracownicy podkopywany był przez bohaterów Polaków stanowił taką oczywistość, że powtarzało go mnóstwo także niemieckich gazet. Od tego czasu świat wypełniono już jednak całkowicie inną narracją a w budowanej na pedagogice wstydu republice okrągłego stołu przeforsowano zasadę wykuwania cudzej chwały w granicie a własnej – pisanie co najwyżej palcem po piasku.

Każdy jednak, kto sprawiedliwie zważy dokonania Kornela Morawieckiego i jego organizacji dojść musi do wniosku, że zasługuje on na miejsce nie tylko w encyklopediach czy ścieżkach historii, ale też jego popiersie dołączyć musi do wypełniającej jedną z sal ratusza – Galerii Wielkich Wrocławian.



NIEZAPOMNIANY KSIĄDZ ZBIGNIEW SZYMEROWSKI

Kapłan, o którego śmierci właśnie się dowiedziałem, zasługuje na opowieść wielkich rozmiarów. Bezlikiem znamiennych faktów z jego jakże ofiarnej postugi dałoby się wypełnić całe tomy. Niniejsze skromne wspomnienie nie jest w stanie oddać tego, jak niezwykle postacią utracił Wrocław, Kościół i cała Polska.

Pochodził z rodziny kaszubskiej, związanej głównie z Wejherowem. Od najmłodszych lat, wraz z dziesięciorgiem rodzeństwa, mieszkał jednak we Wrocławiu. Realia materialne były więc bardzo trudne, ale rodzinne więzi – najwyższej próby. Pamiętam jego wspomnienia z dziecięcych lat, które upływały pośród ruin. Nawet ćwiczenia wojskowe, w których brał udział na początku lat sześćdziesiątych, kiedy był licealistą, odbywały się na wielkich zwalach gruzów w miejscu, gdzie jedna z głównych arterii miasta łączy dziś Plac Legionów z Placem Orłąt Lwowskich. Po maturze wyjechał do Krakowa, w którym ukończył studia, wyższe seminarium duchowne, został salezjaninem i przyjął święcenia kapłańskie. Jednym z doświadczeń, którym dzielił się z uczęszczającymi na jego katechezy, były krakowskie wydarzenia Marca 1968.

Księdza Zbigniewa bliżej poznałem właśnie w czasie lekcji religii. Były one po prostu genialne. Każdej wprost nie mogłem się doczekać i zawsze żałowałem, że tak szybko każda się kończyła. Ksiądz Szymerowski był bowiem wprost niezwykłym erudytą a swoją niewyobrażalnych rozmiarów wiedzę potrafił przekazywać w sposób do umysłu licealisty trafiający idealnie. Tematem jego wykładów była nie tylko religia, ale też jej zdający się nie mieć kresu kontekst kulturowy, wraz z szeroką panoramą dziejów. Dziesiątki katechez poświęcił samemu problemowi patologii, do jakich dochodziło w Kościele. Opowiadał o rzeczach strasznych, nawet nie próbując usprawiedliwiać żadnego z grzesznych hierarchów. Wrażenie to na nas robiło piorunujące, nie raz byliśmy wstrząśnięci tym, co mówił. Ale mówił to przecież do nas nie tylko ktoś wielkiego umysłu i nadzwyczajnej prawości, ale też pewny swojego powołanie i bez reszty oddany Kościołowi – kapłan! Prowadziło to więc do oczywistego wniosku, że ten jakże mądry i uczciwy człowiek, pomimo dogłębnej

świadomości wszystkich upadków Kościoła, nie miał cienia wątpliwości, że częścią właśnie tego Kościoła – należy być! Nigdy tego wprost nie stwierdził, ale wszyscy to zrozumieliśmy: Kościół tworzą ludzie, więc mogą mu się zdarzać kryzysy i upadki. Ale to w tym Kościele jest Bóg i prawda a rolą tych, którzy swój udział w tej wspólnotce traktują poważnie, jest trud podnoszenia jej z upadków, które mogą się zdarzyć na tym ziemskim świecie wszystkim śmiertelnikom, nie mającym przecież przymiotu przyrodzonej doskonałości.

Sposób, w jaki ksiądz Zbigniew z nami rozmawiał, był dla nas wręcz nobilitujący. Nie ukrywając niczego, co było złe, traktował nas jako ludzi dojrzałych. Czyli takich, którzy nie obracają się na pięcie, gdy coś przestaje im się podobać, ale sami poczuwają się do rzeczywistego trudu uczestnictwa w naprawie tego, do czego przynależą. W późniejszych latach niezliczoną ilość razy przekonałem się też, że swoimi wykładami ksiądz Szymerowski bardzo solidnie nas uodpornił na antykościelną propagandę, którą przecież bombardowani jesteśmy z bardzo wielu stron. Ci, którzy chodzili na jego katechezy, tyrady rozgrzanych antyklerykałów kwitowali z uśmiechem: „Ależ wiem o tym doskonale. O tym i stu jeszcze gorszych rzeczach. Nie o takich ksiądz Szymerowski nam opowiadał”.

Był prawdziwym intelektualnym gigantem, w którym nie sposób było dopatrzeć się grama poczucia wyższości czy pychy. Prosił o zadawanie pytań i był wdzięczny nawet za niezbyt mądre. Był mistrzem znakomitego kontaktu z każdym rozmówcą. Stawiał wysokie wymagania, ale ze zrozumieniem przyjmował to, że nie zawsze udawało się im sprostać. Doceniał każde starania. Wielkie wrażenie zrobiło na mnie kiedyś to, jak zareagował na zajście w ciążę przez jedną z naszych nastoletnich koleżanek. Do tego w ciążę dość przypadkową, z niezbyt poważnym chłopakiem. Jej decyzję, że dziecko urodzi i poświęci się jego wychowaniu ksiądz Zbigniew nazwał jednoznacznie: „To jest bohaterstwo!” Uważał, że w obliczu takiej sytuacji i takiej decyzji nie ma miejsca na żadne moralizowanie a potrzebna jest wyłącznie jak największa pomoc.

Z mnóstwa jego wypowiedzi wynikało, że ojczyzna to jedna z wartości największych a marksizm to nowotwór, na który musimy być odporni i który w końcu zostanie pokonany. Nie nawoływał do demonstrowania czy konspirowania, ale prześladowanych i działających w podziemiu otaczał opieką. Co jakiś czas rozmawialiśmy z nim już poza lekcjami religii i wtedy dawała o sobie znać jego absolutna pewność, że komunizm poniesie druzgocącą klęskę a nasza ojczyzna odzyska niepodległość. Można się było też wtedy zorientować, że

świetnie jest zorientowany w krajobrazie podziemia, że czyta dużo zakazanych czasopism i takiejż literatury. Przynosiłem mu „Młodzież” – konspiracyjne pismo, którego z końcem 1983 zostałem redaktorem. Oceniał je bardzo wysoko, ale o nic nie pytał a ja nie przyznawałem się, że mam z nim cokolwiek wspólnego. Dopiero po latach dowiedziałem się, że bardzo pomagał Międzyszkolnemu Komitetowi Oporu, któremu udostępniał jedną z salek salezjańskiego ośrodka przy ul. św. Antoniego. Przekazywał też papier i pieniądze, mające służyć wydawaniu pisma „Szkoła”. Kiedy reżim Jaruzelskiego zwlekał z odwołaniem szkolnych zajęć w dniu, w którym do Wrocławia miał przybyć Jan Paweł II, powiedział do nas otwarcie: „Jak nie zrobią dla was dnia wolnego – wagary!” W drugiej połowie lat osiemdziesiątych był proboszczem kościoła przy Placu Grunwaldzkim. Bywałem tam głównie przy okazji Tygodni Kultury Chrześcijańskiej. Sam prowadził wtedy np. spotkanie z Markiem Nowakowskim.

Każdy, kto go spotkał, musiał być pod wrażeniem wielkości jego umysłu, niezmiernych rozmiarów jego wiedzy. Zarazem nawet z najkrótszej rozmowy z nim zawsze wynikało, że jest też człowiekiem niezmiernie głębokiej wiary. Był przy tym człowiekiem wesołym, lubiącym żartować i nie obawiającym się śmieszności. Jako zamiłowany kolarz znany był jako „ten ksiądz, który jeździ na rowerze”. Na dwóch kółkach wyglądał dość zabawnie, więc na sam widok człowiekowi często robiła się uśmiech od ucha do ucha. Odpowiadał tym samym a tego rodzaju humorystyczne sytuacje najmniejszego uszczerbku na jego kapłańskiej godności przynieść przecież nie mogły. Osobowości formatu tak niekwestionowanego takie rzeczy zaszkodzić przecież nie są w stanie.

Bardzo wielu ze smutkiem przyjmuje jego odejście z doczesnego świata. Jednak wielki rozmiar tego, co zostawił w duszach, sercach i umysłach każdego, którego w swej ziemskiej wędrówce spotkał, będzie żyło i owocowało przez jeszcze bardzo bardzo długi czas.

„Obywatelska”, luty 2022



ZAPOMNIANI, KTÓRZY ŻYCIEM ZAPŁACILI

Czterdzieści lat po wybuchu stanu wojennego wiele ofiar reżimu Jaruzelskiego nadal jest całkowicie zapomniana.

Tak, jak nie istnieją żadne wiarygodne liczby zabitych w czasie Późnego Czerwca 1956 czy Grudnia 1970 tak do dziś nie wiemy, ilu Polaków w latach osiemdziesiątych zapłaciło życiem za dążenia komunistycznej kliki do utrzymania jej własnych przywilejów oraz utrzymanie naszej ojczyzny pod sowiecką dominacją.

Czy doczekamy się wyjaśnienia tajemniczych śmierci dwóch osób, należących do ciągle bardzo tajemniczej organizacji „Kotwica”, działającej we wrocławskiej Żegludze Śródlądowej. Zakład ten, którego pracownicy odbywali rejsy także do Europy zachodniej, znajdował się pod szczególnym nadzorem komunistycznych służb. Dzisiaj, kiedy wielu działaczy podziemia już nie żyje, nie jest jasne, jaki był związek „Kotwicy” z Solidarnością Walczącą. W 1982 roku konspiratorom z Polskiej Niezależnej Organizacji Młodzieżowej przedstawiali się jako struktura będąca częścią tej organizacji. Współpraca urwała się po kilku miesiącach, gdy w wysoce podejrzanych okolicznościach zginął jeden z działających w podziemiu marynarzy. Po śmierci drugiego, do której doszło w podobnych okolicznościach, pozostali uczestnicy rejsu doszli do wniosku, że być może są po kolei zabijani. W RFN opuścili barkę i wszystko wskazuje na to, że z obawy o swoje życie pozostali na Zachodzie nikogo nie informując o miejscach swojego pobytu i zrywając kontakty z krajem. Po dziesięcioleciach z rozmów z ludźmi Solidarności Walczącej oraz prób wyjaśnienia tych wydarzeń przez historyków z IPN wyłania się gmatwanina operacji wywiadu wojskowego, rojowisko agentów SB, kontrabanda na dużą skalę prowadzony we współpracy z tymi służbami. No i garstka konspiratorów, w miejscu tak niebezpiecznym organizujących swoją strukturę, próbujących przemycać do Polski pomoc dla podziemia. Wszystko wskazuje na to, że dwóch z nich zapłaciło za to życiem. Czy kiedyś uda się tę historię wyjaśnić?

W 1985 roku zamordowana została 21 – letnia studentka Joanna Kempieńska, od 1981 roku, wraz z m.in. Adamem Słomką i Sławomirem Skrzyptkiem działająca w Młodzieżowym Ruchu Oporu Solidarność. Zginęła w sposób do złudzenia przypominający zamordowanie Emila Barchańskiego. Tu też pojawił

się ktoś jakby zaprojektowany do tego, by skutecznie zdobyć zaufanie i przepadający bez wieści, gdy ofiara nagle traci życie. I w tym przypadku także, z prawdopodobieństwem bliskim pewności domyślić się można, że doskonale wykwalifikowany morderca swoje zadanie wykonywał, by nie dopuścić do skompromitowania ważnych funkcjonariuszy aparatu terroru.

A jaka była prawdziwa przyczyna śmierci Tadeusza Bogdana? To właśnie przekonanie, że zginął z rąk komunistycznych siepaczy popchnęło jego syna Dariusza do najbardziej niebezpiecznych form działalności, za które potem sam zapłacił ocierając się o śmierć w czasie tortur na SB. Pierwszy raz w rękach tych oprawców Darek znalazł się w 1983 roku. Nie miał nawet 16 lat. Po pobiciu przez ZOMO, potem przez funkcjonariuszy komisariatu MO kolejnym etapem gehenny była Milicyjna Izba Dziecka. To z niej odbierał go jego ojciec, który spokojnie wysłuchał tyrady ubeków o tym, że powinien swojego syna trzymać z dala od działań przeciw władzy ludowej. Na koniec tej mowy, na oczach funkcjonariuszy SB, ojciec zapytał Darka: „Zdradziłeś kogoś?” I usłyszawszy „Nie, tato” mocno uściśkał prawicę syna. Sam działał w podziemiu. Kilka miesięcy później zginął w bardzo dziwnym wypadku. Darek był wręcz pewien, że śmierć ta nie była przypadkowa. Stał na czele młodzieżowej grupy, identyfikującej się z Solidarnością Walczącą. W dniach, w których kolumny ZOMO zmierzały w stronę kościoła św. Wawrzyńca, by atakować tłum wychodzący z mszy św. za ojczyznę, Darek z grupą rówieśników stawał tym siłom na drodze. Wywiązywały się wtedy uliczne starcia, czasem na dość dużą skalę. O tym, jak wyglądały przesłuchania po jego aresztowaniu świadczy m.in. uraz w postaci pęknięcia czaszki. Dwa lata później, po wyjściu z więzienia i opublikowaniu informacji o tym, co przeżył, został porwany, w lesie kazali mu kopać grób. Ćwierć wieku później Pion Śledczy IPN zdawał się robić wszystko, by sprawcy nie zostali ustaleni. Za działalność na rzecz niepodległości Dariusz Bogdan został odznaczony Krzyżem Oficerskim Polonia Restituta. A czy sprawa śmierci jego ojca zostanie kiedyś wyjaśniona?

Okoliczności zamordowania 36 – letniego Lesława Martina opisywano wielokrotnie. Eugeniusz Murawski, jego przyjaciel z pracy i z podziemia, opowiadał o próbie zatrzymania Martina, podjętej przez dwóch funkcjonariuszy SB w grudniu 1984. Konspirator był jednak człowiekiem zdecydowanym i o krzepie jeszcze większej, niż by mogła o tym świadczyć jego potężna postura. Zaskoczonym ubekom spuścił po prostu straszny łomot a ich pistolety odrzucił na taką odległość, że kiedy poturbowani do nich się w końcu doczołga-

li on, spokojnym krokiem się już oddalił. Zemsty doczekał się 23 stycznia 1985. Wg Eugeniusza Murawskiego świadkiem była kobieta, która najpierw opowiadała o oprawcach, którzy brutalnie napadli na działacza podziemia. Potem jednak nie tylko zamilkła, ale na każde pytanie na ten temat wszystkiemu zaprzeczała, robiąc przy tym wrażenie krańcowo przerażonej.

Z powyższych zbrodni, popełnionych po wprowadzeniu stanu wojennego, tzw. Lista Rokity wymienia jedynie śmierć Lesława Martina. Sama też historia spisu ofiar, sporządzonego po wyborach w 1989 roku jest bardzo charakterystyczna dla politycznego bytu szumnie zwanego Trzecią Rzeczpospolitą. Kontraktowy Sejm przyjął do wiadomości, że po 13 grudnia 1981 śmierć poniosło 122 przeciwników reżimu, z czego w 88 przypadkach przyjęto za udowodnione, że zabójcami byli funkcjonariusze MSW. Nie tylko jednak żaden z oprawców nie został ukarany, ale też sporządzona w 1989 roku lista zawiera nazwiska jedynie części Polaków zabitych przez komunistów w ostatnich latach PRL-u.

Solidaryzm, grudzień 2021



NIEŚĆ POLSKĘ, CZYLI HISTORYCZNY KONTEKST DZIEDZICTWA KORNELA MORAWIECKIEGO

Z wystąpienia, wygłoszonego na nadzwyczajnym zebraniu
Stowarzyszenia Solidarność Walcząca w listopadzie 2019

Dzięki czemu istniejemy? Za sprawą jakich potencjałów jako wspólnota narodowa a nawet państwowa utrzymujemy swoje istnienie pomimo oskrzydlenia od wschodu i zachodu przez opresje wielokrotnie od nas potężniejsze? Przez moce w ciągu większości dekad ostatnich stuleci będące bestiami, dążącymi do naszego unicestwienia?

Jakim potencjałom zawdzięczamy swoje istnienie? Na pewno nie demograficznym, nie ekonomicznym i nie militarnym. Nie mówię tego, by którykolwiek z nich lekceważyć. Przeciwnie. Bezwzględnie musimy mieć lepszą demografię, gospodarkę na poziomie przynajmniej niemieckiej oraz siły zbrojne, na pierwszą myśl o których każdy potencjalny agresor natychmiast waliłby w portki. Ale nie istniejemy dzięki tym potencjałom, bo przecież są one u nas wielokrotnie słabsze od odpowiedników, znajdujących się w dyspozycji tych, którzy tak konsekwentnie nas niszczyli. Dzięki jakim więc?

POLSKOŚĆ, CZYLI AKTYWNOŚĆ NA PRZEKÓR OKOLICZNOŚCIOM

W czerwcu 1694 roku na wykrwawioną Polskę ruszyła jedna z większych wypraw tatarskich. Różnie się ocenia jej liczebność – jedni historycy oceniają ją na 25 tysięcy jeźdźców, inni – na 70 tysięcy. Najczęściej wymienia się liczbę: 40 tysięcy. Przeciw tej armii wyniszczona Polska zdołała wystawić oddział złożony z czterystu ludzi – jazdy pancernej i resztkę husarii. I ruszył ten czterystuosobowy oddział na spotkanie czterdziestotysięcznej armii. Z wydarzeń, które potem nastąpiły można wyciągnąć wniosek, że celem tych ludzi nie była symboliczna, bohaterska śmierć. Bez wątpienia każdy z nich był na nią gotowy, ale wszystko wskazuje na to, że jadąc na spotkanie z wrogiem myśleli oni przede wszystkim o tym, jak wykonać stojące przed nimi zadanie. Piekielnie trudne, niemal niemożliwe, ale oni jechali po to, by je – wykonać. Byli zdecydowani stanąć na drodze wrogom ojczyzny i przerwać ich marsz. Wiedzieli, że są powołani do obrony ojczyzny, że to obowiązek, z którego nikt nie wywiąże się lepiej. Wiedzieli, że wywodzą się z tych, którzy potrafią takie rzeczy to robić.

Rankiem 11 czerwca 1694 roku ze wzgórzka nieopodal wioski Hodów, położonej na wschodnich krańcach Ziemi Lwowskiej, jeźdźcy polskiego oddziału zobaczyli rozmiar nadciągającej armii. Uwagę zwrócili jednak przede wszystkim na to, że w dość dużej odległości poprzedzana jest ona strażą przednią – złożoną z formacji elitarnej, wraz z którą jechała część dowództwa. Przede wszystkim jednak tatarska straż przednia nie była zbyt liczna, może nawet nie dwukrotnie liczniejsza od wielkości polskiego oddziału. W odpowiednim momencie Polacy ruszyli więc szarżą i zanim siły główne zdołały się zbliżyć, roznieśli na szablach straż przednią. Następnie wycofali się do wioski Hodów, gdzie wykorzystując jej zabudowania, tabory, wozy, stoły a także nierówności terenu, niewielką rzekę i las z grubymi drzewami, przeobrazili tę miejscowość w zaimprovizowaną twierdzę. Wyjęli muszkiety z postanowieniem, że każdy oddany strzał ma zabić jednego wroga. Tatarzy nadjeżdżali po trupach swej straży przedniej, więc atakowali z respektem, każdą szarżę poprzedzając chmurami wypuszczanych strzał. Polacy odpowiadali celnym ogniem. Furia ataków trwała około siedmiu godzin. Z każdą godziną siły pozostałych przy życiu obrońców były mniejsze, ale Tatarzy ginęli w tempie kilkakrotnie szybszym. Po paru godzinach walki Polakom skończyły się kule do muszkietów, ale nadal mieli proch, nadal więc nabijali lufy, wkładali do nich sypiące się bez przerwy tatarskie strzały i strzelali z muszkietów strzałami. Zbliżał się wieczór, gdy Tatarów zaczął pokonywać brak wiary w zwycięstwo. Działo się bowiem coś nieracjonalnego – stracili tysiące ludzi a opór garstki Polaków nie słabnął. Pomimo stukrotnej przewagi liczebnej najeźdźcza armia uznała się za pokonaną i zawróciła.

Po roku 1864 Polska była w stanie jeszcze bardziej krytycznym niż wtedy, kiedy jej południowo-wschodnich granic broniło czterystu ludzi. Nie tylko nie miała granic, wymazano nawet jej imię, nazywając ją „Priwisliennaja Strana”. Prof. Witold Wereszycki na podstawie swych badań ustalił, że w wyniku represji, dokonanych po Powstaniu Styczniowym, zasięg polskości cofnął się wtedy od 150 do 300 kilometrów ze wschodu na zachód. Maria Dąbrowska o tym czasie pisała: „tu już chyba nic cokolwiek wartego nie zostało. Wszystko, co było coś warte, zginęło, zostało powieszane albo pognane na Sybir”. Częścią polskiego pejzażu stały się wtedy postacie kobiet ubranych na czarno. Chodziły w tych strojach do końca życia, większość z nich nigdy nie wyszła za mąż i nie została matkami. Były to wdowy a także młode dziewczyny, których narzeczeni nie wrócili z walki o wolną Polskę. Zwyczajem tysięcy takich kobiet stało się

codzienne wychodzenie na pola i łąki, by spotykać dzieci chłopów – zabiedzonych, pozbawionych narodowej tożsamości analfabetów, dzieci pasące gęsi, owce lub krowy. Tysiące takich kobiet, często przez dziesięciolecia a nawet przez pokolenia – wiejską dzieciarnię kilku guberni niegdysiejszego Królestwa Polskiego i tzw. Ziem Zabrzanych, uczyły czytać i pisać, czytały im książki, uczyły narodowej historii. Po latach z tysięcy tych dzieci wziął się ruch szkół ludowych, ruch narodowy, potem formacje zbrojne a kiedy po I wojnie światowej trzeba było szybko sformować Armię Ochotniczą – większość jej składu wywozili się właśnie z nich. Z dzieci i wnuków uczennic i uczniów czarnych wdów Powstania Styczniowego. Z dzieci i wnuków wiejskich analfabetów, którym najczęściej do głowy nie przychodziło, że mogą być Polakami. Było to przeobrażenie na miarę cudu, choć wynikało z kontynuowanej przez pół wieku nieodpłatnej pracy tysięcy wspinających ludzi.

POLSKOŚĆ SIŁĄ ATRAKCYJNĄ NAWET NA DNIE NIEWOLI

W czasach najgłębszej narodowej tragedii zdarzały się jednak rzeczy naprawdę zakrawające na cud. Właśnie wtedy swą działalność zaczynał najpierwszy twórca historycznej wyobraźni Polaków. Genetycznie rzecz biorąc – nie był Polakiem. Matka była Niemką i po polsku nie mówiła prawie wcale, ojciec był Czechem i po polsku mówił słabo. Człowiek ten nazywał się Jan Matejko i w swoim „polskim wyborze” nie był wyjątkiem. Wraz z wybuchem Powstania Styczniowego wszyscy jego bracia przeszli przez granicę i zaciągnęli się do walczących oddziałów. Z powodu postury cherlawego dziecka – jego nie chcieli przyjąć. Wiele razy jednak, powożąc wozem pełnym broni przedzierał się przez granicę, by dostarczać zaopatrzenie stacjonującym w lasach oddziałom. Znawcy historii malarstwa wiedzą, że w całym światowym nurcie symbolicznego malarstwa historycznego jest tylko jeden twórca, o którym czasem mówi się, że dorównywał Matejce – Carl Theodor von Piloty. Oprócz wielkiego cyklu „Dzieje cywilizacji w Polsce” czy Poczty Królów Matejko zostawił też jednak po sobie skarbiec tysięcy niesłychanie kompetentnych szkiców polskiego detalu historycznego. Człowiek będący Polakiem z wyboru w czasach, gdy jako bytu politycznego Polski nie było – zostawił dzieło przez pokolenia budujące Polskę. Czyż nie zakrawa to na cud?

Na przełomie roku 1943 i 1944 28 – letni wówczas Jerzy Lenczowski idąc jedną z ulic Teheranu spotkał znajomych amerykańskich oficerów – dziennikarzy i dyplomatów. Sam jakiś czas wcześniej był żołnierzem Brygady Karpackiej gen. Kopańskiego, walczył pod Tobrukiem. Potem oddelegowano go

do polskiej ambasady w Teheranie, gdzie został attaché prasowym. Mniej więcej w tym czasie w okupowanej Polsce Niemcy zabili mu rodziców. Amerykańscy znajomi spytali go „Jerry, co ty tu robisz?” Odpowiedział: „Pracuję w ambasadzie mojego kraju – Polski”. „Polski? Jakiej Polski? To ty nie wiesz? Takiego kraju już nie ma i nie będzie. Parę tygodni temu dwie ulice dalej Roosevelt sprzedał Polskę Stalinowi. Żadnej Polski już nie będzie!”. W tym samym czasie i w Stanach i w Wielkiej Brytanii mówiło się już o Polsce źle i coraz gorzej: „Czego chcą ci Polacy? Stalin ma rację – to jacyś zdrajcy. Chcą zniszczyć Koalicję Antyhitlerowską. Niech się lepiej wynoszą, przybłędy. Niech nie sięją zamętu, niech nie szkodzą”. W Londynie słów takich wysłuchiwał wtedy codziennie kolejny człowiek nie mający w swych żyłach kropli polskiej krwi. Człowiek, który im bardziej Polska była poniewierana i obrażana, z tym większym naciskiem powtarzał: „jestem Polakiem ochotniczym”. Nazywał się Marian Hemar. Pisał: „Jak to być Polakiem, kiedy Polak w dole? I wszystko, co miał stracił i popadł w niewolę? Niedobrze być nierządnym, słabym, mizerakiem. Wiem ja o tym. Jednak wolę być Polakiem”. Co sprawia, że osobowości o największym talencie, ludzie najbardziej szlachetni a nie mający czasem żadnych polskich przodków – deklarują niezłomną polskość w czasach, gdy Polska jest na samym dnie beznadziejnej otchłani?

KORNEL MORAWIECKI, CZYLI KONTYNUACJA SZTAFETY „CHCIEĆ TO MÓC”

A jak było w czerwcu 1982? Dopiero co gąsienice czołgów rozjechały nasze strajki. Nie sprawdziła się żadna „zima wasza, wiosna nasza”. Sowieckie imperium zaczynało się na łabie, kończyło na Kuryłach, miało najwięcej bomb atomowych i czołgów więcej, niż cała reszta świata. I właśnie wtedy Kornel Morawiecki stanął na czele organizacji mówiącej: „Naszym celem jest niepodległość. Nie tylko nasza – będziemy rozwalać cały Związek Sowiecki. Jakimi siłami? Zaczynamy od tej garstki, którą dziś stanowimy. Mało, ale przyjdą inni. Nie tylko Polacy. Ufamy, że przyjdą do nas Czesi, Litwini, Gruzini, Rosjanie, Tatarzy. Przypomnimy hasło „Za waszą i naszą wolność” – wszystkich przyjmujemy jak braci. Nieważne, ile lat nam to zajmie – dekady a może pokolenia. Będą nas ścigać, więzić, zabijać. A my będziemy dążyć do swojego celu. Ten cel trzeba osiągnąć, więc będziemy do niego zmierzać. Mamy gołe ręce, ale też mamy otwarte głowy. Umiemy wiele a nauczymy się jeszcze więcej. Zachwiejemy tym upiornym systemem”. I zachwialiśmy. Setki punktów poligrafii, dziesiątki stacji radiowych, co raz to nowe obszary ścierania się z reżimem, na-

bierającym respektu przed coraz bardziej zaskakującymi formami konfrontacji i kolejnymi dowodami przewagi konspiratorów nad wszechpotężną bezpieką. Kiszczak stwierdził: „Organizacja Morawieckiego to konspiracja o charakterze ofensywnym!” Biuro Studiów MSW nigdy nie zdołało nawet rozrysować jej struktury. Rosła jako dla niej nierozpoznawalna, nieprzenikniona i w efekcie – niezniszczalna.

Przytoczę w tej opowieści słowa jeszcze jednego człowieka bez polskich korzeni. Pytany o to, czym jest Polska, Jarosław Marek Rymkiewicz odpowiedział: „Nie mam ani jednego polskiego przodka. Ale jestem Polakiem z tej przyczyny, że polskość – to wielka, niezrównana wręcz siła duchowa.” I to jest odpowiedź na postawione na wstępie pytanie. To jest potencjał zasadniczy, dzięki któremu Polska nadal istnieje. Zwalczana szyderstwem, permanentnym fałszowaniem polskiej historii, fabrykowaniem wyssanych z palca win, pedagogiką wstydu.

JESTEŚMY DEPOZYTARIUSZAMI WIELKIEGO DZIEDZICTWA

Czy dostatecznie zdajemy sobie sprawę z rozmiaru dziedzictwa, do którego przynależymy? Z tego, jakiej tradycji kontynuacją była Solidarność Walcząca? Czy uświadamiamy sobie doniosłość i znaczenie skarbu, jaki znalazł się w naszym posiadaniu? Sytuację tę może lepiej uzmysłowi nam rozmiar arsenatów, jakimi skarby takie, jak ten nasz, od wieków, są niszczone? Nie tylko na wschodzie i na zachodzie, ale też za jednym i za drugim oceanem – działają całe fabryki antypolskiego kłamstwa. Usiana jest nimi też Polska. Mamy w Polsce mnóstwo antypolskich mediów, antypolskich ośrodków tzw. kultury i ośrodków antypolskiej „nauki”. Prof. Bogusław Wolniewicz o jednym z instytutów PAN-u nigdy nie mówił inaczej, jak tylko „Centralna Wytwórnia Oszczyrstw Antypolskich” i kto ma oczy do widzenia wie, że o prymat w tej „centralności” rywalizuje wiele innych, podobnych jej „central”.

Parę lat temu pewna pisarka wezwała do napisania historii Polski na nowo, bo przecież „Polacy to naród ciemiężców niewolników i morderców Żydów”. Wezwała też do rozliczenia się na wzór Niemców, jakoby stanowiących wzorzec rozliczenia ze swoją przeszłością. Jak to niemieckie rozliczenie wygląda naprawdę? Zasadniczym miejscem pracy prof. Bogdana Musiała od roku 1993 są niemieckie archiwa sądowe. Od 26 lat stara się on ustalić, ilu Niemców po 1945 roku w jakikolwiek sposób odpowiedziało za mordowanie Polaków. Bo Niemcy, w sposób planowy i z zimną krwią, zamordowali przecież miliony Polaków. Ilu więc Niemców przez sądy RFN zostało skazanych

za mordy, dokonane na Polakach? Ta liczba jest łatwa do zapamiętania i bardzo „okrągła”: zero! Żaden sąd RFN na żaden wyrok nigdy nie skazały żadnego Niemca – wojenno-okupacyjnego zabójcy etnicznego Polaka! Tzw. wymiar sprawiedliwości RFN przez prawie 40 lat, we wszystkich instancjach powtarzała np., że wymordowani co do jednego obrońcy Poczty Polskiej w Gdańsku – zostali rozstrzelani le – gal – nie! Zdaniem laureatki Nagrody Nobla ta państwowość ulepiona z moralnego ścieku stanowić ma jednak dla Polski wzorzec etycznych standardów. Mamy jeszcze w Polsce drugiego laureata Nagrody Nobla – esbeckiego szpicla, przy aplauzie platformerskiej gawiedzi opluwającego grób największego polskiego bohatera narodowego naszych czasów już dzień po jego pogrzebie. Ku uciechu gawiedzi, od 1989 roku występującej jako elita III RP, rządzącej naszym państwem m.in. w latach 2007 – 15.

Ta unikatowa siła duchowa Polaków, o której mówił Jarosław Marek Rymkiewicz, ma potężnych i wysoko wyniesionych – wrogów. To dzięki niej Polska trwa, dzięki niej podnosi się z najgłębszych upadków. To jej kolejnym ogniwem był Kornel Morawiecki, Solidarność Walcząca była kolejnym etapem sztafety, do której należeli bohaterowie spod Hodowa, pokolenia niepokornych pozytywistów czy twórcy dzieł budujących polską tożsamość. Ta tradycja ma jednak potężnych wrogów, stąd była, jest i będzie zwalczana. Dziedzictwem Kornela Morawieckiego nie należy się więc zajmować jedynie w zakresie, polegającym na utrwaleniu wspomnień. Ono musi ocaleć jako składnik tego wątku polskiej tradycji, który od wieków daje Polsce siłę odradzania się z upadków, powstawania i trwania.

ANTYKOMUNIZM – ZADANIE WAŻNE I AKTUALNE

Antykomunizm to oczywistość dokładnie taka sama, jak anty – dżuma, anty – gruźlica czy anty – syfilis. Czy jednak zwalczanie zarazy komunistycznej jest dziś tak samo ważne, jak w XIX w. walka z cholera czy w Polsce lat sześćdziesiątych – ospą?

CZY KOMUNIZM ZOSTAŁ POKONANY?

Nie tak dawno definicja tego, co się wydarzyło 30 lat temu, wypłynęła z dość niespodziewanego źródła. Kipiące dumą słowa Frasyniuka o pokonaniu komunizmu (nie przytaczam dokładnego cytatu, by nie powtarzać, zaczynających się na literę „k” słów, bez użycia których nie potrafi on chyba zbudować dłuższej wypowiedzi) sprostował przewodniczący SLD. I z bólem rację przyznać trzeba właśnie weteranowi PZPR – u, przypominającemu Frasyniukowi, że żadnego komunizmu nie obalił, ale że się przy okrągłym stole z komunistami – dogadał. I na tym polega istota problemu. Komunizm dogorywał, zarządzany przez komunistów system ostatecznie się walił. Los jego liderów wydawał się być przesądzony a wraz z nimi – żadnych szans powrotu zdawał się nie mieć urzeczywistniany przez nich koszmar. Znaleźli się jednak tacy, którzy zadbali o interesy panujących przez pół wieku z obcego nadania i kosztem całego narodu urzeczywistniających w Polsce utopie azjatyckich satrapów. Po tem jednym z propagandowych hasełek lat transformacji było „wspólne ponoszenie kosztów kryzysu i koniecznych reform”. Dla milionów były one potworne, ale jedna grupa nie ponosiła ich wcale. Żyła w luksusie przez wszystkie lata PRL-owskiej biedy a tzw. „ustrojowy przełom” przeobraził ją w finansową elitę. Do tego zamiast rozliczenia za zbrodnie – uprzywilejowano ją całkowitą bezkarnością.

W latach po wprowadzeniu stanu wojennego często powtarzano wnioski o moralnym kręgosłupie społeczeństwa, którego reżimowi nie udało się przetrzącić. Cel ten został jednak osiągnięty za sprawą porozumień Magdaleny i Okrągłego Stołu i stanowi najbardziej doniosłe z ich osiągnięć. Za ich sprawą tzw. III RP zbudowana została na gruncie wyniszczającego anty – ładu, którego istotą jest nagradzanie za wysługiwanie się najeźdźcom i krzywdze-

nie własnego narodu a karanie za ofiarną na jego rzecz służbę i walkę o niepodległość. Od 1989 roku nasza młodzież dorastała w porządku, uczącym takiej prawidłowości: za wysługiwanie się obcemu mocarstwu i prześladowanie Polaków – przywilej nietykalności i bizantyjskie uposażenia. A za ofiary poniesione w walce o wolność i sprawiedliwość – szyderstwo, kpina i niedostatek. Jakie postawy wobec państwa, ojczyzny, obywatelskiego obowiązku można uformować takim przykładem? Przypuszczenie, że tego „wychowawczego efektu” można było nie przewidzieć, byłoby obrazą dla inteligencji „ojców założycieli pookrągłostołowego ubekistanu”. Cała nadzieja w tym, że oczywiste skutki tej aksjologicznej perwersji nie w pełni zostały osiągnięte.

SZCZEPIONKA Z PREMEDITACJĄ ZMARNOWANA

W 1989 roku Joanna Szczepkowska ogłosiła, że „skończył się w Polsce komunizm”. Wraz z nią złudzeniu temu uległy miliony Polaków. Powszechne też było przekonanie, że po tym, czego doświadczyliśmy przez pół wieku, powrót do marksistowskiego obłędu nigdy więcej nie będzie już możliwy. Samo jednak „historyczne porozumienie” zawarte z komunistami oznaczało miłowy krok w ich rehabilitacji. Zaraz potem, przy milczącej aprobacie „pierwszego niekomunistycznego rządu”, przez szereg miesięcy palono i rozkradano archiwa bezpieki. Nie tylko prawda o „autorytetach” III RP, ale i wiedza o istocie komunistycznego systemu, miała być unicestwiona. Funkcjonariuszom rzekomo pokonanego reżimu zapewniono też kontrolę nad wielką częścią mediów. Resztę w większości wzięty kręgi z nimi zaprzyjaźnione. Skutkiem tego zdołano zablokować wszystkie próby lustracji i dekomunizacji. Sądownictwo, od 1944 roku oddane na służbę reżimowi, nie zostało tknięte choćby cieniem reformy ani odwołaniem kogokolwiek z sędziów. Nawet uczestniczących w zbrodniach i najbardziej skompromitowanych. Brak osądzenia powszechnie znanych zbrodni w sposób najoczywistszy prowadził do zatracenia wiary w sprawiedliwość. W 1991 roku radykalnie zmniejszono też liczbę lekcji historii w szkołach, w następstwie czego przekazywanie wiedzy o dziejach najnowszych najczęściej w ogóle nie ma miejsca. Roczniki nie znające komunizmu z autopsji po prostu nie miały się dowiadywać, czym on był. Tym samym postkomunistyczna propaganda zyskała możliwość upowszechniania własnej, załganej narracji. Skutecznie posługuje się np. takim do cna zakłamanym pojęciem, jak „skrajna prawica”. Określa nim ruchy neonazistowskie, mimo że ani one ani ich poprzednicy z NSDAP, nie mieli literalnie nic wspólnego z czymkolwiek pravicowym. Hitleryzm to przecież ideologia na wskroś lewicowa. Grunt

pod recydywę komunistów przygotowało też skompromitowanie ruchu Solidarności przez występujące pod jego szyldem kręgi prące do władzy metodą rozgrzeszenia „właścicieli PRL-u”. Z bezliku oszczerczych przekazów ciągle dowiedzieć się możemy, że dawni działacze KPP czy KPZU to romantyczni bohaterowie pragnący powszechnej szczęśliwości. A byli to tylko i wyłącznie dobrze opłacani agenci moskiewskich mocodawców, dążących do likwidacji polskiego państwa. W efekcie celowego upośledzania wiedzy o przeszłości i długotrwałej dominacji mediów upowszechniających kłamstwa, mamy dziś w Polsce wzrost poparcia dla postkomunistów oraz zatrważające koncepty młodych liderów tzw. nowej lewicy. Wykwitające na ignorancji opinie, wg których „prawdziwego komunizmu jeszcze nie było” i pomysły, by „spróbować jeszcze raz” powinny działać jak alarm przed mogącym się powtórzyć koszmarem.

WSPÓŁCZESNY ZACHÓD CZYLI TRIUMF SAMOBÓJCZEJ GŁUPOTY

dekady życia po wschodniej stronie Żelaznej Kutyny skutkowały mitycznymi wyobrażeniami o realiach, panujących po jej drugiej stronie. Nasze kontakty z Zachodem zwykle były krótkotrwałe, powierzchowne a wnioski z nich sprowadzały się głównie do porażenia przepaścią w materialnym poziomie życia. Rzadko dostrzegaliśmy to, co w pełnej jaskrawości widział np. zasiedziały już tam Władimir Bukowski. A stwierdzał on jednoznacznie, że ideologia marksistowska, której wyznawcy terroryzowali świat na wschód od Łaby, dominuje także w świecie zachodnim. Różnica polega tylko na tym, że w sowieckiej Rosji i krajach, które podbiła, zwyciężył narzucony przemocą marksizm typu bolszewickiego. Natomiast na Zachodzie zatriumfował marksizm mieniszewicki, zamiast brutalnej rewolucji krok po kroku opanowujący wszystkie instytucje. Jego liderzy wyciągnęli wnioski z ekonomicznej porażki towarzyszy bolszewickich i nie wystąpili przeciw prywatnej własności. Jako śmiertelni wrogowie cywilizacji chrześcijańskiej są jednak skuteczniejsi i bardziej niebezpieczni od bolszewików. Bukowski pytał retorycznie: „mieniszewiki, bolszewiki – kaka ja raznica?” Nie jest przypadkiem, że brukselski Dom Historii Europejskiej jest układanką z oszczerstw kalibru nie mniejszego, od sowieckich hagiografii o Leninie, Stalinie czy Dzierżyńskim. Znamienne też było odsłonięcie przed dwoma laty w Trewirze, przez komisarza, pełniącego najpierwszą funkcję w Unii Europejskiej, ogromnych rozmiarów pomnika – daru chińskiej partii komunistycznej. Pomnik ten to wyraz czci dla architekta tych przemian, które okazały się być największym ludobójstwem w dziejach świata.

FASCYNACJA OPARTA NA IGNORANCJI

Uwielbienie często wynika z niewiedzy. Wielu Amerykanów fascynowało się np. niemieckim nazizmem. Kilka miesięcy przed wybuchem wojny Adolf Hitler został człowiekiem roku tygodnika „Time” (potem dwukrotnie był nim Stalin). Odrobinka orientacji w twórczości paru pisarzy i kompozytorów jest podstawą masowego uwielbienia dla Rosji, kraju o którym najczęściej nie wie się absolutnie nic. Lewacka rewolta roku 1968 rozgrywała się w tym samym czasie, w którym pekiński reżim mordował kolejne dziesiątki milionów Chińczyków a doświadczeniem setek milionów było wegetowanie w skrajnej nędzy. W dziesiątkach miast Zachodu głoszono jednak peany na cześć Mao Tse Tunga, pochody niosły jego portrety, w Paryżu palono kadzidła i klękano przed ołtarzami z jego wizerunkiem. Filmy i pisane seriami książki o meksykańskiej malarce Friedzie Kahlo na piedestale stawiają też jej kochanka Lwa Trockiego, przedstawianego jako humanistę o gołęmbim sercu, bez reszty oddanego sprawie szczęścia ludzkości i każdego człowieka z osobna. Na takich majakach opierają się wyobrażenia o komunizmie tych, którzy prawdziwego rozkwitu tej upiornej ideologii nigdy nie zaznali.

POLSKI OBOWIĄZEK

W krajach, które nie doświadczyły komunizmu, wiedza o tym nieszczęściu jest żadna. Dotyczy to także politycznych elit. Świadcami tego jesteśmy zawsze, kiedy większość Parlamentu Europejskiego reaguje histerią na każdą próbę zestawienia zbrodni hitlerowskich z komunistycznymi. „Czarna księga komunizmu” – rzetelne kompendium, informujące o okolicznościach wymordowania stu milionów ludzi, we Francji, Holandii czy we Włoszech spotkało się z nie mniejszą furią ataków, niż w Chinach czy Rosji.

To, czego zaznały narody Europy środkowej i wschodniej powoduje, że liczne, „zapakowane” w piękne hasła regulacje, wprowadzane przez Unię Europejską, rozpoznajemy jako wyrosłe na marksistowskim gruncie kroki w kierunku zniewolenia człowieka i zniszczenia łacińskiej cywilizacji. Obowiązkiem mądrzejszych (a w zakresie tego doświadczenia nasza część Europy nad zachodnią dominuje niepomernie) jest ostrzegać. A jeśli adresaci naszej przestrogi wykazą odporność na przekazywaną im wiedzę – sami obrońmy się przed zarazą, której opór stawiamy już od pokoleń.

LISTA WAŻNIEJSZYCH DOKONAŃ FUNDACJI POMORSKA INICJATYWA HISTORYCZNA

Wśród celów statutowych naszej fundacji oprócz dokumentowania historii najnowszej, przywracania należnego miejsca działaniom dla odzyskania niepodległości i godności ludziom, którzy mieli odwagę przeciwstawić się totalitarnemu systemowi komunistycznemu są także działania edukacyjne wśród młodzieży oraz pomoc ludziom, bohaterom walki o niepodległą Polskę a znajdującym się dziś w trudnej sytuacji materialnej. Różnorodność podejmowanych przez naszą fundację działań przybliża lista ważniejszych dokonań PPIH w ostatnich 8 latach działalności:



- Przygotowanie i cykliczne prowadzenie uroczystości rocznicowych strajku sierpniowego 1980 r. we współpracy i pod patronatem Prezydenta Gdyni – zebranie pierwszej listy uczestników strajków 1980 r. w zakładach Gdyni – dla przyznania honorowej odznaki „Bohaterom Sierpnia '80 Gdynia”. Pierwsza edycja odbyła się w 2013 roku, w ramach obchodów 33 rocznicy strajków 1980 r. w Sali konferencyjnej Zarządu Portu Gdynia. Podczas niej Honorowe Odznaczenie otrzymało 120 uczestnikom strajków. Zaprezentowaliśmy również II tom albumu „Ludzie Sierpnia '80 w Gdyni”. Do 2020 roku odznaczenie przyznano i wręczono 851 osobom;
- Wystawy plenerowe oraz wystawy rotacyjne w szkołach ponadpodstawowych, przedstawiające etapy walki o wolność na Wybrzeżu od Grudnia '70, poprzez opozycję demokratyczną lat siedemdziesiątych, Sier-

pień ,80 i Solidarność aż do odzyskania niepodległości (kilkaset ekspozycji w ciągu 8 lat);

- Spotkania z żyjącymi świadkami historii i prelekcje w szkołach powiązane z pokazami multimedialnymi;
- Pozyskiwanie i opracowywanie materiałów historycznych dokumentujących poszczególne etapy walki o odzyskanie niepodległości w celu utworzenia stałej ekspozycji i systematycznych publikacji archiwaliów;
- Tematyczne pokazy filmów dokumentalnych z komentarzem uczestników wydarzeń z lat 1970, 1980 i stanu wojennego;
- Opracowanie i wydanie książki przedstawiającej działania niepodległościowe na wybrzeżu w latach 80 XX wieku. A. Kołodziej i R. Zwiercan „... o godność i wolność. Po prostu...” – dwa wydania.
- Przygotowanie i realizacja Inscenizacji wydarzeń z Grudnia 1970 roku w Gdyni z udziałem kilkuset aktorów i statystów;



- Sporządzanie dokładnej uporządkowanej dokumentacji w/w wydarzeń w formie filmowej oraz w formie nagranych i spisanych relacji. Notacje służą do opracowania publikacji książkowych oraz mają być źródłem do tworzenia filmów dokumentalnych. Duża część uczestników spotkań i konferencji to depozytariusze unikatowych świadectw prze-

słości, nigdy dotąd nieutrwalonych a bezcennych dla narodowej świadomości historycznej i ogromnie ważnych dla badań historycznych;

- Pomoc znajdującym się w niedostatku działaczom opozycyjnym z czasów zmagania o wolną Polskę. Ludziom zasłużonym w walce o wolność, którzy w wyniku swego zaangażowania tracili zdrowie, środki utrzymania i do dziś nie doczekali się rzeczywistej rekompensaty. Pozyskanie środków na wsparcie materialne kilkudziesięciu uczestników tamtych wydarzeń.
- Opracowanie i prezentacja wystawy „Polegli w służbie Ojczyzny. Smoleńsk 2010”;
- Opracowanie i budowa stałej wystawy „Gdyńskie drogi do Niepodległości” przy przystanku SKM Gdynia Stocznia;



- Organizacja Ogólnopolskiej Konferencji Wydawnictw Niezależnych „Wydawnictwa Solidarności Walczącej na tle innych wydawnictw podziemnych w latach 80-tych” w Muzeum Miasta Gdyni;
- Realizacja wystawy „Grudzień ,70 w Gdańsku i w Gdyni”. Czasowa ekspozycja w Gdańsku, ul. Doki 1, historyczna Sala BHP Stoczni Gdańskiej.
- Opracowanie i prezentacja wystawy plenerowej „Dwa Grudnie”.



- Zorganizowanie szeregu Sympozjów m.in. „Polskie Grudnie”, „Grudzień 70 Uniwersytet Robotniczy” oraz „Grudzień 81 – Wojna z narodem – lekcja patriotyzmu” w Muzeum Miasta Gdyni, a także „Polskie Grudnie” – Spotkanie z młodzieżą.
- Przygotowanie i udział w uroczystościach 30 rocznicy powstania Ruchu Społeczeństwa Alternatywnego – w ramach którego odbył się koncert zespołów rockowych w Klubie Parlament w Gdańsku, prezentacja spektaklu „SOR” w Teatrze Wybrzeże w Gdańsku, spotkanie z młodzieżą na scenie Letniej Teatru Wybrzeże w Sopocie oraz przygotowanie i prezentacja wystaw poświęconych RSA – w gmachu Uniwersytetu Gdańskiego oraz wersja plenerowa w Gdyni – Leszczynkach;
- Wydanie pierwszej monografii p.t. „Wolne Związki Zawodowe Wybrzeża” autorstwa Andrzeja Kołodzieja.
- Cykliczne wydawanie od 2012 roku, kolejnych tomów albumu „Ludzie Sierpnia ,80 w Gdyni”. Do tej pory ukazało się 8 tomów.



- Uroczysty Koncert w 32 rocznicę podpisania Porozumień Sierpniowych i 30 rocznicę utworzenia – „Solidarności Walczącej”;
- III publikacja książki „Solidarność Walcząca oddział Trójmiasto” autorstwa Andrzeja Kołodzieja i Romana Zwiercana;
- Publikacja książki „Antologia Prasy Solidarności Walczącej w Trójmieście” autorstwa Romana Zwiercana;
- Organizacja Obchodów 32 rocznicy podpisania Porozumień Sierpniowych i 30 rocznicy powstania „Solidarności Walczącej” – Sala Konferencyjna Zarządu Portu Gdynia przy ul. Rotterdamskiej 9, w Gdyni. dwudniowa Konferencja Organizacji Opozycyjnych i Podziemnych „Drogi do Niepodległości”, z udziałem 1200 osób z całej Polski;
- Prowadzenie cyklicznego projektu „Warsztaty Historyczne” – dla młodzieży gdyńskich szkół.

WARSZTATY HISTORYCZNE DLA MŁODZIEŻY GIMNAZJALNEJ I PONADGIMNAZJALNEJ

projekt realizuje

W GDYNI
Fundacja Pomorska Inicjatywa Historyczna



- Bohaterska obrona Gdyni we wrześniu 1939 roku
- szczególna rola Harcerzy Polskich
- Eksterminacja Polaków z Pomorza po wkroczeniu wojsk hitlerowskich
- Mord w Płaśnicy, Przymusowe Wysiedlenia Polaków

- Druga konspiracja na Pomorzu w latach 1945 – 1948

- Konspiracja antykomunistyczna na Pomorzu w czasach stalinowskiego terroru – 1948 -1956

- Masowe protesty przeciw komunistycznej dyktaturze na Pomorzu – Grudzień 1970



- Przyczyny i przebieg strajków w sierpniu 1980 roku

- Organizacje opozycyjne i konspiracyjne oporu antykomunistycznego na Pomorzu w latach 80. XX wieku

kontakt:

Fundacja Pomorska Inicjatywa Historyczna Gdynia ul. Morska 9a
www.fundacja-pih.pl email: fpih@wp.pl Andrzej Kołodziej tel. 792 453 909

Realizacja



Fundacja
Pomorska Inicjatywa Historyczna

Współpraca



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

Projekt realizowany przy wsparciu finansowym



Bank Zachodni WBK

Grupa Santander

- Wystawa: „Pamięć Grudnia ,70 na ulicach Gdyni” w Urzędzie Miasta w Gdyni;
- Projekcja filmu „Czarny Czwartek” dla uczniów Gdyńskich Liceów oraz spotkanie z reżyserem filmu panem Antonim Krauze i uczestnikami wydarzeń – Henrykiem Mierzejewskim i Jerzym Miotke w Multikinie w Gdyni;
- Zainicjowanie i zorganizowanie uroczystości uhonorowania Odznaczeniami Państwowymi za wybitne zasługi w działalności na rzecz przemian demokratycznych w Polsce blisko 150 działaczy organizacji niepodległościowych na Pomorzu przez Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej (w ciągu 7 lat);
- Uruchomienie i sukcesywna rozbudowa portalu internetowego pod adresem: www.gdynia-1980.pl – elektronicznego katalogu posiadanych zbiorów, dokumentujących dokonania mieszkańców Gdyni w latach przełomu 1980-1981;
- Stałe gromadzenie dokumentacji związanej z walką o wolność i niepodległość Polski, prowadzonej na terenie Gdyni i Pomorza w latach 1939-1989. Zbiory są bezpłatnie udostępniane w lokalu Fundacji.
- Organizacja w Gdyni uroczystości 100-nej rocznicy urodzin księdza prałata Hilarego Jastaka. Budowa pomnika w centrum miasta, renowacja grobu, zorganizowanie konferencji, przygotowanie wystawy plenerowej, przygotowanie publikacji;



- Prezentacja wystaw poświęconych Żołnierzom Wyklętym „V Wileńska Brygada AK” oraz „II Konspiracja” w Sopocie przed Urzędem Miasta –

jako wkład Fundacji w obchody Narodowego Dnia Pamięci Żołnierzy Wyklętych.

- Z okazji 35-lecia podpisania Porozumień Sierpniowych i 33 rocznicy utworzenia – „Solidarności Walczącej” opracowanie i ekspozycja miasteczka wystawowego w centrum Gdyni. Na miasteczko składał się cykl wystaw ustawionych w kompleks obrazujący „Drogę do Wolności” – („Kontynuacja walki zbrojnej po 1945 roku – „V Brygada Wileńska”, „II konspiracja na Pomorzu – procesy stalinowskie”, „Grudzień ’70”, „Solidarna Gdynia”, „Solidarny Gdańsk”, „Solidarność Walcząca”, „Organizacje opozycyjne lat ,80 – ROPCiO, KOR, WZZ, Krąg Instruktorów Harcerskich im. Andrzeja Małkowskiego, RMP, KPN, SW, OKOR, PPN, FMW, LDPN Niepodległość, NZS”;
- Cykl wykładów „Porozumienie czy zdrada elit” prezesa Fundacji – Andrzeja Kołodzieja, w USA – na zaproszenie Instytutu Polityki Światowej;
- Przygotowanie i przeprowadzenie konkursu dla młodzieży szkolnej z regionu pomorskiego pt: „Czym jest dla mnie Dzień Niepodległości”. W finale konkursu „Mój dzień Niepodległości” zaprezentowano ponad 70 prac plastycznych a na scenie wystąpiło prawie 40 wokalistów;
- Wystawa Kobiety Walczące, prezentująca kilkanaście działających w strukturach Solidarności Walczącej kobiet na Wybrzeżu;
- Wystawa Solidarność Walcząca, prezentująca działalność struktur Solidarności Walczącej na Wybrzeżu;



- Prowadzenie w Jastrzębiej Górze Ośrodka w którym Weterani działań na rzecz Niepodległego Bytu Państwa Polskiego mogą bezpłatnie spędzić kilkanaście dni w roku, odpoczywając w gronie podobnych im ludzi. Poza noclegiem i wyżywieniem beneficjenci mają zapewnioną opiekę koordynatora, który organizuje czas oraz aktywizuje seniorów. W programie każdego turnusu są wyjazdy do okolicznych miejsc Pamięci – między innymi do Piaśnicy w której Niemcy zamordowali kilkanaście tysięcy Polaków oraz do Muzeum Emigracji w Gdyni. Jedyną formą partycypacji uczestników w programie jest podzielenie się wspomnieniami, które archiwizujemy w formie filmowych notacji. Budujemy w ten sposób bazę wspomnień, która jest i będzie bogatym materiałem źródłowym dla obecnych i przyszłych badaczy historii. W 2015 roku przyjęliśmy 140 osób, w 2016 r. udało się zapewnić odpoczynek 248 weteranom. W 2017, 2018 i 2019 r. liczba ta została potrojona. W 2020 mimo późniejszego startu programu w związku z ograniczeniami spowodowanymi pandemią ilość weteranów korzystających z tej formy wsparcia nie uległa zmniejszeniu. Baza nagrań na dzisiaj to około 600 notacji, od nagrań kilkunastominutowych do ponad dziesięciogodzinnych.

- Z okazji 35 rocznicy powstania Oddziału Solidarności Walczącej w Trójmieście zorganizowanie dwudniowych obchodów;



- Inscenizacja konspiracyjnej drukarni Solidarności Walczącej w Gdyni, ukrytej za zamaskowanym wejściem w przedzielonym garażu. Drukarnia działała w latach 80, w wynajmowanym przez Małgorzatę Zwiercan domu w Kacku, na tzw. „Psiej górcie”;
- Konferencja pt. „Odpowiedzialność dowódców LWP za masakrę w grudniu 1970 roku na Wybrzeżu” ;
- Wystawa Plenerowa „Trzech Komandorów” prezentująca kulisy zbrodni sądowej popełnionej przez komunistyczne władze na dowódcach Marynarki Wojennej w grudniu 1952 roku;
- Sesja naukowa pt. „Zaślubiny Polski z morzem. Traktat Wersalski” i towarzysząca jej wystawa;
- Wystawa plenerowa „Powrót Polski nad morze”;



Zaślubiny Polski z morzem. Traktat wersalski

Zaproszenie

Fundacja Wizja Rozwoju oraz Fundacja Pomorska Inicjatywa Historyczna
zapraszają na sesję naukową
pt. „Zaślubiny Polski z morzem. Traktat wersalski”,
która odbędzie się 11 lutego 2020 r. o godzinie 17:00,
w sali konferencyjnej Domu Rzemiosła w Gdyni, ul. 10 lutego 33
W dyskusji udział wezmą:

- *Moderator Aleksander Gosk* – Wicedyrektor Muzeum Marynarki Wojennej w Gdyni
- *prof. dr hab. Tadeusz Stegner* – Instytut Historii UG.
- *dr Tomasz Rembalski* - Instytut Historii UG., Sekretarz Instytutu Kaszubskiego
- *dr Michał Graban* – doktor nauk politycznych, samorządowiec i publicysta
- *dr Jan Tymiński* – Muzeum Marynarki Wojennej w Gdyni

Po konferencji muzyczny występ Andrzeja Kołakowskiego



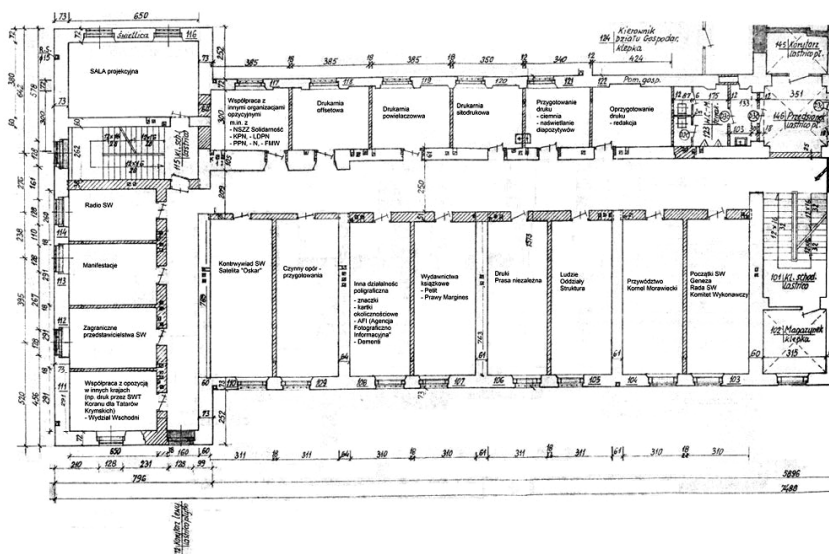


- Wystawa plenerowa „Niezlomni, Niepokorni”;
- Wystawa plenerowa „100 lat niepodległości na Pomorzu”;
- Wystawa plenerowa „Gdyński Sierpień”;
- Konferencja „Geneza protestów robotniczych na Wybrzeżu. Strajk w gdyńskich zakładach pracy w sierpniu 1980 roku”;
- Współorganizacja obchodów 40 rocznicy Sierpnia '80 w Gdyni;
- Koncert dla „Zwykłego Bohatera” – muzyczne podziękowanie uczestnikom protestów z 1980 roku.





- Konferencja „Od konfrontacji do współpracy w drodze do Niepodległości”
- Konferencja „Grudzień 1970 – komunistyczna zbrodnia w Gdyni”
- Konferencja „II Konspiracja na Wybrzeżu w latach 1944-1956”
- Wystawa stała „Muzeum Solidarności Walczącej” w Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych PRL w dawnym areszcie w Warszawie przy ul. Rakowieckiej 37. Projekt zrealizowany został przez zespół pod kierunkiem wiceprezesa FPIH Romana Zwiercana w 19 salach na powierzchni ponad 400 m².



- Wirtualny spacer po Muzeum Solidarności Walczącej
- Ścieżka edukacyjna Trzciano – Straszewo – Pułkowice upamiętniająca zwycięstwo wojsk polskich nad wojskami szwedzkimi w bitwie pod Trzcianą 27 czerwca 1629 roku w ramach projektu wykonane zostały:
 - 3 kioski multimedialne, z własnym zasilaniem, monitorem, mikrokomputerem oraz wyposażeniem w Trzcianie, Straszewie i Pułkowicach,
 - 3 totemy z Godłem Polski z 1620 roku,

- 3 pulpity z opisem bitwy,
- 3 maszty z flagą polską,
- 3 zestawione łącza internetowe do obsługi kamer. W każdym kiosku zostały zainstalowane dwie kamery przesyłające i archiwizujące „niepożądane zdarzenia” które stanowią element zabezpieczenia całej instalacji,
- 3 prezentacje. Filmy edukacyjne o długości ok. 5,5 minuty każdy. Do każdego filmu przygotowany został scenariusz oraz tekst dla lektora,
- Medal pamiątkowy „Tropiciel historii”,
- Przypinka „Śladami oręża polskiego”,
- Komiks „Bitwa Polaków ze Szwedami pod Trzcianą w 1629 roku”
- Zakładka do strony internetowej www.trzciano.fundacja-pih.info wraz z formularzem akceptującym i zliczającym rejestrujące się za pomocą QR kodów osoby





- Kolejny, IX już tom publikacji „Ludzie Sierpnia 80 w Gdyni”
- Obchody 41 rocznicy powstania NSZZ „Solidarność” w Gdyni
W ramach projektu zrealizowane zostały
 - Konferencja 28 sierpnia 2021. Tematy: „Wpływ myśli narodowej i działaczy niepodległościowych na przebieg strajków, postulaty i powstanie NSZZ Solidarność” oraz „Rola NSZZ Solidarność w procesie obalania komunizmu. Poślanie do ludzi pracy Europy Wschodniej”.
 - Konferencja 30 sierpnia 2021. Temat „Walka o pamięć – dorobek i spuścizna NSZZ Solidarność”
 - Uroczyste złożenie kwiatów pod pomnikiem Ofiar Grudnia ,70 r
 - Uroczystość wręczenia odznaczeń „Bohaterom Sierpnia ,80”. W programie m.in. prezentacja IX tomu albumu „Ludzie Sierpnia ,80 w Gdyni” autorstwa Małgorzaty Sokołowskiej oraz Roberta Chrzanowskiego.
 - Strajkowa biesiada i przekazanie uczestnikom IX tomu albumu „Ludzie Sierpnia ,80 w Gdyni” autorstwa Małgorzaty Sokołowskiej oraz Roberta Chrzanowskiego.
 - „Polskie etosy” – solowy koncert lidera zespołu CONTRA MUNDUM Norberta „Smoły” Smolińskiego.

